

WYDAWALNIA WYBICKI

NEW YORK TIMES BESTSELLER

W świecie obłedy,
falezy i obrzędów,
przywodził i wróg
na pustą stronę,
a ledyng wartości
jost plonijęto.

ELIZABETH
LOWELL

**NIE
OKŁAMUJ
MNIE**



Bestseller

ELIZABETH LOWELL

**NIE OKŁAMUJ
MNIE**



Harlequin[®]

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa



Tytuł oryginału
Tell Me No Lies
Pierwsze wydanie
WorldwideBooks1986

Przekład
Krzysztof Sokołowski

Redakcja
Sławomir Chojnacki
Marta Budna

Konsultacja
Teresa Lechowska

Korekta
Małgorzata Juras
Ewa Poptawska
Ewa Piasecka

© 1986 by Two of a Kind, Inc.
© for the Polish edition by Arlekin
- Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
Warszawa 1993

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu
z Harlequin Enterprises B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
- żywych czy umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin
i znak serii Harlequin Bestseller są zastrzeżone.

Skład i łamanie
StudfEO

Printed in Germany by Elsnerdruck
ISBN 83-7070-294-5
Indeks 354422

Nie okłamuj mnie

1

Catlinomal nie krzyknął ze zdumienia. Wyrwany nagle z wygodnej terazniejszości, przeniósł się w przeszłość, kiedy kobieta uczyła go prawdziwego znaczenia słowa „zdrada”. Zapłaciłby za tę lekcję życiem, gdyby nie refleks pewnego człowieka. Kobieta zginęła. Zginął również ów człowiek. Mężczyzna, znany wówczas jako Jacques-Pierre Rousseau, przeżył.

Patrzył na leżącą na dłoni starą, chińską monetę. Metal umyślnie przecięto na połowy poprzez cienkie, delikatne linie układające się w obraz jaskółki w locie; ptakowi pozostało tylko jedno skrzydło. Na linii cięcia miedź błyszczała jak bezkrywta rana. Moneta wydała mu się znajoma, a jednocześnie, w jakiś nieokreślony sposób, obca. Zbyt często oglądał drugą połowę jaskółki, tę połowę, którą nosił przy sobie jako amulet na szczęście. Połowę, która trafiła do jego rąk w innym świecie, w innym życiu.

Dawno temu, daleko, w obcym kraju.

Spojrzał na szczupłą, wyprostowaną postać Chen Yi.

- Interesująca pamiątka - powiedział głosem bez wyrazu. - Wielka szkoda, że ktoś ją tak zniszczył. Monety z czasów dynastii Han to rzadkość.

- Pańskie znajomości powinny umożliwić połączenie obu tych części - stwierdził cicho Chen.

- Tak? A czy ma pan przy sobie brakującą połowę?
- Ten słowny pojedynek stracił już jakiegokolwiek znaczenie. Brakującą część trzymał w kieszeni. Pozostało mu tylko upewnić się, że to nie przypadek sprawił, iż Chen ma tę monetę, że to nie gra, mająca zapewnić Chińczykowi zdobycie jego zaufania.

Chen czekał. Twarz miał nieruchomą, podobnie jak Catlin.

- Skąd pan ją ma?
- Od człowieka, który także nazywał się Chen.
- W Chinach aż roi się od Chenów.
- Tak.

Chen mocno zaciągnął się, duszącym, chińskim papierosem. Była to oznaka nałogu, a nie zdenerwowania. Nie należał do ludzi, którzy łatwo się denerwują.

Ostry zapach papierosowego dymu, dziwna w intonacji angielszczyzna Chena oraz stara chińska moneta sprawiły, że Catlin doznał wrażenia rzeczywistości jakby ze snu. Nie należał jednak do głupców ufających wrażeniom. Adrenalina, krążąca w żyłach wzbudzoną falą, przypominała mu, że ta noc i ta chwila są aż nazbyt rzeczywiste, a być może nawet śmiertelnie niebezpieczne.

- Od którego z Chenów ją pan otrzymał? - Podrzucił zniszczoną monetę, złapał, znów podrzucił i znów złapał. W pełni kontrolował głos i ciało - ciało gotowe na wszystko, nawet na śmierć.

- Dostałem ją wraz z wiadomością od... - Chen zamilkł nagle, szukając w pamięci słów, będących dokładnym odpowiednikiem chińskiego określenia i nie znalazł ich. - Jak nazywa się po angielsku syn bratanka bratanka brata mojego ojca?

- Dziewiąta woda. - W głosie Catlina czuło się kpinę.
- Ach!

Dźwięk ten w niczym nie przypominał lekkiego westchnienia, jakim posługują się Amerykanie. Był ostrym, słownym potwierdzeniem zdobycia przewagi. To, bardziej niż bezustannie palone papierosy bez filtra, fałda mongolska i złotawy odcień skóry, dowodziło, że Chen to mieszkaniec Chin kontynentalnych.

- Przecięta moneta dotarła do mnie wraz z wiadomością od mojej dziewiątej wody, Chen Jiangshi.

W pamięci Catlina odżyły wspomnienia. Na chwilę wrócił tam, do południowo-wschodniej Azji, znów poczuł dotknięcie przesuwających się po jego rozpalonym ciele dłoni Mei, woń jej podniecenia i paraliżujący strach, kiedy podczas orgazmu wymierzyła mu w twarz z pistoletu. Wiedział wtedy, że jest prawie martwy, że kobieta, która w tej chwili wije się pod nim z rozkoszy, w następnej go zastrzeli, że został zdradzony na wiele sposobów i że nie zdoła ich policzyć i nazwać. Strzały, konwulsyjne drganie ciała, kolejne strzały i leżące na nim zakrwawione zwłoki kobiety, którą kochał. I Chen Jiangshi, padający obok maty, umierający i do końca usprawiedliwiający się i przeklinający swą zdradziecką kuzynkę, Genevieve Mei Chen Deneuve.

Później dostał przeciętą monetę i wiadomość, że pewnego dnia dotrze do niego jej druga połowa, a także prośba, którą może zignorować lub spełnić, według uznania.

Przyglądał się uważnie milczącemu mężczyźnie, czekającemu teraz na jego decyzję.

- Jeśli mogę pomóc, pomogę - powiedział krótko. - A co się tyczy Chen Jiangshi, to można o nim powiedzieć, że był prawdziwym mężczyzną. Przyniósł chwałę swej rodzinie i przodkom.

Chen pochylił się lekko. Jego cienkie, niemal białe włosy zafalowały.

- Powiedziano mi - szepnął - że niezależnie od noszo-

nego akurat nazwiska jest pan człowiekiem z dumą pokazującym światu swą twarz.

Catlin czekał ponuro na dokończenie komplementu. Pragnął dowiedzieć się, jaki interes zawarł, żeby odkupić swe przeszłe, lekkomyślne postęпки.

- Już nie pracuje pan w Indochinach.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, lecz mimo to odpowiedział:

- Już nie pracuję w Indochinach.

- Już nie pracuje pan dla rządu.

Tym razem zawahał się.

- Nie pracuję także przeciw rządowi.

- Ach! - Chen zrozumiał i zaakceptował to stwierdzenie. Mówił dalej: - Czy nie powinien pan być lojalny wobec rodziny, społeczności lub tradycji?

- Nie w chińskim rozumieniu tych pojęć.

- Nie chodzi pan w cieniu innych ludzi?

- Nie, jeśli tylko mogę temu zapobiec - stwierdził Catlin sucho. - Uwielbiam słońce.

Chen spojrzał na niego sprytnymi, czarnymi oczkami, szeroko rozstawionymi w twarzy o kolorze i fakturze pergaminu. Był gładko ogolony - Chińska Republika Ludowa nie kochała rzadkich bródek będących w modzie od czasów Konfucjusza. Paznokcie, choć za długie jak na zachodnie gusta, nie były jednak aż tak długie, żeby od razu rzucały się w oczy. Wprawdzie włosy miał niemal siwe i ciężko oddychał na skutek palenia zbyt wielu papierosów, ale oczy, którymi wpatrywał się w Catlina, czyste, bystre, płonące, należały do młodego mężczyzny.

Catlin poddał się temu badaniu cierpliwie, czując, że Chen pragnie go sobie dokładnie obejrzeć i zrozumieć. Dla Chińczyka jego brak związków krwi i więzów ze wspólnotą był nienormalny, obrzydliwy.

- Nie czci pan ani Boga chrześcijan, ani Proroka mahometan, ani Buddy, ani milczącego Tao, ani tak niegdyś wymownego Mao, ani przodków - mówił dalej Chen. - A jednak jest pan człowiekiem dumnym. Człowiekiem honoru.

Machnął ręką, mogło to oznaczać zarówno zgodę, jak i sprzeciw oraz to wszystko, co mieści się pośrodku.

- Jestem wdzięczny Chen Jiangshi - szepnął Chen - za to, że pan przeżył, choć kobieta zdradziła, że może pan teraz oświecić mą biedną głowę i pozwolić jej zrozumieć prawdziwą naturę niemożliwego.

I nadal przyglądał się spokojnie i cierpliwie, o wiele od siebie wyższemu, o wiele potężniej zbudowanemu mężczyźnie, którego nazwisko wymawiano niegdyś w Indochinach szeptem, ze strachem i podziwem. Nagle skinął głową - podjął decyzję. Od małego niedopałka poprzedniego zapalił nowego wygniecionego papierosa i zaczął mówić o sprawach bardziej przyziemnych niż honor, oświecenie i prawdziwa natura niemożliwego.

- Zna pan wykopaliska archeologiczne w Xi'anie?

Znów było to raczej twierdzenie niż pytanie i znów Catlin udzielił mu odpowiedzi.

- Nie zbieram już brązów z okresu Walczących Królestw. Ale tak, wiem sporo o Xi'anie i cesarskiej armii. Uważa się powszechnie, że to największe odkrycie archeologiczne w historii ludzkości.

Chen poszukał wzrokiem popielniczki, nie znalazł jej i rzucił słabo dymiący niedopałek do kominka.

- A gdyby nadal kolekcjonował pan brązy, ile zapłaciłby pan za woźnicę, rydwan i konie, inkrustowane złotem i srebrem, połowa wielkości naturalnej, pochodzące z grobu samego cesarza Qin?

Catlin nie próbował nawet powstrzymać gwałtownego

westchnienia. Wiedział, że zdążył zdradzić swoje zainteresowanie nagłym zwężeniem źrenic. Od wielu lat nie prowadził już życia tajnego agenta, ale sama propozycja zapierała jednak dech w piersiach. Czuł się tak, jak mógłby czuć się egiptolog, któremu zaproponowano kupno szczerzego tego sarkofagu faraona Tutenchamona.

- Gdybym nadal kolekcjonował brązy, zapłaciłbym za taki okaz tyle, ile by ode mnie zażądano - powiedział cicho.

- Pięćset tysięcy dolarów?

- Z pewnością.

- Milion dolarów?

- Gdybym tyle miał, i gdybym miał pewność, że dzieło jest oryginalne. - Uśmiechnął się raczej smutno, myśląc o stanowisku rządu chińskiego w kwestii wywozu antyków. - Biorąc pod uwagę stosunek rządu Chińskiej Republiki Ludowej do nielegalnego eksportu dóbr kultury, nie sądzę, żeby brązy cesarza Qin stały się w przewidywalnej przyszłości narkotykiem rynku dzieł sztuki. Chyba że nastąpiła zmiana polityki.

Chen nie spuszczał z niego wzroku.

- Żadnej zmiany nie było.

- A więc jest to, jak my mówimy, dyskusja akademicka.

Koniec papierosa rozjarzył się gwałtownie. Catlin czekał czując, że Chińczyk dotarł do miejsca, z którego nie ma już odwrotu.

- Powinna być akademicka - stwierdził krótko Chen - ale nie jest.

- A ja nie jestem kolekcjonerem brązów. - Catlin powiedział to zdecydowanym głosem, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, że każde słowo to czysta prawda.

Chen gwałtownie machnął ręką, za dłonią ciągnęła się smużka dymu z papierosa.

- Ten fakt jest znany. Ale niegdyś pan był. I gdyby miał pan znów nim zostać, to czy sądzi pan, że ludzie sprzedający brązy z okresu Qin skontaktowałyby się właśnie z panem?

- Znając tylko nazwisko Catlin? Wątpię. Wyrobiecie sobie marki znanego kolekcjonera wymaga czasu.

- A gdyby nazwisko brzmiało Jacques-Pierre Rousseau? - Specyficzna wymowa Chena sprawiła, że pytanie to zabrzmiało jeszcze bardziej bezceremonialnie.

- Nie słyszał pan? Biedaczysko nie żyje. Przed kilku laty ktoś wrzucił granat do jego pokoju w hotelu. Musiał zrobić z niego sieczkę.

Chen spojrzał mu w oczy, czyste, jasnobursztynowe, o odcieniu przypominającym kolor zimowego nieba tuż po zachodzie słońca. Nie było w nich zapowiedzi gwiazd rozjaśniających ciemności mroźnej nocy, lecz wyłącznie pewność jej nadejścia. Oto oczy smoka płonące drapieżną inteligencją.

- Znam ludzi wątpiących w to, że człowiek o talentach Rousseau mógł tak łatwo zginąć. - Chen głęboko zaciągnął się papierosem. - Pojawiły się plotki.

- Plotki zawsze się pojawiają. - Catlin zawahał się, wzruszył ramionami. Człowiek, który przyniósł mu drugą połowę monety z czasów dynastii Han, monety z jaskółką, zasługiwał na to, żeby usłyszeć prawdę. - Rousseau byłby dla pana większym kłopotem za życia, niż po śmierci - stwierdził. - Nie można powiedzieć, żeby uchodził za przyjaciela Chińskiej Republiki Ludowej.

Chen rozmyślał przez kilka chwil w milczeniu.

- Kiedy straci się gniazdo - mruknął w końcu - tłuką się wszystkie jajka.

Catlin odpowiedział na te słowa uśmiechem.

- Najmilsze w chińskich przysłowiach jest to, że mogą oznaczać wszystko albo nic. Jakie jajka? Jakie gniazdo? I kto je strąca?

Gwałtownym ruchem Chen wrzucił niedopałek do kominika.

- Czy narzędzie musi koniecznie znać zamiar artysty?

Catlin zważył w dłoni połówkę monety. Przed oczami pojawił mu się pewien obraz: piękna chińska rzeka Li o świcie, rybacy na wąskich tratwach zapalają lampiony i wypływają na połów, odpychając się kijami od dna. U stóp mają kormorany, karmione z ręki od wyklucia się z jajka, nauczone odpowiadać na wyraźny, cienki okrzyk pana. Kiedy tratwy łączą się w krag, tajemnicze odbicie światła na powierzchni ciemnej wody zwabia ryby. Wtedy uwalnia się ptaki. Nurkują w toni. Opasująca ich szyje linka sprawia, że niczego nie mogą przełykać. Wracają na tratwę, oddają łup i znów łowią ryby. Kiedy koszyk pana napełni się, odwiązuje on linkę i ptak może polować dla siebie.

- Powiedz mi, Chen Yi, czy kiedy rybak znad rzeki Li wypuszcza swego kormorana w pogrążoną w mroku toń, zawiązuje mu linkę tak ciasno, że ptak się dusi?

Chen zareagował na to pytanie chwilowym wahaniem, poprzedzającym użycie zapalniczki, której kształt nie zmienił się od czasu, gdy Chińczycy nauczyli się kopiować Zippo.

- Linkę należy zawiązać wystarczająco ciasno, żeby ptak nie mógł przełknąć ryby, którą złapał. - Zaciągnął się świeżo zapalonym papierosem. - Ściśniesz ją mocniej i nie masz z kormorana żadnego pożytku. - Zamknął zapalniczkę z metalicznym trzaskiem. - Zawiążesz luźniej i ptak zjadł ci kolację.

- Jestem inteligentniejszy od kormorana.
- I przez to znacznie bardziej niebezpieczny.
- Jak bardzo chce pan złapać rybę?

Chen włożył zapalniczkę do kieszeni swej marynarki w zachodnim stylu. Znów spojrzął na połówkę monety leżącą na twardej dłoni Catlina i przypomniał sobie kilka zasłyszanych niegdyś określeń pod adresem mężczyzny nazwiskiem Rousseau.

Godny zaufania...

Inteligentny i bystry..

Pokazuje światu dumną twarz...

I - śmiertelnie niebezpieczny.

- Gdyby powiedział mi pan, na jaką rybę ma ochotę - zaproponował Catlin - poradziłbym, jak ją złapać i przyrządzić.

Chińczyk rozejrzył się po pokoju, jakby próbował przypomnieć sobie kierunki świata. Wiedział, że mieszkanie należy do Pacific Rim Foundation i jest używane przez jej pracowników - ekspertów przyjeżdżających do Waszyngtonu na wezwanie komisji senackich lub udzielających porad wielkim tego świata. Wiedział także, że Catlin to Pacific Rim Foundation. Mimo jego doświadczeń w Azji, a może właśnie dzięki nim, fundacja miała reputację bezstronnej: ani nie popierała, ani nie tłumiała aspiracji Azji.

W pokoju brakowało akcentów czysto chińskich, starożytnych lub nowoczesnych; nie było w nim niczego, co świadczyłoby, że Catlin przez półtora dziesięciolecia stykał się z obcą kulturą. A jednak Chen wyczuwał w nim coś, dzięki czemu czuł się tu jak w domu. Kształt i sposób ustawienia mebli sugerowały surowość i dyscyplinę właściwą chińskiej kaligrafii. Bogactwo obić i dywanu sprawiało czysto zmysłową rozkosz, tak charakterystyczną dla cesarskich jedwabii.

Catlin był najwyraźniej mężczyzną inteligentnym oraz mającym dobry gust. Groźnym mężczyzną. Śmiertelnie groźnym. Przecież właśnie dlatego go odszukano. Chen potrzebował człowieka zarówno inteligentnego, jak i śmiertelnie groźnego.

Znów zapalił papierosa, zaciągnął się i powiedział:

- Jest też kobieta.

Catlin uśmiechnął się krzywo, myśląc o własnej przeszłości.

- Jak zwykle.

Chen nie odpowiedział mu uśmiechem, ale sprawiał wrażenie rozbawionego.

- To Amerykanka wychowana w Chinach. Do 1959 roku jej rodzice byli chrześcijańskimi misjonarzami w prowincji Shaanxi. - Zauważył zaskoczenie na twarzy Catlina i potwierdził skinieniem głowy. - Tak, nie wyjechali po powstaniu Chińskiej Republiki Ludowej. Ojciec był Kanadyjczykiem, matka Amerykanką, chociaż niewielu ludzi znało jej pochodzenie. Zbyt niebezpieczne. Amerykanów... - szukała określenia, które nie byłoby obraźliwe - ... nie kochano wtedy szczególnie.

Catlin skrzywił usta w lekkim uśmiechu. Chen zorientował się, że wie doskonale, jak niebezpiecznie było być Amerykaninem w Chinach w pierwszych latach po rewolucji. Krótkim „ach!” skwitował lata, podczas których być Amerykaninem w Chinach oznaczało wyrok śmierci.

- Nowe rządy są jak dzieci - mówił dalej Chen. - Muszą się uczyć. Chińska Republika Ludowa nauczyła się cenić wzajemną harmonię między odległymi krajami. Dlatego tu jestem. Jest ona jednak obecnie zagrożona.

Niewidzialne chłodne palce upiora przesunęły się po karku Catlina, muskając rosnące tam króciutkie włoski. Jego zadaniem jako właściciela i pełnoetatowego pracow-

nika Pacific Rim Foundation była ocena faktów, prognozowanie i doradzanie wpływowym klientom w sprawach wiążących się z Azją w ogóle, a z Chinami w szczególności. Nie słyszał jednak żadnych plotek, żadnych sugestii, nic, co by wskazywało, że trudne wzajemne zaloty USA i ChRL napotkały jakieś przeszkody.

Chen obserwował go poprzez welon błękitnoszarego dymu. Twarz Amerykanina nie wyrażała niczego. Nie było żadnego fizycznego dowodu na to, że jeden z najwybitniejszych i najmniej znanych zwykłym, szarym ludziom ekspertów od stosunków z Azją jest zaskoczony kategorycznym twierdzeniem o zagrożeniu, które może przerwać cienkie nici dyplomacji, tak ostrożnie nawiązywane między tymi dwoma krajami.

- A co ma z tym wspólnego kobieta? - spytał cicho Catlin.

- Jest kluczem pasującym do zamka.

- Czy wie o tym?

- Nie.

Czekał. Odpowiedziało mu milczenie. Chen Yi niechętnie udzielał informacji ponad konieczne minimum. Catlin rozumiał wahania Chińczyka: z natury rzeczy sekrety rodzą kolejne sekrety.

- Proszę mówić dalej - uśmiechnął się ponuro. - Żyłka nie jest jeszcze wystarczająco długa, by złapać na nią rybę.

- A czy kiedykolwiek będzie, Rousseau? - Chen roześmiał się chrapliwie. W mroku mieszkania oczy Catlina świeciły niczym złote blaszki. Nie było w nich ciepła. Tylko zrozumienie.

- Jestem Catlin.

- Jest pan smokiem - cicho rzekł Chen, kilkakrotnie zaciągnął się papierosem i wrzucił niedopałek do kominka.

- Ale jestem pańskim smokiem - odpowiedział natych-

miast Catlin podrzucając monetę i przyglądając się słabemu blaskowi miedzi, świecącej w miejscu przecięcia. - Czy też, jak mówimy w Ameryce: „Może i jest sukinsynem, ale moim sukinsynem. Na razie.” - Bez wysiłku znowu podrzucił i złapał starą brązową monetę, przyjrzał się jej i zdecydował, że powinien potrząsnąć nieco gościem. Może wytrząse z niego jakieś informacje?

- Czy napije się pan herbaty, Chen Yi, towarzyszu ministrze do spraw archeologii w rządzie prowincji Shaanxi w Chińskiej Republice Ludowej?

Gdyby nie oczekiwali zdradliwego drgnięcia powieki, niczego by nie dostrzegł.

- Kiedy się pan zorientował?

- Gdy zapytał pan o brązy cesarza Qin. W Chinach są miliony Chenów, tysiące z nich noszą imię Yi, lecz tylko jeden ma dostęp do najspanialszego odkrycia archeologicznego w historii ludzkości. - Catlin po raz ostami podrzucił i złapał monetę, po czym wsadził ją do kieszeni, w której przez wiele lat nosił jej drugą połowę.

- Herbaty? - zapytał ponownie.

Chen Yi wahał się, nie okazując zdumienia; swym milczeniem zdradzał, jak bardzo jest zaniepokojony.

- Tak, dziękuję - powiedział w końcu.

- Chińskiej czy angielskiej.

- Czy ma pan skórki cytryny?

- Mam.

- Poproszę o angielską. Minęło tyle lat...

Catlin wskazał mu gestem krzesło, stojące obok kominaka, który Chen Yi traktował jak popielniczkę i wyszedł z pokoju. Po kilku minutach wrócił, niosąc na tacy z laki wytworny, porcelanowy, szkarlatno-złoty czajniczek i także filiżanki. Kiedy nalewając parującą aromatyczny płyn podniósł pokrywkę czajniczka, pojawił się smok: smułka,

giętki, złowrogi, potężny. W połyskujących złościście złych oczach czaiła się złośliwa mądrość.

Chen Yi wrzucił do herbaty dwie kostki cukru i skórkę cytryny. Nie okazał zdziwienia, gdy gospodarz postąpił podobnie. W tej części Indochin, w której pracował niegdyś Catlin, używano powszechnie raczej skórki niż soku z cytryny, mając do czynienia ze straszliwie mocną herbatą, tak lubianą przez Anglików. I chociaż Catlin nie parzył herbaty tak, żeby kolorem i konsystencją przypominała smołę, nabyty nawyk dodawania cierpkiej cytryny pozostał.

- Bardzo dobrze mówi pan po angielsku - zauważył rzeczowo Amerykanin. Mimo dziwnego tonu głosu i specyficznej wymowy, tak charakterystycznych dla Chińczyków, Chen Yi łatwo można było zrozumieć. Nie stosował także eufemizmów, form grzecznościowych i nie krążył wokół tematu, jak to się często zdarza Chińczykom, używającym obcego języka. Lecz w jego sposobie mówienia było jednak coś niezwykłego. Trudno uchwytyny akcent i sposób budowy zdań wydawał się być bardziej brytyjski lub kanadyjski niż amerykański, choć było w nim również coś amerykańskiego. Może miał nauczycieli z różnych zakątków świata?

- Czy przed rewolucją chodził pan do szkoły w Vancouver?

- Mówiono mi, że doskonale włada pan językiem chińskim - odbił piłeczkę Chen. - Czy chodził pan do szkoły w Bejingiu?

- Nie. - Catlin uśmiechnął się lekko, słysząc tę ripostę. - Nawet wtedy, kiedy jeszcze znano go w świecie jako Pekin.

- Zabił pan wielu Chińczyków? - padło następne, niespodziewane pytanie. Stary trik przesłuchującego-niespodziewane, groźne pytanie w trakcie niezobowiązującej pogawędki.

- A czy pan często torturował angielskojęzycznych jeńców w Północnej Korei? - spytał Catlin, najzupełniej obojętnie.

Wymienili spojrzenia. Para unosząca się ze stojącego między nimi czajniczka była niczym oddech smoka.

- Nieszczęsna przeszłość - stwierdził w końcu Chen, dotykając delikatnie palcem brzegu kruchej filiżanki. - To my musimy się postarać, żeby nasze rządy nie powtórzyły dawnych błędów pod wpływem strachu i zachłanności.

- A czy to nam grozi?

Rozległ się metaliczny szczęk, błysnął płomień, metal szczęknął znowu. Chen zatrzaskał zapalniczkę.

- Tak.

Catlin milczał przez dłuższą chwilę. Zastanawiał się nad wagą sprawy, która skłaniała do ryzykownego działania pozornie spokojnego chińskiego urzędnika państwowego, który siedział tu i pił herbatę. Jego szczerłość była niezwykłą, niemal szokująca. Tysiące lat tyranii i despotyzmu nauczyło Chińczyków mówić „tak” na wiele sposobów i nie nauczyło ani jednego sposobu mówienia „nie”. Zatajanie prawdy i proste kłamstwa były niezbędne, aby przetrwać, jakby sami obywatele Chin byli tajnymi agentami na terenie własnego kraju. Czasy współczesne nie okazały się dla nich lepsze. Najpierw poniżył ich Zachód, a później przyszły potworności wojny domowej i gorączka polityczna, nie różniąca się od religijnej ekstazy. Niestety, ekonomii nie zbuduje się na ekstazie. Podczas gdy Mao zdobywał pozycję przywódcy, z głodu umierało dwadzieścia milionów Chińczyków. Kiedy jego pozycja była zagrożona, kolejne miliony wrywano z rodzinnych domów, przesiedlano i poniżano podczas rewolucji kulturalnej. A ekstaza nadal rodziła kiepską ekonomię. Kiedy płomień wypalił się na popiół, ocaleni przebudzili się i rozglądając wokół, spo-

strzegli upiora nieuchronnego bankructwa. Liderem został Deng Xiaoping. Pojawiły się plotki o rozdzielaniu dóbr według pracy, a nie potrzeb.

Krótko mówiąc, o kapitalizmie.

Tego słowa nie używał nikt oprócz wrogów Deng Xiaopinga. Lecz flirt z kapitalistyczną herezją trwał, ożywiony nagłym przypływem produktów ze spłachetków ziemi będących „własnością” chłopskich rodzin. Ożywił się jeszcze bardziej, gdy do Chińskiej Republiki Ludowej zaproszono doradców ekonomicznych ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, którzy głosili wprawdzie obowiązujące slogany o wiecznym żywym duchu Mao, ale uczyli pożytecznej sztuki zarabiania pieniędzy. Z każdą nową fabryką, z każdą nową wspólnotą chłopską, której członkowie nie tylko sami mieli pełne garnki, lecz jeszcze zarabiali na handlu żywnością, stosunki między ChRL a USA umacniały się, aż osiągnięto szansę zawarcia dobrego, trwałego małżeństwa z rozsądku, korzystnego dla obu stron. Chinom dano szansę korzystania z technologii dwudziestego wieku, a Zachodowi wejścia na olbrzymi rynek, obejmujący jedną czwartą ziemskiej populacji.

Nie było publicznych komunikatów o doskonałym poźyciu Ameryki i Chin. Powoli rezygnowano tylko z antykapitalistycznej retoryki. Chińscy komuniści zasiadali do obiadu z zachodnimi kapitalistami, wszyscy wyposażeni w łyżki - obie strony wiedziały, że tylko w ten sposób mądry człowiek może jeść z jednego garnka nawet z samym diabłem. A jedzenie było smaczne i każdy miał szansę przytyć.

- Kto sika do zupy? - spytał Catlin.

Chen odpowiedział mu nierozumiejącym spojrzeniem.

- Jak? - zapytał, zapominając angielskiego, którym władał tak biegle.

- To idiom - wyjaśnił Catlin, uśmiechając się bezlitośnie. - Oznacza psucie wszystkiego i wszystkim, łącznie z psującym.

- Ach! Doskonale! Sikać do zupy. - Chińczyk skrzywił twarz w uśmiechu. - Bardzo obrazowe. Dziękuję. Zapamiętam to sobie.

Catlin nie wątpił, że rzeczywiście zapamięta. W czasach, gdy większość Amerykanów żyła z zasiłków, Chen uczył się rozumieć coraz lepiej otaczający go, skomplikowany świat

- Nie wiem, kto sika do zupy. Ach! Wiem tylko, że ktoś mi nasikał w miskę. Zapach jest bardzo jaskrawy.

- Mocny - poprawił go automatycznie Catlin.

- Mocny. Ach! - Chen wymruczał przeprosiny. - Minęło wiele lat, od czasu gdy rozmawiałem po angielsku z Amerykaninem. To bardzo trudne.

- Mówi pan w tym języku lepiej niż dziewięćdziesiąt procent moich rodaków - stwierdził Catlin spokojnie. - Lecz jeśli to pana męczy, możemy przejść na mandaryński, francuski, kantoński...

- Lub wietnamski? - Głos Chena brzmiał najzupełniej obojętnie, oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- Lub wietnamski - zgodził się Catlin, nawet nie próbując ukrywać swej przeszłości z jednego prostego powodu: jeśli Chen wie, że Rousseau to on, to wie też, że władza wietnamskim równie dobrze, jak językami, które wymienił. To przede wszystkim talent do języków uczynił z niego tajnego agenta. Nie po raz pierwszy był wdzięczny losowi za to, że miał matkę Francuzkę, a nie, powiedzmy, Rosjanekę. Syberia nigdy go nie pociągała. Niezależnie od okoliczności, zawsze wybrałby raczej wilgotny klimat Sajgonu.

Pił herbatę, dając gościowi szansę zebrania myśli. Tego rodzaju grzeczności Chińczycy niezmiennie oczekiwali od ludzi wychowanych w kulturze Zachodu, choć prawie nig-

dy jej nie zaznawali. Chen Yi dostrzegł ten gest i poczuł rodzącą się sympatię do człowieka, który był niegdyś wrogiem Chin i mógł nim zostać znowu, gdyby polityce Czterech Modernizacji Denga podstawili nogę wewnątrzni i zewnętrzni wrogowie.

Wyrzucił niedopałek, zapalił kolejnego papierosa i zaczął mówić swym ostrym głosem o obecnej zdradzie oraz starych chińskich brązach. Było rzeczą jasną, że znowu panuje zarówno nad własnymi emocjami, jak i językiem angielskim.

- Czy wie pan, że w Xi'anie zakopano armię z brązu, przewyższającą pod względem artystycznym słynną terakotową armię cesarza Qin Shihuangdi?

- Słyszałem plotki. - Catlin nie wyjaśnił, że choć „śmierć” Rousseau zmusiła go, aby zaprzestać zbierania brązów, to nadal zbierał informacje z wielu dawnych źródeł. - Nie wiedziałem, że prowadzicie tam prace.

- Nie prowadzimy. Zrobiliśmy próbne szyby, żeby ocenić zawartość i wielkość znaleziska, a potem je zasypaliśmy.

- Dlaczego?

- Nie powinniśmy zachłystywać się wiedzą jak głodny pies przy misce.

Catlin uśmiechnął się cynicznie.

- Trzeba także wziąć pod uwagę - rzekł - że kiedy publiczność zdzubi się jednym archeologicznym cyrkiem, zawsze można go zastąpić innym. Jeśli odpowiednio się z nimi obejść, znaleziska z Xi'anu przez długie lata będą balsamem na zranioną chińską dumę. Cały świat patrzeć będzie na ludową republikę przez pryzmat wciąż nowych zachwyty nad osiągnięciami cesarza Qin, będzie postrzegać Chiny jako centrum cywilizowanego świata. - Napił się herbaty i mówił dalej: - Nim skończycie doić Xi'an, być może Chiny zdołają nawet wprowadzić swą naukę i techni-

kę w dwudziesty wiek. A kiedy już tego dokonacie, zdołacie zapewne zapomnieć o poniżeniu, które stało się naszym udziałem w dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Zajmiecie należne wam miejsce jako pierwsi wśród równych w kręgu światowych potęg. Znow pokazecie światu dumną twarz.

Chen Yi zaciągnął się. Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Powinien pan urodzić się Chińczykiem. Bez wątpienia zostałby pan jednym z naszych wielkich prawodawców.

Catlin roześmiał się cicho, słysząc ten dwuznaczny komplement. Chińscy prawodawcy z powodzeniem mogliby uczyć pragmatycznego podejścia do problemów władzy zarówno Dżyngis-chana, jak i Machiavellego. Czekał w milczeniu na dalsze słowa swego rozmówcy zdając sobie sprawę, że Chińczyk zapłaci za nie przynajmniej częściową utratą twarzy.

- Dotarła do mnie wiadomość, że część brązów Qin ujrzała światło słoneczne. Słońca amerykańskiego. Słyszał pan o tym?

- Nie. Ale wcale by mnie to nie zaskoczyło. Jeśli choć w części przypominają terakoty, to kolekcjonerzy z radością by dla nich mordowali!

- Te brązy... - głos Chen Yi załamał się. - Nie sposób opisać ich słowami - dodał cicho. - Nie sposób. - Zaciągnął się głęboko. - Xi'an to dusza Chin. Moim zdaniem ktoś sprzedaje tę duszę Amerykanom. - Zmrużył oczy patrząc na potężnego, ciemnowłosego mężczyznę, który swobodnie rozparty w fotelu, stojącym po drugiej stronie kominka, sprawia wrażenie odpoczywającego smoka, pewnego swej potęgi. W jego bursztynowych oczach nie było jednak spokoju, lecz wyłącznie inteligencja. - Czy potrafi pan wyobrazić sobie, co się stanie z Dengiem, gdy ktoś wskaże pal-

cem na obrabowany Xi'an i powie: Widzicie, co robi kapitalizm? Rzuca na nas cień! Traktuje nas jak sługi, jak psy. Straciliśmy twarz!

Catlin powoli, ostrożnie odstawił filiżankę. Doskonale potrafił sobie wyobrazić, jak skutecznie można byłoby posłużyć się zarzutem szmuglowania brązów cesarza Qin w propagandowych walkach na śmierć i życie, tak charakterystycznych dla chińskich dysput politycznych. Pierwszą ofiarą stałyby się dyskretne, ostrożne, ale pełne determinacji zalecanki Denga do niekomunistycznej gospodarki. Sam Deng stałby się ofiarą drugą. Trzecią - nadzieja na pokojowe stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami. Bardzo wątpliwe, żeby kolejny chiński przywódca traktował Zachód inaczej, niż z otwartą wrogością.

- Powiedział pan, że „pańskim zdaniem” ktoś szmugluje brązy. To znaczy że nie jest pan tego pewien.

Papieros rozjarzył się i przygasł. Chen Yi strzepnął popiół na podłogę.

- Nie. Hieny cementarne mogą pracować nawet teraz, kiedy my tu sobie rozmawiamy. Dopiero gdy nadejdzie czas prac, odkryjemy, że ktoś nas uprzedził. Góra Li jest wielka. Nie sposób zabezpieczyć się w pełni przed tunelami kopanymi w nocy i zamaskowanymi za dnia. Ach - Chen zaciągnął się z głębokim westchnieniem - nie widziałem ukradzionych brązów. Słyszałem tylko plotki.

Przez dłuższy czas Catlin milczał. Wypił ostatni łyk herbaty, pokręcił filiżanką, aż zawirowały ciemne fusy, i odstawił ją na stół.

- Widzę kilka możliwości - rzekł ostro. - Pierwsza: brązy cesarza Qin zostały skradzione i sprzedawane są w Ameryce. Druga: w Ameryce sprzedaje się kopie. Trzecia: w Ameryce sprzedaje się plotki. Jeśli prawdziwa jest pierwsza, to z pewnością wpłatany jest w to ktoś z waszego

rządu. Ktoś stojący bardzo wysoko w biurokratycznej hierarchii w Xi'anie. Być może pan, a jeśli nie pan, to jakiś pański zaufany. A ponadto zdrajcy muszą być wyżej, aż w Pekinie. Kradzież woźnicy, rydwanu i koni w ogóle nie byłaby możliwa bez pomocy potężnych członków chińskiego rządu.

Chen Yi milczał, obserwując Catlina przez unoszący się dym.

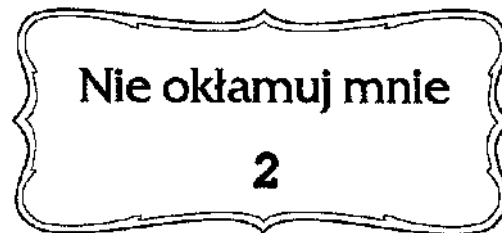
- Jeśli sprzedaje się kopie, to członkowie rządu mogą, choć nie muszą, być zamieszani w przemyt, Nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Nikt nie traci twarzy handlując kopiami. - Przerwał, uśmiechając się lekko. - Oczywiście z wyjątkiem kupującego, ale to już nie kłopot Chińskiej Republiki Ludowej.

Papieros Chińczyka rozjarzył się i szybko zgasł.

- Trzecia możliwość jest znacznie bardziej skomplikowana - stwierdził Catlin beznamiętnie. - Plotki mogą obalić rząd szybciej niż prawda, nawet najgorsza prawda. Jest takie stare powiedzenie, że nie można udowodnić twierdzenia negatywnego. Nie może pan udowodnić, że nie ukradziono i nie sprzedano brązów. Używając pana własnych słów, góra Li jest wielka.

Chen przytaknął raptownym skinieniem głowy.

- A więc ma pan szanse wykrycia prawdy jak dwa do jednego - podsumował spokojnie Amerykanin. - Jeśli w Stanach sprzedaje się prawdziwe brązy cesarza Qin, chińskie siły proreformatorskie przegrywają z maoistami, a wraz z nimi pan. Jeśli to tylko plotki, też pan przegrywa, nie może pan bowiem udowodnić, że są fałszywe. - Wzruszył ramionami. - Jeśli nie uda się panu odnaleźć brązów w Ameryce i udowodnić, że to kopie, ma pan cholernego pecha. Maoiści powieszą pana za kuper, niczym kaczkę po pekińska.



Lindsay Danner siedziała w gabinecie nie widząc ani wspaniałego, orientalnego biurka z lekowego drewna, ani leżących na nim pudełek na pióra z laki, ani kalendarza ozdobionego arcydziełami chińskiej kaligrafii. Patrzyła na swoje dłonie, lecz widziała tylko przeszłość: głosy i sceny, które nie wróca, czasy i ludzi, którzy odeszli, tak jak zgasło słońce wczorajszego poranka.

Tylko koszmar nie chciał odejść w przeszłość, gdzie było jego miejsce. Nie tylko przetrwał, lecz jeszcze się spotęgował, karmiony irracjonalnym smutkiem, w którym pograżyła się po niedawnej śmierci matki. Nie powinna cierpieć aż tak bardzo. Matka odeszła szybko, bez bólu, otoczona kochającymi ją ludźmi, których sama kochała bardziej niż wszystko - wszystko oprócz Boga.

Nie wiedziała, dlaczego prześladowuje ją ten koszmar, powracający coraz częściej w mrocznych godzinach po północy, sprawiający, że wiła się i przewracała z boku na bok. Chińczyk bez twarzy gonił ją przez świat czarny, srebrny i czerwony, czerwony jak krew; ręce miała ciepłe, lepkie i krzyczała, krzyczała...

- Nie! - powiedziała sobie ostro, ściskając w dłoni złote pióro. - Nie jestem już dzieckiem. Jeśli obudzę się krzyząc, nie przyjdzie już nikt, nikt mnie nie przytuli, nie

powie, że wszystko w porządku i że... co? Co chciałam usłyszeć od matki? Na zadanie jakiego pytania zabrakło mi odwagi? O co nie pytałam tak długo, aż otrzymałam odpowiedź?

W tej samej chwili zadrżała, czując, jak gdzieś, w głębi jej mózgu, koszmar odradza się powoli, jak powoli wypełza z mrocznej studni lat. Nie wiem, jakie pytanie chciałam jej zadać, ale przecież nie ma to już żadnego znaczenia. Za późno. Nie wiem, dlaczego zawsze myślałam, że kiedy następnym razem zobaczę matkę, zdobędę się na odwagę i zapytam. Ale mama nie żyje. Nie ma już nikogo, kto wiedziałby, jak było wówczas w Chinach. Jest tak, jakby nic się nigdy nie stało.

Lecz przecież musiało się stać i stąd ten koszmar.

- Panna Lindsay Danner?

Głos był niezwykły, choć grzeczny, brzmiał jak rozkaz. W drzwiach jej gabinetu stał mężczyzna średniego wzrostu, o niebieskich oczach, bladej cerze, nieco od niej starszy, chyba po trzydziestce. Ubrany był, zgodnie z normą, obowiązującą ludzi zawodowo związanych z Waszyngtonem, w tradycyjnie skrojony garnitur. W mieście rządowym wyłącznie przez politykę i plotkę większość profesjonalistów ignorowała modę, pozostawiając ją swym kolegom z Manhattanu lub Los Angeles.

- Czym mogę służyć? - zapytała spokojnym głosem, odpowiednim dla kustosza Działu Starochińskich Brązów Muzeum Sztuki Azji. Dyskretnie zerknęła w kalendarz. Ostatnie trzy dni spędziła w Vancouver, w Brytyjskiej Kolumbii, oceniając mewielką kolekcję brązów z początków dynastii Zhou. Pod jej nieobecność nie wpisano w jej kalendarz żadnych spotkań.

- Steve White zapewnił mnie, że będzie pani w stanie rozwiązać nasz drobny problem - powiedział mężczyzna.

Zauważyła, że użył zdrobnienia imienia pana L. Stephena White'a, dyrektora Muzeum Sztuki Azji i - bynajmniej nieprzypadkowo - człowieka, który odziedziczył po przodkach wielką fortunę i równie wielką arogancję.

- Z przyjemnością pomogę panu White'owi, w miarę moich możliwości - stwierdziła sucho. - W końcu to on jest tu szefem. Proszę, niech pan siada, panie...

Mężczyzna zamknął drzwi i podszedł do masywnego, eleganckiego biurka, przyłączającego swym ogromem.

Widząc, jak upewnia się, czy drzwi są dobrze zamknięte, Lindsay poczuła nagły przypływ ciekawości. Dzieciństwo w rozdartych politycznymi sporami Chinach i młodość, spędzona między innymi na docieraniu ciemnymi uliczkami do dzieł sztuki wątpliwej proveniencji, które miała oceniać, sprawiły, że bez wysiłku potrafiła rozpoznać oczywiste oznaki tajemniczości.

Być może przestraszyłaby się napadu, gdyby nie fakt, że wszystkie eksponaty w muzeum skrupulatnie obfotografowano i skatalogowano. Zgromadzone w muzeum dzieła nie nadawały się także do przetopienia, co często robiono ze skradzionymi okazami sztuki prekolumbijskiej z Meksyku i Ameryki Południowej, rabowanej od czasów konkwistadorów bezustannie, aż do dziś. Ku rozczarowaniu współczesnych hien cmentarnych, artyści starożytnych Chin niemal nie używali złota i srebra.

Nie oznaczało to bynajmniej, że Lindsay nie potrafi rozpoznać złota, które ktoś podsunie jej pod nos. Wyciągnięty przez jej gościa znaczek był drogi, złoty, emaliowany na niebiesko, właściwy wyłącznie agentom FBI.

- Agent specjalny Teny O'Donnel - przedstawił się mężczyzna. A potem, na wypadek, gdyby nie zauważyła, dodał: - Federalne Biuro Śledcze.

Zamknął portfel z gładkiej, drogiej skóry i wsunął do kieszeni marynarki.

- Proszę usiąść - zaproponowała. Miała nadzieję, że nie okazała zbyt wyraźnie nagłego przyływu ciekawości.
- Czy zdąży pan napić się kawy?

- Mielśmy nadzieję, że pojedzie pani z nami do gmachu Hoovera. - Agent uśmiechnął się nagle, wypróbując na niej swój irlandzki wdzięk. - Kawę dają tam średnią, ale przynajmniej za darmo.

- Czy pan White należy do tych „nas”, w imieniu których mnie pan zaprasza?

- Nie bezpośrednio.

Lindsay zmierzyła go wzrokiem. Są ludzie, którzy nienawidzą sztuki współczesnej, rocka albo elektrowni atomowych. Ona nienawidziła półśłówek, eufemizmów i niedopowiedzeń. Także kłamstw. Dzieła sztuki były rabowane przez różnych złodziei, w różnych czasach. Ona odrzucała wszelkie propozycje pochodzące z bogatego, pełnego pokus „szarego rynku” sztuki i pod tym względem była wyjątkiem w swym zawodowym środowisku.

- To znaczy? - zapytała.

Terry O'Donnel ocenił drobną postać dziewczyny o kasztanowatych włosach jednym rzutem oka. Zorientował się, że delikatne rysy twarzy i piękne, zmysłowe usta kryją niezwykłą inteligencję i sitaa wolę. Gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczyłoby mu spojrzeć w szacujące go oczy. Postanowił zmienić taktykę.

- Mam wrażenie, że gdybym poczęstował panią naszą zwykłą gadką o tym, jak to, j/ząd pani potrzebuje”, nic bym nie wskórał.

- Może tak, a może nie. Prawda byłaby znacznie lepsza.

- W takim razie usłyszysz pani prawdę, samą prawdę

i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg. Rząd pani potrzebuje. I - dodał szybko, widząc formułujące się na jej ustach pytanie - wolałbym nie dyskutować nad tym tutaj. Jeśli ma to paru pomóc w podjęciu decyzji, pani szef jest teraz z moim szefem. Proszę do niego zadzwonić.

- A dlaczego on po prostu nie zadzwoni do mnie?

O'Donnel wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie jest zbyt zajęty.

- Jest zbyt zajęty, żeby wykręcić numer? Zamiast podnieść słuchawkę, wysłała po mnie agenta FBI - mruknęła Lindsay. - Cały L. Stephen. - Wyciągnęła torebkę z szuflady, zamknęła biurko na klucz i wstała. - Kto płaci za taksówkę?

- Mam własną. Taką bez licznika. - Zdecydował, że pani kustosz stojąca wygląda znacznie lepiej od pani kustosz siedzącej. Zmysłowość kryła się nie tylko w jej ustach, ale także w linii pełnych piersi, smukłej talii, bioder. - Samochód to jeden z niewielu przywilejów urzędników 'służb cywilnych.

- Klimatyzowany? - zapytała pełnym nadziei głosem.

Gość spojrział na nią z politowaniem.

- Nigdy nie pracowała pani dla rządu, prawda?

- Rząd nie interesuje się przesadnie starochińskimi brązami - stwierdziła Lindsay, zamykając za nimi drzwi gabinetu.

- Teraz już się interesuje - mruknął agent zbyt cicho, by mogła go usłyszeć.

Poszli razem długim, wąskim korytarzem. Pod stopami mieli miękką, jedwabną chińską dywan, który zdobił wzór przedstawiający smoka, zrodzonego w czasach dynastii Shang przed przeszło trzema tysiącami lat i używanego nieprzerwanie do dziś, nawet przez artystów Chińskiej Republiki Ludowej. Czasy, dynastie i artystyczne style zmie-

niły jego kształt, ale nie miały wpływu na samą jego obecność. W jakiś tajemniczy, niemal święty sposób smok jest niezmienną duszą Chin.

- Sherry! - Lindsay stanęła w otwartych drzwiach sekretariatu. - Wychodzę. Możesz odbierać moje telefony?

- Jasne. - Sherry spojrzała na stojącego obok Lindsay mężczyznę zastanawiając się, czy to sprzedawca, czy kupiec, czy też może rycerz w błyszczącej zbroi, przybyły, by wybawić ją od nudy i ubóstwa, nieodłącznie związanych z funkcją muzealnej sekretarki. Mężczyzna odwrócił wzrok, zupełnie nie interesując się nią jako kobietą, więc Sherry z westchnieniem znów spojrzała na Lindsay.

- Długo cię nie będzie?

O'Donnel poruszył się za nią tak niecierpliwie, że Lindsay zrozumiała, iż nie będzie tolerował towarzyskich pogawędek.

- Zadzwoń - obiecała.

Gdy tylko otworzyły się mahoniowe drzwi muzeum, powietrze ulicy otuliło Lindsay niczym wilgotne futro. Ciemnoniebieski jedwab sukienki natychmiast przylgnał do jej ciała. Mimo to sam materiał wydawał się chłodzić nagle rozgrzaną skórę. Sztukę tkania jedwabiu wynaleziono i doprowadzono do perfekcji na południu Chin, gdzie klimat i wilgotność powietrza są gorsze nawet od niesławnego waszyngtońskiego lata.

Jak zwykle ten wilgotny, straszny upał przywołał wspomnienia: dziecko budzące się w nieprzeniknionych ciemnościach Hongkongu i krzyczące, krzyczące... Koszmar był stary, tak stary jak wspomnienie matki mówiącej: „Nic się nie stało, Lindsay. Śpij. Zapomnij o wszystkim. Zapomnij. Zapomnij”.

Z wysiłkiem oderwała się od wspomnień z przeszłości, od wszystkich pytań, na które nie będzie już odpowiedzi,

od wszystkich żalów za tym, co odeszło. I od wszystkich radości. Mimo koszmaru, mimo tego, o czym udało się jej w końcu zapomnieć, kochała wiele z przeszłości. Jej przeszłością były Chiny. Kiedy miała kilkanaście lat, wysłano ją do szkoły w Stanach: bardzo wtedy za nimi tęskniła. Choć w końcu pokochała ciotkę, letnie wakacje, spędzane z matką w Hongkongu kojarzyły się jej ze wspomnieniem radości, śmiechu, zgiełku i tak charakterystycznej dla orientu krzątaniny tłumów ludzi.

- Tędy proszę - O'Donnel dotknął jej ramienia. Lindsay obudziła się z zamyślenia.

Ignorując wszystkie przepisy dotyczące parkowania, agent zostawił samochód przed muzeum. Był to przeciętny amerykański samochód, lecz mimo to za wycieraczkę nie włożono mandatu. Stołeczni gliniarze szybko opanowywali sztukę bezbłędnego rozpoznawania rządowych numerów rejestracyjnych. Niektórych kierowców nigdy nie karali mandatami, niektórych samochodów nigdy nie odholowywali, choćby parkowały pod samym pomnikiem Waszyngtona.

Gdy tylko ruszyli w krótką trasę do gmachu Hoovera, Lindsay zaczęła zadawać pytania. Miała je na końcu języka, od chwili gdy zobaczyła złoty znaczek O'Donnella.

- Czy komuś zginęły jakieś chińskie brzozy?

Teraz, mając ją w samochodzie, O'Donnel nie musiał już odwoływać się do swego irlandzkiego czy jakiegokolwiek innego wdzięku.

- Nie wolno mi powiedzieć niczego poza tym, co już powiedziałem, panno Danner.

- Panie O'Donnel!

Agent odwrócił się i obrzucił pasażerkę szybkim spojrzeniem, zaskoczony stanowczością brzmiącą w jej cichym głosie.

- Słucham?
 - Jeśli u celu mam nie zastać pana White'a, lepiej niech pan od razu odwiezie mnie do muzeum. Nie będę pracowała z ludźmi, którzy kłamią, niezależnie od tego, jak śliczne mają znaczki.

Uśmiechnął się mimowolnie.

- On tam jest, panno Danner - zapewnił.

Pozostałe kilka minut drogi spędzili w milczeniu. Milczeli także, gdy O'Donnel prowadził ją przez klimatyzowane, puste korytarze gmachu Hoovera. Wręczył jej oprawioną w plastik kartę gościa, którą przypięła do sukienki. Swoją identyfikację wpiął w kieszonkę marynarki i nie powiedział nic ciekawego, aż do chwili kiedy zamknął drzwi gabinetu.

- Oto i ona, Steve. Nie uprzedziłeś, jaka z niej tygrysi-
ca.

- Ostrzyła na tobie swe śliczne pazurki, prawda? - przemówił L. Stephen White. - Dobrze ci to zrobi, chłopcze. - Nie podnosząc wzroku znad fotografii, które przeglądał, dodał: - Niegrzeczna dziewczynka! I to z takiej dobrej rodziny. Misjonarze, no, no.

Pięć miesięcy wspólnej pracy przyzwyczało Lindsay do zachowania szefa, ale nie zmusiło jej do polubienia go. Wątpiła, czy kiedykolwiek pogodzi się z tym, że szacowny pan L. Stephen White traktuje ją jak niedorozwiniętą trzecioklasistkę. Zresztą nie tylko ją. Identycznie zachowywał się w stosunku do wszystkich kobiet i wszystkich mężczyzn. Tak wychowali go rodzice, dysponujący większym zapasem gotówki niż Fort Knox, a znacznie mniejszym zasobem współczucia.

- Pan chce czegoś ode mnie?

White podniósł wzrok znad fotografii, zmierzył ją dokładnie od góry do dołu i mruknął:

- Czy czegoś chcesz? Ach, mała, jak możesz nawet pytać!
 - Mam nadzieję, że dotyczy to pracy! - Lindsay niemal krzyczała, zniecierpliwiona bezustannymi seksualnymi aluzjami szefa.

O'Donnel uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Trafiony, zatopiony, tygryś. Jeśli chcesz wnieść przeciw niemu skargę o napaść seksualną, z radością pomogę.

- Spokój, chłopcze. - White wstał, przeciągnął się. - Lindsay i ja doskonale się rozumiemy. Prawda, mała?

- Oczywiście - zgodziła się przekornie. - Tylko dlaczego praca opóźnia mi się o trzy dni z powodu nieprzewidzianego wyjazdu do Kanady?

- Strasznie jesteś nerwowa. Jadłaś coś?

- Tak.

- Więc musisz mieć okres. - White ziewnął.

Lindsay obróciła się na pięcie i ruszyła ku prowadzącym na korytarz drzwiom.

- Zaaresztują cię - zakpił White.

Zignorowała go. Już prawie wyszła.

- Do diabła, Lindsay! Przecież wiesz, że żartuję. Siadaj i napij się kawy.

Spojrzała na niego przez ramię. Jej szef był wysoki, ciemnowłosy i opalony, bardzo bogaty, dwukrotnie rozwiedziony. Kobiety, którym brakowało inteligencji lub ochoty, by poznać go lepiej, uważały go za przystojnego. Jego ojciec i dziadek z pasją kolekcjonowali dzieła sztuki Wschodu. On sam z pasją „kolekcjonował” weekendowe podboje. Bywało już, że Lindsay poważnie rozważała, czy aby nie zostać jedną z jego dwudniowych zdobyczy tylko po to, by dać jej wreszcie święty spokój. Nie miała żadnych wątpliwości, że jeśli raz pójdzie z nim do łóżka, L. Stephen White przestanie się nią interesować. Po prostu taki miał

stosunek do kobiet. Jak wielu kolekcjonerów, pociągało go to, czego jeszcze nie dostał, a to, co miał pakować, opisywał i katalogował pod hasłem „wczoraj”.

- Śmietankę czy cukier? - spytał cicho O'Donnel.

Zmierzyła go ciemnogrnatowymi oczami i zdała sobie sprawę, że agent tylko próbuje rozładować sytuację.

- Poproszę jedno i drugie.

- Jedną chwileczkę.

Znikł w sąsiednim pokoju.

- A jak tam Kanada? Znalazaś coś interesującego?

Lindsay miała wrażenie, że w tym pytaniu kryje się coś więcej niż zwykła ciekawość.

- Piękna. Nie.

- W tej kolejności?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- A niech to diabli! - White westchnął. - Ojciec jeździ po mnie jak po łysej kobyle z powodu luk w kolekcjach Walczących Królestw i wczesnej dynastii Han.

- Więc dlaczego posłał mnie pan, żebym oglądała wczesne Zhou?

- Chybiłem, co?

- O kilka stuleci - potwierdziła sucho. Przyzwyczaiała się już do tego, że dyrektor Muzeum Sztuki Azji demonstracyjnie interesuje się starochińskimi brązami. Dlatego zatrudniono właśnie ją - miała ułagodzić jego dziadka, dla którego chińskie brązy były esencją tego, co najlepsze w sztuce. Zazwyczaj jednak White'owi nie zdarzały się tak drastyczne pomyłki.

- Niczego nie znalazłaś?

Tym razem miała pewność, że tego pytania nie zadał jej powodowany wyłącznie ciekawością.

- Nie. A czego się pan spodziewał?

Z sąsiedniego pokoju wyszedł O'Donnel, niosąc dwie

kawy. Lindsay podziękowała mu, ze zdziwieniem przyglądając się kubkom: masywnym, kremowym, ozdobionym grubym, ciemnoniebieskim i złotym znakiem FBI. Podniosła wzrok akurat wtedy, gdy do pokoju wszedł kolejny mężczyzna, nie potrzebujący ani znaczka, ani legitymacji. Od krótko przystrzyżonych, srebrzystosiwych włosów po buty o szerokich noskach cały aż emanował duchem FBI.

- Sprawnie ci to poszło, Brad. Masz go? - spytał White, podnosząc wzrok znad kawy. Zwrócił się do nowo przybyłego po imieniu, lecz w jego głosie słychać było niewątpliwy szacunek dla tego starszego mężczyzny, który przecząco pokręcił głową.

- Nadal jest zajęty. Dam mu jeszcze kilka minut, a potem wyślę samochód.

- Bradford Stone, Lindsay Danner-O'Donnel dokonał prezentacji z godną podziwu powściągliwością.

Lindsay zrozumiała nagle, dlaczego White, O'Donnel i jego zwierzchnik są ze sobą w tak doskonałych stosunkach.

- Panie Stone - wstała, wyciągając dłoń - Jason White wielokrotnie wspominał mi o panu.

- Pewnie ciągle opowiada o wojnie w Korei? - Starszy mężczyzna uśmiechnął się, energicznie potrząsając jej ręką

- Niejedna kolekcja sztuki Wschodu właśnie stamtąd bierze swój początek - stwierdziła. - Łupy wojenne.

Stone uśmiechnął się zagadkowo i zmienił temat.

- Czy Terry i Steve powiedzieli, dlaczego tu panią zaprosiliśmy?

• - Nie.

- Proszę spocząć, panno Danner. Nie muszę używać tytułów naukowych, prawda?

- Ależ oczywiście!

- Doskonałe. Tak więc, panno Danner, jak rozumiem, jest pani ekspertem w dziedzinie starochińskich brązów?

- No... tak - przyznała. Wypiła kawę. Jak wszystko w siedzibie FBI była mocna, męska i całkowicie pozbawiona finezji.

- Rozumiem także, że ma pani niezwykły talent odróżniania dzieł oryginalnych od fałszerstw.

Lindsay zawahała się. Pomyślała, że może nadszedł już czas na odrobinę skromności.

- Każdy ekspert... - zaczęła ostrożnie.

- Nie udawaj mi tu niewiniątka - White brutalnie przebrał jej tę uprzejmą przemowę. - Doskonale wiesz, że zatrudniam cię właśnie dlatego. Dzięki tobie stary Jason nie zrobił z siebie idioty z tym „niedopieczonym” brązowym dzbankiem.

- W rzeczywistości - Lindsay uśmiechnęła się lekko - ten dzbanek to *gui* i był wspaniale „wypieczony”. Jedna z najlepszych kopii, jakie widziałam.

- Ale jednak to kopia. - Stone przyglądał się jej uważnie.

- Tak.

- He czasu zajęło pani stwierdzenie, że jest fałszywy?

- Och, wiedziałam o tym, kiedy tylko na niego spojrzełam. Udowodnienie fałszerstwa zajęło mi jednak kilka dni. Jason po prostu nie przyjmował odpowiedzi „nie”. Zakochał się w tym *gui*.

- Ale pani wiedziała - nalegał Stone. - Od samego początku.

Lindsay zastanawiała się, dlaczego w jego głosie tak wyraźnie pobrzmiwała satysfakcja, ale nie chciała zignorować lub ominąć pytania, które jej zadał.

- Tak.

- Skąd?

Spojrzała na trzech mężczyzn, którzy przyglądali się jej zachłannie, zastanawiając się, jak ma im wyjaśnić coś, czego wyjaśnić nie sposób. Obok gwałtu i strachu jednym z jej najżywszych wspomnień z dzieciństwa było to, jak stoi przed wystawą sklepu w Hongkongu wiedząc, że coś jest nie tak z jednym z wystawionych na niej brązowych naczyń *di*. Stała tam i patrzyła, aż matka wzięła ją za rękę i odprowadziła do mieszkania za zniszczonym kościołem chrześcijańskim. Miała wtedy jedenaście lat, a od najwcześniejszego dzieciństwa otaczały ją fragmenty rytualnych sprzętów, używanych przy pochówkach. Ojciec i wuj, obaj kolekcjonerzy, poszukiwali naczyń grobowych po całym Xi'anie i choć miały one niewątpliwie pogański rodowód, obu Dannerów interesowała tylko ich wartość artystyczna. Samą Lindsay też.

- Dorastałam, otoczona dziełami sztuki Chin - powiedziała w końcu.

- Jak sami Chińczycy - stwierdził Stone. - Czy oni potrafią rozpoznać kopię na pierwszy rzut oka?

Pojawiło się kolejne wspomnienie. Przypomniała sobie zdumienie właściciela, kiedy weszła do jego sklepu i zapytała, co jest nie tak z tym *di*. Dopiero po latach zdała sobie sprawę, że było to niezdarne fałszerstwo, pierwsze z wielu, które miała jeszcze nieraz zobaczyć. Zdarzały się i inne, doskonałe, wyrafinowane. I je nauczyła się rozpoznawać. Były tym, czym były: kłamstwem.

- Niektórzy ludzie rodzą się z talentem bezbłędnego rozróżniania jednej nuty wśród wielu - powiedziała w końcu. - Inni umieją malować wspaniałe płótna lub tworzyć rozdzierające duszę poematy. - Wzruszyła ramionami. - Mój talent jest znacznie bardziej prozaiczny. Do pewnego stopnia mają go wszyscy eksperci. Przeprowadzają badania

szukając dowodów, ale opinie wydają na podstawie intuicji i doświadczenia.

Stone przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, jakby oceniał ją tylko instynktownie,

- Cokolwiek zostanie teraz powiedziane, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Zgoda?

Lindsay zawahała się.

- Jeśli tylko nie będę musiała kłamać. Szczerze mówiąc, beznadziejny ze mnie kłamacz.

- Gdyby ktoś o coś pytał, proszę skierować go do mnie.

- Zgoda.

Stone oderwał od niej spojrzenie swych przenikliwych oczu.

- Dziękuję ci za pomoc, Steve. Gdybym potrzebował któregoś z was, powiem Terry'emu.

O'Donnel wziął: White'a pod rękę i poprowadził w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

- Chodź, Steve - powiedział. - Jeden z naszych ludzi właśnie rozpracował gang handlarzy pornografią. Ma dowody, zdolne zwyczajnie zwalić cię z nóg!

Zamknęli za sobą drzwi.

Stone natychmiast przystąpił do rzeczy.

- FBI znalazło się w takiej sytuacji, że pilnie potrzebuje pewnego i bardzo dyskretnego eksperta od starochińskich brązów. Zazwyczaj zwracamy się do naszych ludzi. Potrafią wykryć wszystkie fałszerstwa, zarówno sreber Paula Revere, jak i płócien mistrzów renesansu. Jednak w tym wypadku... - pomógł sobie niecierpliwym gestem - ... nasze laboratoria nie mają dostępu do brązów. Jeśli jakieś w ogóle istnieją.

Lindsay dyskretnie sięgnęła po kawę. Wiedziała, że Stone'a denerwuje konieczność wyjawienia sekretów firmy człowiekowi z zewnątrz. Okrężna droga, którą wybrał, by

zaznajomić ją ze sprawą, świadczyła, że chodzi o coś wyjątkowo ważnego.

- A jednak - mówił dalej Stone - niezależnie od możliwości skorzystania z laboratoriów, sprawą podstawową jest, byśmy wiedzieli, czy brązy są, czy nie są oryginalne.

Lindsay chciała krzyknąć: „jakie brązy?!”, lecz zamiast krzyczeć, znów łyknęła śmiercionośnej Jawy. Choć z natury niezwykle spontaniczna, jako kupiec, sprzedawca i rzeczoznawca nauczyła się, ile znaczy pokerowa twarz i milczenie.

- Jakież uwagi? - spytał Stone.

- Nie. Przepraszam, ale czy spodziewa się pan po mnie uwag?

Parsknął, jakby tłumiał śmiech. A może tylko chrząknął?

- Trzyma pani karty przy orderach?

- I pan też, prawda? Nikt nie pokonałby nas w brydża.

Stone instynktownie odpowiedział jej uśmiechem. Przez chwilę bawił się piórem, a potem je odłożył.

- Mamy tu niedaleko kilka brązów. Prosiłbym panią o ich ocenę.

- Ależ z przyjemnością. - Lindsay odstawiła kawę i wstała, z trudem ukrywając podniecenie.

Zadzwonił telefon. Stone podniósł słuchawkę. Zmarszczył brwi.

- Co zrobił? Za kogo on się, cholera, uważa?! - Chwila ciszy. - Przyjechali? Jezu Chryste!

Cisnął słuchawkę na widełki.

- Proszę poczekać, panno Danner. - W jego głosie wyczuwało się napięcie. - Ktoś przyniesie pani jeszcze kawy. Mamy problem z jednym z... hmmm... dzieł.

Wypadł za drzwi i zniknął w korytarzu, nim zdążyła się odezwać. Stone'a obchodził teraz wyłącznie problem, z którym czekano na niego w innym pokoju. Od początku

sprzeciwiał się wciągnięciu w sprawę tej Danner i do tej pory nie zdarzyło się nic, co zmieniłoby jego zdanie.

Nie próbując nawet ukryć zdenerwowania, szarpnięciem otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą z rozmachem.

- Dobra, Terry, co tu się właściwie dzieje?

Brzmiało to jak rozkaz, a nie pytanie. Nim O'Donnel zdążył coś wyjaśnić, otworzyły się wewnętrzne drzwi. Wszedł przez nie starszy Chińczyk w towarzystwie wysokiego, potężnie zbudowanego, białego mężczyzny, poruszającego się jak komandos.

- Panie Stone - wtrącił szybko O'Donnel - to pan Chen Yi i jego, no...

- Wędkujemy razem - odpowiedział mu Catlin. Spojrzał na starszego z agentów FBI. Pracował niegdyś z takimi ludźmi, podziwiał ich zalety i znał wady. Po części wojownik, po części biurokrata, po części primadonna. Lubi grać w drużynie. Sprytny, twardy i bardziej niż trochę próżny. Doskonali żołnierz, kiepski partyzant.

W zgodzie z obyczajami Zachodu Chen Yi wyciągnął dłoń, krótko potrząsnął rękę Stone'a i powiedział:

- Jestem zaszczycony.

Odwzajemniając uścisk, agent wpatrywał się swymi bładoniebieskimi oczami w twarz gościa.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Departament Stanu poinformował mnie, że przyjedzie kilku Chińczyków. Ani słowem nie wspominał o Amerykaninie.

- Drobne nieporozumienie - wyjaśnił spokojnie Chen Yi. - Moi koledzy pozostali w Los Angeles z powodu choroby. Obawiam się, że zaszkodziło im coś, co było w wodzie.

Catlin pomyślał, że to „coś” dodał do wody raczej sam Chen Yi, a nie wodociągi wielkiego Los Angeles. On sani

postąpiłby właśnie tak, gdyby miał powód nie ufać swym towarzyszom lub gdyby oni mieli powód nie ufać jemu.

- Przyjechałem sam, żeby przetrzeć drogę - zdyszany, lecz gwałtowny głos Chena sprawił, że jego słowa brzmiały tak, jakby mówił o sprawach niesłychanie pilnych. - Pan Catlin niezwykle uprzejmie zgodził się wyjaśnić mi szczegóły waszych amerykańskich obyczajów i systemu rządów.

- Pan Catlin - wtrącił O'Donnel głosem bez wyrazu - jest czołowym ekspertem Pacific Rim Foundation w sprawach dotyczących Azji.

Catlin wyciągnął dłoń, na której miał cienką, białą bliznę od noża. Stone ścisnął ją mocno i potrząsnął z wprawą człowieka, który musi być dobrym politykiem, by utrzymać się u władzy.

- Nie spodziewaliśmy się pana.

- Ja też jestem zaskoczony - wyjaśnił Catlin.

- Pan Yi...

- Chen - przerwał mu spokojnie Catlin. - Pan Chen. Chińczycy najpierw podają nazwisko, a potem imię.

Stone szybko skinął głową.

- Proszę mi wybaczyć, panie Chen. - Spojrzał na O'Donnella. - Mógłbyś zabrać pana Catlina na kawę? Muszę wyjaśnić kilka spraw z naszym gościem.

Chen Yi zaprotestował.

- To ja proszę o wybaczenie, ale obecność pana Catlina jest konieczna. To wyjątkowo dyskretny człowiek.

Wypowiedział te słowa bardzo grzecznie, lecz nikt z zebranych nie miał wątpliwości, że ma zamiar postawić na swoim. Będzie rozmawiał w obecności Catlina albo nie będzie rozmawiał w ogóle.

- Gdzie są ci cholerni dyplomaci, kiedy ich potrzebujemy? - mruknął pod nosem Stone i westchnął głęboko. -

Panie Chen, sam dyrektor poinformował mnie, mocno to podkreślając, że mamy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby panu pomóc.

Chen ukłonił się lekko, z typowo chińską mieszanką skromności i arogancji, przyjmując to, co powiedział mu agent, wraz z wszystkimi implikacjami jego słów.

- Nie chciałyby pana urazić - Stone mówił ostrożnie, pamiętając, jak jasne i brutalne dostał rozkazy: „Rób, co w twojej mocy, ale musisz mieć całkowitą cholerną pewność, że Chen Yi wróci do domu szczęśliwy” - ale pańska obecność sprawia mi pewne... hrnmm... kłopoty.

- Dlatego jest tu pan Catlin - odparł spokojnie Chen.
- On jest tym, który usuwa przeszkody z mej drogi.

Stone nie odpowiedział nic, ale wyraźnie się zaczerwienił.

- Gdybym mógł opuścić panów na chwilę... - W jego głosie brzmiało napięcie. Odwrócił się.

Catlin podjął decyzję. Pora podłożyć dynamit pod parę przeszkód na drodze.

- Ależ oczywiście, panie Stone. Tylko kiedy już porozmawia pan ze swoim szefem, a on porozmawia ze swoim szefem i tak dalej aż do Gabinetu Ovalnego, otrzymacie panowie następujący rozkaz: „Chen Yi dostał klucze do miasta”. Proszę mi wierzyć. Gdyby nawet dokonał gwałtu na trawniku przed Białym Domem, moglibyście co najwyżej pogratulować mu, jaki to wspaniały z niego mężczyzna.

Stone skrzywił się. O'Donnel stłumił śmiech. Nikt nie zaprotestował.

- Polityka - powiedział Stone z obrzydzeniem.

- Dokładnie. - Catlin uśmiechnął się krzywo. - Niech pan o tym myśli jak o wystąpieniu przed komisją budżetową. Chen Yi jest tą komisją.

Agent przyjrzał się delikatnemu, a tak politycznie potężnemu Chińczykowi. Przeniósł wzrok na jego towarzysza.

- Czy mogę mówić szczerze?

Catlin spojrzał mu w oczy.

- Chen zna nasze obyczaje wystarczająco dobrze, by nie obrazić się za coś, co nie byłoby obraźliwe dla równego mu rangą Amerykanina. Więc kiedy jesteśmy sami i sami na siebie powarkujemy, może pan być tak szczerzy, jak się tylko panu podoba.

Jedno szybkie spojrzenie wystarczyło Stone'owi, by stwierdzić, że Bardzo Ważny Chińczyk sprawia wrażenie raczej rozbawionego niż urażonego.

- Czy pan to akceptuje, panie Chen? - Agent był bardzo ostrożny; cecha człowieka, który przetrwał zmiany administracji politycznej i o wiele brutalniejsze, bratobójcze walki, bezustannie szarpiące każdą wielką instytucją, nie tylko FBI.

- Oczywiście, panie Stone. - Chińczyk zapalił kolejnego papierosa. - Pan Catlin wyjaśnił mi już bardzo uprzejmie, że może i jest sukinsynem, ale moim sukinsynem. - Zaciągnął się, obrzucił rozmówcę chłodnym spojrzeniem i spytał: - Wybrał pan już rzeczoznawcę z listy, którą panu dałem?

- Trzech przebywa za granicą. Jeden dopiero wrócił.

- A co z pięcioma, którzy nie wyjeżdżali? Rozmawiał pan z nimi?

Stone wzruszył ramionami.

- Skoro mówimy szczerze, nie zaufałyby żadnemu z nich. Nie sprzedałbym im nawet dowcipu. Dotyczy to także kobiety.

- Kupują, sprzedają, szmuglują czy kradną? - zainteresował się Catlin.

- Gdzie cię ten Chen znalazł? - zdenerwował się Stone.

- Tam, gdzie i ty będziesz szukał. W komputerze.

Sprawdź pod Catlin, Jacob McArthur. Pisze się normalnie. No, leć i sprawdzaj. Nie będziemy tu za tobą tęsknić.

O'Donnel spojrział na szefa, który głową wskażał mu drzwi.

- Będziemy przy końcu korytarza - powiedział i dodał tak cicho, by usłyszał go tylko podwładny: - Napuść ją na brązy.

- Miło mi było panów poznać. Do widzenia panom - O'Donnel pożegnał ich grzecznie, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Stone zwrócił się do Chińczyka.

- Czy chciałby pan obserwować naszego szóstego rzeczoznawcę oceniającego brązy, które zdołaliśmy zgromadzić?

Chen Yi skinął głową.

- I ja bardzo chciałbym je zobaczyć.

Z drapieżnym uśmiechem agent wskazał ręką drzwi.

- Miał pan kiedyś do czynienia z jednostronnym lustrem, panie Chen?

- Tak.

- Pokój jest dźwiękoszczelny. Może pan obserwować brązy bez najmniejszych kłopotów.

- A rzeczoznawca? Kim on jest?

- To kobieta. Nazywa się Lindsay Danner.

Chen gwałtownie zaciągnął się papierosem. Niedopałek wrzucił do wypełnionej piaskiem popielniczki.

- Ach!

Tylko Catlin dostrzegł, jak drgnęła mu ręka, kiedy usłyszał nazwisko Lindsay.

Nie okłamuj mnie

3

Catlin obrzucił pokój jednym, wszystkowiedzącym spojrzeniem. Wnętrze było niewielkie, dźwiękoszczelne, doskonale wentylowane, słabo oświetlone. Nieporządnie ustawione krzesła stały zwrócone w stronę wielkiej tafli szkła, zajmującej całą ścianę. Szkło, nieznacznie rozpraszające światło, umożliwiała obserwowanie sąsiedniej sali, prawie pustej, z wyjątkiem długiego konferencyjnego stołu, na którym stało siedemnaście brązów. Ustawiono je tak, by oglądający stał zwrócony twarzą ku ukrytemu pokojowi. W sali tej światło było tak jasne, że aż raziło w oczy.

Biorąc to wszystko pod uwagę, pułapka wydawała się niniej więcej tak niezauważalna, jak przekroczenie bariery dźwięku w samolocie. Tylko ktoś beznadziejnie naiwny sądziłby, że nie jest obserwowany zza lustra.

- Proszę usiąść - Stone gestem wskazał krzesła. - Można rozmawiać bez obaw. Nawet gdyby wybuchła tu bomba, tam nikt by jej nie usłyszał.

Chen Yi natychmiast podszedł do szyby.

- Te brązy? - spytał. - Skąd je wzięliście?

- Z muzealnych magazynów od Waszyngtonu po Manhattan. Powiedział pan, że nie wolno nam użyć najsztywniejszych dzieł.

- Doskonale. - Otworzył zapalniczkę. Płomień strzelił w górę. Chińczyk głęboko zaciągnął się papierosem.

- Nie robiłbym tego w czasie czyjejś obecności po drugiej stronie.

Catlin przypomniał sobie, jak kiedyś, dawno temu, błysk zapalniczki z „lustra” w burdelu ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

- Płomień zapalony blisko szkła jest widoczny po drugiej stronie.

Stone przyjrzał mu się z namysłem. Chen z trzaskiem zamknął zapalniczkę i cofnął się o krok.

- Najwyraźniej sporo pan wie o jednostronnych lustrach - zauważył agent. - Bywał pan stałym gościem komisariatów? Często stawał pan po ich drugiej stronie?

- Staram się do tego nie dopuszczać. - Catlin podszedł do szklanej tafli i po raz pierwszy od lat przyjrzał się brązom.

- A jeśli się nie da? - naciskał Stone.

- Pan tu prowadzi śledztwo. Proszę sprawdzić akta.

- Głos Catlina był cichy i spokojny.

Woświetlonej sali otworzyły się drzwi. O'Donnel wprowadził eksperta. Ukryte mikrofony wyłapywały każdy dźwięk. Trzech obserwatorów miało dziwne wrażenie niematerialności, jakby byli duchami unoszącymi się ponad brązami, widzącymi, lecz niewidzialnymi, słyszącymi, lecz niesłyszalnymi. Stone przyzwyczajony był do tego uczucia, Catlin także. Chen najwyraźniej nie i udowodnił to, wzdychając gwałtownie, kiedy O'Donnel odezwał się, jakby mówił wprost do niego.

- Pan Stone rozmawia przez telefon - powiedział. - Prosił, żeby pani natychmiast rozpoczęła ocenę.

- Czego się po mnie spodziewa? - Lindsay podeszła do dzieła.

Bursztynowe oczy Catlina zwięziły się, kiedy dostrzegł spokojną, elegancką i pewną siebie kobietę. W blasku jaszkrawych, fluorescencyjnych lamp jej nie sięgające ramion włosy lśniły jak świeżo wypuszczona z mennicy, miedziana moneta. Miały wspaniały, niezwykle kolor. Podobnie głos, był bogaty i piękny jak jedwab.

- Spodziewa?

Lindsay oderwała wzrok od brązów i przez ramię spojrzała na agenta. Ten ruch uwydatnił jej piersi, okryte ciemnogrnatowym jedwabiem w kolorze jej oczu.

- Mam określić wiek? Cenę? Czego się po mnie spodziewa? - Mówiła wyraźnym, lekko schrypniętym, intrygującym głosem.

Catlin zerknął na Chena.

- To ona? - szepnął w dialekcie mandaryńskim.

- Tak. - Chińczyk również użył mandaryńskiego.

- Chce wiedzieć, czy to oryginały, czy kopie - odezwał się zza lustra O'Donnel. - Nie kupujemy ich, więc cena nie ma znaczenia.

Lindsay podeszła do stołu i pochyliła się nad pierwszym dziełem. Jej włosy zafalowały miękko, sukienka także. Z przodu, tam, gdzie odstawała lekko od ciała, pojawił się kawałek nagiej jasnej skóry. Ukryci za lustrem mężczyźni ujrzeli piersi, ledwie okryte ciemnoniebieskim jedwabiem.

- Córka misjonarzy - mruknął Catlin, nadal używając mandaryńskiego. - Na dusze mych przodków, gdyby córka mojego proboszcza wyglądała jak ona, chodziłbym do kościoła codziennie... i dwa razy w niedzielę!

Chen uśmiechnął się.

- Jej matka była ładna - stwierdził także w mandaryńskim.

- Czy córka jest pękniętym dzbanem? - wymowa Catlina była równie gwałtowna, co wymowa Chena.

Chińczyk potrząsnął głową. Jego cichy, melodyjny głos wypełnił pokój.

- Kto znalazł jej matkę, nie patrzy już na inne kobiety. Miała włosy jak rzeka złota. W jej głosie brzmiały srebrne dzwoneczki. Być blisko niej, znaczyło poznać słodycz lotosu, kwitnącego pod księżycem lata.

Mrużąc oczy Catlin przyglądała się mężczyźnie, stojącemu przy jednostronnym lustrze i zapatrzonemu w odległą przeszłość. Życie w Azji nauczyło go, że Chińczycy nie traktują kobiet szczególnie łagodnie, mimo ciepła ich wspaniałej poezji miłosnej. A jednak w głosie Chena brzmiało nie tylko wspomnienie pożądania, lecz coś trwalszego i znacznie głębszego. Gdyby jego słowa zapisać znakami, byłoby w nich coś dwuznacznego, odnoszącego się zarówno do ducha, jak i do ciała. Lecz przecież cechą pisma chińskiego jest to, że każdy znak ma więcej niż jedno znaczenie. Mające wiele sensów na wielu poziomach, wieloznaczne ideogramy były radością poetów i przekleństwem dla naukowców.

Dobiegający zza lustra głos Lindsay przywołał Catlina do terazniejszości i do obserwowania stojącej po drugiej stronie taflki kobiety.

- Numer jeden to dość przeciętny *ting*. Czy też *ding*, jeśli posłużymy się obowiązującymi dziś regułami fonetycznej pisowni, przyjętymi w Chińskiej Republice Ludowej.

- Ojej! Proszę to przetłumaczyć na angielski - poprosił O'Donnel.

- Zapisuje pan? - uśmiechnęła się Lindsay.

- Nie. Jest pani uwieczniana na taśmie. Pan Stone nic o tym nie mówił?

Potrząsnęła głową; światło zabłysło w jej włosach jak ruchoma nić roztopionego złota.

- Pierwszy z brązów - wyjaśniła - to naczynie rytualne, trójnogi kociołek używany do podawania mięsa i potraw zbożowych. Późna dynastia Shang.

- Oryginał?

- Tak. Ale nie jest to dzieło sztuki, lecz po prostu zwykłe naczynie wykonane dla niezbyt ważnego człowieka, który zmarł trzy tysiące lat temu. Wspaniała patyna, jeśli to pana interesuje.

O'Donnel wzruszył ramionami.

- Mnie nie, ale może mojego szefa. Nie wiem.

- Większość kolekcjonerów bardziej interesuje się patyną samego dzieła niż jego arcyzmem. - Pochylając się, Lindsay skrzywiła usta w lekkim uśmiechu, wspominając znanych sobie zbieraczy. Trafiali się wśród nich przeróżni ludzie, ich upodobań nie sposób wszakże przewidzieć.

Lindsay obróciła teraz ku światłu następny brąz. Choć nie miał on więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości, jego twórcy nie oszczędzali na materiale.

- A gdyby nasz kolekcjoner był Chińczykiem - mówiła, obracając dzieło tak, by mogła obejrzeć inną jego część - prawdopodobnie najbardziej ceniliby inskrypcje.

Z widocznym niesmakiem odłożyła naczynie na stół.

- To *kuang*, naczynie na wino i wodę. Udaje okres Shang. Bez sukcesu. Prawdopodobnie kopia z czasów Song. Chińczycy kopią naczynia z wczesnej dynastii Shang od co najmniej siedmiuset lat.

- Doprawdy? Dlaczego? - Agent przyjrzał się naczyniu i nie dostrzegł w nim niczego wartego fałszerstwa. Wydawało mu się ciężkie, zbyt ozdobne, brzydkie.

- Moda. - Uniesione w uśmiechu kąciki ust Lindsay lekko opadły. - A także możliwość przetrwania. Za czasów dynastii Song potężne władze lokalne skłonne były wybaczać wszelkiego rodzaju antyspołeczne zachowania w za-

mian za starożytne brązy z inskrypcjami. Sprytni oszuści składali z góry wyrazy ubolewania. Oczywiście, z odpowiednimi inskrypcjami.

O'Donnel uśmiechnął się szeroko, ze zrozumieniem, choć bez sympatii.

- Ale skąd wiedziała pani, że to kopia? Czy powierzchnia nie jest wystarczająco brudna?

Lindsay roześmiała się cicho, srebrzyście. Jej śmiech był równie zmysłowy, co otulający ciało jedwab. Chen pochylał się w stronę lustra. Sprawiał wrażenie człowieka, którego marzenia przybierają realny kształt, będący poza zasięgiem jego wyciągniętej dłoni. Catlin usłyszał, jak głęboko wzdycha.

- Panie O'Donnel - powiedziała, powstrzymując uśmiech - to nie brud, lecz patyna, duma i chwała starych brązów. I nie ma w niej nic złego. Po pierwszych mniej więcej pięciu wiekach niemal nie sposób określić daty powstania brązów wyłącznie na podstawie patyny.

Odwrociła się w stronę trzeciego dzieła.

- A więc skąd pani wiedziała? - nalegał O'Donnel.

Lindsay oderwała wzrok od stołu.

- Inskrypcje.

- Aha.

Z pełnym męskiej solidarności, cynicznym uśmiechem Catlin spostrzegł, że agent podziwia nogi pochylonej nad stołem dziewczyny. Sam także obserwował bacznie każdy jej ruch, z napiętą uwagą notował najdrobniejszą zmianę tonu jej głosu, starał się ją jak najlepiej poznać. Na razie z całą jasnością rozumiał dwie rzeczy: Lindsay kocha brązy i nienawidzi kopii z dynastii Song bardziej, niż mógłby jej nienawidzić oszukany podczas transakcji kupiec.

O'Donnel podszedł bliżej do stołu i pochylał się, by dokładniej obejrzeć kopię *kuang*. Catlin dostrzegł, jak otarł

się o Lindsay i jak ona odsunęła się lekko, taktownie, bez robienia sceny. Zauważył to także sam agent. Nie odrywając wzroku od brązu, odsunął się także i do końca zachowywał już właściwy dystans.

- Które to inskrypcje? - zapytał po chwili, kompletnie zagubiony w mnóstwie skomplikowanych wzorów pokrywających *kuang*.

- Tam. - Lindsay nawet nie podniosła wzroku. - Pod rączką.

Wzięta trzeci z brązów, kadzielnicę, i powoli obracała ją w dłoniach. Przypominała karczoch umieszczony w misie. Na jej powierzchni trójkątne liście układały się w skomplikowany, elegancki ornament. Wywiercone w brązie otwory umożliwiały wydostanie się kadzidlanego dymu. W odróżnieniu od innych, patyna na tym dziele miała równy, cynamonowy odcień, wspaniale podkreślający złote inkrustacje, wyobrażające sceny myśliwskie.

O'Donnel podniósł *kuang*, stęknął z wysiłku, zaskoczony jego wagą i przyjrzał się delikatnym liniom ideogramów,

- Co się nie zgadza w tych inskrypcjach?

Lindsay bardzo ostrożnie odstawiła kadzielnicę. Catlin dostrzegł, jak delikatnie musnęła jej powierzchnię czubkami palców, nim odwróciła się, by odpowiedzieć O'Donnelowi.

- Po prostu nie powinno ich tam być. We wszystkich naukowo zbadanych wykopaliskach zawierających brązy z początków dynastii Shang nie znaleziono żadnego z inskrypcjami. Nawet proste znaki plemienne są rzadkością.

O'Donnel przyjrzał się spod oka z takim lekceważeniem potraktowanemu dziełu i odstawił je na stół z wyraźnie słyszalnym stukiem.

- A co z trzecim brązem?

- Oryginalny. - Lindsay powiedziała to cicho, schrypiętym głosem. Znów dotknęła powierzchni brązu, chłonąc jego piękno wzrokiem, dotykiem, całą sobą. - Niezwykle piękny. Dynastia Han.

Catlin wyczuł rosnące napięcie Stone'a i zorientował się, że ocena Lindsay zaprzecza zdaniu jakiegoś sprowadzonego przez FBI eksperta. Chen również wydawał się zdumiony. Sam Catlin także się zdziwił. Patyna na tym dziele była po prostu zbyt równa, zbyt doskonała. Nagle zapragnął być tam, w tamtej sali, zapragnął sam pytać Lindsay i usłyszeć wyjaśnienia, dawane tym lekko schrypiętym głosem.

- Ale on jest gładki, a nie szorstki jak inne - zaprotestował O'Donnel. - I ma inny kolor.

- Patyna tworzy się szybko w wodzie lub w wilgotnej ziemi, a bardzo powoli na powietrzu. Ta kadzielnica była cenną pamiątką rodzinną, przekazywaną z rąk do rąk przez stulecia, używaną tylko podczas najważniejszych uroczystości. Nie ofiarowano jej zmarłemu, nie została pogrzebana. - Przesunęła palcem wzdłuż paleniska na kadzidło, odlanego w formie wzgórz zbiegających się w pojedynczy, wysoki szczyt. - A złoto - mówiła dalej, delikatnie dotykając palcem sceny myśliwskiej - nie koroduje. To wspaniałe dzieło. Skąd je macie?

O'Donnel zignorował jej pytanie.

- A więc on także musi być prawdziwy - wskazywał palcem na *kuang* dwukrotnie większy od tego, w którym: rozpoznała kopię i znacznie lepiej zachowany. Naczynie pokryte było równą, ciemnobrązową patyną.

- To piętnastometrowiec. - Wystarczyło jej jedno spojrzenie. Nie potrafiła na dłużej oderwać wzroku od kadzielnicy.

- Co?

- Kopia, którą da się rozpoznać na piętnaście metrów - wyjaśniła sucho. - Udaje epokę Shang, ale dekoracje są z czasów dynastii Zhou. Najbardziej prymitywna patyna pochodzi ze spryskania octem. Proporcje zwierząt są do niczego. Całkowicie nieudany falsyfikat.

Ukryty za lustrem Catlin roześmiał się cicho. Jak Lindsay, pogardzał prymitywnymi próbami fałszerstwa. W odróżnieniu od niej z uznaniem odnosił się do perfekcyjnych fałszerstw, których nikt nie zdołał zdemaskować. W końcu przecież jego życie zależało od tego, czy uda mu się być takim fałszerstwem nie do odkrycia - tajnym agentem na terytorium wrogiego państwa.

Lindsay przechodziła od jednego dzieła do drugiego, Catlin zaś obserwował to, co działo się zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie lustra. Interesował go przede wszystkim Stone. Wydawało się jasne, że czymkolwiek się w FBI zajmował, nie było to z pewnością zagadnienie fałszerstwa dzieł sztuki, przemytu antyków lub w ogóle coś dotyczącego dzieł wątpliwej oryginalności. Zapisywał sądy Lindsay na kartce papieru, ale patrzył nie na brązy, lecz na Catlina i na Chena. Catlin zaczął nabierać graniczącego z pewnością przekonania, że należy do elitarniej jednostki FBI: Wydziału Kontrwywiadu Zagranicznego. Ze zrozumieniem i rozbawieniem słuchał, jak próbuje wyciągnąć z Chińczyka informacje, których nie uzyskał od przełożonych.

- Mam nadzieję, że pańscy towarzysze wkrótce wyzdrowieją - mówił właśnie.

Chen skwitował tę uwagę skinieniem głowy, ani na chwilę nie odrywając swych czarnych oczu od lustra.

- Czy wie pan, kiedy mogą przyjechać?

- Nie.

Stone patrzył przez chwilę na Chińczyka, po czym zerk-

nał przez lustro na salę. Spokojne komentarze Lindsay tworzyły tło dla jego własnych, znacznie ostrzejszych pytań.

- Czy nasze brązy przypominają choć trochę te, których pan szuka?

- Nie.

- Od czego chce pan zacząć? Od Zachodniego Wybrzeża? Od Wschodniego?

- Już zaczęliśmy - stwierdził Chen, patrząc na pochylającą się nad kolejnym dziełem Lindsay.

- Czy chce pan czekać, aż sprawdzimy wszystkich ekspertów z listy? Dwaj z nich są nadal nieuchwytni.

- To zależy od pana.

- Wybieramy ekspertów dla pana - stwierdził Stone.

- Doprawdy? Wasz rząd nalegał, by dać mi eksperta do pomocy w poszukiwaniach. - Chen wyrzucił papierosa do najbliższej popielniczki. Niedopałek obrócił się raz i zniechęcony, dymiąc jak zasypane piaskiem ognisko. Ciężki dym skręcał się w poruszonym przez wentylator powietrzu. - Przedstawiłem listę czwórki Amerykanów, zdolnych w najtrudniejszych warunkach odróżnić Zhou od Qin. Wasz rząd przedstawił listę dwunastu. Zgodziliśmy się na rozmowę z ośmioma. Do tej pory rozmawiał pan z sześciorgiem.

Szczęknęta zapalniczka. Chen obrócił się plecami do lustra, osłaniając płomień ciałem i stulonymi dłońmi. Zaciągnął się i skupił spojrzenie swych czarnych oczu na Stonie.

- Czy możliwy jest kompromis? - spytał ostrym głosem. - Wspólnie wybierzemy eksperta.

Catlin w milczeniu podziwiał Chena - znakomitego aktora. Wiedział coś, o czym Stone nie miał jeszcze pojęcia: Chen będzie manewrował tak długo, aż FBI wybierze

Lindsay Danner. Sam nie wiedział jeszcze, jak może mu się to udać, ale wiedział, że się uda.

- Ale eksperci! - stwierdził Stone kpiąco. - Ponad połowa z nich podejrzana jest o fałszerstwa i oszustwa. Nie zapytałbym żadnego z nich nawet o to, czy brąz jest z brązu, czy z drewna.

- *Caveat emptor* - stwierdził Catlin - to motto handlu dziełami sztuki.

Chen spojrział spod oka na mężczyznę, którego zmusił do współpracy małym szantażem.

- To z łaciny - wyjaśnił Catlin, choć nikt go o to nie prosił. - Oznacza: „Niech się kupiec strzeże”.

- Ach! - Chińczyk roześmiał się nagle. - Nie wszyscy mądzy ludzie urodzili się w Chinach!

Stone westchnął głęboko i ponownie zaczął indagować Chena.

- Dyrektor nie wyjaśnił mi wystarczająco dokładnie, czego pan się po nas spodziewa.

Chen palił, osłaniając dłonią rozżarzony koniec papierosa. Całkowicie zignorował uwagę Stone'a.

- Hu ludzi będzie pan potrzebował? - naciskał Stone.

- Nie prosiłem o nikogo.

Catlin uśmiechnął się lekko. Chińczykowi wmuszano opiekę FBI tak, jak samego Chińczyka wmuszono Stone'owi. Wszyscy wokoło składali sobie uprzejme zapewnienia dozgonnej przyjaźni... i nikt nie ufał nikomu za grosz. Wątpił, by FBI i Chen Yi kiedykolwiek zasiedli przy jednym stole. Nikt jeszcze nie sporządził łyżek wystarczająco długich, by któreś z tej dwójki mogło pożywić się ze wspólnej miski.

- Ma pan jakiś plan? - Stone sam zapalił papierosa, gwałtownie wyszarpnąwszy go z paczki, co świadczyło

o jego wściekłości i braku samokontroli. - Więc jak? - przynagłał.

- Całkiem dobrze - Chen umyślnie udawał, że nic nie rozumie.

Catlin wyczuł, że cierpliwość agenta jest na wyczerpaniu. Robienie sobie z niego dozgonnego wroga na samym początku gry nie mogło im w niczym pomóc. Odezwał się w mandaryńskim:

- Czy w chińskich cyrkach nie ma napisów: „Nie drażnić tygrysów”? - spytał.

Chen wyszczerzył zęby w grymasie, który tylko dyplomata nazwałby uśmiechem.

- Ten tygrys siedzi w klatce.

- W tej chwili tak. Ale przyjdzie czas, że zostanie wypuszczony z klatki i treserzy każą mu skakać przez obręcze. Co wtedy?

Zapadła cisza. Po krótkiej chwili Chen westchnął i niechętnie zwrócił się do Stone'a:

- Wszystko zależy od tego, kto będzie naszym ekspertem.

Catlin zastanawiał się w milczeniu, co też Chen szykuje kobiecie po drugiej stronie fałszywego lustra.

Stone przyglądał się raz jednemu, raz drugiemu. W jego poczerwieniałej z gniewu twarzy oczy świeciły jak górskie kryształy. Przez chwilę panowała całkowita cisza, słychać było tylko dźwięk przesuwania po stole naczyń z brązu. W końcu agent FBI gwałtownie skinął głową i odwrócił się z powrotem w stronę lustra.

Trzej mężczyźni w milczeniu przyglądali się Lindsay, wędrującej wzdłuż szeregu brązów. O'Donnel szedł obok niej, zadając pytania, dotyczące kolejnych naczyń. Lindsay pracowała szybko i bardzo pewnie. Wkrótce doszła do ostatniego z dzieł. Była nim duża, płytka misa, spoczywa-

jąca na niskiej, szerokiej podstawie. Choć dość toporna, nie sprawiała wrażenia ciężkiej, niezdarnej.

Lindsay podniosła ją i powoli obracała w dłoniach.

- Coś nie tak? - zapytał swobodnie O'Donnel, opierając się o długi, konferencyjny stół.

- Najstarsze takie *pan* pochodzą z czasów dynastii Zhou. A jednak ten bez wątpienia wykonano w czasach Shang, a nie Zhou. Kształt jest prostszy, mniej fantazyjny. Naczynie jako całość jest... żywsze... niż większość wczesnych Zhou. - Odstawiła brąz na stół, cofnęła się o kilka kroków i uważnie na nie patrzyła.

- Kolejne fałszerstwo? - spytał po dłuższej chwili O'Donnel.

- Nie. To tylko inny typ *pan*, taki, którego nigdy przedtem nie widziałam, ogniwo łączące cechy sztuki czasów dwóch dynastii sprzed wielu, wielu lat. - Uśmiechnęła się do siebie ciepło, pamiętając podniecenie, które ogarnęło ją, kiedy odkryła oryginalny brąz nie przypominający stylu *huai* i nie pochodzący z czasów dynastii Han, będący raczej zręcznym połączeniem obu tych epok artystycznych. - W końcu - mówiła dalej, znów podchodząc do misy - granica między dynastiami nie przebiega tak wyraźnie, jak mogłoby to wynikać z lektury podręcznika historii.

- Ale jeśli jeszcze nigdy nie widziała pani niczego takiego, skąd może pani wiedzieć, że to nie fałszerstwo?

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. O'Donnel nie spodziewał się już, że Lindsay odpowie mu na to pytanie. Wydawało się, że interesuje ją wyłącznie misa, kiedy nagle zwróciła się ku niemu:

- Chodzi panu o coś więcej, niż wyostrzony instykt zawodowca, prawda? - Powiedziała to lekkim tonem, choć jej niebieskie oczy były poważne.

O'Donnel uśmiechnął się. Doskonale wiedział, o czym

mówiła. On także wykorzystał w swej pracy instynkt profesjonalisty. Ma go każdy dobry gliniarz, bez wahania rozpoznający w napotkanych ludziach z gruntu uczciwych, z gruntu nieuczciwych i tych, którzy nie mieszczą się w żadnej z tych kategorii.

- O to mi właśnie chodzi.

Wskazała mu gestem *kuang* - kopię sprzed siedmiuset lat.

- Chińczycy z czasów dynastii Song bardzo cenili sobie inskrypcje. Chińczycy z czasów dynastii Shang nie. Więc gdy fałszerze z dynastii Song zaczęli fałszować dzieła Shang, robili je tak, by odpowiadały modzie ich czasów. Dodawali inskrypcje.

- I wszystko znów sprowadza się do inskrypcji? - O'Donnel wskazała dłonią misę.

Lindsay uśmiechnęła się z żalem.

- Szkoda, że nie jest to aż tak proste. W sztuce w sposób nieunikniony odbijają się gusta obowiązujące w czasach artysty. Dotyczy to także kopii. Porównywał pan kiedyś malowane w różnych okresach kopie płócien mistrzów renesansu?

Oczy O'Donnella zwięzły się w napięciu, ale nie powiedział nic wiedząc, że jest to pytanie retoryczne. Widać nie spodziewała się po nim znajomości starych mistrzów, tak jak on nie spodziewał się po niej znajomości obowiązujących w FBI procedur. A jednak nie myliła się. Nim podjął pracę w kontrwywiadzie, O'Donnel pracował nad fałszerstwami dzieł sztuki i sporo wiedział o mistrzach renesansu.

- W czasach, kiedy w modzie była sztuka realistyczna - mówiła dalej Lindsay - fałszerze wprowadzali w podrabiane płótna starych mistrzów subtelne zmiany, by ich proporcje były bardziej zbliżone do dzieł sztuki realistycznej, a tym samym bardziej odpowiadające gustom poten-

cjalnych klientów. Dzisiaj mają oni skłonność do upraszczania niektórych starych płócien, w naszych oczach zbyt dekoracyjnych. Jeśli znów powróci barok, płótna starych mistrzów zaczną się ponownie wzbogacać i sprzedawać kolekcjonerom przekonanym, że dzieła słynnych twórców czekają tylko na odkrycie na strychach domów naszych babek.

- Nie sądziłem, że fałszerze są tacy sprytni - stwierdził O'Donnel. - Zmieniać stare obrazy, by odpowiadały współczesnym gustom... bardzo sprytne.

- To nie spryt - zaprotestowała Lindsay. - Wszystko bierze się stąd, że nie uniknie się nie uświadomionych wpływów czasów, w których się urodził fałszerz i kultury, w której się wychował. Malują oni nieznacznie „zmodernizowane” wersje starych obrazów nie zdając sobie z tego sprawy, a nie z chęci łatwiejszej ich sprzedaży.

Pełnym wdzięku ruchem obróciła się z powrotem w stronę stołu.

- Właśnie dzięki temu zorientowałam się, że brązy numer dwanaście i piętnaście to fałszerstwa. Fałszerze wprawdzie umieścili znaki pochodzące z czasów, w których powstało oryginalne dzieło, ale same symbole są nieprawidłowe. Brązy z czasów dynastii Shang mają symbole jasno określające wzajemne stosunki człowieka i wszechświata, zgodnie z ich obowiązującym wówczas rozumieniem, i stanowią dekorację tych dzieł. Fałszerstwa dzieł Shang, dokonywane w czasach dynastii Song, kopiuje te dekoracje całkiem wiernie, ale za każdym razem zniekształcają filozoficzne znaczenie symboli. - Lindsay wzruszyła ramionami. - I nic dziwnego. Fałszerzami byli przede wszystkim chłopi-analfabeci. Dla nich symbole to tylko przyciągające oko ornamenty, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

O'Donnel spojrział na brązy, jakby starał się je jak najdokładniej zapamiętać, a później zwrócił się do Lindsay.

- Chce pani obejrzeć je jeszcze raz?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Chciałabym tylko przeprowadzić dokładniejsze studia nad tym ostatnim. Czy możecie wypożyczyć go Muzeum Sztuki Azji albo przynajmniej pozwolić mi na zrobienie kilku zdjęć w celach naukowych? Może nawet napisałabym o nim artykuł? Oczywiście, najbardziej zależałoby mi na tym, żeby go kupić. I kadzielnicę też - wskazała na brąz inkrustowany złotem. - Jeśli właściciel zdecyduje się ją sprzedać, moje muzeum pragnęłoby wziąć udział w licytacji.

O'Donnel uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Przekażę wiadomość, ale to już doprawdy nie moja sprawa. Z tego, co wiem, szef mógł je odlać gdzieś tu, w okolicy.

Uśmiech, którym mu odpowiedziała, miał w sobie więcej niż odrobinę cynizmu. Lindsay zdawała sobie sprawę, że może i O'Donnel nie kłamie bezczelnie, ale nie mówi też całej prawdy. A już z pewnością nie powiedział jej tego, co najbardziej chciała usłyszeć - kto jest właścicielem ocenianych przez nią dzieł.

- Będę panu szczerze wdzięczna za wszystko, co zdoła pan zrobić - powiedziała. - Jestem pewna, że pan L. Stephen White okaże się bardziej niż chętny do złożenia formalnego wniosku o zakup.

- To z pewnością nie zaszkodzi. - O'Donnel uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Kawy? Czy też wolałaby pani wrócić do muzeum?

Lindsay zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Wolałabym wrócić. Proszę mnie odwiedzić, jeśli pan Stone już mnie nie potrzebuje.

- Jeśli będzie czegoś chciał, pani dowie się o tym pierwsza - zapewnił ją agent i odprowadził do drzwi, nie oglądając się nawet na lustro, za którym - o czym doskonale wiedział - znajdowali się obserwatorzy.

- Wspaniałe przedstawienie - stwierdził Catlin.

- Ma pan na myśli pannę Danner? - Stone wzruszył ramionami. - Innym poszło z brązami lepiej niż jej.

- Miałem na myśli O'Donnella. Ani razu nie spojrział w lustro. I zachowywał się tak, jakby w życiu nie widział dzieła sztuki.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Stone spytał:

- A skąd pan wie, że widział?

- Instynkt - odpowiedział krótko Catlin.

Chen rzucił mu szybkie spojrzenie, którego Stone nie mógł widzieć. Catlin był pewien, że Chińczyk myśli właśnie o drażnieniu tygrysów. Ale on sam doskonale znalazł ten gatunek tygrysa, a między drażnieniem i manewrowaniem celem zdobycia lepszej pozycji w bitwie istnieje ogromna różnica. Nie miał wątpliwości, że zbliża się bitwa. Wystarczy, by agenci FBI zerknęli tylko w jego akta i zaraz rozpęta się piekło. Chen będzie musiał dzielnie walczyć, by utrzymać przy sobie swego dzikiego smoka.

I trudno by mu było mieć do Stone'a pretensje o rozpękanie wojny. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłby człowiek z Firmy to jakiś cholerny renegat, wsadzający mu nos w operację kontrwywiadowcze.

- Zdecydujemy się najpierw na eksperta - agent wyciągnął z kieszeni jakiś papier - a potem możemy zastanowić się nad planem.

Na kartce, wzdłuż lewego marginesu, wypisana była w pionowym rzędzie lista siedemnastu brązów. Na górze, poziomo, wpisano nazwiska oceniających je sześciu ekspertów. W siódmej kolumnie znajdowały się dane otrzymana-

ne od muzeów - właścicieli dzieł. Tabela pozwalała natychmiast porównać zdanie oceniającego z opiniami jego kolegów.

Stone wyciągnął długopis, skończył wpisywać informacje podane przez Lindsay i wręczył kartkę Chińczykowi. Chen przestudiował dane, sprawiając wrażenie bardzo skoncentrowanego. Listę trzymał tak, by widział ją i Catlin.

Nie było sprzeczności w ocenie większości dzieł. Bez dyskusji wykluczono „znawcę”, który nie rozpoznał fałszywych inskrypcji. Czterej inni całkowicie potwierdzili opinie muzeów. Nazwiska dwóch z nich FBI dopisało do oryginalnej listy Chena, dwaj inni zostali skreśleni przez Stone'a.

- Dlaczego pan ich odrzucił? - spytał Chińczyk. - Spisali się nie gorzej niż inni.

- Obracają się w podejrzanym kręgu. - Głos agenta pozbawiony był jakiegokolwiek barwy.

- Ach!

Chen spokojnie wyjął z kieszeni wieczne pióro i skreślił nazwiska dwójki wpisanej na listę przez FBI. Stone zacisnął usta, ale nie powiedział nic. Wiedział, kto jest kto. Wyjaśniono mu to grzecznie, choć bez ogródek.

Chińczyk wzruszył ramionami.

- Chyba zostaje nam wyłącznie panna Danner.

- Ale przecież pomyliła się dwukrotnie! - zaprotestował Stone. - A ci, których pan skreślił...

- Przeczyli to, co natychmiast dostrzegły bystre oczy panny Danner - przerwał mu Ti, nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty. - Paw rzeczywiście pochodzi z czasów dynastii Shang. Niespełna dwa miesiące temu widziałem fotografie identycznego, znalezione na terenie nowych wykopalisk z tego okresu. Wspaniałych. Bardzo bogatych.

Papieros rozjarzył się po raz ostatni, a później płaskim łukiem wyładował w popielniczkę.

Catlin z kamienną twarzą przyglądał się ostatnim ruchom partii intelektualnych szachów, którą od chwili, gdy zostali sobie przedstawieni, rozgrywali między sobą ci dwaj wrogowie. Stone właśnie dostał szacha. Nie mógł spierać się na temat archeologicznych wykopalisk, do których dostęp miał wyłącznie jego przeciwnik. Catlin natychmiast zrozumiał jego gambit i poczuł podziw dla sprytu Chińczyka. Kłamstwo? Półprawda? Prawda? Tylko Chen wiedział, bo tylko on miał dostęp do faktów.

- A co z kadzielnicą? - rzucił mu wyzwanie Stone. - Wszyscy inni eksperci uznali ją za sfałszowaną.

- W Muzeum Narodowym w Pekinie znajdują się bardzo stare brązy z patyną o identycznym kolorze i doskonałości. - Chen nie spuszczał z twarzy Stone'a spojrzenia swych sprytnych, czarnych oczu.

Szach, mat.

Stone nie miał dostępu do Muzeum Narodowego w Pekinie, tak jak nie miał dostępu do współczesnych chińskich wykopalisk archeologicznych. Nie miał też wyboru. Mógł albo nazwać rozmówcę kłamcą, albo zgodzić się na Lindsay Danner jako eksperta od spraw starych chińskich brązów z ramienia FBI.

Zaczął coś mówić, przerwał, zgasił papierosa i płynnym ruchem obrócił się w stronę Chińczyka.

- Czy kupiłby pan tę kadzielnicę?

- A czy jest na sprzedaż?

- Tak - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Ach! - Chen odwrócił się ku Catlinowi. - To będzie pana pierwszy zakup. Proszę dopilnować, by sprawę prowadziła panna Danner. Mamy doskonały sposób, by nieobecny od dawna kolekcjoner powrócił na rynek.

- Najlepszy - stwierdził sucho Catlin. Nie wiedział, czy kadzielnica jest falsyfikatem, czy misa to oryginał z czasów późnej dynastii Shang, czy też kopia z czasów dynastii Zhou i nie miało to żadnego znaczenia w świetle tego, czego będzie musiał dokonać, by otrzymać drugą połowę monety. Chen zwyciężył. Stone przegrał.

A teraz na łowy ruszał smok.

- Czy sam poinformuje pan pannę Danner, że pojawił się nowy klient? - Chen wyciągnął ku niemu delikatną dłoń z palcami o długich paznokciach. - Czy też ja mam to zrobić?

- Klient? - zapytał Stone.

- Tak. Zgodnie z informacjami, których mi pan dostarczył, działalność panny Danner nie ogranicza się do terenu Muzeum Sztuki Azji. Służy ona także radą niezależnym kolekcjonerom, jak zresztą wszyscy eksperci z tej listy.

Stone przytaknął skinieniem głowy.

Chen uśmiechnął się chłodno.

- Pan Catlin jest kolekcjonerem chińskich brązów. Specjalnie zaś interesuje się dziełami z trzeciego stulecia przed Chrystusem. A zwłaszcza dziełami z czasów dynastii Qin.

Stone pojął to natychmiast.

- Chce pan, żebyśmy zastosowali operację „Żądło”?

- Proszę?

- Gliniarze udają oszustów - wyjaśnił mu Catlin. - Zbliżają się do oszustów jak pszczoła do kwiatka. Kupują kradzione towary, mówią jak oszuści, chodzą jak oszuści, jedzą jak oszuści i czekają, aż zbiorą tyle dowodów, by powiesić oszustów. Dopiero wtedy żądają... i lecą na następną zgniłą kwiatek.

- Ach!

Taktyka ta nie była obca komuś, kto przetrwał gwałtow-

ne chińskie walki frakcyjne. Chen Yi był człowiekiem o wielu twarzach publicznych i żadnej prywatnej.

- Żądło. Kolejny idiom do zapamiętania. Bardzo użyteczny. Dziękuję.

Stone poruszył się niecierpliwie.

- Skompletowanie zespołu nie potrwa długo. Zadzwoń do pana jutro...

- Proszę mi wybaczyć - przerwał mu Chen Yi - ale nie zrobi pan nic. Zespołem są pan Catlin i panna Danner. Pańskim zadaniem jest chronienie ich, w momencie, gdy będą żądlić. Nic więcej.

- A jakie jest zadanie smoka? - zapytał Catlin, nie chcąc dopuścić do kłótni.

Stone opanował się pamiętając, że kiedy po raz ostatni rozmawiali w tym nie znanym mu języku, Chen w końcu się poddał.

Oczy Chińczyka, wpatrzone w oczy Catlina, nie drgnęły. Sam Catlin wiedział zaś, że słowa, które teraz padną, będą najczystsza prawdą i tylko prawdą.

Lecz kiedy padły, zaskoczyły go.

- Ma pan bronić panny Danner.

- Przed kim? - syknął w mandaryńskim. - Kupcami? Sprzedawcami? Policjantami? Złodziejami?

- Przed wszystkimi.

- Łącznie z panem?

Chen uśmiechnął się smutno.

- Przede wszystkim przede mną, smoku. Ach! Przede wszystkim przede mną.

Nie okłamuj mnie

4

Catlin szedł wzdłuż Capitol Mail, przedzierając się przez tłum turystów. Przed nim strzelała w niebo wielka, smukła iglica Pomnika Waszyngtona. Nie patrzył na jego wypłukaną deszczem, wypaloną słońcem biel ani na tłum ludzi wszystkich ras i narodowości, kłębiący się wokół monumentów, które Ameryka wystawiła sama sobie. Dowiedział się już tego, czego najbardziej chciał się dowiedzieć. Wiedział, ilu ludzi go śledzi.

Czterech. Czterech szybkich, sprawnych zawodowców. Nie próbowali się kryć - cel miał wiedzieć, że ktoś trzyma go na bardzo krótkiej smyczy. Czy ogon był tajny, czy jawny, nie stanowiło to dla Catlina żadnej różnicy. Pierwszego agenta wyczuł na dwie przecznice przed tym, nim dołączyło do niego kolejnych trzech. Rzecz nie w tym, że ten pierwszy był niedbały; Catlin zbyt długo przebywał na terytorium przeciwnika, by zapomnieć, że może otrzymać cios w odsłonięte plecy.

Ruszył szybciej tak, żeby było to niemal niezauważalne. Stawiał długie, pewne kroki, którym nie dorównałby ktoś mniej sprawny. Ponieważ w przeszłości zbyt często polegać musiał tylko na sile i instynkcie, uczynił ze swego ciała prawdziwą maszynę bojową. I chociaż nie przebywał już na terytorium wroga, zdobyte w przeszłości przyzwyczajaje-

nia okazały się zbyt silne, by je odrzucić. Dziś był twardy i równie niebezpieczny jak dawno temu, o pół świata stąd.

Śledzący go mężczyźni także byli twardzi, ale nigdy nie uczestniczyli w wojnach, w których walczył on. Po dwóch kilometrach śledzenia go dyszeli ciężko i pocili się obficie w wilgotnym upale Waszyngtonu. Po trzech zaczęli zostawać w tyle. Nim Catlin wreszcie się nad nimi zlitował i zawrócił do domu, wezwano drugi zespół. Przyjrzał się zmianie, dał im wszystkim wysoką ocenę za sprawność, po czym wszedł do mieszkania. Dowiedział się wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć.

Komputer FBI odnalazł więc wreszcie Catlina, Jacoba MacArthura. Bomba z całą pewnością poszła w górę.

Zakładał, że Lindsay Danner także dostała obstawę. Gwardia honorowa. Mydłać się w małej, zaparowanej łożenkowej kabince uśmiechnął się do siebie na tę myśl. Ci, którzy ją śledzą, będą przynajmniej mieli na co popatrzeć. Lindsay poruszała się zręcznie i zwinnie, lekko prowokującym krokiem. Powodowało to, że mężczyzna od razu nabierał ochoty, by ją przytulić i sprawdzić, czy w innych okolicznościach to smukłe ciało porusza się równie pięknie.

Zastanawiał się leniwie, czy kocha się z równą pasją, z jaką poświęca się brązom. Przecież dotykała kadzielnicy z nieświadomą zmysłowością, która od razu zwróciła jego uwagę. Lecz kiedy O'Donnel usiłował wykorzystać sytuację i spróbował zbliżyć się do niej, odsunęła się - bez wyrzutów, bez gniewnych spojrzeń. To po prostu kobieta, która nie przytula się do dopiero co poznanych mężczyzn.

Mimo łagodnego uśmiechu i niewątpliwego obycia w wielkim świecie, Lindsay z pewnością nie należała do salonowych lwic, co mogłoby stwarzać prawdziwe problemy. W tym szczególnym przypadku Catlin wolałby pracować z kobietą tryskającą beztróskim seksem. A przecież,

jak odkrył to już O'Donnel, Lindsay była zupełnie inna, instynktownie reagowała inaczej, co oznaczało, że udomowiony smok Chin sporo się będzie musiał nagimnastykować, chcąc trzymać się wystarczająco blisko niej, by chronić ją przed gwałtowną śmiercią.

„Przed kim mam ją chronić?

Przede wszystkim przede mną, smoku. Przede wszystkim przede mną.”

Catlin zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik kąpielowy. Zaklął pod nosem. Poza tą niejasną wzmianką Chen nie powiedział nic o tym, co łączy go z Lindsay Danner. Odmówił odpowiedzi na wszystkie pytania. I - choć Catlin naciskał go mocno - nie powiedział również nic o samej Lindsay. Zmusił go tym do szukania innych źródeł informacji. Prędzej czy później akta dziewczyny znajdą się w jego mieszkaniu. Miał nadzieję, że będzie to raczej prędzej niż później, ale nie wątpił, że otrzyma wszystko, czego potrzebuje. Znał w Waszyngtonie i w Langley ludzi zbyt potężnych, by jego prośba została zlekceważona.

Informujący o wizycie gościa dzwonek odezwał się, gdy zapinał tradycyjną, białą koszulę, którą wkładał z okazji wizyt w Waszyngtonie. Szybkimi ruchami wsunął ją w luźne spodnie, dopiął je i z leżącej na łóżku kabury wyjął broń.

Zamiast po prostu ponownie zadzwonić, ktoś zastukał palcami we framugę.

Catlin bezszelestnie podszedł do drzwi i stanął obok nich. Nie przyłożył oka do wizjera, zainstalowanego przez służby ochrony jego domu. Znaczyłyby to stanąć w środku tarczy i prosić, żeby cię postrzelono.

- Kto tam?
- Bradford Stone. FBI.
- I kto jeszcze?
- Nikt.

Otworzył drzwi.

- Proszę wejść. Spóźnił się pan, panie Stone.

Stone przestąpił próg. Jednym spojrzeniem ogarnął mieszkanie i stojącego naprzeciw bosego mężczyznę z pistoletem kalibru 9 mm w rękę.

- Spóźniłem się? A miałem przyjść?

- Jasne - stwierdził sucho Catlin. - Miał pan przyjść, jak tylko moje akta trafią na pańskie biurko. - Wolną ręką wskazał krzesło. - Proszę usiąść - powiedział przez ramię, idąc w stronę sypialni. - Zaraz wracam.

Wrócił po paru minutach. Włożył lekkie półbuty i pasek. Na pasku, z tyłu, wisiała kabura pistoletu.

- Kawę czy coś mocniejszego?

- Kawę.

- Więc to wizyta oficjalna?

Stone uśmiechnął się mimowolnie.

- A ma pan piwo?

- Jedną chwileczkę.

Wyjął z lodówki i otworzył dwie butelki o smukłych szyjkach. Wrócił do dużego, pokoju.

- Za współpracę-wygłosił aluzyjny toast.

Stone pociągnął długi łyk i zapytał:

- Gdzie pan był pomiędzy 1975 a 1982 rokiem?

- Tu i tam.

- Gdzie tu i gdzie tam?

- Indie. Spędziłem mnóstwo czasu w różnych aśramach. Medytowałem.

- Bzdura! - Stone z rozmachem odstawił butelkę na niski stolik. - Po upadku Sajgonu zajął się pan tajną robotą.

- Doprawdy? - Catlin przerwał na chwilę, delektując się znajomym smakiem piwa, drażniącego mu język i podniebienie. - Cholernie to zdziwi dobrego guru Radżinendę, by nie wspomnieć o CIA i Urzędzie Skarbowym.

- Niech pan posłucha, miałem nadzieję, że będziemy współpracowali. - Stone obrócił się, znów sięgając po piwo.

- Ja nie mam żadnych wątpliwości, że będziemy.

Agent gwałtownie odwrócił głowę. W głosie Catlina i w wyrazie jego twarzy nie było jednak śladu kpiny.

- Ale mamy problem - mówił dalej Catlin - charakterystyczny dla lesbijek. Kto co robi, komu i czym.

Rozległ się krótki wybuch śmiechu. Stone znów podniósł butelkę do ust.

- Wie pan - powiedział, zaspokoivszy pragnienie - w innych okolicznościach współpraca z panem mogłaby sprawić mi prawdziwą przyjemność.

- Bardzo wątpię. Nie wykonuję żadnych rozkazów, a pan jest przywyczajony do ich wydawania.

- W takim razie co tu robi Chen Yi? - spytał Stone.

- Przecież on wydaje panu rozkazy.

- Doprawdy?

- Jak to się stało, że połączyliście siły?

- Nie połączyliśmy.

Stone gniewnie machnął ręką.

- I to się nazywa współpraca?

- Czytał pan moje akta. Powinien pan już doskonale wiedzieć, jak łatwo się ze mną współpracuje.

Catlin czekał, aż agent zdecyduje, czy warto się zdenerwować. Stone jednak zrezygnował z fizycznych gróźb i przeszedł do szantażu.

- Wie pan - powiedział cicho - gdyby ktoś wspomniał senatorowi z Massachusetts albo redakcji „Washington Post”, że CIA prowadzi operacje w Ameryce, pewnie mocno by pan ucierpiał.

- Może. Gdybym był w CIA.

- Przecież pan jest! I mam zamiar tak długo grzebać w pańskich aktach, aż się czegoś dogrzebię. - Stone prze-

rwał, napił się piwa i mówił dalej: - Chyba że zaczniemy współpracować.

Catlin uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

- Może pan grzebać w papierach aż do skończenia świata. Ja już nie jestem winien nic i nikomu. Niech pan popyta ludzi. Powiedzą panu to, do czego i tak sam pan dojdzie inną drogą. Ja jestem wolnym człowiekiem.

Stone słyszał prawdę wystarczająco często, by rozpoznać ją w głosie Catlina. Wystarczająco często mu kłamano, by nie przestawał sprawdzać ludzi, aż do uzyskania całkowitej pewności. Będzie wszakże kopał dalej, ale już bez nadziei znalezienia złota. Zapalił papierosa, zastanowił się nad możliwościami, które mu pozostały, westchnął i spytał:

- Ufa pan Chenowi?

- Nie muszę. Wiem, czego chce. Tu niepotrzebne jest zaufanie.

- A czego chce?

- Od pana? Moim zdaniem wystarczy, by FBI przestało mu deptać po piętach.

Stone chrząknął.

- Nie, od pana.

- Chce pociągowego konia, który dowiezie go do brązów i nie zostanie rozpoznany jako przedstawiciel rządu Chińskiej Republiki Ludowej. - Catlin mówił rzeczowym tonem, jakby cała sprawa nie budziła najmniejszych wątpliwości. To kłamstwo wydawało się wiarygodne. Mogło zresztą być częścią prawdy. W każdym razie nie miał powodu, by informować Stone'a, że Yi szuka pełnoetatowego ochroniarza dla Lindsay Danner. Dla kobiety, do posłużenia się którą sam zmusił FBI. Gdyby Stone o tym wiedział, natychmiast chciałby się także dowiedzieć, dlaczego ona jest w niebezpieczeństwie. Od momentu, kiedy zobaczył

smutny uśmiech Chińczyka, Catlin bezustannie sam zadawał sobie to pytanie.

„Przede wszystkim przede mną, smoku. Przede wszystkim przede mną”.

Żadne z możliwych wyjaśnień nie wydawało mu się pocieszające.

- Dlaczego wybrał pana?
- Kilku chińskich biznesmenów z kontynentu korzystających z moich konsultacji. Mogli mu o mnie opowiedzieć.

Przynajmniej to było prawdą. Choć prawda ta nie pasowała do zadanego mu pytania.

Stone przez chwilę wpatrywał się w niemal żółte oczy rozmówcy. Zadawał sobie pytanie, czy czuje się on związany z czymkolwiek lub kimkolwiek. Czy czuje się w zgodzie sam ze sobą? Ludzie, którzy pracowali w podziemiu... zmieniali się. Właśnie dlatego FBI do niedawna, jeśli zmuszały ją do tego okoliczności, wzbraniała się przed wprowadzaniem do akcji tajnych agentów. On też nie czuł się dobrze w towarzystwie ludzi potrafiących wtopić się w obcą, najczęściej dziwną kulturę, nie pozostawiającą na nich najmniejszego śladu. By przetrwać, zachowując własną osobowość, trzeba było dysponować niezwykłą siłą.

Choć wystarczała też niezwykła słabość. Talent kameleona, zdolnego dopasować się do każdego otoczenia, niezależnie od tego, jak jest okrutne i wstrętne.

Poruszył się zmieszany i oderwał wzrok od Catlina zastanawiając się, do której należy on kategorii. Potem wzruszył ramionami i zaakceptował czego nie mógł zmienić. Kazali mu pracować bez rozgłosu i wydobyć wszelkie interesujące kontrwywiad wiadomości, zarówno od Catlina, jak i od Chena. Moralność tego pierwszego nie miała tu nic do rzeczy.

- Co by pan powiedział na wiadomość, że Chen to szpieg?

Catlin uśmiechnął się.

- A czy według pana jest szpiegiem?
- Musimy założyć, że tak.
- I co dalej?

Twarz Stone'a poróżnowiała.

- Nie ma pan nic przeciwko pracy dla szpiega?
- A pan? - Catlin zręcznie odbił piłeczkę.

Twarz agenta była już całkiem czerwona.

- Nie jestem ochotnikiem - warknął.
- Ja też. - Catlin odstawił pustą butelkę po piwie z charakterystycznym trzaskiem. - Proszę mnie wysłuchać, Stone. Oszczędzę panu kłopotu. Nie musi mi pan sugerować, że jeśli nie zagram według pańskich reguł, rząd Stanów Zjednoczonych zamknie Pacific Rim Foundation. Nie zamknie.

Stone nawet nie próbował się spierać. O to przede wszystkim zwrócił się do szefa. Odmówiono mu bez litości. Pacific Rim Foundation okazała się najświętszą z krów, nietykalną dla wywiadu.

- Jest pan inteligentnym człowiekiem - mówił dalej Catlin, rozpijając się wygodnie w fotelu i obserwując starszego mężczyznę oczami bez wyrazu. - Już się pan dowiedział, że ani groźbą, ani szantażem, ani insynuacjami nie da się mnie skłonić do zaakceptowania pańskiego planu, jakkolwiek miałyby to być plan.

- A co z pochlebstwem? - zapytał zaciekawiony Stone.

Catlin roześmiał się. Determinacja agenta sprawiała mu przyjemność.

- Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

I nagle jego twarz stała się śmiertelnie poważna.

- Ale jedno wiemy na pewno. Chen Yi jest w Chinach ważnym człowiekiem. Ameryka zaś bardzo potrzebuje chińskich rynków. Jeśli nie załatwimy sprawy brązów Qin,

współpraca między tymi krajami natychmiast się skończy. I pan będzie skończony.

- Być może. Ale być może brązy nigdy nie zginęły.
- Stone pochylał się w fotelu. W jego jasnoniebieskich oczach palił się płomień, głos miał twardy. - Być może to tylko wyrafinowane kłamstwo, być może pozwalamy Chińczykom na wycieczkę po aparacie CIA za granicą i operacjach kontrwywiadu USA w kraju.

Catlin skinał głową. Gdy tylko usłyszał od Chena o powodach, które skłoniły go do przyjazdu do Stanów, natychmiast pomyślał, że może to być tego rodzaju wywiadowczy podstęp. Nie było sposobu na potwierdzenie lub zaprzeczenie uczciwości Chińczyka. Liczyło się tylko zaufanie. Lub jego brak.

- Chryste! - W głosie agenta brzmiało obrzydzenie. - Wydają mi rozkaz, cholerny rozkaz, żebym przekazywał Chenowi to wszystko, o czym donoszą nam nasi informatorzy, żyjący wewnątrz społeczności azjatyckich i obserwujący je okiem przybysza z zewnątrz. Z tego, co powiedzieli faceci z Langley, kiedy wreszcie wycisnęliśmy z nich pańskie akta, wnioskujemy, że to samo dotyczy operacji zagranicznych. Są wściekli. My też.

Catlin powtórnie skinał głową. Rozumiał dylemat, przed którym stał Stone i jego odpowiednik w CIA. Gdyby Chińczycy chcieli dowiedzieć się, jak głęboko Amerykanie spenetrowali społeczności azjatyckie u siebie i za granicą, wystarczyłoby im tylko dopuścić do poufnej „przecieku” wiadomości o brązach Qin i patrzeć, jak szybko i gdzie informacja ta wypłynie na powierzchnię. Jak barwnik, umożliwiający obserwowanie skądinąd niewidzialnych prądów rzeki, sieć informatorów ujawniłaby wiadomość o brązach - konfidenci i agenci przynosiliby wieści wprost do CIA lub FBI, a przez to do samego Chena.

- Chińskie żądło - stwierdził Catlin głosem bez wyrazu.
- Tak. - Stone przeszywał go przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu. - Czy to zmienia pańskie nastawienie do kwestii współpracy?

- Przecież współpracuję.
- Doprawdy? - w głosie agenta brzmiało wyzwanie. - Jak?

- Zgodziłem się pracować dla Chena.
- Chce mi pan powiedzieć, że ktoś rozkazał panu pracować dla Chena?

- Jeszcze piwa? - Catlin wstał jednym płynnym ruchem.

- Nie. - Stone także szybko się poderwał. Wiedział, że jego ostatnie pytanie, jak niemal wszystkie, które zadał, pozostanie bez odpowiedzi. Spojrzał na mężczyznę, przyglądającego mu się poprzez stół.

- Mam nadzieję, że zdołam kiedyś nakopać ci w dupę - powiedział spokojnie.

- Czytał pan moje akta. I akta Chena. - Catlin zerknął na zegarek. - Niech pan zdecyduje, który z nas jest gorszy. Ja mam randkę.

I nagle Catlin podniósł wzrok. Pustka w jego bursztynowych oczach przypominała agentowi FBI o latach, o których w aktach nie było nawet wzmianki.

- I jeszcze jedno, - Słowa te wypowiedziane zostały bardzo cicho. - Nigdy nie zapominam kogoś, kto mi pomógł.

Nie potrzebował dodawać, że jeśli ktoś mu przeszkodził, nie zapominał go także.

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza, a potem Stone powoli skinał głową i ruszył w stronę wyjścia, nie czekając, aż gospodarz odprowadzi go do drzwi.

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby zachowywali się dyskretniej albo wyjdę w nocy i zgubię ich - krzyknął

za nim Catlin. - Nie ma sensu straszyć tej Danner, nim zgodzi się nam pomóc. Jeśli się zgodzi.

- Nie odmówi - stwierdził poważnie Stone.

Jedna z czarnych brwi Catlina powędrowała w górę.

- Pochlebstwo, szantaż, groźba czy łapówka?*

- Nie uwierzyłyby pan w patriotyzm, co? - W głosie agenta pobrzmiwała kpina.

- A pan? - spytał Catlin.

Stone wyszedł bez słowa i zamknął za sobą drzwi.

Catlin skończył się ubierać, włożył specjalnie skrojoną marynarkę, idealnie, bez najmniejszej zmarszczki, kryjącą broń, i wyszedł na dwór. Śledziło go trzech agentów, dwóch bardzo dyskretnych, trzeci niemal niewidzialny. Tak go to zdziwiło, że manewrował, aż znalazł się blisko tego trzeciego i zdołał go zidentyfikować. O'Donnel.

Do Muzeum Sztuki Azji wszedł za nim tylko jeden mężczyzna i nie był nim O'Donnel.

Catlin stanął przed drzwiami, prowadzącymi do pokoju recepcji, w którym urzędowała sekretarka. Plakietka na biurku informowała, że ma ona na imię Sherry. Twarzy Sherry nie zdradzała strachu przed mężczyznami. Patrzyła na niego, jak kot na miskę śmietanki. Uśmiechnął się żałując, że Lindsay nie reaguje podobnie. Mogłoby to oczyścić atmosferę, uprosić wiele spraw.

I byłoby znacznie bezpieczniejsze.

- Jacob Catlin - przedstawił się. - Jestem umówiony z Lindsay Danner.

Kiedy Lindsay usłyszała lekki śmiech Sherry i stuk jej obcasów, zorientowała się, że na to popołudniowe spotkanie przyszedł mężczyzna należący do kategorii „interesujący”. Mężczyźni „nieinteresujący” i wszystkie kobiety, poszukujące przez sekretariat Lindsay, informowane były

słownie, bez uśmiechu i bez możliwości obejrzenia wdzięków sekretarki.

- Lindsay, przyszedł pan Jacob Catlin. - Sherry pojawiła się w proggu.

Lindsay Danner przywitała zawodowo uprzejmym uśmiechem mężczyznę, wskazywanego przez sekretarkę dłonią widoczną spod rękawa szytego na zamówienie jedwabnego kostiumu, którego jakości mógłby pozazdrościć jej sam L. Stephen White.

- Miło mi pana poznać - powiedziała wstając i wyciągając rękę. Nazwisko wydawało się jej znajome, ale nie potrafiła jakoś dopasować go do twarzy. Zdecydowała, że ma do czynienia z jednym z wielu kolekcjonerów, o których kiedyś słyszała, lecz nigdy nie poznała osobiście.

- Proszę mi mówić po prostu Catlin, panno Danner. - Mężczyzna z uśmiechem ujął jej dłoń. - Mój ojciec także miał na imię Jacob. Nie pozwoliłem nazywać się ani Kubą, ani Juniorem, więc zostało tylko nazwisko.

Uśmiech Lindsay zmienił się z zawodowego na bardziej prywatny.

- Szkoda, że nie potrafiłam być równie stanowcza. Nie nawidzę mojego imienia - wyznała. - Ale nauczyłam się z nim żyć. Proszę mi mówić Lindsay.

Uścisk rąk zaskoczył ją. Dłoń Catlina była twarda, a na jej zewnętrznej krawędzi wyraźnie wyczuła zgrubienia. Jego ciało odziane w szyty na zamówienie, jedwabny garnitur promieniowało siłą. W chwili kiedy to sobie uświadomiła, zorientowała się także, że jego oczy są złotobrazowe, w tym samym, bursztynowym odcieniu co naszyjnik, który właśnie kupiła do zbiorów.

- Nie lubisz imienia Lindsay? A to czemu? Pasuje do ciebie, jest takie eleganckie i powściągliwe. - Rozglądając się po pokoju, zapytał zaraz: - Żadnych brązów? - Nie dał

jej więc szansy zareagować na rzuconą przedtem osobistą uwagę.

Lindsay mrugnęła ze zdziwienia i w ostatniej chwili postrzymała się przed rozejrzeniem po gabinecie.

- No... nie. Pan White nie wyjaśnił mi, jakim okresem szczególnie się interesujesz.

Cofnęła rękę, którą gość trzymał w silnym choć delikatnym uścisku. Nie próbował jej przytrzymać dłużej, lecz puścił w taki sposób, że jego palce przesunęły się mięfeco po wnętrzu jej dłoni aż do pomalowanych na brązowo paznokci. Obrzuciła go szybkim, spojrzeniem, lecz Catlin właśnie rozglądał się po gabinecie, najwyraźniej nieświadomy swej niemal intymnej pieśczoćoty. Zainteresował ją ten dziwny mężczyzna, a zwłaszcza zderzenie niewątpliwie kurtuazyjnych gestów z prawdziwą jego naturą, która - jak podejrzewała - była bardzo daleka od kurtuazji. Przypominał jej najlepsze brązy, z jakimi miała do czynienia - trójwymiarowe wcielenia paradoksu człowieczeństwa.

- Zbieram brązy z czasów Walecznych Królów dynastii Qin lub - jeśli wolisz to określenie - dzieła w stylu *huai*.
- Uśmiechnął się przyznając, że wie, iż każdy znawca najwyraźniej po swojemu dzieli style chińskiej sztuki. - Moją pasją są dzieła z trzeciego wieku przed naszą erą, a szczególnie te z czasów cesarza Qin, ale... - wzruszył ramionami - ... są one oczywiście bardzo rzadkie. Mam także trochę wczesnych Han, ale te muszą mnie szczególnie zainteresować.

Lindsay natychmiast pomyślała o kadzielnicy. Przed godziną zadzwonił do niej O'Donnel z informacją, że misa i kadzielnica są na sprzedaż. White zaaprobował zakup misy, ale nie chciał nawet rozmawiać o kadzielnicy. Nie podawał przyczyn tej decyzji, choć zapewnił ją, że nie wątpi w autentyczność dzieła.

- Pan White nie wspominał także, jaka jest cena maksymalna.

Catlin odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Jeśli coś mi się podoba, cena nie jest przeszkodą.

Jego głęboki, męski głos był jednocześnie szorstki i niezwykły, jak niezwykła była twarda dłoń, siła i niemal złote oczy. Z takimi dłońmi, siłą, bursztynowymi oczyma, gęstymi, czarnymi włosami i wąsami kontrastującymi z bielą zębów, pan Jacob Catlin niewątpliwie różnił się od smukłych, nieco tylko przypominających mężczyzn kustoszy i siwowłosych kolekcjonerów, najczęściej pojawiających się w muzeum. Nic dziwnego, że Sherry osobiście przeprowadziła go przez sekretariat, niewątpliwie nie przestając natarczywie go obserwować.

- Od dawna znasz White'a?

- Seniora, juniora, czy juniora juniora? - Nim zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej. - Na pewien czas zawiesiłem swą kolekcjonerską pasję. Powiedziano mi, że potrafisz wspaniale pomagać przy dokonywaniu zakupów. Zapłacę, oczywiście, zwyczajową stawkę plus premię za każdy brąz Qin, który dla mnie znajdziesz.

Lindsay natychmiast zapomniała o wszystkich poprzednich pytaniach, zdumiona widokiem człowieka, który zaprzestał zbierania dzieł sztuki, a teraz pragnął znów zacząć. Jak wszystko w nim, to także wydawało się jej zdumiewające. Kolekcjoneay to - bez wyjątku - ludzie ogarnięci pasją. Nie potrafią przestać, chyba że przestanie bić ich serce... lub skończą się pieniądze.

- Oczywiście, zdajesz sobie sprawę - powiedziała ostrożnie - że muzeum zachowuje prawo pierwokupu wszystkiego, co znajdę, niezależnie od tego, czy będzie to w godzinach pracy, czy też poza godzinami.

Skinął głową zastanawiając się, jak to wygląda w pra-

kytce. Pracując jako prywatny doradca, Lindsay wchodziła w nieunikniony konflikt interesów między jej czasowym pracodawcą a muzeum. Uniknięcie pokus związanych z możliwością uszcześliwienia prywatnego i dobrze płacącego klienta kosztem stałego pracodawcy wymaga niezwykłej siły woli. Z drugiej strony praktyka łączenia stałej pracy w muzeum z zatrudnianiem się na zlecenia prywatne była powszechna. Muzea czerpały z tego układu wymierne korzyści: miały bezpośrednie dojścia do znanych kolekcjonerów i, kiedy prywatne zbiory szły pod młotek, dowiadywały się o tym natychmiast. Mogły zebrać śmietankę z mleka na długo przed oficjalnym początkiem aukcji. Inne, bardziej subtelne korzyści wiązały się z odpisami od podatków i niemożliwymi do opodatkowania transakcjami gotówkowymi za dzieła pochodzące wprost z muzealnych magazynów.

Był pewien, że Lindsay z radością poinformuje go o wszystkich tych możliwościach.

- Masz szczęście - powiedziała, uśmiechając się. - Przejdź ze mną do warsztatów. Mój szef właśnie odmówił zakupu wręcz unikalnej kadzielnicy.

- Dlaczego? - Catlin szedł obok niej.

- Jego powinienś o to zapytać. - Lindsay nie potrafiła ukryć brzmiającej w głosie irytacji. - Aż nie mieści mi się to w głowie!

Uśmiechnął się. Jemu się mieściło. Był przy tym, gdy Chen Yi wydał rozkaz.

Dostrzegła ten jego lekki, zimny uśmiech i upewniła się, że, niezależnie od tego, skąd się znają, White - senior, junior czy junior junior - z pewnością nie spotkał tego człowieka na trawniku do gry w kule. A przecież, mimo różnic dzielących go od mężczyzn, których najczęściej spotykało się w Waszyngtonie, Catlin wydawał się jej

dziwnie znajomy. Uświadomiła sobie, co w nim jest takiego znajomego dopiero widząc ten zimny, przeznaczony dla niego samego, uśmiech. Przypominał jej mężczyzn, którzy przed laty, gdy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć, wśliznęli się do domu jej wuja. Mężczyzn mówiących cichymi głosami o rzeczach, których nie mogła zrozumieć, bowiem była jeszcze na to za młoda, mężczyzn poruszających się jak piękne, głodne tygrysy. Byli jak człowiek, który szedł teraz obok niej. Pod miękką jak jedwab powłoką kryli piękno i siłę.

Zastanawiała się czy - jak oni - Catlin sprowadzi na nią strach i śmierć.

Czula, jak sztywnieje, jak na plecach pojawia się jej gęsia skórka i z wysiłkiem wyzbyła się natrętnych myśli. W dzieciństwie przeżyła coś i zapomniała już, co to było. Coś, co przypominała sobie tylko w koszmarach, budząc się z nich z krzykiem i nie wiedząc, dlaczego krzyczy.

Odetchnęła ostrożnie, głęboko, próbując kontrolować złe myśli. Shaanxi odeszło w daleką przeszłość. Z pewnością mogłoby już przestać ją prześladować. Z pewnością potrafi już patrzeć na mocnego, pewnego siebie mężczyznę i nie słyszeć echa strzałów i krzyku.

„Z pewnością to nie krew ciekła jej między palcami.”

- Lindsay?

Spokojny, głęboki głos wyrwał ją ze szponów paralizujących strachów dzieciństwa. Zorientowała się, że stoi przy schodach, kurczowo ściskając poręcz, jakby bała się spaść.

- Czy coś się stało?

Podtrzymywał ją lewą ręką, prawą zaś, instynktownie, rozpinął marynarkę, by móc szybko sięgnąć po broń. Nie wiedział, co się stało, ale zbyt często widywał paniczny strach, by nie dostrzec go teraz w jej oczach.

- Nie... - Lindsay nie dokończyła. Musiała rozluźnić

mięśnie, napięte w oczekiwaniu krzyku, który omal się jej nie wyrwał. - Przepraszam. Myślałam o czymś... ~ Westchnęła i z wysiłkiem próbowała wyzwolić się z ogarniającego ją, irracjonalnego przerażenia. Było to takie uczucie, jakby koszmar nagle spotęźniał i zaczął prześladować ją nawet na jawie. - Uważaj na schodach - dodała raźniej, patrząc w dół. - Kiedy przejeśliśmy ten budynek, od lat mieszkały w nim wyłącznie szczury. Oczywiście przeprowadziliśmy remont, ale staraliśmy się zachować w pełni wiktoriański charakter wnętrza, a więc i wąskie, strome schody do piwnicy.

Catlin szedł tuż za nią, gotów złapać ją, gdyby się potknęła. Ale nie potknęła się. Odzyskała przytomność umysłu tak szybko, że aż musiał się zastanowić, czy to przypadkiem nie wyobraźnia podsunęła mu obraz jej twarzy, skrzywionej w panicznym strachu. A później dostrzegł niemal niezauważalne drżenie dłoni, przesuwał się po dębowej poręczy. Co mogło spowodować atak takiego strachu? Smuga cienia u stóp schodów? Odurzający zapach, wydobywający się z piwnicy? Słowo? Dźwięk?

Lindsay przesunęła palcami po ścianie. Znalazła kontakt. Bardzo jasne, z pewnością nie wiktoriańskie światło zalało pomieszczenie zastawione długimi stołami, na których spoczywały dzieła sztuki, niektóre jeszcze zapakowane, inne już częściowo rozpakowane, jedne katalogowane, drugie konserwowane. Niezwykła misa z czasów dynastii Shang stała na krawędzi stołu, obok kadzielnicy dynastii Han. Na podłodze leżały kartonowe pudła i kulki styropianu, świadczące, jak bardzo Lindsay stara się ocalić stare dzieła od zapomnienia.

- Oba te brzozy są niezwykłe - mówiła właśnie, delikatnie dotykając misy i odwracając się w stronę klienta. - Oba...

Zamilkła. Twarz Catlina była nieruchoma, napięta.

W jaskrawym świetle jego oczy błyszcząły jak żółte kryształy. Prawą dłoń opierał wierzchem o pas, tuż nad prawym biodrem. Przeszukiwał wzrokiem każdy centymetr piwnicy, jakby spodziewał się, że w następnej chwili zaatakuje go coś, co jest ukryte w panującej pod stołami ciemności. Strach malował się w całej jego postaci.

- Tak? - zapytał i obrócił się, patrząc jej prosto w oczy. - Oba...

Lindsay okiełznała swą dziką wyobraźnię. W Catlinie nie było nic groźnego, niebezpieczeństwo mogło kryć się jedynie we wrażeniu, jakie na niej wywierał. A może to tylko wilgotne powietrze i upał płałały figle jej pamięci, przywołując obraz Hongkongu, a wraz z nim mnóstwo innych, znacznie groźniejszych wspomnień. Lecz czy rzeczywiście były to wspomnienia? Teraz już nigdy się tego nie dowie. Umarła ostatnia osoba, którą mogła o to zapytać. Nie dowie się nigdy, dlaczego w koszmarze, który nawiedził ją tamtej nocy, uciekała, ogarnięta przeraźliwym strachem, mając ręce pokryte krwią...

- Oba... - Zaciśnęła dłonie upewniając się, że są czyste, suche, że nie ma na nich śladów krwi. - ... są w swych kategoriach niemal unikatowe - mówiła dalej ochrypłym głosem. - Misa z czasów dynastii Shang to prawzór bardziej znanego pan z dynastii Zhou.

Mówiąc to Lindsay zdała sobie sprawę, jak szalenie sam Catlin przypomina to arcydzieło, tajemnicze, pozbawione specyficznych cech swych czasów i kultury.

I - jak misa - niewątpliwie jest oryginałem, a nie kopią.

Poczuła przypływ spokoju. Wydała z siebie długie, miłe westchnienie. Niezależnie od tego, jak groźny jest ten mężczyzna, jej nie zagraża. Jej groźą tylko kłamstwa i zdrada.

Catlin podszedł do stołu. Poruszał się tak cicho, że aż ją to zdziwiło. Od chwili, kiedy się spotkali, ani razu nie

usłyszała najcichszego nawet odgłosu jego kroków, a przecież nie był drobny. W butach na wysokich obcasach miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, a on przewyższał ją o dobre piętnaście centymetrów.

- Mogę? - zapytał, obejmując misę dłońmi.
- Oczywiście. - Z ciekawością czekała, jak ujmie brąz.

Już dawno odkryła, że wiele można powiedzieć o człowieku, opierając się wyłącznie na obserwacji tego, jak poczyną sobie z dziełem sztuki.

Podniósł misę dłońmi jednocześnie delikatnymi i pewnymi. Pochylił ją do jaskrawego światła i obracał, szukając drobnych skaz. Śledził wzrokiem delikatne linie każdego ornamentu. Dekoracje nie zachodziły na siebie na granicy między stopą a czaszą misy ani na granicy między jej płaszczyną zewnętrzną a wnętrzem. Symbole odpowiadały czasom, w których naczynie powstało, znajdowały się także na właściwych miejscach w obrębie samego *pan*.

Nie było żadnych inskrypcji.

- Zdumiewające dzieło. - Catlin powiedział to najzupełniej szczerze.

- A także, bez wątpienia, oryginalne - dodała sucho.

Skinął głową. Nie spuszczał oka z brązu, chłodnego i ciężkiego, pewnie spoczywającego w jego dłoniach.

- Nie ma co do tego żadnych wątpiwości - powiedział, myśląc już tylko o gładkim, szarozielonym naczyniu. - Tylko w kopiach ornamentyka góruje nad funkcjonalnością. Artyści z czasów dynastii Shang postrzegali życie jako układankę z oddzielnych klocków. Jeden symbol zwierzęcy na stopie, drugi na zewnętrznej powierzchni misy, i tak dalej. Same symbole nie maskują swej dzikości - mówił, patrząc w głąb misy, jakby była to kryształowa kula. - Świat za czasów Shang wypełniały przerażające demony, składano ofiary z ludzi, by przebłagać nieznanne

siły. Znalazło to odbicie w sztuce chińskiej, tak jak odbijało się w sztuce Majów i Inków. W rzeczywistości dzieła tych kultur są dość do siebie podobne.

Dopiero teraz usłyszał echo swych słów i zdał sobie sprawę, że mówi do eksperta. Roześmiał się cicho i potrząsnął głową, zawstydzony,

- Bardzo przepraszam. Sporo czasu minęło, od chwili gdy trzymałem w dłoniach brąz Shang. Trochę uderzyło mi to do głowy.

Lindsay odpowiedziała mu uśmiechem pełnym niekłamanej przyjemności. Nieczęsto spotykała ludzi, którzy - tak jak ona - potrafili dostrzec piękno starożytnych brązów. Nie miała wątpiwości, że Catlini do nich należy. Poznała to po tonie jego głosu, po dłoniach trzymających dzieło. Kochał brązy, nie dlatego że zostało ich tak niewiele, że były modne i cenne, lecz dlatego że przemawiały do niego z odległej przeszłości, mówiły o ludziach, którzy żyli, śmieli się, płakali i umierali. A jeśli mieli szczęście, wiele szczęścia, znajdował się wśród nich geniusz, zdolny oddać ich sny i koszmary w sztuce, przekazującej ducha minionej epoki.

- Nie przepraszaj - powiedziała swym lekko ochrypłym głosem. - To prawdziwa przyjemność spotkać kogoś, dla kogo sztuka jest czymś więcej niż inwestycją.

Przez chwilę Catlin nie wiedział, czy bardziej zdumiewa go jej uczciwość, czy intuicja. A potem zdecydował, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Obie te cechy przemawiały do niego równie silnie jak piękno brązu, który trzymał w dłoniach. Spojrzał prosto w jej ciemnoniebieskie oczy i znów usłyszał głos Chena: „Żyć blisko niej, znaczyło poznać słodycz lotosu kwitnącego pod księżycem lata”.

Zastanowił się smętnie, czy błędy swej przeszłości zdoła odkupić tylko kosztem jej przyszłości.

Nie okłamuj mnie

5

Lindsay stała przed lustrem, szczotkując swe gęste, miękkie włosy i zastanawiając się, co miał na myśli Catlin, kiedy podczas pierwszego spotkania powiedział o niej: „elegancka i powściągliwa”. Ten rzucony w rozmowie komplement wbił się jak klin w jej pamięć, której nie zaprzętała sobie nigdy nawet najbardziej wyszukаныmi komplementami innych mężczyzn. Być może chodziło tylko o to, że zareagował na brzyty tak, jak ona sama na nie reagowała, ale miała wrażenie, że powiedział, co myślał. I nie próbował poderwać jej zaraz po komplementach, ani mniej, ani bardziej subtelnie.

To także wydawało się niezwykle. W Waszyngtonie dominuje polityka i seks. Jeśli Hollywood jak magnes przyciągał zawsze dziewczęta o wspaniałych ciałach, ale kurzych mózdkach, to Waszyngton przyciągał kobiety o umysłowości równie wyrafinowanej jak ich piękne ciała. Ostro walczyły o każdą randkę z politykami i ludźmi władzy. Prawie wszystkie ambitne sekretarki i ekspedientki, napływające tu nieustannie z południa i z południowego Zachodu, szybko uczyły się mieć kochanków zamiast narzeczonych i zawierać wiele różnych znajomości, zamiast tej jednej na całe życie.

Te, do których uśmiechnęło się szczęście, znajdowały

w końcu młodych, obiecujących prawników, zakładały rodziny i kupowały domy na przedmieściach, w Wirginii lub Georgetown. Te, które miały pecha, starzały się, przestawały być atrakcyjne i wracały do rodzinnych misteczek, w których konkurencja nie była aż tak bezlitosna. Tam wychodziły za mąż, kupowały domy i wychowywały nowe pokolenia młodych, inteligentnych i ambitnych dziewcząt, które w swoim czasie potężny magnes politycznej potęgi znów przyciągnie do Waszyngtonu.

Lindsay nie znalazła jakoś dla siebie miejsca na tej karuzeli. Przyjechała tu późno, miała dwadzieścia dziewięć lat. Doskonale orientowała się, jak małżeństwo ogranicza i wiedziała, jakie wyrzuty sumienia powoduje rozwód. Odkryła też, że takie same ograniczenia i wyrzuty sumienia niesie za sobą każda dłuższa przygoda. Mając lat trzydzieści, przyjęła wreszcie do wiadomości, że wierność obca jest wszystkim mężczyznom bez wyjątku, a także bardzo wielu kobietom. Pierwsza poinformowała ją o tym ciotka, ale Lindsay nie od razu jej uwierzyła. Małżeństwo jej rodziców było przecież wzorowe i pokazywało, że cud mimo wszystko jest możliwy, że miłość może zwyciężyć czas.

- Możliwy? Tak. Prawdopodobny? Cóż, całkiem nieprawdopodobny.

Przekonała się w końcu, że w życiu liczy się nie tylko miłość do grobowej deski. Istnieją także inne, piękne i trwałe pasje; pasje nie wymagające wzajemnego uczuciowego zaangażowania dwojga ludzi. Dla jednych, zwłaszcza w Waszyngtonie, taką pasją jest polityka. Inni oddają się grom hazardowym lub seksowi, religii lub prawu, hodowli psów lub grze w brydża. Ona sama uciekła w sztukę.

Zerknęła na zegarek zastanawiając się, czy starczy jej czasu na przejrzanie jednego z katalogów, leżących w bezładzie na biurku. Chociaż wielkie domy aukcyjne rzadko

sprzedają brązy o muzealnej wartości, katalogi wskazywały na zmiany w upodobaniach publiczności, widocznie odbijające się na muzealnych zakupach i wystawach. Niezależnie od tego, jak wspaniałą posiada się kolekcję azteckich toporów bojowych, jeśli w modzie są akurat polinezyjskie nakrycia głowy zdobne piórami, lepiej jest mieć* na wystawie coś jaskrawego, kolorowego i wyrwanego ptakom. Inaczej można stracić publiczność.

Moda oddziałuje jednak w obu kierunkach - muzea mogą także wpływać na zainteresowania szerokiej publiczności. Po wystawie poświęconej faraonowi Tutencharnonowi wszyscy handlarze ciekawostek na obu kontynentach wyciągali z piwnic swe skarabeusze i sprzedawali je niezależnie od tego, jak były okropne i jak okropnie sfałszowane. Muzea, zbyt małe, by gościć u siebie ruchomą wystawę Tutenchamona, zmuszone były pootwierać, poniewierając się w magazynach, zakurzone pudła, spoczywające tam od wieków i pokazać wszystkie swe egipskie zabytki, zapomniane i najczęściej kiepskie. Jedyne usprawiedliwienie organizowania większości tych wystaw był fakt, że ubogie konta bankowe muzeów wzbogaciły się o okrągłe sumy.

W tej chwili modna była sztuka chińska, wynik zacieśniających się więzów handlowych między obydwoma krajami. Lindsay widziała, jak - w ciągu niespełna dziesięciu lat - ceny dzieł chińskiego rzemiosła artystycznego poszły w górę najpierw dwu-, a później trzy- i czterokrotnie. Przyzwoity brąz, niegdyś do kupienia na aukcji za kilka tysięcy dolarów, dziś kosztowałby dziesięciokrotnie więcej. Po prostu brakowało już dzieł nawet dla dekoratorów wnętrz, by nie wspomnieć o arcydziełach dla wymagających kolekcjonerów.

Właśnie dlatego katalog niewiele miał dla niej pokus. Wiedziała, że znajdzie w nim mnóstwo przedmiotów o

zabytkowej wartości, lecz nie dzieł sztuki. I, co gorsza, będzie tam także wiele fałszerstw, kłamstw stworzonych w wyniku rosnącej przepaści między podażą a popytem. Być może naprawdę rzadkie, naprawdę wspaniałe dzieło sztuki umknęło zarówno muzeom, jak i kolekcjonerom i trafiło jakoś do tego katalogu. Było to możliwe, lecz raczej nieprawdopodobne.

Jednak, niezależnie od wszystkiego, przeglądanie katalogu zajęłoby ją i powstrzymało od zanurzania się coraz głębiej i głębiej w przeszłość pełną pytań, przed którymi uciekała przez tyle lat. Nie mogła już dłużej ich ignorować. Śmierć matki spowodowała, że coraz częściej wracały wspomnienia minionych dni. Teraz koszmar powracał niemal każdej nocy i Lindsay budziła się drżąc, słysząc krzyki i pamiętając kolor krwi.

Lecz było już za późno, by zapytać matkę, skąd wzięł się ten koszmar, dlaczego powtarza się raz za razem, dlaczego ona sama czuje chłodną pewność, że zapomniała o czymś bardzo ważnym? O czymś okrutnym?

Przestań - powiedziała sobie ostro, powstrzymując drżenie - wszystkie twoje kłopoty biorą się z braku snu. Ludzie przerażeni słabo śpiją, nauczyłaś się tego bardzo, bardzo dawno temu.

Skrzywiła się i otworzyła katalog. W chwilę później zabręczały melodyjnie dzwoneczki przy drzwiach. Wsadziła katalog pod ramię i poszła otworzyć.

- Kto tam?

- Catlin.

Poznała go po głosie prędzej nawet niż po nazwisku. Z nawyku zerknęła przez wizjer. Stał nieruchomo, oddalony o kilka kroków, by mogła zobaczyć go całego, jakby spodziewał się, że przed otwarciem drzwi zechce go sobie obejrzeć.

Niezgrabnie ściskając katalog pod pachą* zaczęła mocować się z zamkami - *de rigueur* miejskiego życia. Ale nawet gdyby żyła pośród uprawnych pól, zamykałaby dom dokładnie w ten sam sposób. Dzieciństwo wypełnione strachem i nieustannym poczuciem zagrożenia nauczyło ją, że zamki niesłuchanie pomagają spać spokojnie. Choć ostatnio i one przestały jej wystarczać. Zaczęła myśleć o kocie lub psie, o czymś ciepłym, żywym, do czego mogłaby się przytulić nad ranem, wyrwana ze snu przez prześladowującą ją koszmar.

Kiedy otwierała drzwi, katalog wyslizgnął się jej z ręki i omal nie spadł na podłogę. Catlin z oszałamiającą szybkością złapał go mniej więcej na wysokości jej biodra.

- Przygotowujemy się do zakupów? - spytał, patrząc na okładkę.

Przez chwilę Lindsay, wyprowadzona z równowagi zarówno błyskawiczną szybkością jego reakcji, jak i dotykem dłoni, była zbyt zdenerwowana, by mu odpowiedzieć. W końcu powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy.

- W rzeczywistości bardziej przypomina to polowanie na kaczki. Proszę wejść.

Catlin spojrział jej w oczy i uśmiechnął się nagle.

- Kaczki? - zapytał i zerknął na katalog. Ruszył w kierunku dużej sali.

- Tak. - Zamknęła za nim drzwi i odruchowo je zarygnowała. - Mnóstwo fałszywych tropów, jakieś dźwięki z trzciny... i żadnej kaczki.

Jego śmiech był tak samo ciepły i nieoczekiwany, jak dotyk ręki. Po chwili śmiała się wraz z nim.

- Jaki rodzaj kaczki masz na myśli?

- A co byś powiedział na doskonale zachowanego woźnicę rydwanu, inkrustowanego złotem i srebrem, poło-

wa wielkości naturalnej, pochodzącego z grobu samego cesarza Qin?

Zadała to pytanie dla kaprysu, ubierając w słowa swe własne marzenia. Lecz, choć Catlin nadal się uśmiechał, coś jednak zmieniło się w nim niemal niezauważalnie.

- To - powiedział wyraźnie - byłaby cholernie wielka kaczka.

Spojrzała na niego, przypominając sobie nagle tę chwilę w piwnicy, gdy sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się niebezpieczeństwa. Rozsądek nakazywał bać się tego mężczyzny. Intuicja, która pomagała jej dokonywać instynktownej oceny brązów - mówiła, że w jego towarzystwie jest bezpieczniejsza niż z kimkolwiek i kiedykolwiek. Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, rozluźniła się; zaakceptowała Catlina, nie zadając już żadnych pytań, tak jak akceptowała swój dar bezbłędnego rozróżniania oryginałów i kopii starożytnych brązów.

- Tak, woźnica rydwanu byłby strasznie wielką kaczka, ale nie czekaj na niego jutro. Chińczycy odkryli grób cesarza Qin w 1980 roku... i zaraz go zakopali. Od kiedy usłyszałam pierwsze plotki, marzę wyłącznie o tym, by zobaczyć jedno takie dzieło. Chociaż jedno!

Usłyszał tęsknotę w jej głosie, dostrzegł ją w szafirowych oczach i delikatnym skrzywieniu ust.

- A widziałas? - zapytał cicho.

- Nie. Byłam w Xi'anie trzy razy. Za każdym razem wywalczałam wycieczkę dla Bardzo Ważnych Gości. Oglądałam górę Li i wykopaliska.

- I?

- Terakota. - Lindsay usłyszała zawód w swym własnym głosie i roześmiała się cichuteńko. - Zrozum mnie. Stać wśród zmartwychwstałej armii cesarza Qin, widzieć szereg za szeregiem stojących w okopach żołnierzy, o twa-

rzach tak różnych jak twoja czy moja, żołnierzy wyrastających z ziemi i maszerujących przez czas... - Umilkła, a po chwili znów się odezwała. - Widzieć to, to jak widzieć ducha wspaniałych ludzi obleczonego w ciało, które można dotknąć, zobaczyć, poczuć pod palcami. To coś pięknego, coś przerażającego. - Zawahała się, próbując oddać w słowach nieprawdopodobną wspaniałość tego, czym był Xi'an. - To po prostu sztuka - powiedziała w końcu.

- A to? - Catlin podniósł w górę gruby katalog.
 - Handel. No, może tylko odrobina prawdziwej sztuki.
 - Dom aukcyjny poczułby się urażony.
 - Wątpię. Są bardzo dobrzy w wyszukiwaniu wyrobów rzemiosła artystycznego i w odkrywaniu fałszerstw. *I* wiedzą o tym.

- Lecz nie mają brązów z czasów Qin? - Catlin zadał to pytanie mimochodem, przewracając potężnym kciukiem kartki katalogu.

- Nie.
 - A co z plotkami o brązach cesarza Qin?
 Lindsay wzruszyła ramionami.

- Kraża.
 - Ostatnio też?

Oderwała wzrok od kartek, które przewracał, podniosła oczy i spostrzegła, że się w nią wpatruje. Doznała wrażeń, jakby oświetliły ją reflektory. Jego bystre spojrzenie zauważało wszystko.

- Nie więcej niż przedtem. Dlaczego pytasz?
 - A przedtem?
 - W kilka dni po znalezieniu brązów z grobowca cesarza sprzedawał je już każdy Jaś i Staś, i Hop Sing w mieście - stwierdziła sucho.

- Kupiłaś jakiegoś? - Catlin wrócił do zabawy katalogiem.

- Nie. Ale oceniałam kilka dla klientów, którzy sami je sobie kupili.

- I?
 - Na najgorszych brąz był jeszcze gorący po odlewie.
 - A na innych?
 - Jedna kopia z dynastii Song. Kilka oryginalnych z dynastii Han. Jeden oryginał z okresu Walczących Królów.

Catlin z trzaskiem zamknął katalog. Cichy dźwięk przstraszył Lindsay, wpatrującą się w niego z takim napięciem, z jakim on wpatrywał się w nią.

- Fascynujące. Zbieram nie tylko brązy. Plotki także. One również wiele mówią o duszy człowieka. Dlaczego nie możemy poplotkować sobie przy kalmarze z imbirem, zającą po syczuansku i krewetkach z czosnkiem?

- Jeszcze tylko gotowane szparagi i sprawa załatwiona.
 - Lindsay dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

- Doskonale.

Kiedy wysiedli z taksówki przy schodach prowadzących w dół, do „Ogrodów Syczuanu”, jej napięcie jeszcze wzrosło. Wiedziała, że na jedną doskonałą restaurację w Waszyngtonie przypadają trzy zaledwie znośne. Słyszała o „Ogrodach Syczuanu”, ale nigdy w nich nie była.

- Rozluźnij się - powiedział Catlin z uśmiechem.
 - Chińska Republika Ludowa jest właścicielem tego lokalu, zarządza nim i zatrudnia kelnerów. Takiego menu nie znajdziesz nigdzie poza Chinami, a najprawdopodobniej i w samych Chinach też nie. „Ogrody Syczuanu” są wizytówką chińskiej kuchni.

Pierwszą rzeczą, jaką Lindsay zauważyła przy wejściu, były jego oczy. W przyćmionym świetle wydawały się jasnobrązowe; miały świetlisty odcień dobrego koniaku. Po tem dostrzegła wystawione na widok publiczny ogromne

wazy i pokryte skomplikowanymi ornamentami świątynne smoki. Koń z dynastii Tang tańczył w miejscu - jeszcze dziś wydawał się tak żywy, jak był żywy przed tysiącem lat.

- Niektóre z tych dzieł to oryginały - powiedział Catlin, wskazując jej krzesło. - Inne to starożytne i współczesne kopie. Wszystkie są wspaniałymi dziełami zręcznych rzemieślników.

- Rzadko spotyka się rzeczy tak cenne, wystawione tak po prostu bez żadnych zabezpieczeń. Znam muzea, gotowe po trupach zdobyć te stojące przy wejściu wazy!

- Wystawić dzieła sztuki bez zabezpieczeń i bez strażników to subtelny i bardzo dobitny sposób pokazania światu dumnej twarzy - stwierdził Catlin, biorąc do rąk pałeczki.

Lindsay przyglądała mu się z rosnącym zainteresowaniem. Uświadomiła sobie, że ma rację - i że musi doskonale znać subtelności chińskiej kultury. Kiedy podano im kolację zrozumiała, że codzienne życie Chin zna on dobrze jak ich kulturę. Pałeczek używał równie zręcznie jak ona.

- Urodziłeś się w Chinach? - spytała, podnosząc wzrok nad talerza. W pałeczkach trzymała kawałek zajęczego mięsa.

- Nie. Czemu pytasz?

- Posługujesz się pałeczkami jak Chińczyk.

Catlin opuścił wzrok, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to nie nóż i widelec trzyma w rękach, i znów spojrzął na nią.

- Ty także.

- Ja urodziłam się w prowincji Shaanxi.

- Doprawdy? - Udane zainteresowanie w jego głosie było bardzo przekonujące. Wolał, by Lindsay opowiadała mu o sobie, zamiast zadawać pytania na temat jego przeszłości. W końcu przyniesiono mu do domu jej akta wraz z aktami Chena, ale przed kolacją miał zaledwie tyle czasu,

żeby je przekartkować. A poza tym dowiedziałaby się wiele o jej wrodzonej uczuciowości, gdyby mógł porównać to, co mu powie, z informacjami z akt. - Sądziłem, że Amerykanów wcześniej wyrzucono z Chin. - Uśmiechnął się nagle i spojrzął na nią z prawdziwym zachwytem, doceniając ją jako kobietę. Lindsay ubrana była w czarną, obcisłą suknię, znacznie bardziej charakterystyczną dla Paryża niż Orientu. - I nie próbuj mi wmówić, że urodziłaś się przed 1949 rokiem. Nie uwierzę.

- I słusznie. Urodziłam się później. - Przerwała, by napawać się smakiem bardzo pikantnego dania z krewetek. - Tata był Kanadyjczykiem, mama - Amerykanką, ale trzymali to w tajemnicy, jak długo się dało. Kiedy miałam osiemnaście lat, musiałam zdecydować, którego kraju obywatelstwo mam przyjąć. Mieszkałam wtedy w San Francisco, więc przyjąłam amerykańskie.

- Ojciec zajmował się handlem międzynarodowym?

- Moi rodzice byli misjonarzami.

Czarne brwi Catlina uniosły się.

- Trudna praca w każdych warunkach. Podczas narodzin Republiki Ludowej musiała być prawdziwym piekłem.

Zamarła, trzymając nieruchomo pałeczki nad kawałkiem krewetki. Znów odżyły wspomnienia: krzyki, strzały i krew, ciemniejąca w świetle księżycy. I coś jeszcze gorszego. Coś, co pamiętała tylko w koszmarach i zapominała natychmiast po przebudzeniu.

- Tak - odparła schrypniętym głosem. - Czasami było to właśnie piekło.

- Pewnie poczułaś się szczęśliwa, kiedy wyjechałaś.

- Catlin znów dostrzegł cień strachu w jej ściągniętej twarzy, strachu, który sprawiał, że jej głos stawał się piskliwy.

Lindsay znów się zawahała.

- Miałam dom, byłam dzieckiem, a teraz pozostały mi już tylko wspomnienia. Niektóre z nich są wspaniałe. Kanki i płomienie świec, takie piękne, takie ciepłe. Zapach imbiru i czosnku smażącego się na gorącym oleju w mroźną noc. Kobiety w kuchni, rozmawiające, śmiejące się i szatkujące warzywa z niesamowitą wprawą. Ciężki zapach papierosów i stuk płytek, kiedy mężczyźni grali w *madžonga*.

Patrzyła ponad siedzącym naprzeciw niej mężczyzną. Nie widziała ani jego, ani restauracji, tylko wspomnienia przeszłości.

- Mieszkaliśmy wszyscy razem, nasze domy dosłownie opierały się o siebie. Kościół był właściwie tylko prymitywnym ołtarzem, przykrytym szkarłatem - chińskim kolorem radości i dobrych życzeń. Hymny śpiewaliśmy półtonami. - Uśmiechnęła się. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak naprawdę brzmi *Naprzód, żołnierze Chrystusa*, póki nie przyjechałam do San Francisco. Wiesz... - jej uwagę znów przyciągnął Catlin, a nie przeszłość - ... hymny śpiewane przez Amerykanów w europejskiej tonacji ciągle brzmią dla mnie obco.

Skinął głową, doskonale wiedząc, o czym mówi. Kiedy on sam wrócił wreszcie na stałe do Ameryki, przez lata używał angielskiego wyłącznie do rozszyfrowywania tajnych depesz. Ojczysty język wydawał mu się obcy.

Lindsay nagle zdała sobie sprawę, że praktycznie zdominowała rozmowę. Niezbyt to do niej podobne. Nauczyła się, że niewielu ludzi interesują jej przeżycia z dzieciństwa, a jeszcze mniej je rozumie. Zazwyczaj to ona słuchała, mężczyźni mówili, a wspomnienia spały. Catlin był jednak zupełnie inny. Umiał słuchać. Spokojne, niedrażliwe pytania, prawdziwe zainteresowanie odpowiedziami i poczucie bezpieczeństwa, jakim ją obdarzał, spowodowało, że mi-

nione lata znikły i pozostały tylko wspomnienia, wpływające powoli na powierzchnię, jak krew z otwartej rany.

- Jak nauczyłeś się tak sprawnie używać pałeczek?

- Głód jest najlepszym nauczycielem - stwierdził sucho. - Kleisty ryż, oczywiście, pomaga. Wystarczy chwila i już jesz jak tubylec. - Rozejrzył się po restauracji. - No, prawie. Chińczycy trzymają miskę pod brodą i jedzą tak szybko, jak szybko mówią. Gdybyśmy spróbowali tego tutaj, wszyscy ci Angole wzięliby nas za barbarzyńców.

- Z pewnością - zgodziła się Lindsay ze śmiechem. - Dobrze wychowane, zachodnie dziecko mówi: „dziękuję” i pochyla się, żeby usta znalazły się bliżej jedzenia. Dobrze wychowane dziecko ze Wschodu mówi: „dziękuję”, podnosi miskę do ust, a ostatnich gryzą psy.

Catlin odpowiedział jej promiennym uśmiechem.

- Rodzice mieli dużą kongregację? ~ spytał.

- Nie. Chrześcijaństwo nie było wówczas szczególnie popularne. Wiesz, jak to jest. Kiedy coś w Chinach idzie źle, winni są zawsze ci szatańscy obcokrajowcy. - Zerknęła na stojący przed nią, pełny talerz, na wypełnioną ryżem miskę i przypomniała sobie, jak często jako dziecko była głodna. - A u progu XX wieku sporo spraw szło w Chinach bardzo źle. Połowa wieku też przyniosła niewielką poprawę.

- Dziwię się, że twoi rodzice zdecydowali się zostać. Zwłaszcza z dziećmi.

- Z dzieckiem - poprawiła go. - Jestem jedynaczką. Wiernych doprowadzało to do rozpacz. - Uśmiechnęła się do tego wspomnienia. - Wielkie rodziny w ogóle, a synowie w szczególności, są źródłem dumy w kontynentalnych Chinach. Iść śladami człowieka, który ma tylko jedno dziecko... a w dodatku córkę... wymaga tego rodzaju odwagi, której większość Amerykanów po prostu nie jest w stanie zrozumieć.

- Podobnej do odwagi, jakiej wymaga przyjęcie nauki mężczyzny mającego tylko imię i bezdzietnego: Jezusa.

Oczy Lindsay rozszerzyły się ze zdumienia. Poza granicami Chin nie spotkała jeszcze nikogo, kto rozumiałby wrodzoną Chińczykom potrzebę znalezienia sobie miejsca w historii poprzez przodków i następców. Mężczyzna bez nazwiska, bezdzietny, nie ma twarzy. Czcić takiego człowieka oznacza coś więcej niż śmieszność - obraża przodków czczącego.

- Fakt, że Chrystus był kawalerem, mieszkającym z dala od domu, nie pomógł chrześcijaństwu w Chinach - zgodziła się sucho. - Ci Chińczycy, którzy czuli potrzebę przyjęcia jakiejś religii, często wybierali islam. Łatwiej im było podziwiać człowieka mającego żonę, konkubiny i wielu synów.

- Jak długo mieszkałaś w Chinach? - spytał, zrećnie podnosząc do ust krewetkę. Przyrządzono je i przyprawiono wspaniale. Uśmiechnął się do siebie ironicznie, uświadamiając sobie nagle, że to, co je dziś w Waszyngtonie, jest znacznie lepsze od wszystkiego, co jadł w ciągu lat spędzonych w Azji.

- Kiedy miałam siedem lat, rodziców zmuszono do zamknięcia misji. - Głos Lindsay zmienił się znowu.

- Wyrzucić szatańskich cudzoziemców?

Skinęła głową, lecz milczała. Wolała nie zagłębiać się w ten temat. Od czasu śmierci matki, powracający nieustannie koszmar rodem z Chin wydawał się jej zbyt bliski, zbyt przerażający. Pragnęła zapomnieć o czasach gwałtu i strachu. Żyła, była bezpieczna, była amerykańską kobietą, a nie dzieckiem z prowincji Shaanxi.

- Przenieśliśmy się do Hongkongu - powiedziała szybko. - Tata często wyjeżdżał na Tajwan, a matka prowadziła małą misję wśród nędzarzy. Potem wysłali mnie do siostry taty w San Francisco.

- Ile lat wtedy miałaś?

- Dwanaście.

- Chyba trudno ci było zostawić rodziców i jedyny świat, jaki znałaś?

- Tak. - Lindsay grzebała w misce z ryżem, jakby wśród białych ziaren spodziewała się znaleźć diament. - Ale przecież nie zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Hongkong był dla mnie także obcym krajem. Zupełnie inny klimat. Na ulicach częściej słyszało się kantoński niż mandaryński.

- Nauczyłaś się kantońskiego?

Wzruszyła ramionami.

- Trochę. Kongregacja taty i w Hongkongu, i na Tajwanie składała się przeważnie z zagubionych Chińczyków z Północy. Prawie nie potrzebowałam kantońskiego. Poszłam do angielskiej szkoły.

Catlin zawahał się, nie wiedząc, jak zadać następne pytanie, by nie zdradzić, że zna już na nie odpowiedź.

- Przypuszczam, że twoi rodzice sądzili, iż zasługujesz na wykształcenie lepsze, niż można było zdobyć w Hongkongu - mruknął. - I dlatego wysłali cię do Ameryki.

- Ojciec umarł. Matka pozostała z wiernymi w Hongkongu. Ja pojechałam do San Francisco.

Słowa te powiedziały mu mniej niż siła, z jaką palce Lindsay zacisnęły się na pałeczkach - nie powie już nic na temat Hongkongu, śmierci ojca i przeprowadzki do San Francisco.

Mimo że dowiedział się od niej mniej, niż wyczytał w aktach, nie sądził, by postępowała nieuczciwie. On także nie lubił mówić o pewnych zdarzeniach ze swej przeszłości, choć nie były tajemnicami stanu. Niektóre wspomnienia były po prostu zbyt bolesne, by je pamiętać.

- A jak ty znalazłaś się w Chinach? - spytała Lindsay nagle i bardzo zdecydowanie. Skończyła rozmowę o sobie i o przeszłości. Miała dość jak na jeden wieczór. Wystar-

czająco złe były już same sny o tym, co się kiedyś zdarzyło. Nie potrafiłaby o tym opowiadać.

- Przyleciałem samolotem - wyjaśnił jej lakonicznie, nie kłopotząc się tłumaczeniem, że leciał nie do Chin, lecz do innego azjatyckiego państwa. - Miałś rację co do *chenin blanc* - dodał jednym tchem, nalewając jej do kieliszka jeszcze trochę wina. - Całkiem dobrze pasuje do zająca. Zapamiętam to sobie. Piekielnie trudno jest znaleźć zachodnie wina, odpowiadające orientalnej kuchni. Białe wytrawne nie mogą konkurować z sycuańskimi przyprawami, czerwone tłumią smak łagodnych dań, a rieslingi są najczęściej tak słodkie, że nadają się do picia tylko z szarlotką babuni.

Roześmiała się.

- Próbowałeś kiedyś kalifornijskiego *merlot* - zapytał, odpowiadając jej uśmiechem. - Jest lżejsze od *cabernet* i bardziej interesujące niż *beaujolais*, - Skinał na kelnera. - Zabawmy się w eksperyment.

Lindsay była mu tak wdzięczna za to, że zmienił temat, że już nie pytał jej o przeszłość, iż nawet nie zauważyła, jak uniknął odpowiedzi na każde z pytań dotyczących jego przeszłości. Z zapałem wdała się w dyskusję dotyczącą zalet różnych gatunków win, towarzyszących specjalnościom różnych kuchni. Gdy zaczęli rozmowę o brązach, była już całkiem rozluźniona i czuła się doskonale w towarzystwie tego niezwykle błyskotliwego mężczyzny o bursztynowych oczach.

- White powiedział mi, że nigdy nie popełniłaś błędu i bez najmniejszych problemów rozpoznajesz fałszywe brązy - stwierdził Catlin nie precyzując, który z przedstawicieli trzech pokoleń White'ów udzielił mu tej informacji.

- Przesadza - odparła z uśmiechem. - Popełniałam błędy. Trudno jest rozpoznać współczesną kopię bez pomocy nowoczesnego, dobrze wyposażonego laboratorium.

Brązy różnią się od malarstwa. Jeśli kopiujący jest niezwykle precyzyjny - jest prawdziwym artystą w swym fachu - jego kopię cechuje ta sama żywotność co oryginał.

- Ale kopia i oryginał nie będą identyczne?

Lindsay zawahała się.

- Nigdy nie widziałam kopii, która wywieraby to samo wrażenie co oryginał. A jeśli widziałam - dodała natychmiast z absolutną uczciwością - to nigdy jej nie rozpoznałam. Na szczęście większość fałszerzy nie ma cierpliwości, narzędzi, wiedzy i talentu, aby wykonać prawdziwie doskonałą kopię. A także, jeśli mówimy o beczelnych fałszerstwach, na ogół kopiuje się większe, bardziej wartościowe dzieła. Czyli najsłynniejsze z brązów. Każdy kolekcjoner świadomy tego, o co rzeczywiście chodzi, kiedy otrzyma ofertę zakupu brązu po okazyjnej cenie, sprawdzi go we wszystkich dostępnych katalogach albo opłaci kogoś takiego jak ja, żeby to zrobił za niego.

- A jeśli nie jest świadomy tego, o co chodzi?

- To nie powinien kolekcjonować dzieł sztuki. - Lindsay umilkła na chwilę marszcząc brwi. - To okrutne, ale prawdziwe. Sam pomyśl, że wielkie dzieła można kupić po okazyjnej cenie, jest po prostu naiwny i ktoś, kto proponuje coś takiego, nie ma wcale na myśli interesów klienta. Gdyby dzieło, które sprzedaje, było rzeczywiście tak fantastyczną okazją, kupiłby je sam i odsprzedał z zyskiem. W końcu w ten właśnie sposób większość uczciwych handlarzy zarabia na życie. Ale jeśli masz do czynienia z kimś, kto twierdzi, że oczywiście sam by to kupił, gdyby nie to, że brak mu miejsca w magazynie, a ty byłeś zawsze tak fantastycznym klientem, że mając na myśli twój interes... no, kiedy usłyszysz coś takiego, chowaj portfel i wiej, gdzie pieprz rośnie. Gość widzi cię już pod drzwiami swego gabinetu z napisem na czole: nabierz mnie.

W ciszy, która zapanowała po jej słowach, Lindsay słyszała ich echo. Uśmiechnęła się, jakby podkpiwała samą siebie.

- Mam wrażenie, że nacisnąłeś zły guzik. Nie znoszę oszustw w handlu dziełami sztuki i tych wszystkich ludzi, którzy umożliwiają oszustwa. Dotyczy to zarówno zachłannych kupców, jak i zachłannych kolekcjonerów.

- Nie da się oszukać uczciwego człowieka - stwierdził Catlin z uśmiechem.

- No właśnie.

Skinął głową, ale to, jak tłumaczyła mu uczucia wiążące się z fałszerstwami, nie w pełni go satysfakcjonowało. Wątpił, by fałszerstwo i oszustwo naprawdę wydawało się jej aż tak proste. Kierowało nią coś więcej, niż tylko pogarda eksperta dla ludzi, którym brakowało specjalistycznej wiedzy. Nie była aż takim intelektualnym snobem - bo- wiem gdyby nim była, potraktowałaby z góry O'Donnella, odpowiadając na jego naiwne pytania dotyczące siedemnastego z brązów. Ale nie. Odpowiedziała na nie z całą powagą, starając się przekazać mu swą miłość do dzieł, tak jak przekazała mu swą wiedzę o nich. Podobnie postąpiła wtedy, gdy on sam mówił o misie z dynastii Shang, gdy mówił o kulturze i sztuce Chin to, co i tak wiedziała. Lindsay nie strzegła swej wiedzy, nie ukrywała jej, nie sądziła podług niej ludzi. Uśmiechnęła się i oznajmiła, jak wielką przyjemność sprawiło jej spotkanie z kimś, kto dzielił jej miłość do chińskich brązów.

- Nienawidzisz fałszerstw? - spytał i równocześnie ujął jej rękę. Ich palce splótły się, dłonie zetknęły i znieruchomiały.

Dotyk Catlina poruszył całe jej ciało, przepłynął przez nią falą wrażeń - tak, jak przedtem poruszyło jej ciało wypite właśnie wino. Dłoń miała dużą, o długich palcach,

skórę gładką i ciepłą. Podniosła wzrok zastanawiając się, czy wyczuł puls, bijący tuż pod jej skórą.

- Tak - odparł po prostu.

- Dlaczego?

Odpowiedziała mu długa cisza. Lindsay zastanawiała się nad tym pytaniem i nad tym, że w ogóle zdecydował się jej zadać. To, jak reagowała na fałszerstwa, uważała zawsze za kwestię oczywistą. Nienawidziła kłamstwa w każdej jego postaci.

- Przecież wszyscy ich nienawidzą.

Catlin uśmiechnął się i jego uśmiech sprawił, że natychmiast zadała sobie pytanie, co też robił przez całe życie, nim wreszcie się spotkali i rum zapytał o brązy Qin.

- Nie. Nie wszyscy, Lindsay. A nawet nie większość. Ludzie walczą z prawdą, nie z kłamstwem.

Przy sąsiednim stoliku błysnęła zapalniczka. Lindsay ogarnął znajomy, niemożliwy do pomylenia z niczym zapach chińskiego papierosa. Płomień świecy, umieszczonej w stojącej obok nich misie, zadrżał, biały obrus podchwycił jego szkarłatne światło i zmienił się w krajobraz koszmaru, w dym i płomień. Zacisnęła rękę na dłoni Catlina tak mocno, aż jej skóra zbiełała. W pamięci rozbrzmiały słyszane niegdyś krzyki, nie wysłuchane błagania; poczuła przyćmiewający wszystko zapach kadzidła i krwi, nie przestającej płynąć, zalewającej jej rękę. Usłyszała głos chrypiący „zdrada!”.

A może był to koszmar, a nie wspomnienie? Być może ktoś krzyczał „zdrada!” w jej snach?

Ich oczy spotkały się ponad drżącym światłem świecy.

- Od dawna nie wdychałam zapachu kadzidła - powiedziała martwym głosem. - Tak naprawdę nigdy go nie lubiłam. Wyjdźmy na świeże powietrze.

Catlin powstrzymał się od uwagi, że w powietrzu unosi

sienie zapach kadzidła, lecz chińskich papierosów. Widział strach w jej oczach, słyszał go w napiętym głosie, czuł w dłoni, zaciskającej się na jego ręce. Skinął na kelnera, zapłacił rachunek i wyprowadził ją na zewnątrz. Waszyngtońska letnia noc ogarnęła ich wilgotnym, ciepłym powietrzem. Nad ich głowami niebo zaciągnęło się chmurami, tłumiącymi światła miasta.

Szli piechotą i znów wziął ją za rękę. Przyjęła ten gest jako pociechę, a nie próbę uwiedzenia. Nie mówiła nic, aż Siedemnastą Ulicą doszli do Pennsywania Avenue, skręcili w lewo, mijając siedzibę gubernatora i doszli do lasku zwanego Elipsę. Zapach trawy i słonego powietrza, niesionego wiatrem znad Zatoki, mieszał się z odorem miasta: asfaltu, betonu, spalin. Lindsay odetchnęła głęboko, czując, że dopełniła głupstwo, tak strasznie denerwując się wspomnieniami z dzieciństwa i powtarzającym się koszmarem. Obróciła się ku swemu towarzyszowi, ale nie próbowała uwolnić dłoni z jego uścisku.

- Przykro mi - powiedziała. - Kiedy miałam siedem lat, zamordowano mi wuja. Chyba byłam przy tym, w każdym razie pamiętam krew. Czasami. W nocy, późno w nocy... - głos się jej załamał. Wolną ręką wykonała gwałtowny gest. - Wspomnienia czy koszmar, ale...

Catlin przytulił ją mocno, tłumiąc niewypowiedziane słowa. Trzymał ją, drżącą, w ramionach. Pod palcami czuł jej zimną skórę. Nie potrzebował niczego więcej, by zrozumieć. Nadal pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył gwałtowną śmierć; pamiętał szokujący obraz krwi, zapach rzeźni, ciągle widział straszliwie nieruchome, stygnące ciało. Miał wtedy dwadzieścia lat i wymiotował, aż osłabł tak, że nie był w stanie utrzymać się na nogach.

O ileż straszniejsze musiało to być dla siedmioletniego dziecka! Sam fakt, że wydawała się nic nie pamiętać, tylko

podkreślał jej paniczne przerażenie. Po prostu wyrzuciła wszystko z pamięci. Albo próbowała wyrzucić. Wspomnienia potrafią zmieniać się w sny, a sny czasami zmieniają się w koszmary.

Przytulił ją, kołysał, gładził po głowie. Szeptał jej w ucho słowa bez znaczenia, mające tylko upewnić ją, że nie jest sama. Przesuwając ustami po jej włosach, myślał tylko o tym, ile razy budziła się w nocy drżąc i stwierdzała, że obok niej nie ma nikogo. Jak on. Jemu przydarzało się to już rzadko, we śnie, gdy znów był młody i całująca go kobieta szeptala słowa miłości, celując z pistoletu w jego twarz. Mei, kochająca zdradę i kłamstwo bardziej niż którykolwiek mężczyzna, a jego kochała mocniej niż innych. Mei, która zabijała i nigdy nie śniła. Wspaniała konspiratorka, idealna morderczyni.

Wybrałeś złego gracza, Chen Yi - wściekał się w milczeniu. Lindsay nie należy do kobiet, które zdołają przeżyć twe gierki. Najlepszym sposobem na zdobycie drugiej połowy tej monety byłoby dla mnie złapać ją i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Ale przecież pieprz nie rośnie nigdzie.

Catlin nie musiał odwracać głowy, by dostrzec inną parę, stojącą blisko nich, pod drzewem. Tego mężczyznę i tę kobietę wiązało coś różnego od miłości, a nawet od pożądania. Dostrzegł ich, kiedy wychodzili z restauracji, pozostawiając nie dojeżdżoną kolację. Widział, jak śledzili ich krok w krok. Tak jak dwaj mężczyźni, przechodzący jak cienie przez najbliższe skrzyżowanie, dopasowujący kroki do stuku szpilek Lindsay.

Tułała mu się do piersi dziewczyna drgnęła. Oprzytomniała już i zdała sobie sprawę, że tkwi w ramionach obcego mężczyzny, czerpiąc z niego siłę, której udzielił jej bez pytania... ale ten mężczyzna nie wydawał się jej obcy.

Obejmował ją pewnie, w jego dotyku nie było niezręczności. Zachowywał się tak, jakby znał ją od wielu lat. I ona czuła się podobnie.

- Lepiej? - zapytał miękkim, głębokim głosem.

Skinęła głową i wzięła głęboki oddech.

- Tak. Dawno nie czułam się aż tak źle, ale już po wszystkim. Przeeee... przeszło mi. - Usłyszała echo swych własnych słów i poczuła, jak wstyd zalewa ją gwałtowną* gorącą falą. Bardzo cicho dodała: - Naprawdę nie jestem szalona. To tylko ten koszmar. Czasami...

- Tak, wiem.

Głos Catlina brzmiał taką pewnością, że Lindsay spojrzała w górę, wprost w jego oczy.

- Skąd?

- Ja też tam byłem, Lindsay. A teraz, jak ty, w końcu wróciłem do domu. - Dotknął ustami jej ust, tłumiąc rodzące się na nich pytania. - To właśnie mam zamiar ci teraz zaproponować. Zabiorę cię do domu. Dam ci koniaku i do rana będziemy grali w *madzonga*. Jeśli zaśniesz między ruchami i przyśni ci się koszmar, będę przy tobie.

Lindsay westchnęła głośno, czując ogromną ulgę na myśl, że nie będzie musiała samotnie stawiać koszmaraowi czoła.

- Nie musisz tego robić - powiedziała. - Jestem przyzwyczajona...

- Wiem. - I znów dotykiem warg stłumił wszystkie jej protesty. - Czy myślałaś kiedyś, że może i ja śnię?

Oczy pociemniały jej rozszerzyły się ze zdumienia.

- A o czym śniesz?

Zamiast odpowiedzi ujął jej obie dłonie w swoje ręce i ucałował. Miał nadzieję, że Lindsay nigdy nie dowie się o jego koszmarach.

Nie okłamuj mnie

6

- Cholernie szybki z ciebie facet - powiedział O'Donnel, patrząc na wchodzącego do jego biura Catlina. - Wystarczyła jedna randka i już! Kolacja we dwoje, ze śniadaniem. A ze mną ta dama nie chciała nawet zagrać w łapki!

- Gdzie ChenYi?

Młody agent otworzył usta, mając zamiar porozwodzić się jeszcze nad tym, jaki to szybki facet z tego Catlina, ale spojrzał w jego zwężone oczy i zdecydował, że mogłoby mu to nie ująć na sucho.

- Ze Stone'em - odpowiedział.

- A kto sędziuje?

O'Donnel odchylił się na biurowym krześle i obrzucił gościa długim spojrzeniem.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Wręcz nalegam.

I choć Catlin się uśmiechał, nic nie wskazywało, by był w dobrotliwym nastroju. Powstrzymując słowa, cisnące mu się na usta, agent poderwał się na równe nogi i poprowadził go do gabinetu Stone'a, przesiąkniętego odorem papierosów Chena. Catlin rozejrzał się szybko, dostrzegając zarówno drogie meble, jak i obowiązkowe zdjęcia na ścianach, przedstawiające Stone'a, ściskającego ręce trzech prezydentów, pułku senatorów i mężczyzny, który

znaczył o wiele więcej niż jakiś tam polityk: J. Edgarowi Hooverowi.

- Dowiedziałem się z raportów moich ludzi, że zarówno pana, jak i pannę Danner ogarnęła nagle płomienna miłość. - W głosie Stone'a brzmiała zarówno pochwała dla męskich walorów Catlina, jak i nagana dla łatwości kobiety-

- Jest tu pokój, w którym mógłbym porozmawiać prywatnie z panem Chen Yi?

- Nie.

Catlin zwrócił się do Chińczyka i zaczął szybko mówić w dialekcie mandaryńskim. Stone wytrzymał to przez kilka chwil, zaklął i poderwał się na równe nogi.

- Możecie zostać tutaj - powiedział wychodząc i mocno trzaskając drzwiami.

- Naprawdę jesteście sami? - Chen Yi rozejrzył się po gabinecie.

- Najprawdopodobniej tak - odpowiedział mu Catlin po angielsku. - Po Watergate tylko idiota zakładałby podsłuch we własnym biurze.

- Ach! - Chen zamilkł, wpatrując się w rozmówcę matowymi, czarnymi oczami.

- Zdejmij ją z haczyka - stwierdził Catlin bez zbędnych wstępów. - Nie ma w sobie nic, co by ją predestynowało do tego rodzaju roboty.

- Ma dokładnie to, czego potrzebujemy.

- Bzdura! Jest tak cholernie naiwna, że nie rozpoznaje nawet jednostronnego lustra, kiedy przed nim stoi!

Chen skinął głową.

- Po to właśnie mam ciebie, smoku, żebyś za nią wdział przez ściany.

Catlin parsknął niecierpliwie.

- To się nie da zrobić. Ona nie jest wystarczająco twar-

da. Ciągłe jeszcze trzęsie się na wspomnienie morderstwa, które zdarzyło się ćwierć wieku temu. Ma fioła na punkcie uczciwości. Mówiąc po prostu, nie jest żadnym graczem. Spróbuj z niej zrobić gracza, a rozleci ci się w rękach!

- Ma ten dar, że bezbłędnie rozpoznaje oryginały. - Chen zaciągnął się głęboko. - Odziedziczyła go po matce, tylko że dar matki nie dotyczył sztuki, ale ludzi.

- Dotyczył? - Z akt wynikało, że jej matka żyje.

- Umarła dwa miesiące temu.

- Chryste! Nic dziwnego, że dziewczyna tak się trzęsie. Nie dość, że przeszłość ciągle ją prześladowuje, to jeszcze w dodatku próbuje poradzić sobie z tą stratą.

- Proszę? - Yi sprawiał wrażenie zdziwionego.

Catlin gwałtownie machnął ręką.

- Lindsay jest jedynaczką. Nikt już nie pamięta jej dzieciństwa. Nikt. A teraz jej dzieciństwo umarło wraz z matką.

Oczy Chińczyka rozszerzyły się - próbował zrozumieć implikacje gorzkich słów swego smoka.

- Mówisz jak ktoś, kto wie.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- Każdego z nas to czeka. Chyba że ktoś umrze przedwcześnie.

- Ale nie w Chinach. - Głos Chena był cichy. - Bardzo niewielu z nas zna ten rodzaj samotności. Nasze rodziny są wielkie, nasze społeczności małe; dzielimy życie na wiele sposobów, z wieloma ludźmi. - Spojrzył na dłonie, chude i stare, myśląc o swej sięgającej korzeniami w głąb historii rodzinie; sieć pokrewieństw ogarniająca całą historię i całą Azję. - To musi być straszne, taka samotność - dodał po długiej przerwie. - Smucę się za córkę. - Podniósł wzrok i bez drgnienia powiek wpatrzył się w oczy Catlina. - Uwolniłbym ją, gdybym mógł, ale nie mogę. Jest potrzebna.

- Dlaczego? Świat pełen jest ekspertów w tej dziedzinie.

- Misa - szepnął Chen. -1 kadzielnica. Jak już wspominałem, ona ma dar rozpoznawania oryginałów. Wiedzą o tym zarówno w Chinach, jak i w Ameryce. Miała go już jako dziecko. Cokolwiek powie o brązach, będzie wiarygodne. Z resztą ekspertów jest inaczej. Mogą powiedzieć „fałszerstwo”, mogą powiedzieć „oryginał” - zawsze pozostaną wątpliwości, bo oni nie urodzili się w Chinach. Nie dorastali na prosie i ryżu, głodzie i polityce, w strachu, wśród niebezpieczeństw. Inni eksperci od brązów mogą dużo wiedzieć albo być zachłanni, ale nie mają talentu...
- papieros Chińczyka rozjarzył się gwałtownie. Kiedy znów przemówił, głos miał ostry, nie dopuszczający sprzeciwu. - Lindsay Danner jest mi potrzebna. Mnie i Chinom.

Catlin pomyślała o kobiecie, z którą śmiała się i rozmawiała aż do świtu po to, by ciemność nie ogarnęła jej całej, by nie wiała się w strachu, jak uciekające przed myśliwym zwierzę. Wiedział, że nie da rady czuwać przez wszystkie noce i wiedział także, że koszmar jest cierpliwy.

- Chen...

Rozległo się pukanie. O'Donnel otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie.

- Skończyliście? - Patrzył to na jednego, to na drugiego,

- Tak - przytaknął Chen.

- Nie - zaprzeczył Catlin.

- No, to na razie możecie zrobić sobie przerwę. Ona tu jest - dodał, patrząc na Chińczyka.

- Ach!

Catlin zaklął brutalnie. Wiedział, że przegrał. Obrócił się w stronę Chen Yi z szybkością, która sprawiła, że zdumiony O'Donnel aż się uchylił. Kiedy się odezwał, mówił

w dialekcie mandaryńskim. Słowa były ostre, twarde jak dźwięk kamienia uderzającego o kamień.

- Jeśli coś się jej stanie, wielce czcigodny panie Chen Yi, będziesz żałował, że wybrałeś się na polowanie ze smokiem.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Chińczyk skłonił lekko głowę, akceptując wyzwanie. O'Donnel wahał się, wyczuwając napięcie, lecz nie znając jego źródła.

- Gotowi? - zapytał sucho, niedbale oparty o framugę drzwi.

Chen wyrzucił nie dopalonego papierosa do popielniczki i ruszył w kierunku drzwi. Catlin poszedł za nim. Żaden z nich nie odzywał się, gdy O'Donnel prowadził ich korytarzem do tej samej „konferencyjnej” sali, w której Lindsay oglądała siedemnaście brązów. Długi stół zastąpiono wygodnymi krzesłami, stojącymi wokół okrągłego, mniejszego stołu. Catlin uśmiechnął się, widząc tę troskę o „intymną atmosferę”, nie powiedział jednak nic. Po prostu odwrócił się, wyszedł na korytarz, przeszedł kilka kroków i otworzył drzwi do pokoiku, z którego można było obserwować salę.

- Przyjrę się wszystkiemu stąd - powiedział. - Jeśli mnie zobaczy, nim powie „tak”, może powiedzieć „nie”.

O'Donnel podniósł brew.

- A my myśleliśmy, że jesteś naszą tajną bronią.

- Nie jestem niczyją tajną bronią. - Głos Catlina pozbawiony był jakiegokolwiek wyrazu.

Chen Yi w milczeniu obserwował wychodzącego mężczyznę. Rozejrzał się po sali, zajął krzesło przy popielniczce, zapalił kolejnego papierosa i czekał na przybycie Lindsay Danner.

Nie czekał długo. Otworzyły się drzwi i usłyszał dobie-

gający z korytarza głos. Zamknął na chwilę oczy, słuchając i wspominając, jakie było życie wiele, wiele lat temu.

- Pan White nie powiedział mi, czego panowie chcecie - stwierdziła Lindsay, oglądając się na Stone'a, przytrzymującego jej drzwi. - Czy dotyczy to brązów, które widziałam wczoraj?

- Nie bezpośrednio.

Weszła do pokoju, poczuła wyraźny, specyficzny zapach chińskiego papierosa i przymknęła oczy, walcząc ze wspomnieniami. Kiedy je znów otworzyła, dostrzegła starszego Chińczyka, siedzącego na zbyt dużym krześle i przyglądającego się jej. Chociaż ubrany był w zachodni garnitur, nie miała żadnych wątpliwości, że aby tu przybyć, przeleciał połowę świata. Wstał, ukłonił się lekko, kiedy Stone dokonywał prezentacji, i zaraz usiadł.

- Proszę spocząć, Lindsay. - O'Donnell wskazał jej krzesło, stojące tuż obok krzesła Chen Yi. - Kawy?

- Tak, proszę. I dużo śmietanki - dodała, przypominając sobie poprzednią wizytę w gmachu Hoovera.

- Panie Chen?

- Tak, proszę. Bez śmietanki. Dużo cukru. Macie skórki cytryny? - W jego głosie brzmiała nadzieja.

- Zobaczę, czy uda mi się jakąś „ustrzelić” - obiecał O'Donnell.

Stone poczekał, aż zamkną się drzwi i dopiero wtedy zajął miejsce naprzeciw Lindsay.

- Dziękuję, że zdecydowała się pani przyjść tu po raz drugi. Nim rozpocznę wyjaśnienia, chciałbym zaznaczyć, że chociaż Steve nie wie dokładnie, o co chodzi, mamy jego pełne poparcie w naszym... no... przedsięwzięciu.

- Tak, już to rozumiałam. - Wypowiedziała te słowa tonem najzupełniej obojętnym. Nie wspomniała jednak, że L. Stephen wezwał jej taksówkę, załadował ją do środka

i powiedział kierowcy, dokąd ma jechać, nim zdążyła zgodzić się lub zaprotestować.

- Mamy do wykonania raczej niezwykłą pracę - mówił dalej Stone, przyglądając się chłodnej, eleganckiej kobiecie, która raz poszła na kolację z zupełnie jej obcym mężczyzną i zaprosiła go do domu na całą noc. - Pracę, którą wykonać może jedynie pani.

Lindsay zmierzyła agenta swymi ciemnoniebieskimi oczami i mruknęła coś zachęcająco. Aż promieniała ciekawością.

- Kolejne brązy? - spytała.

- Tak.

- No, no, no. Ruszamy na poszukiwanie skarbów - stwierdziła i uśmiechnęła się szeroko, pozwalając sobie na okazanie podniecenia. - Zamieniam się w słuch. Niech mnie pan do nich doprowadzi, panie Stone.

- W rzeczywistości - agent odpowiedział jej uśmiechem - mamy nadzieję, że to pani nas do nich doprowadzi.

- Nie rozumiem. - Lindsay przyjrzała się trzem mężczyznom. A potem pomyślała o pewnej możliwości i uśmiech znikł z jej ust, a twarz znieruchomiała w chłodnym grymasie.

- Ani ja, ani żaden z moich klientów nie zajmujemy się brązami wątpliwego pochodzenia - powiedziała napiętym głosem.

Chen Yi zważył uczucia, których natężenie rozpoznał w jej srebrzystym głosie i przypomniał sobie ostrzeżenie Catlina: „Ma fioła na punkcie uczciwości”. Zastanawiał się przedtem, czy nie wynika to przypadkiem z wychowania w rodzinie misjonarzy. Ciągłe o tym myślał, ale nie miał już wątpliwości, że Lindsay poświęciła się uczciwości, tak jak inni ludzie poświęcają się Bogu, Marksowi lub Mao. Jej oddanie prawdzie wcale go nie zaskoczyło. Przeciwnie

- w przypadku daru odkrywania fałszywych brązów - sprawiło, że wyjątkowo nadawała się do pracy nad brązami cesarza Qin. Fakt, że wyznaje zasadę uczciwości, znany był po obu stronach Pacyfiku.

Ze smutkiem przyznał sam przed sobą, że Lindsay przypomina swoją matkę nie tylko brzmieniem głosu. Obie kobiety stanęłyby oko w oko z głodnym tygrysem, gdyby w grę wchodziły zasady. Na nieszczęście, choć konieczna i nawet godna podziwu, uczciwość ta wielce utrudni sprawę i może uczynić je nieskończenie bardziej niebezpiecznymi.

Papieros Chińczyka rozjarzył się dwukrotnie, raz za razem.

- Nikt tu nie podawał w wątpliwość pani uczciwości - stwierdził spokojnie Stone. - Mówiąc szczerze, zbadaliśmy pani przeszłość dość dokładnie. Cieszy się pani godną podziwu reputacją. I właśnie to, obok niewątpliwej znajomości przedmiotu, sprawiło, że jest pani dla nas tak atrakcyjna.

Lindsay przemyślała sobie te słowa, skinęła głową i wygodniej usiadła w fotelu.

- Doskonale, panie Stone. Czego pan ode mnie chce?

- Brad - poprawił ją z uśmiechem. - Czy mogę mówić pani Lindsay?

- Oczywiście.

- Dziękuję. To nam ułatwi współpracę.

Chen rzucił mu spojrzenie bez wyrazu, przypominające, że cokolwiek nastąpi, to Catlin, a nie Stone, będzie z nią pracował.

- Pan Chen - mówił dalej agent - przyleciał do nas z Chińskiej Republiki Ludowej. Przedstawił nam trudny problem. Sądzi, że ktoś kradnie starożytne brązy z Xi'anu i sprzedaje je w Ameryce.

- Z Xi'anu? - spytała Lindsay, wymawiając te słowa ze zmienną intonacją, zdradzającą doskonałą znajomość mandaryńskiego. - Z góry Li?

Chen Yi potwierdził skinieniem głowy.

- Z grobowca cesarza Qin? - naciskała, nie wierząc własnym uszom. - Mój ty Boże - westchnęła. - Czy twierdzi pan, że niektóre z grobowych brązów Qin są teraz w Stanach Zjednoczonych?

- Jeśli nie ma ich teraz, to wkrótce będą - potwierdził Chen.

- Gdzie? Kiedy? Kto je wwozi? - Pytania padały jedno po drugim, słowa zlewały się w jedno, tak podniecona była Lindsay.

Stone roześmiał się krótko.

- Nie wiemy. Dlatego właśnie potrzebujemy ciebie.

- Ale... - Lindsay potrząsnęła głową. Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć. - Jeśli wy nie wiecie, to skąd ja mam to wiedzieć? - zapytała w końcu.

- Czy słyszałaś jakieś plotki?

Westchnęła z udaną rozpaczą, przypominając sobie podobną rozmowę z Catlinem.

- Panie Stone... Brad - poprawiła się szybko, nim on zdołał ją poprawić - od 1980 roku, kiedy wiadomość o brązach znalezionych w Xi'anie została podana przez rząd chiński, nie słyszałam nic oprócz plotek. - Umilkła i odwróciła się gwałtownie ku Chińczykowi, przypominając sobie jego nazwisko w innym kontekście. - Pan jest ministrem do spraw archeologii w rządzie prowincji Shaanxi, prawda?

Chen Yi skinął głową.

Lindsay głośno wypuściła powietrze z płuc.

- To dla mnie zaszczyt poznać pana - szepnęła składając krótki, pełen wdzięku ukłon, jakim pozdrowić go mogła

Chinka, zwracająca się do starszego mężczyzny obdarzonego władzą.

Po raz pierwszy na ustach Chen Yi zagościł uśmiech. I uśmiech zmienił jego twarz; godny, być może nawet okrutny patriarcha stał się naraz ukochanym dziadkiem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, córko. Ach!

Stone niecierpliwie poruszył się na krześle, czekając na plotki, o których wspomniała Lindsay. Chen Yi obrzucił go ponurym spojrzeniem, skinął krótko głową i wrzucił niedopałek do popielniczki; papieros dopalał się w niej powoli.

- A co do plotek... - przypomniał Stone.

Lindsay odwróciła wzrok od Chińczyka.

- Nic z nich nie wynikło. Ilekroć szłam ich tropem, znajdowałam kopie lub oryginały Han, czasami nawet Shang, ale nigdy Qin.

- Czy pojawiło się coś nowego?

Roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było wesołości.

- Pojawia się bez przerwy. Każdy zbieracz, każdy pracownik muzeum, opętany jest manią posiadania czegoś z grobu cesarza Qin. Jak długo panuje taki popyt, ktoś zawsze znajdzie sposób zapewnienia podaży. Jakiś... sposób - dodała sucho.

- Żadne z tych brązów nie pochodziły z Xi'anu?

- Nie mogę mówić o wszystkich. Te, które widziałam, z pewnością nie.

Stone chrząknął.

- Ale nie widziałas wszystkich?

- Oczywiście - odpowiedziała chłodno. - Nie robię interesów na tym rynku.

- Jakim rynku?

- Niektórzy nazywają go szarym rynkiem, rynkiem cieni. Ale dla większości jest on po prostu czarny.

- A dla ciebie?

- Dla mnie to rynek paserski - powiedziała z pogardą, wyraźnie widoczną w grymasie ust.

- Ale niektórzy z twoich klientów załatwiają tam pewnie jakieś interesy?

- Nie przeze mnie.

- Jak możesz być tego pewna? - Stone zapalił papierosa. - Czy możesz stwierdzić bez najmniejszego wahania, że żadne z dzieł, które przewinięły ci się przez ręce, nigdy nie zostało sprzedane, kupione lub wymienione na czarnym rynku?

Lindsay otworzyła usta, by udzielić mu ostrej odpowiedzi, a później zamknęła je. Po chwili westchnęła.

- Nie - odparła spokojnie. - Nie mam całkowitej pewności. Ale bardzo się staram wykluczyć dzieła wątpliwej proveniencji.

- I czego szukasz? - Stone wydmuchnął w powietrze kłąb, tytoniowego dymu.

- Fałszerstw - powiedziała po prostu. - Jeśli mam do czynienia z oryginałem, sprawdzam osobę, która mi go przyniosła, jeśli reputacja tej osoby jest... - przerwała.

- Nie lepsza niż konieczne minimum - podpowiedział jej Stone ironicznie.

Skinęła głową.

- Jeśli reputacja handlarza jest wątpliwa, muszę założyć, że pochodzenie dzieła jest również wątpliwe. Więc sprawdzam je bardzo dokładnie. Ale mimo to... - znów się zawahała.

- Mimo to?

- Powiedzmy, że dzieło zostało ukradzione prawowitemu właścicielowi lub przemyczone z wykopalisk - mówiła Lindsay. - Niewielu handlarzy kupi coś bez dokumentacji. Pierwszą rzeczą, którą zrobi taki handlarz, jest sfalszowanie dowodu uczciwej sprzedaży. Potem sprzedaje albo

wymieni z handlarzem nieco bardziej skrupulatnym i udokumentuje transakcję kolejnym dowodem sprzedaży.

Spojrzała na Stone'a i na Chena, zastanawiając się, czy może mówi im rzeczy, o których i tak wiedzą. Obaj mężczyźni skupili na niej całą swą uwagę.

- Dzieło zostaje sprzedane lub wymienione po raz trzeci - mówiła dalej - i dochodzi trzeci dokument. Proszę pamiętać - z wyjątkiem pierwszego, wszystkie papiery są autentyczne. Często sprzedaż też nie jest podejrzana sama przez się. Handlarze wymieniają się między sobą częściej, niż sprzedają towar klientom. To sposób na rozszerzenie i poprawienie jakości zbiorów bez wydawania dużej gotówki.

Stone skinął głową. Przyglądał się jej uważnie zmrużonymi oczami, milcząco zachęcając Lindsay, by mówiła dalej.

- Przy czwartej transakcji nawet najuczciwszy handlarz zaakceptuje bez zastrzeżeń proveniencję dzieła. W rzeczywistości rzadko pyta się o więcej niż dwa dowody sprzedaży. Po prostu nie ma na to czasu, zwłaszcza jeśli dzieło jest średniej jakości.

- A handlarze, którzy nie troszczą się o dokumentację? Co z nimi?

- Istnieją - przyznała Lindsay głosem bez wyrazu. - W każdym zawodzie zdarzają się łobuzy. Nawet w FBI.

- Kim oni są?

- Chcesz listy? - Trochę zdziwiło ją to pytanie, a trochę rozniewało.

- Nie. Chcę ich poznać.

- Co? - wykrzyknęła zdumiona.

- Chcę, żebyś przedstawiła nas handlarzom, którzy mogą coś wiedzieć o skradzionych brązach Qin - stwierdził Stone prosto z mostu.

Powoli pokręciła głową.

- Nie zechcą się ze mną spotkać. A jeśli się spotkają, nawet nie pisną o skradzionych dziełach sztuki.

- Dlaczego?

Skrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

- Zawsze jasno mówiłam, co o nich myślę. Napisałam nawet na ten temat cykl artykułów w magazynie dla kolekcjonerów. Pogarda, jaką żywię dla złodziei i paserów, jest doskonale znana. Od lat już nie kontaktował się ze mną nikt, kto miałby na sprzedaż brąz wątpliwego pochodzenia.

Stone zerknął na Chena.

- I co?

Chen Yi chrząknął.

- To właśnie jej reputacja sprawiła, że jest niezbędna dla mych towarzyszy.

Lindsay obróciła głowę, jej kasztanowe włosy załśniły odbitym światłem.

- Co ma pan na myśli?

- Wiadomo, że nie można pani przekupić. - Chen Ti gwałtownie zaciągnął się papierosem. - Wiadomo także, że błyskawicznie rozpoznaje pani, czy brąz jest autentyczny, czy nie. Jest pani dokładnie taką osobą, jakiej potrzebują w poszukiwaniach moi towarzysze.

- Panie Chen, bardzo chętnie pomogłabym panu, gdybym tylko mogła, ale nikt nie przyniesie mi ukradzionych brązów właśnie z powodu mojej reputacji.

- Jasne, że przyniesie - powiedział od drzwi Catlin. - Nie będziesz pierwszą dobrą dziewczyną, która zeszała na złą drogę z miłości.

Tego głosu nie sposób było pomylić z żadnym innym. Lindsay obróciła się gwałtownie i spojrzała przez ramię na ciemnowłosego, potężnego mężczyznę, niedbale opierającego się o framugę. Jego słowa jeszcze do niej nie dotarły,

wstrząsnęła nią sama obecność. Niedawno rozmawiała z nim, śmiała się i zasnęła patrząc, jak gra w *madzonga*. Kiedy obudził ją stuk płytek, poczuła pokusę, by zaprosić go do siebie do łóżka; poprosić, by się do niej przytulił - żeby, gdy obudzi się zimna, z krzykiem uwiezionym w zaciśniętym gardle, znaleźć obok siebie kogoś gotowego ją pocieszyć.

Ale nie zrobiła nic. Wiedziała, że gdyby zeszłej nocy do niej przyszedł, to nie tylko po to, by ją przytulić. Nie chciała komplikacji związanych z tak prędką przygodą, w każdym razie nie teraz. Wystarczająco wiele miała kłopotów z falą zalewających ją wspomnień, z pytaniami o przeszłość, których nigdy nie zadała matce, pytaniami, na które nie będzie już odpowiedzi, przeszłość bowiem znalazła się poza jej zasięgiem.

Żałowała, że nie dotyczy to także koszmaru.

- Catlin? - była tak zaskoczona, że potrafiła wypowiedzieć tylko to jedno słowo. - Co ty tu robisz?

Spojrzał w jej szafirowe oczy i zaklął w duchu. Równocześnie stwierdził z żalem, że Lindsay potrafi kilkoma zaledwie słowami dotrzeć do każdej, nawet głęboko ukrytej, prawdy. Uczciwość - obosieczny miecz, gotów spaść w każdej chwili.

- Namawiam cię do podjęcia pracy, która może cię zniszczyć - powiedział wprost.

- Smoku... - odezwał się Chen Yi w mandaryńskim, ostrym tonem ostrzeżenia. Nagle przypomniał sobie, że Lindsay także zna ten język. Westchnął i zamilkł, ale mroczny wyraz jego oczu mówił wyraźnie o zdradzie.

- Wiesz - głos Catlina był równie nieubłagany i twardy jak jego spojrzenie - ci panowie czytali twoje akta tam i z powrotem, z góry na dół i z dołu do góry, ale nadal nie potrafią zrozumieć, kim naprawdę jesteś. Uczciwość. Sie-

działem po drugiej stronie lustra i słuchałem, jak krążą na paluszkach wokół tego, co jest tak naprawdę bardzo prostą propozycją.

Lindsay odwróciła się, nawet o tym nie myśląc, i spojrzała na oszukane lustro. Kiedy, zaniepokojona i zmieszana, zrozumiała wreszcie słowa Catlina, na jej policzkach rozkwitł rumieniec. Obróciła się gwałtownie w jego kierunku, mając na ustach gniewne pytania. Nie zadała ich, orientując się nagle, że gdzieś, głęboko, drzemie w nim gniew znacznie większy od jej gniewu.

- Jaka to propozycja? - zapytała ostrożnie.

- Znajdź zaginione brzozy cesarza Qin, a przy okazji uratuj stosunki między Ameryką i Chińską Republiką Ludową, by znów nie zapadła między nimi bambusowa kurtyna.

- Ale...

- Wiem - przerwał jej krótko. - Nic nie poradzisz, bo masz reputację uczciwej pośredniczki, a ludzie handlujący tego rodzaju towarami, nie zostaliby uznani za uczciwych nawet w Hongkongu. - Uśmiech Catlina nie niósł ulgi. - Więc musimy zająć się twą czcigodną reputacją i zepsuć ją nieco i tu, i w Xi'anie.

Lindsay drgnęła lekko.

- Nikt w to nie uwierzy.

Uśmiech Catlina stał się jeszcze zimniejszy.

- O słodka niewinności! - Potrząsnął głową. - To cud, że przetrwałaś tak długo bez opieki. - Uśmiech znikł nagle, tylko jego oczy były jaśniejsze, niemal żółte. - Ludzie nie mogą się doczekać, żeby stanąć wokół ciebie śpiewając: „Tak upadają bohaterowie” - stwierdził z kpina w głosie.

Lindsay odetchnęła gwałtownie, ale nie próbowała się z nim spierać, wiedziała, że ma rację.

- Nie mam zastrzeżeń, co do udzielenia wam pomocy

- powiedziała, zwracając się do Chena. - Chiny dały mi bardzo wiele. Będę zaszczycona, mogąc zrobić coś dla nich, nawet coś bardzo drobnego. Ale nie wiem, jak.

- Zostań oszustką - zaproponował Catlin zimno.

- Nikt w to nie uwierzy - stwierdziła ostro, znów obracając się ku niemu. - Dlaczego miałabym nagle zacząć pracować nieuczciwie? Pieniądze? Nie mam długów, bo nie żyję nad stan. Od lat odmawiam przyjmowania łapówek. Kocham brazy, ale nie cierpię na obsesję na ich punkcie, więc nie sposób mnie przekupić nawet wyjątkowym okazem.

- Nie? - spytał cicho. - A co powiesz o mnie?

I nagle, wreszcie, dotarło do niej, co powiedział wcześniej. „... dobra dziewczyna, która zeszała na złą drogę z miłości”.

Zrozumiała - pomyślał widząc, jak rumieni się jej jasna skóra.

- Nigdy nie uwierzą, że jestem nieuczciwa - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- A uwierzą, że się zakochałaś? Uwierzą, że kochasz tak mocno, że nic innego nie ma dla ciebie znaczenia? Mówiono mi, że takie rzeczy zdarzają się kobietom. - Ostatnie słowa wypowiedział bardzo chłodno.

- A mężczyznom? - rzuciła mu wyzwanie.

- Czasami. Jeśli spotkają odpowiednią kobietę. - Jego głos zmienił się, stał się bardziej miękki, lecz nadal pozbawiony otuchy. Widać było, że Catlin nie oszczędzi jej żadnej prawdy. - Ale w tym, co będziemy robić, nie ma miejsca na miłość. Po raz pierwszy w życiu, panno Danner, zostanie pani żywym kłamstwem. Lindsay, będziesz patrzyła, jak ludzie na twój widok uśmiechają się szyderczo i trącają łokciami. Ci, z którymi kiedyś nie zamieniłabyś słowa, zaczną się uważać za bardziej moralnych...

- Catlin! - przerwał mu gwałtownie Stone.

- Zamknij się. - Głos Catlina był spokojny, obojętny i przez to tym bardziej przekonujący.

Siedziała nieruchomo, przyglądając mu się prawie czarnymi oczyma.

- Ale nie to jest najgorsze - kontynuował bezlitośnie - bo przecież nic cię nie obchodzi opinia złodziei i głupców. To ludzie, których szanujesz, wyrwą ci serce z piersi. Tych ludzi także musisz oszukać. Wszystkich. Tu nie ma miejsca na półśrodki. Żadnych wyjaśnień, żadnych uśmiechów. Nie możesz nawet mrugnąć, zdradzić się nawet gestem. Żadnych wyjątków. Żadnych. Zorientujesz się, że ci się udało, kiedy ludzie, których podziwiasz, zaczną odwracać się do ciebie plecami, a ludzkie robaki będą cię zapraszać na kolacje.

Na chwilę zapanowała absolutna cisza. Siedzieli nieruchomo, tylko kłęby dymu z papierosa Chen Yi wolno unosiły się w górę.

- Dopiero wtedy staniesz się dla nas użyteczna - powiedział w końcu Catlin. - Kiedy będziesz zdolna jeść z robakami i nie udławić się.

Krew odpłynęła jej z twarzy, ale Lindsay nie powiedziała i nie zrobiła nic, tylko wpatrywała się w Catlina, jakby nigdy przedtem nie widziała tego rodzaju człowieka. Bo i nie widziała.

- I to także nie jest najgorsze. Dotrzesz w końcu do punktu, w którym zgniłe mięso zacznie ci smakować jak cielęcina, a robaki mimo wszystko będą ci się wydawać ludźmi. Aż pewnego dnia spojrzysz w lustro tylko po to, żeby zobaczyć w nim robaka.

Uśmiechnął się, Lindsay odwróciła wzrok.

- A może będziesz miała szczęście? Może znajdziemy brazy, nim stracisz wszelkie złudzenia na temat samej sie-

bie? Lecz nawet jeśli je znajdziemy, najgorsze jest jeszcze przed nami.

Podniosła na niego pełen niedowierzania wzrok tylko po to, by stwierdzić, że wpatruje się w nią spojrzeniem jednocześnie okrutnym i pełnym współczucia. Wszelkie protesty zamarły jej na wargach nie wypowiedziane.

- Najgorsze jest to, że kiedy wreszcie wszystko się skończy, kiedy Chen Yi wróci do domu z tarczą lub na tarczy, kiedy Stone dostanie kopa - w górę albo w dół - oni wszyscy poklepią cię tylko po główce i wrócisz do swojego świata. Tylko nie będzie to już twój świat. Z reputacją jest tak, jak z dziewictwem: traci się ją tylko raz.

- Chwileczkę! - głos Stone'a był poważny. - Z pewnością powiem szefowi Lindsay, że...

- A co z resztą świata? - parsknął Catlin. - Masz może zamiar dać ogłoszenia w magazynach branżowych? Poinformować wszystkich, że panna Lindsay Danner nie jest oszustką, że pomogła swemu rządowi wyjąć z międzynarodowego ognia bardzo ważne kasztany? Czy powiecie wszystkim, żeby przestali kpić i padli na kolana dziękując Bogu, że jedno z jego dzieci okazało się wystarczająco dzielne i wystarczająco głupie, by ryzykować wszystko, co dla niego cenne, w nadziei na pomoc dwóm rządóm, których niejaka Lindsay Danner nic a nic nie obchodzi?

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - stwierdził z przekonaniem Stone.

Śmiech Catlina rozniósł się echem po sali; był zimny jak lód.

- Ależ tak, oczywiście! A kiedy z góry przyjdzie rozkaz, nakazujący opieczętowanie akt całej sprawy stemplem „ściśle tajne” i pogrzebanie ich w archiwum, to co? Kto wtedy pomoże Lindsay odbudować z gruzów jej życie? Ty? Chen Yi? Jej szef?

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - powtórzył Stone.

Catlin tylko się uśmiechnął.

Lindsay zamknęła oczy, lecz ciągle widziała żółty płomień, palący się w spojrzeniu Catlina. Pytała w milczeniu samą siebie, jak kiedykolwiek mogła czerpać pociechę z jego obecności.

- To wszystko, Lindsay. Oto naga prawda, którą tak sobie cenisz. Otwórz oczy i przyjrzyj się jej. Dobrze się jej przyjrzyj. Zwycięstwo, remis czy klęska - nie będziesz mogła zawrócić. Naucz się, jak opierać życie na kłamstwie albo wyjdź stąd, nie patrząc za siebie. Wybierz. - Poczekał, aż otworzy oczy i dopiero wtedy dodał cicho. - Wybierz tak, byś mogła żyć ze swym wyborem. Bo kiedy już go dokonasz, nikt nie będzie z nim żył za ciebie.

Przechwyciła wzrok Catlina na dłuższą chwilę, a potem spojrzała na Chena i Stone'a.

- Czy to możliwe, by stosunki między Stanami i Chinami zostały zerwane przez sprawę tych brązów?

- Nie tylko możliwe - przyznał ponuro Stone. - To pewne.

Spojrzała na Chena, który spokojnie powiedział:

- Nie ma wątpliwości. Czas, kiedy Amerykanie byli wrogami, nie zatarł się jeszcze w pamięci wielu Chińczyków. I nie ma nikogo z twoimi kwalifikacjami, zdolnego pomóc nam w naszym kłopotcie.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Lindsay odwróciła się w stronę człowieka stojącego w drzwiach, najważniejszego w tym pokoju, choć milczącego.

- Catlin? - szepnęła.

Zauważył to i wiedział, dlaczego zwróciła się do niego, dlaczego właśnie jemu zaufała. Powiedział jej całą prawdę, podczas gdy inni mówili jej mniej niż pół. Ta chwila nadała

sens temu, że jej nie uwiódł poprzedniej nocy, chociaż miał okazję i pragnął zapomnienia równie mocno, jak ona. I wiedział, że oboje znajdują je w swych ramionach.

- Jeśli o to chodzi, możesz im zaufać. Dla Amerykanów to prosta kwestia ekonomiczna. Dla Chińczyków - kwestia zachowania twarzy wśród narodów świata.

Wypuściła powietrze z płuc z głośnym westchnieniem. Nie wątpiła już. Kwestia „zachowania twarzy” mogła większości Amerykanów wydawać się niejasna lub nawet śmieszna, ale Lindsay nie należała do „większości Amerykanów”. Mieszkała w Chinach, gdzie zachowanie twarzy było równie ważne jak życie i śmierć, ważniejsze nawet, bo twarz zwyciężała śmierć, przechodziła z pokolenia na pokolenie jak rytualne brzozy.

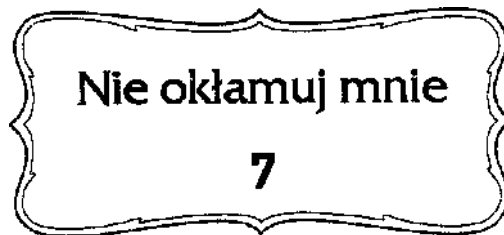
- A więc prawdziwe pytanie brzmi, czy zdołam żyć w zgodzie ze sobą, jeśli powiem „jiiie” - szepnęła.

Catlin czekał nie pokazując, o czym właściwie myśli.

- Nie mam wyboru - powiedziała cicho. - Zrobię, co mogę, niezależnie od tego, ile przyjdzie mi za to zapłacić.

Tylko Catlin dostrzegł drgnienie ręki, którą trzymała na kolanach. Stone i Chen Yi byli zbyt zajęci składaniem jej gratulacji. Nie mówił nic, przyglądając się tylko tej ręce i jej drzeniu. Dokładnie wiedział, jak czuje się żywa przyneęta. Znał to uczucie z przeszłości. Przysiągł sobie, że o nim zapomni.

I mylił się.



- Wychowano ją tak, by kochała Chiny i służyła im. Ale mimo to podjąłeś straszne ryzyko. - Chen przyglądał się Catlinowi poprzez zasłonę dymu.

Byli w jego mieszkaniu. Catlin stał przy oknie przyglądając się ulicy, przybierającej w świetle zachodzącego słońca kolor krwi. Na zapalenie lamp było jeszcze za wcześnie, tylko kilka taksówek jeździło na światłach tam i z powrotem w poszukiwaniu klientów.

- Nie ryzykowałem więcej niż pan.

- Proszę wyjaśnić!

- Jest niewinna - stwierdził Catlin głosem bez wyrazu.

- Bóg stworzył ją po to, by ją chronić, a nie wystawiać na pierwszą linię ognia.

- Wszyscy rodzimy się niewinni. I wszyscy trafiamy na pierwszą linię ognia.

Catlin odwrócił się jednym ruchem, błyskawicznym lecz kontrolowanym. Drapieżnym.

- Nigdy nie spotkał pan kogoś rzeczywiście dobrego? - spytał cicho.

- Tak. Raz. - Chen Yi gwałtownym gestem wrzucił papierosa do kominka. - Nie należy mylić dobroci ze słabością. To fatalny błąd, smoku. I taki amerykański.

- Niech pan nie myli niewinności z głupotą - odpowiedział mu Catlin. - To także fatalny błąd. I taki chiński!

Chen stał, trzymając ręce w kieszeniach marynarki, i czekał.

- Gdybyście powiedzieli Lindsay tylko pół prawdy: że Chiny jej potrzebują, zgodziłyby się bez wahania. - Głos Catlina był bezbarwny, choć w duszy wrzał mu gniew. - Ale rozleciałyby się na kawałki, w chwili gdy pierwszy przyjaciel odwróciłby się od niej z obrzydzeniem. W tej właśnie chwili zorientowałyby się, co to znaczy być tajnym agentem. I wtedy także zorientowałyby się, że kłamaliście, nie mówiąc jej całej prawdy. Zaczęłyby kwestionować wszystko, co jej powiedzieliście, włącznie z celem, do którego zmierzacie. A wtedy, mój ty ukochany wrogu, całe to gównó zwaliłoby się wam na łeb. Lindsay nie sprzedałaby duszy ludziom, którzy ją okłamali. Jest niewinna, ale nie głupia.

Syk płomienia przerwał ciszę. Rozległ się metaliczny trzask zamykanej zapalniczki. Chen Yi zaciągnął się mocno i spojrzał na swego zbyt inteligentnego smoka, wspominając chwilę, w której Lindsay zwróciła się do niego, jako jedyne źródła prawdy w sali pełnej półprawd i oczywistych kłamstw.

- Ach!

Chrapliwemu okrzykowi towarzyszył bardzo chłodny uśmiech. Chen schował zapalniczkę do kieszeni. >

- Więc teraz jest pan jedyną osobą, której ufa. - Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie faktu.

- Tak.

Śmiał się, jakby nigdy nie miał przestać.

- A co dalej, smoku? - zapytał w końcu, wyciągając z uśmiechem nowego papierosa.

Catlin odwrócił się do okna. Nie wierzył, by udało mu się dalej patrzeć Chińczykowi w oczy.

- Kiedy mają przyjechać pańscy towarzysze?

- Nie wiadomo.

Zacisnął usta.

- Czy pan im ufa, a co ważniejsze, czy oni ufają panu? Odpowiedzią była cisza. Odwrócił się.

- Czy wiedzą o połówce monety z jaskółką? Czy wiedzą, że wybrał pan Lindsay na długo przedtem, nim za jednostronnym lustrem odbyła się ta farsa? Czy pańscy towarzysze są częścią planu, jakkolwiek by on był?

- To oni wybrali pana na naszego doradcę.

- Tak samo, jak FBI „wybrało” Lindsay? - Catlin odpowiedział mu pełnym ironii pytaniem. - Czy pańscy towarzysze znają moją przeszłość?

Z ust Chena wypłynął obłoczek dymu.

- Nie rozmawialiśmy o niej. Nie ma to żadnego znaczenia. Miecz jest mieczem, niezależnie od dłoni, dla której go wykuto.

- Lecz kormoran przybywa tylko na wezwanie pana.

- Jaka szkoda, że nie mam do czynienia z kormoranem.

- Chen gwałtownie machnął ręką. - Czego chce się pan ode mnie dowiedzieć?

- Czy to pan wybierał ludzi, którzy przyjechali do Stanów?

- Nie.

- A więc są wrogami!

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza, a unoszący się dym układał się w przypadkowe wzory. Catlin sądził jednak, że Chen jakoś mu odpowie i rzeczywiście doczekał się odpowiedzi. Miękkiej, nieokreślonej jak płynące pod sufit smugi dymu.

- Mądry człowiek zakłada, że ma samych wrogów.

Westchnął rozczarowany i znów spojrzął w zalaną czerwonym światłem, leżącą w dole ulicę. Wiat silny wiatr poruszający cienie, gałęzie drzew chwiały się i drżały, jakby pragnęły uciec przed nadchodzącą nocą.

- Jak ma pan zamiar to zorganizować? - pytał dalej.
- Będziemy podróżować we trójkę? Chce pan udawać, że się nie znamy? Czy pańscy towarzysze dowiedzą się o „Żądle”?

- Pojawię się w wielu miejscach, w których i wy będziecie, ale nie jako minister do spraw archeologii. Będę mieszkańcem Tajwanu, handlarzem starymi brązami. Da mi to dobry pretekst do okazjonalnych kontaktów z panną Danner. Przez pana.

- Jeśli pańscy towarzysze pracują dla złodziei, ta nowa tożsamość została spalona, nim jeszcze opuścił pan Chiny.

- Lecz jeśli zaczną działać w oparciu o swą wiedzę, ogłoszą wszem i wobec, że są zdrajcami. To nie byłoby mądre. A jeśli chodzi o inne sprawy, bardzo nalegałem na pana Stone'a, by nie wspominał moim towarzyszom o naszej rozmowie z panną Danner. Będą po prostu przypuszczać, że obdarza ją pan swymi łaskami, by użyć jej dla ich celów.

- I to niemal prawda. - Catlin przymknął oczy. Wydatne kości policzkowe stały się jeszcze wyraźniejsze w świetle zachodzącego słońca. - Ale czy oni w to uwierzą?

- Pan Stone powie im, że rozmawiał z kilkoma ekspertami, powiedział im o zaginionych brązach i prosił o informacje. Informacje, które zdobędzie od handlarzy, trafią także do pana. Pan Stone nie powie im nic o panu, ponieważ ma nie wiedzieć, że pracuje pan bezpośrednio dla mnie. Moi towarzysze w to uwierzą, bo od początku mieli zamiar kupić pana jako naszego eksperta i źródło informacji o Ameryce.

- Jeśli pańscy towarzysze pomagają oszustom, czy nie będą starali się zapobiec otrzymaniu przeze mnie informacji, które mają dotrzeć do pana?

- To jedna z możliwości. Jeśli rzeczywiście któryś z moich towarzyszy jest winny zdrady.

Catlin chrząknął.

- A więc Lindsay narażona jest na bezpośrednie niebezpieczeństwo?

- Być może tak, być może nie.

- Dlaczego nie?

- Kto - zapytał cicho Chen - wyda opinię o autentyczności brązów, jeśli nie panna Danner?

- Handlarz, który je kupi - odwarknął Catlin.

- Lecz jeśli to nie handlarz będzie kupował albo handlarz nie całkiem obiektywny w swych opiniach, co wtedy, smoku? Komu uwierzą moi towarzysze? Kto, ich zdaniem, nigdy ich nie oszuka? Czyjej opinii zawierzy kupujący?

Na te pytania istniała tylko jedna, oczywista odpowiedź. Złodzieje będą w końcu potrzebować opinii Lindsay Danner z tego samego powodu, z którego będą jej potrzebować Chen Yi i jego towarzysze: nikt nie zaryzykuje podważenia jej wyroku, nawet gdy skompromituje ją związek z mężczyzną, kupującym brązy wątpliwego pochodzenia, choć niewątpliwiej autentyczności.

Chen zaciągnął się papierosem, którego koniec przez chwilę żarzył się jak drugie słońce.

- Prawdę mówiąc nie spodziewam się znaleźć brązów przez ekspertów i handlarzy, których listę dałem FBI - stwierdził. - Zgadzam się z pańskim zdaniem, że złodzieje muszą mieć dobre kontakty z członkami mojego rządu. Będą wiedzieć, z kim FBI rozmawiało, a z kim nie.

- Więc dlatego umieścił pan na liście trzech największych oszustów? Chciał ich pan wyeliminować z gry na

samym początku? I to samo z najbardziej znanymi i uznanymi znawcami? Jednym ruchem wyrwał pan serce opozycji. Wspaniałe posunięcie, Chen Yi. Moje gratulacje.

- Ograniczy to złodziejom pole manewru - zgodził się Chen - i spowoduje, że ich odwołanie się do opinii panny Danner będzie jeszcze bardziej prawdopodobne.

- Dlaczego? Lindsay także pojawi się na liście. Dowiedzą się o niej.

- Na tej liście pojawiły się dwie kobiety. Jeśli ktoś będzie chciał je sprawdzić, dowie się, że jedną z nich jest blondynka beztrudno traktująca swą reputację. Pan O'Donnell przyprowadził ją na test zaraz po tym, jak panna Danner opuściła budynek. Ta kobieta weszła i wyszła głównym wyjściem. Panna Danner nie.

- To miło, że pańscy towarzysze pochorowali się w Los Angeles. Oszczędzili Lindsay zabawy w chowanego także z nimi.

- To było szczęśliwe zrządzenie losu.

Catlin dostrzegł samotnego przechodnia, zmierzającego do stojącej przy krawężniku taksówki. Po chwili człowiek ten wycofał się, najwyraźniej wściekły, i machał na inną, akurat przejeżdżającą ulicą. Widząc to uśmiechnął się krzywo. Przypuszczał, że gdyby to on zszedł na dół, zabrano by go wszędzie, niezależnie od pory dnia i dystansu. Na dole, w zwykłym samochodzie, siedział kolejny strażnik. Bez wątplenia z FBI. Dom Lindsay z pewnością był także pod obserwacją.

Papieros Chena płaskim łukiem poleciał do kominka. Chińczyk nie przyglądał mu się, patrzył wyłącznie na mężczyznę stojącego twarzą do okna i zadającego pytania, na które wolałby nie udzielać odpowiedzi. Lecz za łowienie ryb ze smokiem płaci się wysoką cenę.

- Kiedy brązy pojawiają się w Stanach?

- Tego nie wiem.

Catlin nie zastanawiał się, czy wierzy, czy też nie w słowa Chińczyka. Znaczenie miał tylko fakt, że tu i teraz nie dowie się, kiedy się pojawią. Nie wie także, ile czasu będzie potrzebowała Lindsay, ile czasu zajmie mu zrobienie z niej choćby imitacji gracza.

- Ile czasu potrzeba, by zrujnować reputację, którą budowało się przez całe życie? - zapytał głośno, z goryczą.

- Wystarczy chwila - odpowiedział mu Chen. - Właściwa chwila.

- I niewątpliwie załatwi pan jej nadejście?

Chen wzruszył ramionami.

- Jak to mówicie wy, chrześcijanie? Bóg da?

- Znacznie odpowiedniejszy byłby chyba inny cytat: „Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie pochwalone imię Jego.” - Catlin powiedział to twardo, z zacisniętymi zębami.

- Co za niezwykle postawienie sprawy - zauważył Chen po chwili.

- Nie ja to wymyśliłem. - Catlin odwrócił się gwałtownie. - Mnie osobiście bardziej odpowiada inny sposób rozumowania: „Oko za oko, ząb za ząb.”

Chińczyk uśmiechnął się.

- Jak powiedziałem, pod zewnętrzną, zachodnią powłoką jest pan w istocie chińskim prawodawcą.

- A co budzi najwyższe uczucia w panu?

- Historia. Rodzina. Twarz.

Odrócił się od człowieka, stojącego w blasku zachodzącego słońca. Catlin przyglądał się, jak idzie do drzwi, otwiera je i bezszelestnie zamyka za sobą. Stanął przy oknie i wyglądał, czekając, aż Chen pojawi się przed budynkiem na ulicy. Po kilku chwilach zasunął zasłony.

Chen nie pojawił się.

Catlin wykapał się, ogolił i ubrał szybko. Tego wieczora miał się odbyć bal, połączony ze zbiórką pieniędzy na fundusz wyborczy pewnego senatora, jedna z tych wspaniałych kolacji, wymagających obecności bogatych patronów sztuki, zbieraczy, kustoszów i w ogóle każdego, kto chciałby wspomóc finansowo senatora - przewodniczącego komitetu nadzorującego rządowe programy wspomagania działalności artystycznej. L. Stephen White był początkowo zaproszony na to przyjęcie jako przedstawiciel Muzeum Sztuki Azji, lecz nie mógł przyjść z powodu lekkiej grypy. Miała go zastąpić Lindsay w towarzystwie Catlina.

„Ile trzeba czasu, by zrujnować reputację?

Wystarczy chwila. Właściwa chwila.”

Zastanawiał się, czy ta chwila nadejdzie dzisiaj. Na tę myśl jeszcze mocniej zacisnął usta. Wyszedł i podszedł do taksówki, której kierowca od dwóch godzin nie brał pasażerów. Sam otworzył sobie drzwi i kazał zawieźć się do mieszkania Lindsay. Kiedy dojechali, wysiadł zatrzasnął drzwiczki samochodu.

- Hej, a kto mi zapłaci? - upomniał się kierowca.

- Powiedz Stone'owi, że cię wykiwałem.

Mężczyzna zamilkł, zszokowany, a później zaklął.

- Jak mnie namierzyłeś?

- Od lat nie jeździłem z taksówkarzem tak pięknie mówiącym po angielsku.

Odchodzącego Catlina dobiegł żałosny śmiech agenta. Nie trzeba go było prosić, żeby nie odjeżdżał, nim wróca tu oboje. Taksówka będzie czekać na nich przy krawężniku jak wiemy pies.

Lindsay otworzyła mu drzwi nim zdążył zapukać. Ubrana była w złotą, jedwabną bluzkę i pasującą do niej, obcisłą spódnicę, naszywaną drobnymi, błyszczącymi okruchami kryształu. Rozcięcie z boku ukazywało długie, piękne no-

gi. Bluzka była wprawdzie luźna, lecz pod ciężarem ozdób przylegała do piersi, mieniąc się łagodnym blaskiem przy każdym oddechu. Od gładkich, lśniących kasztanowatych włosów po delikatny, ekscytujący zapach perfum, wszystko w niej było czyste, nietknięte, promienne.

Nagle poczuł ochotę, by obrócić się na pięcie i wyjść, a na wszystkie pytania odpowiedzieć tylko: „Do cholery, nie mam zamiaru zrujnować życia kobiecie takiej jak ona tylko po to, by spłacić długi zaciągnięte przez znacznie młodszego, znacznie głupszego człowieka”.

- Jeszcze możesz się wycofać - powiedział na powitanie. Głos miał całkowicie obojętny.

Rozszerzone zdumieniem oczy Lindsay stały się jeszcze bardziej niebieskie. Powoli potrząsnęła głową, w jej włosach zatańczyło światło.

- Posłuchaj mnie! - Ujął dłonią jej podbródek tak, by nie mogła poruszyć głową. - Nie ma słów na opisanie tego, czym jest tajna akcja. Nie jesteś wystarczająco twarda.

Przed oczami zobaczyła nagle koszmar jak czarny wir; obracająca się spirala krzyków... strachu... przez noc biegło dziecko z okrwawionymi dłońmi. W tym koszmarze ukrywała się rzeczywistość tego, co minęło - dzieciństwo spędzone wśród ludzi porozumiewających się szeptem, strzały i cisza taka, jaką znają tylko osaczone zwierzęta.

- Przeżyłam więcej niż inni - powiedziała ochrypłym głosem. A kiedy dostrzegła, że chce się dalej sprzeczać, położyła mu palce na ustach gestem, który zaskoczył ich oboje. Natychmiast cofnęła dłoń. - Zrobię, co obiecałam. I - jeden z kącików jej ust uniósł się w uśmiechu - nie powiem, że mnie nie ostrzegałeś, jeśli ty nie powiesz: „a nie mówiłem”.

Wpatrzona w nią nieruchome, bursztynowe oczy nie rozjaśniły się uśmiechem.

- Robisz straszne głupstwo, Lindsay Danner.
 - A ty? - parsknęła.
 - Zastawiam pułapkę z żywą przynętą.
- Uśmiech znikł z jej twarzy.
- Przecież wiem, dokąd mnie prowadzisz. Sam mi to powiedziałeś.
 - Doprawdy?
 - Tak. Do piekła.
 - A ty mi nie uwierzyłaś?
 - Oczywiście, że uwierzyłam! Widziałam prawdę w twoich oczach, słyszałam ją w twym głosie.
 - A jednak idziesz ze mną.
- Wzruszyła ramionami, jedwab i kryształły poruszyły się zmysłowo.
- Nie będę pierwszą kobietą idącą do piekła za mężczyznę. I - dodała ze spokojną pewnością - nie będę pierwszą, która wróci z piekła, niosąc w dłoniach obietnicę wiosny.
 - Persefona przyniosła ze sobą także zimę. - Catlin przypomniał sobie stary mit.
 - Tak. Świat stał się dzięki temu znacznie bardziej interesujący, nie uważasz?
 - Powtórz to za kilka miesięcy - warknął. Popatrzył w jej nieruchome źrenice i po chwili odwrócił wzrok, opuścił rękę. - Niech i tak będzie - zgodził się smutno.
- Na chwilę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, nie było w nich śladu uczucia - ani gniewu, ani współczucia, ani złości, ani otuchy. Świeciły tylko inteligencją drapieżnika i opanowaniem... także drapieżnika.
- Czy na kolacji będzie któryś z twoich klientów?
- Podobnie jak wzrok, jego głos był także pozbawiony wszelkich emocji, niemal nieludzki. Patrzyła, nie potrafiąc uwierzyć, że to ten sam człowiek, który przed chwilą zapu-

- kał do drzwi, przyjrzał się jej z zachwytem i próbował skłonić do rezygnacji z poszukiwań brązów cesarza Qin.
- Będzie? - ponagliła.
 - Ttt... tak. - Zająknęła się, wyprowadzona z równowagi. - Jak ty to zrobiłeś? - spytała, nim miał okazję zadać kolejne pytanie.
 - Co zrobiłem?
 - Ukryłeś... ukryłeś uczucia.
 - Tego nauczysz się w piekle - wyjaśnił obojętnie. - A którzy będą? - Teraz interesowały go tylko dwie sprawy: brązy i druga połowa zniszczonej monety.
 - Którzy co?
 - Którzy klienci tam dziś będą? - W jego głosie nie było ani ciekawości, ani zniecierpliwienia, brzmiała w nim wyłącznie pustka, którą należało wypełnić odpowiedzią. Lindsay potrząsnęła głową. Nie dowierzała własnym zmysłom.
 - Nic dziwnego, że Chen Yi nazywa cię smokiem - szepnęła.
- Milczenie.
- Sharen Kerry - powiedziała w końcu. - Dave Goldstein. Pan Tom Stoltz z żoną.
 - Wymieniasz począwszy od najuczciwszych? Lindsay zawahała się.
 - Ja... Oni wszyscy byli ze mną uczciwi.
 - Och, daj spokój tym bzdurom - warknął Catlin. - Przecież wiesz, o co mi chodzi. Jeśli miałabyś na sprzedaż brąz wątpliwego pochodzenia, do którego z nich poszłabyś najpierw?
- Nieświadomie przygryzła wargi.
- Do Stoltza. On dużo kupuje od Jackie Merriman. Jackie nie jest nieuczciwa - dodała szybko - tylko beztroška. Jeśli coś się jej podoba, nie zadaje niewygodnych pytań, nawet gdy papiery budzą pewne wątpliwości.

- A potem?
 - Dave. Ostro licytuje.
 - To została nam Sharen Kerry.
 - Daj spokój. Sharen prowadzi lekcje wychowania plastycznego w drogiej prywatnej szkole w doskonałej dzielnicy. Zemdlałaby na myśl o dziele niewiadomego pochodzenia.

- A ty byś zemdlała?
 - Nie. Po prostu nie kupiłabym go i nie poleciła klientowi.

- Skąd Sharen ma pieniądze na tego rodzaju hobby?
 - Miała szczęście do rodziców - stwierdziła Lindsay kpiąco.

- Będą tam dziś jacyś handlarze?
- Całe mnóstwo.
- Uczciwi? Nieuczciwi?
- Tak-przytaknęła jadowicie.

Catlin wpadł na kilka pomysłów, rozważył je po kolei i po kolei odrzucił. Wiedział, co powinien zrobić. Tylko nie podobało mu się, że musi zrobić właśnie to.

- W porządku - powiedział nagle. - Dziś masz dać najlepsze w swej karierze przedstawienie. Zagrasz kobietę, która swymi ślicznymi, małutkimi stopkami wdepnęła w wielką aferę miłosną. Jak zwykle będziesz załatwiała normalne interesy, ale nie odstępuj mnie na krok. Sprawiaj wrażenie nieco roztargnionej. Nie nieuprzejmej, po prostu zajętej przede wszystkim mężczyzną, będącym twym nowym kochankiem. Wystarczająco dobra z siebie aktorka?

Lindsay przypomniała sobie, jak obserwowała go grającego w *madžonga* i myślała, że dobrze byłoby pójść z nim do łóżka, schronić się za jego spokojem, siłą, ciepłem.

- Nie ma sprawy - powiedziała jak najbardziej zgodnie z prawdą. - Bardzo zajmujący z ciebie mężczyzna.

Najpierw zastanowił się, czy jest szczerą. A potem stwierdził, że tak. Nie była aktorką i w tym tkwił problem. Uśmiechnął się z odrobiną goryczy, wbrew samemu sobie zaskoczony, że przyznała się do zainteresowania nim. Znów pożałował, że nie jest tego rodzaju kobietą. Gdyby miał z nią romans, ich akcja zyskałaby wiele na realizmie. Tego rodzaju realizmie, który mógłby uwiarygodnić grę agenta-amatora. Nie mówiąc już o tym, że byłaby to dla niego prawdziwa przyjemność.

Ale wiedział też, że Lindsay nie należy do kobiet, które biorą sobie kochanka na jedną czy kilka nocy. Nie kochałaby się tylko po to, by stworzyć atmosferę odpowiednią do akcji. Była wybredna - co dało się odczytać z jej akt, z ciała, z całego życia, przemawiała przez nią duma, inteligencja i pewność siebie, zupełnie nie pasująca do jednej czy drugiej, przypadkowej przygody.

- I - mówiła dalej - jestem pewna, że bardzo, ale to bardzo dobrze radzisz sobie z tego rodzaju grą. Będę cię obserwowała i naśladowała,

Catlin skinął głową i rozluźnił się nieco. Przynajmniej nie oburzyła się na pomysł, by pokazać światu, że ma nowego kochanka. Dla kobiety takiej jak ona było to jak wzięcie pierwszej przeszkody.

- A co z mężczyznami w twym życiu? - spytał. W aktach nie znalazł wzmianki o aktualnym kochanku, ale przecież jej akta nie mówiły też nic o śmierci matki.

Potrząsnęła głową, w jej włosach zatańczyło złoto.

- Nie mam nikogo, komu musiałabym się tłumaczyć. Jeśli o to ci chodzi.

- Doskonale - stwierdził wprost. - I nie wolno ci utrzymywać żadnych znajomości zaprzeczających wizerunkowi kobiety, która przeżywa właśnie płomienną miłość.

Nagły uśmiech Lindsay ożywił wszystkie jego męskie

instynkty. Lecz uśmiech ten zaraz zbladł, pozostawiając po sobie wyłącznie obraz powagi i uczciwości, będącej tak fascynującą, tak niebezpieczną cechą jej osobowości.

- Nigdy nie przeżyłam płomiennej miłości - szepnęła, uśmiechając się w odpowiedzi na jakże męską reakcję jej gościa, patrząc na czystą linię jego ust. - Będziesz musiał mi powiedzieć, co mam robić.

- A pragniesz jej?

- Czego?

- Płomiennej miłości!

Zdumiona, szeroko otworzyła oczy.

- Więc nie drażnij mnie - zakończył chłodnym głosem.

Drgnęła, jakby wymierzył jej policzek, rumieniec ogarnął całą jej twarz. Zapadła cisza - długa cisza, gdyż Catlin czekał, aż zniknie jej rumieniec,

- Posłuchaj mnie, Lindsay. Słuchaj mnie tak, jakbym teraz bronił cię przed szaleństwem. Bo właśnie przed szaleństwem cię bronię.

W jego dźwięcznym głosie wyczuła irytację i gniew, współczucie i opanowanie. Przede wszystkim opanowanie.

- Spójrz na mnie - rozkazał.

Dłonie Lindsay poruszyły się, jakby właśnie leżała w łóżku, niespokojnie przewracając się z boku na bok i broniąc przed kolejnym atakiem koszmaru. Catlin odebrał ten gest jak cios nożem - dowiedział się z niego, że ją zranił. Nie chciał jej krzywdzić, ale godząc się na propozycję Chena wiedział, że nie zdoła tego uniknąć. Mógł zapewnić względne bezpieczeństwo ciała, lecz jej zdrowych zmysłów nie zdoła obronić sam. To należało do niej, a on powinien wskazać jej wszystkie sposoby obrony.

- Jedną z najtrudniejszych rzeczy podczas prowadzenia tajnych akcji jest oddzielenie publicznych kłamstw od prywatnych prawd - mówił, patrząc na opuszczoną głowę

Lindsay oczami pełnymi smutku. - Przy ludziach możesz flirtować ze mną, ile tylko chcesz, właściwie nawet powinnaś, w końcu masz sprawiać wrażenie zakochanej. Ale przez cały czas musisz zdawać sobie sprawę, że grasz i że nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością.

- Nie powinno tu być żadnego konfliktu - stwierdziła głosem pozbawionym jakiegokolwiek intonacji, w dalszym ciągu odwracając twarz. - Nie flirtuję przy ludziach.

Z całej jej postawy wyczytał, że Lindsay nie ma zamiaru zaczynać dzisiaj. Ani kiedykolwiek w dającej się przewidzieć przyszłości. Właśnie wypadł z listy interesujących mężczyzn.

Przesunął palcem po jej policzku, po włosach na skroni, po wrażliwej krawędzi ucha. Wewnętrzna strona kciuka musnął miękkie usta.

A potem przemówił - głosem tnącym jak bicz.

- Uciekasz?

Drgnęła i odskoczyła, broniąc się przed zmysłowym dotykiem jego dłoni.

- Czego ode mnie chcesz? - szepnęła, patrząc na niego szeroko rozwartymi, ciemnymi oczami.

- Gry. To wszystko. Graj.

- Ale...

- Wiem. Jesteś okropną aktorką. Więc wycofaj się, póki możesz, Lindsay Danner. Wycofaj się zaraz!

Znów się zarumieniła, tym razem nie ze wstydu, lecz ze złości.

- Idź do diabła, Catlin! Powiedziałam, że zrobię to, i dotrzymam słowa.

Dostrzegł rumieniec i złość w jej szafirowych oczach i zauważył, jak gniew podkreśla jej urodę. Nie mógł się powstrzymać od myśli, jakby to było, gdyby odpowiedziała mu tak z miłości raczej niż z gniewu. Poczł gwałtowny

przyplątł pożądaną i zignorował go. Nauczył się od Mei, jak strasznym głupstwem jest dać się ponieść pożądanemu. Tej lekcji nie zapomni nigdy.

Spojrzał na zegarek. Jeśli wkrótce nie wyjdą, spóźnią się bardziej, niż wymaga tego etykieta. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że Lindsay nie jest jeszcze w stanie pizekonująco zagrać kobiecie, cieszącej się przyjęciem w obecności najnowszego kochanka. Wyciągnął rękę, z wyrachowaniem położył na jej karku. Cofnęła się i takiej właśnie reakcji oczekiwał.

- Nie najlepiej - stwierdził ostro. - Kiedy już otworzę drzwi, będziesz musiała przekonać cały świat, że jesteśmy kochankami albo wkrótce nimi będziemy. Pocałuj mnie, Lindsay. Zagraj kobietę płonąca z pożądania.

- Drzwi są jeszcze zamknięte - odparła, wyraźnie wymawiając każde słowo.

Catlin otworzył drzwi. Stał w nich i czekał.

Lindsay odetchnęła głęboko i przyjrzała mu się uważnie. W bladej twarzy jej oczy były niemal czarne. Uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu więcej było gniewu niż zmysłowego oczekiwania. Objęła go za szyję, wspięła się na palce, wplotła dłonie w jego gęste, ciemne włosy... a potem pociągnęła go za nie mocno i niezbyt delikatnie zacisnęła mu zęby na uchu.

- Prawdziwy z ciebie sukinsyn - wyszeptła w nie swym ochrypłym głosem.

- Zdziwiłabyś tym moich rodziców - szepnął w odpowiedzi, objął ją i przytulił mocno, tak mocno, że musiała zrozumieć, iż on także może ją ukarać. Błyskawicznie odwrócił głowę i dotknął wargami jej ust.

Zesztywniała, spodziewając się dzikiego, męskiego pocałunku. Jak zwykle, Catlin zdołał ją jednak zaskoczyć. Pocałował ją delikatnie, pieszczotliwie. Dłońmi powoli

przesunął po szyi i ramionach, muskając delikatne sploty nerwów, pieszcząc ją z wrażliwością, jakiej nigdy jeszcze nie spotkała u mężczyzny. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, poddała się jego uściskowi, zamiast odsunąć się, przylgnęła do niego jeszcze mocniej.

Podniósł ją, aż ich usta znalazły się naprzeciw siebie... i pod miękkim jedwabiem ciała Lindsay przeszły fala gorąca. Oddychała szybko, obracała głowę, pragnąc dotknąć jego kpiących, fascynujących ust, uciekających przed pocałunkiem, którego nagle zapragnęła. Broniłaby się, gdyby próbował rozewrzeć jej usta siłą, ale w jego uścisku nie było brutalności, nie było złości, nie chciał jej za nic karać, tylko ruchliwym językiem przesunął zrecznie po jej wargach.

- Catlin - szepnęła na pół z gniewem, na pół w zmysłowej odpowiedzi na pieszczoty, nie wiedząc, co czuć, co robić, co grać, co...

I naraz zapomniała o wszystkich pytaniach, bowiem jego głowa poruszyła się; całował ją teraz z tą samą delikatnością, z jaką poprzednio pieścił jej wargi. Jego smak paraliżował wszystkie zmysły, zmieniając gniew w reakcję najzupełniej inną. Tkwiące w gęstych włosach dłonie rozluźniły uścisk. Gładziła je, radując się tym, jakie są sztywne i gęste. Dotyk jego gorącego języka powodował, że drżała niepowstrzymanie. Zapomniała o gniewie, o niepewności, o otwartych drzwiach i o tym, że za progiem istnieje jakiś świat. Nie czuła nic, oprócz namiętnego pocałunku, w którym zdawała się rozplątywać.

Po dłuższej chwili podniósł głowę.

- Powinno wystarczyć - stwierdził bardzo cicho, widząc jej czerwone, lekko spuchnięte usta, patrząc w jej nie całkiem przytomne oczy. - Wreszcie wyglądasz jak trzeba.

Powróciła nagle do rzeczywistości i było to tak, jakby ktoś wrzucił ją w przerębel.

- Dlaczego mi to robisz? - szepnęła.

- Sama to sobie robisz. Zgłosiłaś się na ochotnika, pamiętasz? - Rozluźnił uścisk tak, że zsunęła się po jego ciele i znów stanęła na podłodze. - Nie - przykrył jej usta swoimi widząc, że chce powiedzieć coś więcej. - Pokłócimy się o to później - szepnął, dotykając nosem jej ucha delikatnie, jak kochanek, a jednocześnie ściskając dłońmi ramiona aż do bólu. - Nigdy nie zapominaj, że przy otwartych drzwiach masz grać.

Podniosła wzrok na jego napiętą, smutną lecz jednocześnie groźną twarz, spojrzała w twarde, beznamienne oczy. Potrząsnęła głową, jakby nie potrafiła czegoś zrozumieć. Rozkoszne ciepło, które falą przepłynęło przez jej ciało, rozpraszało się gdzieś, znikając, zostawiając ją pustą, wstrząśniętą. Na chwilę zamknęła oczy, zdumiona tym, jaka była naiwna i głupia pozwalając, by to, jak bardzo pociągał ją Catlin, kazało jej uwierzyć, że ona pociąga go także.

W następnej chwili zdała sobie sprawę, że nie ma teraz czasu na żale, nie ma czasu na gniew, nie ma czasu nawet na odzyskanie spokoju. Drzwi były otwarte, przedstawienie musi toczyć się dalej. Nauczę się tego - obiecała sobie, pewna, że jej się uda. Muszę!

- Ja... jak mam cię przedstawić ludziom? - spytała głupio, nienawidząc się za to, że jej głos drży.

- Catlin, Jacob MacArthur, Prawdziwy Sukinsyn - podpowiedział chłodno, cicho, przypominając jej, że ktoś lada chwila może pojawić się przed drzwiami.

- Trudno zaprzeczyć. - Jej głos był równie cichy. - Ale nie wiem, jak zarabiasz na życie.

- Stone ci nie powiedział? - wyszeptał w jej włosy,

wyjmując jednocześnie klucze z dłoni zbyt drżącej, by mogła zamknąć drzwi. Miał nadzieję, że - jeśli ktoś obserwuje tę scenę - dostrzeże w jej drżeniu pożądanie raczej niż gniew.

- Stone oznajmił, że sam powiesz mi wszystko, co powinnam wiedzieć. - Drzwi były już zamknięte, więc wyciągnęła dłoń po klucze i włożyła je do naszywanej okruciami kryształu torebki. - Mam jutro do niego zadzwonić.

Na ustach Catlina pojawił się cyniczny uśmiech. Wiedział, jak bardzo Stone pragnie tej rozmowy. Wycisnie z Lindsay wszystkie możliwe informacje, w nadziei że on sam stanie się nieostrożny i powie jej więcej, niż już powiedział.

- Jestem współwłaścicielem i jednym ze stałych ekspertów Pacific Rim Foundation - wyjaśnił, biorąc Lindsay pod rękę. - To taki zespół ekspertów do spraw Azji - dodał zakładając, że podana nazwa nic jej nie mówi.

A Lindsay zamilkła, zdumiona, zdając sobie sprawę, że nazwisko Catlina wydawało się jej znajome nie dlatego, iż niegdyś kolekcjonował brązy, lecz ze względu na sławę, jaką sobie zdobył, reputację tak inteligentnego i przewidującego eksperta do spraw Azji, że jego rad obowiązkowo słuchały zastępy waszyngtońskich doradców do spraw polityki zagranicznej.

- Równie dobrze można byłoby powiedzieć, że Lafitte-Rotschildowie żyją z niewielkiej winniczki - mruknęła przyglądając mu się, jakby nigdy go jeszcze nie widziała. Słyszała nazwę Pacific Rim Foundation wspominaną z tego rodzaju szacunkiem, jaki zazwyczaj otacza znacznie lepiej znanych ekspertów Randa. - Naprawdę tym się zajmujesz? - spytała, nie potrafiąc uwierzyć, że ten chłodny, opanowany, tak silny fizycznie mężczyzna jest jednocześ-

nie jedną z szarych eminencji, doradzających w sprawach Azji królom, premierom, prezydentom i pomniejszym politykom.

Zerknął na nią spod oka.

- Tak, naprawdę. A co?
- To takie... no... szacowne zajęcie.

Na moment humor zatarł widoczny w jego twarzy chłód.

- A ja nie jestem szacowny? - Jeden z kącików ust uniósł mu się w grymasie, który mógł być niemal uśmiechem.

Lindsay zdała sobie sprawę, że uśmiecha się w odpowiedzi.

- Czy smoki mogą cieszyć się szacunkiem?
- Jeśli służy to ich celom, tak - zapewnił gładko.
- A czy służy to twojemu celowi?
- Z pewnością. Dlatego tu jestem.
- Więc...

Catlin niecierpliwie machnęła ręką, nie dopuszczając do zadania pytania, którego treść doskonale znał. Obrócił się i wziął Lindsay w ramiona, z łatwością pokonując jej chwilowy opór, kiedy zapomniiała o granej roli. Pochylił się, muskając ustami jej usta, lecz to, co powiedział, zaprzeczyło czułości dotyku.

- Pomyśl, nim zadasz jakiegokolwiek pytanie - szepnął, a ton jego głosu był lodowaty. - Nim to się skończy, będziesz potrzebowała kogoś, kogo darzysz instynktownym zaufaniem. Nie skłamię ci, ale powiem tylko tyle prawdy, ile będę uważał za stosowne. A czasami nie powiem nic. Rozumiesz?

Przyglądała się nieskazitelnej koszuli z żabotem i gładkiej, czarnej smokingowej marynarce, odległej o kilka centymetrów od jej oczu.

- Chcesz mi powiedzieć, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?

- Tak.

Zawahała się, a później spojrzała wprost w jego niezwykłe oczy.

- Duże masz doświadczenie w życiu w piekle?

- Tak.

- A więc nie mogłam znaleźć lepszego przewodnika, prawda?

- Zapamiętaj jedno - szepnął, przytulając ją tak mocno, że aż boleśnie. - Kiedy jesteśmy sami, całkowicie sami, możesz zadawać mi pytania, jeśli nie potrafisz się już powstrzymać. Ale nie przy innych. Nigdy. Jeśli nie zdołasz tego zaakceptować, dzwoni do Stone'a, teraz, zaraz i powiedz mu, żeby znalazł sobie innego naiwniaka. Nasze życie będzie być może zależało od tego, czy ludzie uwierzą, że wpadłaś aż tak, że zrobisz wszystko, by tylko mnie zadowolić. Że gotowa jesteś poświęcić dla mnie swą czirogodną reputację. - Odwrócił głowę i patrzył na Lindsay, a jego oczy nie wyrażały nic, nie pocieszały, nie dodawały odwagi. - Zaczynasz grać dzisiaj.

- Myślałam... myślałam, że zaczęliśmy wczoraj. - W jej głosie brzmiało pytanie, którego nie odważyła się zająć.

Catlin nie odpowiedział. Wiedział, że Lindsay zastanawia się, czy został z nią w nocy z litości, czy też po to, by z premedytacją zdobyć jej zaufanie. Wiedział także, że brak jej odwagi, by tak sformułować pytanie. Podziękował za to Bogu, ponieważ sam nie znał odpowiedzi.

I nie chciał jej poznać.

Nie okłamuj mnie

8

Lindsay przyglądała się, rozbawiona, jak pan i pani Stoltz rozmarzają pod wpływem kilku anegdotek Catlina i stają się Tomem i Harriet. Występujący po kolacji nadęty mówca, pomógł stopić pierwsze lody między gośćmi. Sama robiła wszystko, by nie roześmiać się głośno z kpin, na które jej mężczyzna pozwalał sobie przy co bardziej nadętych frazesach. Zastanawiała się, czy jego - równie jak ją - denerwują pretensje do społecznej wyższości, czy też domyślił się, że Stoltzowie nie lubią, kiedy sztuki uczy ich pomniejszy polityk z czerwonym nosem, który sam z siebie nie odróżniłby malarstwa od rzeźby.

Odrzuciła te wątpliwości. Publicznie nie wolno jej zwątpić w Catlina. Jeśli analizować będzie każde jego słowo, każde spojrzenie, każde zdanie, które wypowie, jej umysł zacznie krążyć jak po zwiijającej się spirali, by wreszcie zaplątać się beznadziejnie we własną sieć. Nie mogła obiecać Catlinowi, że zostanie wielką aktorką, ale przecież powinna mu przynajmniej zagwarantować, że opanuje podstawy roli. Będzie śmiała się z jego złośliwości nie pytając, czy żartuje tylko po to, by zbliżyć się do brązów Qin, czy też naprawdę miło spędza czas w ten wspólny wieczór.

A poza tym, czy rzeczywiście miała jakieś wątpliwości

co do motywów, kierujących działaniami pana Jacoba MacArthura Catlina?

- Co o tym myślisz, Lindsay?

Z opóźnieniem zdała sobie sprawę, że Tom Stoltz zadał jej pytanie. Odwróciła głowę, przestając z namysłem studiować profil Catlina i powiedziała:

- Przepraszam, Tom. Nie słyszałam cię.

Stoltz spojrział na nią, uśmiechając się znacząco.

- Ładny widok, nie?

- Noo... tak. - Zająknęła się i pochyliła głowę, ukrywając widoczne zmieszanie. Z pewnym wysiłkiem ułożyła rysy twarzy w typowy wyraz profesjonalnego zainteresowania. Robiąc to, przyznała się przed sobą kpiąco, że mimo wszystko być aktorką wcale nie jest tak trudno, to tylko pewna forma zachowania, którą doskonale zna z codziennej pracy.

- Catlin mówił mi, że znalazłaś mu doskonałą kadzielnicę z epoki Han. Starą, lecz nigdy nie pochowaną.

- Tak - przyznała, popijając młody riesling podany do tłustego sernika.

- Takie skarby nieczęsto wypływają na rynek. Ciekawe, dlaczego rodzina zdecydowała się jej pozbyć?

- Może wcale się na to nie zdecydowała? - stwierdził rzeczowo Catlin, odwracając się w stronę Stoltza. Na ustach miał lekki uśmiech. - Może im zginęła?

Z jego twarzy łatwo było wyczytać, że nie „zgubę” miał na myśli, lecz „kradzież” i że nic go to nie obchodzi.

Lindsay w ostatniej chwili powstrzymała się od gorącej obrony swej uczciwości - przypomniała sobie rolę, którą zdecydowała się grać. Z drugiej jednak strony - zdecydowała - wydawałoby się raczej dziwne, gdyby całkiem zmieniła się przez jedną noc.

- Nie sądzę, kochanie - szepnęła. - Według papierów

pewne muzeum kupiło ją od rodziny emigrantów w 1920 roku.

- A ty bezwzględnie wierzysz słowu drukowanemu, prawda? - Catlin żartobliwie przesunął palcem po jej nosie. Wruszył ramionami, jakby to wszystko nic go nie obchodziło. - Kadzielnica jest oryginalna i tylko o to chodzi. Muzeum jej nie rozpoznało. Ty - tak. - Pochylił się, składając na jej ustach długi pocałunek. - Sprytny, słodki kociak. Jakim cudem udało mi się cię znaleźć?

Na policzkach Lindsay pojawił się rumieniec. Zastanowiła się ponuro, czy ktoś rozpozna, co go wywołało - gniew, że została potraktowana jak dziecko - miała nadzieję, że nie. Kiedy mogła już zaufać sobie na tyle, by podnieść oczy, zobaczyła, jak Catlin się w nią wpatruje. Pełen wyższości uśmiech nie odbijał się w jego oczach - były jak płomyki świec zamknięte w kryształkach lodu.

- W poprzednim życiu musiałeś zrobić coś naprawdę wspaniałego, żeby na mnie zasłużyć - stwierdziła starając się opanować.

Śmiech Catlina był cichy, głęboki i tak zaskakujący, jak nagły promień prawdziwego ciepła, rozjaśniający mu twarz.

- Wierzysz w więcej niż jedno życie? - Przyglądał się jej z satysfakcją, cechującą mężczyzn pewnych swej władzy nad kobietą.

- Jak mogłabym nie wierzyć po spotkaniu ciebie? - Głos miała gardłowy, uśmiechała się szeroko, choć tylko udawała czułość.

Jego uśmiech nikł powoli. Catlin zdał sobie sprawę, że jego pytanie to umyślna aluzja do życia, które sam prowadził niegdyś, a oboje prowadzą teraz.

- Nie trzymasz pewnie w rękawie żadnych innych brązów z epoki Han? - wtrącił Stoltz.

Nim zdążyła odpowiedzieć, ręka Catlina przesunęła się powoli wzdłuż jej ramienia, od szyi po czubki palców.

- Ani jednego. - Catlin zwrócił się bezpośrednio do Stoltza. - Bardzo mi przykro.

Stoltz roześmiał się krótko, po męsku, śmiechem przypominającym raczej warknięcie. Gwałtownie pokręcił niemal łysą głową, aż zatańczyły cienkie pasma siwych włosów.

- Nie. Wcale nie jest ci przykro. Gdybym znalazł się na twoim miejscu, też bym nie żałował.

- Nie obawiaj się, Tom - wtrąciła pani Stoltz. Pochyliła się. Jej gładko zaczesane, siwe włosy błyszcząły w świetle jak cyna. - Catlin zapewnił mnie, że brązy z epoki Han to rzadkość w jego kolekcji. Fascynują go dzieła z trzeciego wieku przed naszą erą.

- Zwłaszcza z czasów dynastii Qin - stwierdził Catlin.

- Dynastia Qin rządziła tylko czternaście lat. - Harriet niedbale machnęła wspaniale zadbaną dłońią.

- Ach, ale co to były za lata! - Pochylił się ku niej, oczy mu płonęły. - W 221 roku przed Chrystusem jeden człowiek zjednoczył całe Chiny. Wizja jednego człowieka odbiła się na losach największego narodu na Ziemi. Tylko o tym pomyślcie! W całej historii Europy, której rasy i kultury były znacznie mniej zróżnicowane niż w Chinach, nigdy nie pojawił się jeden rząd. Nie udało się to nawet Rzymianom, chociaż jeden Bóg wie, ilu ludzi poświęcili dla tej idei. Kulturom północy udało się uniknąć „Pax Romana”. Być może Rzymianom zabrakło tego, co odkrył Qin: wielu bardzo krwawych sposobów użycia lekkiej kawalerii przeciw ciężkim bojowym rydwanom.

Lecz jego wizja nie wyczerpała się na zrewolucjonizowaniu taktyki wojennej - mówił dalej, biorąc Lindsay za rękę i nieświadomie przesuwając kciukiem po delikatnej

skórce jej przegubu. Ten ciepły dotyk sprawił, że załała ją fala uczuć. Patrzyła na niego z napięciem równym napięciu, z jakim on opowiadał o jednym z największych władców w historii ludzkości. Jego słowa i pieśczętę odczuwała całą swą istotą. - Qin wiedział, że, by zjednoczyć podbite kraje i ludy, musi ujednoczyć wszystko, począwszy od wymiarów osi w wózkach i szerokości budowanych dróg po samo prawo. I zrobił to z okrucieństwem, które przeszło do legendy. Nie wahał się grzebać żywcem zbuntowanych konfucjanistów, by podkreślić, o co mu chodzi.

Nie zadowalała go także prosta tyrania. Zdawał sobie sprawę, że musi bez problemu transportować z jednego końca imperium na drugie nie tylko żołnierzy, ale i żywność, tak aby kłęse głodu na północy zapobiegł urodzaj na południu. Zbudował sieć dróg, uregulował największą rzekę Chin i skończył budowę Wielkiego Muru, kładąc kres napadom barbarzyńców i ograniczając rolę prywatnych armii, broniących wielkich posiadłości ziemskich.

Zafascynowana, Lindsay przyglądała mu się otwarcie, nie próbując ukryć zainteresowania nim samym i jego słowami. Przyzwyczała się do tego, że mężczyźni, których spotyka, nie są kompletnymi ignorantami, nigdy jednak nie spotkała takiego, który przy całej swej wiedzy byłby tak pragmatyczny. Ta kombinacja fascynowała ją.

- Rezultatem militarnego i administracyjnego geniuszu cesarza Qin było osiągnięcie celu, który sobie postawił i zniszczenie feudalnych Chin. Cesarz rozdał ziemię chłopom, a potem opodatkował bezpośrednio ich, budując gmach cesarskiej kontroli, który przetrwał niemal bez zmian aż do początków dwudziestego wieku.

Dostrzegła, jak jego bursztynowe oczy nieznacznie zmieniły wyraz. Catlin zapomniał już o spotkanych na przyjęciu ludziach i duchem przebywał gdzieś w miejscu

oddalonym od Waszyngtonu. Czuła, jak wciągają tam za sobą, bowiem inteligencja i doskonale kontrolowana pasja, z jaką mówił o cesarzu Qin, była równie elektryzująca, co delikatna pieśczęta palca na jej dłoni.

- Lecz największym osiągnięciem cesarza było to, co przygotował dla wygody tej połowy swej duszy, która po śmierci miała pozostać na Ziemi. Milion wieśniaków, wraz z artystami i wspaniałymi rzemieślnikami z całego kontynentu, przez ponad dziesięć lat pracowało nad zbudowaniem jego kopca grobowego o powierzchni ponad trzydziestu kilometrów kwadratowych, znanego nam jako góra Li. Z terakoty, malowanej z największym szacunkiem dla szczegółu, sporządzono około siedmiu tysięcy żołnierzy, koni, rydwanów i sztuk broni. Ale to wcale nie koniec! Kolejną armię odlano z brązu. Broniła innego wejścia do komory grobowej. Brązy sporządzono w stylu, który nazwano jego imieniem. Inkrustowano je złotem i srebrem, a wzory promieniowały delikatnością i wdziękiem, jak terakotowi żołnierze promieniowali siłą.

Góra Li musi kryć jeszcze inne skarby: wyposażenie grobowca sporządzone z materiałów cenionych w tej kulturze: metali, jadeitu, kości słoniowej, wspaniałych jedwabi zdobionych złotym i srebrnym brokatem. Przez stulecia powtarzano wieść o brązowej mapie Chin, wielkiej jak boisko piłkarskie. Na mapie tej morza i rzeki wylane były podobno rtęcią, która płynęła, poruszana pompami. A wszystko po to, by duch Qin nie cierpiał nudy.

Lindsay ledwo powstrzymała dreszcz - kciuk zsunął się z przegubu i pieścił teraz powoli jej palce, choć Catlin nie przestał mówić. Wibrująca w słowach pasja stała się nagle bardziej widoczna. Jego głos pogłębił się, był szybki i gładki jak rzeki rtęci, stworzone przez dawno zmarłego cesarza ku rozrywce jego duszy.

- Oddałbym całe złoto i srebro, kadzidło i jedwab^{kość} słoniową i jadeit za jeden brązowy rydwan i jednego brązowego woźnicę. Nikt, nigdy, w żadnym czasie i w żadnej kulturze nie osiągnął takiego artystycznego poziomu i takiego zrozumienia brązów jak artyści w czasach cesarza Qin. W brązach z okresu Qin zaklęta jest prawdziwa wielkość!

Obrócił się, przesywając Lindsay spojrzeniem swych niezwykłych, złotobrazowych oczu. Odpowiedziała mu wzrokiem, którego wyrazu nie była nawet świadoma. Nie była świadoma niczego oprócz uczuć, wrzających w jego głosie, uczuć tak podobnych do tego, co czuła sama, myśląc o wielkości człowieka, zaklętej w wiecznym brązie, brązie trwającym przez wieki i kultury. Zapomniała, że przy stole siedzą ludzie, że rozmawiają, że ma grać na wielkiej scenie. Istniał dla niej tylko mężczyzna, a jego niski głos wibrował emocjami, które - jak sądziła dotąd - czuła tylko ona. Przypomniała sobie chwilę, w której dostrzegła, jak pewnie, a jednocześnie delikatnie podnosi unikatowy brąz z epoki Shang. Czuła się tak, jakby dostrzegła w nim odbicie swej własnej duszy. Była oszołomiona, zmieszana, niemal przestraszona, bowiem ten mężczyzna różnił się od wszystkich spotkanych do tej pory, a przede wszystkim zupełnie różnił się od niej.

- Oddałbym wszystko, co mam - powiedział obserwując ją - oddałbym ci wszystko, o co byś mnie poprosiła, by mieć jednego z brązowych woźniców rydwanów z czasów dynastii Qin.

- Jeśli tylko uda mi się jakiegoś znaleźć - obiecała. Głos miała ochrypły z tęsknoty, którą w nim wyczuwała, tęsknoty przerażająco podobnej do tej, którą czuła sama.
- Znajdę go dla ciebie. Będzie twój.

- Słodka Lindsay - szepnął, całując ją w rękę. - Jesteś dla mnie o wiele za dobra.

- Proszę jej tego nie mówić! - Stoltz był prawdziwie przerażony. - Jeszcze ci uwierz!

- Bo to szczerza prawda - powiedział cicho. Uwolnił dłoń Lindsay i zwrócił się do Stoltzów. - A co z tobą, Tom? Wiesz coś o możliwości kupna brązów z Xi'anu?

Lindsay z trudem ukryła szok, którego doznała słysząc jego słowa wypowiedziane tonem tak rzeczowym, że nie było w nim śladu tych skomplikowanych uczuć, które oczarowały ją sprawiając, że zapomniała, gdzie jest i z kim ma do czynienia. Dłonią, której drzenie udało się jej ukryć, sięgnęła po mały kieliszek wina. Z całą mocą powiedziała sobie, że musi wreszcie przestać dać się nabierać Catlinowi. Dla niego wszystko było grą, nawet uczucie. Zwłaszcza uczucie.

Lecz w chwili kiedy to sobie uświadomiła, wiedziała już, że nie ma racji. Znała zbyt wielu kolekcjonerów, zbyt wielu historyków sztuki, zbyt wielu artystów, by nie rozpoznać prawdy w emocjach brzmiących w jego głosie, kiedy mówił o historii i o brązach, o wielkości i o człowieku. Mógł udawać, że coś do niej czuje, bo taką miał pracę, ale kochał stare chińskie brązy tak mocno, jak i ona je kochała.

- Czy to prawda, Lindsay? - spytał Tom Stoltz.

Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie, o czym rozmawiano, kiedy ona rozmyślała o uczuciach, brązach i Jacobie MacArthurze Catlinie. Nic nie przychodziło jej do głowy oprócz myśli, że - niezależnie od pewności, iż jest na swój sposób tak bezlitosny jak zmarły przed wiekami cesarz Qin - Catlin z każdą spędzoną wspólnie chwilą fascynuje ją coraz bardziej.

- Tom twierdzi, że wszystkie plotki o grobowych brązach z epoki Qin prowadziły to tego czy innego oszustwa

- podpowiedział jej Catlin z uśmiechem rozpuszczonego kochanka.

Próbowała skoncentrować się resztkami sił, uśmiechnęła się do niego ślepo - ślepo, ponieważ nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- No... tak - przyznała. - To prawda. Ale... - Zbierając całą swą uwagę położyła mu palce na dłoni, delikatny, mimowolny, intymny gest kobiety przyzwyczajonej do tego jedyne go mężczyzny. I natychmiast zdała sobie sprawę, że ta niewielka aktorska sztuczka okazała się nie najlepszym pomysłem. Nie była jeszcze przyzwyczajona do tego człowieka, do ciepła i mocy, którą promieniował przez koszulę i rękaw smokingowej marynarki. Wyprowadzało ją to z równowagi. Nim zdołała usunąć palce, jego dłoń spoczęła na jej dłoni, mocno przytrzymując ją na miejscu, pieszcząc gładką skórę.

- Ale... nie próbowałam... nie dotarłam jeszcze do wszystkich możliwych źródeł brązów z Xi'an - powiedziała szybko. Spieszyła się, chciała wyrzucić z siebie kwestię konieczną w tej roli, nim jej obrzydzenie stanie się aż nazbyt oczywiste. - Są jeszcze... inni... handlarze. Ludzie, z którymi zazwyczaj... - słowa nagle ją opuściły. Spojrzała na Catlina z żalną, pełną bólu prośbą o wybaczenie.

A on pragnął pomóc, pragnął zakończyć zdanie, które nie mogło przejść jej przez gardło, ułatwić jej jakoś otwarcie ust i zrujnowanie dorobku całego życia w kilku krótkich słowach. Ale powstrzymał się, bezlitośnie. Nie mógł powiedzieć ani zrobić nic, co przekonałoby Stoltzów, że Lindsay sprzedaje swe żelazne zasady dla mężczyzny, choćby w jednej dziesiątej tak skutecznie, jak rumieniec na jej policzkach i drżenie w głosie.

I w końcu nie zrobił nic oprócz podniesienia jej dłoni do ust i złożenia na niej delikatnego pocałunku. Pieszcząc jej

rękę wiedział, że nie powinien tego robić, że nie jest to częścią jego roli.

A czemu nie? - spytał brutalnie sam siebie. To, że mężczyzna jest sukkinsynem, jeśli chodzi o brązy nie oznacza, że musi być sukinsynem, jeśli chodzi o kobiety.

Wraz z pytaniem pojawiła się odpowiedź. Mężczyzna nazwiskiem Rousseau nie słynął ze współczucia i jeśli musiał wykonać zadanie, nie robił różnic między kobietami i mężczyznami.

Ludzie się zmieniają - powiedział sobie w myśli.

„Jasne, że tak. Umierają.”

Lindsay odetchnęła głęboko pozwalając, by ciepło pieszczoty wypełniło ją całą. Uśmiechnęła się do niego z prawdziwą wdzięcznością wiedząc, że pragnie ułatwić jej odegranie roli. Fakt, że zrozumiał, dał jej odwagę konieczną do wypowiedzenia następnego zdania.

- Jestem... jestem pewna, że znajdę kogoś, gdzieś... jakoś... - Popatrzyła mu w oczy. - Jest tylu handlarzy, tyle plotek. Któraś z nich z pewnością doprowadzi do twojego brązu. Nie przeoczę żadnej drogi, kochanie. Niezależnie od tego, jak będzie... niezwykła.

Kątem oka Catlin podchwycił spojrzenie, które wymienili między sobą Stoltzowie. Jeszcze raz przesunął ustami po dłoni Lindsay, a potem zamknął jej palce jakby chciał, by zatrzymała w nich ciepło jego pocałunku.

- Obydwoje będziemy mieli oczy otwarte - powiedział. - I któraś z nas wreszcie na coś trafi. - Zerknął na Stoltzów. - Jeśli uda się wam coś usłyszeć, będę wdzięczny za wiadomość wystarczająco wcześniej, bym mógł złożyć ofertę. Jestem bardzo hojnym człowiekiem.

Stoltz uśmiechnął się.

- Wystarczająco hojnym, by sprzedać tę kadzielnice z epoki Han?

- Jeśli dzięki twej informacji dotrę do woźnicy z epoki Qin, tak.

Stoltz wydawał się równie zaskoczony, co uradowany.

- Zapamiętam to!

- Doskonale. - Catlin odwrócił się do Lindsay. - Jeszcze wina, kochanie?

Potrząsnęła głową.

- W takim razie proszę państwa o wybaczenie. - Delikatnie skłonił głowę, obdarzając uśmiechem obydwójce małżonków. - Lindsay obiecała przedstawić mnie reszcie swych przyjaciół.

Przez jedwab bluzki poczuła dotyk ciepłej, wielkiej dłoni. Catlin poprowadził ją między stolikami, poprzez puste, pozostawione dla chcących porozmawiać ludzi miejsca, do stojącej w kącie grupki. W żartach poprzysięgła sobie, że w przyszłości będzie wkładała ubrania wystarczająco grube, by odizolowały ją od intymności jego przypadkowych dotknięć. Może średniowieczną zbroję albo jakiś jej nowożytny odpowiednik?

- Dlaczego się uśmiechasz? - Catlin pochylił się nad nią, aż ustami dotknął jej włosów.

- Kamizelka kuloodporna - szepnęła cichuteńko.

Jego gruba, bardzo czarna brew powoli powędrowała w górę.

- O co ci chodzi?

- Czy dobrze przewodzą ciepło?

- Nie.

Zorientowała się, że on bierze to wszystko serio.

- A czy są ciężkie?

- Te nowe nie. Biorąc pod uwagę to, do czego służą, są całkiem wygodne. Dlaczego pytasz? Uważasz, że mogą się przydać?

- Coś takiego właśnie przyszło mi do głowy - odparła.

Ignorując krążących wokół ludzi zatrzymał się i obrócił ją tak, by stanęła z nim twarzą w twarz. Ujął jej głowę w dłonie, unieruchamiając ją delikatnie, lecz stanowczo.

- Będę cię bronił, Lindsay. Obiecuję - wyszeptał w jej usta. Tak cichych słów nikt nie mógł podsłuchać, a ich prawdę przypieczętował pocałunkiem. Uniósł głowę, by spojrzeć w jej oczy, czyste i niebieskie jak zmierzch wysoko, w górach. - Ale jeśli chcesz kamizelki - dodał, muskając jej wargi - zdobędę ją dla ciebie. Chcesz?

Zamknęła oczy, po raz kolejny wyprowadzona z równowagi. W ciągu ostatnich kilku godzin Catlin dotykał jej przecież wystarczająco często, by się do jego dotknięć przyzwyczaiła. A jednak nie - działały coraz mocniej.

- Czy zdoła ochronić mnie przed twym dotykiem? - zapytała bez nadziei.

Wyczuł w jej pytaniu szczerą i pożądaną. Uczciwość tej reakcji działała na jego osobę potężniej niż jakikolwiek afrodyzyak. Poczul pożądaną, to pożądaną, które pojawiło się po raz pierwszy, gdy dostrzegł miękką linię jej piersi, kiedy pochyliła się nad stołem pełnym brązów. Przepłynęło przez niego gorącą falą i skupiło się pośrodku ciała. W ciężkiej nagle męskości czuł każde uderzenie pulsu. Nie umiał bronić się przed uczciwością, bo tak rzadko spotykał ją u kobiet... i u mężczyzn.

- Jesteś zbyt szczerą - wyszeptał cicho, wyraźnie, pragnąc znów pocałować Lindsay i nie ufając sobie. Nie był pewien, czy zdoła poprzestać na jednym pocałunku. - Nie sądzę, by produkowano pasy cnoty z kewlaru. A szkoda. Jedno z nas z pewnością będzie go potrzebowało, nim się to wszystko skończy.

- Kewlar? - Lindsay uczepliła się jedyne bezpieczne słowo, jakie wypowiedział.

- To coś, z czego robi się kamizelki kulo odporne.

- Och! - Jej śmiech nie brzmiał całkiem pewnie. Wzięła głęboki oddech. - Chyba wypitałbym jeszcze trochę wina. A może o wiele więcej niż trochę.

- Moim zdaniem to bardzo kiepski pomysł.

Znów ją obrócił, położył dłoń na karku i popchnął w stronę grupy, wśród której królowała ruda dziewczyna w czarnej obcisłej sukni, ozdobionej naszyjnikami z wydłużonych koralu. Opisywała chińskie brązy wdzięcznymi ruchami dłoni o bardzo długich paznokciach.

- A to słynna Jackie Merriman, prawda? - spytał cicho.

Lindsay oderwała wzrok od jego twarzy, zobaczyła rude włosy i paznokcie, i przytaknęła.

- Tak. To ona.

- Jest z nią ktoś, z kim powinniśmy porozmawiać?

- Mężczyzna stojący po jej lewej ręce. Mitch Malloy. Któż tu ma gust aż tak zły, by go zaprosić?

- Coś z nim nie tak?

- Nie, jeśli lubi się podejrzane typy. - Głos Lindsay był równie obojętny co głos Catlina. - Malloy sprzedaje podrabiane brązy - wyjaśniła. - Robi to jednak bardzo ostrożnie, a jego klientami są przede wszystkim nuworysze spoza miasta. Mimo wszystko „lewe” brązy, to jednak lewe brązy. Chodzą plotki, że ma czasami i oryginały o nie najuczciwszym pochodzeniu, ale to tylko plotki.

- To nasz typ.

Lindsay zacisnęła usta.

- Skoro tak twierdzisz...

- Twierdzą. Ktoś jeszcze?

- Nie znam dziewczyny. Pewnie kolejna zdobycz Milena. Po prawej stronie Jackie stoi Sam Wang, jej najnowszy kochanek. Pochodzi albo z San Francisco, albo z Vancouver, zależy, w które plotki wierzyć. Niektórzy twierdzą, że jego rodzicami byli francuski pułkownik i Chinka z Wiet-

namu. Inni, że pochodzi z Tajwanu. Jeszcze inni, że jego przodkowie zamieszkali w Ameryce przed budową pierwszej linii kolejowej. - Wzruszyła ramionami. - No, to wiesz już wszystko. Wszyscy mają coś na Sama, tylko każdy co innego. Z jednym wyjątkiem. Od czasu do czasu przez jego ręce przechodzą naprawdę zdumiewające brązy.

- Wątpliwego pochodzenia?

Lindsay zawahała się.

- Nie, nie sędzę. Rodzina Sama ciągle ma kontakty za oceanem, a on sam cieszy się poważaniem w społecznościach uchodźców na całym Zachodnim Wybrzeżu. Jemu pierwszemu wpadają w ręce rodzinne skarby, które ktoś sprzedaje, by zdobyć pieniądze na osiedlenie się w nowym miejscu. Pod tym względem przypomina Hsiang Wu, starego przyjaciela mojej rodziny. Hsiang Wu był bardzo znany w prowincji Shaanxi, przed rewolucją. Nowo przybyli cieszą się z kontaktów z nim, a starzy emigranci chętnie szukają rady właśnie u niego. Owoce jego poważania często pojawiają się w jego antykwariacie.

Catlin czekał, ale Lindsay nie posunęła się ani krok dalej. Nie stwierdziła, że ludzie tacy jak Sam Wang czy Hsiang Wu mogą doskonale handlować skradzionymi brązami, ciesząc się nienaganą opinią.

- Czy Wu jest uczciwy? - spytał cicho.

- Oczywiście! - nie zawahała się z odpowiedzią. Spojrzała na niego szeroko otwartymi, zdumionymi oczami. - Był moim mistrzem. Nauczył mnie, jak rozróżniać oryginał od kopii. Nie trzymałby w swoim sklepiku dzieł wątpliwego pochodzenia. Jestem tego pewna, Catlin. Bywałam u niego codziennie, nim wyjechałam do Waszyngtonu. Widuję go zawsze, kiedy jestem z wizytą u ciotki.

- A Sam Wang? Co z jego reputacją?

Odpowiedziała mu wzruszeniem ramion.

- Jeśli kiedyś na serio zajmowałeś się kolekcjonowaniem brązów, wiesz, jaki jest ten artystyczny świat. Wszystkich tu obrzuca się błotem, najczęściej bez żadnego powodu. Sama też to trafiło, ale nikt nigdy nie złapał go na choćby jednej wątpliwej transakcji.

- To pocieszające.

- Doprawdy? A niby dlaczego? Czy nie szukamy złodziei? - spytała cicho.

- Wątpię, by chińscy złodzieje, kimkolwiek są, powieźli swe skarby idiotcie o złej reputacji - mruknął Catlin, przesuując ustami po włosach Lindsay, jakby właśnie prawił jej czułości.

- Ale nikt uczciwy nie bawiłby się skradzionymi brązami! - zaprotestowała.

- A kto mówi, że je skradziono?

Przeglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Więc twierdzisz, że ich nie skradziono? - szepnęła.

- Przedstaw im mnie. - Głos Catlina znów był normalny. Lindsay próbowała go jeszcze przycisnąć, chciała zapytać, czy grobowe brązy cesarza Qin rzeczywiście zostały skradzione, lecz nagle przypomniała sobie, co powiedział jej o ciekawości. Najwyraźniej przyszła chwila, kiedy po prostu nie zamierzał udzielić odpowiedzi.

Bez słowa dała się doprowadzić do grupki, którą wybrał. Zgodnie z przewidywaniami, Jackie nie zemdląca ze szczęścia na jej widok. Należała do kobiet, które zawsze pragną być jedynym ośrodkiem zainteresowania - niezależnie od tego, kto akurat znajduje się w pobliżu. Spojrzała przez ramię Lindsay na stojącego za nią, wysokiego mężczyznę - a jedyną rzeczą, którą przedkładała nad wspaniały brąz, był wspaniały mężczyzna.

- Lindsay! - zawołała, uśmiechając się szeroko. - Jak-

że się cieszę, że cię widzę! Słyszałam, że Steve zachorował. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Lindsay mruknęła pod nosem coś odpowiedniego. Podczas prezentacji uśmiechała się uprzejmie. Uśmiech Catlina świadczył również o jego towarzyskiej ogładzie. Z ulgą zauważyła, że nie reaguje na niewątpliwą kokieterię Jackie. Rola kochanki była już dla niej wystarczająco trudna, rola jednej z kochanek przekroczyłaby jej zdolności aktorskie, a poza tym byłaby do tego stopnia niezgodna z jej charakterem, że aż niewiarygodna, zupełnie niezależnie od tego, jak gorąco okazywałyby swą miłość.

- A to Sam Wang - zakończyła Jackie, opierając dłoń na przedramieniu Catlina i niemal ciągnąc go do swego boku. Patrzyła na niego wielkimi, szarymi oczami. - Jest pan nowy w tym towarzystwie, prawda? - spytała cicho.

- Nie całkiem. - Catlin skupił uwagę na Wangu. Spokojnemu wyrazowi twarzy Chińczyka przeczyło chłodne, taksujące spojrzenie oczu. Spotykał już na swej drodze wielu podobnych ludzi. Uśmiechnął się czując, że być może wieczór nie był tak całkiem stracony, że jednak zbliżył się do brązów z epoki Qin. - Od dawna chciałem pana poznać, panie Wang - powiedział. - Lindsay wspominała, że od czasu do czasu miewa pan wspaniałe brązy.

Wang obdarzył Lindsay zagadkowym spojrzeniem.

- Tak mówiła?

- A miewa je pan? - Catlin uśmiechnął się.

Chińczyk lekceważąco machnął ręką.

- A co by pana zdumiało?

- Jeden z woźniców rydwanu z grobu cesarza Qin - stwierdził krótko Catlin.

Rozległ się cichy syk - Wangowi nie od razu udało się opanować zdumienie.

- Ma pan rację. To byłaby doprawdy zdumiewająca zdobycz. Jak również bardzo, bardzo cenna. Ma go pan?

- Ja go szukam.

Oczy Wanga oplotła się zmarszczek. Roześmiał się cichym, zdumiewająco głębokim śmiechem.

- Ja także, panie Catlin. Ja także.

- Dla siebie czy na sprzedaż?

Przez chwilę panowała cisza, a później Wang westchnął.

- Obawiam się, że jednak na sprzedaż. Nie dysponuję zasobami, pozwalającymi zainwestować tyle kapitału w jedno dzieło.

- A ja dysponuję. - Catlin powiedział to bardzo wyraźnie. Spojrzył na Wanga, na Malloya, na Jackie. - Dla znalazcy przewiduję wysoką gratyfikację.

- A co z Lindsay? - Jackie popatrzyła na nią z zaledwie ukrywaną ciekawością.

- Lindsay potwierdzi autentyczność brązu - stwierdził głosem bez wyrazu - niezależnie od tego, od kogo go kupię. - Obrócił się, przytulił ją, czubkami palców przesunął po policzku i miękkiej skórze szyi, pod którą wyraźnie wyczuł przyspieszony puls. - Prawda, kochanie?

- Prawda. - Nienawidziła w tej chwili swego ochryplego głosu, ale nie potrafiła przywołać się do porządku. Reagowała tak na samą obecność tego mężczyzny, na jego dotyk, na ciepło jego ciała, choć przecież wiedziała, że to wszystko gra. Pocieszała się, że chrapliwy, stłumiony gwałtownym uczuciem głos dodawał autentyzmu przedstawieniu, które inaczej byłoby bardzo nieprzekonujące.

Catlin uśmiechnął się i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze. Na policzkach Lindsay rozkwitły jaskrawe rumieńce.

- Mój słodki kociak. Nigdy mnie nie zaskoczysz, nigdy mnie nie oszukasz, prawda?

Mogła tylko przecząco potrząsnąć głową - nie ufała sobie na tyle, by otworzyć usta. Nie wiedziała, czy ma odpowiedzieć na to retoryczne pytanie, czy ugryźć go w przesuwający się po jej wargach palec, a jeśli go ugryzie, czy będzie to zemsta, czy też zmysłowa prowokacja.

Gdyby sądziła, że Catlin drażni się z nią tylko po to, by obserwować jej reakcje, odeszłaby, pozostawiając go samego. Ale drażnienie jej nie sprawiało mu przyjemności. W jego oczach nie było ani kpiny, ani okrucieństwa, tylko chłodna kalkulacja mężczyzny, który nauczył się żyć w piekle.

Dobry przewodnik. Najlepszy. Nie mogła się na niego skarżyć.

Podniosła głowę, czując przyływ zdecydowania. Obdarzyła Jackie spojrzeniem, które rezerwowała dla dzieła sztuki wątpliwej jakości.

- Obiecałam mu tego woźnicę - powiedziała po prostu. - Nie zapominam ludzi, którzy mi pomagają.

Zerknął na nią kątem oka, słysząc brzmiającą w jej głosie pewność. Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie. Nie wyglądał teraz na usatysfakcjonowanego kochanka, on po prostu był usatysfakcjonowany. Rób drugiemu, co tobie... i kropka.

- To właśnie pociąga mnie w Lindsay - stwierdził, obdarzając ją bardzo męskim uśmiechem. - Daje tyle, ile bierze.

Malloy i Wang spojrzeli na nią natychmiast z nowym zainteresowaniem, nie było bowiem najmniejszych wątpliwości, że jej kochanek jest w pełni zadowolony. Ten rodzaj zadowolenia natychmiast prowokuje mężczyzn do interesujących rozważań.

- Zapamiętam to, jeśli kiedykolwiek będę potrzebował kogoś do oceny autentyczności moich brązów - Malloy

uśmiechnął się nieprzyjemnie do drobnej blondynki, która stała cierpliwie u jego boku, w milczeniu przysłuchując się rozmowie.

- Na to proszę nie liczyć. - Głos Catlina mroził. - Lindsay jest wyłącznie moim ekspertem.

- A odwrotnie? - Jackie uśmiechnęła się niewinnie.

Nim zdołał jej odpowiedzieć, Lindsay stwierdziła krótko:

- Też!

- Cóż - Jackie spojrzała na nią. - Nie zmieniłaś się jednak aż tak bardzo. Ciągłe masz bardzo wysokie mniemanie o sobie. - Puściła rękaw marynarki Catima i jednocześnie odwróciła się ku niemu. - Mam fragment brązowej końskiej uprzęży. Dynastia Qin lub Walczące Królestwa. Zainteresowałoby to pana?

- Zawsze interesują mnie dobre brązy.

Jackie uśmiechnęła się.

- Jutro o dziesiątej?

- Doskonale.

- Gdzie pan mieszka?

- U Lindsay.

Jackie zawahała się przez sekundę.

- Ach! Wystarczy kazać taksówkarzowi...

- W porządku - wtrąciła gładko Lindsay. - Znam drogę. Oczywiście, jeśli nie demonstrujesz fragmentów uprzęży w swym mieszkaniu.

- A więc załatwione. - Jackie uśmiechnęła się promiennie, ignorując kpinę w głosie Lindsay. - Do zobaczenia o dziesiątej, w sklepie.

Catlin zwrócił się do Wanga.

- Czy pan tam będzie? Chciałbym porozmawiać z panem o brązach. Minęło kilka lat, od chwili gdy praktycznie zawiesiłem działalność kolekcjonerską. Szczerze mówiąc

- słowom tym towarzyszył uśmiech - wróciłem na scenę tylko po to, by wykorzystać szansę zdobycia jednego z brązowych woźniców Qin.

- Niestety, jutro będę już w domu, ale... - Wang poszukał wzrokiem Lindsay. Uśmiech zmienił jego twarz z tylko przystojnej w porywająco piękną, pięknoscią właściwą żółtej rasie, taką, w której nie ma nic kobiecego - ... czy nie zamierza pani wybrać się do mnie w najbliższej przyszłości? Otrzymałem właśnie dwa brązy zwierzęce z regionu Xingping w prowincji Shaanxi, są całkiem niezwykłe. Jestem pewien, że pan Catlin gorąco pragnąłby je zobaczyć.

- Trzeci wiek? - Lindsay odpowiedziała ujmującym uśmiechem na jego ujmujący uśmiech, - Inkrustowane?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Kobiety o pani smaku nie kłpotałbym z powodu czegoś mniej wartościowego.

Aż mrugnęła ze zdumienia, nie mogła uwierzyć, że Wang najwyraźniej próbuje ją oczarować! Kiedy spotkała go ostatnim razem, był niebywale uprzejmy, i to wszystko. Gdyby szare oczy Jackie nie zwięzły się nagle, byłaby pewna, że przesadza. Nagle ręka Catlina ciężko spoczęła na jej szyi, podkreślając prawdziwość tych domysłów. Przystojny pan Wang niewątpliwie brał się do dzieła. Lecz czy pragnął jej, czy tylko drogi do portfela jej towarzysza? Czyżby myślał, że skoro ten kochanek w pełni ją kontroluje, to to samo potrafi zrobić inny?

- Wspaniale - powiedziała cicho. Przechyliła głowę, patrząc na Catlina. - Wybierzemy się wkrótce na wybrzeże, kochanie?

- Pojadę wszędzie tam, gdzie znajdę dobre brązy.

- A więc z całym spokojem mówię państwu: „Do zobaczenia”. - Wang podał dłoń najpierw Lindsay, a później

Catlinowi. - Najlepsze brązy docierają tu przez Vancouver lub San Francisco. - Uśmiechnął się. - Mam sklepy w obu tych miastach. - Obrócił się, złożył obojętny pocałunek na pięknie wykrojonych ustach Jackie i powiedział: - Muszę lecieć. Mam samolot o tej nieludzkiej godzinie.

Po wyjściu Wanga zgromadzona wokół Jackie grupa rozproszyła się. Catlin i Lindsay podeszli jeszcze do paru handlarzy. Dawali im po kolei do zrozumienia, że są kochankami poszukującymi brązów Qin. Powtarzali tę grę, aż minęła północ i Lindsay odciągnęła go wreszcie na bok.

- Mam wrażenie, że jak na jedną noc wystarczająco zraniłam reputację i nogi - mruknęła.

- Wracamy?

- Wracamy.

Gdy tylko wyszli na dwór, rozejrzała się sprawdzając, czy są sami. Catlin dostrzegł to, zrozumiał i mocno ją do siebie przytulił.

- Pytania? - spytał cicho.

- Wiem, że dla zachowania pozorów musimy mieszkać razem, ale dlaczego u mnie, a nie u ciebie?

- Mam gosposię.

- I co z tego?

- Każdy może jej wsunąć dziesiątkę i dowiedzieć się, czy śpimy w jednym łóżku.

- Ach!

- No tak. Ach! Ty też masz gosposię?

- No... nie.

- Pasuje. Żadnej gosposi i najkrótsza, najmniej wygodna kozetka na świecie. - Catlin parsknął z obrzydzeniem.

- Rzucimy monetę, kto będzie spał w łóżku?

- A masz monetę z dwiema reszkami?

Jego uśmiech był ponury jak otaczająca ich noc.

- Nie. Mam pół monety. Nikt nie wygrywa, wszyscy tracą.

- Co?

Nie odpowiedział.

Kilka godzin wcześniej Lindsay powtórzyłaby to pytanie. Teraz, późno w nocy, milczała.

Uczyła się bardzo szybko.

Dłoń Catlina zacisnęła się na zniszczonej monecie, którą trzymał w kieszeni. Miał nadzieję, że bardzo szybko oznacza wystarczająco szybko.

Nie okłamuj mnie

9

Znów pojawiły się cienie, wypełzające z czarnej otchłani, głębokiej jak sam czas. Ale cienie nie były czarne, lecz czerwone, lepkie. Przeciekały jej przez palce nie kończącym się strumieniem, wypełzały ze studni lat. Czerwona fala zalewała jej stopy, kolana, biodra i wzrastała, wzrastała, ciekąc przez zimne palce purpurową, gorącą falą. Nie potrafiła powstrzymać tej śmiertelnej fali, nie potrafiła uciec, nie mogła oddychać, dusiła się, powietrza, powietrza, utonie w czerwieni, aż...

Usiadła na łóżku, dusząc się od krzyku. Pragnęła krzyknąć w strachu tak przerażającym, jak przerażające były krwawe cienie czekające, by zawładnąć nią, gdy tylko zaśnie. Lecz rozsądek powiedział jej natychmiast, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że to tylko sen, tylko koszmar, który zawsze pojawiał się w trudnych chwilach, a po śmierci matki niemal jej nie opuszczał.

Drżącą dłonią szukała kontaktu, by zapalić lampkę, stojącą przy łóżku. I znów niemal krzyknęła, w ostatniej chwili zorientowała się, że cień, stojący w drzwiach, nie jest czerwony, lecz czarny,

- Czy to koszmar, Lindsay?

Rozpoznała głęboki głos Catlina i stłumiła krzyk. Pozbawionymi czucia palcami nacisnęła włącznik lampki.

- Tak. Koszmar. Znowu. - Głos miała napięty, jakby nie swój. Zapaliła światło i pożałowała, że nie krzyknęła, kiedy jeszcze miała na to jakieś wytłumaczenie.

Catlin był całkiem nagi, w prawej dłoni trzymał lśniący stalą pistolet. W jego ciele, w napiętych, poruszających się pod skórą przy każdym ruchu mięśniach nie było nic podniecającego i nie było też nic podniecającego we wpatrzonych w nią żółtych, błyszczących oczach. Szedł ku niej nie jak kochanek lecz jak drapieżnik, równie groźny jak błyszcząca w jego dłoni broń.

Catlin odruchowo rozejrzał się po pokoju i znalazł w nim to, co spodziewał się znaleźć, od chwili gdy usłyszał zduszony krzyk Lindsay: atmosferę koszmaru, a nie prawdziwego napastnika. Przesunął bezpiecznik pistoletu swobodnym ruchem, wiele mówiącym o obyciu z bronią.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał rzeczowo.

Wydała z siebie zduszony dźwięk: być może próbowała się roześmiać, być może była po prostu zrozpaczona.

- Porozmawiać z mężczyzną „ubranym” wyłącznie w nabyty pistolet? Wielki Boże, Catlin, gdzie to FBI cię znalazło?!

- Nie oni mnie znaleźli. - Wyszedł z pokoju, a w chwilę później powrócił bez pistoletu, ubrany w wygodne, sprężyste dżinsy.

- Tak lepiej? - spytał.

Lindsay westchnęła głośno.

-- No pewnie!

Przez chwilę miała ochotę zapytać go, czy ma koszulę, coś, co zakryłoby jakże męską, szeroką pierś, pokrytą gęstymi, kręconymi włoskami, układającymi się w kształt grotu strzały, skierowanej w dół i kończącej się poniżej smukłej talii. Zamknęła jednak oczy i usta wiedząc, że nigdy go o to nie poprosi. Był to najgorszy moment na

marzenia. Zbyt bezbronna teraz i zbyt dumna, nie będzie kusić mężczyzny, który oczekuje od niej tylko jednego: gry-

Nie miała żadnych wątpliwości, że Catlinowi chodzi wyłącznie o grę. W chwili gdy tej nocy zamknęły się za nimi drzwi mieszkania, skończyły się pieszczotliwe dotknięcia, z ust zniknął beczelny uśmiech. Kazał jej zatrzymać się w przedpokoju, a sam przeszukał wszystkie pomieszczenia. Odmówił kieliszka przed snem i czekał cierpliwie, gdy ona korzystała z jedynej w mieszkaniu łazienki i szykowała się do snu. Niepewna, świadoma własnej kobiecości, Lindsay wyłoniła się z łazienki w prostej, jedwabnej koloru czerwonego wina, jedynej nocnej koszuli, która nie była niemal całkiem przezroczysta. Lecz, mimo to, zdawała sobie sprawę, że jedwab opina się na piersiach i biodrach sprawiając, że jej ciało wydaje się świecić własnym światłem.

Gdyby miała najsłabszą choćby nadzieję, że Catlin uznał ją za tak atrakcyjną, jak on był dla niej, nadzieja ta umarłaby, gdy mijała go w wąskim korytarzu. Patrzył na nią jak na mebel. Sprawiało to wrażenie, jakby byli ze sobą długo, bardzo długo, aż nie pozostało im już nic, nawet dobre wspomnienia. Przypomniło jej to boleśnie mężczyznę, którego poślubiła w młodości i z którym rozwiodła się pięć lat później, kiedy oboje nie potrafili już znaleźć żadnego, miłego bądź niemiłego powodu, by być razem.

- Lindsay - odezwał się Catlin ochrypłym głosem - jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Powoli otworzyła oczy, wybierając trudną i niepewną^ terazniejszość. Jeśli dopisze jej szczęście, koszmar już do niej nie powróci. Nie tej nocy. I może nie następną.

A jeśli powróci, będzie musiała stawić mu czoło i prze-

trwać kolejną noc tak, jak przetrwała wszystkie poprzednie. Samotnie.

- W porządku - powiedziała martwym głosem. - Koszmar przychodzi zawsze, kiedy działa na mnie szczególnie silny stres.

Nie powiedział nic z tego prostego powodu, że nic nie pozostało mu do powiedzenia. Napięcie będzie rosnąć, nie maleć, ale nie widział sensu w oznajmianiu jej tego o trzeciej w nocy, kiedy dusza krzyczy, że świt jest za daleko, by można było wejść i uwierzyć. On sam wiedział wszystko o nocnych koszmarach i nocnym strachu aż do świtu.

- Jak sobie z nim radzisz? - spytał cichym, uspokajającym głosem.

- Ze stresem?

- Tak.

Wzruszyła ramionami.

- Rankami nieco intensywniej ćwiczę *taijiguan* i próbuję wytłumaczyć sobie, że mam nie siedem, lecz trzydzieści lat i że Chiny są daleko, daleko stąd, ukryte za krzywą Ziemi.

- Rozmawiałas z kimś o tym, co się z tobą dzieje?

- Od czasu do czasu. Lany nigdy mnie nie rozumiał.

Wiedział, kim był Larry, ale mimo to zapytał o niego, Lindsay nic przecież nie wiedziała o aktach zamkniętych w jego sejfie.

- Larry?

- Mój pierwszy i ostatni mąż. - Spoważniała. - Biedny Larry. Myślał, że poślubia szacowną córkę luteranckich misjonarzy, która będzie go kochać, szanować i będzie mu posłuszna, choć taki straszny był z niego gówniarz.

Śmiech Catlina sprawił, że zapragnęła, by byli tym, czym udawali, że są - kochankami. Dałaby wiele, by móc zwinąć się w jego ramionach, dotknąć ustami tych kręco-

nych włosków na piersi, zasnąć, czując pod policzkiem bicie jego serca.

Pragnęła położyć się obok niego nie tylko dlatego, że mógł ją uspokoić. Wielokrotnie w przeszłości nawiedzał ją ten koszmar, czasami, gdy w jej łóżku leżał mężczyzna. Pozorna ulga. Lepiej czułaby się sama. Żaden z nich nie rozumiał, że miłe słówko i poklepanie po główce bardziej ją rozwścieczają niż uspokajają. Ponieważ byli pocieszyciele nie widzieli nigdy nagłej, niewytłumaczalnej, gwałtownej śmierci, zakładali, że istnieje ona wyłącznie w jej wyobraźni i poradzi sobie z nią każdy psychiatra za sto doliczonych godzinę.

Nauczyła się nie szukać pociechy u mężczyzn, jednak gdzieś w podświadomości, w tej jej głębi, z której wywołał się również koszmar, czuła, że Catlin jest inny. Rozumiał, że przeraźliwy strach może mieć źródło w rzeczywistości. Rozumiał, że może rzucić cię zarówno poprzez czas, jak i przestrzeń, pożerając jedno i drugie, i pozostając na scenie sam. Przerazenie zaś to coś, z czym żyje się bez przerwy, dzień po dniu.

I o czym czasami śni się po nocach.

- Dziękuję. - Opadła na poduszkę z westchnieniem ulgi, czując, jak ostatnie cienie znikają w bezdennej studni przeszłości.

- Za co?

- Za to, że nie popatrzyłeś na mnie z góry. Że wiesz, iż strach jest prawdziwy. - Lindsay uśmiechnęła się lekko. - Chyba także i za to, że jesteś pełnym zrozumienia „Prawdziwym sukinsynem”.

- Ale ciągle „Prawdziwym sukinsynem”? - Jego cichy głos był mroczny jak noc za zaciągniętą zasłoną.

- O, tak! Tego nauczyłeś mnie doskonale, - Jej uśmiech zbladł, kiedy przypomniała sobie, z jaką łatwością podnie-

cił ją, a później się od niej odsunął. Praca i tylko praca, świeca zakłeta w lód, pozbawiony ciepła płomyk. - Postaram się nie zapomnieć. Nie sądzę, by moja duma przeżyła jeszcze jedną taką lekcję.

- Lindsay - powiedział z naciskiem - nie chciałem cię skrzywdzić. Bo przecież...

- Wiem - przerwała mu, znów sięgając do wyłącznika lampki. - To było konieczne. Dobranoc, Catlin.

Nie wiedziała jak długo stał w drzwiach jej sypialni, bez ruchu, bez słowa. Zastanawiała się, co myśli, co czuje, lecz wkrótce zasnęła.

Spała głęboko. Obudził ją zapach kawy, czekającej na nocnym stoliku. Catlin stał, swobodnie oparty o framugę drzwi, jakby spędził tak całą noc, myśląc o tym jednym, jedynym pytaniu, zdolnym zniszczyć bez śladu jej poranne dobre samopoczucie.

- Bierzesz pigułkę?

- Co?!

- Antykoncepcyjną - wyjaśnił, popijając z trzymanego w dłoni kubka. - Czy też to on musi się zatroszczyć o ten drobiaz?

- Tylko pod warunkiem że może za mnie zająć w ciąży - odparła natychmiast.

Wąsy Catlina drgnęły; uśmiechnął się lekko.

- Przypuszczałem, że jesteś tego zdania, ale nie znalazłem w łazience żadnych środków antykoncepcyjnych. Trzymasz je na nocnym stoliku?

Odetchnęła głęboko, starając się nie zapomnieć, że w pierwszych chwilach po przebudzeniu panuje nad sobą najgorzej. Było tak, jakby ciało budziło się szybciej niż umysł, który w tej chwili kazał jej tylko wrzasnąć, że to nie jego cholerny interes, czy używa, czy też nie, środków antykoncepcyjnych.

- Teraz akurat pigułka nie jest mi potrzebna - wyjaśniła rozsądnie.

- Tylko my o tym wiemy. I niech lepiej tak zostanie.

- Catlin, to śmieszne! - wybuchnęła w końcu.

- Zapinanie pasów bezpieczeństwa też... dopóki ma się szczęście.

Otworzyła usta i zamknęła je natychmiast. On był nauczycielem, ona - uczennicą. Razem urządzili sobie wybieżkę do najgłębszych czeluści piekła.

- Słusznie - syknęła przez zęby. - Ja się tym zajmę.

- Dzisiaj.

- Dobrze - warknęła. - Dzisiaj, Czy twój szatański umysł wymyślił jeszcze jakiś drobiazg?

- Zawsze budzisz się taka rozkoszna? - Catlin uśmiechnął się lekko, podnosząc kubek do ust.

- A ty zawsze budzisz się taki nieznośny?

Przez chwilę tylko pił kawę, a potem skapitulował i roześmiał się, potrząsając głową.

- Zawsze mówisz, co myślisz. Ten rodzaj uczciwości może być zaraźliwy. I cholernie niebezpieczny.

- Drzwi są zamknięte, pamiętasz? - burknęła. - Nie muszę reagować jak napalona nastolatka. - Z wahaniem spróbowała kawy, mocnej, lecz nie gorzkiej, tak dobrej, że aż drgnęło jej serce. Dobrał się do skrytki, w której chowała swą najlepszą mieszankę i użył jej z rewelacyjnym skutkiem. Wypiła kolejny łyk, uśmiechając się z czystą, zmysłową przyjemnością.

- Wybaczam ci. Za taką kawę wybaczyłabym nawet samemu diabłu.

- Zapamiętam to. Dzwonił Stone.

- Skoro już mowa o diable, co? - Zerknęła na stojący przy łóżku zegarek. Za dwadzieścia dwie ósma. - Ranny z niego ptaszek.

- Z dzióbkiem pełnym robaczek.

- Uff, przestań. Co za obrzydlistwo.

Pod czarnymi wąsami rozbłysnął oślepiający uśmiech.

- Chce z tobą porozmawiać zaraz po spotkaniu u Jackie.

- Tylko ze mną?

- Tylko z tobą - potwierdził Catlin. Ale nie poinformował jej o swoich podejrzeniach, że przedmiotem rozmowy będzie on sam. Nie miał nic przeciwko temu. Pytania, które zada Lindsay, kiedy wróci do domu, powiedzą mu, co FBI wie, czego nie wie i czego chce się dowiedzieć. - Ja i tak mam umówione spotkanie w Senacie.

Otworzyła usta, by zadać mu oczywiste pytanie: z kim i po co? Przypomniała sobie jednak, że nie powinna zadawać pytań. Słumiła cisnące się jej na usta przekleństwa i powróciła do rozkoszowania się nieoczekiwanym darem: podaną do łóżka dobrą kawą. Kątem oka zauważyła, jak Catlin z aprobatą kiwa głową.

- Czy wolno mi spytać, kiedy wrócisz? - burknęła.

- Już spytałeś - zauważył. - O której chcesz iść na lunch?

- Nie jadam lunchów.

- Dzisiaj zjesz. Trzymając się za rączki, obejdziemy co bardziej znane wystawy brązów.

~ Och, do diaHa z tym! - krzyknęła, doprowadzona do rozpacz, starając się zabić swą nadwrażliwą ciekawość, nim w pełni obudzi się do życia. - A po co?

Roześmiał się cicho.

- Oczywiście po to, żeby zobaczyć, kto nas śledzi.

Miejsce gniewu zajęła nagła niepewność.

- Dlaczego ktoś miałby nas śledzić? - spytała, nim zdążyła się powstrzymać.

- Żeby zobaczyć, dokąd pójdziemy.

- Dziękuję - powiedziała bardzo poważnie. - Cholernie, cholernie, cholernie ci dziękuję!

- Zawsze do usług, mój słodki kociaku. - Catlin sprawiał wrażenie rozbawionego i zadowolonego jednocześnie. - W każdej najmniejszej chwileczce.

Po tym czułym słówku ciało Lindsay przeszył dreszcz podniecenia, bowiem tego ranka w zachowaniu Catlina nie było nic wyniosłego.

- Drzwi są zamknięte - przypomniała mu, starając się zamaskować naturalną w jej głosie, lekką chrypkę.

- Tak. Musiałem przypominać sobie o tym co chwila, kiedy patrzyłem jak śpisz. Cholerna szkoda, że nie przypominasz innych kobiet, Lindsay. Nie traktujesz tych spraw lekko. - Szybko dopił kawę. Kiedy znów przemówił, gardło miał równie zaciśnięte, jak usta. - Jakie jajka lubisz?

- Bez skorupki.

- Z tym jakoś sobie chyba poradzę. Ile czasu spędzasz pod prysznicem?

- Dziesięć minut.

- Śniadanie za jedenaście.

- Za piętnaście - stwierdziła stanowczo. - Nie chcę, żeby woda ze mnie kapała na grzanki.

- A kto mówi o grzankach?

- Ja. Nie mam zamiaru stanąć twarzą w twarz z samymi jajkami. A teraz znikaj, to wstanę z łóżka.

Powoli potrząsnął głową.

- Mamy być kochankami, pamiętasz?

- Tylko przy otwartych drzwiach.

Westchnął.

- Posłuchaj, Lindsay, cała ta gra nie będzie warta funta kłaków, jeśli w najbardziej podstawowych odruchach będziesz bronić się przed intymnością, zamiast ku niej dążyć.

- Co masz na myśli?

- Chryste - syknął przez zęby. - Gdy tylko cię dotkam, niemal zawsze sztywniejesz. Jeśli ty mnie w ogóle dotkasz, to wyłącznie z największą niechęcią. Jesteś czujna jak podwórkowy kot. Zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie była w sypialni z mężczyzną.

- A ty zachowujesz się tak, jakbyś był w zbyt wielu sypialniach ze zbyt wieloma kobietami. Nazywasz to intymnością? - Parsknęła z niesmakiem. - Mężczyzna w twoim wieku powinien znać różnicę między intymnością a dawaniami na prawo i lewo!

Jednym płynnym ruchem odrzuciła kołdrę i zerwała się na równe nogi. Purpurowy jedwab zsunął się na jej nagie uda. Nie mówiąc ani słowa, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem, przeszła obok i opuściła pokój.

Jego milczenie towarzyszyło jej aż do łazienki i znikło dopiero w szumie wody, rozpryskującej się o jasnozielone kafelki. Kiedy odświeżona wyszła z łazienki, jej podniebienie podrażnił zapach świeżej grzanki z ciemnego chleba. Szybko nałożyła bieliznę i frotowy szlafrok. Wchodząc do kuchni, napotkała wzrok Catlina, rozdzielającego na dwa talerze jajecznicę z patelni.

- Widzisz, do czegoś się jednak nadaję - stwierdził.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem nie wiedząc, czy jest na nią zły za wzmiankę o różnicy między intymnością a przypadkowym seksem. Z jego twarzy niewiele dało się wyczytać, lecz nauczyła się coś jednak rozumieć. Był rozbawiony raczej niż zły, bowiem nie zaciskał skrytych pod czarnymi wąsami ust, a lewy ich kącik był nawet lekko uniesiony. Miała wrażenie, że jest w życiu tego mężczyzny zupełnie nowym zjawiskiem.

- Catlin - powiedziała cichym, schrypniętym głosem.

- Jestem pewna, że nadajesz się do wielu, wielu rzeczy. Ale ja się do nich nie nadaję, prawda? Odpowiedz mi.

Westchnął głośno, jakby uczciwość Lindsay odzierała go ze wszystkiego, pozostawiając tylko ból i prawdę.

- Nie. Ty się do nich nie nadajesz.

Spojrzała w jego żółte oczy i poczuła się tak, jakby wpadła do studni, z której wpełzały jej koszmary. Tylko że teraz noc się skończyła, nadszedł dzień, koszmary ją opuściły. A jego cienie przeszłości nie opuszczały nigdy. Jego cienie nie należały do ulotnego świata snów. Były tą rzeczywistością, która kazała mu zrywać się z głębokiego snu z naładowanym pistoletem w dłoni, w chwili, w której inni leżeliby jeszcze w łóżku niepewni, czy się w ogóle obudzili.

Lecz ci zginęliby, nie wiedząc, czy to jeszcze sen, czy już jawa. A on żył.

Po raz pierwszy naprawdę mu się przyjrzała, znając i akceptując fakt, że żył w świecie gwałtu i przeżył, bo sam stosował gwałt. Razem ze zrozumieniem przyszedł żal - żal, że jej wuj bardziej nie przypominał jego, bo gdyby był podobny do Catlina, nie zaufałby niewłaściwej osobie w niewłaściwej chwili. Zdrada i śmierć. O to właśnie zawsze chciała zapytać matkę... ale zawsze brakowało jej śmiałości:

Mamo, czy wiesz, kto zdradził wuja Matka?

- Dżemu? - Catlin trzymał słoik w wyciągniętej ręce.

Lindsay spojrzała na dżem truskawkowy, zadrzała i usiadła. Z wysiłkiem przepędziła przeszłość, przybierającą kształt koszmaru, przeszłość w postaci wznoszącej się, krwistej fali cieni,

- Nie, dziękuję.

Wolał jeść w ciszy, wdzięczny za to, że Lindsay nie należała do ludzi muszących mówić coś bezustannie tylko po to, by udowodnić sobie, że żyją. Cisza była tym, czego większość Amerykanów i niemal wszyscy Chińczycy po

prostu nie byli w stanie zrozumieć. Amerykanie mieli całą tę popiskującą elektronikę, Chińczycy wielkie, hałaśliwe rodziny.

Przyjemna cisza towarzyszyła im aż na ulicę. Choć Waszyngton nie jest tak hałaśliwy jak Manhattan, mimo wszystko jest miastem, pełnym trąbiących samochodów i huków rozbijających nawierzchnię ulic młotów pneumatycznych.

Cichy, klimatyzowany, elegancki i niewielki sklep Jackie znajdował się na Connecticut Avenue, pomiędzy hotelem Mayflower a Dupont Circle. Połączana plakietka informowała, że nie przyjmuje się osób nie umówionych, ale asystentka otworzyła im drzwi, nim Catlin zdołał dotknąć dzwonka.

Poprowadzono ich do gabinetu tak szybko, że nie mogli nawet zatrzymać się i obejrzeć różnorodnego wyboru dzieł chińskiego rzemiosła artystycznego, starannie wyeksponowanych w sali wystawowej. Na podłodze leżał wspaniały, tłumiący dźwięki dywan, w mahoniowych gablotkach płonęła własnym blaskiem cudowna porcelana. Wnętrze pachniało pastą do drewna i świeżymi różami, będącymi znakiem handlowym Jackie Merriman.

Kiedy zbliżali się do jej biura, Catlin delikatnie położył dłoń na karku Lindsay w pieszczocie, która wydawała się niemal mimowolna. Jej serce zabiło nagle pośpiesznie. Musiała powtórzyć sobie, że zachowuje się jak idiotka. Umysł się z tym zgodził, ciało ignorowało jednak wszystko, oprócz ciepła, promieniującego z szorstkich palców delikatnie gładzących skórę i za każdym ruchem przyciągających ją bliżej.

Na chwilę niemal się zatrzymała, nie wiedząc jak poradzić sobie z reakcją własnego ciała. Co bym zrobiła, gdybyśmy naprawdę byli kochankami i miałabym w nosie, czy ktoś o tym wie? - zapytała surowo samą siebie, próbując

znaleźć kompromis między rozsądkiem, każącym jej odsunąć się od Catlina, a budzącym się pożądaniem, mówiącym, że ma się do niego przytulić, mocno, mocniej, jeszcze mocniej.

Na to pytanie istniała tylko jedna, oczywista i niebezpieczna odpowiedź. Im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym bardziej ją intrygował. Była zbyt uczciwa, by się do tego nie przyznać. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, którego umysł byłby jednocześnie tak skomplikowany i tak niesłychanie pragmatyczny, mężczyzny o instynktach myśliwego i dotyku tak nieprawdopodobnie zmysłowym, tak niezwykle erotycznym. Ze złością i rozbawieniem musiała przyznać, że gdyby rzeczywiście byli kochankami, najprawdopodobniej nie spacerowałyby teraz. Leżałyby w łóżku, przyjmując go w swe ciało, poruszając się z nim w jednym rytmie, pragnąc go, jak nigdy nie pragnęła niko go, poznając go tak, jak pragnęła poznać: całego.

I dokładnie taką reakcję miała zagrać.

Stopniowo pozwoliła ogarnąć się zmysłowości, zazwyczaj tak doskonale kontrolowanej przez rozsądek. Powoli obróciła głowę w prawo, potem w lewo, wzmacniając nacisk palców, spoczywających na jej szyi. Na jego pieszczotę odpowiedziała pieszczotą włosów, ślizgających mu się po dłoni. Wyczuła zaskoczenie, niemal nieuchwytny zaważanie jego dłoni. Potem odwzajemniła jej pieszczotę z podwójną siłą. Długie palce prześlizgnęły się przez jej włosy, poszukując ciepła skóry, aż zadrżała i odwróciła się w jego kierunku z ustami rozchyłonymi w niemym zaproszeniu.

- Catlin, Lindsay, jak to miło, że się nie spóźniliście.
- Jackie dziarsko wmaszerowała do gabinetu. Dostrzegła wyraz jego twarzy, rumieniec na jej policzkach i dodała sucho: - Mam nadzieję, że nie wyciągnęłam was z łóżka.

Doprawdy, za późno nastawiliście budzik. Nie mieliście dość czasu na... wszystko?

Catlin uśmiechnął się do Lindsay, a później spojrzął w oczy Jackie i stwierdził:

- Mieliśmy. Czy ty nigdy nie pragniesz dokładki?

Jackie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Wystarczy wam kawa? - Zaprosiła ich gestem do pokoju. Palcami o szkarłatnych paznokciach niedbale wskazała mahoniowy stolik, zastawiony przekąskami. - Mogę polecić francuskie bułeczki i rogaliki. Reszty próbujecie na własne ryzyko, chociaż Sam jest fanatykiem tych tłustych bułek, ociekających dżemem.

- Dziękuję, już jedliśmy - oznajmiła Lindsay.

- Niewątpliwie. - Jackie uśmiechnęła się i spod oka zerknęła na Catlina. - Kawy?

- Nie teraz, dziękuję. Mamy jeszcze sporo spraw do załatwienia. - Odpowiedział jej znacznie szerszym uśmiechem.

Lindsay zauważyła, że uśmiech ten nie obejmował całej jego twarzy. Wiedziała, że teraz „pracuje”. Myślał tylko o akcji, w pełni gotów do działania, absolutnie bezlitosny - myśliwy ukrywający się pod białą bawełnianą koszulą, żółtobrazowymi spodniami i lnianą marynarką skrojoną tak, by nie fałdowała się na wiszącej na pasku kaburze.

Catlin spojrzął ponad ramieniem Jackie na stół pokryty wspianym czarnym aksamitem. Stały na nim różne chińskie brązy. Wszystkie miały ten niebieskozielony odcień - milczące świadectwo lat, wżerających się głęboko w brąz pogrzebany na wieki w wilgotnej ziemi. Bez pośpiechu, dokładnie, zaczął je oglądać.

- Nie chciałbym być nieuprzejmy - powiedział, nie odrywając wzroku od stołu - ale za godzinę spodziewają się mnie na Kapitolu.

- A więc zostawiam was samych. - Jackie ruszyła w stronę drzwi. Jak każdy dobry sprzedawca wiedziała, kiedy nie trzeba już zachwalać towaru. - Jeśli zechcecie o coś zapytać, jestem na zapleczu.

Skinał głową. Nadal nie odrywając wzroku od brązów, wyciągnął dłoń ku Lindsay. Po krótkim wahaniu ujęła ją. Przyciągnął ją do swego boku, pochylił się i przesunął ustami po jej policzku, aż do ucha.

- Drzwi są nadal otwarte - powiedział, przyglądając się w napięciu, czy go zrozumiała. Jego głos był wyraźniejszy niż szept, choć znacznie od niego cichszy. - Cały sklep wyposażono w sieć telewizji przemysłowej.

Lindsay wtuliła mu twarz w szyję i - starając się naśladować jego głos - powiedziała:

- Wiem.

Skinał głową, uwolnił ją i wrócił do brązów, jakby były jedyną interesującą go rzeczą na świecie.

Lindsay stała cierpliwie u jego boku nie wiedząc, czy kolekcja Jackie rzeczywiście go interesuje. Na stole nie było nic godnego polecenia poważnemu kolekcjonerowi chińskich dzieł z III wieku przed Chrystusem, może z wyjątkiem niewielkich fragmentów końskiej uprzęży, leżących na najdalszym jego krańcu. Nawet tej rekomendacji nie mogła być jednak pewna, póki ich nie zbada, czym teraz akurat zajmował się sam Catlin.

W rzeczywistości Lindsay interesował tylko *qui*, głęboka, okrągła misa na żywność, stojąca na zgrabnej nóżce w kształcie pierścienia, mająca rozszerzoną górą krawędź. Dwie rączki w kształcie giętkich, egzotycznych zwierząt, umieszczone były symetrycznie po przeciwnych stronach misy. W którymś momencie swej historii misa pękła i została naprawiona. Naprawę przeprowadzono bardzo umiejętnie, nie szczędząc niczego, by kolor i faktura

łataney powierzchni odpowiadały starszej patynie. Lecz nawet delikatne, umiejętne użycie różnych żrących chemikaliów, powodujących przyspieszoną korozję nowszego brązu, nie zdołało ukryć widocznego szwu, biegnącego ukosem przez powierzchnię naczynia.

Fakt, że *qui* był naprawiany, obniżał jego wartość na rynku antyków, na którym podobne, nie naruszone brązy nietrudno było znaleźć. Większość kolekcjonerów ominęłaby to naczynie, nie spoglądając nań po raz drugi, lecz Lindsay rozpoznała tę jego nie nazwaną jakość, ważniejszą od trudnej historii. Kształt misy był doskonały, imitował krągłość brzucha wypełnionego wspaniałym jedzeniem, wcielał ideę dobrych plonów. Otaczała ją niemal wyczuwalna aura sytości. Wygięty kształt przetrwał wieki, mówiąc o jedzeniu, a nie zwykłym przetrzymywaniu żywności, póki nie poda się jej na stół. Gdzieś między pomysłem a wykonaniem ten szczególnie *qui* przekroczył niezauważalną, lecz niewątpliwie istniejącą, granicę między przedmiotem użytkowym a dziełem sztuki. Dla niej było to ważniejsze od śladów, które pozostawiła na nim wielka podróż poprzez pełną gwałtów historię Chin.

- Lindsay?

- Tak - odpowiedziała, odwracając wzrok od abstrakcyjnego lecz mimo wszystko giętkiego i pełnego życia wizerunku smoka, otaczającego misę, infomującego, że powstała ona w późnych latach dynastii Zhou lub wczesnych Han, lub mieści się gdzieś pomiędzy nimi, w czasach cesarza Qin.

- Co myślisz o tym?

Niechętnie odstawiła misę i podeszła do Catlina. Między jego kciukiem a dziwnym zgrubieniem na krawędzi dłoni znajdował się jakiś okrągły przedmiot w kształcie zwierzęcia, dotykającego łbem ogona - mającego więc

kształt zamkniętego pierścienia. Przedmiot ten mógł być noszony jako ozdoba przez człowieka lub służyć do dekoracji końskiej uprzęży.

- Mogę? - Lindsay wyciągnęła dłoń po pierścień.

- Kiedy tylko zechcesz - odpowiedział natychmiast, uśmiechnął się i - gdy brała ozdobę z jego ręki - przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej dłoni.

Nieoczekiwana pieśczoła sprawiła, że niemal upuściła brąz.

- Catlin! - Powiedziała to tak, jakby chciała go przed czymś ostrzec.

Uśmiechnął się cofając dłoń, ale w jego oczach nie było ciepła uśmiechu. Zdecydował, że musi nią wstrząsnąć. Jeśli Lindsay teraz „rozpadnie mu się w dłoniach”, nikt nie zgini. Zwłaszcza ona.

- Już będę dobry - obiecał.

- W tym problem - odparła, nadal przyglądając się matemu, okrągłemu brązowi. - Jesteś za dobry!

- Doprawdy? - Jego głos był bardzo niski. - A więc muszę być teraz niedobry, prawda? Bardzo, bardzo niedobry.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić!

Catlin roześmiał się cicho - kolejna pieśczoła. Wyciągnął dłoń i zamknął ją na piersi Lindsay z czułą pewnością prawdziwego kochanka. Palce natychmiast odnalazły sutek, a ciało odpowiedziało zaraz na ten jego gest, co wyczuwał doskonale poprzez cienką bawełną sukienki.

- Catlin! - W głosie Lindsay brzmiało zdumienie, ale i instynktowna reakcja na tę nieoczekiwaną pieśczołę.

- Wiem. - Czubkiem języka powiódł po jej zbliżonych ustach, jednocześnie gładząc pierś zręcznymi palcami. - To nie czas ani miejsce. - Głos miał ochryply, niski, był to głos mężczyzny, któremu gorąca krew uderzyła do głowy. - Do

diabła, tymi swoimi kpinami doprowadzasz mnie do szaleństwa!

Absurdalność tego zarzutu sparaliżowała Lindsay. I dobrze się stało, zapomniała bowiem całkowicie o obserwatorach, siedzących być może przy telewizyjnych monitorach w jakimś ukrytym pokoiku. Zesztywniała, a dłoń mężczyzny nadal pieściła twardy wzgórek jej piersi. Westchnęła tak głośno, że brzmiało to niemal jak jęk.

- Ty i... - zaczęła, a on przerwał jej natychmiast.

- Tak. Tylko ty i ja, na zawsze razem, nie do rozdzielenia.

Jego dłonie jednym ruchem, gwałtownie, ześliznęły się z jej ramion na biodra. Całował ją z oszałamiającą siłą. Chciała rzucić się na niego, wańczyć. Powstrzymywała ją tylko myśl o otwartych drzwiach i roli, którą ma do odegrania.

Do odegrania jej skłaniał ją jednak przede wszystkim dowód jego pożądania, wyraźnie wyczuwalny przez luźne spodnie. Świadomość tego, że w nagłym wybuchu namiętności nie jest osamotniona, oładnęła Lindsay i pozwoliła jej grać równie doskonale, jak grał on. Wbiła palce w gęste, czarne włosy i wtuliła się w niego, odpowiadając na jego gorące pocałunki jeszcze gorętszymi.

- Boże, nie wiem, czy doczekam wieczora. - Głos Catlina był ochryply. Podniósł głowę i spojrzał na jej czerwone usta wzrokiem nie pozostawiającym najmniejszych wątpliwości co do jego intencji.

Przez chwilę Lindsay wierzyła pieśczołocie ust, spoczywających na jej ustach, wierzyła gorącemu płonącemu mu w oczach. Wyglądał jak mężczyzna zafascynowany tą jedną, jedyną kobietą. Pragnęła, by była to prawda, pragnęła z siłą, która rozrywała jej ciało.

Przerażało ją tylko to, że on wydawał się pragnąć tego samego.

- Wystarczy - szepnęła, zaledwie zdolna zaczerpnąć tchu, nie wspominając już o mówieniu na głos. - Więcej tego teraz nie zniosę.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Roziskrzzone uczuciem, wydawały się bardziej czarne niż niebieskie. Przeszył go mimowolny dreszcz, ona poczuła go także dzięki ustom, przesuwającym się po jej skórze.

Jest zbyt uczciwa - pomyślał wściekle. - Nie ta kobieta. Nie teraz. Nie tutaj. Wszystko nie tak. Pozostała tylko gra. A ona gra wspaniale. Nie wybuchła, tylko rozplynęła mi się w dłoniach, jakby była dla mnie stworzona.

Zaklął cicho i wypuścił ją z objęć.

- Wracamy do brązów? - szepnął ochryple.

Lindsay zacisnęła dłoń na małym pierścieniu, aż jego szorstka ze starości powierzchnia wbiła się jej w skórę.

- Wracamy do brązów - powtórzyła głosem tak spiętym, że sprawiał wrażenie cudzego.

W kilka chwil później spytał ją:

- Co o tym myślisz?

- O czym? - Żałowała, że nawet w jednej dziesiątej nie kontroluje się tak jak on. Była zła, że on jest tak wspaniałym aktorem, a ona tylko idiotką.

- Sama zdecyduj - stwierdził kpiąco. - O którymkolwiek. Na przykład o tym, który trzymasz w dłoni.

- Oto cały Jacob MacArthur Catlin, „P.S.” - powiedziała natychmiast.

Uśmiechnął się tak ciepło, że aż ją to zaskoczyło.

- Nie zapomnij o tym, słodki kociaku.

Rozwarła dłoń, wstydzając się swych drżących palców, ale nie była zdolna powstrzymać ich drżenia.

.- Masz dobre oko - stwierdziła. - To najlepsze ze

wszystkiego, co tu widzieliśmy. Prosta ornamentyka, doskonałe proporcje... i jest oryginalny.

Kiedy zaczęła mówić o tym, na czym najlepiej się znała, poczuła, jak wraca jej spokój. Ale mimo to bardzo uważnie unikała spojrzenia Catlina. Gdyby dostrzegła w tych złotych oczach choćby najmniejszy ślad uczucia, znów przeżyłaby wstrząs. Gdyby dostrzegła tylko chłodną kalkulację, byłaby wściekła. Nie mogła sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie, więc całą uwagę skupiła na starym, brązowym pierścieniu, spoczywającym nieruchomo na jej dłoni.

- Ale - Catlin dostrzegł wahanie w jej głosie - coś tu jest nie tak?

- Jak wszystkie tego rodzaju przedmioty i ten bardzo trudno będzie datować. Użyty tu motyw zwiniętego zwierzęcia jest nie tylko bardzo stary, ale także bardzo trwałe. W zasadzie niezmienny, powtarza się w sztuce chińskiej od V wieku p.n.e. do co najmniej V wieku n.e.

- A gdybyś miała zgadywać, jak datowałabyś ten?

- Nawet bym nie próbowała bez dokładnych badań, łącznie z badaniami prównawczymi innych dzieł z Ordos, datowanymi na znalezisku.

Catlin pochylił się, aż ustami dotknął niemal jej ucha.

- Czy powinniśmy to kupić jako demonstrację, żeby pokazać, że nie brak nam gotówki i że umiemy się jej pozbyć?

Zważyła pierścień w dłoni, nim odłożyła go na czarny aksamit.

- W tych okolicznościach - powiedziała, obracając się w stronę *qui* - brałabym pod uwagę raczej to.

Powoli przesunął palcem po cienkiej linii, łączącej stary brąz z nowszym. Lindsay skinęła głową na znak, że dostrzegła skazę.

- Więc dlaczego? - zapytał, podnosząc misę.

Zawahała się, niepewna, czy pojmie różnicę między starym brązem a dawną sztuką brązów. A później przypomniała sobie uczucie, jakie w jej obecności okazywał innym dziełom.

- Ta misa to wspaniały przykład formy zarówno ujawniającej, jak i przekraczającej funkcję - powiedziała po prostu.

- Innymi słowy, dzieło sztuki?

- Tak.

- A skaza? - Przeciągnął palcem po pękniętej powierzchni.

- Zdecydowanie zmniejsza wartość pieniężną *qui* - stwierdziła szczerze. - Muzeum mogłoby ją zignorować, gdyby naczynie spełniało funkcję dydaktyczną w obrębie kolekcji. Większość znających się na rzeczy kolekcjonerów nawet by go nie dotknęła.

- Ale ty tak?

- Tak.

- Dlaczego? - Catlin spojrzał jej nagle prosto w oczy.

Po raz kolejny Lindsay poczuła się, jakby oświetlały ją światła reflektorów. Była jak zwierzę wystawione na pokaz.

- Ja nie inwestuję - powiedziała w końcu.

- Więc po co kolekcjonujesz?

- Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Większość zbieraczy szuka absolutu. Dzieł najlepiej zachowanych, najrzadszych, najstarszych, naj... - wzruszyła ramionami. - Przecież wiesz. Potrafię docenić i te wartości, ale nie przemawiają one do mnie jako kolekcjonera.

- A co przemawia?

Bezradnie rozłożyła dłonie, dając mu do zrozumienia, że nigdy nie potrafiła wyrazić tego, czego szukała w brązach, płynących przez jej ręce ciętym strumieniem. Cze-

kał w milczeniu, cierpliwie, nieruchomo. Wiedziała, że będzie tak czekał, póki nie otrzyma zadowolającej odpowiedzi.

- Przetrawianie - powiedziała w końcu. - Przetrawianie z siłą i godnością. Sztuka żyje wiecznie. Duch żyje wiecznie. Ciało umiera. Dlatego nienawidzę kopii. Umniejszają ludzkiego ducha, oddalają go od wiedzy o tym, co z ludzkiej psychiki ma szansę przetrwać. Kopie umniejszają wszystko, czego tylko dotkną. Są zdradą wszystkiego, co najlepsze w dziejach rodu ludzkiego.

Nawet sobie tego nie uświadamiając, z czcią przesunęła palcem po powierzchni *qui*.

- Oto fragment ludzkiego ducha zaklęty w wieczny brąz. Czym jest cienka, ukośna linia w porównaniu z tym, jeśli nie symbolem wspaniałej zdolności przetrwania, tak charakterystycznej dla ludzkiej duszy?

Podniosła wzrok na wpatzonego w nią w milczeniu mężczyznę. On obserwował ją z napięciem, które byłoby przerażające, gdyby ona nie odważymniała mu się dokładnie tym samym. Zapragnęła nagle uświadomić mu rzeczy, których nigdy nie wyrażała słowami, nawet dla własnej potrzeby. Spojrzała mu w twarz ciemnymi, lecz błyszczącymi, nieruchomymi oczami.

- Ja nie cenię doskonałości, Catlin. Ja jej nawet szczególnie nie lubię. Prawdziwą wartość rzeczy poznaje się, gdy trzeba je naprawiać. Ta misa może mieć dziesięć skaz, może ich mieć sto, lecz nadal będzie promieniowała mocą, ważniejszą niż przelotna perfekcja czegoś, co nigdy nie przeszło próby, nie zostało zniszczone i naprawione, nigdy nie przetrwało tylu wieków, nie tracąc nic ze swej potęgi i wdzięku.

- Mówisz o ludziach czy o sztuce?

Zaskoczenie na moment odebrało jej głos.

- O ludziach i o sztuce - wyszeptała w końcu, uświadamiając sobie, że zaczyna rozumieć coś, czego istnienia nigdy przedtem nawet nie podejrzewała. - Nie da się oddzielić dziejów ludzkości od dziejów sztuki. Nie mogą bez siebie żyć. To prawda starsza do chińskich brązów, starsza od kultury i cywilizacji, starsza od rodu ludzkiego. Neandertalczyki chowali swych zmarłych w girlandach kwiatów, a ich następcy malowali duchy zwierząt na skalach jaskiń. Sztuka to nie luksus, nie inwestycja. Sztuka to wcielony duch ludzkości.

- Choć nie zawsze piękny - Catlin doskonale wiedział, jak wspaniale sztuka potrafi pokazać ciemniejsze strony ludzkiej duszy.

- Nie - zgodziła się Lindsay. - Ale sztuka jest prawdziwa w świecie, w którym zbyt wiele rzeczy jest kłamstwem.

- A ty wolisz prawdziwą ciemność od fałszywego światła. - Catlin nie pytał, lecz stwierdzał fakt.

- W każdej sytuacji.

Jego palce musnęły jej policzek. Poczowała przelotne uczucie ciepła.

- Niezależnie od wszystkiego, co się wydarzy, ta misa jest twoja.

Nie okłamuj mnie

10

- Czy robisz postępy, smoku? - Chen Yi gwałtownie zaciągnął się papierosem.

Zamykając za nim drzwi mieszkania, Catlin wzruszył ramionami.

- Nie z naszą jakże chętną Jackie. To, co ma do zaferowania, nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu. A co z panem?

- Moi towarzysze czują się lepiej. Pragną się z panem zobaczyć jutro.

- Dlaczego nie wypisać mi po prostu na czole: „własność Chińskiej Republiki Ludowej”? - spytał Catlin ironicznie. - To załatwiłoby sprawę znacznie szybciej. I znacznie taniej. Obyłoby się bez opłat za międzykontynentalne bilety lotnicze.

- Spotkanie ma sprawiać wrażenie przypadkowego. Nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Catlin prychnął z obrzydzeniem.

- To pan tak twierdzi. Prawdopodobnie nie ma to żadnego znaczenia. Jeśli istnieją złodzieje, mają wtyczkę w rządzie. W tym momencie rozgrywki pańscy kochani towarzysze i tak zajmują dalsze miejsca na liście podejrzanych o kradzież - zakładając, że brązy zostały skradzione. A to - dodał bez ogródek - bardzo ryzykowne zało-

żenie. Nie ma żadnego sposobu, żeby dyskretnie wystawić je na sprzedaż. Żadnego sposobu. Wystarczy jedno słowo, by wieść o woźnicy rozeszła się wśród wtajemniczonych jak pożar w buszu. A tymczasem w plotkach nie ma ziarenka prawdy. A więc brązy nie trafiły na amerykański rynek.

Chen Yi chrząknął.

- A kto otwiera listę podejrzanych o kradzież? - zapytał, ignorując nie wypowiedziane pytanie Catlina dotyczące tego, czy brązy w ogóle zostały skradzione.

- Pan.

- Ach! - Z zaciśniętej, smukłej dłoni Chińczyka wydobywały się wijąc pasma dymu. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Nie sposób było stwierdzić, czy poczuł się dotknięty, rozbawiony, czy też może słowa Catlina w ogóle nie zrobiły na nim wrażenia. - Spotkanie z moimi towarzyszami będzie miało miejsce na prywatnej aukcji brązów z HI wieku przed Chrystusem. Jak sądzę, otrzymał już pan zaproszenie?

- Zaproszenie? - Lewa brew Catlina uniosła się w wyrazie, mogącym oznaczać zarówno zainteresowanie, jak i niedowierzanie.

- Od czcigodnego pana Samuela Wanga. Wczoraj. Prawda?

- A więc on należy do pana. Waśnie się nad tym zastanawiałem.

- Czasem trzeba pomyśleć - niedopałek zatoczył w powietrzu płaski łuk i wylądował w kominku. - Gdyby Wang należał do mnie, nie potrzebowałbym pana, prawda?

- Ach tak? - Głos Catlina nie wyrażał nic. - Więc udzielię panu pewnej drobnej rady: ktokolwiek łowi ryby z tym szczególnym kormoranem, niech lepiej założy mu na szyję ciasną pętlę.

Chen Yi machnął ręką. Nie miał już ochoty dyskutować o Samuelu Wangu.

- Kiedy może pan wylecieć do San Francisco?

- A kiedy odbywa się aukcja?

- Proszę powiedzieć pannie Danner, żeby zadzwoniła do Wanga,

- Czy ona też ma tam być?

- Panna Danner poleci z panem. Muzeum Sztuki Azji zainteresowane jest powiększeniem kolekcji brązów z trzeciego wieku.

- To wygodny pretekst - burknął Catlin. - Ale szyty zbyt grubymi nićmi.

- Proszę?

- Zbyt wygodny, żeby był przekonujący.

- Potrzeby muzeum są całkiem rzeczywiste. Kupujący i sprzedający wiedzą o nich od wielu miesięcy. W końcu po to przecież zatrudniono pannę Danner.

- Ktoś się tym zajął mniej więcej w czasie, kiedy pańskie brązy z Xi'anu zaczęły ginąć - na ustach Catlina pojawił się grymas, przypominający uśmiech. - Oczywiście zakładając, że rzeczywiście giną.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, przerwana metalicznym trzaskiem otwieranej zapalniczki. Płomień oświetlił chude policzki Chena.

- Posłużenie się Muzeum Sztuki Azji wymagałoby wielkiej dalekowzroczności i długiego planowania. Masz pokretny umysł, smoku.

- Myślę o tym, jak przeżyć.

Chen Yi powoli skinął głową i stwierdził:

- Spraw, by panna Danner odniosła korzyści z tego myślenia tak, jak odnosi korzyści z twych bardzo oczywistych możliwości fizycznych.

- No proszę, jak szybko rozchodzą się plotki w tym

mieście. Musieliśmy wyrzucić spore wrażenie na gościach tego bankietu, na który nasz stary kumpel L. Stephen szczęśliwie nie przyszedł. A może biuro Jackie podłączone jest do lokalnej stacji telewizji kablowej?

Chen Yi sprawiał wrażenie z lekka rozbawionego.

- Czyżby było to aż tak podniecające?

Catlin poczuł nagły, zaskakujący przypływ gniewu.

- Nie wiedziałem, że partia pochwała podglądanie. Następny razem roześle zaproszenia.

Chen Yi westchnął, wydychając dym.

- Gdyby chodziło o jakiegoś innego mężczyznę, bałbym się rozproszenia uwagi. Ale pan... - wzruszył ramionami - ... nie przypomina innych mężczyzn. Jest pan odporny na pokusy. Pogodził się pan z tym, że jest ptakiem o jednym skrzydle. Żył pan samotnie tak długo, że już się nie orientuje, czym są niezdarne podrygi, a czym prawdziwy lot. Czeka pana tylko przetrwanie, a po tym śmierć.

Zaciągnął się papierosem, intensywnie wpatrując się w twarz Catlina. Żółte oczy smoka nie opuszczały jego twarzy, spokojne, drapieżne, cierpliwe. Catlin znał stare chińskie powiedzenie, że mężczyzna rodzi się jak ptak z jednym skrzydłem i spędza życie poszukując kobiety będącej jego drugą połową, jego brakującym skrzydłem, tylko z nią bowiem będzie mógł latać. Bardzo romantyczny pomysł jak na pragmatyków. Chińczycy oczywiście doskonale zdawali sobie sprawę, że wielu szuka, ale tylko niektórzy odnajdują brakujące skrzydło.

- Pan w to wierzy?

- Jestem Chińczykiem. - Chen Yi dwukrotnie zaciągnął się papierosem. - Jeśli będzie miał pan dla mnie jakieś informacje albo zdarzy się coś nieoczekiwanego, proszę zadzwonić pod ten numer. Proszę przedstawić się nazwiskiem Rousseau. Dostanę wiadomość.

- A ile zajmie to czasu?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Catlin zauważył, że numer znajduje się w San Francisco, a potem go zapamiętał. Nie podnosząc wzroku znad kartki papieru, wyciągnął rękę. Chen Yi podrzucił mu zapalniczkę. Rozbłysnął płomień. Kartka skurczyła się na pokrytej odciskami dłoni Amerykanina, aż pozostała z niej tylko kupka popiołu. Zapalniczka wróciła do właściciela, który schował ją do kieszeni i bez słowa wyszedł z mieszkania. Catlin nie pofatygował się do okna, nie patrzył, jak wychodzi z budynku. Jego obecny gość najwyraźniej nauczył się opuszczać dom przez któreś z bocznych wyjść.

Odczekał kilka minut, zszedł na parter, gdzie znajdował się automat, i wystukał numer, który właśnie zapamiętał. Z dawnego nawyku zasłonił ciałem tarczę, tak, by nikt nie mógł widzieć, pod jaki numer dzwoni. Wrzucił monety i słuchał cichych dźwięków świadczących, że rozmowa przekazywana jest do centrali zamiejscowej. Po pierwszym dzwonku włączyła się automatyczna skeretarka. Nagrany głos powiadomił go, że ma zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Był to głos Chen Yi, mówiącego mandaryńskim.

Odłożył słuchawkę. W rzeczywistości nie spodziewał się, by Chińczyk był tak straszliwie nieostrożny i zostawił po sobie wyraźny ślad, ale mimo to musiał próbować. Zbyt często widział, jak ludzie umierają, nie dlatego że pokonał ich spryt przeciwników, lecz dlatego, że sami popełniali głupie błędy.

Zadzwonił jeszcze raz, wrzucił monety, czekał. Usłyszał sygnał, dostał połączenie z jednym numerem, potem z kolejnym - raz i jeszcze raz. Gdy tylko w słuchawce rozległ się głos, podał numer telefonu z San Francisco. Mówił tak cicho, że jego głos docierał wyłącznie do słuchawki.

- Sprawdź, kto płaci rachunek - zakończył.
- A czy to pilne? - usłyszał.
- Tak.

Czekał cierpliwie, a daleki komputer przegryzał się przez góry informacji.

- Coś, co nazywa się „Drugie Domowe Usługi Poczto-we i Telefoniczne” - poinformował go technik, kiedy w końcu znów znalazł się na linii. - Brzmi to jak wysokiej klasy maskowanie, taka rosyjska baba w babie. Zobaczę, co da się zrobić, ale nie spodziewaj się dobrych wieści. Kiedy ostatnim razem wyjaśniałem coś takiego, pracowa-łem trzy dni bez przerwy i doszedłem w końcu do automa-tycznej sekretarki zainstalowanej w mieszkaniu wynają-tych przez kogoś, kto rachunki regulował pocztą, nie podał adresu, nie zostawił żadnych odcisków palców, a w ogóle to mógł równie dobrze nie istnieć.

- Sprawdź od czasu do czasu. - Nie żegnając się, Catlin przerwał połączenie. Kiedy się odwracał, do-strzegł mężczyznę, stojącego za nim cierpliwie z drob-nyimi na rozmowę, ostentacyjnie ściskanyimi w dłoni. Cat-lin nie rozpoznał go, póki nie dostrzegł jego profilu - wi-dział go już w „Ogrodach Syczuanu”, cztery stoliki od nich.

- Pozdrów ode mnie chłopaków - poprosił, przechod-ząc obok nieznanego.

Mężczyzna ignorował cały świat. Interesował go tylko wiszący przed nim telefon. Stał nieruchomo, póki Catlin nie znikł na schodach, prowadzących do jego mieszkania na szóstym piętrze. Nigdy nie korzystał z windy, jeśli nie było to konieczne. Ktoś mógłby czekać przy wyjściu, a kiedy otwo-rzą się drzwi, tylko nacisnąć spust i przytrzymać go, aż do opróżnienia magazynku. Windy to prawdziwe pułapki.

- Obiekt wraca do mieszkania - powiedział mężczyzna

cicho, podnosząc kołnierz marynarki tak, by mógł mówić do maleńkiego mikrofonu.

Meldunek, przekazywano kolejno coraz wyżej i wyżej, aż dotarł do Stone'a, przekazany mu przez wesolutkiego O'Donnella.

- Waśnie ułożyli go z powrotem do łóżeczka.

Stone chrząknął.

- Chyba nie możemy wymagać, żeby w nim został na stałe. Chen Yi ciągle tam jest?

- Nie. Wyszedł tylnym wyjściem. Powinien już być w hotelu.

Stone chrząknął ponownie.

- Mieliliśmy może w końcu trochę szczęścia w sprawie tych lat, których brak w aktach Catlina?

- Dotarliśmy z prośbą aż do Gabinetu Ovalnego.

- I co?

- I nic. Pewnie już tak zostanie. Obawiam się, że tyłek Catlina jest od tej strony dobrze chroniony.

- Próbuj dalej.

- Tak, szefie. Mam zaprosić pannę Danner?

Stone skrzywił się i przesunął grubym paluchem po le-żących na blacie biurka aktach.

- Miałem nadzieję, że przed tą rozmową dowiem się czegoś więcej o Catlinie.

- Może ona coś powie? Sam widziałem, jak szybko się zaprzyjaźnili.

Odpowiedział mu cyniczny uśmiech.

- Skąd wiesz, że marnowali czas na rozmowy? Może odgrywanie blisko zaprzyjaźnionych miało być właśnie kamuflażem.

- Jeśli on gra, to świetny z niego aktor - mruknął O'-Donnell. - Słyszałem, że tak się nią zajął, że nie odróżniał wina od sera.

- Catlin był tajnym agentem. Bardzo tajnym. To cholerny kameleon. Mógłby oszukać samego Pana Boga.

- Ona raczej nie wygląda mi na kameleona.

- Do diabła, Terry, to przecież kobieta, nie? - Stone prychnął. - Wprowadź ją. Zobaczymy, czy Catlin należy do tych, co gadają w łóżku.

0'DonneI nie starał się nawet powstrzymać uśmiechu.

- A lubisz się zakładać?

- Jasne. Założyłbym się, że jeśli chodzi o trzymanie gęby na kłódkę, zapędziłby w kozi róg nawet ostrygę. W łóżku, poza łóżkiem i w ogóle wszędzie. - Grube paluchy Stone'a toczyły po biurku pióro, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pióro wydawało przy tym cichy, metaliczny dźwięk. - Znałem faceta podobnego do niego, dawno, dawno temu, w Korei. Torturowali go do nieprzytomności, żeby tylko zaczął gadać.

- Załamał się?

Stone przyjrzał się młodszemu koledze z chłodnym rozbawieniem.

- Za dużo czytasz komiksów, Terry. Każdy się załamie, jeśli torturować go wystarczająco długo. Ten gość sporo wytrzymał, ale i on w końcu pękł. Powiedział im, jak to kocha komunizm i w ogóle te wszystkie bzdury, które chcieli usłyszeć. A potem wrócił do celi, podleczył się i kiedy chcieli, żeby powtórzył to po raz drugi, odmówił. Drugi raz łamali go równie długo. I trzeci. I szósty.

Pióro toczyło się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Stone patrzył przed siebie, lecz widział przeszłość.

- Straszny był z niego facet - powiedział wreszcie. - Po tym wszystkim zabił w końcu swojego strażnika i czterech innych i odprowadził nas wszystkich do domu.

Nagle jakby ocknął się z transu i wpatrzył wprost w oczy 0'Donnela.

- Wiesz, zawodowo wcale nie kocham Catlina, bo nie mogę go kontrolować i nie wiem, w której gra drużynie. Ale jeśli miałbym wygrać wojnę, walczyłbym obok niego, w piątek i w świętek. Nie wolno ci go nie doceniać, Terry. Zabij go, jeśli trzeba i jeśli potrafisz, ale nigdy nie bierz go w niewolę.

Przerwał, uśmiechając się nieprzyjemnie.

- Rozumiesz? Chen złapał za ogon dorosłego, wściekłego, głodnego tygrysa-ludojada-smakosza. I wiesz co? Mam nadzieję, że ten cwany staruch nie potrafi go utrzymać i zostanie zjedzony.

Pióro mocniej stuknęło o blat biurka. Stone wsadził leżące na wierzchu akta do szuflady.

- Wprowadź pannę Danner. Nie łącz rozmów. Jeśli naprawdę poszła z Catlinem do łóżka, mój wdzięk handlarza dziełami sztuki potrzebuje pomocy niebios.

- A może powinienem użyć odrobiny mojego wdzięku? - 0'DonneI uśmiechnął się niewinnie.

- Biuro nie upadło jeszcze tak nisko. - Usta Stones wykrzywił cyniczny grymas. - Zwłaszcza że nic nam to nie pomoże. A może robiła ci jakieś awanse?

- Jeszcze nawet nie spróbowałem się zalecać.

Stone chrząknął,

- Daj sobie spokój, Terry. Znam cię od czasu, kiedy byłeś w czwartej klasie i próbowałeś kraść buziaki co ładniejszym szóstoklasistkom.

0'DonneI wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Oczywiście jestem skłonny poświęcić wszystko, Brad, Dobrze o tym wiesz.

- Trzymaj to „wszystko” w pogotowiu. - Tym razem głos Stone'a był suchy.

0'DonneI wyszedł śmiejąc się i po chwili wrócił z Lindsay.

- Siadaj, proszę. - Stone wstał na jej powitanie. - Bardzo mi miło, że mogłaś przyjść. Steve mówił mi, że od czasu, kiedy jego ojciec przed kilkoma miesiącami zdecydował się rozbudować kolekcję sztuki chińskiej w muzeum, jesteś bardzo zajęta.

- Pan White poinformował mnie, że zasadniczo, póki sytuacja się nie zmieni, jestem twoim pracownikiem. - Lindsay przerwała i nagle uśmiechnęła się szeroko. - Czy to znaczy, że FBI będzie płaciło za zakupione przeze mnie brązy z III wieku p.n.e.?

- Spróbuj. - Stone odpowiedział jej uśmiechem. - Ale nie kupuj niczego, z czego muzeum nie będzie miało pożytku.

- A ja miałam taką nadzieję na nadszarpnięcie rządowego budżetu. - Jej słowom towarzyszył lekki śmiech.

Siedziała na czarnym, obitym skórą krześle naprzeciwko biurka Stone'a i patrzyła na niego wyczekująco. O'Donnel wycofał się dyskretnie. Stone znów zaczął bawić się piórem. Przyglądał mu się i rozważał, jaki będzie najskuteczniejszy sposób skłonienia Lindsay do współpracy. Nagle przypomniał sobie podejście Catlina - ten rodzaj szczerości, która trafia w sam środek tarczy. Biorąc to pod uwagę, miał prawo wątpić, by można było z nią rozmawiać aluzjami. Była gwiazdą galowego przedstawienia i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

A poza tym, z dotychczasowych obserwacji nie wynikało, by lubiła krążenie wokół tematu dla samego krążenia.

- Jak ci idzie z Catlmem? - spytał bez nacisku.

- Nieźle. - Lindsay miała nadzieję, że jeśli na jej twarzy pojawi się rumieniec, Stone złoży to na karb panującej na dworze temperatury. W jej żyłach krążyło nadal wspomnienie zmysłowości Catlina, ale znacznie żywiej pamiętała napięcie, z jakim jej słucał, naprawdę słucał, nim

obiecał jej uszkodzony *gui*. W tej jednej chwili był jej tak bliski, jak jeszcze nikt na świecie.

- Nieźle. - Agent westchnął lekko. Rzucił pióro. Nie znosił jednowyrazowych odpowiedzi. - Żadnych problemów?

- Nic, czego nie można byłoby wyjaśnić.

- Na przykład?

- Nie jestem dobrą aktorką, panie Stone.

- Brad.

- Brad - powtórzyła posłusznie zastanawiając się, czy kiedykolwiek poczuje się swobodnie w towarzystwie tego wyprostowanego, siwowłosego mężczyzny, którego dzieliło od niej biurko. - Na razie Catlinowi udawało się podzierać mi kwestie, jeśli czegoś zapomniałam. Mam szczęście, że Biuro znalazło mi tak doskonałego nauczyciela. On nawet...

- Nie znalazło.

- Słucham?

- Catlin nie jest naszym człowiekiem - przyznał szczerze Stone.

Lindsay gapiła się na niego przez dłuższą chwilę, zbyt zaskoczona, by przemówić. Przypomniała sobie, że sam Catlin powiedział jej coś podobnego.

- To skąd on się wziął? - spytała,

- Z Pacific Rim Foundation. Zespół doradców z Zachodniego Wybrzeża. - Stone dodał to wyjaśnienie wątpiąc, by znała niezbyt popularny zespół, którym dowodził Catlin.

- Tak, sam mi się do tego przyznał. Ale przecież zgodził się wam pomagać, prawda? Tak jak ja.

Stone przecząco potrząsnął głową.

- Catlin nie jest naszym człowiekiem. Jest człowiekiem Chińczyków.

- Nie rozumiem?
- Wiem. Dlatego poprosiłem, żebyś mnie odwiedziła. Istnieje pewne ryzyko, że zostaniesz skojarzona z FBI, ale miałem wrażenie, że lepiej zrozumiesz to, co mam ci do powiedzenia, jeśli porozmawiamy osobiście. - Opadł na oparcie krzesła. - Kawy?

- Kawy? - Lindsay roześmiała się nagle. - Wybacz mi, proszę, ale czuję się jak Alicja, wędrująca króliczą norą. Co to za ryzyko?

Stone, uśmiechnięty, znów wyprostował się w krześle.

- Wierz mi, nie mam zamiaru poczęstować cię jakimś czarodziejskim grzybkiem. Agencja do Wałki z Narkotykami powiesiłaby mnie za tyłek, gdybym tylko o tym pomyślał.

Odpowiedziała uśmiechem, ale jej poważny wzrok mówił mu, że nie zapomniła o słowie „ryzyko”.

- Sytuacja jest nieco skomplikowana. - Agent zmarszczył brwi. Nadal bawił się piórem.

- Proszę się o to nie martwić. - Jej głos był suchy. - Nie może być bardziej skomplikowana od mojej pracy doktorskiej o ewolucji symboliki i kształtów chińskich brązów.

Stone gwałtownie podniósł głowę. Zapomniał, że siedząca naprzeciwko niego kobieta jest inteligentnym i doskonale wykształconym specjalistą w swej dziedzinie. W ciągu ostatnich kilku lat nie po raz pierwszy dał się zwieść delikatności jej ciała i rysów. Ze stłumionym westchnieniem przejechał dłonią po idealnie zaczesanych, siwych włosach żałując, że nie żyje albo na samym początku, albo na samym końcu wieku. W czasach, kiedy wszystko się zmienia, życie bywa prawdziwym piekłem.

- Masz reputację osoby uczciwej - powiedział w końcu.

Lindsay czekała.

- To, co mam zamiar ci powiedzieć, ostemplowano

jako „ściśle tajne”. Naprawdę jest ściśle tajne. Zaryzykuję, że pozostanie takie nadal. Nie myślę się?

- Nie.

- W przeszłości Chen Yi był szpiegiem, a niemal na pewno przyjechał tu teraz w szpiegowskiej misji.

Przez moment Lindsay była zbyt zaskoczona, by przemówić. Nagła fala rozczarowania niemal ją sparaliżowała.

- Masz na myśli to, że nikt nie ukradł brązów z Xi'anu?

Stone niecierpliwie machnął ręką. Pióro wypadło, prześlizgnęło się po blacie biurka i z brzękiem zatrzymało na popielniczce. Jakby o czymś mu to przypomniało, wyjął z leżącej na biurku paczki papierosa, zapalił i powiedział:

- Być może w Xi'anie rzeczywiście coś zginęło, a być może nie. Liczy się to, że gdy my szukamy brązów tu, a CIA za granicą, Chen Yi obserwuje każdy nasz ruch. Nauczy się wiele. Dowie się jak działamy, na ile jesteśmy skuteczni, jak głęboko spenetrowaliśmy społeczności azjatyckie w kraju i poza nim. Informacje, Lindsay. Na tym polega praca wywiadu. Na zbieraniu informacji. Chen Yi jest w tym bardzo dobry. Zbyt dobry. Jego rodzina robiła to od stuleci, od czasów, do których udało się nam dogrzebać.

Rozparł się w krześle i niespokojnie rozejrzał po pokoju. Patrzył na oprawione zdjęcia na ścianach, wspomnienia łatwiejszej przeszłości, gdy znało się przeciwnika, jego ludzi, jego siłę.

- Jeśli chodzi o umiejętności przetrwania - mówił dalej, znów patrząc na Lindsay - rodzina Chenów mogłaby napisać podręcznik. Od czasów cesarzy po ChRL zawsze miała jakieś, choćby słabe, związki z rządem. Rozciągnęły swe cholerne macki na całą Azję i ładny kawałek Zachodu. - Ton głosu agenta zdradzał jednocześnie podziw dla twardości tej rodziny i niechęć, jaką obdarza się starych wrogów. - Kuzyni kuzynów kuzynów, aż sam diabeł się w nich

nie rozezna. Wśród Chenów są bankierzy, kupcy, nauczyciele, prostytutki, alfonsi i handlarze narkotyków. Tylko jedna rzecz ich łączy: są szpiegami. Zbierają informacje i przekazują je sobie nawzajem.

Lindsay powoli skinęła głową.

- Nie sprawiasz wrażenia zdumionej - zainteresował się agent. - Catlin rozmawiał z tobą o Chenie?

- Nie. Nic mi nie mówił.

Stone chrząknął.

- W to akurat wierzę - stwierdził.

- Za to ty mówisz o rzeczach, które wcale nie są zaskakujące. Po prostu bardzo chińskie. - Spojrzała na niego zastanawiając się, jakie odebrał wykształcenie: historia, może ekonomia? - Chiny przetrwały tysiące lat dzięki elastyczności i trwałości więzów rodzinnych. Z tego właśnie powodu rodzinę obdarza się tam lojalnością, na którą nie może liczyć żaden rząd.

- A więc rozumiesz, jak potężny jest klan Chenów?

- Tak.

Zapadła cisza. Dym z papierosa, który Stone trzymał w ręku, powoli unosił się ku górze.

- Czy Catlin mówił ci, że Chen Yi jest również podejrzany dla własnego rządu?

Oczy Lindsay rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie. Dlaczego?

Stone nie próbował nawet ukryć westchnienia. Wyglądało na to, że nie dowiedziała się niczego ważnego.

- A kto wie, dlaczego jeden komunista podejrzewa drugiego? - Agent sprawiał wrażenie zirytowanego. - Mam wrażenie, że to ich narodowy sport. Do diabła, może to Chen przemyca tu brązy, żeby zebrać gotówkę i dać nogę, a rząd jakoś się tego domyślił?

- Wierzysz w to?

- Mam szerokie horyzonty. - Nie odpowiedział jej wprost na to pytanie. - Wiem, że specjalnie kazał nam cię nie ujawniać.

- Co?

- Jego towarzysze mają nie wiedzieć, że pracujesz dla FBI i dla niego.

- Wytłumaczył, czemu?

Agent parsknął.

- Cholera, nie.

- Czy to z powodu ryzyka? - Lindsay natychmiast dostrzegła, że jej pytanie nie zostało zrozumiane. - Ryzyka, o którym wspomniałeś wcześniej, gdyby mnie ktoś skojarzył z FBI?

Stone uśmiechnął się mimowolnie.

- Zaproszenie cię tutaj wcale nie było takie znów ryzykowne. Nikt jeszcze za tobą nie chodzi... oprócz nas.

- Czy ma mnie to pocieszyć? - Jej brwi uniosły się w wyrazie zdumienia. - A w ogóle, to po co wy za mną chodzicie? - Gdy tylko powiedziała te słowa, przypomniała sobie odpowiedź Catlina na podobne pytanie. - Nie, nic nie mów. Daj mi zgadnąć. Siedzicie mnie po to, żeby sprawdzić, czy ktoś inny mnie nie śledzi.

Bładoniebieskie oczy w czerwonej twarzy Stone'a rozbłysły, gdy zachichotał.

- Racja, Lindsay. Szybko myślisz.

- I mam doskonałego nauczyciela.

- Catlina?

- Catlina.

Burknął coś pod nosem, mocno zaciągnął się papierosem i zmiażdżył go w popielniczce. Kiedy znów spojrzał na Lindsay, oczy miał zimne jak lód.

- Catlin to nasz problem. Chen Yi wynajął go do pomocy w znalezieniu brązów. Tak, jak my to rozumiemy, jest on dla

niego takim samym ekspertem, jakim ty jesteś dla nas. Z tą różnicą, że jemu najprawdopodobniej płaca, tak albo inaczej.

- I w tym problem?

- Kiedy obcy rząd komuś płaci, to tego kogoś nazywa się agentem.

Przez dłuższą chwilę Lindsay w milczeniu rozważała sens jego słów.

- Czy próbujesz powiedzieć mi, że Catlin jest czymś w rodzaju szpiega na usługach Chin?

- Mówię tylko, że jest to możliwe.

- Jak bardzo możliwe?

- Trudno powiedzieć.

- Spróbuj słowo po słowie.

- Uwierz mi i bez dowodów. - Stone zaczął się niecierpliwić.

- Bardzo bym chciała, ale ostatnie czterdzieści osiem godzin nauczyło mnie nie wierzyć na słowo nikomu.

- Catlin... - wypowiedział to nazwisko tak, że zabrzmiało jak obelga. Popychał pióro po stole to w tę, to w tamtą stronę. Jego dłonie nieustannie wykonywały drobne ruchy, a on zastanawiał się, ile może powiedzieć Lindsay. Nagle podjął decyzję. Cokolwiek ujawni, Catlin i tak już wie. I Chen Yi, najprawdopodobniej, też.

- Catlin pracował dla CIA w Indochinach jako tajny agent. I nagle znikł. Kilka lat temu pojawił się w Monterey, wykupił od właścicieli Pacific Rim Foundation i rozpoczął działalność, dysponując informacjami, które zgromadzić może tylko człowiek taki jak on.

- Sprzedawał tajne informacje, czy to chcesz mi powiedzieć?

- Używał ich do wyciągania wniosków i udzielania rad.

- Czy to nielegalne?

Stone parsknął niecierpliwie.

- Nie... niedokładnie. W każdym razie znajduje się na granicy legalności.

- Więc czemu nie tylko pozwala mu się działać, ale jeszcze Kapitol korzysta z jego usług?

- Ponieważ ma dokładne informacje, a wnioski, które z nich wyciąga, graniczą z genialnością. - Stone przyglądał się Lindsay chłodno. - To bardzo inteligentny człowiek. I przez to tym bardziej niebezpieczny.

- Wiem - szepnęła. Potrafiła to doskonale zrozumieć. Dla niej samej umysł Catlina był równie pociągający, co jego zmysłowość i wspaniałe ciało razem wzięte.

- Catlin nie chce z nami współpracować. Nie odpowiada na pytania, dotyczące przeszłości i Chena.

- To dlatego myślicie, że jest jego szpiegiem? Chińskim szpiegiem?

- Z całą pewnością nie jest naszym - stwierdził agent krótko. - Nie ufaj mu, Lindsay. Doskonale manipuluje ludźmi. Jest w tym genialny. Dowiaduje się, czego pragną, w co wierzą, a potem używa tej wiedzy przeciw nim. Jest bezlitosny, bezlitosny jak nikt.

Lindsay siedziała milcząca, nieruchoma. Dłonie splecione miała na kolanach. Pragnęła zaprotestować, ale w tym, co jej powiedziano, była prawda. Catlin jest inteligentny. Jest niebezpieczny. Jest bezlitosny.

Ale czy może być chińskim szpiegiem?

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała po dłuższej chwili spiętym głosem.

- Pracuj dla nas - odparł natychmiast Stone.

- Myślałam, że to właśnie robię?

- Przekazuj nam wszystko, czego dowiesz się o Catlinie i Chenie. Będziemy wiedzieli, co z tym zrobić.

- Mam ich szpiegować? - spytała głosem bez wyrazu.

Agent wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz użyć tego słowa, tak.

Nawet nie zapytała, jakiego on użyłby słowa. Po prostu potrząsnęła głową.

- Nie potrafię.

- To znaczy że nie chcesz? - Głos Stone'a był zimny.

- Najwyraźniej Terry miał rację. Catlin dobrał się do ciebie na dobre.

Zbladła, a później zaczerwieniła się mocno. Kiedy przemówiła, jej głos był nienaturalnie spokojny.

- Cieszę się, że nasza gra była aż tak przekonująca. Bo to wszystko gra. Bez Catlina nie byłoby żadnego przedstawienia. Powiedziałam to już raz, panie Stone, i teraz powtórzę: nie jestem aktorką. Nie potrafię zrobić tego, o co pan mnie prosi. Nie umiem mówić dwóch różnych rzeczy naraz, a jednocześnie wierzyć w jeszcze trzy inne. - Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, jej wbity w Stone'a wzrok był nieruchomy. - A gdybym nawet potrafiła, Catlin przejrzałby mnie natychmiast - stwierdziła beznamyślnie. - Jest przerażająco bystry. Nigdy nie będę w stanie się z nim zmierzyć.

Stone bez wahania zdecydował się na strategiczny odwrót.

- Bardzo mi przykro. Nie chciałem być niegrzeczny. Jestem świadomy tego, jakie to wszystko musi być dla ciebie ciężkie. Jeśli ci to pomoże, wiedz, że i mnie strasznie naciskają w sprawie tego Chena. Musimy współpracować z Chinami, chociaż doskonale wiemy, że nie wolno im ufać, - Uśmiechem próbował dodać jej odwagi. - Przecież proszę cię tylko o to, żebyś pamiętała, iż możesz odkryć rzeczy, których nie wiemy... jak my odkryliśmy coś o Catlinie i Chińczyku, o czym ty nie wiedziałaś. - Płynnym

ruchem wstał z krzesła. - Jeśli coś ci się rzuci w oczy w San Francisco, zadzwoni.

- Więc wyjeżdżamy do San Francisco? - Lindsay również wstała.

Stone przytaknął skinieniem głowy.

- Pamiętaj, Lindsay. Jesteśmy po tej samej stronie.

- A Catlin nie?

Drzwi na korytarz otworzyły się, nim agent zdołał jej odpowiedzieć. Pojawił się w nich O'Donnel, mający wyprowadzić Lindsay z gmachu.

Dopiero później, bezpieczna w swym mieszkaniu, zorientowała się, że O'Donnel musiał przysłuchiwać się całej rozmowie. Na myśl o tym ogarnął ją nagły, niecierpliwy gniew.

- Co za cholerny bałagan! - Niemal krzyczała, chodząc po mieszkaniu jak tygrys po klatce. - Nie wie prawica, co robi lewica, a jeśli wie, to obie łąą!

Błądzący po mieszkaniu wzrok Lindsay trafił na uszkodzony *qui*, który tego ranka kupił Catlin i wręczył jej, kiedy wsiadali do taksówki. W świecie kłamstw i półprawd misa prezentowała się dumnie, niczym wcielenie człowieczej duszy. W błękitnozielonych, giętkich liniach krył się kształt smoka. Z naczynia promieniował miniony czas i prawda.

Przesunęła palcem po uszkodzonych miejscach, pamiętając, z jakim napięciem Catlin przyglądał się jej, słuchał, starał się ją zrozumieć. Czy wtedy także grał? Czy jego ciało kłamało, gdy obiecywał, że słowa nie skłamią?

Dzwonek u drzwi wyrwał ją z zadumy. Nim zerknęła przez wizjer, wiedziała już, kogo się spodziewać.

Catlin.

Otworzyła mu i cofnęła się o krok, bez słowa wpuszczając go do mieszkania.

- Jak widzę, Stone zasiał nasiona szczęścia i miłości?
- Mężczyźnie wystarczył jeden rzut oka na jej twarz.

Otworzyła usta, by zadać mu dręczące ją pytanie i natychmiast zorientowała się, że to bez sensu. Jak pytać mężczyznę, czy jest szpiegiem? A jeśli nawet zapyta, czy uwierzy w otrzymaną odpowiedź?

- Jedziemy do San Francisco? - spytała uprzejmie.
- Na to wygląda.
- Miło, że mi to mówisz.
- To samo powiedziałem Chenowi, przed godziną.
- Och! - Lindsay machinalnie zamknęła za nim drzwi na wszystkie zanki. - Czy powiedział ci, po co tam jedziemy?
- Sam Wang nas zaprosił.
- Doprawdy?
- Wczoraj wieczorem.
- Te zwierzęta z brązu, o których wspomniał?
- Tak, I jeszcze coś. Przygotowuje prywatną aukcję brązów z trzeciego wieku.
- To bardzo... no... miło z jego strony. - Lindsay ostrożnie dobierała słowa.
- Prawda? - Głos Catlina pozbawiony był jakiegokolwiek intonacji. - Spotkasz tam różnych ludzi. Jednym z nich będzie Chen Yi. - Przerwał, a potem dodał cicho:
- Nigdy się przedtem nie spotkaliście.

Nagły przypływ zdenerwowania sprawił, że jej dłonie zdrząły. Zaciśnęła je w pięści.

Czyżby Stone miał rację? Czy Catlin jest szpiegiem Chena?

Pytanie to wybuchło w niej z taką siłą, że aż się przestraszyła. Czyżby wypowiedziała je głośno? Lecz Catlin nadal przyglądał się jej spokojnie, twarz miał nieruchomą, z pewnością doskonale widział jej straszliwe zmieszanie.

- Nigdy nie spotkałam Chena - powtórzyła powoli Lindsay. A potem, bezradnie, dodała: - Nigdy?

- Nigdy. Nigdy nie spotkałaś też tych typków z FBI, których pewnie będzie tam tyłu, ile much na mięsie.

Chwila ciszy.

- A czy spotkałam ciebie? - spytała uprzejmie.
- Czuję się dotknięty.
- A ja czuję się *qui* - Lindsay miała już dość zagadek w zagadkach, kłamstw ukrytych w kłamstwach.

Catlin roześmiał się, potrząsając głową.

- Mam nadzieję, że ktokolwiek słucha tego dla FBI, odrobił lekcję z historii sztuki Chin.

- Słucha?
- Taaak. Jeśli nawet nie teraz, to będzie słuchał natychmiast po naszym powrocie z wycieczki. Od dziś do końca zabawy musimy przyjąć, że mówimy do mikrofonów, chyba że sam znajdę pokój i będę go regularnie sprawdzał. Wszystkie prywatne telefony też będą na podsłuchu i w rzeczywistości staną się raczej publiczne.

Lindsay odetchnęła chrapliwie. Czuła się jak lis podczas polowania. Nagle przypomniała sobie słowa Catlina: „Nim to się skończy, będziesz potrzebowała kogoś, kogo darzysz instynktownym zaufaniem”.

- Catlin! - westchnęła, nie mając śmiałości, by zadać pytanie: „Czy to ty? Czy tobie mogę zaufać?”.

- Jestem tu, Lindsay. W dzień i w nocy, na dobre i złe, jestem przy tobie. Nigdy już nie pójdziesz nigdzie beze mnie. Nigdy. Nawet nie prosz o to. Próba kostiumowa skończona.

Nie okłamuj mnie

11

- Wujek Wu! - krzyknęła Lindsay głosem ochrypłym z niespodziewanej radości na widok niskiego Chińczyka, pochylonego nad jednym z brązów Sama Wanga.

Chińczyk wyprostował się i odwrócił. Niemal natychmiast jego twarz rozjaśnił uśmiech, skłonił się lekko i z uśmiechem ujął dłoń Lindsay.

- Zobaczyc cię znowu, droga córko, to dla mych oczu radość jak spojrzenie na księżyc jesienią - powiedział. - Proszę, przyjmij me najdelikatniejsze życzenia ulgi w smutku, spowodowanym śmiercią twej najczcigodniejszej matki. Z pewnością nasz wspaniały i potężny Bóg zabrał do swego nieba tę najpiękniejszą, najpokorniejszą i najzarliwszą ze wszystkich swych cór.

Próbując powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu, Lindsay ścisnęła dłoń Hsiang Wu. Catlin obserwował ich, słuchał, jak Chińczyk wyraża swe myśli rodzące się w mandaryńskim i tłumaczone bezpośrednio na angielski. Najwyraźniej amerykanizacja Hsiang Wu kończyła się na opanowaniu języka. Jak Chen Yi, zachował chińską kolejność nazwiska przed imieniem, lecz, przeciwnie niż Chen Yi, nie myślał w języku, którym mówił. Jego angielski był kwiecisty, ozdobny, wymowny. Hsiang Wu nie przytulił Lindsay, jak postąpiłby człowiek Zachodu, pieścił ją jednak słowami.

- Proszę, przyjmij najpokorniejsze podziękowania swej uniżonej córki - szepnęła Lindsay w mandaryńskim, lekko pochylając głowę, by słowa lepiej dotarły do Hsiang Wu, o kilka centymetrów niższego od niej. - Jak zwykle, twe najuprzejmiejsze słowa są nasłodszą muzyką dla smutnych uszu, przyzwyczajonych do niewyszukanych zwrotów angielszczyzny.

Hsiang Wu uśmiechnął się znów uściśnął dłoń Lindsay. Wyrażony publicznie dowód uczucia, tak rzadki u Chińczyków, powiedział Catlinowi więcej, niż mogłyby powiedzieć słowa: żywił takie skomplikowane i - w oczach ludzi wychowanych w kulturze Zachodu - nieco niezrozumiałe uczucia dla Lindsay, jakie mogłyby żywić dla córki. Niezrozumienie tego uczucia cechowało jednak wyłącznie ludzi Zachodu, ceniących kobiety bardziej niż ludzie Wschodu. Hsiang Wu nie wątpił w swą miłość do Lindsay i ona także nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Odwróciła się w stronę Catlina.

- Wujku Wu, to pan Jacob Catlin - powiedziała, wracając do potocznej angielszczyzny. - Catlin, poznaj najczcigodniejszego pana Hsiang Wu.

Z rozmowy Lindsay dowiedział się dwóch rzeczy. Po pierwsze, Stone nie poinformował jej, że zna mandaryński równie dobrze jak ona sama. Po drugie: Hsiang Wu cieszył się szacunkiem wśród społeczności Chińczyków w San Francisco. Zwyczajowo stosowano wobec niego określenie „najczcigodniejszy”. Wydawało się to zaskakujące. Większość tutejszych chińskich emigrantów pochodziła z *pti-łudnia*, a nie z północy Chin. Częściej słyszało się tu dialekt kantoński niż mandaryński. Niezwykłe było, by Chińczyk z północy zyskał jakąś pozycję w tym mieście.

Ścisnąc delikatną dłoń, którą wyciągnął ku niemu Hsiang Wu, Catlin ukłonił się lekko w uznaniu jego pozycji.

- To zaszczyt poznać pana - powiedział.
Hsiang Wu odwzajemnił jego ukłon.
- Jestem tylko najpokorniejszym z jej starych przyjaciół - powiedział tak cicho, że trudno go było usłyszeć.
- A ja jestem najpokorniejszym z nowych - odpowiedział gładko Catlin.
- Sprytne oczy Chińczyka zmierzyły go długim spojrzeniem, a później skłonił on głowę, jakby przytakiwał jakiejś swej myśli.
- Z przyjemnością stwierdzam, że w końcu me pokorne oczy widzą mężczyznę wystarczająco silnego i mądrego, by wskazał mej czasami rozpaczliwie upartej córce właściwe miejsce w historii i kulturze.
- Nie dokona tego żaden mężczyzna. Każdy z nich woli być przykuty do apetycznie parującego *woku** - wyjaśniła Catlinowi Lindsay. W jej głosie słychać było rozbawienie. Najwyraźniej właśnie otarli się o przedmiot dawnych sprzeczek. - Och, wujku Wu, jak to miło znów usłyszeć te stare nauki!
- To stałe i trudne zadanie, które najpokorniejszy wuj próbuje wykonać pod nieobecność twego nieodżałowanego ojca - przyznał Chińczyk. W jego oczach błyszczały iskierki wesołości.
- Bosa i w ciąży, co? - Catlin przejechał palcem po jej policzku. - To się da zrobić.
- Lindsay poczuła wypełzający na jej twarz rumieniec, ale nie uciekła przed dotknięciem Catlina. Odwróciła głowę, spoglądając mu jednocześnie prosto w oczy.
- Tyłko niczego sobie nie wyobrażaj!
- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie niczego nowego

* Wok - chińska patelnia (lub rondel) z wklęsłym dnem.

- zgodził się ze złym uśmiechem. - Mężczyźni myślą o tych sprawach, od czasu gdy jeden z nich jako pierwszy dowiedział, jak można powstrzymać kobiety przed rządzeniem światem!

Wybuch śmiechu i pochwalne spojrzenie powiedziały Lindsay, że Hsiang Wu zaakceptował Catlina. Nie była tym zaskoczona. Cechował go w końcu prawdziwie chiński szacunek dla inteligencji z równie tradycyjnym szacunkiem dla siły i prawdziwej męskości mężczyzny. A Catlinowi nie brakowało żadnej z tych trzech cech.

Westchnęła i dramatycznie potrząsnęła głową.

- Osaczyli mnie tradycjoniści.

- Z pewnością tego należało się spodziewać, córko - stwierdził cicho Hsiang Wu. - Wróciłaś, ale otacza cię tęcza wspomnień z Chin, odbicie najwspanialszej tradycji świata. - Jego głos zmienił się, na moment ujawniając uczucia wygnańca z ukochanej ojczyzny. - Straszne jest wiedzieć, że ludzie mający mniej honoru od psów, stoją nad skrwawionym ciałem najsztubtelniejszej i najwspanialszej kultury, jaką kiedykolwiek poznał świat.

W jego głosie Catlin usłyszała smutek, żal, nienawiść i niechętną akceptację. Najwyraźniej Hsiang Wu nie powiatał z entuzjazmem rewolucji, która zmieniła jedno z najstarszych imperiów świata w jeden z najmłodszych krajów komunistycznych,

- Ale to tylko bełkot bezmyślnego starca, który nigdy nie nauczył się, że żyć przeszłością to odpowiedź żebraka na chwałę nowego dnia. - Hsiang Wu skwitował swe żale machnięciem ręki. - Chodź, córko moich najstarszych, najczcigodniejszych przyjaciół. Spełnij kaprys pokornego starca, który chciałby wiedzieć, co twe młode oczy widzą w tych najwspanialszych, najbardziej starożytnych brązach.

Lindsay zawahała się, a później na chwilę przeszła na

mandaryński nie chcąc, by Chińczyk stracił twarz w obecności Catlina.

- Najukochańszy wuju - szepnęła - dziś jestem tu jako pokorny sługa czcigodnego pana Jacoba Catlina i niegodny tego zaszczytu pracownik Muzeum Sztuki Azji. Nie mogę powiedzieć ci niczego, co zmniejszy szanse pana Catlina i moich pracodawców. Ale kiedy dowiem się, które z dzieł pan Catlin może zechcieć kupić i czy są tu takie, które powinny znaleźć się w muzeum, uznam za największy zaszczyt możliwość przedyskutowania z tobą zalet wszystkich innych.

Przez moment czarne oczy Chińczyka pochwyliły wzrok Amerykanina, jakby spodziewał się odpowiedzi od niego, mimo że rozmowa toczyła się w mandaryńskim. Kiedy jej nie usłyszał, zwrócił wzrok na Lindsay rozumiejąc, że jej zdaniem rozmowa ta ma być prywatna i Catlin jest z niej wykluczony.

- Ach! Przebacz niezręczność zbyt entuzjastycznemu starcowi! - Rozmowa nadal toczyła się w mandaryńskim. - Nie chciałem uczynić niczego, co rzuciłoby cień na twój honor i honor twej szacownej rodziny.

Catlin czekał cierpliwie, w żaden sposób nie zdradził, że zna mandaryński.

Lindsay rzuciła mu krótkie, błagalne spojrzenie.

- Przykro mi, że jestem nieuprzejma, ale...

- Nic się nie stało - Catlin przerwał przeprosiny za rozmowę prowadzoną w języku, którego - jej zdaniem - nie znał.

Wróciła do wylewnego mandaryńskiego, przepraszając na wiele różnych sposobów za to, że nie może pomóc Hsiang Wu, On zaś przyjął jej przeprosiny falą własnych usprawiedliwień, aż kurtuazji stało się zadość. Następnie, usprawiedliwiając się kilkoma grzecznymi zdaniem,

Hsiang Wu wycofał się, by obejrzeć brązy, które wystawił Wang.

Catlin przytulił Lindsay.

- Kłopoty? - spytał zbyt cicho, by można go było podsłuchać.

- Wy tłumaczyłam, że jestem twoim ekspertem i nie mogę w pomóc w ocenie brązów - wyjaśniła, równie cicho.

- A normalnie byś mu pomogła?

- Oczywiście. To dobry przyjaciel z bardzo dawnych lat. I umie się odwzajemnić. Niektóre z najlepszych brązów w Muzeum Szuki Azji przeszły przez ręce wujka Wu.

- Wygodne - mruknął Catlin.

- A to co ma znaczyć? - szepnęła.

- Zawsze dobrze jest mieć przyjaciół w odpowiednich miejscach.

- Ludzie z uniwersytetu Harvarda nazywają ich „sieciami starych kumpli” - Lindsay mówiła cicho, ale jej głos był twardy. - Chińczycy wymyślili to mniej więcej wtedy, kiedy Europejczycy nosili jeszcze źle wyprawione skóry i walczyli pałkami.

Śmiejąc się cicho, pochylił głowę i delikatnie dotknął ustami jej ust.

- Sądzisz, że Hsiang Wu słyszał coś o naszym wózniczy?

- Nie.

- Odpowiedziałas mi tak szybko, tak pewnie. - I chociaż nie dodał nic więcej, słowa i spojrzenie jego czujnych oczu sugerowały wyraźnie, że jest to pytanie.

Odpowiedziała mu wzruszeniem ramion. Po chwilowym wahaniu przytuliła się do niego, jak kobieta rozkoszująca się ciepłem i siłą, czerpanymi z obecności kochanka.

- Rodzina wujka Wu przebywa na wygnaniu - szepnęła ledwie słyszalnym głosem. - Hsiangowie obstawili nie tę

grupę podczas rewolucji. Walczyli nawet wtedy, gdy Mao doszedł już do władzy, ale w końcu musieli uciekać.

- I co z tego?

- To, że ci, którzy ukradli brązy z Xi'anu, mają jakieś związki z chińskim rządem. - Lindsay niecierpliwiła się, mówiła przecież o sprawach oczywistych. - Nie ma innego sposobu, by je wykraść i wywieźć poza granice prowincji i kraju.

- Stone ci to powiedział? - szepnął Catlin.

- Wcale nie musiał. Każdy, kto wie choćby odrobinę o Xi'an i o Chinach, sam się tego domyśli.

- Wyświadcz mi tę łaskę - westchnął, gładząc ją po policzku - i nie wspominaj nikomu o swych wnioskach, dotyczących chińskiego rządu i skradzionych brązów. Nikomu oprócz mnie. Dobrze? Nie wszyscy znają Chiny tak jak ty.

- A co ze Stone'em? Mogę powiedzieć jemu?

Jedyną odpowiedzią był jego dotyk.

- Ale...

Obejmująca jej brodę dłoń zacisnęła się delikatnie, lecz ostrzegawczo, przypominając, że przy otwartych drzwiach nie ma miejsca na żadne spory.

- Ja... dobrze. - Głos Lindsay był niski, schrypnięty. Usłyszała echo słów Stone'a, twierdzącego, że Chen Yi jest chińskim szpiegiem, a sam Catlin najprawdopodobniej też. Myślała, że zgodzi się porozmawiać z nią o tym, kiedy już będą sami.

- Czy jest tu jeszcze ktoś, kogo znasz?

Zaskoczyła ją ta nagła zmiana tematu. Rozejrzała się po sali. Duży pokój domu Sama Wanga, stojącego na zboczu wzgórza w Marin County był ogromny, niemal dwukrotnie większy niż typowe pokoje w tego rodzaju domach. I na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do zwykłych domów. Dywan był szkarłatny, gruby, z krótkim włosiem tłu-

miącym dźwięki. W piękną, czerwoną wełnę, lśniąca niewątpliwie jedwabną złotą nicią, wpleciono wzór smoka.

Synteza Wschodu i Zachodu, tak wyraźnie widoczna w dywanie, powtarzała się i w innych elementach wnętrza. Mahoniowe meble zaprojektowano na wzór skandynawskich raczej niż orientalnych. Jedyny wyjątek stanowiła wspaniała, mahoniowa, rzeźbiona w splecione, niewątpliwie chińskie, smoki zastona. Francuskie okno, zastępujące ścianę, ukazywało wspaniałe widoki na słońce, zanurzające się w spokojnych, ciemnofioletowych wodach Zatoki San Francisco. Samo miasto leżało na jej przeciwległym brzegu. Wieżowce, piętro po piętrze, wzbijały się z ogarniętej mrokiem ziemi w złotopurpurowe promienie.

W pokoju przebywało tylko kilka osób. Sam Wang zaprosił niewielu gości, by umożliwić im swobodne oglądanie brązów. Szybkie spojrzenie wystarczyło, by Lindsay stwierdziła, że żaden z nich nie wygląda znajomo, chociaż dwaj mężczyźni pochyleni nad jednym z dzieł nie próbowali nawet ukryć swojego entuzjazmu, co wskazywało, że są kolekcjonerami raczej, niż wyrażającymi bardziej powściągliwie swój podziw naukowcami lub tylko znawcami dzieł sztuki.

Potrząsnęła głową, przekazując Catlinowi bez słów, że nie zna nikogo.

- Dobrze - odparł cicho, pieszczotliwie gładząc ją po gęstych, lśniących włosach. - Przyjrzyjmy się brązom.

- Poczekaj - szepnęła nagle, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Poczuła ciało twarde jak skała i to ją zaskoczyło. W szytej na miarę marynarce i luźnych spodniach Catlin wyglądał bardzo dystyngowanie. Nie miał prawa być aż tak potężny. Wilk w owczej skórze - pomyślała, jednocześnie

rozbawiona i zaniepokojona. Dobrze, że nie porosłam wędną i nie beczę.

Podniósł lewą brew, zadając jej nieme pytanie, a jednocześnie przykrył jej dłoń swoją.

Lindsay zorientowała się, że jej myśli nabierają nagle zdecydowanie zmysłowego charakteru.

- Będziemy tu coś kupować? - zapytała nieco rozpaczliwie, nienawidząc wrażenia, które na niej wywierał,

- Jeśli znajdziemy dobre brązy, tak. Będziemy kupować w sposób jak najbardziej pokazowy. Spowoduje to falę plotek.

Skinęła głową. Wiedziała, że ma rację. Wiadomość o nowym, agresywnym kolekcjonerze roznie się w tym światku tak szybko, jak pożar w buszu.

- Kupujemy dla ciebie? Dla muzeum? Dla rządu?

- Bank przyjmie czek - odparł sucho, myśląc o koncie w Hongkongu, które otwarto na jego nazwisko - jeśli cię to martwi.

Potrząsnęła głową i nagle dostrzegła, jak rozszerzają mu się nozdrza, gdyż doleciał go zapach jej włosów. Dostrzegła też, jak równie nagle rozszerzają mu się źrenice i zorientowała się, że widzi w niej kobietę, tak samo, jak ona widzi w nim mężczyznę. Ta świadomość jednocześnie podnieciła ją i uspokoiła.

- A co się stanie, jeśli to samo dzieło zechce kupić i muzeum, i ty?

Catlin pochylił się i z uśmiechem złożył na jej dłoni długi pocałunek, ignorując obecność zainteresowanych brązami ludzi.

- Sama sobie na to odpowiedz, słodki kociaku - powiedział, podnosząc głowę.

- Ty... - głos Lindsay był cichy, napięty. Serce biło jej szybko, zbyt szybko. - Ty,..

Kolejnym pocałunkiem przerwał jej w pół słowa.

- Mów mi „P.S.” - szepnął. - W ten sposób, jeśli ktoś nas podsłucha, nie będzie się dziwił, dlaczego nazywasz swego kochanka „Prawdziwym Sukinsynem”.

- Innymi słowy ty dostaniesz wszystko, czego chcesz, a muzeum musi zadowolić się tylko resztkami - stwierdziła cicho. Właśnie zdała sobie sprawę z konsekwencji swej decyzji. Tego wieczora śmietanka koneserów, kolekcjonerów i naukowców stanie się widownią przedstawienia: oto pracownica muzeum poświęca interesy swego pracodawcy na korzyść zachcianek mężczyzny - niewątpliwie kochanka.

Catlin wzruszył ramionami.

- Zakładasz, że coś zostanie? - Patrzył wprost w jej twarz, oczy miał bursztynowe, błyszczące odbiciem światła padającego z eleganckich, zawieszonych u sufitu, punktowych lamp. Przytulił ją mocno i szepnął wprost do ucha: - Niewiele po sobie pozostawiam. Spytaj tych, którzy mnie znają. Kiedy już skończę, zostają tylko wspomnienia, ale nawet tych jest cholernie niewiele. Pamiętaj o tym, Lindsay. I pamiętaj, co ci powiedziałem w zeszłym tygodniu, w Waszyngtonie.

Mówił cicho i spokojnie, lecz jego głos ciął jak bicz. Lindsay bowiem pamiętała także swoje bezmyślne słowa: „JSTę powiem, że mnie nie ostrzegałeś, jeśli ty nie powiesz «a nie mówiłem»”.

Przez moment trwała w jego ramionach nieruchoma, jakby zmrożona, a później z rozmysłem odwzajemniła to, co wydawało się uściskiem. Grała lepiej, choć na chwilę zapomniała o możliwych rezultatach tego przedstawienia. Przez tydzień, od kiedy ten mężczyzna zamieszkał u niej, zdążyła się przyzwyczaić do jego obecności. Jak umiała, odpowiadała na pytania zazdrosnej Sherry, nie mogącej żyć bez informacji o tym, czy jest dobry w łóżku. Nauczyła się

odpowiadać uśmiechem na pytania Jackie, zainteresowanej jego „potrzebami”. Przygryzała język, gdy L. Stephen zaczął jej składać propozycje już nie w złym guście, lecz wręcz ordynarne. Lecz tego wieczora rozczaruje Hsiang Wu, podporę chińskiej społeczności, w której się wychowała i którą kochała. Hsiang Wu, który znał wszystkich i który uczynił jej zaszczyt, nazywając swą córką.

Po raz pierwszy Lindsay ucieszyła się, że matka nie żyje.

- Pamiętam - westchnęła, czując dotyk jego nagiej skóry.

Catlin przymknął oczy. Usłyszał pustkę, w jej głosie. Wiedział - wiedza, którą przynosi tylko doświadczenie - że Lindsay już czuje smak zdrady starych przyjaciół. Próbował ją do tego przygotować. I wiedział, że nie da się tego zrobić.

Witaj w świecie tajnych agentów, Lindsay - pomyślał.

- Witaj w przedpieklu. Tędy, proszę. Czeką cię jeszcze następny krok do piekła, i następny, i następny, aż nie będzie już nic tylko piekło, od zawsze, na zawsze.

Nagle rozluźnił uścisk.

- Spróbujmy się szybko zorientować, czy znajdzie się tu coś nowego do moich zbiorów.

- Jeśli rzeczywiście pragniesz czegoś nowego, źle trafiłeś. - Z wielkim wysiłkiem opanowała drżenie głosu. - Najnowsze dzieło w tej sali liczy sobie dwa tysiące dwieście lat. A przynajmniej powinno, jeśli to te brązy, które Wang tak reklamował.

Uśmiechnął się uprzejmie na ten żart, ignorując oznaki napięcia widoczne wokół jej oczu i ust. Podeszli do czarnego, lakierowanego sześcianu, na którym stał jeden z brązów z III wieku p.n.e.

Gdy tylko Lindsay pochyliła się nad nim, natychmiast zapomniała o wzburzeniu. Czuła rosnące podniecenie, wy-

nikające z obcowania z czymś jednocześnie antycznym i przepięknie wykonanym.

Naczynie miało nieco ponad piętnaście centymetrów wysokości i około ośmiu centymetrów średnicy. Stało na trzech Japach" z niewyraźnie zaznaczonymi szponami i niegdyś inkrustowane było złotem, srebrem i szmaragdami. Cenne metale błyszcząły jeszcze gdzieś w szczelinach powstałych raczej podczas samego procesu odlewania, niż dodanych później. Tu i ówdzie można było dostrzec okruchy szmaragdów, błyszczące błękitnozielonym światłem, pasującym do przepięknej patyny.

Nim Catlin oderwał od niego wzrok, Lindsay wiedziała już, że podziwia ten brąz, ale nie będzie brał udziału w licytacji. Wyczytała tę wiedzę z jego twarzy, ze sposobu, w jaki nań patrzył, bez śladu zachłanności. Tydzień temu nie potrafiłaby odczytać tych drobnych oznak jego myśli i wątpiła, by udało się to większości ludzi, nawet tym, którzy go dobrze znali. Dostroiła się po prostu do wysyłanych przez niego sygnałów, do sposobu, w jaki patrzył, w jaki dotykał otaczających go przedmiotów.

- Dlaczego nie? - spytała cicho.

Podniósł głowę, zaskoczony.

- Muszę popracować nad moją pokerową twarzą - stwierdził. - Skąd wiedziałaś?

Chciała odpowiedzieć... i nie mogła. Zorientowała się, że brak jej słów na wyjaśnienie tego, że potrafi go zrozumieć, nawet wtedy gdy nie trafia na pozostawione przez niego wyraźne ślady.

- Po prostu wiedziałam.

Bursztynowe oczy mierzyły ją przez dłuższą chwilę. Nikt nigdy nie potrafił z taką łatwością odczytać jego myśli. Ani Suzie, ukochana z dzieciństwa, którą poślubił, ani Mei, kobieta, która próbowała go zabić. Już w młodości

nauczył się, jak groźne może być otwarcie na innych ludzi: ludzie mogą cię zdradzić, a ty zdradzasz ich. Zaufanie nie zwiększało szans przetrwania. Chociaż Suzie przecież nie zamierzała go zdradzić. Była po prostu zbyt młoda, zbyt samotna, by czekać, aż jej szkolny heros powróci z wojny. Z Mei inaczej to wyglądało. Mei od początku zamierzała go zdradzić, bo takie zadanie przydzielił jej alfons i kochanek, Lee Tran. Nic nie mogło jej w tym przeszkodzić, nawet zrodzone niespodziewanie uczucie do mężczyzny, którego miała zamordować.

A Lindsay, która nigdy nie zdradziła nikogo, uczyła się zdrady od eksperta.

- Mam już podobny kielich na wino - powiedział. W jego głosie i oczach nie było śladu uczucia. - Ten jest nieco bardziej dekoracyjny, ale na moim ozdoby pozostały nie naruszone, nie brakuje nawet jednego szmaragdu. I patynę ma bogatszą, równiejszą. Krótko mówiąc, jest lepszy.

Przyjrzała mu się uważnie, z trudnością przyjmując do wiadomości fakt, że kiedyś musiał być bardzo poważnym kolekcjonerem. Kielich, który mieli przed sobą, mógłby być ozdobą każdego muzeum. Był nie tylko świadectwem minionej epoki, ale i dziełem sztuki. Jeśli miał coś lepszego, miał prawdziwy skarb.

- Chciałabym obejrzeć kiedyś twoje zbiory - powiedziała wyraźnie.

- Ja też - kąciki jego ust uniosły się, ale nie był to uśmiech.

Dla Catlina pozostawienie zbiorów w sejfie w Hongkongu było najtrudniejszą decyzją związaną z rozpoczęciem nowego życia, a także jedną z najkonieczniejszych. Jeśli miał przeżyć, tajny agent Rousseau musiał zniknąć z horyzontu. Więc zaaranżowano jego „śmierć”.

Ale Rousseau nie zginął, prawda? - zapytał gorzko sam

siebie. - Nie do końca. Chen Yi wskrzesił go z piekła przeszłości połówką starej monety. A teraz porywam do piekła kogoś, kto niczym sobie na to nie zasłużył, kogoś zasługującego niewątpliwie na lepszy los.

Lindsay przyglądała się jego poważnej twarzy, próbując odczytać, jakie myśli kryją się w pustce widocznej w burztynowych oczach. Niewiele wiedziała o przeszłości tego mężczyzny. To, co wiedziała, pozwoliło wnioskować, że jego myśli nie są zbyt pogodne. Nie przeszkadzało jej to. Niektóre z jej wspomnień też nie były takie.

Przynajmniej raz zadowolona była z roli, którą przyszło jej grać. Rola ta dała jej pretekst, by ująć tę poważną twarz w swoje dłonie i złożyć na jej ustach delikatny pocałunek. Ale usta te nie drgnęły pod naciskiem jej warg. Catlin ujął jej dłonie w swoje i szarpnął gwałtownie.

- Zostaw to na później - powiedział donośnie. - Teraz chcę obejrzeć brązy. - Mówiąc to uśmiechnął się, ale w jego oczach była tylko pustka i chłód. Chłód, który instynktownie starała się zlikwidować.

Odepchnął ją, nie dał jej szansy i było to całkowicie nieoczekiwane. Przez chwilę tylko mu się przyglądała, dostrzegając kątem oka, jak dwaj kolekcjonerzy uśmiechają się, odwracając oczy, rozbawieni tą niewielką sceną. Na jej policzkach pojawił się rumieniec gniewu i wstydu. Uśmiechnęła się jednak z wysiłkiem, pokazując w tym uśmiechu piękne, równe zęby.

- Później? Nie sądzę - stwierdziła znacznie ciszej. - Chyba, że później może także oznaczać nigdy. - Pochyliła się i delikatnie poprawiła mu krawat, a kiedy przemówiła, tylko on mógł ją usłyszeć, - Mam grać zakochaną, a nie kompletną idiotkę. Narzuciłeś te słodziutkie zasady, to lepiej, do cholery, zastosuj się do nich, albo wszyscy zobaczą,

jak słodziutko i bardzo publicznie bierzesz po buzi, i szukaj sobie drugiego pokoju w hotelu.

Uśmiechnęła się nagle, najzupełniej szczerze, bowiem wiedziała, że dziś w nocy naprawdę, a nie na niby, będzie dzielić łóżko Catlina i świadomość ta zakłócała jej równowagę ducha w najdziwniejszych momentach.

Spania w jednym łóżku nie uda się im uniknąć. Nie ma na to rady. Pokojówka w hotelu natychmiast zorientuje się, czy używano dwóch, czy jednego. A wiedza pokojówki jest na sprzedaż.

- Tak, bardzo mi się podoba ten pomysł z dwoma pokojami - szepnęła jeszcze. - Stwarza zupełnie nowe możliwości. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Na moment w poważnej twarzy Catlina zabłysła iskierka uśmiechu. Jedyne iskierka.

- Tylko bez przesady, kochanie - ostrzegł ją cichym głosem. - Bo jeśli przesadzisz, sprawię, że zarumienisz się aż po pięty.

Natychmiast zrozumiała ostrzeżenie - graj jak każę albo przygotuj się na publiczny pokaz wolnej miłości.

- Jesteś moim własnym „P.S.", prawda? - szepnęła, uśmiechając się gorzko.

- Nie zapomnij o tym - odparł szeptem. - Oszczędzisz nam obojgu mnóstwa kłopotów.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Twarz miała równie nieruchomą, jak on.

Nagłą ciszę przerwał trzask zamykania staroświeckiej, metalowej zapalniczki. Catlin podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Chen Yi wkłada ją z powrotem do kieszeni i wydmuchuje w powietrze kłęb ciężkiego dymu. Chińczyk obrzucił ich przelotnym spojrzeniem, jak nieznanym.

- Pamiętaj także, że nigdy nie spotkałaś Chena - szepnął Catlin.

Lindsay skinęła głową i delikatnie wyswobodziła się z jego objęć.

- Obejrzymy brązy? - spytała. Twarz miała kamienną.

- Co za wspaniały pomysł. - W tych słowach było sporo ironii. - Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

- Mam wiele wspaniałych pomysłów. - Głos Lindsay był schrypnięty, namiętny, jakby mówiła o łóżkowej akrobacie. - Zapomniałeś?

I nagle zorientowała się, że Wu obserwuje ją kątem oka. Niewątpliwie jej stary przyjaciel bez przeszkód obejrzał scenę przywoływania do porządku nieposłusznej kobiety. Na jej policzkach pojawił się gorący rumieniec. Zdała sobie sprawę, co myśli o niej konserwatywny Chińczyk.

Catlin także dostrzegł obserwującego ich dyskretnie Hsiang Wu. Kiedy Lindsay podniosła wzrok, przepraszając go milcząco za rumieniec, którego nie potrafiła kontrolować, wzięła ją pod rękę i poprowadził ku następnemu dziełu. Pragnął powiedzieć jej, że rumieniec nie wpływa źle na wiarygodność gry, w rzeczywistości potwierdza ją, jak nic innego. Lindsay była naprawdę kobietą, którą zagarnęła ze sobą fala miłosnej przygody, każąca jej - zawstydzonej, lecz niezdolnej do sprzeciwu, bowiem uczucia przeważały szalę moralnych skrupułów - robić rzeczy, których nigdy by inaczej nie zrobiła. Chciał jej to wszystko powiedzieć, ²⁴ chciał dodać jej odwagi, lecz Hsiang Wu był zbyt blisko, przypatrywał się im zbyt ciekawie.

Następnym brązem było wspaniałe lustro, ozdobione przenikającymi się, geometrycznymi wzorami, wyłożone miedzią, która, podobnie jak cała reszta, nabrała typowego, niebieskozielonego koloru. Lindsay widywała już podobne lustro. Poza tym że jest oryginalne, nie miała nic więcej do powiedzenia. Obeszła je kilka razy i poszła dalej bez słowa.

To samo zdarzyło się przy trzech kolejnych dziełach:

rytualnych naczyń inkrustowanych złotem i srebrem. Wspaniale wykonane - ale doskonałość wykonania była charakterystyczną cechą wszystkich brązów z lat od 500 p.n.e. do 206 n.e. - do początków dynastii Han. Karlgren, słynny znawca brązów, nazwał ten okres i powstałe w nim dzieła stylem *huai*, trzecim, najwspanialszym ze stylów chińskich brązów. Dzieła przedstawione tego wieczora przez Wanga, pochodziły ze środkowego okresu stylu *huai*, a przynajmniej tak zostały przedstawione.

- Czy coś tu się nie zgadza? - Catlin dostrzegł, jak Lindsay marszczy czoło.

- Nic wielkiego. Nazwałbyś to pewnie kwestią smaku.

- To znaczy?

- To znaczy że ten pojemnik na żywność usytuowała-bym bliżej dynastii Han niż trzeciego stulecia.

- Ale jest oryginalny?

- O, tak! Bardzo się przyda w zbiorach muzeum. - Po-woli obesza brąz. - Nie mamy...

- Nie! -wtrącił gładko.

- Co? - Pochłonięta oględzinami Lindsay nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Właśnie to. Nie. Chcę go mieć.

Nie starał się szczególnie zniżyć głosu, słyszeli go wszyscy zainteresowani rozmową.

- Ale zaproszenie wystosowano do mnie - zaprzeczyła automatycznie - a muzeum zachowuje prawo pierwokupu nawet...

- Nie interesują mnie szczegóły techniczne - Catlin uśmiechał się, głaszcząc jej ramię. - Kup dla muzeum coś innego. Ten licytujesz dla mnie.

- Catlin!

- Zrób to, słodki kociaku. Dla mnie.

Choć jego ton pieścił, uścisk ręki był mocny, jakby

spodziewał się, że Lindsay drgnie. Ale ona tylko uśmiechnęła się do niego słabo, rozumiejąc, co robi i dlaczego, choć przedtem nie zdawała sobie sprawy, jakie to będzie dla niej trudne.

- Nie... - powiedziała i umilkła. Odetchnęła głęboko, próbując uśmiechnąć się do wpatrzonego w nią smoka o bursztynowych oczach. - Dobrze, kochanie. Ten jeden raz.

Pochylił się i pocałował ją, przykrywając tym pocałunkiem niepewny uśmiech, który wykrzywił jej wargi. Potem szybko wyprowadził ją do mniejszej, do tej pory niedostępnej dla gości, sali, umieszczonej pod kątem prostym w stosunku do dużego pokoju, mającego kształt litery L. W progu Lindsay stanęła jak wryta. Brąz, na który patrzyła, sprawił, że zapomniała o wszystkim. Nie czuła nic, oprócz wielkiego zdumienia i zalewającej jej, nagłej fali żalu.

W sali ustawiono hebanowy stół, wystarczająco wielki, by zmieściły się na nim ze cztery brązy. Na jego środku stał wręcz niezwykły smok. Realizm stylu *huai* wzniósł się w tym dziele na wyżyny geniuszu. Zwinny, potężny, tajemniczy smok przyglądał się światu oczami ze złota. Złoty był także wolutowy ornament, kształtujący linie muskularnego ciała. Na emaliowanych zębach i pazurach widać było ślady srebra.

Obydwoje przyglądali się smokowi w absolutnej ciszy. Po kilku długich jak wiek minutach Catlin oderwał wreszcie wzrok od brązu, ale milczał. Nie chciał pytać, czy to oryginał, czy też genialne fałszerstwo. Lindsay spojrzała mu w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Wyjaśnij - poprosił w końcu głosem bez wyrazu.

- Ja... Och, Catlin! - w jej cichym głosie brzmiał smutek. - Obawiam się, że to fałszerstwo.

Catlin wypuścił powietrze z płuc z wyraźnie słyszalnym sykiem.

- Jesteś pewna?

- Ja...

Czekał, widząc jej smutek i niepewność.

- Lindsay? - ponaglił ją w końcu, cicho.

Z wysiłkiem oderwała od niego wzrok.

- Chciałabym, żeby był prawdziwy - mówiła urywanym głosem. - Jest wspaniała - dodała szeptem. - Po prostu wspaniała. Nigdy nie przypuszczałam, że fałszerstwo może być tak przekonujące, tak żywe.

- Ale jesteś pewna, że to fałszerstwo?

Powoli, ze smutkiem, skinęła głową.

- Dlaczego? Co jest w nim nie tak? - Catlin żądał wyjaśnień.

Lindsay bezradnie rozłożyła ręce.

- Ornamentyka odpowiada epoce - dodał. Nie pytał jej o opinię. Wiedział.

Znów przytaknęła mu skinieniem głowy.

- Bardzo przypomina nosorożca - powiedziała.

- Co?

- Brąz znaleziony w Xingping. Niezwykły brąz. Ta sama gęsta, giętka ornamentyka i złota inkrustacja. Ten sam głęboki realizm w szczegółach anatomicznych. Nie sposób się pomylić. Wspaniałe dzieło. Bardzo męskie. Nosorożec to z pewnością najwspanialszy z brązów, jakie kiedykolwiek widziałam. Do dziś.

- Mów dalej.

- W odróżnieniu od nosorożców, smoki nie mają swych odpowiedników w rzeczywistości. Smok rodzi się w wyobraźni, wywodzi w całości wyłącznie z tysiącletniej tradycji. To wszystko. Styl dzieła nie odpowiada trzeciemu stuleciu p.n.e. W tej epoce smok wyobrażany był tylko

kilkoma liniami i patrzącymi na boki oczami. Styl *huai* ubóstwiał rzeczywistość, twardą, wspaniałą, cielesną jak nosorożec z podniesionym łbem, wietrzący niebezpieczeństwo. Smoki nie są cielesne. Są symboliczne.

Westchnęła i przesunęła palcem po napiętych mięśniach smoczej szyi. To absurdałne, ale pod powiekami paliły ją łzy.

- Ktokolwiek go stworzył, był niezwykle zręcznym, wspaniałym artystą - stwierdziła, gdy była już pewna, że może mówić. - Wiedział, że smoki nie są rzeczywiste, że są wytworem ludzkiej wyobraźni. I wiedział, że właśnie z tego powodu są bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego, rzeczywistością bowiem nie jest to, co nas kształtuje, lecz to, co kształtujemy my.

Podniosła nagle głowę, wyczuwając napięcie, z jakim jej słuchał.

- Tego smoka stworzył współczesny człowiek, kimkolwiek był. Patrzył na świat oczami człowieka wiedzącego, że taoizm i fizyka jądrowa to wyraz tej samej tęsknoty, że im lepiej poznajemy tajemnice fizyki, tym bardziej metafizyczna staje się rzeczywistość. To bardzo współczesny punkt widzenia. Przemawia do mnie. To sztuka mojego czasu, mojego świata, wyrosła z tego, w co wierzę. I dlatego tak bardzo mnie poruszyła.

Potrząsnęła głową, nadal nie wierząc, by fałszywy brąz mógł aż tak oddziaływać na jej intelekt i uczucia.

- Powinnam go nienawidzić. Nienawidzę fałszerstw. Więc dlaczego nie potrafię zniechęcić smoka?

- Ponieważ to nie on jest fałszem, lecz to. - Catlin wskazała palcem na kartkę, na której widniał napis: „okręg Xingping, prowincja Shaanxi, około III w p.n.e.”.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a później Lindsay westchnęła głośno.

- Wolalabym wierzyć, że ten smok powstał raczej

z chęci pokazania piękna natury, niż z chęci wyciągnięcia pieniędzy z kieszeni łatwowiernych ludzi. Tak, potrafię w to uwierzyć.

- Rzeczywistością jest to, co kształtujemy my, prawda?
- Catlin powtórzył jej słowa, jak człowiek obracający w dłoniach znajomy, lecz skomplikowany przedmiot, oglądając go ze wszystkich stron.

- Do pewnego stopnia tak - przytaknęła zdecydowanie.
- Masz na myśli to, że choćbyś najmocniej próbowała, nie zamienisz piasku w wino? - uśmiechnął się nagle.

Roześmiała się w odpowiedzi, czując, jak ulatnia się resztką smutku, jak znika melancholia, która ogarnęła ją, kiedy zdała sobie sprawę, że wspaniały smok znaczy mniej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Bo znaczył także coś więcej.

- Dokładnie tak. Chociaż mówiono mi, że żyli niegdyś ludzie, mogący pić piaskowe wino.

- Uwierzyłeś w to?

Lindsay z wdziękiem wzduszyła ramionami, obróciła się i spojrzała na smoka.

- To bez znaczenia, bo wiem, że ja do nich nie należę.
- A pan, Wang? - Catlin odwrócił się płynnym ruchem.
- Czy pan potrafi pić piaskowe wino?

Zaskoczona, obejrzała się przez ramię i aż westchnęła ze zdumienia. Wang stał o metr od niej. Obok niego dostrzegła Chena wraz z jego dwoma chińskimi towarzyszami. Z wyrazu twarzy Wanga łatwo było wyczytać, że słyszał dyskusję, której przedmiotem był kosztowny, wspaniale wykonany i niemal na pewno fałszywy smok.

Nie okłamuj mnie

12

Przez chwilę Lindsay zdolna była jedynie patrzeć w przystojną, nieruchomą, całkowicie opanowaną twarz Sama Wanga i żałować, że nie usłyszała, kiedy wszedł za nimi do sali, jak niewątpliwie słyszał go Catlin. W przyspieszonym tempie przypominała sobie wszystko, co powiedziała o smoku.

Ponieważ wymagały tego dobre manieri, Wang przedstawił im trójkę Chińczyków. Kobieta nazywała się Zhu, a towarzyszył jej pan Pao. Podobnie jak Chen Ti, mówili dialektem mandaryńskim. W odróżnieniu od Chena nie rozumieli po angielsku lub - jeśli rozumieli - woleli się do tego nie przyznawać. Podczas prezentacji wszelkimi sposobami, gestami i minami starali się przekonać Lindsay, że potrafią porozumieć się wyłącznie na migi. Chociaż przedstawiono ich jako sekretarkę Chen Yi i jego asystenta, stali z nim ramię w ramię okazując, że są równi „szefowi”. Wydało się jej to nieco dziwne. Mimo skrzętnie pielęgnowanego przez Chińską Republikę Ludową mitu „równości”, do pozycji i potęgi odnoszono się w Chinach z szacunkiem, wynikającym z pięćdziesięciu wieków obsesji związanej z pojęciem „tworzy”. Niezależnie od tego, jaką rolę grali Pao i Zhu, nie dawałyby do zrozumienia, że są równi Chen Yi, gdyby rzeczywiście nie byli mu równi.

Z bezpośredniością obcą Chińczykom Wang skierował rozmowę na temat smoka, gdy tylko zakończono prezentację.

- A więc nie podoba ci się ten brąz? - spytał, choć w jego głosie nie było wątpliwości. Najwyraźniej usłyszał więcej, niż pragnął usłyszeć.

- Bardzo mi się podoba - Lindsay odparła atak.

- Lecz nie jako dzieło sztuki w stylu *huail*

- Jest w każdym szczególe tak doskonały jak dzieła tej epoki - stwierdziła żałując, że nie może skończyć rozmowy tym stwierdzeniem.

- Lecz nie jest to *huaP*. - naciskał Wang.

- Panie Wang...

- Sam - poprawił ją, z aprobatą przyglądając się prostej, czarnej sukni i niezwyklej biżuterii z kości słoniowej.

- W Kalifornii tylko cudzoziemcy i wrogowie używają nazwisk.

Uśmiechnęła się mimo woli - podobał się jej refleks Wanga i to, że potrafił docenić ją jako kobietę.

- Oczywiście nie potrafię powiedzieć nic bez badań, lecz w tym smoku jest coś bardzo współczesnego. Przynajmniej dla mnie.

- Z pewnością nie patyna.

- Patyna jest wspaniała - zgodziła się, patrząc na niezwykle, lekko żółtawy kolor brązu i zastanawiając się, jaki to nowy proces chemiczny zdolny jest nadawać nowym dziełom sztuki ten niezwykle, postarzający je odcień.

- Wyraźnie widać znaki świadczące o zastosowaniu metody *circe perdu*, właściwej wszystkim brązom *huai* - stwierdził Wang.

Przytaknęła, mimo uczucia, że zastawiono na nią pułapkę. Sama dostrzegła ślady pozostawione przez odlew metodą traconego wosku. W najlepszych brązach wkompono-

wywano je w ornament, dzięki czemu podkreślały raczej niż zubożały efekt końcowy.

- Glina, wokół której dokonano odlewu, przeszła test termoluminescencyjny. Trzecie stulecie przed naszą erą, plus minus sto lat - mówił dalej. Odczekał chwilę, po czym dodał gładko: - Czy chciałabyś zobaczyć raport?

Mimo że patrzyła tylko na Wanga, Lindsay wyczuła nagłą koncentrację Catlina. Wiedziała, o czym myśli. Test termoluminescencyjny bez wątpienia rozstrzygał o autentyczności wszystkich dzieł wypalanych w glinie. Opierał się na wiedzy o tym, jak kryształki, będące jej składnikiem, absorbują radioaktywność otoczenia. Podgrzane w ogniu, oddają one całe promieniowanie śladowe w postaci światła, a potem wchłaniają je znowu. Kiedy podgrzewa się je w laboratorium, znów następuje wypromieniowywanie. Oddawaną energię można zmierzyć, porównać z tabelą czasową i określić, z jakiego okresu pochodzi glina, z której wykonano dzieło.

- Czy zbadano fragment brązu na przenikanie? Sprawdzono, czy patyna wgrzyła się w powierzchnię metalu, czy też położona została na jego powierzchni? - spytała sucho. Tego jednego testu nie udało się do tej pory sfalszować. Tylko czas potrafił sprawić, by patyna przeniknęła w głąb metalu.

Wang wzruszył ramionami.

- A niby po co? Mojego testu używa się powszechnie w celu określenia autentyczności dzieła.

- Tak, dla wypalanej gliny - głos Lindsay był równie uprzejmy, co stanowczy. - Ale współczesne, wypalane w glinie dzieła sztuki można postarzyć tak, że tylko test termoluminescencyjny wykaże ich autentyczność.

- Aby postarzyć dzieło sztuki, potrzeba do tego kosztownego wyposażenia rentgenowskiego i doskonałej

znajomości współczesnych technik laboratoryjnych - zaprotestował Wang.

- Ale kiedyś już to zrobiono - Catlin po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy. - Jeśli dobrze pamiętam, spowodowało to niezłe zamieszanie. Pewne muzeum postarzało promieniami Roentgena dzieła sztuki tylko po to, by udowodnić, że kopia nie przejdzie przez ręce ich ekspertów.

Wang obrzucił go długim spojrzeniem, po czym znów zwrócił się w stronę Lindsay, która powiedziała:

- Mogę ci podać adresy dwóch laboratoriów, specjalizujących się w testowaniu przedmiotów metalowych.

- Do diabła, to by trwało wieki - burknął Wang potrząsając głową. - Po co ktoś wydawałby setki tysięcy dolarów na wyposażenie, pozwalające postarzać brązy?

- Kosztuje to aż tyle? - Brwi Catlina uniosły się w wyrazie zdumienia.

Wang zacisnął usta. Zrozumiał sens jego słów.

- Na twoje pytanie nietrudno odpowiedzieć, Sam. - Lindsay bardzo starała się utrzymać całą dyskusję w przyjacielskim tonie. - Smok stworzony w stylu *huai* sytuuje się automatycznie w bardzo starej i bardzo cennej tradycji artystycznej. Z drugiej strony, jeśli jest współczesny, jego wartość rynkowa staje się problematyczna. Nie ma rynku na współczesne chifiskie brązy, niezależnie od dokładności ich wykonania i wielkich walorów artystycznych. Innymi słowy, współczesny brąz wart jest tylko tyle, ile ktoś zechce za niego zapłacić.

Zdumiewające, ale twarz Wanga rozpogodziła się na chwilę. Spojrzał na smoka.

- Wielkie walory artystyczne, co? A więc on ci się podobają?

- Nawet bardzo. - Lindsay zorientowała się, że w jej lekko ochrypłym głosie brzmi smutek. - Ale nie licytowa-

łabym go dla Catlina, dla muzeum ani dla siebie. Nie, jeśli sprzedaje się go jako dzieło z trzeciego stulecia.

W ciszy Wang przyglądał się z namysłem smokowi. W końcu wyjął z kieszeni pióro, odwrócił kartę głosząca, że dzieło to ma ponad dwa tysiące lat i na białej powierzchni wypisał trzy czytelne litery: NDS. Nie Do Sprzedania. Kawałek papieru oparł o długie, wygięte szpony smoczyczych łap.

- Nie musisz tego robić - stwierdziła cicho Lindsay, wiedząc, że ta decyzja kosztuje go fortunę. - Nic nikomu nie powiem, jeśli nie zostaną bezpośrednio zapytana. A jeśli ktoś mnie zapyta, powiem mu to, co powiedziałam tobie: mogę się mylić. Ten smok może być równie stary, jak jest wspaniały.

Wang spojrział na nią spod oka.

- Może być, ale - tak czy inaczej - nieszczęście już się stało. Kiedy pan Chen dowiedział się, że będziesz tu dziś wśród gości, poprosił, żebym ci go przedstawił. Jak to mówią, rozgłos cię wyprzedził. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem. - Słyszeliśmy całą rozmowę, a jeśli podsłuchujesz, nie spodziewaj się dobrych wieści. No i tym razem to się sprawdziło. Jak długo nie przeprowadzę testu patyny, nie mam szansy na sprzedanie tego brązu za godziwą cenę.

- Bardzo mi przykro - powiedziała cicho. - Nie z powodu opinii, ale dlatego że naraziłam cię na stratę.

- Tego smoka przysłano mi z Vancouver - stwierdził beztrosko Chiriczuk - więc tracę tylko koszt przesyłki i ubezpieczenia. A poza tym, warto zapłacić, żeby cię zobaczyć przy pracy. Słyszałem o tym, że potrafisz „czuć” brązy, ale, prawdę mówiąc, wcale w to nie wierzyłem. Chen Yi miał rację. Jesteś najlepsza.

Kiedy Lindsay zerknęła na Chena, ten skłonił głowę w lekkim ukłonie. Uznawał jej status jako eksperta.

- To dla mnie wielki zaszczyt - na sposób chiński odpowiedziała mu ukłonem.

Pani Zhu zaczęła szybko mówić w mandarynkom. Pytała Chena, czego dotyczy rozmowa. Lindsay próbowała odpowiedzieć jej w tym języku, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że - skoro kazano jej udawać, że nie zna Chena - być może powinna także ukryć znajomość mandaryńskiego. Na samą myśl, by ukrywać coś tak oczywistego, zamarła. W końcu stała tylko nieruchomo ze spuszczonej oczyma, próbując wytłumaczyć sobie, że milczenie świadczy w rzeczywistości o jej grzeczności. Wszak pytanie skierowane było do Chen Yi, a nie do niej. On był godnym szacunku mężczyzną, ona tylko kobietą z obcego kraju. Jej pozycja, niezależnie od tego, jak byłaby wysoka, nie może równać się z pozycją mężczyzny, jaka by ona nie była niska.

Catlin położył rękę na jej szyi.

- Jeśli nam państwo wybaczycie - powiedział uprzejmie - przed rozpoczęciem aukcji chcielibyśmy obejrzeć resztę brązów.

Kiedy odchodzili, Lindsay czuła na plecach palące spojrzenia, którymi odprowadzali ich Chińczycy. Gdy zakręcili i znikli za rogiem, westchnęła z ulgą.

- No, tak - szepnęła jej Catlin wprost do ucha. ~ Towarzyszka Zhu potrafiłaby przewiercić wzrokiem brąz na wylot!

Westchnęła raz jeszcze i poddała się jego ciepłej dłoni.

- Podobne do niej kobiety siedziały pewnie na placach machając drutami, kiedy gilotyna ścinała głowy francuskich arystokratów - szepnęła.

- Powinnaś także docenić dobrego towarzysza Pao, który z pewnością świetnie się czuje podczas ścinania głów.

- Catlin powiedział to równie cicho. - Podejrzewam, że zupełnie nieźle zna angielski.

- Tak?

- Gdy Sam mówił o patynie, spojrzął na smoka - wyjaśnił jej. - A kiedy wspomniano test termoluminescencyjny popatrzył na ciebie, jakby spodziewał się jakiejś reakcji.

- Sądzisz, że z góry wiedział, że oceniłam smoka jako dzieło współczesnego artysty? Nie musiał czekać na tłumaczenie Chena?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Stali nam za plecami przez niemal całą rozmowę o tym wyjątkowym brązie. Żadne z nich nie powiedziało słowa, dopóki się nie odwróciłem i nie przywitałem Wangga, więc Chen Yi nie miał okazji do przetłumaczenia im twoich słów.

- Ach! Nagle jakoś przestało mi być żal, że nie tłumaczyłam dla tej biednej pani Zhu - szepnęła i podniosła wzrok. Patrzyła mu teraz wprost w oczy. - Czy powinnam ujawnić, że znam mandaryński?

- A czemuż by nie? - wyszeptał w jej włosy. Pochylili się właśnie nad jednym z brązów. - Jako dziecko wychowywałaś się w Chinach, co czyni cię autorytetem w dziedzinie brązów. Trudno przypuszczać, byś nie znała tego języka. Nie przejmuj się, spokojnie możesz używać mandaryńskiego. I tak musisz poradzić sobie z mnóstwem kłamstw, nie dodawajmy do nich jeszcze jednego.

- No, to przynajmniej nie jest kłamstwo - gestem wskazała zdobione pierścienie, spoczywające na czarnym aksamicie.

Podobnie jak owalne części uprząży, które widzieli u Jackie Merriman, brązy te pochodziły z Ordos. Niektóre przedstawiały motyw splecionych zwierząt, inne zwierząt walczących, w którym dwie bestie układają się obowiązkowo w krąg. Inkrustacje wykonano wspaniale i równie wspaniale były zachowane.

- Masz coś podobnego w swej kolekcji?

Catlin chrząknął. Mogło to oznaczać zainteresowanie, brak zainteresowania albo cokolwiek innego. Podobny dźwięk wydawali koneserzy i kolekcjonerzy, kiedy nie chcieli, by przeszkadzano im w studiowaniu dzieła sztuki. Lindsay zrozumiała go w lot i spokojnie odsunęła się na bok, umożliwiając mu dostęp do małego stołu.

Wielkie lustro w rodzaju tych, które widzi się w salonach mody, odbijało nie tylko brązy, lecz i rysy samego Catlina, poruszającego się w prawo i w lewo, studiującego małe, owalne brązy. Obserwowała grę cieni na jego twarzy, kiedy się obracał, odbicie światła we włosach i wąsach, na ostro zarysowanych brwiach, metaliczny odbłask złota w odbijających światło oczach okolonych gęstymi, czarnymi rzęsami. Groźna twarz. Linia kości policzkowych, nosa, szczęki zdawała się zbyt ostra, zbyt surowa. Ale twarz ta niewątpliwie przyciągała uwagę. Odbijała się w niej męska siła, łagodzona wyłącznie niezwykle zmysłowymi, pełnymi, wyraźnie zarysowanymi ustami, widocznymi pod czernią lśniących wąsów.

W którymś momencie zdała sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą, studiującą w lustrze odbicie Catlina. Po drugiej stronie stołu, pod tym samym kątem, choć oddalony o mniej więcej trzy metry, jakiś Azjata przyglądał mu się, jakby dostrzegł w nim wyrok śmierci. Twarz miał bladą i błyszczącą potem, usta zaciśnięte. Nagle odwrócił się i wybiegł z sali, przepychając się między ludźmi i brązami.

Przesunęła się nieco na bok, zyskując znacznie lepsze pole obserwacji. Widziała, jak mężczyzna dociera do przeciwległej krawędzi stołu, jak podchodzi do grupy Chińczyków, wśród których stał Hsiang Wu. Nie mogła wprawdzie usłyszeć rozmowy, ale z gestów i z tego, jak gwałtownie obrócili głowy, łatwo jej było wywnioskować, że tematem rozmowy stał się Catlin.

- Rozpoznajesz kogoś stojącego w grupie otaczającej Wu? - usłyszała ciche pytanie. A potem ostry głos upomniał ją: - Nie! Nie patrz na mnie! Odpowiedz.

Lindsay mogłaby przysiąc, że Catlin nie oderwał wzroku od brązów, lecz z jego słów łatwo było wywnioskować, że dostrzegł w lustrze co najmniej tyle, ile ona.

- Stoją zbyt daleko, żebym mogła powiedzieć coś na pewno. Ale jeśli chcesz, Wu z pewnością opowie nam o nich później - dodała, zastanawiając się, jakie to może mieć znaczenie.

- Nie sądzę - szepnął, biorąc w dłonie i przekazując jej jeden z mniejszych brązowych owali. - Chen Yi to dla nas załatwi, jeśli nie zdołamy skłonić Sama do dokonania prezentacji.

- Przynajmniej jednego z nich nie trzeba ci będzie przedstawiać - powiedziała bardzo cicho. Popatrzyła na brąz, który Catlin położył jej na dłoni, ale widziała tylko tę zdumioną, przerażoną twarz. - On cię zna - dodała głosem bez wyrazu. - I jest przerażony.

Poruszył brąz, leżący na jej dłoni. Usta skrzywił w chłodnym uśmiechu.

- Poznajesz go? - W pytaniu Lindsay brzmiał strach.

Przejął od niej brąz, odłożył go na aksamit i poprowadził ją do następnego stołu - w stronę człowieka, który przez kilka chwil przyglądał mu się z bliska, a potem uciekł, jakby pod nogami otwarło mu się piekło.

Lindsay przygryzła wargi. Kusiło ją, by powtórzyć pytanie. Zbyt często widywała strach, by nie rozpoznać go teraz w twarzy tego Azjaty. Tego rodzaju strach na jakimś podstawowym, prymitywnym poziomie wydał się jej żarliwy, poczuła, jak jej serce zaczyna szybciej bić. W miarę jak się do niego zbliżali, mężczyzna wydawał się kur-

czyć. Cofał się, uważając, by cały czas dzieliło ich kitka osób.

- Co sądzisz o tym? - Catlin pochylił się nad brązową misą do ryżu.

- Prawdziwa. - Jej głos był ostry. - Jak ty.

- „P.S.”? - Obrzucił ją szybkim uśmiechem i spojrzeniem bursztynowych oczu.

- Ornament sznurowy wykonano doskonale - zgodziła się niechętnie, zwracając całą swą uwagę na dzieło. - Wygląda wystarczająco solidnie, by kogoś na nim powiesić.

Śmiejąc się cicho pociągnął ją w stronę kolejnego stołu, na którym spoczywały brązy. Ruch ten zbliżył ich do mężczyzny, który uparcie próbował wtopić się w jedwabną tkaninę, okrywającą ścianę. Na stole leżały trzy grotty włóczni, delikatne, długie, przypominające kształtem liście. Zaprojektowano je równie elegancko, co śmiertcionie. Ich pełen wdzięku kształt krył konstrukcyjną siłę, skupiającą się w centralnym żebrze i wyostrzonych krawędziach. Gniazda obsady ozdobiono ornamentem i małymi, metalowymi krawkami, na których mocowano kawałki jedwabiu lub pióra.

- Te kupię - mruknął.

Lindsay wdzięczna była losowi za to, że Muzeum Sztuki Azji miało dużą, dobrą kolekcję grotów. Zdawała sobie sprawę, że nie ma najmniejszej szansy wybić mu z głowy tego zakupu. Sama zachwycała się czystymi liniami broni, choć jednocześnie żałowała, że artysta nie poświęcił swych wysiłków czemuś innemu, nie śmierci.

- Bez nich nie byłoby dynastii Qin, nie byłoby zjednoczonych Chin ani Xi'anu, ani góry Li. Nie byłoby postępu cywilizacji, lecz wyłącznie barbarzyństwo. - Catlin właściwie odczytał wyraz jej twarzy. - Cywilizacja nie pojawia się znikąd. Ludzie przynoszą ją na ostrzach włóczni.

- I wynoszą na ostrzach włóczni - stwierdziła cierpko.

Jego śmiech był zaskakująco ciepły, nieoczekiwany, jak smok czający się za rogiem pokoju, niewidoczny, lecz obecny w jej myślach.

- O to nie będę się spierał. Ale nadal chcę mieć te grotty.

- Nie zmieniając wyrazu twarzy, niemal w tej samej chwili, zapytał: - On już odszedł?

Przez chwilę Lindsay wahała się nie wiedząc, o kim mówi, a potem dyskretnie zerknęła w prawo, na grupę ludzi odległych o jakieś trzy metry.

- Teraz, kiedy jesteśmy bliżej, rozpoznałaś kogoś?

Cisza. Pochyliła się nad grotami, spod oka obserwując grupę ludzi.

- Nie jestem pewna. Jeden z nich to chyba zbieracz z Japonii, a ten drugi jest Koreańczykiem. Widziałam go w Vancouver tuż przed naszym spotkaniem. - Niezauważalnie, lekceważąco, machnęła ręką. - Trudno być pewnym. Nie byli klientami, nie konkurowali ze mną, więc doprawdy nie zwracałam na nich większej uwagi.

- A widzisz tu ludzi z jakichś muzeów?

Przeciągnął palcem po jednym ze zdumiewająco ostrych grotów, słysząc jednocześnie, jak Lindsay gwałtownie nabiera powietrza, czując, jak intensywnie studiuje widoczne wokół twarzy. W pokoju zebrało się już sporo osób, choć trudno byłoby nazwać to tłumem. Ludzie krążyli wokoło, przyglądali się brązom, pozdrawiali przyjaciół.

Usłyszał jej szept.

- To dziwne.

- Co?

- Nie ma tu pracowników muzeów, a znam przynajmniej siedem, które poświęciłyby sporą część funduszków akwizycyjnych na zakup niektórych z tych brązów. Sam Wang musi o tym wiedzieć. - Lindsay zmarszczyła brwi

i jeszcze raz rozejrzała się po sali. - Być może ktoś pojawił się wcześniej albo wszyscy przyjdą później.

Catlin chrząknął, nie odrywając wzroku od grotów. Jej słowa potwierdziły podejrzenia, których nabrał wcześniej - spotkali się tu potencjalni kupcy brązów cesarza Qin. Uczciwym pracownikom uczciwych muzeów nie dano szansy. Żaden kustosz nie wyda setek tysięcy dolarów na dzieło, które, być może, trzeba będzie zwracać prawowitemu właścicielowi w atmosferze międzynarodowego skandalu.

Z drugiej strony, prywatni kolekcjonerzy nie muszą wystawiać swych zbiorów na widok publiczny i ryzykować zdemaskowania. W przypadku wątpliwego pochodzenia, dzieło znika po prostu w bankowej skrytce albo w bardzo dobrze strzeżonym domu. Jeśli ktoś zainteresuje się nim później, przedstawi się mu dowód, że sprzedano je do Szwajcarii. I tu trop się urywa. Szwajcaria to prawdziwe cmentarzysko pogrzebanych nadziei na odzyskanie skradzionych dzieł sztuki. W Szwajcarii nie obowiązują restrykcje, dotyczące importu dzieł sztuki i nie płaci się za nie podatku. Skutek: kiedy już uda się tam przeszmuglować, są bezpieczne, a władze zupełnie się nimi nie interesują. Po zapłaceniu odpowiednio wysokiego podatku, każde dzieło sztuki można najzupełniej legalnie wywieźć.

Szwajcarskich urzędników w najmniejszym nawet stopniu nie interesuje, że wywożone dzieło sztuki nie mogło powstać w ich kraju, że najprawdopodobniej zostało skradzione i przeszmuglowane przez szereg granic. Formularze eksportowe także nie należą do najdokładniejszych. „Starożytny chiński brąz” to kategoria dość szeroka. Może się w niej pomieścić całe muzeum dzieł wątpliwego pochodzenia.

W kwestiach prywatności, dobrobytu i zysku Szwajcary, jak zawsze, nie lubią utrudniać ludziom życia.

- A co ty o tym sądzisz? - spytała Lindsay.

Catlin beztrząsco rozejrzał się po pokoju.

- Myślę, że sporo jeszcze zostało nam do obejrzenia.

Chciała mu wyjaśnić, że chodziło jej raczej o nieobecność pracowników muzeów, a nie o nie obejrzone brązy, ale wystarczył jeden rzut oka na jego obróconą teraz profilem twarz, by tylko zacisnąć wargi i pójść w jego ślady. Zadowoliła się wyłącznie komentarzami na temat brązów. Rozluźniła się dopiero przy oglądaniu wspaniałego, czworobocznego kielicha do wina. Kombinacja srebra i malachitu sprawiła, że dekoracyjny motyw *taotie* aż promieniował realizmem. Przedstawiona *en face*, złożona maska bestii patrzyła przed siebie, na stulecia, w głęboki cień rzucały przez ludzkie dusze.

Ta myśl wcale nie dodała jej odwagi. Inną rzeczą jest wiedzieć, że sztuka odbija to, co w człowieku dobre, złe i obojętne, a inną jest oglądać dzieło i widzieć w nim patrzące ci w oczy odbicie własnych, rodzących się głęboką nocą, koszmarów. Mimo wszystko zdawała sobie jednak sprawę, że kielich wart jest tego, by znaleźć się w każdej muzealnej kolekcji. Obok pojemnika na żywność, był najwybitniejszym brązem w kolekcji Sama Wanga.

Rzucając mu spod oka krótkie, sekretne spojrzenie, Lindsay obserwowała Catlina, starając się odgadnąć, czy ma on zamiar kazać jej licytować brąz dla niej, czy też wystarczy mu ten jeden, który już wybrał.

- Uspokój się. Mam podobny.

Zaskoczona, odwróciła się ku niemu.

- Przestań!

- Co przestań?

- Przestań mi czytać w myślach.

Uśmiech powoli wypływający mu na usta, sprawił, że jej serce zaczęło bić mocniej. Lecz po chwili uświadomiła

sobie, że to wszystko gra i tylko gra. Pieszczoty, pocałunki, zmysłowe uśmiechy to kłamstwa.

Nagle przypomniała sobie wszystkie poprzednie kłamstwa. Było ich tyle, że sala zaczęła się jej raptem wydawać za małą, przegrzana, duszna. Wkrótce zacznie się licytacja, a potem wujek Wu zobaczy, jak odrzuca wszelkie skrupuły i burzy przez lata budowaną dobrą reputację dla mężczyzny, będącego w najlepszym razie jej tymczasowym kochankiem, a w najgorszym oszustem, wykorzystującym ją do swych własnych celów. Ale nie mogła już zmienić zasad gry. Mogła tylko patrzeć w twarz wujka Wu i w milczeniu wołać do niego, że się nie zmieniła, że nadal zasługuje na szacunek, że jej upadek to tylko sposób na zamaskowanie głębszej, znacznie ważniejszej i godniejszej sprawy.

Lecz Hsiang Wu nie usłyszy jej milczącego krzyku. Nigdy nie dowie się prawdy. Zobaczy tylko kłamstwa i nazwie je prawdą. I odwróci się od niej ze wstrętem,

- Nie myśl o tym. - Catlin wzięła ją za rękę.
- O czym? - szepnęła, patrząc na swą białą, delikatną dłoń zamkniętą w twardszej, ciemniejszej dłoni.

Drugą ręką wzięła ją pod brodę i niemal zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- O dzisiejszym wieczorze. - Jego głos był cichy, docierał tylko do jej uszu. - O licytacji. O tym, co będą myśleć ludzie, kiedy kupisz ten brąz dla kochanka, zamiast dla pracodawcy. O ukradkowych, niechętnych spojrzaniach i skrytych uśmiechach. O żalu i rozczarowaniu. O Hsiang Wu.

Zadrżała.

- Skąd wiedziałaś? - szepnęła.
- Jestem przewodnikiem, pamiętasz? Już tam kiedyś byłem, a potem odwiedziłem jeszcze inne, starannie wybrane zakątki piekła, których, mam nadzieję, nigdy nie zobaczysz. Myśl o tym, Lindsay. Niezależnie od tego, co

się zdarzy, ja już tam byłem. Pomogę ci, jeśli tylko potrafię... i jeśli mi na to pozwolisz.

- Dlaczego? - Nie odrywała wzroku od jego złotobrzozowych oczu, tak bliskich jej oczom. - Bo takie otrzymałeś zadanie?

- Czy moja odpowiedź ma jakieś znaczenie?

- Tak - szepnęła.

- A nie powinna - stwierdził brutalnie. Głos miał niski, spięty. - Motywy nie są częścią naszej gry. A tylko ona się liczy. Tylko gra da ci coś, czego chcesz wystarczająco mocno, by sprzedać za to duszę: szansę zobaczenia brązów Qin.

- To nie był jedyny powód - szepnęła.

- A powinien być. - Głos Catlina stał się nagle zgrzytliwy. Palce niemal boleśnie ścisnęły jej brodę. - Zostawić świat lepszym, niż się go zastało, to marzenie głupców.

- Nie możesz w to wierzyć!

- Nie?

- Nie.

- A jednak mogę. Witamy w piekle, panno Danner.

Przez chwilę patrzyła w jego dzikie oczy, a potem odwróciła wzrok. On zaś w milczeniu przyglądał się jej profilowi. Kiedy zdołała już powstrzymać łzy, nadające srebrzysty blask jej niebieskim oczom, uspokoił się nieco - po raz pierwszy od chwili, gdy zdał sobie sprawę, że jej debiut jako nieuczciwego kustosa działu starochińskich brązów Muzeum Sztuki Azji obserwować będzie Hsiang Wu.

- Następnym razem pójdziesz ci lepiej. - Pogładził ją palcem po policzku. - Kłamstwa nie będą już wydawać ci się tak nieznośne.

- Nie jestem pewna, czy mnie to pociesza. - Mówiła szepem, ale mimo to jej głos zdradzał, jak jest zdenerwowana.

Zacisnął usta. Żałował bardzo, że Lindsay nie jest inną kobietą. Mniej inteligentną, mniej wrażliwą, mniej domy-

ślną, mniej uczciwą. Zwłaszcza to ostatnie. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji tego, co robi, i co jeszcze będzie musiała zrobić. Była wewnętrznie zbyt uczciwa, by kłamać, tłumacząc samej sobie, że wszystko jeszcze będzie dobrze. Dostrzegała mnóstwo powodów, świadczących, że coś może się nie udać. Wiedziała, że wiele osób może jej już więcej nie zaufać.

I wcale nie wiedziała wszystkiego.

W milczeniu, z goryczą, Catlin zsyłał Chena w najgłębszą część piekła, a Chińczyk wciągał w nią także Lindsay. Trzymając swą silną dłoń na ramieniu dziewczyny, poprowadził ją do sąsiedniego pokoju, gdzie gościom, którzy zdążyli już obejrzeć brązy, serwowano na przekąskę specjalną z całej Azji. Nie chciała przyjąć poczęstunku, który jej podał. Jedno z jego chłodnych, ponagających spojrzeń sprawiło jednak, że zmieniła zdanie. Spróbowała „owoców morza”, popijając je doskonałymi kalifornijskimi i francuskimi winami, które podał gościom Sam Wang.

Najpierw sądziła, że jej żołądek musi się zbuntować. Zamknęła oczy i próbowała oddać się *taijiquan*. Starożytna chińska mieszanka medytacji, ćwiczeń, filozofii i sztuki samoobrony pomagała jej, kiedy była jeszcze dzieckiem, gdy pełne napięć dni i straszne, wypełnione gwałtem nocne koszmary czyniły ją zmęczoną i zdenerwowaną. Nauczyła się wtedy oczekiwać z nadzieją porannych sesji *taijiquan*, podczas których wszyscy powtarzali powolne, pełne delikatności i mocy gesty za najstarszym mężczyzną w wiosce. W miarę jak dorastała, coraz bardziej interesowała się tą dyscypliną. Nawet teraz, żyjąc w oddaleniu od starego świata, poświęcała jej godzinę dziennie. Choć nigdy nie wypowiedziała głośno tej myśli, często czuła, że filozofia *taijiquan* i ulga, jaką jej uprawianie przynosi, odpowiadają

jej znacznie bardziej niż skostniała idea chrześcijaństwa, którą jej rodzice pojechali głosić w Chinach.

- Lindsay? - Głos Catlina był niski, zatroskany.

Odetchnęła głęboko, w sposób, który miał uspokoić jej umysł, a ciało napełnić energią. Nie przyniosło jej to ulgi, ale przynajmniej była już w stanie kontrolować swe najbardziej podstawowe reakcje. Pragnęła tylko jednego - poprawy, nawet niewielkiej poprawy. Mówiła Catlinowi prawdę, kiedy twierdziła, że doskonałość jej nie interesuje.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. - Może nie wspaniale, ale przynajmniej w porządku.

Spojrzał przenikliwie w jej zasmucone, szafirowe oczy i stwierdził, że -jak zawsze - mówiła prawdę. Skinał z namysłem głową i zmienił temat. Rozmawiali teraz o brązach, które właśnie widzieli.

Kiedy zaczęła się aukcja, Lindsay była już całkowicie opanowana. Zdołała nawet uśmiechnąć się do Catlina. Myślała już tylko o grze, którą ma prowadzić, skupiła na niej całą swą uwagę, z taką samą koncentracją, z tą samą inteligencją, którą posługiwała się, studiując *taijiqui* i chińskie brązy.

Jeśli nawet uśmiechała się zbyt niepewnie, zbyt gorzko, jeśli wzrok miała zbyt nieobecny, jeśli nie patrzyła nikomu w twarz, i tak Catlin nie miał do niej pretensji. Wyczuwał, ile kosztowało ją to przedstawienie i czuł jej ból. Oczywiście, musiał być do niej „dostrojony”, tylko wtedy bowiem mógł wziąć na siebie ciężar gry w przypadku, gdyby zagaubiła się czy wypadła z roli. Ale nie musiał odbierać jej cierpienia aż tak dotkliwie, jak wilk z łapą w sidłach, zmuszony odgryźć ją lub zginać.

Nie potrafił poradzić nic na to, że w rzeczywistości tak właśnie się czuł. Zawsze miał dar instynktownego „wyczuwania” ludzi. Nieraz ocaliło mu to życie. Lecz teraz, z nią przy boku, czuł coś innego, niespodziewanego i niesamo-

witego. Były chwile, kiedy lepiej rozumiał ją niż siebie - chwile pełne bólu, lecz także słodyczy. Wytraściło go to z roli. Co więcej, było niebezpieczne. Kiedy żył w piekle, nie pozwalał sobie na żaden, nawet najmniejszy, przejaw uczuć. Żaden. To jedyna obowiązująca w piekle reguła. I właśnie ta reguła wyprowadziła go w końcu z piekła w szerszy, pogodniejszy świat.

A potem nadszedł Chen Yi, trzymając w dłoni połówkę monety, zdjętej z powiek zabitego przyjaciela.

Z wysiłkiem skoncentrował się na przebiegu aukcji, rezygnując z rozpamiętywania popełnionych w przeszłości błędów. Mrużąc oczy przyglądał się zjawiającym się ciągle nowym kupcom. Licytowano wysoko, agresywnie. Sprzedawane dzieło po prostu wskazywano, nie było katalogu, którego nikt się i tak nie spodziewał. Licytator okazał się zawodowcem o ogromnych umiejętnościach. Żartował po angielsku i w dialekcie mandaryńskim. Każde wylicytowane dziesięć tysięcy dolarów powtarzał w dwóch językach. Z łatwością nadawał aukcji bieg. Asystowała mu prześliczna dziewczyna o egzotycznej urodzie, czarnych włosach opadających aż na biodra, owinięta w niewiele dłuższy niż włosy purpurowy jedwab, mówiąca po kantońsku, japońsku i angielsku - z brytyjskim akcentem.

Pierwszy dokonany przez Lindsay zakup był całkiem prosty. Wymalowane paznokcie asystentki wskazały groty. Przez kilka krótkich chwil przysłuchiwała się licytacji, po czym wymieniła cenę wystarczająco wysoką, by odstraszyć wszystkich, oprócz najbardziej żarłocznych kolekcjonerów.

- Dwanaście tysięcy dolarów - powiedział ktoś.
 - Trzyście - odpowiedział męski głos z drugiego końca sali.
 - Osiemnaście - przebiła spokojnie Lindsay.
- Tym razem odpowiedziało jej milczenie.

- Sprzedane - oznajmił licytator.
- Doskonała robota - uśmiechnął się Catlin, podczas gdy asystentka spisywała jego nazwisko jako nowego właściciela grotów.

- Trudno to nazwać okazją, ale robiłam, co mogłam, by utrzymać cenę na przyzwoitym poziomie.

- Jeden zdecydowany, odstraszający ewentualnych nabywców skok, a nie szereg drobnych kroczków. To pozwala uniknąć aukcyjnej gorączki.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Mówisz, jakbyś sam to kiedyś stosował.
- Raz, może dwa razy - potwierdził sucho.

Słuchali Hsianga i Koreańczyka, niemal równo licytujących inkrustowaną złotem i srebrem misę. Lindsay cieszyła się, że akurat to dzieło nie przyda się na nic Muzeum Sztuki Azji, obaj panowie bowiem uparli się, że muszą je mieć. W końcu Hsiang Wu zmuszony został do rezygnacji, gdy misa osiągnęła wartość szesnastu tysięcy dolarów. Był handlarzem, nie kolekcjonerem. Przy wyższej cenie jego zysk zmalałby do zera.

Nie udzielało się jej napięcie rosnące w miarę, jak przechodzono do licytacji kolejnych brązów. Nie numerowano ich, nie miała więc pojęcia, kiedy przyjdzie czas licytacji pojemnika, który chciał kupić Catlin. Nic nie szkodzi. Nie chciała znać dokładnie chwili, w której otworzy usta i zrujnuje budowaną przez lata dobrą reputację.

Misa znikła. Na stole zastąpił ją czworoboczny kielich z pokrywką, który pragnęła kupić dla muzeum. Pokrywka czyniła z niego unikat, niesłychanie atrakcyjny. Przez chwilę przysłuchiwała się licytacji i szybko zorientowała się, że nie zdoła jej powstrzymać. Cena wzrastała o kolejne tysiące dolarów. Kiedy już dwóch licytujących odpadło, odezwała się po raz pierwszy.

- Dwadzieścia tysięcy.
 - Dwadzieścia jeden - przebił Koreańczyk, któremu udało się przelicytować Hsiang Wu.

- Dwadzieścia dwa - skontrowała go.

Pojawił się kolejny klient. Licytacja trwała. Przy trzydziestu jeden tysiącach został tylko Koreańczyk i Lindsay. Mężczyzna zawahał się i wzruszył ramionami dając znać, że się wycofuje. Muzeum Sztuki Azji zbiedniało o trzydzieści pięć tysięcy dolarów, ale wzbogaciło się o niezbędny w kolekcji okaz inkrustowanej drogimi metalami sztuki stylu *huai*.

- Gratuluję - powiedział cicho Catlin. - Sam chciałbym mieć coś takiego. I cena niezła, biorąc pod uwagę, kto tu dziś licytuje.

Oczy Lindsay rozszerzyły się ze zdumienia. Kiedy wreszcie zdolna już była wykrztusić jakieś słowo, powiedziały cicho, instynktownie bacząc, by ich nie podsłuchiowano:

- Słyszałam, jak mówiłeś, że masz już coś podobnego.
 - Doprawdy? Co też miałem wtedy na myśli?

Nagle zdała sobie sprawę, że Catlin umożliwił jej kupienie kielicha dla muzeum, zostawiając sobie znacznie skromniejszy pojemnik. Niezależnie od wszystkiego i tak rujnował jej dobrą reputację, ale w ten sposób ona sama miała tę satysfakcję, że muzeum zdobyło cenniejszy z dwóch brązów. Niewielka to pociecha, ale przecież nikt nie szuka pociechy w piekle.

A on o tym wiedział.

- Dziękuję. - Lindsay dotknęła jego dłoni.

Ścisnął jej rękę mocno, niemal boleśnie. Nawet tego nie poczuła. Ona także dostrzegła dzieło, które Sam Wang wniósł na aukcyjny stół: pojemnik, który musi kupić dla Catlina, upadek jej reputacji zaklęty w brąz, z fragmentami inkrustacji przypominającymi stare, wytarte prawdy.

Nie okłamuj mnie

13

- Kto da dziesięć tysięcy? - rozpoczął licytator. - Dziesięć. Kto da dziesięć tysięcy?

- Trzydzieści. - Głos Lindsay brzmiał zdecydowanie.

Usłyszała szmer - ludzi zaskoczyło tak wysokie otwarcie licytacji. Zignorowała ich. Pragnęła tylko, by cała ta obrzydliwa sprawa skończyła się jak najszybciej.

- Trzydzieści jeden - zgłosił ktoś stojący niespełna metr na prawo od niej. Niemal natychmiast rozpoznała wysoki, spokojny głos wujka Wu i poczuła ulgę. Hsiang Wu nie będzie licytował pojemnika tak gorączkowo i wytrwale jak zapalony kolekcjoner, ponieważ musi odsprzedać go z zyskiem.

- Trzydzieści trzy - powiedziała.

Przyglądali się jej spod oka -jeszcze raz ich zaskoczyła. Tym samym, spokojnym głosem Hsiang Wu przebił ją znowu. Licytowała nadal nieubłaganie. Wiedziała, że wkrótce wujek Wu musi odpaść. Nie powinien przekroczyć trzydziestu trzech tysięcy. Jest handlarzem, a nie kolekcjonerem. Dla niego pojemnik nie jest wart sum, które wymieniali teraz.

- Czterdzieści tysięcy - zgłosił właśnie.

Odwrociła się i zmierzyła go zdumionym spojrzeniem. Nie wierzyła świadectwu swych uszu. Krótka z założenia

licytacja zmieniała się w pojedynek, o którym z wypiekami na twarzach opowiadać się będzie w elitarnym światku kolekcjonerów dzieł sztuki.

Hsiang Wu odpowiedział jej nieruchomym spojrzeniem czarnych, czystych oczu. Twarz miał spokojną.

I w tej chwili Lindsay zorientowała się, o co mu właściwie chodzi. Zamierzał podbić cenę pojemnika tak wysoko, by Catlin z niego zrezygnował, i tym samym uratować jej opinię rzeczoznawcy o nieposzlakowanej uczciwości. Próbował powstrzymać ją przed wstydem, który przyniesie jej złamanie własnych, żelaznych zasad.

Spojrzała na Catlina niemal z rozpaczą, nie troszcząc się wcale, że to na nim koncentruje się cała ciekawość zebranych.

- On nie jest wart... - próbowała wyjaśnić.
- Masz go kupić!

Rozkaz, wypowiedziany martwym głosem, przeszył ją jak zatruta strzała. Usłyszała pomruk - ludzie tłoczyli się, chcąc na własne oczy zobaczyć pracownika muzeum, przyjmującego polecenia od kochanka i działającego wbrew interesom pracodawcy. Niemal nie zwróciła uwagi na to zainteresowanie tłumów. Pragnęła tylko jednego: by licytacja wreszcie się skończyła. Pragnęła zejść z oczu ludziom, którzy przeszywali ją wzrokiem i już zaczęli plotkować. Marzyła, by postawić wreszcie ten pierwszy krok na drodze do autodestrukcji, odejść w mrok i odżyć - przynajmniej na kilka chwil.

- Czterdzieści jeden tysięcy - powiedziała nieswoim głosem.

- Czterdzieści pięć - przebił Hsiang Wu.

Nie musiała prosić Catlina o radę. Wyraził się najzupełniej jasno. Nie chodziło ani o pieniądze, ani o pojemnik.

- Pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt p...

- Sześćdziesiąt - nie czekała nawet, aż Hsiang Wu poda swoją cenę.

Pojemnik wart był znacznie mniej.

Podczas trwającej ciszy nie odrywała wzroku od brązu.

- Sześćdziesiąt tysięcy dolarów - powtórzył licytator.
- Po raz pierwszy. Po raz drugi. Sprzedane pannie Danner.
- Uśmiechnął się, ale nie potrafił zamaskować ciekawości uśmiechem. - Jako pierwszy chciałbym pogratulować Muzeum Sztuki Azji tego niezwykle udanego zakupu.

- To ja kupiłem - wtrącił Catlin - a nie muzeum.

Przez chwilę licytator starał się odzyskać równowagę.

- Gratuluję panu wyśmienitego gustu. Słyszałem tylko o dwóch podobnych inkrustowanych pojemnikach. Jeden z nich jest w muzeum w Pekinie. Czy od dawna kolekcjonuje pan dzieła sztuki?

- Dziękuję - stwierdził beztrąsko Catlin. Na dalsze pytania odpowiedział wyłącznie nieruchomym spojrzeniem bursztynowych oczu. Licytator spieszył się i natychmiast wrócił do pracy.

Z tego, co działo się dalej, Lindsay zapamiętała niewiele. Doszła do siebie w momencie, kiedy wychodzili. Stali przed otwartymi drzwiami, a Catlin z kurtuazją wyrażał podziękowania Samowi Wang.

- Papiery wyślę bezpośrednio do muzeum - mówił właśnie Wang, uśmiechając się najpierw do Catlina, a później do Lindsay. Gniew, który wywołać mogła u niego sprawa smoka, zniknął pod wpływem przerażająco wysokiej ceny, za jaką sprzedał pojemnik.

- Niech pan się nie martwi o papiery - odparł Catlin.

- Papiery nic dla mnie nie znaczą. Kupuję, co chcę, niezależnie od tego, kto był poprzednim właścicielem dzieła.

No, i przecież w tym interesie papiery są najczęściej niewarte nawet wypisanego na nich atramentu.

Wang skrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- A ty? - zwrócił się do Lindsay.

- Wyślij dokumentację kielicha - powiedziała, ciągle zdenerwowana. - Muzeum nie może sobie pozwolić na lekceważenie kwestii pochodzenia dzieła.

- Może jednak okazać się wielkoduszne w kwestii interpretacji dokumentów - stwierdził gładko Wang. - Prawda?

Lindsay wyczuwała milczące, bijące od Catlina żądanie. Wiedziała, co sugeruje gospodarz - kupiła kielich po okazyjnej cenie, w związku z czym muzeum mogłoby zaakceptować dokumentację, nie zadając kłopotliwych pytań.

- Polityka mego muzeum w kwestii niezagładania w zęby darowanym koniom nie różni się niczym od polityki każdej innej instytucji państwowej - stwierdziła pełnym napięcia głosem.

Wang roześmiał się.

- Do diabła, przecież ja doskonale o wszystkim wiem! Natomiast ty chyba nie. Ciao, kochani. Zadzwoń, kiedy następnym razem będę miał coś ciekawego.

Słowa te zapadły jej głęboko w pamięć. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że muzeum może być zaangażowane w działania, o których do tej pory nie miała najmniejszego pojęcia. Instynktownie otworzyła usta chcąc powiedzieć, że muzeum prowadzi uczciwe transakcje. Dłoń Catlina spoczęła jednak na jej ramieniu, obracając nią z dobrze zamaskowaną siłą, na swój sposób równie szokującą, co słowa Wang.

Nim zdążyła otworzyć usta, została wyprowadzona na wspaniale oświetloną ścieżkę, prowadzącą na ulicę, gdzie

był zaparkowany samochód Catlina. Zbocza wzgórza zmieniono w czarodziejski, tarasowy ogród, bezbłędnie rozplanowany, utrzymany i oświetlony jak muzealna sala wystawowa. Ciemne, pełne wdzięku sosny płonęły głęboką czernią na tle nieco jaśniejszego, nocnego nieba. Chłodny wiatr bawił się w chowanego w ich wiecznie zielonych igłach.

Lindsay doznała uczucia szalonej wolności. Tu nikt jej nie obserwował, nie słuchał, nie oceniał. Gra się skończyła... na razie.

Lecz kiedy jej oczy oślepił światłem, bijącym z otwartych drzwi domu Wang, przyzwyczały się do ciemności, na ścieżce, w odległości kilku metrów, w świetle ogrodowych lamp dostrzegła postać mężczyzny. Nie widziała rysów jego twarzy, lecz mimo to bez problemu go rozpoznała. Srebrna główka laski, której używał Wu, świeciła jak spadająca gwiazda.

Lindsay znów usłyszała echo beztróskich słów Wang o pochodzeniu brązów i o Muzeum Sztuki Azji. Słowa te dobrze niosły się w chłodnym, wilgotnym powietrzu nocy. Wu musiał je usłyszeć. Teraz z pewnością uwierzy, że przeniosła interesy kochanka nad interesy pracodawcy, i - co gorsze - uwierzy także, że milcząco zaakceptowała dzieła o wątpliwym pochodzeniu. To pierwsze można byłoby jeszcze wybaczyć. Gra hormonów od czasu do czasu może mieć wpływ na kobietę. To drugie, zdrada zasad, było niewybaczalne.

- Cieszę się, że pana dogoniliśmy, panie Hsiang - powiedział Catlin, podobnie jak ona natychmiast rozpoznając postać. - Noc ledwie się zaczęła. Idziemy oblać nasz pojemnik najlepszym koniakiem. Bylibyśmy zachwyceni, gdyby pan do nas dołączył.

Oświetlona od dołu twarz Chińczyka wydawała się obca, tajemnicza, niemal złowroga.

- To bardzo uprzejme z waszej strony, że mnie, niegodnego, chcecie włączyć w swoje święto - jego cichy głos niósł się daleko w wilgotnym powietrzu. - Czuję się ogromnie zawstydzony faktem, że nie mogę przyjąć waszego najłaskawszego zaproszenia. To prawda, noc jest jeszcze młoda, ale w jesieni życia starzec potrzebuje odpoczynku. Wybaczcie mu.

- Oczywiście. - Catlin mocno objął Lindsay w talii, dając jej milczący sygnał: nie może powiedzieć ani słowa. - A może śniadanie? Jutro? Lindsay mówiła mi, że ma pan wspianałe dzieła w swym sklepie.

Hsiang Wu skłonił się bardzo nieznacznie.

- Będę szczęśliwy, mogąc usłużyć tak znanemu zbieraczowi jak pan, panie Catlin. Mój skromny sklepik otwarty jest sześć dni w tygodniu. Jeśli kiedykolwiek znajdzie pan czas na odwiedziny, z pewnością odkryje pan w nim coś, co umili panu godziny samotności. A teraz wybaczcie w swej wielkoduszności pokornemu starcowi, którego kości skarżą się na wilgoć nocy i którego umysł marzy o wonnej herbacie i wygodzie domu.

- Mam nadzieję, że szybko się zobaczymy. - Catlin wydawał sienie zauważać wyraźnej niechęci, przebijającej z ugrzeczniowego głosu Chińczyka. - Lindsay bardzo wiele mi o panu opowiadała.

- Catlin, nie - szepnęła ignorując ból, jaki sprawiały wbijające się w jej talię palce.

- Jest niezwykle uprzejma, wspominając bezwartościowego starca. - Hsiang Wu zdawał się nie słyszeć jej protestów. - Stara przyjaźń nie powinna stać na drodze życia, w którym nieustannie pojawiają się nowi ludzie i nowe

doświadczenia. Nie ośmieliłbym się oczekiwać od niej tej uprzejmości i szczodropliwości ducha.

W milczeniu, ze ściśniętym sercem, patrzyła, jak wuj Wu znika wśród cieni i pasm światła, kładących się na ścieżce. Nie ufała sobie na tyle, by go pożegnać. Wilgotne powietrze wzmocniłoby jej cichy głos, który brzmiałby jak wołanie o pomoc.

Catlin zerknął na nią, podniósł ręce i położył je lekko na jej ramionach.

- Dokąd chcesz pójść?

Odwrociła głowę i przyjrzała mu się w milczeniu.

- Zmęczona? Różnica czasu - stwierdził współczująco.

- Daj spokój. - Ruszyli ścieżką.

- Już wiem, jak temu zaradzić.

- To dobrze - powiedziała głosem bez wyrazu. - Potrzebuję pomocy. Obojętnie jakiej.

Roześmiał się i lekko pocałował ją w usta.

- Nie powinnaś mi dawać *carte blanche*. To niebezpieczne, słodki kociaku.

- Jakbym nie wiedziała. - Bardzo starała się ukryć brzmiającą w jej głosie gorycz. Lecz przecież, uświadomiła sobie, nic z tego, co się stało, nie było jego winą. Ostrzegał ją. Wierzyła mu. Lecz nie wiedziała, że jako pierwszy obróci się przeciw niej Wu. W głębi serca nie wierzyła, by w ogóle się od niej odwrócił. Zakładała, że jakimś cudem, on jeden spośród wszystkich ludzi uwierzy, iż miała dobre i szlachetne motywy by zrobić to, co zrobiła, niezależnie od tego, jak pozornie wstrętnymi wydawałyby się jej uczynki.

- Najpierw pojedziemy do hotelu - stwierdził Catlin, ciągnął za sobą Lindsay z siłą niemal tak zdumiewającą jak nagła jowialność w jego głosie. - Długi, gorący prysznic i na początek po wielkim kieliszku koniaku. A potem zro-

bię ci masaż, rozluźniający każdy nerw w tym jakże seksownym ciałku.

- Wspaniale! - Lindsay aż się skrzywiła, tak ochryple brzmiał jej głos.

Miała tylko nadzieję, że jeśli ktoś słucha ich rozmowy założy, że to podniecenie raczej niż łzy zacisnęło jej gardło. Lecz gdy tylko o tym pomyślała, poczuła gwałtowną falę dzikiego buntu. Była zbyt zmęczona, by czuwać nad każdym wypowiedzianym słowem, nad barwą głosu, by przebywać na scenie przez każdą minutę każdego dnia. Napięcie, jak kwas, przeżerało jej wolę, niszczyło ją. I niszczyło także samą Lindsay.

A przecież tego, co oczekiwało na nią w hotelowym pokoju, nie sposób nazwać spokojem. Rozpocznie się tam nowe pasmo kłamstw. Będzie się starała ukryć, że pociąga ją ten mężczyzna, będzie starała się zapomnieć o gorących pieścizotach i drobnych dotknięciach, towarzyszących ich występom na scenie. Będzie próbowała ukryć, jak na nie reaguje. Coraz trudniej przychodziło jej zapomnieć o każdej nocy, którą spędzała rozmawiając z nim, śmiejąc się, ucząc się od niego i dzieląc z nim myśli aż do chwili, kiedy to kulił się na jej niewygodnej kozetce i spał aż do świtu.

Wiedziała, że jej pragnie. Wiedziała też, że jej nie weźmie, bowiem nie była kobietą lubiącą przelotne przygody, a on nie był mężczyzną zaczynającym coś, czego nie potrafił skończyć. I chociaż mógł nazwać ją idiotką za to, że ryzykuje własne życie dla czegoś tak niekreślonego i efemerycznego jak dobre stosunki między dwoma narodami, wiedziała, że ją lubi i że szanuje jej inteligencję. A więc musi także zdawać sobie sprawę, że ona lubi i szanuje jego, niezależnie od tego, co kryje jego przeszłość. Tego rodzaju wzajemny szacunek nieuchronnie rodził się wśród ludzi żyjących - najdosłowniej - pod jednym dachem.

Byłoby jej łatwiej, gdyby jej sympatia do niego z każdym dniem malała. Brak fizycznego kontaktu stawał się coraz trudniejszy, niemal nieznośny.

Mieszkanie z Catlinem, życie kłamstwem, podczas gdy prawda uczuć aż w niej krzyczała, sprawiało, że samotność dręczyła duszę Lindsay. Coraz mniej było w niej miejsca przeznaczonego na prawdę. Teraz będzie jeszcze musiała dzielić z nim łóżko, słuchać jego oddechu, czuć ciepło jego ciała. Tak blisko, lecz zarazem równie daleko, jak podczas godzin dzielących mrok od świtu. Drugi akt, trudniejszy, bardziej bezlitosny od pierwszego.

Niemożliwe. Tego nie potrafi dokonać. Po prostu nie potrafi. Zdała sobie z tego sprawę i czuła, jak zaciska się jej gardło, jak nie potrafi już nawet zaczerpnąć oddechu. Walczyła, by przestać myśleć, nim jej myśli do końca pogrążą się w mroku i rozpacz.

- Chodź tu - powiedział Catlin.

Wciągnął ją w cień, zalegający głęboko między światłami rozmieszczonymi tak, by podkreślać uroki ogrodu. Przez chwilę czuł jej napięte, oporne ciało, a potem Lindsay westchnęła cicho i przytuliła się do niego, drżąc. Jego dłonie znieruchomiały na chwilę, potem musnęły jej włosy. Przytulili się do siebie.

Niech cię piekło pochłonie, Chen Yi. I mnie za to, że ci pomagam!

Żadna z tych dzikich myśli nie ujawniła się w jego twarzy, w dotyku rąk, w oczach śledzących cienie i smugi światła w poszukiwaniu szpiegów. Przez chwilę nie było wokół nich nikogo, zdolnego odróżnić w jego uścisku miłość od litości.

- Spróbuj nie płakać - szepnął ledwie słyszalnie w jej ucho. - I, do cholery, nie wolno ci płakać, kiedy już znaj-

dziemy się w samochodzie. Pewnie zdążyli założyć w nim podsłuch - dodał sucho.

Lub, by być dokładniejszym, musiał założyć istnienie podsłuchu. Azjata, który uciekł z aukcji po rozpoznaniu Catlina, mógł posługiwać się wyposażeniem do podsłuchu elektronicznego równie dobrze jak innymi, znacznie bardziej śmiernymi narzędziami.

- Zaczekaj, aż wrócimy do hotelu - mówił dalej, równie cicho. - Odkręcę prysznic do oporu, zamknę drzwi i będziesz mogła sobie płakać, aż zatopisz piekło, jeśli tego właśnie pragniesz. Tylko nie teraz, Lindsay. Tylko nie teraz. Z pewnością spotkamy kogoś, idąc do samochodu. Trudno-byłoby mu wytłumaczyć, dlaczego płaczesz, zamiast cieszyć się, że zdobyliśmy ten wspaniały pojemnik.

Słowa opływały ją jak deszcz czarnych liści, niesionych zimnym wiatrem. Nie chciała słuchać, nie chciała poczuć na skórze ich chłodnego rozsądku. Pragnęła tylko krzyczeć, przeklinać, drzeć szaty, dać ujście wszystkim emocjom, targającym nią od czasu śmierci matki i pojawienia się smoka zwanego Catlinem, który wywrócił jej życie do góry nogami.

Czuł, jak sztywne jest jej ciało, jak bardzo Lindsay stara się zapanować nad uczuciami. Wiedział, co przechodzi. Znał pułapkę, w którą wpada się, gdy adrenalina nasycy krew i całe ciało krzyczy o wyzwolenie - a umysł wie, że wystarczy drgnąć, westchnąć, by umrzeć. Nie wolno dać ujścia emocjom, więc obracają się one przeciw człowiekowi, w milczeniu niszczącym samego siebie.

Nie może pozwolić, by to się z nią stało.

Doskonale wiedząc, co robi, Catlin przesunął dłonie, przytulając Lindsay do siebie tak, jak to robił wcześniej. Nie dał jej najmniejszej szansy na skuteczny opór. Ręce przycisnęły ją do jego piersi, głowę unieruchomioną

dłońmi, wplecionymi we włosy. Otworzyła w zdumieniu usta, a on zakrył je i zamknął, nim mogła zaprotestować.

Przez chwilę walczyła z nim, wiała się, zniewolona jego siłą i doświadczeniem. A później chaotyczna, narastająca przez tygodnie wściekłość znalazła ujście w nagłym, zmysłowym wybuchu.

W tym, jak odpowiedziała na jego pocałunek równie wiele było pożądania, co gniewu. Wiedział o tym, sam wywoływał gniew słowami, szeptanymi jej do ucha. Nigdy jeszcze nie czuła mężczyzny tak przerażająco wyraźnie. Westchnęła, próbując wtulić się w niego jeszcze mocniej, spalając się w jego bliskości i paląc go swym dotykiem.

Czuł, jak się rozluźnia. Kiedy, delikatna i smukła, wtuliła się w niego, byli jak jedno ciało. Czuł ją od kolan do ust, złączoną z nim w obietnicy, której, o czym doskonale wiedział, nie będzie mógł dotrzymać. Poczuł pragnienie. Pragnienie, które nie opuściło go nawet na chwilę, od momentu gdy ujrzał ją w jednostronnym lustrze. Krew zapłonęła mu w żyłach gorącym płomieniem, pulsującym w rytmie szybkich uderzeń serca. Pragnął jęczeć z rozkoszy.

Przez kilka chwil czuł tylko ciepło jej ciała i własne pożądanie. Tulił ją do swego rozbudzonego ciała z prymitywną, niemal brutalną siłą. Odpowiedziała mu, odpowiedziała mu natychmiast.

- Słodki Jezu! - Oderwał się od niej z wysiłkiem. - Przestań! Spłonę żywcem.

Chwiała się, szukając oparcia w jego potężnych ramionach, oszołomiona wszechogarniającym pożądaniem, którego nie doznała nigdy przedtem.

- Catlin? - szepnęła. Dostrzegła, że twarz ściągnięta ma tym samym seksualnym napięciem, które z tak niesłychaną siłą przyciągało ją do niego. I nagle zorientowała się, i, co zrobiła. W poszukiwaniu ucieczki - jakiegokolwiek ucie-

czki - nieświadomie ukarała go za tę tragiczną rolę, którą przyszło jej grać.

- Och, Catlin - mówiła przerywanym głosem. - Nie wiem, co...

Ręka, która zamknęła jej usta, powstrzymała te nierozważne słowa. Catlin westchnął ciężko, policzył do dwudziestu i uśmiechnął się do niej nieco żałośnie.

- Wszystko w porządku - powiedział tak cicho, jakby szumiał wiatr. - Sam o to prosiłem. Tylko nie miałem pojęcia, ile potrafisz dać. - Zamknął oczy na kilka chwil, łatwiej mu było trzymać się od niej z dala, gdy nie widział jej piersi, unoszących się pod suknią przy każdym szybkim oddechu.

- Chodź do hotelu, Lindsay.

Dźwięk, który z siebie wydała, można było uznać zarówno za gwałtowny protest, jak i za stłumiony wybuch śmiechu. Poszła za nim, przysmykając oczy i płytko, urywanie oddychając. Nie wiedziała, jak poradzić sobie z dzikim śpiewem krwi, z własnym ciałem, z pochłaniającym ją płomieniem, w którym spalał się także podtrzymujący ją pod ramię mężczyzna. Żadne z dotychczasowych doświadczeń nie przygotowało jej na tak gwałtowny wybuch pożądania. Było to tak, jakby całe życie czekała na mężczyznę, który wyzwoli z niej tę pasję... by jej dorównać.

Bez słowa odwróciła się i poszła ścieżką w stronę samochodu. Uczucia, które najpierw doprowadziły ją do niemal niepohamowanego płaczu, a potem do niepohamowanego wybuchu, ciągle przeszywały jej ciało, lecz teraz nie groziły już utratą samokontroli. Mogła odetchnąć kilkakrotnie głęboko i stawić czoło wymogom przyjętej roli, aż do chwili gdy znajdzie się sama w hotelowej łazience i woda obmyje ją, opłucze, oczyści.

Catlin dogonił ją po dwóch krokach. Kiedy usłyszał, że

zbliży się grupa ludzi, wzięła ją za rękę. Poczuł, jak ciało Lindsay przeszywa dreszcz i przeklął jej zmysłowość. Nie wyczytał tej zmysłowości w jej aktach. W normalnej sytuacji doskonale się kontrolowała. Lecz przecież prowadzenia tajnej akcji nie sposób nazwać „normalną sytuacją”. Coś takiego niszczy nawet najtrwalsze, najbardziej cywilizowane obyczaje. Zastanawiał się, czy już to odkryła.

A potem zastanowił się także, czy potrafi jej pomóc, gdy Lindsay to odkryje.

On już rozumiał psychologiczne napięcie, towarzyszące życiu tajnego agenta, ale wiedza ta niewiele mu pomogła. Nie od razu. Nie wierzył, by uczucia i wartości, które wrosły w niego tak głęboko, mogła zmyć ta jedna prosta potrzeba: przeżyć. Ona powodowała, że człowiek stawał się idealnym aktorem: ludzkim kameleonem o moralności gada.

Jemu to się nie przydarzyło, ale przeszedł długą i okrutną drogę.

- Zaczekaj! - rozkazał Lindsay, gdy przeszli ostatni zakręt ścieżki, a przed nimi, spoza zasłony gęsto posadzonych drzew, mignęła droga. - Niezależnie od tego, co się zdarzy, nie podchodź do samochodu, póki po ciebie nie wrócę.

Jego opanowany lecz ostry głos wyrwał ją z zadumy. Podniosła wzrok i znów dojrzała drapieżnego Catlina. Widziała go już takim w nocy, kiedy krzyczała we śnie, a on pojawił się w drzwiach sypialni nagi, lecz z bronią w ręku.

Pochylił się nad nią, szepcząc głosem, który wydawał się docierać nie dalej niż jej ucho:

- Jeśli usłyszysz coś dziwnego, pędź jak szalona do domu Wanga i dzwoń pod numer, który dał ci Stone.

- Skąd wiesz o numerze? - spytała, bo łatwiej jej było

pytać niż próbować rozumieć, dlaczego Catlin zmienił się tak nagle.

- Boja też dałbym ci numer telefonu, gdybyś była moją agentką - odpowiedział spokojnym, niemal niesłyszalnym głosem. - Pamiętaj, nie podchodź, póki mnie nie zobaczysz i nie upewnisz się, że jestem sam. Obiecujesz?

Skinęła głową, nic nie pojmując.

- Dobrze. - Mówiąc to, uwolnił jej ramię, odwrócił się w milczeniu i bezszelestnie poszedł ścieżką, trzymając się cierna. Najlepszy punkt obserwacyjny wypatrzył już wcześniej, kiedy szli do Wanga. Wcisnął się między dwie wielkie sosny. Leżące na ziemi igły stłumiły jego kroki. Zwisające nisko gałęzie maskowały go doskonale. Koszula w kolorze czerwonego wina, czarna marynarka i granatowoczarne, luźne spodnie stały się tylko kilkoma dodatkowymi plamami w zalegających gęsto cieniach.

Wzgórze przed nim opadało stromo ku ulicy. Spojrzał w lewo, tam, gdzie zostawił samochód, przy krawężniku, w kręgu światła rzucanego przez stojącą na rogu latarnię. Nikt nie zaparkował obok. Nikt nie szedł chodnikiem. Dalej, przy tej samej ulicy zobaczył dwie limuzyny. Kierowcy stali oparci o błotniki bliższej z nich i rozmawiali po kantonsku. Ich ostre głosy przecinały powietrze jak mocno pachnący, niewidzialny dym papierosów, które obaj trzymali w palcach.

Agent FBI zachował się względnie dyskretnie. Zaparkował poniżej miejsca, na które wychodziła ścieżka. Boczne lusterka ustawił tak, że mógł obserwować zarówno ją, jak i samochód Catlina, nie odwracając głowy.

Catlin dałby wiele, by mieć z nim łączność radiową. Musiał pilnie uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Czy Azjata, który uciekł wcześniej z domu Wanga, wsiadł do jednej z tych limuzyn o przydymionych szybach? Czy siedział

tam teraz, czekając na nich z nielegalnym i śmiercionośnym uzi na kolanach i nadzieją w sercu, że biały mężczyzna beztrąsko wyjdzie na ulicę i pozwoli mu zakończyć to, co zaczęło się wiele lat temu, wiele tysięcy kilometrów stąd? Czy Lee Tran spodziewa się zobaczyć na ulicy mężczyznę i kobietę, której jasne włosy świecić będą w ciemności jak latarnia?

Jeśli tak, czeka go niespodzianka. Catlin był sam. Wyszedł spomiędzy sosen i szybkim krokiem wszedł w ulicę. Szybko i sprawnie, wrażliwymi palcami, zbadał, czy na karoserii samochodu nie ma przewodów, które mogłyby prowadzić do bomby. Nie oczekiwał niczego podobnego zaraz na początku gry, zwłaszcza w samochodzie zaparkowanym pod latarnią i chronionym przez FBI. Z drugiej strony to, że żył do dziś, zawdzięczał przekonaniu, że tylko sam może się skutecznie bronić.

Nie wyczuł przewodów, nie dostrzegł śladów uszkodzeń lakieru i w ogóle niczego, co mogłoby świadczyć, że ktoś udało się włamać do samochodu. Pod palcami miał tylko wilgotny metal, na którym błyszczały kropelki morskiej wody, przesycającej powietrze niczym para oddechu gigantycznej bestii. Wiedział, czuł, że stał się obiektem zainteresowania obecnych na ulicy ludzi. Zignorował ich. Nie obchodziło go, czy ktoś uzna jego zachowanie za dziwne, czy nie.

Tego wieczora w domu Wanga było przynajmniej trzech ludzi, którzy podczas prezentacji spodziewali się usłyszeć nazwisko inne niż Catlin. Każdy z nich z osobna lub nawet wszyscy razem mogli wymknąć się do telefonu i wezwać innych ludzi. Ci, którzy wiedzieli, że Catlin nosił niegdyś nazwisko Rousseau, natychmiast zrozumieliby, dlaczego przesuwa palcami po bagażniku, dachu i masce swego samochodu, dlaczego ostrożnie i powoli otwiera drzwi, jak

człowiek szukający w ciemności grzechotnika, wstrzymując oddech ze strachu, że go znajdzie.

W samochodzie nie było grzechotnika. Zagnieździł się w nim tylko chłód nocy.

Wzdychając z ulgą, przeszedł przez ulicę i szybko, choć niesłychalnie, szedł ścieżką. Uśmiechnął się krzywo. O wiele bardziej podniecające było przesuwac dłońmi po ciele Lindsay niż po karoserii samochodu. I o wiele przyjemniejsze.

- Gotowa? - zapytał wyciągając dłoń, jakby to ona, a nie on, wpadła na pomysł czekania tu.

- Nie wiem. Jestem gotowa? - Lindsay odpowiedziała mu pytaniem. Te kilka samotnych minut spędziła starając się odzyskać spokój. Nie uzyskała jednak zadowalającego rezultatu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się tak wyprowadzona z równowagi, osaczona.

- Poradzisz sobie doskonale - stwierdził Catlin. Dostrzegła błysk uśmiechu, kiedy okrążył ją tak, by ująć jej prawą dłoń.

Chciała go zapytać, co robił i dlaczego ją opuścił, ale wiedziała, że nie powinna. Powiedziała więc pierwszą rzecz, która przysła jej do głowy, zdając sobie sprawę, że wszystko jest lepsze od martwej ciszy, która omal jej nie zdławiła, gdy w samotności czekała na odgłosy walki, których nie chciała usłyszeć.

- Nie mam kurzajek na lewej dłoni, a gdybym nawet miała, nie wierzę w babskie gadanie, że są zaraźliwe. Sądziłam, że mężczyzna o twojej wiedzy i... no... doświadczeniu praktycznym doskonale o tym wie.

Catlin zerknął na nią spod oka.

- Czy w tym zdumiewającym twierdzeniu kryje się jakieś pytanie?

- Jak zgadłeś?

- Urodziłaś się z pytaniem na ustach, słodki kociaku.

Na te czułe słowa przesyła ją podszyty obawą, rozkoszny dreszcz. Nie wiedziała, dlaczego nazwana została „słodkim kociakiem”. Oto kolejne pytanie, którego nie zada mu nigdy, którego nie powinna zadać, na które nie pragnie nawet poznać odpowiedzi, ponieważ odpowiedź ta nie będzie miała nic wspólnego z ich tajną misją.

- Dlaczego nigdy nie trzymasz mnie prawą dłonią?

Przez chwilę sądziła, że nie otrzyma odpowiedzi. A potem Catlin uśmiechnął się dziwnie, pochylił, przytulił ją i wyszeptał do ucha:

- Ponieważ, moje ty słodkie niewiniątko, strzelam znacznie lepiej prawą ręką niż lewą. - Przyglądał się jej reakcji, a słowa te docierały do niej powoli. Lindsay szeroko otworzyła oczy i otworzyła usta w niemym krzyku...

- Żałujesz, że zapytałaś?

Skineła tylko głową, tak zszokowana, że nie mogła wykrztusić słowa.

- I niepotrzebnie. Powinnaś to sobie dobrze zapamiętać. Zawsze stój po mojej lewej stronie. Zawsze! W ten sposób oboje będziemy bezpieczniejsi.

Wypuścił ją z objęć, ujął jej prawą dłoń i zrobił krok w przód. Szła za nim zapomniawszy, że chciała rozmawiać. Czuła się sparaliżowana. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Nie mogła nazwać tego ulgą, bo ulga to uczucie, a ona nie czuła nic. Kiedy pomagał jej wsiąść do samochodu, zorientowała się, że jest wyczerpana. Wyczerpana tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Miała wrażenie, że zamknięto ją w klatce z grubego, całkowicie przezroczystego szkła. Zbyt wiele się zdarzyło. Zbyt wiele nowych wrażeń. Zbyt wiele zakazanych słów, zakazanych uczuć.

Zbyt wiele kłamstw.

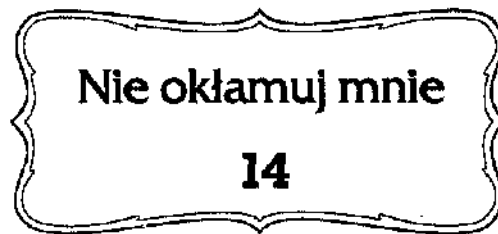
Oparła głowę na zagłówek, zamknęła oczy. Myślała

o tym, jak innym udało się przetrwać takie życie. Ona nie nadawała się do tego, by żyć na widoku wiedząc, że każde jej słowo może zostać podsłuchane, a każda myśl odgadnięta. Ale nie miała wyboru. Już nie. Wyboru dokonała w Waszyngtonie, a teraz musi z nim żyć jak potrafi najlepiej.

Catlin spojrział na jej bladą, nieruchomą twarz i zaklął w myśli.

Nie marzył już o takim życiu. Ciężko pracował, by je porzucić - na zawsze. Nauczył się, że gwałt to sprawa odruchu, a nie uczuć. Nauczył się, że nadmiar gwałtu najpierw znieczula, a później niszczy to, czym człowiek różni się od głodnego rekina. Najpierw się tego nauczył, później próbował odczytać, a teraz wszystko rozpoczęło się od nowa: gwałt, zastrzyk adrenaliny, stopniowy zanik człowieczeństwa. Co gorsze, dotyczyło to także Lindsay. Widział, jak powoli porzuca poprzednie życie, warstwa po warstwie, szybciej, coraz szybciej, wprawiając ją w beznaziejnie oszołomienie. Widział to na własne oczy.

I nie mógł jej w niczym pomóc. Był bezradny.



Catlin stał w drzwiach łazienki obserwując coś, co właśnie wyjął zza spłuczki. Po krótkiej chwili podrzucił maleńki nadajnik na dłoni jak monetę, złapał go, wrzucił do muszli i spuścił wodę. Wyczuł zamarłe na ustach Lindsay pytanie i potrząsnął głową. Przytaknęła mu skinieniem, oparła się o ścianę, zamknęła oczy - na pozór niewzruszona - podczas gdy on kończył obchód hotelowego apartamentu. Znalazł jeszcze dwie „pluskwy”: jedną w mikrofonie telefonu, drugą w fałszywym gniazdku w ścianie pokoju. Je także spuścił w toalecie i dopiero wtedy zaproponował:

- Wypijmy coś na dobranoc na dole.

Nie sprzeciwiła się. Była zbyt zmęczona, a świadomość tego, że pod ich nieobecność ktoś założył w pokoju podsłuch, wytrąciła ją z równowagi.

Nocny bar wydawał się wystarczająco hałaśliwy, by dać im względną pewność, że nikt ich nie podsłucha. Kelnerka przyjęła zamówienie, powróciła z dwoma kieliszkami koniaku i znów odeszła. Catlin poczekał, aż się oddaliła, a potem objął i przytulił Lindsay. Łoża o wybitych miękkim materiałem ścianach stwarzała wrażenie odosobnienia, które - o czym doskonale wiedziała - mogło być fałszywe.

Przyjęła jego uścisk bez protestów. Oparta się o niego, oddychając głęboko. Czysty, delikatny i męski zapach dodawał jej odwagi, podobnie jak miękki dotyk lekkiej, cienkiej wełny jego eleganckiej marynarki. Westchnęła urywanie, czując, jak wnika w nią jego ciepło.

- Przykro mi - szepnął jej Catlin do ucha - ale nie mogę zaręczyć, że znalazłem wszystkie „pluskwy”. Dopóki nie powiem inaczej, musimy założyć, że jesteśmy na scenie bez przerwy.

Skinęła głową, nic jej to nie obchodziło. Czując nieprawdopodobnie wręcz zmęczenie, zdała sobie sprawę, że - tak czy inaczej - ostatnio przecież cały czas była na scenie. Dotykaj Catlina publicznie. Nie dotykaj prywatnie. Wierz w to, co powiedział prywatnie. Nie wierz w to, co powiedział publicznie. Nie potrafiła poradzić sobie z tymi sprzecznościami, które rozstrajały jej nerwy, szarpały uczucia. O ileż łatwiej byłoby grać tylko jedną postać, kontrolować tylko jedną kwestię, ukrywać tylko jeden rodzaj myśli. Od tej chwili będzie wiedziała, że może dotykać Catlina zawsze i że nigdy nie może mu wierzyć.

Z wyjątkiem chwil takich jak ta, kiedy szeptał i nikt nie mógł ich podsłuchać. Tak, ale czy to rzeczywiście wyjątek? Może po prostu mówi to, co musi być powiedziane i robi to, co musi być zrobione, chroniąc ją przed załamaniem, nim znów stanie na scenie?

A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? - zapytała sama siebie. W każdym razie nie powinno. Pamiętaj, nie powinno. Bierz, czego potrzebujesz i nie pytaj, dlaczego ci to daje.

- Żadnych pytań? - przerwał milczenie.

Wzruszyła ramionami, brakowało jej sił na słowa. Nie szkodzi. Nic nie miało większego znaczenia z wyjątkiem wykonania pracy, wypełnienia zadania i powrotu do świata,

w którym każda myśl, każdy dotyk i każde spojrzenie nie jest kłamstwem.

Przeklinając w myślach, przytulił ją mocniej. Żałował, że nie może uzyczyc jej własnej siły. Doświadczenie nauczy ją łagodzić nieco gwałtowne reakcje. Ale na razie psychiczna karuzela będzie ją niechybnie wyczerpywać.

On sam nie pragnął już tego rodzaju życia. Ciężko pracował, by pozostawić je za sobą. Odkrył, że zabawa w tajnych agentów to zajęcie dla młodszych od niego. Tylko młodość cechuje ten rodzaj instynktownej wiary we własne siły i w życie, który umożliwi przetrwanie w świecie, za jedyne tabu uznającym szczere uczucia. A on nie był już młody. A przynajmniej nie tą młodością.

Lindsay poruszyła się, ale tylko po to, by wygodniej się na nim oprzeć. Dotknął jej ramienia i poczuł, jakie jest chłodne.

- Zimno ci? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- No... - przytknął kieliszek koniaku do jej bladych warg-...pij.

Posłusznie otworzyła usta. Widział, jak bursztynowy płyn podpływa do nich powoli, jak różowy język dotyka mocnego trunku, czuł lekkie drżenie, gdy koniak przepłynął jej przez gardło.

- Lepiej?

Skinęła głową i w poszukiwaniu ciepła wtuliła się w niego jeszcze głębiej.

Musnął lśniące włosy, które zsunęły się na jej policzek. Nie zdając sobie z tego sprawy, powoli kołysał jej ciałem w rytm wypowiedzianych słów. Pocieszał ją tym ruchem, bowiem w jego słowach nie było pociechy.

- Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale teraz to prawdopodobnie najbezpieczniejsza chwila - szepnął w jej

włosy. - „Pluskwy** założyło najprawdopodobniej FBI, w pośpiechu, tylko po to, by dać mi znać, że czuwają. Wkrótce wezmą się do roboty na serio. Dlatego nie wolno nam już zakładać, że pokój jest bezpieczny.

Nie powiedziała nic, w milczeniu przyjmując jego słowa. Miał wrażenie, że gdyby stwierdził, iż podsłuch założyły małe zielone ludziki z innej galaktyki, jej odpowiedź byłaby taka sama.

- FBI mi nie ufa. Nigdy nie ufają całkowicie nikomu, kto nie jest z FBI. Dotyczy to także ciebie, choć jestem pewien, że Stone pierwszy stwierdziłby, że „pluskwy” założył tylko po to, żeby cię chronić. Sam może w to nawet wierzy.

Lindsay nie powiedziała i nie zrobiła nic.

- Słuchasz?-Oddech poruszył jej włosy.

- Tak.

Było to bardziej zmęczone westchnienie niż słowo, lecz nie protestował i nie nalegał, by poświęciła mu więcej uwagi. Po prostu mówił, mówił jej rzeczy, których nie chciała usłyszeć.

- Mógłbym zostawić te „pluskwy” na miejscu, mógłbym je zignorować, ale założono je tak niedbale, że byłoby to jak zignorowanie kozich bobków w mleku. Bez sensu.

Nie dodał, że jedną z nich zainstalowano w kontakcie koło łóżka. To ona sprawiła, że wyrzucił wszystkie. Lindsay i tak już robiła wiele dla rządu Stanów Zjednoczonych, powinna móc przynajmniej spokojnie przewrócić się we śnie z boku na bok, nie powodując u podsłuchiowaczy domysłów, co oznacza każde skrzypnięcie materaca, każdy szelest prześcieradła.

- W miarę jak zaczniemy się zbliżać do brązów, będzie coraz więcej „pluskiew”: FBI, Chiny i coś, co zazwyczaj nazywa się „innymi zainteresowanymi stronami”.

To stwierdzenie spowodowało, że pokonała własne zmęczenie.

- Dlaczego? - spytała.

Otoczające ją ramię stwardniało. Kąciki ust Catlina opadły w drwiącym grymasie świadczącym, że wolałby, gdyby przez najbliższe kilka minut nie zadawała mu pytań. Zastanawiał się, ile Lindsay zdoła dziś jeszcze znieść, nim poniesie szkody, których nie naprawi ośmiogodzinny sen.

Po przerwie do stojącego pod przeciwległą ścianą fortepianu wróciła pianistka - włosy opadały jej falą aż poniżej pasa. Poruszała się doskonale, jak na scenie. Jej koci wdzięk przypomniawszy mu inną kobietę, kobietę sprzed lat.

Drobną część uwagi poświęcił jej śpiewowi. Miała czysty, wysoki głos. W tym także przypominała Mei, a Mei kojarzyła mu się z mnóstwem sposobów na śmierć i żadnym sposobem na życie.

Przemówił w końcu, zwracając się bezpośrednio do Lindsay. Pochylił się tak, że mówił jej wprost do ucha.

- Są w mojej przeszłości ludzie. Ludzie, być może związani z zaginionymi brązami, a być może nie. Ludzie, którzy w mej obecności stają się bardzo nerwowi.

- Mężczyzna na aukcji.

- To jeden z nich. Ale są jeszcze inni.

- Dlaczego?

Kiedy nie odpowiedział, odchyliła głowę tak, by móc spojrzeć mu w oczy. A gdy spojrzała, pożałowała, że się poruszyła. Nie znalazła w nich niczego pociesającego. Lecz wraz z tą obserwacją pojawiła się myśl, że dla niego wszystko to musiało być jeszcze gorsze. Sama tylko odwiedzała piekło. On w nim żył.

- Przykro mi - powiedziała, dotykając palcem jego czarnych brwi, starając się wygładzić ich surową linię.

- Nie powinienam pytać. To nie mój interes.

Wziął w dłonie jej palce i podniósł do ust.

- Obawiam się, że teraz już jest twój. Próbowiałem ostrzec Chen Yi, że ta możliwość istnieje, ale... - Wzruszył ramionami, nie kończąc zdania. Fakty mówiły same za siebie. On i jego przeszłość zagrażały teraz zarówno życiu Lindsay, jak i planowi Chena, jakkolwiek byłby w końcu ten plan.

Ciepły oddech Catlina ogrzał w końcu palce Lindsay. I w tej właśnie chwili zdała sobie sprawę, że Catlin miał rację. Wśród wszystkich tych kłamstw i półprawd, planów i kontrplanów potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać. Potrzebowała go jak powietrza, bez którego udusi się wśród sprzecznych prądów rzeki kłamstw. Właśnie dlatego nie chciała zadać kolejnego pytania. Potrzebowała Catlina.

Ale to pytanie musiała zadać.

- Dlaczego nie ufasz FBI? Czy dlatego że jesteś człowiekiem Chena? Chińskim szpiegiem?

Ujął ją dłońmi za ramiona. Z szybkością i łatwością, która sprawiała oszałamiające wrażenie, podniósł ją i obrócił tak, że niemal półyła mu na kolanach, spoglądając wprost w jego twarz. W przyćmionym świetle oczy miał jak stare złoto, niezgłębione. Patrzył na nią przez długą, bardzo długą chwilę.

- W to właśnie wierzysz? - zapytał w końcu, bardzo cicho.

Dotknęła jego warg drżącym palcem.

- Czy to odpowiedź?

Catlin zamknął oczy. Nie chciał dodawać niczego do problemów, z którymi będzie musiała uporać się tej nocy, ale nie miał wyboru. Jeśli nie odpowie, Lindsay mu nie zaufa. A jeśli odpowie, dojdzie jej nowe zmartwienie. Tak czy tak, będzie to dla niej bardzo trudne.

- Chen Yi nie ufa swym towarzyszom - stwierdził

w końcu. - Nie powiedział im o tobie i poprosił Stone'a, by także trzymał język za zębami. Jeśli Stone zdecyduje się naciągnąć rozkazy i zagrać z Chińczykami w „dziel i rządź”, złapie tłumacza i zacznie opowiadać naszym dobrym towarzyszom, że pracujesz dla FBI. Jeśli są tym, kim się wydają - wiernymi urzędnikami - nie będzie to miało wielkiego znaczenia. Lecz jeśli należą do oszustów, znajdziesz się na pierwszej linii ognia. Ze zwykłej ostrożności staram się więc, by między towarzyszami a FBI nie było żadnej łączności. Dlatego wyrzuciłem „pluskwy”. To stara gra w „co kto powinien wiedzieć”. Akurat teraz FBI nie musi wiedzieć niczego, czego ten cholerny Chen Yi nie powie im z własnej inicjatywy. Kiedy, jeżeli w ogóle, to się zmieni, pierwszy siądę przy telefonie...

- O mój Boże - westchnęła Lindsay. Pochyliła się i wsparła czołem na jego ramieniu. - Ufasz Chen Ti?

- W skali jeden do dziesięciu?

Zadrzała.

- Catlin! - głos miała urywany. - Zaufania nie mierzy sięw ten sposób!

- Ależ tak, niech to diabli! Nikomu nie ufam na dziesięć. Ani nawet na dziewiątę. - Lecz niemal od razu zdał sobie sprawę, że nie mówi prawdy. Roześmiał się cicho, nieco smutno. Potrząsnął głową. - Z wyjątkiem ciebie, Lindsay. Słodka niewinności. Nie umiesz dobrze kłamać.

- A więc jestem głupia i zagrażam każdemu, kio jest związany z akcją. - Słabość głosu dorównywała bladeści jej twarzy. - Catlin, ja się staram! Bardzo się staram. - Drżała. Wzięła głęboki oddech, próbując się opanować. - Tylko, kiedy zobaczyłam twarz wujka Wu i zdałam sobie sprawę, że ma mnie za zdzirę, za oszustkę, to... - Machnęła ręką, głos się jej załamał. - Wiem, że nie umiem dobrze

kłamać, że mogą wszystko zepsuć, wszystko pójdzie na nic i...

Pocałunek powstrzymał strumień nieskładnych słów z łagodnością, która omal nie doprowadziła Lindsay do łez. Z jękiem przytuliła się do Catlina.

- Dobrze sobie radzisz - powiedział. Tulił ją, mówił łagodnie, dodawał jej odwagi. - Jeśli coś się zawali, to nie przez ciebie. Robisz to lepiej, niż ktokolwiek mógłby przewidzieć.

Patrzył w głębię jej szafirowych oczu, skracając się w złości na to, czego od niej wymagano. Przebrać wilka w owczą skórę i wypuścić go w świat to jedno - politycy i dziennikarze robią to bez przerwy - lecz przebrać owcę w wilczą skórę i wpuścić ją do lasu, to podłość.

Stone albo zakładał, że Lindsay jest wystarczająco silna, by zrobić to, czego od niej wymaga, albo po prostu miał to w nosie. Chen Yi zwiększył jej szanse używając jego, wilka, do strzeżenia przebranej owcy.

Szkoda tylko, że nikt nie pomyślał, jak chronić umysł owcy wraz z jej ciałem - była to gorzka myśl. Teraz już za późno. Nic już nie można zrobić oprócz tego, co właśnie robił: próbował ją wspierać.

To tak niewiele. Słowo. Dotyk. Ciepło.

Miał nadzieję, że to wystarczy. Ale w przeszłości nigdy nie wystarczało. Susie, Mei, wszystkie te bezimienne „inne”. Przez jego życie przewinęło się wiele kobiet. Wszystkie odeszły w dalekie, mroczne morze przeszłości. Chłodna gorączka ciał, śmiech i ekstaza przeminięły. Nie zostało nic, oprócz rąk rozgrzanych wspomnieniami, chłodnych od zdrady.

Głos pianistki skończył opowiadać historię zdrady i miłości i zaraz rozpoczął lament nad prawdziwym uczuciem, odkrytym zbyt późno. Catlin poświęcił mu zaledwie chwilę

uwagi. Bardzo delikatnie ułożył ciało Lindsay tak, by mogła wygodniej się do niego przytulić, podtrzymał ją i poprzez jej lśniące włosy spojrzął w głąb przyległej sali.

Dwaj mężczyźni, siedzący przy trzecim stoliku po prawej, z pewnością nie rzucali się w oczy. Zauważył ich jednak od razu - agentów FBI obowiązywało przecież przykazanie: „nie rzucaj się w oczy”. Przy stole po lewej siedzieli mieszane towarzystwo: Amerykanie i Chińczycy. Chińczyków było zresztą w barze więcej. Obserwował wchodzących, szukając kogoś, kto przesadnie zainteresuje się siedzącą w łóżu parą.

Gdyby był tu sam, wyszedłby wprost w noc i sprawdził, kto na to zareagował, kto za nim idzie, komu udało się już wcześniej ustawić ludzi na zewnątrz. Z pewnością znalazłby agentów FBI. Chińczyków z ChRL... ale z której frakcji? Ludzi Chen Yi? Złodziei? I jednych, i drugich? A może Chen Yi i złodzieje pracują razem?

Samotny, zdołałby prawdopodobnie znaleźć odpowiedź na niektóre z tych pytań. Zwabiłby ogon w jakąś ciemną alejkę Chinatown i wyciągnąłby z niego potrzebne informacje. Ale dziś nie mógł zrobić nic. Miał Lindsay.

- Napijesz się jeszcze koniaku? - zapytał, pochylając się nad jej jedwabistymi włosami.

Potrząsnęła głową. Lśniąca pasma musnęły mu usta, chłodne, pachnące.

- Jesteś pewna? - szepnęła. - Pomógłby ci się odprężyć.

Parsknęła nagle - mogło to oznaczać śmiech.

- Akurat teraz wystarczy mi, że muszę odróżnić prawdę od kłamstwa. W tym alkohol mi nie pomoże.

- Zdołasz zasnąć? - zapytał wprost.

„Przytulona do ciebie? Nie sądzę, Catlin!”

Ale te słowa nie zostały wypowiedziane. Może na niego

krzyknąć, tylko to nic nie pomoże. Nie jego wina, że tak przerażająco działa na jej zmysły.

- Lindsay... - Catlin znów mówił w jej włosy, wyczuwając jej nagłe napięcie i znając jego źródło. - Bardzo mi przykro, musimy spać w tym samym łóżku. Pokojówka...

- Tak. Rozumiem. Musimy grać.

Próbowała usiąść i stwierdziła, że nie może. Znalazła się w pułapce, pomiędzy nim a stołem. Z tą samą szybkością i siłą, które raz już ją zaskoczyły, uniósł ją teraz z kolan i posadził na ławie naprzeciwko.

- Nie chciałbym okazać się nieuprzejmy - mruknął - ale przed wyjściem muszę się jeszcze ubrać.

Zaskoczona, zdjęła z ramion marynarkę i podała mu. Patrzyła, jak wkłada ją z tą niezwykłą koordynacją ruchów, z jaką robił wszystko. Kiedy obrócił się lekko, dostrzegła także zimny błysk stali na plecach, przy pasku, i zorientowała się, że ma przy sobie broń. Zaskoczyło ją to, ale w chwilę później zdrowy rozsądek zwyciężył. Przypomniała sobie, że on przecież zawsze jest uzbrojony, zawsze niebezpieczny, że to doskonały przewodnik po piekle, do którego ją wprowadził. Tłumiąc drżenie wyslizgnęła się z łoża.

Przed drzwiami prowadzącymi do wind stała jakaś para. Jedne z nich rozchyliły się. Para weszła do środka i grzecznie zrobiła im miejsce. Catlin zawahał się instynktownie myśląc, czy to przypadkiem nie pułapka, a potem stwierdził cynicznie, że nie wszystkie cienie można sprawdzić, nie wszystkich ludzi zbadać. W końcu trzeba kiedyś zawieźć regułem prawdopodobieństwa lub oszaleć, a rachunek prawdopodobieństwa wykazywał, że Lee Tran miał za mało czasu, by zorganizować zamach w jednym z największych hoteli w San Francisco.

Poczekał, aż doskonale ubrany mężczyzna naciśnie gu-

zik dziesiątego piętra, a kiedy człowiek ten się odsunął, wyjął z kieszeni klucz do pokoju i podał go Lindsay.

- Szesnaste, skarbie - powiedział.

Lindsay chciała zwrócić mu uwagę, że mają pokój na osiemnastym piętrze, lecz jedno spojrzenie sprawiło, że słowa zamarły jej na ustach. Włożyła klucz w odpowiednią szczelinę, uruchamiając górny rząd przycisków windy. Na wyższe piętra dojechać mogli tylko ci, którzy dysponowali kluczami do pokoi. W milczeniu nacisnęła guzik oznaczony cyfrą szesnaście.

Kiedy odsunęła się od ściany, kobieta wyjęła z torebki inny klucz, włożyła go w szczelinę i zatrzymała windę. Tymczasem jej towarzysz sięgnął do kieszeni.

Catlin odwrócił się, lewą ręką obejmując plecy Lindsay, a prawą błyskawicznie wyjmując broń. Jednocześnie ugodził mężczyznę łokciem w splot słoneczny. Nieznajomy z jękiem uderzył w ścianę windy i osunął się na podłogę, bezskutecznie próbując zaczerpnąć tchu. Następnie Catlin błyskawicznie ujął rękę kobiety, która właśnie próbowała wyjąć coś z torebki. Zatrzeszczały cienkie, kruche kości nadgarstka i torebka wypadła ze zdrtwiałych palców na podłogę. Całym ciężarem ciała Catlin przycisnął kobietę do ściany.

- FBI - usłyszał. Lufa pistoletu wbiła się jej w miękkie ciało pod dolną szczęką.

- Domyślam się - przytaknął. - Tylko dlatego jeszcze żyjecie.

Kobieta odpowiedziała mu wyłącznie spojrzeniem. Lufa pistoletu przystawiona do gardła nie pozwalała jej mówić. Nie odrywając wzroku od jej brązowych oczu, Catlin powiedział spokojnie:

- Lindsay, sprawdź torebkę naszej ślicznotki. Jeśli nie ma w niej skózanego portfela z legitymacją FBI, powiedz.

Spojrzała w jego kamienną twarz i pełne strachu oczy przypartej do ściany windy, unieruchomionej kobiety. Ciemna lufa pistoletu, mocno wparta w gardło, zaledwie umożliwiała jej oddychanie.

Wrażenie nierzeczywistości, towarzyszące Lindsay od dłuższego czasu, nigdy nie było silniejsze, niż w chwili, gdy otworzyła wieczorową torebkę ze złotego aksamitu i znalazła w niej szminkę, grzebień i błyszczący błękitną stałą pistolet. Sięgnęła głębiej, znajdując w końcu skórzany portfelik. Błękitno-złota gwiazda zabłysła w blasku jarzeniowej lampy.

- FBI - potwierdziła. - Agent specjalny Nancy Conner.

W małym wnętrzu windy trzask bezpiecznika pistoletu rozbrzmiał głośnym echem. Catlin cofnął się, jednym płynnym ruchem wkładając broń do kabury.

- Miło mi panią poznać, pani Connor. Ma pani pięć sekund na przekazanie wiadomości.

- Ale... - zaczęła i nagle zorientowała się, że Catlin mówi najzupełniej poważnie. - Zostaw „pluskwy” w spokoju. Dla własnego bezpieczeństwa.

- Gównol! - Jego głos był tak chłodny jak lufa pistoletu, który trzymał jeszcze przed chwilą przy jej gardle. Spojrzała na partnera, próbującego podnieść się z podłogi.

- W porządku, Teddy? - zapytała.

- Jeśli o mnie chodzi, Chińczycy mogą sobie spokojnie załatwić tego sukinsyna - stwierdził z pewnym wysiłkiem mężczyzna, masując miejsce uderzenia.

Catlin odwrócił się błyskawicznie.

- Słuchaj, kowboju - powiedział cicho, ale twardo. - Jakbyś chciał ze mną pogadać, zadzwoń i powiedz, że Freddie Black chce mi pokazać brąz. Pójdę do najbliższej budki i zadzwonię do waszego miejscowego biura. Dzięki temu nic się nikomu nie stanie, bo kiedy następnym razem

zastawicie na mnie pułapkę, zrzucę obrożę i zapoluję na serio. Chwytasz?

Agent stał nieruchomo, rozumiejąc wszystko aż za dobrze. Wiedział, że kontrolowany cios w splot słoneczny, który go na pewien czas sparaliżował, mógł być znacznie mocniejszy. Mógł być śmiertelny. Catlin był wystarczająco silny i wystarczająco zręczny, by zabijać gołymi rękami. Powiedziano mu to, nim wszedł do windy. Wtedy nie wierzył. Teraz zmienił zdanie.

- Freddie Black. Chce pokazać brąz - powtórzył.

- Doskonale. Możecie założyć podsłuch wszędzie, oprócz sypialni. Jeśli znajdę tam jakąś waszą zabawkę, to następny agent, który mi wpadnie w ręce, do końca życia będzie srał przez zęby.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie. Kobieta westchnęła.

- Daj mu to, Ted.

Mężczyzna zawahał się, wzruszył ramionami i powiedział:

- Czy mogę wyjąć coś z kieszeni?

Catlin skinał głową.

Agent sięgnął do kieszeni i wyjął z niej płaskie aluminiowe pudełko, przypominające wędkarskie pudełko na przynęty. Otworzył je. Wewnątrz, w specjalnie wykonanych przegródkach wyciętych w gąbce, leżały nadajniki wielkości pudełka zapalek. Wskazał na dwa.

- Te są...

- Do telefonu - przerwał mu Catlin, rozpoznając części słuchawki telefonicznej, zastępujące te standardowo montowane w fabryce. Wziął pudełko, zamknął je i schował do kieszeni.

- Jeśli za godzinę nie odbierzecie sygnału, każcie zadzwonić do mnie, Jreddiemu". Gdyby przyszło nam zmie-

nić hotel, zabiorę je ze sobą i zainstaluję w nowym miejscu. Rozumiecie?

Agent przytaknął skinieniem głowy.

- To pamiętajcie. - Zmierzył obydwójce chłodnym spojrzeniem swych bursztynowych oczu. - Od dziś zaczyna się sezon polowań na nieproszonych gości.

- Nie może pan...

- Ależ, do cholery, mogę!

Wyciągnął rękę. Nim ktokolwiek zdołał zaprotestować, wyrwał zatrzymujący winde klucz ze szczeliny i schował go do kieszeni. Winda pojechała na dziesiąte piętro. Żadne z pary agentów nie poprosiło o zwrot klucza - było jasne, że Catlin zamierza go zachować. Agenci opuścili windę, gdy tylko otworzyły się drzwi. Catlin i Lindsay pojechali na szesnaste piętro.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Dobrze? - Lindsay powstrzymała wybuch śmiechu wiedząc, że gardło zaciska jej raczej histeria niż przypływ dobrego humoru. Wszystko zdarzyło się tak szybko, tak niespodziewanie, leżący na podłodze mężczyzna i kobieta z pistoletem przy gardle. Obydwójce mogli umrzeć tak łatwo. Wiedziała też, że bez Catlina byłaby bezbronna. Dopiero po wszystkim zdała sobie sprawę, że coś się stało.

- Tak, tak. Dobrze.

- To jakiś cholerny cud - burknął. - Zdołasz przejść schodami dwa piętra?

- Zrobię wszystko, co muszę zrobić.

Błyskawicznie lecz z wdziękiem, który przychodził mu z taką łatwością, Catlin uklęknął i zdjął jej z nóg eleganckie pantofle na wysokich obcasach. Rozmasował czerwone ślady, pozostawione na wierzchu stóp przez paski.

- Jakich to głupstw nie robi się dla mody! - stwierdził.

Spojrzała na jego proste, czarne włosy, na delikatne dłonie i zdała sobie sprawę, że tym razem wpadła po uszy.

- Przed chwilą byłeś gotów zabić tę kobietę - powiedziała, wciąż powstrzymując wybuch histerycznego śmiechu - a teraz martwisz się o to, że ja mam odciski!

Catlin uśmiechnął się. - Taka piękna stopa - szepnął, masując czerwone paski na skórze.

- Zbyt długo przebywałeś w Chinach.

Przez chwilę nie był pewien, co Lindsay ma na myśli, a kiedy zrozumiał, roześmiał się, puścił ją i wstał błyskawicznie, promieniując siłą.

- Nie aż tak długo. Po prostu jestem fetyszystą.

W dłoni trzymał jej pantofel.

Roześmiała się. Nic nie mogła na to poradzić. Nawet nie próbowała.

Słuchał jej czystego, pięknego śmiechu z wyrazem rozbawienia na twarzy. Wiedział, że wreszcie zdołała się opanować. Miała za sobą ciężki dzień. Za ciężki. Chociaż próbował ją osłaniać, jak tylko mógł, dotarła dziś do punktu, z którego mogła tylko albo zacząć się wycofywać, pokonana, albo iść naprzód, pogodzona z nową rzeczywistością.

Nie tylko się z nią pogodziła, ale była jeszcze w stanie się śmiać.

- Jesteś wspaniała, panno Danner - stwierdził, wyprowadzając ją z windy. - Matka była do ciebie podobna?

- Podobna? - Lindsay pomyślała o drobnej, kruchej, pachnącej lawendą kobiecie, którą znała będąc dzieckiem i która ciągle nawiedzała ją w snach. - Tata mawiał, że zaatakowałyby piekło z wiadrem wody. Była szalona... Wierzyła, że dobro musi zwyciężyć.

- Twoim zdaniem to szaleństwo? - Catlin wiedział, że Lindsay wierzy w dobro równie mocno jak jej matka, choć

być może nie zdaje sobie z tego sprawy. Tylko to wyjaśniało, dlaczego jest z nim teraz, dlaczego schodzi do piekła z mężczyzną, o którym nie wie nic... a mimo to darzy go tak niezwykłym zaufaniem.

- A twoim nie?

- Moim zdaniem twoja matka była przerażająco normalną osobą. *Wierzyć* wyłącznie w zło, to znaczy oddać mu się na służbę.

W jego głosie brzmiała absolutna pewność i przeszedł ją dreszcz.

- Czy właśnie to zdarzyło się tobie? - szepnęła.

Przez pewien czas jedynym dźwiękiem, który im towarzyszył, był szelest odkrytych nylonem stóp Lindsay, stąpających po schodach. Catlin poruszała się bezdźwięcznie. Całkowicie panował nad swym ciałem. Miała wrażenie, jakby szła obok wilka - tylko że żaden jego pazur nie zadrapał o kamień.

- Niemal - stwierdził w końcu, odpowiadając na jej pytanie i jednocześnie wyjmując jej z dłoni klucz do pokoju. Jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że niemal niewidoczne pasmo przezroczystej taśmy, przyklejone do górnej framugi drzwi, pozostało nie naruszone. - W ostatniej chwili zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. - Wciągnął ją do pokoju, zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku. - Dlatego się wycofałem.

- Wycofałeś? - szepnęła. - Tak to nazywasz?

- Nie. Może wzięłabyś prysznic, a ja założę „pluskwy”.

Chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i odeszła bez słowa. Nie miała nic do powiedzenia, może z wyjątkiem banalnego pytania: „To dlaczego tu jesteś? W tym piekle, które znasz tak dobrze i którego tak nienawidzisz.”

Ale on nikomu nie odpowie na to pytanie. Odmówił

odpowiedzi nawet FBI. Nie miała powodu sądzić, by dla niej zrobił wyjątek.

Catlin patrzył, jak Lindsay wchodzi do sypialni i zaczyna wyjmować ubrania z walizki. Wiedział, o co go chciała zapytać i wiedział, dlaczego nie zapytała. Musiała komuś zaufać. Musiała zaufać jemu. Dla niej była to kwestia życia i śmierci. Bez zaufania do niego musiałyby się w końcu zagubić w labiryncie kłamstw. Inaczej by to wszystko wyglądało, gdyby do tajnych akcji przyciągała ją jakaś część jej osobowości, jej własna psychologiczna potrzeba. Ale z nią było inaczej. To niewinność, idealizm, sprawiły, że dała się wciągnąć w grę, w której nie było miejsca ani na jedno, ani na drugie. To, co robiła teraz, było sprzeczne z jej osobowością, męczyło ją psychicznie aż do bólu.

Z nim było dość podobnie. Uroki gry zbladły, pozostawiając tylko kłamstwa. I Lindsay, wplątana w ich sieć, świecąca w ciemności jak płomyk.

Ta myśl zaniepokoiła go znowu nad ranem, gdy obudził się, słysząc jej stłumione krzyki. Zaciskając palce na chłodnej kolbie pistoletu wiedział już, że w pokoju nie kryje się żadne niebezpieczeństwo. Jemu nie groziło nic. To ciało Lindsay drżało, wiło się, przewracało z boku na bok, próbując odpędzić koszmar. Odkładając broń na nocny stolik zastanawiał się, czy w snach nawiedzają przeszłość, czy to może terazniejszość powoduje, że jęczy, aż serce mu się kraje w piersiach.

- Już wszystko dobrze - szepnął, odgarniając jej włosy z twarzy. - Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna, Lindsay. Nie pozwolę ci skrzywdzić nikomu.

Ciche słowa i powolne ruchy gładzącej ją po włosach dłoni dotarły do niej. Ocknęła się. Oczy miała szkliste, niewidzące. Ze zdławionym jękiem obróciła się tam, skąd dobiegł ją łagodny głos, gdzie rodziły się łagodne gesty.

Przytuły ją, gładził po głowie i ramionach, szeptał coś, starając się dowiedzieć, czego się boi. Odwzajemniła uścisk, instynktownie szukając obiecanego bezpieczeństwa.

Zalała go nagła fala pożądania. Całym sobą czuł jej miękkie, smukłe ciało.

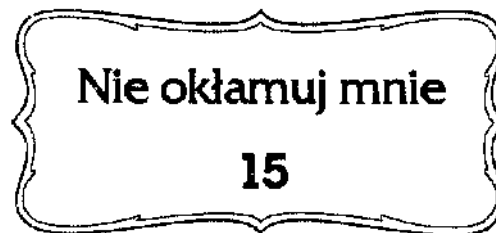
Gdyby była inną kobietą, gdyby znała zasady gry, wziąłby ją bez wahania. Pragnął jej. Pragnął, by ten jej lekko ochrypły głos wykrzyknął jego imię. Pragnął zanurzyć się w jej aksamitnym cieple, aż zewnętrzny świat pograży się w niebycie, a on znów odkryje, co to znaczy żyć.

Z nią byłoby podobnie - byłaby gorąca i spragniona.

Uśmiechnął się gorzko do tych myśli. Rozkosze seksu były gwałtowne... i szybko przemijały. Emocjonalna pułstka, którą pragnęło się nimi wypełnić, nie dawała się wypełnić niczym. Taki spadek pozostawiły mu spędzone w piekle lata. Żył. Kropka. To więcej, niż mogłaby powiedzieć o sobie większość ludzi, z którymi pracował. To więcej, niż mogliby powiedzieć o sobie jego wrogowie.

Z wyjątkiem jednego. Lee Tran, alfons Mei, człowiek, który próbował kupić jego śmierć z delikatnych rąk kobiety, kochanej przed laty - żył!

I żyła Lindsay, śpiąca w jego ramionach.



Stone przemierzał niezmordowanie hotelowy pokój, zmieniony w punkt dowodzenia FBI. Po podłodze walały się raporty agentów, kawa stygła w brudnych filiżankach, pozostawiających ciemne kręgi na wyjątkowo drogich meblach, w nogach łóżka leżała skopana pościel - zabronił przekraczać próg pokojówkom.

Z cichym przekleństwem przesunął dłonią po krótkich włosach.

- I w dodatku zatrzymał jeszcze ten cholerny klucz!
- warknął, obrzucając O'Donnella nieprzychylnym spojrzeniem.

Młodszy z agentów przytaknął skinieniem głowy.

- W tych okolicznościach nasi ludzie nie mieli żadnego wyjścia. Catlin jest szybki. I nie zaniedbuje niczego.

W ciszy rozległo się chrząknięcie.

- Powinienem im o tym powiedzieć. O do diabła, przecież powiedziałem! Czy mi uwierzyli? - Stone parsknął z obrzydzeniem. - To po co kazali mi wyjechać do Kalifornii i stąd prowadzić operację? Mogłem reżyserować tę farsę przez telefon. I powinienem!

- Tak jest!

Co prawda O'Donnel wiedział równie dobrze jak jego szef, że nie mieli w tej sprawie wielkiego wyboru. Kiedy

dyrektor nakazuje wyjazd do Kalifornii, wyjeżdża się do Kalifornii. Podobnie, gdyby trzeba było lecieć na Księżyc.

- Catlin dotrzymał słowa. Zainstalował podsłuch w apartamencie.

- Z wyjątkiem sypialni.

- Z wyjątkiem sypialni. - O'Donnel uśmiechnął się lekko. - Ciekawe, czemu tak się przy tym upierał? Może między nim a słodką Lindsay do czegoś jednak doszło?

- Zapytaj go!

- Dziękuję, nie skorzystam. Widziałem siniaki na ręce Nancy Conner, nie wspominając tego cudu w dołku Teda Marscha. Catlin nie żartuje. Współczuję facetowi, który zainstaluje mu „pluskwy” w sypialni.

- Nie będzie nikogo takiego.

O'Donnel obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Ale żadna z naszych nie jest wystarczająco czuła, by objąć sypialnię. Do diabła, nie spodziewaliśmy się aż tak wrogiego nastawienia! Założyliśmy, że znajdzie „pluskwy”, domyśli się, że są nasze, i zostawi je w spokoju.

- Twoim zdaniem Catlin blefuje w sprawie sezonu na nieproszonych gości, prawda?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- Przecież wie, że za nim chodzimy. I wie, że nie zamierzamy go zaczepiać. Dlaczego więc miałby zaczepiać nas?

- Założmy, Terry, że wchodzisz w ciemną uliczkę. Założmy, że wiesz, iż za plecami masz przyjaciół, którzy mogą tam za tobą wejść, a przed sobą wrogów, chcących cię zabić. I że w ciemnościach nie odróżnisz jednych od drugich. Co byś zrobił?

- Strzelał w pierwszy ruchomy cel.

Stone skinął głową.

- A jednak Catlin zachował się po sportowemu. Naj-

pierw nas ostrzegł. Jeśli teraz ktoś dostanie kulkę, to tylko dlatego, że go nie posłuchaliśmy.

O'Donnel gapił się na szefa, niezdolny uwierzyć własnym uszom.

- Mówisz mi, że mamy wachać to gównu z uśmiechem?

Stone nie odpowiedział. Zapalił papierosa i przyjął podaną mu przez podwładnego popielniczkę. Obrzucił go długim, uważnym spojrzeniem zastanawiając się, jakich użyć słów. Tak to już jest z tymi młodymi agentami. Za krótko żyją, by odróżnić groźbę od obietnicy. On sam żył wystarczająco długo.

- Gdybym sądził, że ma to jakikolwiek sens - powiedział w końcu, wydmuchując w powietrze chmurę dymu - pozwoliłbym ci podjąć próbę skłonienia pana Catlina do zmiany nastawienia, której to zmiany, według ciebie, tak pilnie potrzebuje. Tylko że, oczywiście, nastawienie pana Catlina wcale by się przez to nie zmieniło. Za to twoje, tak. Więc pewnie cholernie bym się wściekł i zrobił ze złości jakieś głupstwo, gdyż jesteś dla mnie jak syn, którego sam nigdy nie miałem.

Oczy młodego Irlandczyka zwięzły się, ale nie powiedział nic.

- Krew uderzyła ci do głowy, bo Catlin poturbował dwójkę agentów, którzy pragnęli pokazać światu, jacy to są cwani i zastawili na niego pułapkę w windzie. Na faceta, na którego nie zastawia się pułapek. Ale spróbuj wytłumaczyć coś tym kalifornijskim narwańcom. Będą się z tobą kłócić, jakiego koloru jest niebo! Mogli dostarczyć mu wiadomość na sto różnych sposobów, ale tu mają pewnie do czynienia co najwyżej z fałszerzami czeków. Myśleli, że dostanie ataku serca, kiedy tylko zatrzymają windę. - Wzruszył ramionami. - Prima aprilis, kochani. Zapłacili kilkoma sinia-

kami za lekcję, że źle ocenić człowieka - to zginąć. To bardzo cenna lekcja.

- Nie musiał tak sponiewierać kobiety.
- Boże, błogosław Amerykę! - burknął Stone, przyglądając się papierosowi z obrzydzeniem, jakby palił gumę.
- Kobieta może zabić cię równie szybko jak mężczyzna. Ba, szybciej, bo się tego po niej nie spodziewasz. Spytaj żołnierzy, którzy walczyli w Azji. To ostatnia lekcja, jaką niektórzy z nich opanowali. Nie, żebym ich winił - dodał szczerze, sadowiąc się na kanapie. - Ja sam ciągle się tego nie nauczyłem. Nie do końca.

Przyjrzał się twarzy młodszego kolegi i poznał, że nie jest on jeszcze w pełni usatysfakcjonowany.

- Catlin walczył jako partyzant w nie wypowiedzianej wojnie i cały czas czekał, kiedy go zabiją. Nie miał czasu na oddzielanie wrogów od przyjaciół. Nauczył się tego dawno temu i przeżył. Przemyśl to sobie, Terry. Stoisz tu, przekonany, że jesteś wystarczająco dobry, żeby sobie z nim poradzić, a jeśli przegrasz, to on powstrzyma się w ostatniej chwili i pozwoli ci żyć. - Powoli pokręcił głową. - Daj sobie z tym spokój. Fakt, że Catlin rozpoznał twoją twarz, nie ochroni cię, jeśli się na niego zasadzisz. On zna wielu ludzi. Niektórzy go zdradzili. Zginiesz, a jeśli zażądamy przeprosin, dostaniesz od niego wiązanekę na trumnę.

- Mimo wszystko chciałbym go nauczyć dobrych manier.
- Zawsze możesz zmierzyć się z nim na sali gimnastycznej. - Wargi Stone'a skrzywiły się w lekkim uśmiechu.
- Nim zaciągnął się do Chena, ćwiczył tam regularnie.
 - Ciężary? - pytanie brzmiało ironicznie.
 - A czy porusza się jak kulturysta?
 - Boks? - Ironię zastąpiła ciekawość.

- Karate, *fuli contact*.

Widział, jak jego słowa niszczą młodzieńczą arogancję O'Donnella. Karate pokazowe to jedno. Prawdziwa walka, gdy ciało chronią wyłącznie lekkie ochraniacze, jest czymś zupełnie innym. Jako zabawa niebezpieczna dla zdrowia, karate/«// *contact* sytuuje się tylko nieco poniżej rosyjskiej ruletki.

- Mimo wszystko... - burknął młody agent i zaklął ich, zbierając z biurka porozrzucane papiery. Wyglądził je machinalnie, odłożył do teczki. - A co z tym Tomem Lee, alias Lee Tranem? CIA coś na niego ma?

- Ładne kilkaset stron. Biuro też wie sporo.
- Jest coś, czego mogliśmy użyć?
- Nie w Stanach. Chociaż gdybyśmy deportowali go do Wietnamu, ustawiliby się cała kolejka witających. Najwyraźniej podczas wojny Lee sprzedawał ludzi i informacje obu stronom. I heroinę też. Robi to nadal, tylko teraz z Hongkongu i San Francisco.

O'Donnel znieruchomiał na moment, a potem dalej porządkował mały podręczny stolik, którego jego szef używał zamiast biurka.

- A czemu tak się boi Catlina?
- Zorganizował na niego zamach. I dostałby go, gdyby ktoś akurat nie wszedł i nie przerobił morderczynie na tapetę.
- Morderczynie?
- Taaa... Ten cyngiel to była kobieta. Kochanka Catlina. Można powiedzieć, że zginęłyby w siodle.
- O'Donnel roześmiał się nieprzyjemnie i potrząsnął głową.
 - To chyba wystarczyło, żeby wypadł z rytmu. Jak długo miał tę kochankę?
 - Nie poderwał jej na sobotnią noc.

- Nic dziwnego, że źle traktuje kobiety. Więc nasz Tran mieści się gdzieś między Chenem, Catlinem i brązami?

- Trudno powiedzieć. Oficjalnie jest emigrantem politycznym, co oznacza, że musimy go znosić, aż miasto Ho Szi Min znów stanie się Sajgonem albo piekło zamarznie, cokolwiek zdarzy się wcześniej.

- Lee przypląnął tu łódką? - W głosie O'Donnela brzmiało niedowierzanie. Myślał o masach biednych, obdartych, zagłodzonych Wietnamczyków i Chińczyków - obywateli Wietnamu, uciekających do Stanów po upadku Sajgonu.

- Tak podał w aktach. - Słowom rym towarzyszył twardy, cyniczny uśmiezek. - Założę się, że jego łódź miała stępkę ze szczerego złota. Osiedlił się w San Francisco i zaczął wkupywać w struktury władzy. W Chinatown, nie w samym mieście. Stowarzyszenia charytatywne, grupy pomocy sąsiedzkiej, tego typu rzeczy. Kiedy nie mógł kupić, zabijał - a był wystarczająco twardy, żeby inni się przestraszyli. Nie lubią go tam za bardzo, ale nauczyli się z nim żyć.

- Sympatyczny gość.

- Racja. Mógłby uczyć Sycylijczyków. No, jeśli wierzyć naszym miejscowym agentom, niektóre z jego ofiar same prosiły o śmierć. - Stone zgasił papierosa. - W końcu jednak zapuścił korzenie. Daje pieniądze na dobroczynność, funduje stypendia, finansuje kościoły i stowarzyszenia kultury ludowej. Filar społeczności. Tylko lepiej nie pytaj, skąd ma tę forszę.

- Kupuje sobie szacunek?

- W każdym razie bardzo się stara. Handel ludźmi i narkotykami zostawił synom. Teraz tylko wydaje forszę na stare chińskie brązy, klasyczną chińską kaligrafię i dziesięcioletnich chłopców.

O'Donnel skrzywił się z niesmakiem.

- No proszę, i z czym musimy się godzić w imię walki z komunizmem. Chryste! Myślisz, że Lee Tran razem z heroiną przemycą do Stanów brązy?

- Jakie brązy? - spytał gorzko szef. - Na to, że takie cholerstwo w ogóle istnieje, mamy tylko słowo Chena. A wiesz, ile jest dla mnie warte słowo Chena? - Nawet nie czekał na odpowiedź. - Lee ma pieniądze i kontakty, pozwalające mu wywieźć brązy z Chin - tyle możemy stwierdzić. Sieć handlarzy heroiną załatwia problem transportu. Czy rzeczywiście wwiózł coś do Stanów, to już inna sprawa.

- A co myśli o tym Chen?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Kiedy go zapytałem, czy słyszał kiedyś o Tomie Lee, znanym także jako Lee Tran, powiedział, że zapyta. - Stone wypił łyk zimnej kawy, skrzywił się z obrzydzeniem i odstawił filiżankę. - Nawet ciepła jest ohydna - stwierdził. Spojrzał na zegarek. - A co u Catlina i Lindsay?

O'Donnel także zerknął na zegarek, z kieszeni na pierśsiach wyjął notatnik i zaczął odczytywać listę.

- Piąta rano, jedno z nich użyło toalety, umyło zęby, wzięło prysznic. Drugie też użyło toalety i umyło ząbki. Cisza przez jakieś dziesięć minut, później dziwne dźwięki i ciężkie oddechy. Kiedy chłopcy od podsłuchu mocno się już podpalili, dziewczyna zaczęła rozmowę o *taijiquan*. - Podniósł wzrok znad notatnika. - To chyba jakiś chiński aerobik?

Szef przytaknął mu skinieniem głowy, próbując powstrzymać ziewanie.

- Lindsay wzięła prysznic o piątej dwadzieścia dwie. Żadnych rozmów oprócz tego, czy grzanki mają być z białego, czy z ciemnego chleba. Telefon. Śniadanie przynie-

siono im o szóstej cztery. Obsługa autentyczna, chłopak pracuje tam od dziesięciu miesięcy. Ona piła sok pomidorowy, on - pomarańczowy. Jajka sadzone, miękkie, z odrobiną ziemniaków i szynki. Szósta dwadzieścia trzy, zadzwoniła do L.Stephena i opowiedziała mu o bracie, który kupiła dla muzeum. Szósta trzydzieści, rozmowa z dentystą w Waszyngtonie. Odwoływała wizytę.

Słuchający go starszy agent uśmiechnął się lekko.

- Grzeczna dziewczynka, nie? Przynajmniej nie może teraz powiedzieć, że nic dla niej nie zrobiliśmy.

Odpowiedział mu śmiech.

- Szósta trzydzieści siedem, rozmowa na temat odwiedzin ciotki, mieszkającej w San Francisco. Szósta czterdzieści cztery, Lindsay dzwoni i dowiaduje się, że ciotka nieco wcześniej odleciała w swą coroczną podróż do krajów Wschodu. Słyszając to, mówi „Dzięki Bogu!” - 0'Donnel znów oderwał wzrok od notatnika. - Wygląda na to, że niezbyt kochają się z cioteczką.

Stone wzruszył ramionami. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Lindsay wspomina, jak to było, kiedy co roku jeździła do Hongkongu na lato. Siódma cztery, Catlin zjeżdża na dół i dwukrotnie dzwoni z automatów.

- Mamy coś? - zainteresował się nagle szef.

Młodszy z agentów przecząco potrząsnął głową.

- Nie możemy ustawić człowieka z notatnikiem przy każdym automacie w mieście.

- Innymi słowy nie wiemy, do kogo dzwonił. - Stone przygładził dłonią włosy. Westchnął. - Powiniennem się tego spodziewać. Catlin uczył się reguł gry od najlepszych. Jeszcze coś?

- Chyba że założymy podsłuch na automaty w okolicy...

Odpowiedziało mu kpiące parsknięcie zwierzchnika.

- Pomarzyć dobra rzecz. Prokurator generalny zemdlałby, gdyby tylko przyszło mu do głowy, że o tym pomyślałeś.

0'Donnel chrząknął i powrócił do notatek.

- Catlin wrócił o siódmej osiemnaście. Potem wspólnie układali listę handlarzy brązów. Sprawdziliśmy nazwiska. ..

- I co?

Irlandczyk wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej z Chinatown docierają do nas tylko strzępy informacji. Z tych kilku chińskich agentów, których tu mamy, wszyscy to Amerykanie w trzecim pokoleniu. Mówią tylko po angielsku. Biuro musiało im zorganizować kursy języka, żeby w ogóle mogli pracować. Nie mają rodzin w żadnej społeczności uchodźców, ani tajwańskiej, ani Chińczyków kontynentalnych, ani Wietnamczyków pochodzenia chińskiego z naszej byłej, nieodżałowanej wojny.

- Niech to diabli!

- Kopie listy dałem celnikom. Jak do tej pory ich komputer dostał czkawki tylko przy Tomie Lee. Reszta to albo uczciwi eksporterzy i importerzy, albo nie dali się jeszcze złapać. To samo z Agencją do Walki z Narkotykami. Tylko Lee im coś mówi.

- Catlin ma zamiar go odwiedzić? - Stone był tak zaskoczony, że nie zwrócił uwagi na nic innego. - Nie rozpoznał go na aukcji?

- Jeśli rozpoznał, to nic nikomu nie powiedział. Mieliśmy tam agenta. Nie zauważył nic świadczącego o tym, że go zna. - 0'Donnel uśmiechnął się nagle. - Do diabła! - stwierdził, znów odrywając wzrok od notesu. - Dajmy

im na siebie wpaść gdzieś w mroku. Lee Tran to groźby gość. Może on nauczy Catlina dobrych manier?

- Nie napalaj się. Jeśli raport grupy śledczej mówi prawdę, Lee Tran wyleciał z aukcji jak na skrzydłach. Nie tak zachowuje się człowiek gotów walczyć.

Młodszy z agentów pozostawił to stwierdzenie bez komentarza. Obrócił kartkę notesu i znów monotonicznie wylizował zajęcia Catlina i Lindsay.

- Godzinę spędzili na herbatce w Chińskim Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Miłosierdzia, Matka Lindsay przez lata znalazła prawdopodobnie sponsorów dla połowy jego członków. Niektórzy z nich są tu już od dłuższego czasu. To znaczy wystarczająco długo, żeby zdobyć sobie jakąś pozycję.

Spojrzał, jak Stone zapala kolejnego papierosa.

- Najwyraźniej nowa emigracja przyciska starą do muru - mówił dalej - szukając władzy. Jak Lee Tran. Żebraj, pożyczaj, zarabiaj, kradnij, a kiedy już się obłowisz, kup sobie władzę i szacunek.

- Musisz pokazać twarz - podsumował Stone. Pogłodził się po szczęce, jakby chciał ocenić długość porastającej ją szczeciny. - W końcu to nie Chińczycy wymyślili tę metodę pięcia się w górę - zauważył. - Każda grupa emigrantów zachowywała się dość podobnie. Włączając w to Irlandczyków.

O'Donnel uśmiechnął się szeroko.

- Och, jasne! Nasz stary Joe Kennedy umiał o siebie zadbać, nie?

- Prezydent, prokurator generalny, senator i tyle forsy, że nie trzeba jej już nawet liczyć. Tak, tak, stary Joe Kennedy rzeczywiście umiał o siebie zadbać.

- Po spotkaniu w Stowarzyszeniu Miłosierdzia - młody agent wrócił do tematu - Lindsay i Catlin poszli do

Asian American Imports. Spędzili tam mniej więcej trzy godziny. Nic nie kupili.

- Czy spotkali się z kimś?

Odpowiedziało mu ciche westchnienie.

- Nie sądzimy, ale nie możemy być pewni. Kiedy już zjedzą z turystycznych szlaków, strasznie trudno za nimi iść.

- Miałem wrażenie, że wialnie będą się wyróżniać.

- Tak jak „ogon”, a przecież wyraźnie nam powiedziałeś, że ich strażnicy nie mogą mieć pojęcia, że ktoś jeszcze chodzi za Lindsay.

Stone westchnął i mocno zaciągnął się papierosem. Śliczna sprawa. Jak tu ukryć w Chinatown drużyny obserwacyjne, pracujące dwadzieścia cztery godziny na dobę? Nie trzeba było wprawdzie oszukiwać Lindsay i Catlina, ale obserwatorzy przeciwników to zupełnie inna sprawa.

- Miejscowe biuro nie ma odpowiednich ludzi?

- Ma kilku, ale większość z nich jest już zaangażowana w akcje przeciw zorganizowanej przestępczości. Jeśli ich wyciągniemy, zawałą te sprawy.

- Pogadam z dyrektorem. Musimy mieć takich, którzy nie będą sterczeć wśród Chińczyków jak chore palce.-

O'Donnel z trudem zachował kamienną twarz. Biuro z San Francisco już czuło się nieszczęśliwe z powodu tego waszyngtońskiego waźniaka, który pojawił się na ich terenie i nie pofatygował się im nawet niczego wyjaśnić. Jeśli teraz Stone zacznie zabierać im agentów do pracy nad czymś, co może najwyżej zakończyć się politycznym skandalem, przyjdzie mu zapłacić za to straszliwą cenę. Ale o tym on sam wiedział lepiej niż ktokolwiek inny. To, że w ogóle przysłała mu do głowy myśl o zaangażowaniu dodatkowych ludzi, oznaczało, iż dyrektor mocno kopie go w tyłek i sam z kolei jest kopany w tyłek przez prezydenta.

- Lunch zjedli w czymś sycuańskim bez nazwy. A je-

śli miało nazwę, „ogon” za cholere nie mógł jej przeczytać.

- Znów podniósł wzrok znad notatnika. - Agent, który szedł bezpośrednio za nimi, twierdzi, że lepszego chińskiego żarcia nigdy nie próbował.

Stone odłożył papierosa, myśląc o zimnym hotelowym obiedzie, który jadł ostatnio.

- Ciekawe, czy sprzedają na wynos - zainteresował się.

0'Donnel czytał dalej z uśmiechem na ustach.

- Nikt do nich nie podchodził. Oczywiście, mogli odbyć spowiedź z życia przed kelnerem i nikt by się nie zorientował. - Przesunął wzrokiem po kartce. - W tej części Ameryki nie mówić po chińsku to prawdziwa tragedia.

- Zaczaj się śmiać. - Jezu, całkiem o tym zapomniałem! Biedny sukinsyn!

Szef przez chwilę słuchał tego wybuchu wesołości. Po tem spytał:

- Kto?

- Ten facet, który pracował przy nich. Mówi po chińsku jak ja po gaelicku. Więc przyjazny, lecz nie znający angielskiego kelner podszedł do stolika Lindsay i poprosił tę śliczną blondynkę o pomoc. Podeszła, przetłumaczyła menu naszemu człowiekowi i wróciła do stolika.

Stone odrzucił głowę i ryknął śmiechem, doskonale wiedząc, jak głupio musiał się czuć agent.

- Idę o zakład, że Cali i n pękał ze śmiechu, starając się zachować kamienną twarz. - 0'Donnel uśmiechnął się krzywo.

- Boże, ale burdel! Założę się, że ten agent... - Stone przerwał, coś mu się nie zgadzało. - To Lindsay zamawiała? Nie Catlin? - Pamiętała, że Catlin doskonale włada mandaryńskim.

- Tak, Lindsay. Zamówiła także coś dla Catlina. Bo co?

- On mówi po mandaryńsku równie dobrze jak Chen.

Irlandczyk na chwilę znieruchomiał.

- Ciekawe - mruknął w końcu. - I ciekawe, czy ona wie?

- Na razie dajmy sobie z tym spokój. - Stone zamyślił się. - Zawsze możemy użyć tej informacji, kiedy ta dama tak się zapali do tajnej roboty, że zapomni, komu ma składać meldunki. Nie lubi, kiedy coś się przed nią ukrywa.

- Racja. Dziwniejszego tajnego agenta Bóg jeszcze nie stworzył. - Słowem tym towarzyszyło wzruszenie ramion.

- Cóż, zgłosiła się na ochotnika. - 0'Donnel przewrócił kartkę notatnika. - Po obiedzie poszli do „Ogrodów Spokoju” Tien Sunga. To jeden z tych ekskluzywnych sklepów z zagranicznymi towarami, co to wygląda jak muzeum, a płaci się jak za zęby Pana Boga. I znów - jeśli nawet planowali zamach stanu, „ogon” nic z tego nie pojął. Od czasu do czasu Lindsay informowała Catlina po angielsku, o co chodzi. Agent chyba próbował wleźć mu w gacie, żeby podsłuchać rozmowę.

- Przecież mówiłem im...

- Wszystko w porządku. Zmienili się przed restauracją. Poszła za nimi dziewczyna. Zachowywała się, jakby chciała go poderwać.

- Może powinniśmy założyć Catlinowi nadajnik?

- Doskonały pomysł, szefie. Kto mu to zaproponuje?

Szef skrzywił się. Nawet gdyby Catlin zachował spokój, co wydawało się nieprawdopodobne, to i tak zakładanie nadajników rzadko okazywało się skuteczne. Zazwyczaj przekazywały wyłącznie szumy. Być może warto będzie zaryzykować, kiedy nadejdzie czas dokonania zakupu. Na razie lepiej zaufać, że Lindsay przekaże wiadomość, jeśli trafi na coś interesującego. W końcu nie mieli przecież zamiaru wnosić sprawy do sądu. Próbowali tylko spacyfikować prezydenta i chiński rząd, nie wydając temu ostat-

niemu wszystkich agentów kontrwywiadu i wszystkich swych informatorów między Waszyngtonem a San Francisco

Po chwili O'Donnel powrócił do odczytywania informacji z notatnika, Opowiedział o wizytach w trzech sklepach, spojrzął na zegarek i zakończył:

- Mniej więcej teraz wchodzi do „Chińskiego Marzenia” Hsianga. Następny raport mamy dostać za godzinę.

Stone, w milczeniu, także sprawdził czas. Myślał o tym, czy następna godzina przyniesie im ciekawsze informacje, niż poprzednie dwadzieścia cztery.

Nie on jeden się nad tym zastanawiał, ale Catlin, prowadząc Lindsay do sklepu jej nauczyciela i mistrza, sprawiał wrażenie spokojnego, choć wewnątrz aż kipiał z niecierpliwości. Być może zamiast „prowadząc”, lepiej byłoby powiedzieć „ciągnąc”. Po uprzejmej, choć druzgocącej odmowie, która spotkała ich poprzedniej nocy, Lindsay nie chciała narzucać się Wu.

- Jestem pewna, że zrozumiał, jak szybko i nisko upadłam - protestowała. - Co nam przyjdzie z tych odwiedzin?
- Wu sprzedaje brązy, prawda?
- Nie takie, jakich szukamy!
- Czy znany jest ze swych brązów?
- Oczywiście. To przecież...
- Więc wydawałoby się dziwne, gdybyśmy go ominęli, prawda? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak rozpaczliwie starasz się przypodobać swemu nowemu kochankowi - dodał gładko. Otworzył drzwi i zaprosił ją do środka. - Panie przodem.
- Niech cię diabli - szepnęła. - Wiesz, co to dla mnie znaczy?
- Wiem.

Nie powiedział nic więcej. Nie musiał. Lindsay pamiętała to, co powiedziała mu jeszcze w Waszyngtonie. „Nie powiem, że mnie nie ostrzegałeś, jeśli ty nie powiesz «a nie mówiłem»”.

Nie przemyślane słowa z odległej przeszłości brzmiały jej w uszach, ostre jak odłamki szkła, raniące. Chciała protestować, tłumaczyć, że wtedy nie wiedziała jeszcze, jak będzie to wyglądało, że żadne słowa nie mogły jej przygotować na coś takiego, ale przecież o tym właśnie mówił jej w Waszyngtonie. Stwierdził, że dobrowolnie zgadza się na wycieczkę po piekło. Nie wierzyła mu. Nie wiedziała, że poczuje, jak kawałek po kawałku odbierają jej życie. Najpierw śmierć matki, potem koszmary, a w końcu nie kończące się wymagania podwójnego życia...

Żywiła nadzieję, że w końcu wszystko okaże się łatwiejsze, że zdoła dostosować się do wymagań życia w kłamstwie. Ale było jej coraz trudniej. Patrzenie w twarz Wu, obserwowanie jego reakcji przypomniało, jak siedziała przy łóżku umierającej matki. Pod wieloma względami Hsiang Wu był ojcem Lindsay, starszym bratem, wujkiem. Dostrzegł bystrość jej umysłu i przekazał fantastyczną wiedzę o świecie brązów. Jej dar odróżniania autentyków od kopii zdumiewał go, a równocześnie bawił. Niemal ją adoptował, załatwiając z ciotką, że mogła poruszać się po jego sklepie i domu jak u siebie.

Ten dom był dla niej wyspą spokoju w morzu zmian. Kiedy konieczność przyzwyczajania się do nowego świata, nowej kultury i nowego życia w Ameryce doprowadzała ją niemal do szaleństwa, wymykała się do ciotki i chłonęła burzliwe, podniecające, znajome dźwięki i zapachy Chinatown w San Francisco.

Była tam kimś egzotycznym: biała nastolatka znająca mandaryński, dzięki związkom z Chińskim Chrześcijan-

skim Stowarzyszeniem Miłosierdzia chroniona przez potężnych imigrantów. Choć nigdy nie stała się pełnoprawną mieszkanką Chinatown, została tam zaakceptowana. Rozumiała to doskonale - podobnie przecież, jako dziecko, przyjęli ją Chińczycy.

Teraz musiała udawać, że lekceważy wszystko, co kiedyś ofiarował jej Wu: przewodnictwo, uczucie, ciepłość. Miała się okazać osobą bezwzględną i niewdzięczną, osobą, dla której chwila rozkoszy jest ważniejsza od trwałej lojalności i związków rodzinnych. Dla Chińczyka nie ma większej zdrady.

Minęła Catlina i bez słowa weszła do sklepu.

Zawieszony na framudze dzwonek oznajmił wejście nowego gościa, a ją otoczyły i powitały zapachy... kształty, które pamiętała z czasów młodości: żeńszeń i istniejący tylko w jej wyobraźni kurz stuleci, mocny zapach imbiru, miękkość pokrytych satyną mahoniowych mebli, oprawione, kaligrafowane karty, jak czarne błyskawice tańczące na białym, jedwabnym niebie. A nad tym wszystkim pełne wdzięku, błękitne i zielone brzozy...

Młoda dziewczyna myślała szklane gabloty, w których wystawiano najcenniejsze dzieła. Z zaplecza dobiegały krzykliwe głosy. Dwaj młodzi mężczyźni próbowali otworzyć ciężką skrzynię. W sklepie było kilka osób - klientów Wu, przyjaciół, bądź jednych i drugich. Jedna z jego córek pokazywała piękną kolekcję grotów dobrze ubranemu mężczyźnie. Podniosła wzrok, dostrzegła Lindsay, zawahała się i powiedziała coś szybko do klienta.

Gdy odwróciła się i znikła na zapleczu, Lindsay poczuła ogarniającą ją lepką falę młodości. May była najmłodszą z wielu córek Wu, zbyt młodą, by mogły się naprawdę zaprzyjaźnić. Mimo to jej gwałtowna ucieczka była jak policzek.

- Hsiang Wu wkrótce się tu zjawi. - Głos Catlina był cichy, lecz nie na tyle, by nikt poza nią nie mógł go usłyszeć.

Poczuła, jak jego mocne palce splatają się z jej palcami - tym gestem, milcząco, dodał jej odwagi, informował, że w konfrontacji z Wu nie będzie sama. Nieświadomie, mocno ścisnęła jego dłoń, przyjmując tę niewielką pomoc, jaką okazywał jej samą swoją obecnością. Odwrócił się i odpowiedział jej uśmiechem. Z premedytacją unikała patrzenia mu w oczy, nie chcąc zobaczyć, jakie są chłodne i puste. Potrzebowała jego gry, udawanej troski, udawanego uczucia. Uśmiechnęła się do niego, ale wzrok miała rozproszony, niewidzący. Palce Catlina wzmogły uścisk, teraz już niemal bolesny.

Za ich plecami otworzyły się drzwi, dzwonek zabrzączał melodyjnie. Catlin odwrócił się, dostrzegł ubranego na sportowo białego mężczyznę i szybko odwrócił wzrok. Widział go już wcześniej, kiedy pół godziny temu próbowała go poderwać ta agentka FBI. Poczuli ulgę - Stone często zmieniał ludzi, tak strasznie rzucających się w oczy. Już kilka razy miał uczucie, że obserwuje go nie tylko FBI. Gdyby był sam, szybko upewniłby się, czy ciągnie za sobą więcej niż jeden „ogon”. Ale nie był sam. Nie mógł jej opuścić, by sprawdzić, czy chodzą za nim ludzie Lee Trana, czy też pojawił się ktoś trzeci.

Z zaplecza dobiegł ich głos Hsiang Wu. Zaciśnął rękę na dłoni Lindsay dając znak, że będzie jej bronił, a potem uniósł jej głowę i zajął wprost w przerażone, szafirowe oczy.

- Gotowa? - szepnęła, całując kącik jej ust.

Wzięła głęboki, urywany oddech i skinęła głową.

- Więc uśmiechnij się - dodał niemal niesłyszalnie. - Jesteś szczęśliwa, pamiętasz? Szalejesz na moim punkcie.

Czy dasz radę zagrać, czy też - jego dłoń zatrzymała się tuż przed jej piersią - mam dyskutować raczej z twym ciałem, niż z głową?

Nawet nie próbowała protestować. Wiedziała, że Catlin zrobi wszystko, by odzyskać zaginione brązy. Gdyby musiał rozebrać ją i wziąć na jednym z mahoniowych stołów w sklepie Wu, nawet by się nie zawahał.

- Nie musisz mi mówić - odezwał się - sam wiem. Jestem bezlitosnym sukinsynem.

Słowa te przeszły ją jak lodowa strzała. Spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich rozpaczliwą pustkę i na moment wstrzymała oddech. Nagle zdała sobie sprawę, że Catlin pragnie tej konfrontacji z Hsiang Wu równie gorąco, jak ona sama. Przez chwilę czuła się oszołomiona, zdezorientowana, jakby wokół niej nagle wszystko się zmieniło. On też nienawidzi tego, co robią, nienawidzi równie mocno jak ona. Ale bez wahania godzi się z tym.

Nagle przypomniała sobie, jak nazwał go Chen Yi, Użył słowa, będącego zarówno prostym ostrzeżeniem, jak i wyrafinowaną definicją.

- Smok - szepnęła.

Wspięła się na palce i pocałowała go.

Nie okłamuj mnie

16

Zaczęło się. Catlin nie ujawniał, że rozumie o czym mówią stary Chińczyk i jego dawna uczennica. Lecz gdyby nawet nie zrozumiał ani słowa z wymiany zdań między Lindsay i Hsiang Wu, wiedziałby, że dziewczyna jest przygnębiona. Czy sam Hsiang Wu to wyczuł? Czy dostrzegł rozpacz, kryjącą się pod przyjaznym uśmiechem?

Nie zastanawiając się, powoli przesunął palcami wzdłuż jej kręgosłupa, pragnąc tą delikatną pieczęcią powiedzieć, że rozumie, przez co ona musi przejść, że wolałby być gdziekolwiek indziej, byle nie tu, nie teraz, byle nie patrzeć, jak zrywa delikatną nić wspomnień i uczuć, wiążącą ją z Hsiang Wu.

Będzie jeszcze gorzej, Lindsay - pomyślał ponuro. Nie wierzysz, by mogło być gorzej, ale niech mnie szlag, jeśli mam zamiar przynieść ci kolejne złe wieści. Chyba że będzie to absolutnie konieczne. Zrobię to, tylko jeśli będę musiał. I ty o tym wiesz.

Nagle pojawiło się natarcywe pytanie, którego nie mógł jej zadać, ponieważ nie było częścią granej z przymusu roli.

Dlaczego mnie pocałowałaś? W chwili gdy najmocniej na ciebie naciskałem, dlaczego zwróciłaś się do mnie, jakby to pode mną, a nie pod tobą, rozpalali stos?

Nie znał na nie odpowiedzi. Pamiętał tylko miękki do-

tyk ciepłych warg, czuł słodki oddech. Gdyby odwróciła się od niego, niepewna siebie i wściekła, jak to się stało zeszłej nocy, zrozumiałaby. Tego się właśnie spodziewał. Nie spodziewał się za to zdumiewającej delikatności jej pocałunku. Zburzyła nim bariery, które długo budował. Rozbłysła jak światło w mroku, błyskawiczne, nieuchronne - zobaczył w tym świetle to, co, jak sądził, umarło w nim już dawno.

- Mamy szczęście, kochany.

Słowa Lindsay dotarły do niego jak przez mgłę. Zastanowił się, czy płynny mandaryński i kurtuazyjne przeprosiny zmieniły nieskazitelną, okrutną grzeczność, z jaką traktował ją człowiek, dla którego niegdyś była córka.

- Szczęście?

- Tak. Wu właśnie otrzymał transport brązów w stylu *huai*.

Uśmiechnął się, a ona wyraźnie drgnęła.

- Jeśli na dziś masz dość brązów, możemy przyjść kiedy indziej. Wu to zrozumie. Rozumie zasady robienia interesów. - Nie powiedziała, że najwyraźniej to interesy właśnie, a nie uczucie, sprawiły, że Chińczyk ich nie opuścił, że stał, śledząc rozmowę. Nie musiała, tę brutalną prawdę rozumiał równie dobrze, jak ona.

- Mój słodki kociaku - przesunął palcem po jej ustach - czy kiedykolwiek widziałas, żebym odrzucił szansę przyjrzenia się dobremu *huai*?

- Nie. - Głos Lindsay był bezdzwięczny, cichy. - Nigdy.

- I nigdy nie zobaczysz.

Oderwał wzrok od zmysłowej linii jej warg i spojrzał w sprytne oczy Hsiang Wu. Nie po raz pierwszy zastanowił się, co właściwie myśli sobie Chińczyk. Czy nienawidzi go równie mocno, jak nienawidziłaby go większość mężczyzn o jego pozycji? Jeśli tak, nienawiść ta nie odbijała się w je-

go twarzy. Nawet drgnięciem powiek nie zdradził, że ich słowa znaczą dla niego więcej, niż dalekie ujadanie psów.

Z uśmiechem skinął głową i bardzo wyraźnie powiedział:

- Dziękuję. Jestem zachwycony możliwością zobaczenia, co trzyma pan na zapleczu. Bo tam je obejrzymy, prawda?

- Catlin!

Cichy, zdumiony okrzyk Lindsay kazał mu się odwrócić.

- Daj spokój! Zachowujesz się, jakby salki od tyłu były jakimś sekretem. Do diabła, przecież są wszędzie! Wdziąkała kiedyś sklep w Chinatown, nie mający co najmniej jednej?

Lindsay przełknęła ślinę i potrząsnęła głową. Protestowała nie przeciw jego słowom, lecz raczej przeciw lekceważącemu tonowi głosu. Miała wrażenie, że Chińczyk jakoś go złości. Zwróciła się szybko do Hsianga.

- Wybacz mi, czcigodny wujku Wu. Mój amerykański klient nie rozumie chińskiej delikatności, nie orientuje się w zawiłościach tych spraw. Nie zamierzał lekceważyć twoich wspaniałych brązów.

- Dla twego pokornego sługi nie ma to żadnego znaczenia. Czujcie się jak we własnym domu i pozwól, że zwrócę twe krytyczne oczy na przedmiory wielkiej starości i piękna.

Upzejmoci cichły, gdy prowadził ich na zaplecze. Catlin szedł za chudym jak cień gospodarzem, aż ten otworzył drzwi i wpuścił gości do sali. Przypominała podziemny warsztat w Muzeum Sztuki Azji - z wyjątkiem dwóch kamer telewizji przemysłowej, umieszczonych dyskretnie naprzeciw siebie, pod sklepieniem sufitem. Stoły były proste, blaty miały zniszczone. Wszędzie leżały porozrzucane narzędzia. Ostre, bezlitosne światło całkowicie różniło się od korzystnego dla dzieł oświetlenia sklepu. Na stojących wzdłuż ścian skrzyniach

widać było chińskie ideogramy, przylepione formularze celne i oficjalne stemple obu krajów.

Dwaj asystenci rozpakowywali wielką skrzynię. Kiedy wszedł Wu, przzerwali pracę. Pomiędzy Chińczykami musiało dojść do wymiany niedostrzegalnych sygnałów, bowiem asystenci skłonili się lekko i znikli za innymi drzwiami, zostawiając właściciela i klientów samych. Catlin patrzył za nimi zastanawiając się, co takiego trzyma tu Hsiang Wu, że nie mogą tego oglądać nawet jego ludzie.

Tymczasem Chińczyk podszedł do długiej, czworobocznej skrzyni. Podniósł pręt i spróbował otworzyć wieko, mocno przybite gwoździami. Po krótkiej chwili stało się jasne, że nie ma na to siły.

- Pozwoli pan? - zapytał Catlin, wyjmując mu pręt z ręki i uśmiechając się złowroźnie.

Chińczyk spojrzał na niego zaskoczony, ale został całkowicie zignorowany. Szybkim, precyzyjnym ruchem Catlin wbił płaski koniec narzędzia pod wieko i gwałtownie szarpnął w dół. Gwoździe wyszły z głośnym jękiem, drewno było świeże.

Odkładając wieko, Catlin odwrócił je ku ścianie. Czuł, jak odpływa podniecenie, zastąpione uczuciem rozczarowania - skrzynia nie pochodziła z Xi'anu. Wyłożono ją dwudziestowiecznymi kulkami styropianu, a nie trocinami, których do tej pory używa się w ChRL.

- Czy czcigodny pan Hsiang prowadzi rozległe interesy z Tajwanem? - spytał. Mówił do Lindsay, ale cały czas obserwował Hsiang Wu.

Chińczyk skinął głową i odpowiedział, nie czekając na tłumaczenie.

- Najszacowniejszy i najczcigodniejszy rząd na wygnaniu rozumie potrzeby Chińczyków na obczyźnie, którzy pragną pamiętek, mówiących o historii ich utraconej ojczyzny.

Catlin uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że gdy generał Czang Kaj-szek wycofywał się przez Chiny, statek za statkiem załadowywano skarbami kultury, by wysłać je na Tajwan.

- A więc nie dziwi mnie, że słynie pan z jakości swych brązów. - Catlin odpowiedział mu równie niedostrzegalnym ukłonem. - Wszystkim wiadomo, że generalissimus miał doskonały gust, jeśli chodzi o skarby narodowej kultury.

Hsiang Wu dumnie, choć dyskretnie, uniosł głowę.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony zakładać, że moja niegodna osoba ma jakieś związki z postaciami tak wspaniałymi i bohaterskimi jak czcigodni władcy prawdziwych Chin. Jednak te dostojne osoby są daleko poza moim zasięgiem. Skromne dzieła, wypełniające mój sklep, pochodzą od ludzi takich jak ja, ludzi, którzy odkryli, że świat wczorajszy różni się od świata dzisiejszego i którzy palą kadzidło modląc się, by świat jutrzejszy był lepszy.

- Czyli wygnańców - podsumował Catlin.

- Waśnie. - Cichy głos Chińczyka przypominał syk. Świadczył o ledwo powstrzymanym gniewie.

Lindsay poruszyła się w milczącym proteście przeciw rzecze gniewu, rozdzielającej obu mężczyzn.

Hsiang Wu odwrócił się i wyjął brąz z długiej skrzyni. Catlin obserwował go w milczeniu, poruszał tylko dłońią, gładząc lśniąco włosy Lindsay. Ruch ten był niemal nieświadomy - miał ją jednocześnie pocieszyć i powstrzymać przed wypowiedzeniem nieostrożnych słów.

Lindsay niepewnie spojrzała na stojącego obok potężnego mężczyznę. Zastanawiała się, dlaczego drażni gospodarza tak otwarcie. Nie mogła go jednak zapytać. Hsiang Wu stał zbyt blisko. Nie mogła nawet błagać, by łagodniej traktował dumnego starca.

Nagle poczuła, jak spoczywająca na jej szyi dłoń zaciska się na widok pierwszego z dzieł. Obróciła się.

Lustro było wspaniałe i wspaniale zachowane. Rama zdobiona była geometrycznym wzorem, przedstawiającym wspaniałe, giętkie smoki o płonących oczach i długich, śmiercionośnych ogonach. Patyna - szorstka, niebieskozielona - zmysłowo kontrastowała ze lśniąca, wypolerowaną tarczą.

Hsiang Wu oparł je o blat stołu i zgrabnie odwrócił. Inkrustacja rewersu: miedź, srebro, złoto i malachit, również przedstawiała pełnego wdzięku i siły smoka. Metal pozostał nie naruszony. Złoto i srebro nie ściemniały przez wieki, ich błyszcząca powierzchnia zdradzała ślady troskliwej pielęgnacji. Kilku malachitów brakowało. To bardziej ucieszyło niż zmartwiło Lindsay, zdecydowanie podejrzliwą w stosunku do dzieł w nie naruszonym stanie. Coś takiego, biorąc pod uwagę kult, jakim Chińczycy darzyli przodków i ich skarby, było wprawdzie możliwe, ale niezbyt prawdopodobne.

Catlin podniósł wzrok i spojrzął jej w oczy. Skinęła głową. Chociaż wyraz twarzy Hsiang Wu nie zmienił się, wiedział, że Chińczyk świadom jest ich milczącego porozumienia i tego, że klient wie już, iż brąz jest autentyczny.

- Mogę? - spytał, sięgając po ciężkie lustro.

Właściciel wyraził zgodę i podszedł do najbliższej półki. Zdjął z niej gruby ręcznik, strzepnął go i położył na stole. Catlin przez dłuższą chwilę przyglądał się swemu odbiciu, po czym podniósł brąz i bardzo delikatnie położył go na ręczniku, wypolerowaną częścią do dołu. Wraz ze zmianą kąta, pod którym padało światło, klejnoty ożyły, liżąc metal jak płomień barwnego ognia.

- Niezły kawałek - stwierdził.

Ani tonem głosu, ani wyrazem twarzy nie dał poznać, co

naprawę sądzi. Lindsay też miała nadzieję, że udaje się jej zachować pokerową twarz, lecz wcale nie była tego pewna. Wiedziała jedno - ma do czynienia z prawdziwym skarbem.

- Czy już jest sprzedane? - zapytała.

Zdawała sobie sprawę, że Chińczyk utrzymuje stałe kontakty z wieloma zagranicznymi handlarzami brązów, ma z nimi nawet umowy na wyłączność. Bardzo prawdopodobne, że szukał takiego lustra specjalnie dla jednego ze stałych klientów. Miała jednak nadzieję, że tak nie jest. Dzieło to wspaniale uzupełniłoby muzealną kolekcję. Spodziewała się odstraszącej ceny i pozostało jej tylko ufać, że L. Stephen nie liczył na oszczędności, kiedy dał jej wolną rękę w tworzeniu największej i najlepszej kolekcji brązów w całych Stanach Zjednoczonych.

Hsiang Wu w milczeniu rozpakował i położył na stole pięć innych dzieł. Wszystkie były inkrustowane, choć każde inaczej. I wszystkie były na muzealnym poziomie. W miarę, jak wyłaniały się na światło dzienne, Lindsay przyglądała się im z rosnącym niedowierzaniem. Dzieła tak znakomite na ogół rzadko spotyka się na rynku. Zastanawiała się, jakie nieszczęście spotkało kolekcjonera na Tajwanie, że sprzedaje te arcydzieła na raz. Kiedy wiadomość o nich się rozejdzie, wszyscy liczący się zbieracze zbiegną się do sklepu, domagając się udziału w licytacji. Ona sama chciałaby kupić dla muzeum przynajmniej cztery z nich.

Ósmy i dziewiąty brąz włączyły jej wewnętrzny system alarmowy. Coś tu było nie tak. Nie potrafiła ująć tej instynktownej reakcji w słowa, ale wiedziała, że te naczynia są znacznie młodsze od innych, leżących już na długim stole.

Catlin obserwował ją uważnie. Od razu zorientował się, że ósemka i dziewiątka wcale się jej nie podobają. Ciekawe, czy zauważył to także ich gospodarz? Czy też może

wiedział z góry, że te brązy są fałszywe? Czy sprytny handlarz zmieszał złoto z piaskiem w nadziei, że nikt tego nie zauważy? Stary chwyt w handlu antykami, ciągle stosowany, bowiem ciągle skuteczny.

- Jeśli potraficie mi wybaczyć - powiedział cicho Hsiang Wu - wasz niegodny sługa jest chwilowo potrzebny gdzie indziej. Proszę, zostańcie i kaptcie się w odbiciu chwały Chin naszych przodków. Jeśli któreś z tych skromnych, lecz czcigodnych dzieł sprawi radość waszym jakże wymagającym oczom, z najwyższą radością przedyskutuję z wami, jak mogłoby trafić w wasze posiadanie.

Catlin wykonał tylko nic nie znaczący gest, pozostawiając Lindsay troskę o wszystkie te kurtuazyjne deklaracje skromności i wdzięczności. Gdy za Chińczykiem zamknęły się drzwi, błyskawicznie wyciągnął rękę, przytulił ją mocno i przykrył jej usta swoimi, uniemożliwiając jakakolwiek rozmowę. Kiedy upewnił się, że całą swą uwagę skierowała na niego, przesunął wargami po jej policzku, aż do ucha.

- Podśluch.

Natychmiast zrozumiała te ledwie słyszalne słowa. Wplątała dłoń w jego włosy, potarła jego policzek swoim.

- Tu? - szepnęła leniwie, prowokująco, zachowując się jak kobieta, której złożono właśnie rozkoszną propozycję.

- Nie sądzę, skarbie.

- Zaufaj mi i - odparł natychmiast, przytulając ją jeszcze mocniej.

- W porządku - szepnęła.

Catlin znieruchomiał na moment, a później rozluźnił uścisk.

Odwrócił się w stronę brązów, lecz przez chwilę widział tylko jej lekko, prowokacyjnie rozchylone usta. W żyłach

szumiała mu gorąca krew, serce waliło w rytmie pragnienia, pożądania.

- Chcę te - odezwał się wreszcie i wskazał palcem brązy. - I te dwa.

Lindsay z zalem spojrzała na dzieła, na których lekko położył dłoń. Ósemka i dziewiątka. Fałszerstwa.

- Lustro jest wspaniałe - stwierdziła cicho. - I zwróć uwagę na to - przerwała, lecz w końcu znalazła misę, która szczególnie się jej spodobała. - To...

- Nie! - przerwał jej ordynarnie. - Te trzy, które wskazałem. - Spojrzał na nią groźnie. - O co chodzi? Nie podobają ci się?

Zamknęła oczy.

- Nie - powiedziała niepewnie. - Obawiam się, że nie są tym, czym ci się wydają.

Catlin odwrócił się i obserwował ją przez długą chwilę.

- Rozumiem - roześmiał się cicho. - Więc twój nauczyciel oberwał po kieszeni. I to mocno. Przecież je kupił, a nie wziął w komis. Czyżby wydał tysiące dolarów na przedmioty pozbawione wartości? No, chyba że sprzedaje na wystawę fałszerstw...

Przyglądała mu się, zaskoczona. Nie bardzo zdawała sobie sprawę, o co tu chodzi, ale rozumiała, że Catlin gra dla ukrytych widzów... albo sądzi, że dla nich gra.

- Chyba tak.

- Nie ma sprawy - zbył to wzruszeniem ramion. - Jeśli rzeczywiście są fałszywe, to podrobiono je tak dobrze, że orientuje się w tym tylko troje ludzi: fałszerz, ty i ja. Biorąc pod uwagę, jaką masz reputację, wystarczy, byś tylko potwierdziła ich autentyczność. To wszystko. Mam dwa świetne brązy. Jeśli ich twórca kiedyś się o tym dowie, z pewnością nie będzie się skarżył.

- Czy sugerujesz, żebym...

Catlin znów przerwał jej niecierpliwie.

- Chcę mieć te dwa brązy. Wypełniają lukę w kolekcji. Nawet się nie spodziewałem, że kiedyś ją wypełnię! Jeśli je dostanę, cały zbiór niemal podwaja swoją wartość. A poza tym - przecież nie ma ludzi nieomylnych. Nawet ty możesz popełnić błąd. Wic zrób tym cacuszkom grzeczność i stwierdź, że są autentyczne.

- Nie! - Lindsay niemal zeszywniała z napięcia. - Wszystko, co tylko zechcesz, byle nie to. Nie będę kłamała! Nie rozumiesz? Nie mogę. Brązy są całym moim życiem. Nie proś mnie, żebym... - głos się jej załamał. W jego oczach nie dostrzegła ani śladu współczucia. - Catlin?

Z uśmiechem pełnym męskiej dumy przyciągnął ją do siebie.

- Teraz ja jestem twoim życiem, skarbie.

Pocałował ją niemal brutalnie, a później zanurzył usta w jej włosach.

- Nie poddawaj się - szepnął, podniósł głowę i powiedział wyraźnie: - Chcę te brązy!

- Więc kup je sobie sam. - Jej głos był napięty, brzmiały sprzecznymi uczuciami: zmieszaniem, gniewem, ulgą.

- Nie. Jeśli ty kupisz je dla mnie, wszyscy będą wiedzieli, że są autentyczne.

- Nie zrobię tego. Nawet dla ciebie. A gdybym cię w ogóle cokolwiek obchodziła, nie kazałbyś mi kompromitować się w ten sposób!

Jej wypowiedziane powoli, drżące słowa rozniosły się po całym pokoju. Catlin odczekał chwilę, aż cisza zagnieździ się w sali, po czym zaklął głośno i potrząsnął zamkniętą w jego uścisku Lindsay.

- Do diabła, skarbie, nie denerwuj się. Chciałem tylko uzupełnić kolekcję i jednocześnie pójść na rękę Hsiangowi, Wiesz, że przez te dwa dzieła dostanie po kieszeni?

Skinęła głową, oszołomiona.

- Wiem - przyznała. - Ale nie można tego załatwić inaczej, ł ja muszę mu to wszystko powiedzieć. Gdyby ktoś się kiedyś dowiedział, że niechcący sprzedawał fałszywe brązy stałym klientom, to by go zabiło. Może... może zdoła odzyskać chociaż część pieniędzy?

- Nie sądzę. - W jego głosie usłyszała kpinę. - *Caveat emptor.*

~ Tak. - Brzmiało to jak westchnienie.

A on znów chciwie przyglądał się dwóm odrzuconym brązom.

- Jesteś pewna? - spytał ochryple.

- Nie będę kłamać...

- Wiem, wiem. Chodzi mi o to, czy jesteś pewna, że to kopie.

- Tak, o ile mogę to stwierdzić bez analizy laboratoryjnej.

- Chcesz przyrzeć się im dokładniej?

Wzruszyła ramionami i podeszła do stołu. Gdy podnosiła je po kolei, zauważył drobne świadectwa niesmaku, niemal niewidoczne zaciśnięcie ust. Nie obchodziła się z nimi nieostrożnie, lecz w jej ruchach nie było nic z delikatności, z wielkiego szacunku, który Catlin po raz pierwszy zaobserwował w Waszyngtonie, patrząc przez jednostronne lustro.

- Dobrze zrobione - przyznała niechętnie.

- Jak ten wczorajszy smok?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- I tak, i nie. To znaczy, w obu przypadkach mamy do czynienia z dziełami rzemiosła wysokiej klasy, ale smok był unikalny, był dziełem sztuki. Założę się, że te to tylko kopie oryginałów ukrytych gdzieś głęboko, w jakiejś prywatnej kolekcji.

Catlin chrząknął.

- Ciekawe, ile takich kopii zdażyło już trafić na rynek?

Podnosząc drugi z podejrzanych brązów, Lindsay zmarszczyła brwi. Nie radowała jej myśl, że Wu wykorzystywany jest do wpuszczania na rynek niemal nierozpoznawalnych, fałszywych brązów. Był taki dumny. Straciłby twarz, gdyby rozeszła się wieść o tym, jak strasznie go oszukano.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Będę musiała mu poradzić, żeby już nigdy nie kupował z tego źródła.

Catlin miał właśnie zamiar coś powiedzieć, lecz zrezygnował, gdy otworzyły się drzwi. Pojawił się jeden z asystentów i wśród mnóstwa grzeczności poprosił Lindsay, by towarzyszyła mu do mieszkania pana Hsianga. Lindsay wysłuchiwała go, odpowiedziała coś szybko i zwróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny.

- Mówi, że ciocia Tian zachorowała i chce mnie zobaczyć, nim wyjdziemy. Leży w łóżku, więc muszę odwiedzić ją sama.

- Wiesz, że nie lubię, kiedy cię ode mnie odrywają - stwierdził Catlin i mówił prawdę. Nie podobało mu się, że Lindsay znajdzie się poza zasięgiem jego opieki.

- To co innego - stwierdziła stanowczo. A kiedy zauważyła, że ma zamiar protestować dalej, dodała: - Catlin, kiedy przyjechałam do San Francisco, ta kobieta praktycznie mnie wychowywała. Nie mogę odejść nie zobaczywszy jej, jeśli sama prosi o spotkanie.

Catlin podejrzewał, że to Hsiang Wu chce się zobaczyć z Lindsay sam na sam, a nie jego żona, ale w tej sytuacji nie mógł nic powiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami i poddał się.

- Jeśli nie będzie cię za dziesięć minut, zacznę poszukiwania. - Powiedział to pieszczołtliwie, lecz spojrzenie miało twarde. - Rozumiesz mnie?

- Rozumiem. To nie potrwa długo.

Przytulił ją i pocałował krótko, mocno.

- Nie zawieźdź mnie - szepnął z naciskiem. A uwalniając ją z objęć, dodał głośniej: - Dziesięć minut. Zaczynam liczyć.

Kiedy zamykały się za nią drzwi, spojrzała na zegarek. Nie miała wątpliwości, że każde jego słowo zostanie spełnione. Za milczącym asystentem weszła do mieszkania Hsianga, zajmującego trzecie i czwarte piętro budynku. Chińczyk otworzył uprzejmie drzwi, gestem pokazał, że ma wejść do pokoju, po czym ją opuścił. Drzwi zamknęły się za nim z niemal niesłyszalnym trzaskiem.

Wewnątrz był tylko Hsiang Wu. Nim Lindsay zdażyła dać wyraz swemu zdziwieniu, wskazał jej krzesło.

- Siadaj, córko - powiedział po angielsku. - Będę rozmawiał z tobą tak, jak rozmawiałby twój ojciec, gdyby jeszcze żył. Jestem człowiekiem starszym i mądrzejszym od ciebie. Człowiekiem, który widział więcej świata i więcej zamieszkujących go gatunków istot ludzkich niż ty.

Z ciężkim sercem Lindsay opadła na twarde krzesło i przygotowała się do wysłuchania nieprzyjemnego wykładu od mężczyzny, którego szanowała i kochała jak drugiego ojca. Pragnęła się bronić, lecz wiedziała, że nie może. Mogła tylko znieść wyrzuty człowieka, który dobrze jej życzył.

- Tak, czcigodny wujku Wu - odezwała się cicho. - Wiem, że jesteś zarówno mądry, jak i wielkoduszny. Zawsze byłeś dla mnie dobry, najczcigodniejszy wuju.

Zapadła brzemienna w słowa cisza - ta skromna, zawołowana prośba o łaskę docierała do uszu Chińczyka, lecz jego poważna twarz nie zmieniła wyrazu, a łód w głosie nie stopniał.

- Co robisz w towarzystwie takiego psa jak Jacques-Pierre Rousseau?

Lindsay aż poderwała głowę ze zdumienia.

- Kto to?

Znów zapadła cisza. Hsiang Wu oceniał autentyczność szoku, wyraźnie widocznego na jej twarzy.

- Tego się właśnie spodziewałem - powiedział w końcu. - Nie znasz nawet natury tego psa bez honoru, którego dłonie wędrują po twym ciele jak dłonie męża.

Oszołomiona Lindsay nie mogła wykrztusić słowa.

- Ach, moja niemądra córko. - Hsiang Wu westchnął głośno. - Żądza cię oślepiła. Mężczyzna, którego znasz jako Jacoba Mac Arthura Catlina, nazywa się naprawdę Jacques-Pierre Rousseau. I nie zasługuje nawet, by rankiem wynosić twój nocnik do ogródka.

- Wujku Wu!

- Cisza! Czy tak mało masz szacunku dla człowieka, który nazywał cię córką, że przerywasz mu, jakby był tylko kwaczącą kaczką?

- Wybacz - szepnęła. Splotła dłonie i zacisnęła je, aż pobielały jej kostki palców. - Wybacz mi, czcigodny wujku Wu. Nie zamierzałam...

- Co zamierzałaś i czego nie zamierzałaś, nie zmienia tego, co jest - przerwał jej chłodno. - Zostałaś kurwą mężczyzny znanego w całej Azji z wielu straszliwych czynów, a przede wszystkim z kupowania i sprzedawania ludzkiego życia za walutę, którą było opium.

Lindsay wydała z siebie zduszone westchnienie, w którym wyraźnie brzmiało powątpiewanie. Pragnęła przemówić, pragnęła się bronić, lecz wiedziała, że tylko bardziej rozgniewa Chińczyka. Był taki pewny, tak całkowicie, niewzruszenie przekonany o swej racji. Starła się nie myśleć o Bradfordzie Stone, który nie ufał Catlinowi, i Chenie, który go wynajął. Chenie, któremu najwyraźniej nie ufali nawet jego towarzysze.

- Rousseau ciągnął ze swej niemoralności wielkie zy-

ski, jak zawsze robią to mężczyźni jego pokroju, przynajmniej przez pewien czas - mówił dalej Hsiang Wu, nie zdając sobie sprawy, że jego słowa omijają Lindsay jak podmuchy wiatru, są dla niej dźwiękami bez znaczenia. - Stał się bardzo potężny. Ludzie kłaniali się i składali mu wyrazy hołdu. Część tych hołdów zmieniała się w kolekcję starożytnych brązów. Umiał pomnażać kapitał - przyznał niechętnie. - Znano go od Hongkongu po Złoty Trójkąt z tego, że jest okrutny niczym sam cesarz Qin. Bardzo surowo traktował ludzi, którzy przynosili mu mniej niż obiecali, niezależnie od tego, czy chodziło o informacje, brązy czy opium. Nikt z tych, którzy go oszukali, nie przeżył, by oszukać go po raz drugi.

Lindsay znów podniosła głowę. Spojrzała w nieruchomą, surową twarz Hsiang Wu. Zobaczyła w niej tylko wiarę w słowa, które wypowiadał.

- Nazywa się Jacob MacArthur Catlin - zaprzeczyła rozpaczliwie, ale jeszcze wypowiadając te słowa zdała sobie sprawę, że zalewają ją wątpliwości. Chińczyk był taki pewny siebie, oczy płonęły mu pogardą, każde jego słowo raniło jej serce jak cios nożem. Stone zachowywał się podobnie, także był pewien, że z Catlinem coś jest nie tak. Te lata, o których nic nie wiadomo... Czy wtedy robił właśnie to? Został renegatem, żył jak gangster w kraju rozrywanych intrygami i wojną? - Nazywa się Catlin!

- Nazywa się Szatan! - syknął Hsiang Wu. - Przeżera go zło. Zarażał tym złem innych. Nie pozwól, żeby zaraził nim i ciebie. Powiedz mu, że nigdy go już nie zobaczysz. Powiedz mu to w mandaryńskim, córko. Władza mandaryńskim równie dobrze jak ja.

Przez chwilę Lindsay miała ochotę się wypowiedzieć, przyznać, że nie są kochankami, że nadal wyznaje ideały dzieciństwa. Już miała na ustach te słowa, gdy przypomnia-

ła sobie inne, wypowiedziane przez Catlina: „To ludzie, których szanujesz, rozedrą ci serce. Ich także musisz oszukać. Wszystkich. Oszukać do końca. Żadnych wyjaśnień, żadnych uśmiechów, nie możesz nawet mrugnąć, zdradzić się nawet gestem.” Przypomniała sobie także, jak ją pożegnał: „Nie zawieź mnie.”

Wiedziała, że stawka w tej grze, w jej grze, przewyższa wszystko, czym był lub nie był Catlin, co zrobił lub czego nie zrobił. Zgodziła się zagrać z własnej woli i teraz musi stosować się do reguł gry, spełnić prośby Stone'a, dotrzymać obietnic złożonych Chenowi i Catlinowi - przewodnikowi w wycieczce do piekła.

- Tego nie mogę zrobić - szepnęła nie wiedząc, czy słowa te kieruje do Wu, do Catlina, czy do samej siebie.

Hsiang Wu nie miał jednak żadnych wątpliwości.

- Czy żądze opanowały cię do tego stopnia, że straciłaś honor? Chcesz zostać tylko jedną z jego głupich, niemoralnych kobiet, których używał jak kurew, zbierał informacje, a potem wysyłał w ciemne alejki, by wyciągały informacje od innych mężczyzn? Płacił im opium i seksem, a kiedy były już zbyt chore, by nadal ich używać, patroszył jak ryby!

- Nie! - To jedno słowo wyrwało się z jej ust, ochryple, urywane, zrodzone gdzieś w głębi serca. Nie słyszała niemal słów Chińczyka, tylko brzmiące w nich najgłębsze przekonanie, że Catlin jest zły. Nie wierzyła w to. Nie potrafiła. - Jest Catlinem! Nie Rousseau!

- Nie różnisz się niczym od tych bezwartościowych szmat, które oddały mu się na zatracenie - powiedział Hsiang Wu z największym obrzydzeniem, wstał i podszedł do drzwi. - Dziś w nocy spalę kadzidło w podzięce Bogu, że twoi rodzice nie dożyli dnia, w którym ich jedyna córka pozwala psu sikać w święte naczynie ich honoru.

- Wujku Wu!

Za późno. Drzwi zamknęły się za Chińczykiem.

Przez chwilę siedziała skulona na krześle, niezdolna się poruszyć, niezdolna nawet płakać. Słowa Hsiang Wu brzmiały jej w uszach strasznym echem. Rousseau. Opium. Szatan. Seks. Catlin. Nie wiedziała, kiedy chwiejnie zeszła po schodach do warsztatu. Zdała sobie sprawę, gdzie jest, dopiero usłyszawszy głos Catlina, wołającego jej imię.

- Lindsay! Co się stało? Lindsay!

Wbił jej palce w ramiona. Potrząsał nią.

- Lindsay! Co tam się, do diabła, stało?

Ból przyniósł jej niemal ulgę. Dowodził, że ciągle żyje, że pogarda Wu jej nie zabiła.

- Rousseau... Nadałeś sobie kiedyś nazwisko Rousseau, prawda? - szepnęła. Dostrzegła wyraz zdumienia na jego twarzy - zrozumiał te, wypowiedziane w mandaryńskim, słowa! Poczowała, jak jej ciało przebija niewidzialny nóż. Catlin znał mandaryński! Wszystko było prawdą: Rousseau, opium, kobiety. Teraz stała się jedną z nich. Działał na nią jak żaden inny mężczyzna. Zadrzała.

- Nie dotykaj mnie - szepnęła tym razem po angielsku. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

- Co za kłamstwa powiedział ci Hsiang Wu?

- On by mi nie skłamał. - Głos Lindsay całkowicie pozbawiony był wyrazu. - Ale ty, tak. Prawda? Prawda, Rousseau?

Nie próbował nawet się z nią spierać. Byłoby to zbyt niebezpieczne i nie wiedział, czym mogłoby się skończyć. Jedną ręką zatrzasnął za nimi drzwi, drugą zaś przyciągnął ją do siebie tak mocno, że w płucach zabrakło jej nagle powietrza. Prawą dłonią objął jej twarz unieruchamiając głowę, ciało przycisnął do ściany pokoju. Lewy kciuk znalazł się nagle między jej wargami i rozchylił je, otwierając drogę dziękemu, rozkosznemu językowi.

Nie mogła się cofnąć, w żaden sposób nie mogła mu się oprzeć. Catlin wstrząsnął nią, bezlitośnie używając swej wielkiej zręczności i siły. Nagle pod stopami nie miała już podłogi, za plecami nie miała ścian. Czuła tylko siłę jego dłoni, trzymających ją zawieszoną między kłamstwem i prawdą, rozpaczą a pożądaniem, nieznaną przeszłością i straszliwą teraźniejszością. Broniła się, wbiła palce w mięśnie jego ramion, w jej odpowiedzi nie było nic seksualnego. Przytulała się do tego mężczyzny, ponieważ gdzieś w podświadomości, na najprostszym, najprymitywniejszym poziomie zdawała sobie sprawę, że jeśli on odejdzie, ona nigdy nie znajdzie drogi powrotnej z piekła i nigdy nie wyjdzie na świat, na słońce...

Catlin poczuł, jak ustępuje sztywność jej ciała i wiedział już, że Lindsay przypomniała sobie rolę, którą ma grać. Hsiang Wu szokował ją, potraktował obrzydliwie i okrutnie. Jeden Bóg wie, jakie straszne kłamstwa i jeszcze straszniejsze prawdy opowiedział jej o człowieku znanym jako Rousseau. A ona nadal grała. Nadal zdolna była grać w wieloznacznej sztuce autorstwa Chena. Zdawał też sobie sprawę, że może ją już wypuścić ze swego brutalnego uścisku, pozwolić, by ześlizgnęła się po jego ciele na ziemię jak ciężka, ciepła sztuka aksamitu. Wiedział, ale tulił ją nadal. Poruszały się tylko usta, drgając rytmicznie, podczas gdy język pieścił wargi dziewczyny, uspokajał ją, wypełniał słodkie ciepło jej ust swą obecnością.

Palce Lindsay rozluźniły się wolno, już nie wbijały się boleśnie w napięte mięśnie jego ramienia. Dłoń poczęła pieścić go powoli w rytmie pocałunku, po ramieniu, po szyi, by wreszcie pograżyć się głęboko w czerni włosów.

Powoli otworzyła oczy. W ich głębi dostrzegł pożądanie... Tak, pożądanie a nie wylane łzy i mrok, coraz głębszy, w miarę jak pograżali się w czeluściach piekieł.

- Wujek Wu by mi nie skłamał...
- Ja również. Spójrz mi w oczy, patrz, jak długo zechcesz. Czy widzisz w nich kłamstwo?
- Nie. - Westchnęła i zamknęła oczy. Nie potrafiła znieść dłużej jego wzroku. - Nie...

Łzy popłynęły jej spod spuszczonej powiek. Ciepłymi, srebrnymi kroplami spływały po policzkach. Zaczęła coś mówić, lecz on pocałował ją znowu, i znowu, aż pomiędzy pocałunkami wypowiadała tylko jego imię. Tuląc się do niego, powtarzała je jak litanie, aż świat zniknął, zapomniany, i pozostał tylko on.

Dopiero wtedy Catlin wypuścił Lindsay z objęć, pozwolił jej ukryć twarz na swej piersi, spojrział wprost w obiektyw kamery i uśmiechnął się.

Nie okłamuj mnie

17

- Wiesz, co? - spytał z obrzydzeniem Stone, odwracając się plecami do wspaniałego widoku San Francisco i kobaltowobłękitnych wód zatoki. - Dyrektor zapewniał mnie, że to będzie krótka sprawa. „Właściwie już się kończy” - tak powiedział. - „Może się rozstrzygnąć w każdej chwili i masz przy tym być. Biuro ciężko nad nią pracowało. Nie pozwól, żeby wszystkie zasługi przypisano CIA.” I co się dzieje? Nic się nie dzieje. Spędziłem w tym nędznym hotelowym pokoiku prawie tydzień i nie zdarzyło się kompletnie nic.

O'Donnel zacisnął usta.

- Och, tego bym nie powiedział, szefie. Lindsay zabrała nas na zwiedzanie Chinatown. Widzieliśmy wszystkie ważniejsze sklepy, misję chrześcijańską i podejrzane nocne kluby w promieniu trzydziestu kilometrów. Chociaż muszę ci powiedzieć, że akcje tej damy ostatnio mocno spadły. Z Chińskiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Miłosierdzia do Chińskiego Stowarzyszenia Anonimowych Podręczaczy Gardeł. No, może nie tak znowu anonimowych. Większość z nich ma w naszym komputerze obszerne akta.

- Import prostytutek, przemyt przez granicę stanu i biały proszek wyłącznie dla heroinistów. Mnie obchodzi kontrwywiad, a nie dziesięciu cholernych wrogów publicz-

nych numer jeden z Chinatown - burknął Stone, zapalając papierosa.

- Proszę spojrzeć na to inaczej - stwierdził Irlandczyk z wisielczym humorem, przysuwając szefowi popielniczkę i siadając. - Nasi chłopcy nauczyli się jeść zupełną pałeczkami. Coś jednak osiągnęliśmy.

Jego szef uśmiechnął się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Wiedziałem, że był jakiś powód, dla którego cię połuubiłem. - Rzucił zapalniczkę na stół i pokręcił głową z pełnym żalu podziwem. - Jeść zupełną pałeczkami. Cholera, to chyba najlepsze podsumowanie tej całej farsy.

- Brak ci kondycji - zażartował O'Donnel. - Zapomniałeś, jakie nudne są te tajne akcje aż do chwili, kiedy wyciągasz obrzyna i kajdanki. Jak wędkowanie. Dziewięćdziesiąt osiem procent czasu spędzasz drapiąc się w jaja i czekając, aż ryba weźmie.

Stone chrząknął.

- To już wolałbym wędkować. - Przesunął dłonią po włosach i westchnął. - Dobra. Podaj mi najnowszy spis tego bezużytecznego gówna.

Automatycznym ruchem jego podwładny wyłowił notatnik z kieszeni na piersiach. Zmrużył oczy, szybko przewracał strony.

- Mam. Zaczynamy. Chcesz wszystko, czy tylko to, co się stało po ostatnim telefonie Lindsay?

- Jakies rozbieżności? - Stone był najwyraźniej znużony.

- Żadnych. To, co nam powiedziała, zgadza się z raportami agentów aż do najdrobniejszego szczegółu.

- I to dobre. - Strząsnął papierosa mniej więcej do wielkiej, kryształowej popielniczki. - Po naszej krótkiej

rozmówce w Waszyngtonie bałem się, że zrezygnuje ze współpracy.

- Chen Yi też nie kantuje. Jego informacje o poczynaniach Lindsay i Catlina zgadzają się z naszymi danymi w najdrobniejszych szczegółach.

- Dlaczego mnie to niepokoi? - spytał retorycznie Stone.

- Ponieważ żadne z nich nie wspomniało o przeszłości Catlina jako tajnego agenta CIA o nazwisku Rousseau. A CIA?

Uśmiech jego szefa ciął jak nóż. Ciągle bolało go, że CIA odmówiła uzupełnienia akt Catlina.

- Może Lindsay też nie wie, jak zarabiał na życie?

- A może - stwierdził młodszy z agentów - wie i uważa, że nie ma to żadnego znaczenia? Albo może Catlin zmusza ją, żeby siedziała cicho? Pamiętaj, że kiedy do nas dzwoni, on zawsze jest w pokoju.

Krzywiąc się, Stone zaciągnął się papierosem.

- Gdybym miał zgadywać - stwierdził - powiedziałbym, że nie wie. Catlin najprawdopodobniej nic nie mówi, żeby jej śmiertelnie nie przestraszyć. Na nieszczęście ktoś jednak może rozwalić jej łeb i nie będzie nawet wiedziała, dlaczego. My też. Gdyby nasi ludzie nie dorwali cyngla Toma Lee, majstrującego przy wozie Catlina, cała operacja rozpadłaby się jak domek z kart, a my winilibyśmy za to brzozy, a nie przeszłość niejakiego pana Rousseau.

O'Donnel wzruszył ramionami. Pomyślał, że w końcu mają do czynienia z całkiem dużym chłopcem, który przez całe swe dorosłe życie grał z zawodowcami. Jeśli wreszcie oberwie, nikt nie będzie po nim płakał.

- Ale agenci są raczej zdania, że on i tak znalazłby bombę. Bardzo dokładnie sprawdzał samochód - stwierdził i zaczął przewracać kartki notatnika, szukając informacji otrzymanych po telefonie Lindsay.

- „Pluskwy" w pokoju przekazały jak zwykle, że Lindsay wstała w środku nocy i wzięła długi prysznic. Sama. - Potrzęsnała głową. - Piąty raz z rzędu. Dziwna godzina na samotny prysznic. Chyba w ogóle nie sypia. Wstali razem, wcześniej, ona odprawiła ten *taijiquan*. On też.

Na chwilę oderwał wzrok od notatnika.

- A przy okazji, miałeś rację z salą gimnastyczną i karate fuli contact. Agent, który wczoraj rano obserwował Catlina twierdzi, że nie widział niczego takiego od czasu wczesnych filmów z Chuckiem Norrisem. Catlin i jakiś wielki Wietnamczyk ostro wzięli się do roboty. Według niego tylko cudem odeszło się bez ofiar. Czy to coś jest legalne?

- Jeśli ćwiczą świadomi niebezpieczeństwa dorośli, tak - wzruszył ramionami Stone.

Jego młodszy kolega przewrócił kartkę notatnika.

- Bardzo niewiele telefonów. Jej przyjaciele w San Francisco najwyraźniej wszystkiego się dowiedzieli. Żadnych zaproszeń na śniadania, na obiady, herbatki czy do szkółki niedzielnej.

Szef odpowiedział mu tylko chrząknięciem.

- Pojawił się też jakiś lewy handlarz, którego spotkali w Waszyngtonie. Zaprosił ich na obiad. Spotkali się - O'Donnel zerknął na zegarek - jakieś dwadzieścia minut temu. Być może dzieje się coś dziwnego. Jeden z ludzi ze śledzącej ich teraz ekipy twierdzi, że łązi za nimi ktoś jeszcze, jakiś Chińczyk. Złapał Catlina w hotelu. Teraz siedzi w sklepie po drugiej stronie ulicy i wpatruje się w wejście do restauracji.

Bładoniebieskie oczy Stone'a zwięzły się. Wyprostował się i siedział na kanapie sztywno, po raz pierwszy czymś zainteresowany.

- Kolejny z cyngli Toma Lee?

- Na razie nie sposób powiedzieć - przyznał O'Donnel

- Miejscowe biuro ma kogoś w organizacji Lee, ale jak na razie niczego nie wiedzą na pewno. Wtyczka twierdzi, że Lee dostaje szał z powodu zmartwychwstania Rousseau, co nie znaczy, że wydał rozkaz, żeby się go pozbyć. Oczywiście z wyjątkiem bomby, ale bomba mogła być tylko takim powitaniem: „Cześć, wróciłeś między zawodowców”, sprawdzeniem, czy nie stracił wycucia.

Stone zduśli papierosa i zaklął zmęczonym głosem.

- A ty jak przypuszczasz, Terry? Czy Lee ma brązy?

- Być może. Z pewnością jego organizacja byłaby w stanie je przetransportować.

- Podobnie jak połowa gangsterów z Chinatown i ładne kilka grup chrześcijańskich misjonarzy. Co, do cholery, robi Urząd Celny, Urząd Imigracyjny i Agencja do Walki z Narkotykami, skoro to wszystko dzieje się pod ich nosami? Prochy, brązy, kontrabanda do wyboru, do koloru, włączając ludzi. Założę się, że połowa nowych obywateli Chinatown jest tu nielegalnie. Gdybym był agentem w San Francisco, tak bym się wstydził, że nie mógłbym patrzeć w lustro przy goleniu!

- Może dlatego wszyscy ludzie od narkotyków noszą brody?

Stone westchnął.

- Tak więc Lindsay i Catlin mają nowy „ogon”? Kto będzie za nimi szedł, kiedy wyjdą z hotelu?

- Ja.

- Nudzi cię trzymanie mnie za rączkę?

Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

- Nie. Chcę się tylko trochę rozruszać. Nie bój się, szefie. Odrobina siedzącej pracy wcale mi nie zaszkodziła. Jak Catlinowi.

Stone zmarszczył brwi. Bawił się piórem, nie zwracając uwagi na dymiącego w popielniczkę papierosa.

- Dobra. Idziesz za nimi. Pamiętaj żadnego ryzyka. Zdejmij z nich bezpośredni „ogon”, za duży tam tłok. Po prostu pilnuj tego Chińczyka w sklepie. Nie przeszkadzaj mu, chyba że podejdzie za blisko. Zdejmij go, jeśli zacznie im zagrażać, ale chciałbym się dowiedzieć, kim jest i dla kogo pracuje. Spróbuj się zorientować, czy mógłbyś sprawdzić jego tożsamość, nie przerażając go na śmierć.

- Dobra. - O'Donnel poderwał się na równe nogi z lewde skrywanym entuzjazmem. Ruszył ku drzwiom.

- Terry...

Odwrócił się i spojrzał w twarde oczy szefa. To one uświadomiły mu, że Stone nie awansował na samą górę FBI dzięki temu, że jest fajnym facetem.

- Nie zgub go i nie daj się zdemaskować. - Głos Stone s był jadowity.

- Co ważniejsze?

- Sam zdecyduj, jak osiągnąć więcej, ryzykując mniej.

- Jasne!

O'Donnel zamknął za sobą drzwi.

Lindsay czuła się obolała. Bolały ją policzki. Obiad nie udał się pod żadnym względem. Za każdym razem, kiedy ona lub Catlin próbowali dowiedzieć się czegoś o brązach, Mitch Malloy próbował im wmówić znakomite interesy w handlu nieruchomościami.

- Nie potrzebuję apartamentów ani w Miami, ani w Houston, ani w Malibu - stwierdził w końcu Catlin. - Ja nie kolekcjonuję apartamentów. Kolekcjonuję inkrustowane chińskie brązy z trzeciego wieku przed naszą erą. Twierdziłeś, że masz kilka na sprzedaż. Masz?

Malloy opróżnił kieliszek wina i zaraz znów go napełnił.

- Zależy, czego chcesz i jak długo zdecydujesz się czekać. Wiesz, co mam na myśli?

Przykryte czarnymi wąsami usta Catlina skrzywiły się w uśmiechu.

- Nie tak długo, żebyś sam coś zrobił - stwierdził.

Malloy ryknął śmiechem i sięgnął po kolejny kawałek razowego chleba. Korzystając z okazji, przysunął się do Lindsay. W gruncie rzeczy tylko o to mu chodziło. Pochylił się, przyciskając jednocześnie jej nogę swoją.

- Twój chłopak ma wspaniałe poczucie humoru. Wiesz, co mam na myśli? - Oparł dłoń na jej ramieniu i nie cofnął jej. - Mówiłem ci już o tym?

- W ciągu ostatniej minuty? Zaledwie raz. - Lindsay miała nadzieję, że uśmiech utrzyma się jakoś na jej obolałych wargach, choć nie udało się jej odsunąć od Malloya a.

- Wspaniale! - roześmiał się handlarz. - Doskonale, mała! Kocham inteligentne kobiety.

- Doprawdy? - Bardzo starała się nie spojrzeć na siedzącą obok Catlina dziewczynę. Jeśli, ta panienka, przedstawiona im po prostu jako Missy, odznaczała się jakąś inteligencją, to była ona głęboko ukryta pod tlenioną kopą siana, udającą włosy.

Lindsay nie odrywała wzroku od talerza. Miała wrażenie, że obiad nigdy się nie skończy. Malloy i Missy złapali ich w małej łoży jak w pułapkę. Próbowwała uniknąć nieznosnej bliskości handlarza, lecz gdyby przesunęła się choćby odrobinię, znalazłaby się na kolanach Catlina. Ażyl znajdowała tylko w toalecie, lecz opuszczała ich już dwukrotnie.

- Jak długo? - spytał Catlin.

Poderwała głowę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie odczytał jej myśli i zdała sobie sprawę, że tylko podpuszcza Malloya, wyzywa go, czekając na jakieś brązy.

- Cóż - Malloy rozparł się wygodnie, oparł ręce na poręczy ławy i jeszcze mocniej przytulił się do Lindsay. - Wszystko zależy od tego, co zamówisz. Jeśli będzie to

coś ważnego, coś, co nie wypływa na rynek, to... no, nakłonienie właściciela, żeby zgodził się sprzedać, zabierze trochę czasu. A im trudniej mi zdobyć brąz, tym jest droższy. Wiesz, co mam na myśli?

Catlin przytaknął krótkim skinieniem głowy.

- Tak właśnie myślałem. - Malloy gładził palcem ramię Lindsay, nie zwracając uwagi na to, jak źle się ona czuje. - W końcu gość, który potrafił ustrzelić naszą Lindsay, nie może być durniem. Wiesz, mała, naprawdę narobiłaś zamieszania tam, w Waszyngtonie. Wszyscy myśleli, że jesteś taka cichutka i nieśmiała. - Roześmiał się. - Boże, ale się mylili! Z ciebie jest zwykły człowiek, jak każdy z nas! - Przytulił ją mocno. - Mnóstwo ludzi straszenie się zdziwi, kiedy powiem im, jaka jesteś zwykła. Wiesz, co mam na myśli?

Lindsay zamknęła oczy i próbowała zapomnieć, że ktoś taki w ogóle istnieje. Nie pomogło.

- Jak długo musiałbyś szukać woźnicy z Xi'anu? - zapytał Catlin głosem bez wyrazu.

Malloy zamilkł na sekundę, a potem roześmiał się, lecz jego śmiech sprawiał wrażenie wymuszonego.

- Dowcipniś z ciebie, nie?

- Nie. - Zwężone oczy Catlina były matowe jak blaszki cienkiego złota. - Nie mam za grosz poczucia humoru. Wiesz, co mam na myśli?

Śmiejąc się nerwowo, Malloy pociągnął wielki haust wina.

- No, wiesz, chciałbym ci pomóc - powiedział, odstawiając kieliszek i oblizując wargi - ale akurat w tym tygodniu brak mi żołnierzy z brązu.

- Poczekam.

- Cholera, człowieku! - w głosie handlarza brzmiało obrzydzenie. - Od trzech lat staram się położyć łapę na czymś takim. Jakies pół roku temu usłyszałem interesujące plotki.

- I ?

- I w końcu wcale nie były takie interesujące. - Pragnąc uniknąć wzroku Catlina, wpatrywał się w kieliszek.

- A co słyszałeś ostatnio?

Malloy bawił się resztką czerwonego wina. Oczami o ciężkich powiekach wpatrywał się tępo w tłuste plamy na szkle. Minę miał najwyraźniej kwaśną.

- Nic wartego powtórzenia. Nie tak, jak pół roku temu. Wszystko załatwiłem, ale mój kontakt mnie wystawił. Powiedział, że przesyłkę przechwycono po drugiej stronie, Ale oni zawsze tak mówią, kiedy nie mogą dotrzymać słowa. Cholerne głupki.

Catlin przechylił głowę i wpatrywał się w niego otwarcie. Wiele wskazywało, że Malloy po prostu struga waźniaka, próbującego załapać się do pierwszej ligi. Z drugiej strony, zawsze istniała szansa, że w końcu może coś wiedzieć. Z pewnością nie był nikim wielkim, ale od czasu do czasu stać go chyba na dobry wynik. Należał do tych handlarzy, którzy bywali nieuczciwi, wtedy gdy im to służyło. Ale jeśli trafił na coś cennego, nie oglądał się przez ramię. Takie płotki często spotykało się w podziemiu.

Plotki wiązały go z transportem brązów skradzionych na zamówienie, a potem skradzionych jeszcze raz, po drodze do miejsca przeznaczenia. Nie był wystarczająco dobry, by zorganizować pierwszą kradzież, ale stać go było na to, żeby ukraść ładunek złodziejom. Czyżby sześć miesięcy temu trafił jakimś cudem na kogoś, kto próbował wywieźć ukradzione brązy z góry Li?

- Mów dalej - zachęcił go cicho Catlin.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Dopił wino, sięgnął, żeby sobie dolać i stwierdził, że butelka jest pusta. - Nie mam niczego z Xi'anu.

- Znałeś drogę do tych brązów, czy wynajęli cię tylko na złodzieja? - spytał Catlin.

Handlarz przyjrzał mu się uważnie.

- Hej, jestem uczciwym biznesmenem próbującym...

- Może ktoś ci uwierzy. - Catlin sprawiał wrażenie znużonego. - Ja wiem wszystko o brązach z Cellador.

Mitch Malloy przełknął ślinę z wyraźnym wysiłkiem.

- Ty jesteś Rousseau, prawda? - W jego głosie brzmiał strach.

Catlin przyglądał mu się w milczeniu drapieżnymi, żółtymi oczami.

- Dobra, w porządku, czasami coś tam komuś podbiore - przyznał w końcu Malloy. - Ale nigdy od przyjaciół. Nie mam oporów, żeby nabrać czerwonych, kiedy trafi się okazja. Wiesz, co mam na myśli?

- A kto ma dojście do Xi'anu?

- Nie, nie. - Malloy przecząco pokręcił głową. - Ja tam nic nie wiem. Mam zamiar pożyczyć wystarczająco długo, żeby bawić się z dzieciakami.

- Gównu, Malloy! Słyszałem, że zamierzałeś ukraść woźnicę handlarzowi, który go przemycił. Ulica doskonale o tym wiedziała.

- Nie handlarzowi! Mogę być szalony, ale nie jestem głupcem! Miałem zwinąć go klientowi. Ale nigdy nie doszło do sprzedaży.

- Ile chciał handlarz?

- Pół miliona.

- Zapłacę dwa razy więcej.

Malloy westchnął głośno.

- Cholera, człowieku, oddałbym lewe jajo za pośredniczenie w takim interesie, ale nie mam towaru.

- Zdobądź go.

- Nie do załatwienia.

- Więc skieruj mnie do kogoś, kto da radę to załatwić. Opłaci ci się.

- Ile?
- Trzy procent ostatecznej ceny.
- Pięć.
- Trzy.

Malloy przyjrzał się Catlinowi. Wzruszył ramionami.

- Trzy.
- He czasu ci to zajmie?
- Nie sposób powiedzieć. Nie należę do rodziny. Wiesz, co mam na myśli?

- Masz tydzień. Później tracisz procent tygodniowo.
- Hej, nie możesz...
- Załatwiasz albo nie. - Catlin wrócił do jedzenia.

Zapadła cisza, którą przerwał wymuszony śmiech Malloya.

- Załatwiam.

Znów bawił się kieliszkiem, zostawiając na nim nowe, tłuste ślady.

- No, trzeba to uczcić - powiedział w końcu. - Co powiecie na szampana? Wspaniale się zabawimy. Nie będzie żałował, prawda, Missy?

Wziął jej szeroki, głupi uśmiech za dowód zgody na wszystko, co zaproponował. Kiwnął na kelnera, zamówił najlepszego cholernego szampana w tej budzie" i rozsiadł się w łoży z wyrazem zadowolenia na twarzy. Pod stołem znów oparł nogę na nodze Lindsay. Zaczął ją pocierać, jakby był harcerzem, mającym dwa patyczki za całą ochronę przed mroźną nocą.

- Czy to nie podniecające? - Missy patrzyła w oczy Catlina. - Naprawdę, uwielbiam pomagać Mitchowi w interesach. Mam nadzieję, że będziemy się częściej spotykać. O wiele częściej!

W jego uśmiechu nie było zachęty, ale Missy nie należała do najsubtelniejszych. Wparła się w niego swym obfitym biustem i zaczęła gładzić mu krawat, licząc paski. Zabawa z krawatem nie przyniosła oczekiwanych skutków, więc zgubiła jeden z diamentowych klipsów, upuszczając go wprost między nogi Catlina. Krzyknęła w udanej rozpacz, zachichotała i zaczęła go pracowicie szukać, nie omijając żadnej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej kryjówki. Cały czas przepraszała zdyszany, cichym głosem, który zmienił się w zduszony krzyk, gdy spojrzała mu w twarz i dostrzegła w niej tylko nudę i pogardę.

- Nic z tego nie będzie. - Catlin powiedział to głosem kompletnie pozbawionym wyrazu. - Nie z tobą.

Dłoń Malloya wspomogła nogę w wojnie przeciw nodze Lindsay, a jej nagle zrobiło się tak mdło, że kolejna wyprawa do toalety stała się koniecznością. Nauczyła się jeść obiad w towarzystwie nędznych robaków, ale jeszcze się przy tym dławiała.

- Proszę mnie przepuścić - zwróciła się do handlarza, nie patrząc mu w twarz. - Muszę...

Nie dane jej było dokończyć zdania. Malloy wstał także i wyciągnął ją z łoży.

- Ja też - stwierdził, obejmując ją w talii. - Chodź - szepnął jej do ucha. - Znam miejsce z gorącą pościelą i filmami w kolorze. Wiesz, co mam na myśli? I nie martw się o Catlina. Kiedy Missy zabierze się do roboty, nawet nie zorientuje się, że wyszłaś.

Lindsay nie potrafiła się już opanować. Ze zduszonym krzykiem próbowała wyrwać się z jego objęć. I nie mogła. Był wyższy od niej, potężnie zbudowany i silny.

- Malloy. - Catlin powiedział to dziwnym, płaskim głosem. Na spojrzenie handlarza odpowiedział uśmiechem. - Chodź tu, moja kochana - dodał cicho.

Przez chwilę Lindsay stała jak sparaliżowana. Nie zaskoczyły jej jednak te czułe słowa, lecz skierowany do handlarza ostrzegawczy uśmiech.

Malloy dostrzegł go także. Puścił Lindsay i szybko comął się o krok. Catlin wyślizgnął się z łoży ze zręcznością tygrysa.

- Hej, człowieku, jak tylko żartowałem - powiedział szybko handlarz, wyciągając ręce, jakby chciał pokazać, że jest bezbronny, że nikomu nie może zagrozić.

- Już raz ci powiedziałem. Nie mam poczucia humoru. Nikomu jeszcze nie musiałem tego mówić po raz trzeci. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedział doskonale.

Catlin wyciągnął lewą rękę. Lindsay natychmiast rzuciła mu się w ramiona i przytuliła tak, jakby chciała wymazać z pamięci wspomnienie palców Malloya. Mgliście zdawała sobie sprawę, że drży.

- Nie mogłam... - powiedziała i głos się jej załamał. Zamknęła oczy, rozpaczliwie starała się uspokoić. Dotarła tak daleko. Musiała tylko wyjść z restauracji, nim rozpadnie się na kawałki.

- Nie czuję się najlepiej - stwierdziła ostrożnie. - Chyba za mało ostatnio spałam. - Jej uśmiech dorównywał bladeścią twarzy. - Nie obrażcie się, jeśli nie zjem deseru?

- Jesteś jedynym deserem, jakiego kiedykolwiek pragnąłem. - Catlin powiedział to cicho, z uśmiechem. Z prawdziwym uśmiechem, niosącym pociechę, a nie obietnicę gwałtu. Próbowała uśmiechnąć się w odpowiedzi. Przytulił ją, pochylił się, musnął ustami jej włosy.

- Trzymaj się - szepnął do ucha.

Jedyną odpowiedzią była siła, z jaką zacisnęła mu palce na nadgarstku.

- Zadzwonił, kiedy będziesz miał coś na sprzedaż - rzucił Catlin przez ramię.

Nie czekał na odpowiedź. Po prostu wziął pelerynę Lindsay i wyprowadził ją w chłodną, wilgotną letnią noc. Czuł, jak drży przy każdym głębokim, niemal rozpaczliwym oddechu, czuł drżenie ciała, kiedy otulał je czarną, wełnianą peleryną.

Beznamyślnie, poświęcając na to tylko część uwagi, zastanawiał się, czy zdołają odnaleźć brązy, nim Lindsay rozpadnie się na drobne, nieużyteczne kawałki. W nocy sypiała nie dłużej niż cztery godziny, a w dodatku dręczył ją koszmar - płakała po dawno minionym dzieciństwie.

On sam czuł się niewiele lepiej. Nie płakał po tym, co minęło, lecz leżał, czuwając i przeklinając teraźniejszość coraz gwałtowniej za każdym razem, gdy Lindsay wracała spod prysznic i układała się w łóżku obok niego. Nie musiał włączać światła, by widzieć, że oczy ma spuchnięte od płaczu. Wylane łzy sprawiały, że oddychała ciężko i poruszała się niezdarnie. A on nie mógł wziąć jej w objęcia, ogrzać ciepłem swego ciała. Nie mógł szeptać jej do ucha uspokajających słów otuchy, po których zasnęłaby głęboko w jego ramionach.

Sam także nie czuł spokoju i otuchy, więc nie mógł jej uspokoić. Jak długo wytrwa w tym stresie? Czy zdąży dokonać tego, czego dokonać muszą?

Czy Chen to właśnie miał na myśli, kiedy kazał mi strzec Lindsay? - pytał Catlin sam siebie, gwałtownie i wściekle. Czy mam jakoś obronić ją przed nią samą? Bo przecież, do cholery, nie mogę obronić jej przed niczym innym! Ani przed okrutną prawością Wu, ani przed niezdarnymi zalotami Malloya, ani nawet przed stałymi, subtelnymi naciskami Stone'a, domagającego się informacji. Tak naprawdę Lindsay potrzebuje tylko wielkiej dawki miłości i troski - a nikt nigdy nie oskarżył mnie o to, że potrafię troszczyć się o ludzi i kochać ich.

Więc po co, do diabła, zostałem wynajęty?

Lindsay zadrżała, wrywając go z zamyślenia.

- Zimno ci? - Tylko o to mógł ją zapytać, wokół było wiele ludzi.

- Jestem po prostu zmęczona.

- Wolisz pojechać taksówką, niż spacerować po tych wszystkich pagórkach?

- Nie. Lubię świeże powietrze. Sprawia, że czuję się... wolna. Czysta. - Roześmiała się śmiechem równie drżącym jak głos. - Jaście to głupie. Wypiłam zbyt dużo wina.

Mimowolnie, przesunęła dłońmi po ramionach, ogrzewając się i jednocześnie ciesząc gładkością i ciepłem wełnianej, dżersejowej peleryny.

Catlin rozpiął marynarkę, gotów przykryć nią Lindsay.

- Nie - powiedziała natychmiast. - Będzie widać pistolet.

- I co z tego? I tak wszyscy, którzy się liczą, wiedzą, że zawsze jestem uzbrojony.

- Ty? Czy Rousseau? - A później dodała szybko. - Nie odpowiadaj. To bez znaczenia. To jeden i ten sam człowiek.

Niegdyś Catlin zgodziłby się z nią bez wahania. Teraz nie był już tego taki pewien. Mężczyzna nazwiskiem Rousseau nie czułby rozrywającej mu serce jak rozpalone ostrze noża wściekłości na każdą myśl o ciężarze, jaki musi dźwigać na swych barkach kobieta, której jedynym błędem było to, że okazała się delikatniejsza od otaczającego ją świata. Rousseau zrobiłby wszystko, co możliwe, nie tracąc nawet godziny snu na zastanawianie się nad skutkami swych działań.

Lecz mężczyzna nazwiskiem Catlin jakoś kiepsko ostatnio sypiał.

- Przepraszam - szepnęła Lindsay. - Nie mam prawa...

Przerwała, Catlin bowiem zastąpił jej drogę i przytulił ją mocno. Czując całym ciałem miękkość jej ciała, półprzy-

mkniętymi oczami patrzył nad jej ramieniem, szukając agentów FBI, towarzyszących im już od tygodnia.

Nie dostrzegł nikogo.

Po chwili poprowadził ją wolno ulicą. Zatrzymał się, podziwiając wystawę jakiegoś sklepu, zmuszając Lindsay, by zatrzymała się wraz z nim. Obejrzał jesienne stroje na kilku manekinach i niedbale przyjrzał się ulicy. Nadal nie widział niewyraźnych, anonimowych postaci, do których przez tydzień zdążył się już przyzwyczaić.

Lecz dostrzegł inny cień - szczupłego Chińczyka, ławtego do rozpoznania przez to, że stał przed restauracją, odległą o kilka przecznic od Chinatown.

- Mamy towarzystwo - szepnęł.

- Zawsze mamy towarzystwo - Lindsay nie udało się ukryć drżenia głosu. Bała się. To także należało do koszmaru. Kiedyś ktoś tak już za nią szedł. Bezgłośnie cienie poruszały się za jej plecami, kiedy biegła gdzieś jako dziecko, spodziewając się prezentu. Jedno wiedziała na pewno. Śledzono ją, kiedy była dzieckiem, a potem zdarzyło się coś strasznego i to była jej wina. Wiedziała o tym, choć co naprawdę się zdarzyło, pamiętała tylko w koszmarze. - To jest nowe - powiedział Catlin

Lindsay objęła go i przez dłuższą chwilę odpoczywała w jego ramionach.

- To dobrze czy źle?

- Jak tam twoje stopy?

- A co ty byś czuł, gdybyś przez osiem godzin dziennie musiał chodzić na palcach? - spytała, spoglądając na pantofle na wysokich obcasach.

- Dasz radę dojść do domu dłuższą drogą?

- Pójdę każdą, ale to każdą drogą, która zaprowadzi mnie do domu.-

- Oto mój słodki kociak. - Catlin uśmiechnął się

i miękko pocałował ją w usta. - Sama słodycz i pazurki. Gotowa?

Próbowała zignorować uczucie ciepła, które ogarnęło ją, gdy Catlin się do niej uśmiechnął i dotknął wargami jej warg. To tylko gra, a Catlin - Rousseau cieszył się sławą doskonałego aktora.

- Na co mam być gotowa?

- Chciałbym, żebyś dobrze przyjrzała się Chińczykowi, który nas śledzi. Nie, nie teraz. - Unieruchomił jej twarz na swej piersi. - Teraz jest za daleko. Skręcimy na najbliższym skrzyżowaniu, znajdziemy sklep, do którego wchodzi się z bramy, i tam na niego zaczekamy. Sprawdzimy, kto się pojawi. Człowiek, który nas interesuje, ma mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu. Ubrany jest w ciemną kurtkę z długimi rękawami, bez żadnych napisów i ciemne luźne spodnie.

- Nie zorientuje się, że został odkryty?

- Kiedy mijasz ciemną bramę, w której tuli się ciężko dysząca para, na ogół nie martwisz się, że zwrócili na ciebie uwagę.

Pocałował ją krótko, odwrócił się, ujął jej dłoń i złożył na niej jeden, a potem drugi pocałunek. Ruszyli przed siebie. Kilkakrotnie Catlin podnosił jej rękę do ust, bawiąc się palcami, całując i drażniąc zębami przegub, grając niecierpliwego kochanka.

Gdy tylko skręcili za róg, ruszył długim, płynnym krokiem, kierując się do widocznej bramy. Szybko dostrzegł, że miejsce to jest lepsze, niż się spodziewał. Chodnik oświetlony był z dwóch stron - od wystawy i stojącej na przeciw niej latami. Przytulił Lindsay.

- Catlin?

- Tak? - szepnęła, zagłębiając dłoń w jej jedwabistych, lśniących włosach.

Zastanawiała się, jak ma powiedzieć mu, o co jej chodzi, nie zdradzając za wiele. Z uczuciem narastającej paniki zdała sobie jednak sprawę, że teraz nie ma to już większego znaczenia. Teraz liczyła się tylko gra... i to, jak ją przeżyć.

- Jeśli naprawdę mnie pocałujesz - powiedziała cicho, głosem bez wyrazu - nie będę w stanie skoncentrować się na obserwowaniu tego człowieka.

Ręka Catlina, poruszająca się dotąd w jej włosach, zniechęciła. Zrozumiał i poczuł nagłą falę podniecenia.

- Zamknij oczy niemal całkowicie - szepnęła. - Patrz przez rzęsy, jak najkrócej. Tylko zerknij.

Długie, gęste rzęsy opadły powoli. Catlin musiał się pochylić, by dostrzec, że Lindsay na niego patrzy.

- Tak dobrze?

- A widzisz coś?

- Widzę.

- No, to doskonale.

W padającym z lampy, ukośnym świetle rzęsy Lindsay rzucały tajemnicze cienie na jej policzki. Przyglądał się jej dłuższą chwilę, a później obrócił ją, aż oparła się o niego plecami, przytulił i wsunął lewą dłoń pod jej rozchyloną pelerynę. Poczuł, jak niemal niesłyszalnie wzdycha, kiedy dłonią gładził jej ciało - uda i brzuch - aż wreszcie zatrzymał ją tuż pod jej piersiami. Zdusił zdumione westchnienie, kładąc jej prawą dłoń na ustach, nieco odchylając spoczywającą na jej piersi głowę, delikatnie wyginając jej ciało tak, by łatwo mu było je pieścić. Pochylił się i pieszczotliwie zacisnął zęby na krawędzi ucha.

- Spokojnie, słodki kociaku - szepnęła niemal niesłyszalnie. - Tylko w ten sposób ja też będę mogła go zobaczyć.

Czuł, jak dziko bije jej serce i wiedział, że Lindsay drży nie tylko ze strachu. Nie przyjął tego do wiadomości, ważniejsze bowiem były wymagania gry. Musi zidentyfikować Chińczy-

ka, który lada chwila pojawi się za rogiem, szukając wzrokiem idących powoli ulicą kochanków. Lecz nie dostrzeże nikogo. To go przestraszy. Ruszy szybciej, będzie się rozglądał. Ze strachu, że zgubił ludzi, za którymi kazano mu iść, zapomni, iż ma się ukrywać. Kiedy wejdzie w krąg światła, zobaczy w bramie splecionych w uścisku kochanków. Zawaha się, wyteży wzrok patrząc w ciemność, starając się dostrzec, czy to ci ludzie, za którymi szedł.

Catlin wiedział, że właśnie w tej chwili będzie mógł przyjrzeć mu się dokładniej - Chińczyk znieruchomieje, oświetlony przez wystawę i uliczną latarnię.

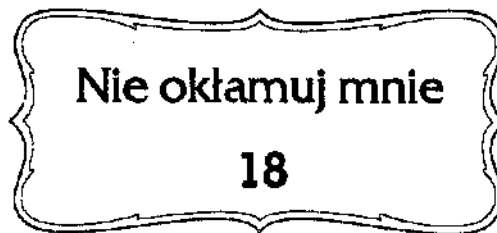
Niemal nieświadomie, delikatnie pogładził Lindsay po szyi, rokoszując się zbyt szybkim biciem jej serca. Kątem oka widział cień rzęs, drżący na jej policzku.

- Widzisz ulicę? - szepnęła głosem, którego niemal nie mogła usłyszeć.

- Taaa...ak.

Jej lekko schrypnięty głos sprawił, że jego ciało zadrżało w podnieceniu. Zdumiało go to uczucie, choć zignorował je całkowicie, koncentrując się wyłącznie na obserwowaniu ulicy, bezlitośnie oddzielając intelekt i emocje w sposób, którego nauczył się dawno temu.

Dawno temu nauczył się, że konieczność ich bezwzględnego rozdzielania kiedyś w końcu go zniszczy. Ale to także nie miało znaczenia. Nie teraz. Teraz cały świat, ze wszystkim, co zawierał, ograniczył się do wąskiej plamy ciemności, z której wkrótce wyłoni się bezimienny mężczyzna.



- Nasz chiński „ogon” może pojawić się w każdej chwili - szepnął Catlin, delikatnie całując Lindsay w szyję.
- Pamiętaj, musisz sprawiać wrażenie kobiety pożądanego mężczyzny do tego stopnia, że ten zaułek nie różni się dla niej niczym od apartamentu dla nowożeńców w Ritzu.

Prychnęła dziwnie, mogło to oznaczać śmiech. Odrzuciła głowę. Sięgnęła ręką w górę i za siebie, objęła go za szyję i przytuliła mocno, bardzo mocno. Delikatne palce wplotły mu się we włosy. Wolną ręką ujęła dłoń spoczywającą pod pelerynką i powiodła nią po swym ciele, jednocześnie przytulając się do niego jak kot, pieszcząc go całą sobą. Sprawilo jej radość to, jak nagle z sykiem wypuścił z płuc powietrze, jak w jednej chwili stwardniało przylegające do jej biodra ciało.

- Słodki Boże, kobieto - wyszeptał, delikatnie zaciskając zęby na jej szyi. - Nie masz litości!

- A ty?

Zakrył jej usta dłonią.

- Dobra, sam o to prosiłem - przyznał szeptem. - Zapominam, jaka jesteś naprawdę pod płaszczykiem ogłady i dobrego wychowania. Moja wina, mój błąd. Następnym razem...

Przerwał nagle, gdy w polu jego widzenia, po prawej,

pojawiła się w absolutnej ciszy jakaś postać. To, jak nagle znieruchomiła Lindsay, świadczyło, że ona też ją dostrzegła. Catlin powoli przesunął prawą dłoń bliżej wiszącej mu u pasa kabury. Wiedział, że Chińczyk nie zdoła zauważyć tego drobnego ruchu.

Czekał chwilę, obserwując rytm kroków przybysza, i nagle jęknął głośno, ochryple, jak mężczyzna tonący w morzu pożądaną, którego nie potrafi zaspokoić. Zaskoczony Chińczyk zatrzymał się na chwilę, spoglądając w mrok bramy. Twarz miał oświetloną z obu stron.

Lindsay zamarła. Powietrze uszło z jej płuc z wyraźnie słyszalnym sykiem. Mogło to być oznaką podniecenia, ale nią nie było. Nagle poczuła się tak, jakby ktoś wrzucił ją w długi, kręty tunel, jakby spadała pod prąd czasu, wprost w dzieciństwo, ku chwili, gdy jako dziecko stała nieruchomo pod kołyszanymi przez wiatr drzewami. Przez chwilę widziała wtedy twarz ubranego na czarno prześladowcy, częściowo oświetloną padającym przez okno światłem, częściowo pogrążoną w mroku nocy.

A teraz obserwował ją ten sam człowiek.

Rozpoznała go i w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, że jest to niemożliwe. To nie koszmar pojawił się naraz w rzeczywistym świecie. Chińczyk, wychodzący właśnie z kręgu padającego na ulicę światła, miał dwadzieścia parę lat. Niemożliwe, by śledził ją blisko ćwierć wieku temu, w Chinach. Obu prześladowców upodabniał do siebie drapieżny wyraz twarzy.

Mimo wszystko wiedziała, że nigdy nie zapomni człowieka, którego dojrzała przed chwilą. Wrył się w jej pamięć tak mocno, jak sam koszmar - kolejne ogniwo łańcucha wiążącego mrok przeszłości z niepewnym światłem teraźniejszości.

Poruszyła się i Catlin przytrzymał ją mocniej.

- Nie teraz - szepnął. - Może nas minąć jeszcze raz, idąc z przeciwnej strony. Widzisz? Właśnie nadchodzi. Wyszedł zza rogu, przed nami.

Lindsay znów wtuliła się w jego ciało. Miała dreszcze. Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo nie cierpi, gdy ją śledzą, szpiegują. Uczucie to nie było tylko wynikiem napięcia. Czuła, że korzenie tego strachu tkwią głęboko w przeszłości.

- Niech mnie diabli! - warknął Catlin ledwie słyszalnie. - Przecież to O'Donnel, śledzący naszego Chińczyka! Nie wiedziałem, że FBI pozwala swym agentom chodzić w adidasach, szczególnie podczas wykonywania zadania. Założę się, że ma do dyspozycji jeszcze przynajmniej pięciu ludzi.

Lindsay roześmiała się słabo, ledwie słyszalnie.

- Robi się tu niezły tłok - stwierdziła.

- No, tak. - Dłoń wyślizgnęła się spod pelerynki. - Lepiej znikajmy, nim spalimy O'Donnela.

Milczał i żałował, że nie jest sam. Nienawidził polegać na zdolnościach innych ludzi, lecz nie miał wyboru. Musiał zostać z Lindsay, zamiast prowadzić własną grę, zgubić cień, a potem pójść za nim do zleceniodawcy.

- Idziemy - powiedział.

Trzymając się za ręce poszli do hotelu. Rozmawiali głośno i na wszelkie sposoby okazywali, że marzą o wspólnej nocy. Chińczyk znikł, kiedy po stromych schodach wspinali się do wejścia. O'Donnel pozostał nie zauważony, podobnie jak wspomagający go agenci - a przynajmniej Catlin miał nadzieję, że ktoś go jednak wspomaga. Jeden człowiek, nie narażając się, nie zdoła śledzić innego, zwłaszcza w nocy, na ulicach miasta.

- Dlaczego to robisz? - spytała Lindsay, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Już kilka razy pragnęła zadać mu to

pytanie, lecz nigdy nie starczyło jej odwagi. Tego wieczora była jednak zbyt zmęczona, by uważać na to, co robi, co mówi i o co pyta.

- Co robię?
- Za każdym razem wysiadasz na innym pięttrze?
- Utrudniam życie człowiekowi z bronią, który chciałby zacząć się na mnie w korytarzu.

Minęła chwila, nim do Lindsay dotarło, co powiedział tym swoim pewnym, rzeczowym tonem.

- Tom Lee? - spytała cichutko. - Ciągłe na ciebie poluje?
- Stone ostatnio zrobił się strasznie wylewny - stwierdził krótko Catlin. Nie chciał, by Lindsay martwiła się o Lee Trana, inaczej Toma Lee.
- Teraz przynajmniej wiem, dlaczego jeździmy taksówkami.
- Ta wiedza nie sprawia przecież, że czujesz się choć odrobinę lepiej, prawda?
- Co właściwie zrobiłeś Tomowi Lee?
- Ważniejsze jest chyba to, co Tom Lee próbował zrobić Rousseau. Stój!

Znieruchomiała natychmiast, nie wiedząc, co zdarzy się w następnej chwili i co już się zdarzyło. Kiedy Catlin klęknął i zdjął jej pantofle, westchnęła głęboko, z ulgą. Zachowywał się wyjątkowo niekonsekwentnie. Bezustannie wytrącał ją z równowagi, a poza tym to zachowanie nie pozwalało zapomnieć o jego bliskości. Mówił o człowieku, który podłożył mu bombę w samochodzie, a jednocześnie zdejmował jej pantofle, jakby wiedział, jak bardzo boją ją stopy, jakby się o nią troszczył.

Czy troska też była częścią gry?

Lecz Lindsay wiedziała, że tego jednego pytania nie zada nigdy, ponieważ odpowiedź nie powinna niczego

zmienić. Nie może niczego zmienić. Nie potrafi żyć dłużej sama, udając i demaskując cudze udawanie. Zatraciła poczucie rzeczywistości, kieruje się emocjami, odruchami. Aż wreszcie nie wie już, gdzie się zaczyna i gdzie kończy gra.

I nic ją to nie obchodzi. Czują całkowitą pustkę. Nie była już dawną Lindsay.

- Idziesz?

Ruszyła schodami nie odpowiadając.

Catlin w milczeniu poszedł za nią. Jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że pod ich nieobecność nikt nie wchodził do pokoju. Kiedy znaleźli się w środku, zamknął drzwi na klucz i szybko wykręcił numer telefonu.

- Stone? To go zawołaj. Szybko!

Lindsay weszła do sypialni. Rozebrała się. Choć było nieco za wcześnie, by kłaść się spać, z szafy wyjęła nocną koszulę. Miękka, chłodna bawełna otuliła jej ciało niczym różowy obłok. Nawet tego nie zauważyła. Pragnęła tylko jednego: wpełznąć do łóżka, zasnąć i obudzić się dopiero wtedy, gdy wszyscy zapomną już o skończonej grze. Lecz wiedziała, że na długo przed przebudzeniem będzie śnić i obudzi się ze snu, dusząc ze strachu i żalu.

Z westchnieniem naciągnęła kołdrę pod brodę. Leżała nieruchomo, przez otwarte drzwi obserwując Catlina. Odsuwała od siebie chwilę, w której zaśnie i chwilę, w której zacznie śnić.

- Stone?
- O co ci chodzi, Catlin? Coś się stało Lindsay?
- Nie, z nią wszystko w porządku. Jest tylko zmęczona. Gra to piekło dla uczciwych ludzi.
- Nie ty powinieneś się tym przejmować.
- I nie ty - padła krótka odpowiedź. - Obydwoje obej-

rżeliśmy sobie Chińczyka, który nas śledził. Kiedy się wycofywaliśmy, szedł za nim O'Donnel,

- Doskonale! Gdy tylko Terry się zgłosi, będziemy wiedzieć, kto ma was na oku.

- Może. Śledzenie człowieka na piechotę, w nocy, to cholernie trudna sztuka. Szczęście liczy się tak samo jak umiejętności.

- Terry wie, co robi, i ma ze sobą ludzi.

- Nasz przyjaciel też nie był łamagą - stwierdził sucho Catlin. - Ale nie w tej sprawie dzwonię. Potrzebujemy z Lindsay albumów ze zdjęciami z waszego miejscowego biura. Jeśli nasz „ogon” był człowiekiem Toma Lee, jest szansa, że macie go gdzieś w archiwum. Tylko nie wyślij nam albumów zawierających wyłącznie fotografie gangsterów. Przyślij wszystko, co macie o chińskich stowarzyszeniach dobroczynnych.

- Jakie wszystko? - Stone udawał, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

- Zachowaj to na konferencję prasową - warknął Catlin, którego nagle zniecierpliwiły te wszystkie kłamstwa.

- Doskonale wiem, czym się zajmujesz w FBI, Stone. Kontrwywiadem. Między innymi zbieracie też informacje o wszystkich amerykańskich grupach etnicznych, zdolnych ukryć obcych agentów w Stanach. Narodowe i międzynarodowe chińskie stowarzyszenia dobroczynne są znakomitym kanałem wprowadzenia szpiegów, o czym obydwaj doskonale wiemy. Więc skończ z tymi bzdurami i wyślij albumy

Zapadła długa cisza. W końcu w słuchawce odezwał się głos.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Zrób, nie zobacz, Stone. Szybko. Lindsay nie znie-

tej zabawy za długo. Ludzkie ścierwo... to po prostu nie w jej stylu.

Rzucił słuchawkę na widełki i zaklął dziko, choć w milczeniu. Wiedział, że nie powinien tracić cierpliwości w rozmowie ze Stone'em. Z drugiej strony - lepiej stracić cierpliwość, niż zrobić coś, o czym marzył podczas obiadu: złapać Mitcha Malloya, przytrzymać mu głowę nad wiadrem i poderznąć gardło.

Przez dłuższą chwilę stał obok telefonu wyginając palce, przyglądając się dłoniom, myśląc, wspominając. Dał się wciągnąć w tajne akcje, bo był idealistą i lubił ryzyko. Choć ostatnio sądził, że wyzbył się już ideałów, to jednak tak nie było. W sercu nadal pragnął chronić słabszych przed silniejszymi, żyjących nadzieją niewinnych ludzi przed bezlitosnymi handlarzami władzą, tych, którzy mogli być jeszcze dobrzy, przed tymi, którzy byli już nieodwracalnie źli.

A co robię teraz? Składam baranka wilkom w ofierze. Ślicznie, Catlin. Czy w ten sposób służysz dawno zapomnianym ideałom?

Nagle zacisnął dłonie w pięści. Do tej pory nie przeżył nic trudniejszego, niż przyglądanie się demoralizacji Lindsay. Wiedział, że wkrótce ona sama odkryje inną siebie i niezależnie od tego, co odkryje, trudno będzie jej się z tym pogodzić.

Nie mógł nic na to poradzić. Nikt by nie poradził. W ten właśnie sposób człowiek dowiadywał się, że wreszcie dotarł do piekła. Piekła, wybrukowanego dobrymi chęciami.

Bezszeltnie przeszedł przez pokój. Stanął w drzwiach sypialni. Lindsay spała - lub chroniła się przed nim udając, że śpi. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście zasnęła, czy tylko udawała, nie miał zamiaru zakłócać jej spokoju, który

znalazła we śnie. W piekle, w które ją wprowadził, było go niewiele.

Rozebrał się, odłożył pistolet na nocny stolik i położył się obok niej. Nie poruszyła się. Wyciągnął rękę, chcąc zgasić nocną lampkę i zdecydował, że jej nie zgasi. Wiedział, że prędzej czy później Lindsay obudzi się, przerażona i zdezorientowana. Światło pomoże jej w tych pierwszych, strasznych chwilach, w których nadal będzie pod władzą koszmaru. Pomoże jej także, gdy pójdzie pod prysznic, gdy odkręci wodę do oporu tak, by ukryta w łazience „pluskwa” nie podchwyciła jej płaczu. Światło pomoże jej również, gdy będzie wracała do łóżka, by leżeć w nim bezsennie aż do świtu.

I on nie zaśnie. Będzie powtarzał sobie litanię powodów, dla których rozwój normalnych stosunków między dwoma państwami wart jest tego, by dobra dziewczyna znalazła się w piekle. Będzie także powtarzał sobie litanię powodów, dla których nie powinien wyciągnąć ręki poprzez dzielącą go od Lindsay przestrzeń, dla których nie powinien przytulić jej do swego nagiego ciała, dla których nie powinien ofiarować jej kilku chwil ciepła, mogących uratować ją przed chłodem gry, w którą nie umiała grać, nie niszcząc samej siebie.

Nie spał, gdy Lindsay zaczęła się niespokojnie poruszać. Drżała niemal niedostrzegalnie, lecz gwałtownie - nieomylnie echa koszmaru, o którym uparcie nie chciała z nim rozmawiać, koszmaru, którego nie potrafiła zatopić woda i wylewane łzy. Jęczała cicho, jak dziecko, a jej jęki rozdzierały mu duszę w sposób, którego nie potrafił ani nazwać, ani zrozumieć.

Jak każdej nocy, zaczął bardzo delikatnie gładzić jej włosy, próbując uspokoić ją nie budząc. Po kilku chwilach Lindsay obróciła się ku niemu, jakby w jakiś nieświadomy

sposób wyczuła, że wśród przerażającego snu czeka ją jakaś wyspa bezpieczeństwa. Catiin powtarzał sobie, że nie powinien zrobić z siebie głupca, że dziś jest tak słaby, że nie potrafi kontrolować własnych odruchów, a jednak wziął ją w ramiona z nadzieją, że doda jej tym odwagi, że Lindsay zaśnie głębiej. Tłumaczył sobie, że musi to zrobić, że ona w każdej chwili może się załamać, że musi spać, bowiem bez snu zdoła przetrwać zaledwie kilka dni.

I miał rację. Lecz prawdą było także to, że jej ciepły oddech owiewał mu skórę, że ciężar jej piersi nasyczał ciało słodkim, gorącym pożądaniem. Próbował oddychać równo, głęboko, bezdźwięcznie, koncentrując wolę na wszystkim, co nie było pragnieniem, boleśnie pulsującym mu we krwi.

Jak zawsze, Lindsay uspokoiła się na moment w jego ramionach. Lecz po chwili koszmar wrócił ze zdwojoną siłą i znów uciekała poprzez przerażającą pustkę, ścigana czymś tak strasznym, że nie mogła lub nie chciała o tym mówić. Gdy zaczęła się gwałtownie poruszać, wykrzykując niezrozumiałe, oderwane słowa, wiedział, że wkrótce się obudzi. Wyzwolił się z jego ramion, podczas gdy on będzie udawał sen. Pójdzie do łazienki, nadal przerażona, i wyjdzie spod strumienia wody dopiero wtedy, gdy zabraknie jej łez.

A on będzie leżał w łóżku, czując wyzerającą duszę wściekłość, bowiem to on prowadził ją do piekła, coraz głębiej i głębiej.

Obudziła się przerażająco szybko. Na moment zniechęciła się, a potem zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest i co się zdarzyło. Koszmar pojawił się znowu, tym razem jeszcze straszliwszy. Prześladowający ją mężczyzna miał teraz dwie twarze, jedną starą, a drugą nową; obie przerażające.

Przez chwilę leżała zupełnie nieruchomo. Policzki mokre miała od łez, ciało napięte. Starła się równo oddychać. Napływający z każdym oddechem męski zapach Catlina w jakiś instynktowny sposób dodawał jej odwagi. We wrażeniu tym nie było nic racjonalnego, po prostu istniało - jak istniał wschód słońca, jak istniały obroty Ziemi, zawsze, bez końca. Pragnęła przytulić się do niego, otulić się nim jak kołdrą, pragnęła nasycić nim swe zmysły.

Lecz tego przecież nie może zrobić. Doskonale pamięta noc w Waszyngtonie, kiedy krzyknęła: „Czego ode mnie chcesz?“, a on odpowiedział: „Gry. Tylko gry.”

Jak każdej poprzedniej nocy, przesunęła się ostrożnie na swoją stronę łóżka, starając się wyplatać z jego luźnego uścisku nie budząc go. Lecz tej nocy nie potrafiła. Tej nocy męskie ramiona objęły ją i nie chciały puścić.

- Nie - powiedział łagodnie Catlin, gładząc ją po włosach. - Tortura wody nie przyniesie ci ulgi, ukochana Lindsay.

- Co?

- Prysznic - szepnął, całując jej czoło, mokre rzęsy, wilgotne policzki. - Gdyby dało się splukać koszmar wodą, już dawno by znikł. Uwierz mi. Woda nic tu nie pomoże.

- A co pomoże? - spytała bez nadziei.

- Ogień.

Dłoń, którą gładził ją po włosach przesunęła się na szyję. Odchylił jej głowę i ułożył na swym ramieniu. Z wielką delikatnością odszukał najwrażliwsze nerwy, pieścił je i drażnił, aż pobudził, drżące, do życia.

- Catlin...?

Nie dokończony pytanie, zadane ochrypłym głosem, przeszło jego ciało falą pożądania. Opanował je, nie zdra-

dzając się niczym, oprócz nagłego napięcia dłoni. Przykrył jej usta swoimi ustami. Czubkiem języka pieścił pełne wargi, rozchyłał je, muskał wnętrze ust, aż nie mogła złapać oddechu.

Obróciła głowę, szukając okazji do głębszego, mocniejszego pocałunku, którego nagle zapagnęła z całego serca. Roześmiał się miękko unikając go, lecz nadal drażniąc wargami jej wargi. Oddychała krótko, urywanie. Ujęła jego twarz w dłonie, trzymała ją nieruchomo, walczyła o pocałunek, którego nagle zapagnęła bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Kiedy ją pocałował, Lindsay westchnęła cicho. Smak pocałunku poczuła całym ciałem - wstrząsającą falą rozkoszy. Czuła, jak ją pochłania, jak raduje się nią i odpowiada jej tak szczerze, jak szczerym był sam pocałunek.

Catlin także odczuł przemianę, którą przeżywała. Czuł jej pragnienie, nie tylko przyzwalające na połączenie ust, lecz wręcz wymagające go w preludium do tego jedyne, głębszego połączenia, które dopiero miało nadejść. W zmysłowym odruchu starym jak samo pożądanie przytulił ją, przygarnął jej biodra do swoich. Ciało powtarzało instynktowne ruchy warg. Lindsay zadrżała i wydała z siebie cichy, dziki okrzyk, który przeszył go jak błyskawica, pozbawił resztek samokontroli.

Rozbierając ją, już starał się okiełznać prymitywną męską zmysłowość, która zawsze była jego największą słabością. Widok jej młocznobiałych piersi wcale mu w tym nie pomógł. Ciemnoróżowe sutki wydawały się błagać o pieszczotę. Całą siłą woli nakazał sobie czekać.

Wstrzymała oddech, gdy jego mały palec odnalazł małeńkie wgłębienie pępka i zaczął poruszać się powoli, łagodnie, pieszcząc nerwy, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. W głębi jej ciała wybuchł jakby pożar, rosna-

cy, ogarniający kawałek po kawałku ją całą, aż zaczęła wic się pod dotknięciem rąk Catlina.

Dostrzegł jej drobne, lecz tak wiele mówiące ruchy, stłumił jęk pożądania. Pragnął pieścić jej smukłe uda, pragnął nasycić się nią i jej podnieceniem. Lecz bał się, że w chwili, w której dotknie wilgotnego, miękkiego ciała, przestanie nad sobą panować. Rozchyli jej nogi i pograży się w jedwabistym, wilgotnym wnętrzu, aż wypała się w nim łąta chłodu, aż pochłonie go ogień, z którego nie ocaleją nawet popioły.

Wiedział, że tego mu robić nie wolno, więc tylko pochylił się i dotknął językiem różowych czubków jej piersi. Wyczuł, jak jej serce zmienia rytm, jak zmienia rytm jej oddech. Poczuł, jak ujęty obręczą ust czubek piersi nagle twardnieje. Jęcząc wciągał go w usta głębiej i ssał rytmicznie.

Z każdym ruchem jego języka Lindsay przeszywała fala gorącego pożądania. Usłyszała jęk i wiedziała, że to ona jęczy, że to jej pożądanie, wciąż rosnące i niemal rozsadzające ciało. Próbowała mu o tym powiedzieć, ale nie mogła. Poczwała znów ciepło jego rąk, przesuających się po ciele.

Palce mężczyzny drżały, przesuając się po jej udzie, uspokajając ją, spowalniając reakcje obojga. Z urwanym westchnieniem Lindsay obróciła się na bok. Wraz z tym ruchem jego palce odkryły wilgotne ciepło jej wnętrza. Oddychając krótko, urywanie, przyjął to zaproszenie. Zadrżała i roztopiła się pod dotknięciem, otwarła w milczącej prośbie o najintymniej sze pieścizoty.

Oczy miał zamknięte. Walcząc ze sobą, dotykał jej kobiecości raz, drugi i trzeci. Lecz to mu nie wystarczało. Pragnął czuć ją całą sobą, pragnął z siłą, która zdumiała go i przeraziła. I wiedział, że ona także tego pragnie. Ciepło

jej ciała, jego nieprawdopodobna miękkość, sposób, w jaki się poruszało, obiecywało połączenie wspaniałe w swej pasji i doskonałości.

Ze stłumionym jękiem Catlin zdjął dłonie z ciała Lindsay, już sobie nie ufając. Wpił się w jej usta z pasją, z jaką pragnął posiąść ją całą. Jej dłonie także poruszały się niezmiernie, splatając i rozplatając gęste, jedwabiste włosy, trójkątem porastające mu pierś. Płaskie, gładkie sutki, twardniejące i unoszące się pod jej dotknięciem, rzuciły jej nowe wyzwanie. Delikatnie przesunęła po nich palcami. Ochrypli jęk, odpowiadający pieścizocie sprawił, że przesunęła dłonie niżej, szukając jeszcze wrażliwszego punktu jego ciała i znajdując go.

W następnej chwili leżała na plecach, wciśnięta w łóżko. Catlin chwycił ją za rękę, palce splótł z jej palcami.

- Nie chcesz, żebym... - próbowała spytać, lecz gwałtowny pocałunek nie pozwolił jej dokończyć pytania.

- Tak. Chcę, żebyś mnie pieściła - powiedział w końcu, odrywając wargi od jej warg. Głos miał ochrypli, źrenice tak zwężone z pożądania, że jego oczy stały się jakby samym złotem. - Chcę czuć twe słodkie dłonie wszędzie i dałbym wszystko, żeby czuć tam także twe usta. - Zamknął oczy, zacerpnął powietrza. - Ale teraz tracę już nad sobą kontrolę. Jeśli mnie dotkniesz... - wbił zęby w jej usta, szyję i pierś, ledwie kontrolując pożądanie - . . . będzie po wszystkim. Pograżę się w tobie, twej miękkości i ciepła.

- Tak - odpowiedziała mu ochryple. - Tego tylko chcę. Ciebie. We mnie. - Jej ciało wyprężyło się, błagało o niego, żądało go. - Proszę, teraz.

- Boże... Lindsay - westchnął. - Spalisz mnie na popiół.

Pograżał się w niej jednym, potężnym pchnięciem bioder. Poczwała go w sobie nagle i westchnęła urywanie -

wstrząsnął nią, wypełnił, aż tonęła w rozkoszy, a w ich ciałach wzbierała fala gorąca. Znow się poruszył, powoli, bardzo powoli, drżąc z wysiłku, by się powstrzymać. Chciał mieć pewność, że i ona poczuje to nagłe wyzwolenie, już rozkwitające w jego ciele. Chciał go dla niej równie gwałtownie jak dla siebie, lecz z każdym ruchem kontrolował się coraz słabiej.

Catlin zorientował się, że poddał się zmysłowej pasji, której nie potrafił już okiełznać. Otoczył ramieniem jej biodra, uniósł je i wchodził w nią raz za razem, starając się pograć w niej tak głęboko, by wybuchająca rozkosz nie skończyła się nigdy. Krzyczał jej imię cichym, ochrypłym głosem w rytm wyzwolenia.

Jej imię na jego ustach wprawiło Lindsay w ekstazę. Czuł, jak w głębi jej ciała narastają drobne, rytmiczne drgania. Czuł, jak zamknęła się wokół niego, czuł rytm jej ruchów i to, jak zmierza ku rozkoszy. Nagle w jego wnętrzu jeszcze raz trysnął płomień, rodzący się w dwóch zespolonych ciałach... i ten płomień dokonał dzieła - słodki, gwałtowny, niepodobny niczemu, czego kiedykolwiek doświadczył, gorący, dziki, bez początku i bez końca, niszczący go i stwarzający od nowa.

Lindsay wtuliła się w niego, przyjmując w siebie fale rozkoszy. Czuła wyłącznie ciężar muskularnego ciała na swym ciele, słony smak potu, scałowywanego mu ze skóry i dzikie drżenie spełnienia. Przez długi, długi czas słyszeli tylko swe gwałtowne, cichnące oddechy. Kiedy w końcu drgnął, jakby miał zamiar ją uwolnić, przytuliła się do niego i zaprotestowała cichym westchnieniem.

- Przygniatał cię - powiedział, całując jej lekko spuchnięte wargi.

- Nie zostawiaj mnie jeszcze - szepnęła. Poruszyła się, przytrzymując go w sobie instynktownym ruchem z głębi

ciała. - Jakże dobrze cię teraz czuję. Tak powinno być. Jeszcze tylko chwilę. Chyba że ci niewygodnie...

Spojrzał jej w oczy, na pół przymknięte, ciemnoniebieskie, płonące zmysłowym ogniem. To, jaka była naprawdę, także wprawiło go w ekstazę. Było to niemal połączenie bólu z dziką rozkoszą. Słodka i szczodra, przyjęła go w swe ciało i sprawiła, że doznał ulgi dwukrotnie. Nie grała i nie spodziewała się nagrody innej niż te intymne chwile, które z nim dzieliła. A teraz nie prosiła o nic oprócz tego, by przedłużył je odrobinę, by opóźnił moment, w którym znow wejdą w zimny, rozdzierający ich świat.

- Niewygodnie? - śmiech Catlina był ochrypły, urywany, niemal zwierzęcy. - Słodki Boże, Lindsay! Doskonale do siebie pasujemy. Jakbyś sama o tym nie wiedziała.

Jeśli nawet mu odpowiedziała, stłumił tę odpowiedź długim, zachłannym pocałunkiem. Objął ją i podniósł tak, że kiedy przewrócił się na bok, pozostali jednością. Oddała mu pocałunek i poruszyła się płynnie, pograżając w bijącym od jego muskularnego ciała ciepłe. Pieścił ją długimi, łagodnymi ruchami, czerpiąc radość z gładkości jej skóry, z delikatnych linii ciała, z jej ciepłego, spoczywającego na nim ciężaru. Dotyk twardych, lecz jakże delikatnych palców sprawił, że mruzczała z zadowolenia, owiewając mu ramię ciepłym oddechem. Przeciągnęła się, szczęśliwa, w ciepłe promieniującym z jego ciała przez wilgotny, przesycyony męskim zapachem trójkąt włosów na piersi.

Catlin odchylił jej głowę tak, by przesunąć ustami po jej ustach raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Pragnął jej, lecz nie miało to nic wspólnego z nie zaspokojonym pożądaniem. Lindsay ugasiła je, choć niegdyś płonął nim aż do głębi duszy.

A jednak chciał jej nadal. Chciał wchłonać ją w siebie tak prosto i szczerze, jak ona wchłoneła jego, pragnął na-

uczyc ją rozkoszy jednocześnie tak dzikiej i tak nieskończenie słodkiej, by załała ją jak żywa fala, przesyła, zniszczyła i stworzyła od nowa. Nie sądził, by znała taką rozkosz. On sam nie znał jej... aż do dziś.

- Zostań tu - szepnął, pocałował Lindsay głęboko i wyslizgnął się z niej.

Zareagowała tylko stłumionym westchnieniem, kiedy opuścił jej ciało, lecz nie zaprotestowała.

- Wróć - dodał z uśmiechem, delikatnie gładząc ją palcem po policzku.

Poszedł do łazienki, nalał wody do kubka i wolno wylał ją do toalety. Spuścił wodę i kiedy spływała najgłośniej, zdjął pokrywę spłuczki. Kiedy zbiornik znów się napełniał, grzebieniem zablokował mechanizm odcinający dopływ wody tak, by ściekała do toalety cały czas. Ponieważ „pluskwę” umieszczono tuż pod spłuczka, każde wypowiedziane w łazience słowo zostanie teraz zagłuszone. Gdy dojdzie do tego jeszcze szum odkręconego na pełny regulator prysznicy, pełniący dyżur przy podsłuchu ludzie Stone s będą się czuli tak, jakby spływali Niagarą.

W półmroku sypialni Lindsay patrzyła, jak Catlin do niej wraca. Jak zwykle, poruszał się zwinnie niczym kot, pewien refleksu, koordynacji i siły, które ciągle ją fascynowały. Przyglądała mu się otwarcie, szczerze, nie ukrywając zachwyty, w jaki wprawiała ją gra jego mięśni, męska siła widoczna w ruchach potężnych muskułów i ta jego moc, którą cieszyła się tak niedawno.

- Jesteś jak smok, którego widzieliśmy na aukcji u Wanga - powiedziała cichym, lekko ochrypłym, pełnym uczucia głosem. - Zmysłowy. Potężny. I bardzo, bardzo męski.

Dostrzegł zachwyty w jej ciemnoniebieskich oczach, usłyszał go w jej słowach, czuł go, gdy stał przy łóżku,

a ona przesuwała mu palcem między piersiami, po brzuchu, by wreszcie delikatnie ująć jego męskość w złożone dłonie. Pochylił się z uśmiechem na ustach i odkrył ją. Przyglądał się jej całej tak, jak ona przyglądała się jemu. Pocałował ją w szyję, w czubki piersi, a potem wsunął język w zagłębienie jej pępka.

- Cieszę się, że podoba ci się to, co widzisz - szepnął, całując jej ciało delikatnie, powoli - bo moim zdaniem jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek ofiarowano smokowi.

- Trudno nazwać mnie dziewczyną - szepnęła, pozwalając unieść się z łóżka jego potężnym ramionom.

- Dzięki Bogu - stwierdził niemal szorstko. - To, do czego mnie skłaniasz, z pewnością przeraziłoby każdą dziewczynę.

Leciutko przesunął zębami po jej ramieniu, odnajdując wrażliwe nerwy, sprawiając, że zadrżała nagle, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia i powracającego pożądanego.

- No, chodź - szepnął. Trzymał ją za rękę, ciągnąc w stronę łazienki. - Stone spodziewa się, że weźmiesz nocny prysznic. Nie powinniśmy go zawieść, prawda?

Gdy tylko znaleźli się w łazience, Catlin natychmiast chwycił ręcznik. Zręcznie związał jej włosy i owinał go wokół nich. Otworzył szklane drzwi, prowadzące do wykładanej kafelkami kabiny, odkręcił wodę do końca, sprawdził jej temperaturę, wszedł i wciągnął Lindsay za sobą. Obszerna kabina powoli wypełniała się parą.

Bez słowa zaczął namydlać ją całą, od szyi do stóp. Silne, delikatne dłonie przesuwały się po jej ciele sprawiały, że z rozkoszy nie mogła złapać oddechu. Zamknęła oczy i po prostu radowała się jego dotknięciem, obracając się bardzo powoli, ciesząc się szczerze pieczęcią.

Otworzyła oczy w samą porę, by dostrzec, że Catlin

uśmiecha się zmysłowo. Idąc za jego spojrzeniem, opuściła wzrok na swe piersi, po których ściekała piana. Przesunęła po nich dłońmi, zbierając ją, a potem, z uśmiechem, zaczęła wcierać ją w plecy i pierś mężczyzny. Na porastających jego ciało włosach pozostawały białe, kręte ślady rąk.

A on przesunął dłonie w dół, na jej wrażliwy brzuch, ujął ją za biodra, ciesząc się ich kształtem, a potem z wolna zagłębił palce w jej jędrnym ciele. Ciemnoniebieskie oczy rozszerzyły się w zdumieniu. Poczucia coś, co spowodowało instynktowne zaciśnięcie skrytych głęboko mięśni, jakby próbowała go w sobie zatrzymać. Dostrzegł tę odruchową, jakże kobiecą reakcję i uśmiechnął się.

- Dlaczego się uśmiechasz...? - Głos Lindsay załamała się, stłumiony falą rozkoszy. Catlin po raz drugi zacisnął dłonie.

- Uśmiecham się do ciebie, słodki kociaku - powiedział, chwytając jej wargi swoimi, rozchylając je silnym, choć delikatnym językiem. - Nie znasz...

- Czego nie znam? - spytała, gdy tylko uwolnił jej usta.

- Nie znasz siebie. Jesteś najbardziej kobiecą wśród tych kobiet, z którymi miałem do czynienia. O Boże! - westchnął, całując ją. - Nigdy nie znałem kobiety tak szczerze zmysłowej jak ty!

- Przecież nie jestem... - Przypomniała sobie inne chwile, z innymi mężczyznami. Słowa i wspomnienia spłotyły się nagle w jeden wir - to dłonie Catlina zacisnęły się znowu.

A on roześmiał się gardłowo.

- Opowiedz mi - poprosił, wpijając się w jej wargi, rozkoszując się ich drżeniem - opowiedz mi wszystko, co czujesz.

Lecz nie mogła mówić, bowiem Catlin znów zawładnął jej ustami, aż ich wargi stały się jednym. Kiedy je uwolnił, zapomniała już o wszystkim z wyjątkiem jego smaku,

kształtu potężnego ciała, który poznawała dłońmi. Obróciła się powoli w jego ramionach, pozwalając obmyć się ciepłej wodzie, spłukującej strumieniem mydła, układającej się w miękkich liniach jej piersi i ud z doskonałością sprawiącą, że poczuł w piersi żar, a niżej z wolna rosnący ciężar. Przesunął prysznic tak, że woda obmywała teraz kafelki.

- Ja... - Lindsay zamknęła oczy, nie potrafiąc nagle znieść spojrzenia złotych oczu smoka, wpatrujących się w nią z tak zmysłowym napięciem. - Ja zazwyczaj dłużej jestem pod prysznicem - powiedziała ochryple. - To znaczy, jeśli zamierzamy oszukać Stone'a...

- Wiem. Chciałem zostawić sobie czas na osuszenie twego pięknego ciała.

- Nie będzie to trwało zbyt długo - szepnęła, zdejmując z włosów ręcznik.

- Dla mnie może to trwać aż do kresu nocy.

Wyjął jej ręcznik z rąk i upuścił go na mokre kafelki. Pochylił głowę tak powoli, że aż zadrżała z oczekiwania. Poczucia ciepło jego oddechu, a potem żar ust. Delikatnymi ruchami języka zaczął zlizywać wodę z jej ciała.

Drżącymi wargami wyszeptała jego imię, a on pocałował ją namiętnie. Jej smak był mocniejszy niż koniak, słodszy od wszystkiego, czego do dziś próbował. Z cichym jękiem oderwał swe usta od jej ust, przesunął językiem po szyi dziewczyny, zgarnął zgromadzone na niej krople. Czując pod wargami jej dziko bijący puls.

Słodką obietnicą jej piersi kazała mu przesunąć się jeszcze niżej. Zgarniał maleńkie kropelki, rysując językiem coraz ciaśniejsze kręgi, kończące się na różowej sutce. Tym razem nie zdołała wyszeptać jego imienia, wybuch namiętności odebrał jej głos. Opadła mu w ramiona czując, jak świat wokół niej powoli znika i zostaje wyłącznie zmysłowość.

Westchnął z rozkoszy czując, jak Lindsay zdaje się łącznie na jego siłę. Powoli przesuwał ustami po jej drugiej piersi. Jedwabiste wąsy drażniły ją, sprawiały, że piersi jej nabrzmiały, a sutki nagle znów stały się twarde. Kiedy wziął je w usta i pieścił w powolnym, dzikim rytmie rosnącego pożądania, jej ciało przeszył nowy dreszcz. Uśmiechnięty Catlin powoli osunął się na kolana, zlizując wodę, smakując jej ciało, poznając ją wszystkimi zmysłami. Delikatnie ugryzł ją w udo po wewnętrznej stronie, a potem mocniej zacisnął zęby, ssąc mleczną skórę wystarczająco namiętnie, by pozostawić na niej ślad.

Ten delikatny, niewielki ból sprawił, że przeszedł ją nowy dreszcz rozkoszy. Odrzuciła głowę, oparła ją o ścianę i jęknęła cicho. Dźwięk ten niemal całkowicie zagłuszyła leżąca się ciągle woda. Jednak Catlin usłyszał go i poczuł wybuchający znowu płomień pożądania. Przesunął dłońmi po jej nogach, odnalazł miejsce, w którym schodziły się uda. Kciukami delikatnie rozmasował wrażliwe ścięgna, a potem, nagle, zacisnął palce. Z jękiem poddania Lindsay zatoczyła się ku niemu. Musiała rozstawić stopy, inaczej nie utrzymałaby równowagi.

Delikatnie rozgarnął ciemnobrązowe włosy, docierając swymi głodnymi ustami do jej kobiecości. Drażnił ją, gorącą i delikatną, czując, jak Lindsay drży pod jego dłońmi i pieszczotą najintymniejszego z pocałunków. Gdy odsunął językiem splot nerwów ukryty w fałdach miękkiego ciała i dotknął go, usłyszał kolejny jęk. Dzika rozkosz porывała ją falami, sprawiając, że na przemian miękła i tężała. Roześmiał się i z największą delikatnością chwycił zębami ten najwrażliwszy pączek ciała, drażniąc go równocześnie ruchliwym językiem.

Zacisnęła mu dłonie na ramionach, wbiła w nie paznokcie,

szeptając jego imię. Cieszył go ból zadrapań, tak jak cieszył go jej drżenie - dowód, że cała należy do niego.

- Słodki kociak - powiedział ochryple. - Sama słodycz i pazurki.

Krzyknęła, a jej ciało wygięto się w łuk. Spalała się powoli w ogniu jego dzikich pieszczot, drząc w porывających ją raz za razem falach rozkoszy. Catlin całował ją i pieścił delikatnie, zaciskał zęby na jej słodkim cieple, nie chcąc jej wypuścić - choć wiedział, że tej nocy Lindsay ma mu jeszcze coś do zaoferowania. Dostanie od niej wszystko. Zaledwie poznał jej płonąca jak ogień zmysłowość.

Wreszcie, niechętnie, wstał, tuląc w ramionach dziewczynę, która nie mogła sama utrzymać się na nogach. Szybkim ruchem zakręcił prysznic, podniósł ją, zaniósł do łóżka i położył się między jej udami. Rozpoczął pieszczoty od nowa

- Catlin! - ochrypły głos Lindsay załamał się. - Nie mogę!

- Możesz. Tak, możesz - powiedział, całując ją delikatnie, kochając ustami całe jej ciało. - I zrobisz to. Dzisiejszej nocy sama nauczysz się tego, czego już nauczyłaś mnie. Ty i ja nie znamy kresu.

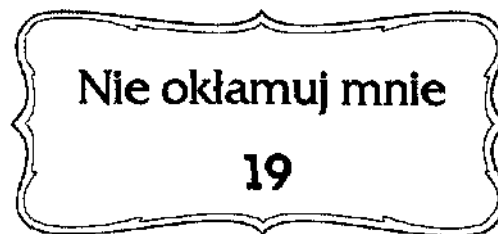
Uśmiechnął się, a ona prawie przestała oddychać, widząc pewność w jego dzikich, złotych oczach.

- Tak - wyszeptał, widząc, jak zmienia się wyraz jej twarzy. - Mam zamiar wessać cię całą w siebie, tak jak ty przyjechałaś w siebie mnie.

Wiedział to z pewnością, jednocześnie uspokajającą i nieskończenie podniecającą. Ta pewność pozwoliła mu przytulić się do Lindsay z powolną, wszechogarniającą zmysłowością, nie znaną do tej pory żadnemu. Jego dotyk budził ją, odzierał z przyzwyczajęń. Odpowiadała na każde z wypowiedzianych ochryple słów, na każdą pieszczotę. Nie ukrywała przed nim swoich reakcji, potrzeb, samej

siebie. Pozwalała mu uczyć się sekretów swego ciała, poznając jednocześnie wszystkie tajemnice ciała mężczyzny, aż nie wiedzieli już kto pieści, a kto jest pieszczony, kto płacze, a kto smakuje łzy, które z nich krzyczy, a które spija krzyk.

Wreszcie stali się jednym w morzu ognia.



Pierwszy ostry dzwonek telefonu w mgnieniu oka wyrwał Catlina z głębokiego snu i doprowadził do całkowitej przytomności. W chwili, w której wyciągnął rękę po słuchawkę, poczuł ciepło skulonej przy nim Lindsay, i przypomniał sobie wydarzenia ostatniej nocy. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, kiedy męskość stwardniała mu gwałtownie w odpowiedzi na rodzące się w pamięci, zmysłowe obrazy.

- Tak? - powiedział krótko do słuchawki.
- Toaleta ci cieknie.

Zerknął na stojący na nocnym stoliku zegarek.

- Dzwonisz o wpół do siódmej rano, żeby mi powiedzieć, że toaleta cieknie? Co się stało? Stone przekwalifikował cię na hydraulika?

- Nie, ale chłopców zmęczyło już słuchanie szumu wody - stwierdził O'Donnel.
- Zobaczę, co da się zrobić.

Usiadł, oparł plecy o wyściełany zagłówek łóżka, ziewnął i przeciągnął się potężnie. Lindsay, nadal śpiąca, poruszyła się niespokojnie - nie czuła już jego ciepła. Przygładził jej włosy wolną ręką, a potem wsunął ją pod kołdrę, radując się ciepłem kobiecego ciała, które natychmiast do niej przylgnęło. Instynktowna szczerłość tej reakcji zafascynowała go i podnieciła.

- Czy Stone zdobył już albumy? - zapytał.
- Sprawdź. Siedzi teraz przy drugim telefonie i wrzeszczy na kogoś.
- Nie spiesz się - zaproponował i zsunął kołdrę z ciała Lindsay.

Leżała na boku, z ręką pod głową. Drugą ręką, przytuloną do ciała, podparła brodę. Jedna z piersi spoczywała w zgięciu ramienia. Wyglądała zbyt ponętnie, by udało mu się zachować spokój umysłu. Czubkami palców przesunął po jej gładkiej skórze radując się, gdy pod ich dotknięciem zmieniała się z delikatnego jedwabiu w szorstki aksamit. Sutka uniosła się i stwardniała pod wpływem tej pieszczoty.

Lindsay otworzyła oczy, tak ciemne, że przypominały kolor morza o północy. Na pół przebudzona, na pół jeszcze śpiąca, reagowała zmysłowo i przeciągała się rozkosznie w odpowiedzi na strumień wrażeń, zrodzony z jego dotyku. Przycisnęła pierś do jego dłoni, kołdra opadła poniżej złotego trójkąta włosów. Catlin zakrył słuchawkę tak szczelnie, że rozmówca nie mógł usłyszeć ani słowa.

- Chodź" tu, słodki kociaku - powiedział. - Długo czekałem, żeby móc cię ucałować na dzień dobry.

- Wydawało mi się, że przed chwilą dzwonił telefon - szepnęła. Westchnęła i policzkiem potarła jego pierś. Przymknęła oczy, powoli wracała w ciepły, zmysłowy świat snu.

- Tak. - Catlin niemal jęknął czując, jak Lindsay przytuliła się do niego mocno. - Czekałem strasznie, strasznie długo.

Zamknęła oczy i objęła go w tej samej chwili, w której on przytulił ją mocno do piersi. Wsunął język w jej usta, wypełnił je. Jęknęła cicho, pamiętając długie, przepełnione dziką pasją godziny, poprzedzające świt. Nic, żadne poprzednie doświadczenie, nie przygotowało jej na mężczy-

znę o tak czystej, niczym nie skrepowanej zmysłowości. Spalił ją w uścisku, a potem śmiał się z czystą radością, spijając z jej ust ciche okrzyki. Odpowiedziała na jego wyrafinowane, delikatne, prowokacyjne pieszczoty tak, jak nigdy nie reagowała przy żadnym z kochanków, pozwalając, by obrał ją z lat wahań i niepewności, obnażył aż do zmysłowego jądra jej istoty, a potem odtworzył własnym ciałem, oddając się jej bez wahania, bez wyrachowania.

Uczciwy mężczyzna.

- Catlin? Catlin! Śpisz?

Dźwięk głosu O'Donnella, wrzeszczącego mu wprost w ucho, zmusił Catlina do oderwania ust od warg dziewczyny. Zdjął dłoń ze słuchawki, a Lindsay zaczęła wodzić sennie wargami po jego ciele. Intrygowały ją porastające mu pierś włosy, drażniące teraz jej usta, tak jak we śnie. Chwytała je wargami, niepewna, czy to jawa, czy sen, i niezbyt się o to troszcząca. Gdziekolwiek była, jej świat okazał się ciepły, pachnący, zmysłowy.

- Jestem. - Oczy Catlina pociemniały. Każdy ruch jej warg wywoływał w nim nagły impuls srebrzystej rozkoszy.

- Sprawiasz wrażenie zasnętego - poskarżył się O'Donnell.

Posłał uśmiech brązowym, rozsypanym na jego piersi włosom. Lindsay obróciła głowę, dojrzał różowy czubek języka poszukującego sutki jego piersi, odnajdującego ją. Zanurzając dłoń w jej włosach, próbował kontrolować oddech. Chciał oderwać jej głowę od swego ciała, ale mógł tylko poruszać nią powoli z boku na bok, pomagając jej w poszukiwaniu najbardziej wrażliwych miejsc.

- Właśnie się budzę - powiedział do telefonu.

Na małej, stwardniałej sutce delikatnie zacisnęły się zęby, drażniące powoli, z wyrachowaniem, niemal sprawiające ból. Natychmiast porzucił jakąkolwiek myśl o od-

sunięciu się od Lindsay. Poprzez włosy dotarł palcami do skóry, przytrzymał jej głowę przy swej piersi, pieścił ją.

- Jeśli nie zaśniesz w ciągu następnych kilku chwil, Stone będzie z tobą rozmawiał.

- Spróbuję. - Powoli przesunął kciukiem po linii jej kręgosłupa. - Załatwiłeś to chińskie zwierzę, na które trafiłeś zeszłej nocy?

Odpowiedziała mu cisza, a później śmiech.

- Przez chwilę myślałem, że mówisz o tej dupci i zastanawiałem się, skąd wiesz, że poderwałem sobie prawdziwą dzikuskę...

- Jestem za stary, żeby interesowały mnie dupcie - przerwał agentowi, ziewając znowu. - A jeśli ty nie jesteś, to w każdym razie powinienesz być.

- Za stary na seks? - prowokował O'Donnel.

- Nie. Za stary na dupcie. Jest pewna różnica.

- Doprawdy? - Pytanie młodego agenta zabrzmiało bardzo cynicznie.

Catlin roześmiał się niskim, chrapliwym śmiechem, w którym brzmiała rozkosz - dłonie Lindsay powoli zsunęły się po jego ciele, jakby była śpiącym, szczęśliwym kotem. Paznokcie drażniły skórę i skryte pod nią silne mięśnie. Wiedział z taką pewnością, jakby mu o tym powiedziała, że radują ją ciepło i siła jego ciała, tak jak on radował się ciepłem i miękkością jej ciała. Byli wspaniałą parą kochanków. Żadnych gier, żadnych sekretów, tylko nie kończące się, szczerze wspólne reakcje na wzajemne pieszczoty. Z Susie wyglądało to zupełnie inaczej - była zbyt niedoświadczona. Także Mei nie przypominała Lindsay. Mei dawała mu dziki żar bez światła, bez szczerości. Dała mu swą najmniej ważną część. Wtedy był zbyt młody, by wiedzieć... i omal nie przyplącił tego życiem.

- Są same różnice - powiedział cicho do telefonu, zaci-

skając palce we włosach Lindsay. - Czy w ten okrężny sposób próbujesz mi powiedzieć, że spieprzyłeś sprawę i zgubiłeś tego Chińczyka, który nas śledził?

- Nie. W ten okrężny sposób próbuję zatrzymać cię przy telefonie, dopóki nie podejdzie Stone.

Lindsay otworzyła usta i z senną premedytacją ugryzła splot mięśni na ciele Catlina, jakby sprawdzała ich twardość. Jego niski głos był dla niej tylko tłem otaczającego ją, zmysłowego snu. Chciała to zrobić w nocy, chciała poznać go tak intymnie, tak całkowicie, jak on poznał ją, lecz nim zdołali w pełni nasycić zmysły, zasnęli w swych ramionach, nadal połączeni, śliszy od potu, wyczerpani.

- Kim był?

- Kto kim był? - odpowiedział O'Donnel niewinnie.

Twarz Catlina zmieniła wyraz: łagodną ciekawość zastąpiła maska gniewu, którą ludzie kojarzyli na ogół z mężczyzną o nazwisku Rousseau.

- Jeśli w ciągu trzydziestu sekund nie podasz mi jego nazwiska - powiedział bardzo cicho, nie chcąc przerywać jej sennych, zmysłowych pieszczot - zamknę Lindsay w pokoju i pójdę na mały spacer. Najpierw zgubię waszych miejscowych chłopców, a potem zabiorę tego Chińczyka, który ma służbę dziś rano, na przebieżkę po parku Golden Gate. Po kilku okrążeniach znajdę go od tyłu i złożę mu dupę. Kiedy tu wrócę, będę sam i będę też wiedział, kogo pieprzą, a kto płaci alfonsom.

Odpowiedziała mu długa cisza,

Lindsay obróciła się powoli, przywierając do niego całym ciałem. Catlin ujął w dłoń jej pierś, pieścił ją z czułością. Dopiero teraz dostrzegł wyraz sennej, głębokiej zmysłowości na jej twarzy i zdał sobie sprawę, że ona niemal śpi i działa całkowicie instynktownie..., a instynkt mówił jej, że ma go dotykać z miłością. Nigdy przedtem nie wi-

dział takiego wyrazu twarzy kobiety. Radość przeszła go jak delikatne, niewidzialne pazurki, wnikaące pod skórę słodko i głęboko, sięgające poza i ponad fizyczne doznania, w głąb duszy - radość wzruszająca w sposób, którego nie potrafił nazwać, który mógł wyłącznie czuć.

- Facet wsiadł do samochodu - powiedział O'Donnel twardo - zarejestrowanego jako własność Chińskiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Miłosierdzia.

- Niewiele to daje. - Catlin chrząknęła. - Ilu członków? Dwa tysiące?

- Około dziesięciu. To największe cholerne stowarzyszenie etniczne w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

- Ilu gości Wanga do niego należy?

O'Donnel zawahał się, a potem zaklął zduszonym głosem.

- Wszyscy oprócz ciebie i Chen Yi. O ile zdołaliśmy stwierdzić - dodał z obrzydzeniem.

- Oprócz nas i Lindsay - powiedział sucho Catlin.

- Błąd. Lindsay jest członkiem. Jej matka też była.

- Ilu ludzi miało do niego dostęp?

- Pracujemy nad tym.

- To może ja lepiej popracuję nad kondycją i zrobię te parę okrążeń w parku? - zastanowił się Catlin.

Lindsay poruszyła się niespokojnie, dotarł do niej ostry ton jego głosu. Uspokoił ją powolnymi, pieścizłowymi ruchami dłoni, spoczywającej na jej piersi, dotknął kciukiem stwardniałej sutki. Wzdychając z rozkoszy pogładziła go palcami po ciele, przesunęła ustami po brzuchu, zapadając znów w zmysłowy sen.

- Nie rób nic - powiedział O'Donnel. - Rozwalisz nam całą operację. Nie próbujemy cię wkurzyć. Po prostu nie mamy jeszcze informacji.

Westchnął bezgłośnie, gdyż język Lindsay dotknął jego pępka. Zaciśnął dłoń na jej piersi. Oczy miała zamknięte,

uśmiechała się, otarła się o niego delikatnie, lecz śmiało, powoli wsunęła dłoń pod kołdrę, okrywającą mu uda. Cichy jęk rozkoszy omal nie wyrwał się z jego ust, gdy odnalazła i zaczęła pieścić jego wzniesioną męskość.

- Catlin? Catlin, jesteś tam?

Jestem - pomyślał Catlin z radością. Cały. I ona kocha mnie całego.

- Jestem - powiedział do telefonu - ale zaczynam tracić cierpliwość. - Głos mu się załamał. Odetchnął głęboko, próbując odzyskać władzę nad sobą. Lindsay pieściła go nadal. - Czy Stone przyśle nam dzisiaj te albumy?

Palce Lindsay przesunęły się powoli między jego udami ujęły spoczywający tam podwójny ciężar, rozkoszowały się jego dotykiem i kształtem. A on zacisnął dłoń na jej ręce, unieruchamiając ją delikatnie, lecz skutecznie. Szepnęła coś, całując go w udo, przesunęła po nim językiem, aż trafiła na granicę między skórą a gęstymi włosami.

Odezwał się O'Donnel.

- Czekaj. Stone coś mi mówi.

Milczał i czekał, w niemal bolesnym napięciu obserwując czubek różowego języka Lindsay. Napotkał on gorące, twarde, napięte ciało, wzniesione w oczekiwaniu, i Catlin zorientował się, że musi jej już przerwać. Nakrył słuchawkę kurczowym ruchem dłoni.

- Lindsay - szepnęła. - Lindsay, zaraz... - słowa te zakończył ochryply pomruk - to jej miękkie, ciepłe usta otoczyły go całkowicie. Poruszyła palcami, paznokcie drapały go jak delikatne ząbki.

- Boże - jęknęła. - Dziewczyno, zabijasz mnie...

Nie wiedział, czy go usłyszała. Nie wiedział nawet, czy chce, by go usłyszała. Jej ciepły, wilgotny oddech również był pieścizłą. W ciało wlał mu się słodki, dziki ciężar, skupiając się między nogami. Przeszył go długi dreszcz

pożądania. Zamknął oczy. Gdyby nadal patrzył na pieszczącą go Lindsay, nie byłby już w stanie kontrolować niczego, nawet głosu. Lecz zamiast ją odsunąć, wplecione głęboko we włosy palce jeszcze bliżej przyciągnęły ją do jego ciała, pragnącego każdej wilgotnej, ciepłej pieszczoty jej ust. Brązowe włosy rozsypały mu się po brzuchu, ich jedwab był kolejną pieszczotą. Drżał pod ich płaszczem w rytmie kolejnych uderzeń serca.

- Catlin, jesteś tam? - pytał O'Donnel.

- Jedną chwilkę - odparł ochrypłym głosem. - Lindsay próbuje mi coś powiedzieć. - Znow przykrył słuchawkę. - Jeśli nie przerwiesz, położę cię, wejdę w ciebie teraz, zaraz, i pozwolę O'Donnelowi usłyszeć każdy, nawet najcichszy jęk, który z ciebie wyrwe.

Lindsay próbowała obrócić się, znow zapaść w zmysłowy sen, lecz te jego słowa wreszcie do niej dotarły. Powróciła do rzeczywistości i zrozumiała.

O'Donnel!

Otworzyła oczy, zamruwała potrzęsła głową, jakby była zupełnie dezorientowana. Bo i była. Jego pierwsze, leniwe pieszczoty przeniosły ją ze świata snu w świat zmysłowości tak dla niej nowy, że nie umiała kontrolować ani jego, ani samej siebie. Patrzyła na telefon, rumieniąc się głęboko, powoli zdając sobie sprawę z tego, co robiła i czego omal nie zrobiła.

- Przepraszam - szepnęła, odsuwając się od Catlina, niemal na śmierć zawstydzona. - Nie wiem, co się... nie jestem taka. Nigdy nie zrobiłam nic... - głos się jej załamał, przestała wyjaśniać coś, czego sama nie rozumiała.

Usłyszał prawdę w jej drżącym głosie, dostrzegł w rumieńcu na jej policzkach, wyczuł ją w gwałtownym ruchu, kiedy się od niego odsuwała. Nie drażniła go, nie próbowa-

ła nad nim zapanować - ta nieskończona zmysłowa chwila zaskoczyła ją tak, jak zaskoczyła jego.

A teraz Lindsay cofała się, zawstydzona zmysłowością, którą w niej obudził, wydobył z najgłębszego ukrycia, w której nocą kapali się oboje.

Sięgnął po nią szybkim ruchem ręki, przytulił, unieruchomił, ustami odnalazł jej usta.

- Wiem, co ci się stało - szepnął jej do ucha. - Ja. Noc. Cała noc. I to zdarzy się znowu. Chodź tu, słodki kociaku. Siedz mi na kolanach, kiedy powiem O'Donnelowi, żeby poszedł do diabła.

Potrząsnęła głową, starając się nie patrzeć mu w oczy.

- O'Donnel - powiedział Catlin do telefonu. - Nie damy Lindsay zasnąć. Albumy mają się tu znaleźć o dziewiętej. Potem ruszam na polowanie.

Nie troszczył się o odłożenie słuchawki. Po prostu wyrwał telefon z gniazdka i rzucił go na podłogę.

- Słuchaj - powiedziała napiętym głosem. - Nie chciałam...

- Wiem - przykrył się nią jak ciepłą, żywą kołdrą, nie zwracając uwagi na to, że próbowała się bronić. - Wiem. Jeszcze sienie obudziłaś, prawda? - spytał, wpijając się jej w usta. - Czy wiesz, co ze mną robi świadomość, że pragniesz mnie nawet w snach? Wiesz, że ja pragnę cię tak samo?

Otworzyła oczy. Wypatrywała oznak prawdy w jego wzroku.

- O tak, to prawda. - Jego słowom towarzyszyło nierucho, szczere spojrzenie. - Każda inna kobieta mogłaby robić, co by się jej żywnie podobało, a ja rozmawiałbym z O'Donnelem aż do końca i dopiero wtedy odwiesiłbym słuchawkę. Ty... - Catlin zadrżał, pocałował ją wolno, zmysłowo, przesunął swą w pełni wzniesioną męskością po jej udzie, czując aksamitną gładkość skóry, jedwab wło-

sów. - Przy tobie przestaję się kontrolować - powiedział.
- Znow chcę poczuć twe usta. Chcę patrzeć, jak mnie kochasz. A ty? Czy tego chcesz? Mów do mnie, słodki kociaku. Powiedz mi, czego chcesz.

Krzyknęła. Zęby Catlina zacisnęły się delikatnie na jej szyi. W ten sposób domagał się odpowiedzi.

- Chcę ciebie - powiedziała zdławionym głosem. - Tylko ciebie.

- A więc mnie weź. - Głos miał niski, ochryply. - Jak tylko chcesz. Nie ma złych sposobów, bowiem ja mam zamiar zrobić to samo z tobą. A kiedy już oboje skończymy, zaczniemy od nowa - ja wezmę ciebie, ty weźmiesz mnie, aż będzie jak nocą, bez początku, bez końca i razem, połączeni, rozjaśnimy ciemności naszym ogniem. Weź inie, Lindsay. Przyjmij mnie w swoje smukłe, gorące ciało.

Krzyknęła coś - być może jego imię - a potem przyjęła go jednym powolnym, głębokim ruchem. Kiedy wypełnił ją do końca, znow próbowała wykrzyknąć jego imię, ale nie mogła. Jej ciało nie należało już tylko do niej. Należało do niego, do nich, do tego, co stworzyli, kiedy złączeni byli tak głęboko, że nie potrafiła powiedzieć, gdzie on się kończy, a ona zaczyna. Zdała sobie z tego sprawę i poczuła, że drży. Włał się w nią z ochryplym krzykiem, oddając się jej i tej pierwotnej rozkoszy, którą wspólnie wywołali z niebytu.

Kiedy tego ranka Catlin obudził się po raz drugi, ze snu wyrwało go walenie twardej pięści w drzwi pokoju.

- Obsługa! - zawołał ktoś.

- A ja jestem królem elfów - burknął, patrząc na zegarek. Za pięć dziesiąta, a głos mógł należeć do CTDonnella. Nie miał jednak żadnej pewności - nigdy nie słyszał O'Donnella wrzeszczącego przez dwoje zamkniętych drzwi.

- Sekunde! - odrzyknął.

Pukanie ustało. Lindsay mruknęła coś przez sen. Uśmiechając się, pogładził ją po głowie.

- Czas wstawać, słodki kociaku - powiedział cicho.

- Śniadanie? - Lindsay przeciągnęła się rozkosznie.

- Obawiam się, że raczej zabawa w zgadywanie obrazków - stwierdził, ubierając się.

Uniosła brwi w niemym pytaniu.

- Zgadywanie obrazków?

- Albumy FBI - stwierdził jadownicie, zapinając spodnie.

- Wolałabym tutejszą słynną jajecznicę - parsknęła.

- Głodna? - Catlin uśmiechnął się leniwie.

Lindsay spojrzała na jego usta, przypominając sobie, co odczuwała, kiedy pieściły ją wszędzie tam, gdzie mogły dotrzeć. A gdyby wspomnienia nie wystarczyły, pomógłby jej niewielki, rozkoszny ból w najbardziej sekretnych miejscach ciała, ból świadczący, że została kochanką człowieka, którego zmysłowość byłaby zawstydzająca, gdyby nie był równie zręczny, co męski.

Dostrzegł, na co patrzyła, i wiedział, o czym myśli. Krew mu zawrzała, ciało pragnęło jeszcze więcej tego, co odkryło tak niedawno. Zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek w pełni nasyci się Lindsay. Ta myśl go zaniepokoiła. Zbyt długo tkwił w tym interesie, by nie wiedzieć, że układy wykute w żarze i wśród skomplikowanych stresów tajnych akcji na ogół kończyły się wraz z akcjami. Przecież to głównie z tego powodu starał się trzymać z dala od Lindsay.

Ale nie udało mu się to. Był mężczyzną, nie żadnym supermenem. A ona była kobietą... i to prawdziwą kobietą.

- Nie patrz tak na mnie - głos mu drżał, na pół rozbaawiony, na pół poważny.

- Jak?

- Jakbyś wspominała me usta na twym ciele.

Nie potrafiła opanować dreszczu, które wzbudziły w niej jego słowa. Dostrzegł go, zaklął cicho, obrócił się na pięcie i poszedł do łazienki. Z korytarza znów dobiegło ich stukanie. Zignorował je. Podniósł z podłogi odstawioną wcześniej pokrywę, postukał nią w spłuczkę, jakby coś właśnie naprawiał i wyciągnął grzebień. Po chwili szum płynącej wody ustał.

Skorzysta! z toalety, spuścił wodę i poczekał, aż napełni się na nowo. Wszystko działało. Założył pokrywę, głośno przy tym hałasując, wsadził mocno zniszczony grzebień do kieszeni, wyszedł i ruszył do drzwi, zbaczając z drogi tylko po to, by podnieść coś z nocnego stolika.

- Co jest na śniadanie? - zapytał, stając obok drzwi, przy ścianie.

- Jajka *a la* O'Donnel, proszę pana - odparł grzeczny, cichy głos, przeznaczony tylko dla jego ucha. - Główny kucharz Stone poleca także swe ulubione danie: Catlina rozsmarowanego na grzance.

Otworzył drzwi uśmiechając się - ale pozostał przy ścianie, a z pistoletu celował do O'Donnella, póki ten nie wszedł, sam, do pokoju, popychając przed sobą wózek. Zamknął drzwi na zamek i dopiero wtedy odwrócił się do gościa.

- Jeśli jeszcze raz wyłączysz telefon - Irlandczyk zerknął na zamknięte drzwi sypialni - Stone zrobi ci z jaj jajecznicę.

- Ładnie wyglądasz w mundurku - stwierdził poważnie Catlin, przyglądając się krzykliwej, wiśniowo-złotej hotelowej liberii. - To na niego poderwałeś tę chińską dupcię?

O'Donnel pokazał mu palec.

Roześmiał się i mocno pociągnął nosem. Podniósł srebrną pokrywkę jednego z pojemników, w nozdrza uderzył

mu ostry zapach *huevos rancheros ifrijoles refritos*. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że jest wystarczająco głodny, by zjeść węża... i to ze smakiem. Nieoczekiwane, głośne burczenie brzucha tylko podkreśliło wagę tego odkrycia.

- Albumy masz na dnie wózka - powiedział O'Donnel.
- Jakież zmiany w programie na dziś?

Catlin wzruszył ramionami.

- Wyjdziemy z Lindsay na tak długo, żeby pokojówka zdążyła posprzątać. Oprócz tego nie mamy nic w rozkładzie. Spotkaliśmy wszystkich cholernych handlarzy brązów w San Francisco, oprócz tych, na których nam zależało. Wszystkie plotki o brązach przychodzących przez Seattle lub Vancouver okazały się nic niewarte. Oboje mamy dość obiadów w towarzystwie gówniarzy pokroju Malloya. Nie ma już sensu krążyć wokół gangsterów. Złodzieje albo są zadowoleni z naszej historyjki, albo nigdy nie będą z niej zadowoleni. Teraz możemy już tylko czekać, aż się z nami skontaktują.

- Czy Chen Yi tego właśnie chce?

- Jego zapytaj.

- Nie mamy do niego telefonu - stwierdził gładko O'Donnel.

- On ma wasz numer. Jeśli coś mu się nie spodoba, pierwszy się o tym dowiecie.

Agent zacisnął wargi. Spojrzał na zegarek.

- Powiniennem wyjść. Nie widzieliśmy tu, w hotelu, nikogo, obserwującego wasz pokój, ale niczego nie możemy być pewni. Najprawdopodobniej nie potrzebują specjalnych strażników. Większość pracowników to Chińczycy.
- Spojrzał na drzwi sypialni. - Lindsay w porządku?

- To twarda dziewczyna. Wytrzyma. Ale Hsiang Wu był dla niej okrutny. A Malloy - machnął ręką. - Malloyem udławiłby się nawet kojot.

O'Donnel skrzywił się, myśląc o prysznicach, które Lindsay brała w nocy. Zastanawiał się, czy zdoła zmyć z siebie smród ludzi, których ostatnio poznała. Tylko zawzięty wyraz twarzy Catlina powstrzymał go od zadania tego pytania. Zamiast pytać, powiedział:

- Nie stworzono jej do takiego życia, prawda? Stone twierdzi, że powinniście wziąć sobie wolny dzień po obejrzeniu zdjęć z tych albumów.

- Znakomity pomysł. - Catlin ziewnęła. - Potrzebujemy tylko jeszcze kilku dni w zamknięciu.

- Za godzinę wrócę po wózek. Jeśli pokojówka zjawi się wcześniej, nie wpuszczajcie jej.

Gdy tylko za O'Donnelem zamknęły się drzwi, Catlin natychmiast je zarygłował. Poszedł do sypialni. Gdy otworzył, usłyszał szum prysznica.

- Śniadanie gotowe! - zawołał. Nie ufał sobie wystarczająco, by pójść za nią do łazienki. Wspomnienia o wspólnym prysznicu były ciągle zbyt żywe, zbyt gorące, zbyt kuszące.

Lindsay odkrzyknęła mu coś, potwierdziła, że słyszała jego słowa.

Wrócił do dużego pokoju, nalał sobie kawy, napełnił talerz. Zaniósł go do małej wnęki śniadaniowej. Jedynym znakiem, świadczącym, że nadszedł dzień, był jasny, bardzo wąski pasek jaskra wbiałego światła, przedostający się przez szczelinę w ciężkich, zielonych zasłonach.

Choć Catlin uwielbiał rzadkie, bezchmurne, pogodne ranki w San Francisco, nie rozsunął zasłon. Zbyt wielu ludzi zginęło, wyglądając przez okna na zewnątrz, podczas gdy snajperzy spoglądali przez nie do wewnątrz. Lee Tran wiedział o tym równie dobrze, a może nawet lepiej. Z powodu okien stracił więcej ludzi niż Catlin.

Zdażył zjeść nie więcej niż pół swej porcji przyprawio-

nej na ostro jajecznicy, gdy otworzyły się drzwi sypialni i do pokoju weszła Lindsay, bosa, z zarumienioną twarzą. Smukłe ciało okrywał ciężki jedwabny płaszcz kąpielowy, dokładnie w tym odcieniu różu, jaki miały w chwilach rozkoszy sutki jej piersi. Wyglądała wystarczająco dobrze, by zjeść śniadanie, ale Catlin zatrzymał tę myśl dla siebie. Jedna z „pluskiew” Stone'a znajdowała się niespełna dwa metry od nich.

- Usiądź - powiedział. - Ja ci nałożę.

- Dziękuję - odparła. - Zazwyczaj nienawidzę śniadań, ale po... - zamilkła, przypomniawszy sobie, dlaczego właśnie dziś jest aż tak głodna. Przypomniała sobie także o „pluskiewie”, ukrytej za olejnym obrazem, przedstawiającym wiejski pejzaż Anglii.

- Taaa. - Catlin uśmiechnął się do niej przez ramię. - Doskonale wiem, o czym mówisz. Ja też niemal nie przełknąłem wczoraj kolacji. Malloy każdemu odebrałby apetyt. Boże! - W jego głosie brzmiało obrzydzenie. - Czego to Stone od nas wymaga w nadziei, że znajdziemy mu tego woźnicę.

W oczach miał jednak zachwyt. Wręczył Lindsay pełen talerz, lecz gdy po niego sięgnęła, nie puścił. Podniosła wzrok zaskoczona i natychmiast zdała sobie sprawę, czego chce. Stała na palcach i pocałowała go. To, co miało być jedynie krótkim zetknięciem warg, przerodziło się w coś zupełnie innego, głębszego i znacznie bardziej satysfakcjonującego.

- Mmmm - stwierdziła Lindsay po dłuższej chwili. - Twarde. Ostre. Gorące. Dokładnie takie, jak lubię.

Uśmiechnął się leniwie.

- Ten twój szybki, ostry języczek wpędzi cię kiedyś w kłopoty - szepnął jej do ucha. Potem, już normalnym tonem, spytał: - Kawy?

- Poproszę. - Usiadła, wzięła talerz i spróbowała omletu. Był dokładnie taki, jaki przed chwilą opisała. Ta myśl wywołała na jej wargach uśmiech.

Jedli w przyjaznej ciszy, ciesząc się tą chwilą spokoju. Kiedy Catlin golił się i ubierał, Lindsay piła powoli drugą filiżankę kawy. Czuła głębokie zadowolenie. Najpierw myślała, że to tylko wielka, zmysłowa satysfakcja, którą jej zapewnił, ale popijając kawę zdała sobie sprawę, że czuje coś więcej, niż zwykłe nasycenie. Czuła się ciepło, spokojnie... bezpiecznie. Tak, to właściwe słowo. Bezpiecznie.

Ta absurdalna myśl sprawiła, że Lindsay roześmiała się głośno. Znajdowała się w samym środku tajnej akcji, zagrożona w wirze kłamstw, przyjaciele ją odtrącili, jej kochankiem był mężczyzna, trzymający pistolet na stoliku przy łóżku i budzący się przy najłżejszym szmerze, z oczami świecącymi jak u drapieźnika, a jednak czuła się bezpiecznie... i nie pamiętała już, kiedy czuła się tak po raz ostatni.

Nie usłyszała, jak Catlin wraca do pokoju, lecz gdy podniosła wzrok, stał tam, a jego piękne oczy smoka wyrażały niepokój i troskę. Nie martwiła się jego niepokojem, nie przejmowała się nawet myślą, że smoki potrafią zabić. W głębi duszy była przekonana, że nigdy w życiu nie była bezpieczniejsza, niż teraz z nim.

- Gotowa? - zapytał.
- Na co?
- Zgadywanie obrazków.

Pociemniałymi nagle oczami przyjrzała się podkoszulowi bez rękawów, który włożył i sprany, obcisłym dżin-som, ukazującym każdą linię jego potężnego ciała.

- Brzmi interesująco. Ty pokazujesz, ja zgaduję.

Uśmiechnął się. Jego złotobrazowe oczy pociemniały, gdy dostrzegł zachwyty w jej wzroku.

- Zróbmy to razem. Im wcześniej skończymy, tym lepiej się zabawimy.

Lindsay nic nie odpowiedziała, ale jej oczy mówiły wiele.

Catlin odsunął metalową ściankę, osłaniającą dolną półkę wózka i wyjął z niej dwa wielkie albumy-segregatory. Lindsay złożyła brudne naczynia, dołała sobie kawy i usiadła przy stoliku.

- Jeśli coś rzuci ci się w oczy - powiedział, kładąc obok niej pióro i mały notatnik - zapisz numer.

Otworzyła album na pierwszej stronie. Spojrzały na nią orientalne twarze. Niektóre ze zdjęć zrobiono najwyraźniej podczas rutynowych policyjnych przesłuchań. Inne przypominały reporterskie fotografie, nieco zamazane, robione w ruchu lub z dużej odległości.

- Spójrz na to z innej strony - stwierdził Catlin, otwierając drugi segregator. - Obydwoje mamy pewną przewagę nad innymi ludźmi. Wystarczająco długo mieszkaliśmy na Wschodzie, by rozpoznać drobne różnice rysów twarzy.

Lindsay podniosła wzrok, zaskoczona.

- To najświętsza prawda - mówił dalej, wpatrzony w zdjęcia. - Stare powiedzenie „oni wszyscy wyglądają tak samo” powtarza większość ludzi, niezależnie od tego, do jakiej należą rasy. Zapytaj każdego gliniarza. O wiele poważniej potraktuje opis Murzyna podany mu przez innego Murzyna, niż przez białego. - Powoli przewrócił stronę. - Dotyczy to zwłaszcza Azjatów. Na kilkaset metrów potrafią odróżnić Wietnamczyka od Koreańczyka. Większość białych dostrzega tylko mongolską fałdę i szeroko rozstawione kości policzkowe.

Catlin przewrócił kolejną stronę, przyglądając się zdjęciom krótko, doświadczonym okiem. Lindsay robiła to samo, tylko nieco wolniej. Na pierwszej stronie nie znalazła

nic interesującego. Przewróciła ciężką kartę. Kolejne twarze. Orientalne. Męskie. Między piętnastym a pięćdziesiątym rokiem życia. Żadnych wyraźnych blizn. Niektóre miejsca były puste, usunięto z nich fotografie. Zastanawiała się, czy tych ludzi aresztowano, czy może zmarli? Przesunęła wzrokiem w dół karty i krzyknęła, zaskoczona.

- Znalazłaś coś? - Catlin patrzył na nią z wyrazem napięcia.

- Znam go. Nie z ostatniej nocy, ale z Chińskiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Miłosierdzia, Nazywa się Wo Fong. To jego starszy brat. A to młodszy.

Przesunęła palcem po zdjęciach, wskazując krewnych Fonga. Odwracała kolejne karty, rozpoznawała kolejnych mężczyzn, znanych jej ze spędzonego w Chinach dzieciństwa, z samotnego dorastania w San Francisco, ze spotkań, w których uczestniczyła jako kustosz Działu Chińskich Brązów Muzeum Sztuki Azji. Lecz większość twarzy pamiętała z dzieciństwa - były to twarze ludzi, których znali jej rodzice. Twarze bez ciał, twarze prześladowające ją poprzez lata nieprzespanych nocy, lata koszmarów.

Z każdą obroconą kartą pogrążała się w dzieciństwo coraz głębiej i głębiej. „Kiedyś to robiłam. Zdjęcia. Twarze. Kiedy? Czemu?”

Poczuła niepokój. Zadrzała, jakby za oknem biła północ i z ciemnej studni lat właśnie wypływał koszmar. Próbowwała walczyć, powstrzymać tę niechcianą falę wspomnień, lecz nie potrafiła. Walczyła już zbyt długo, wygrywając w dzień, przegrywając nocą - a teraz nie była to noc, lecz niezmienny zmierzch twarzy, zalewających ją i prześladowających.

Przewracała karty ponuro, zastanawiając się, dlaczego po tak długiej i zwycięskiej walce przegrała w chwili, w której czuła się tak bezpiecznie. Bo przecież przegrywa-

ła. Wiedziała o tym. Czuła to po chłodzie, zwalniającym przepływ krwi. Czuła to jak gorycz na języku.

Strach.

Przewróciła kolejną kartę i dostrzegła go. Krzyknęła jak przerażone dziecko i nagle wokół niej wybuchła przeszłość.

Nie okłamuj mnie

20

- Lindsay!

Wołający ją głos dobiegał jakby z oddali. Wyczuła, że Catlin podchodzi, by stanąć obok i spojrzeć przez ramię na twarz z albumu.

- Tak - zgodził się, pokazując palcem zdjęcie. - To ten człowiek.

Lindsay drżała, choć gładził ją po ramieniu. Wróciła do wspomnień. Jest dzieckiem, nie kobietą, i właśnie zabiła wujka. Widziała, jak umiera, jak się dławi. Widziała krew płynącą jej przez palce. Wujek Mark nie żył, miała siedem lat i ojciec trzymał ją w objęciach. A teraz miała lat trzydzieści, w objęciach trzymał ją kochanek, a jej ojciec nie żył.

- Dostaję obłądu.

Nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to głośno, póki nie poczuła, jak Catlin podnosi ją z krzesła i tuli do piersi.

- Spokojnie, słodki kociaku, spokojnie - szepnął, niosąc ją na kanapę. Usiadł, przytulił ją, kołysał. - To tylko zdjęcie w albumie. Wszystko będzie dobrze. Nie dostanie cię, póki ja tu jestem. Wszystko w porządku, Lindsay. Jesteś bezpieczna.

- Zabiłam go. Nie rozumiesz? To ja go zabiłam!

Spojrzał w jej puste, ciemnoniebieskie oczy i dostrzegł to, co wielokrotnie już w nich widywał. Koszmar.

- Co widzisz? - zapytał łagodnie.

To samo pytanie zadał poprzednio, kiedy obudziła się jęcząc, w objęciach koszmaru. Lecz tym razem zaczęła mówić, teraz bowiem widziała wszystko jasno. Aż zbyt jasno.

- Miałam zostać w łóżku, ale córka Ha powiedziała mi, że wujek Mark wrócił. Nie mogłam czekać do rana na spotkanie z nim. Zawsze przynosił mi cukierki, kolorowe wstążki, radość.

Catlin czekał. Lindsay westchnęła głęboko. Wyobraził ją sobie jako dziecko - wesołe, inteligentne, marzące o drobnych prezentach i jasnych kolorach, tak rzadkich i cennych w świecie ubóstwa, w którym się wychowała.

- Mów - poprosił cicho, delikatnie całując ją w czoło.

- Och, Catlin! - Wtuliła twarz w jego szeroką pierś, głos jej drżał. - Zabiłam go!

- Opowiedz - poprosił. - Opowiedz i koszmar się skończy.

Ręce Lindsay zacisnęły się kurczowo na jego bawełnianym podkoszulku, palce wbiła mu w ciało. Nie zwracał uwagi na ból, nieprzerwanie gładził ją po włosach i ramionach. Powtarzał ciche, łagodne słowa, dodające jej odwagi jak dotyk i powolne kołysanie ciała.

- Ja... - głos się jej załamał. Przełknęła i spróbowała znowu. - Ja... mieszkałam wtedy z rodziną Ha, handlarza ryżem. Mamę i tatę wezwano do miasta na rozmowę z jakimś urzędnikiem. Czekałam, aż moja przyjaciółka zaśnie, a potem wyszłam cicho tylnym wyjściem i poszłam do domu wujka. Nikogo tam nie było. Przestraszyłam się. Wiał wiatr, było zimno, świecił księżyc w pełni. Sprawdziłam w kościele. Tam też go nie było.

Wyczuwał, jak pogrąża się w panice. Wciąż, powoli i delikatnie, gładził ją po włosach i ramionach.

- Czuję, że mnie śledzą - mówiła szeptem. - Zatrzymywałam się i odwracałam nagle, ale nie widziałam nikogo. Tylko cienie, skręcone, poruszające się pod drzewami - a może to był tylko koszmar? - Zadrżała. - Trudno powiedzieć po tylu latach. Wspomnienia. Kosmary. Ale jedno wiem na pewno i to nigdy się nie zmieni. Wujek Mark zginął, i to ja go zabiłam.

- Miałś zaledwie siedem lat - szepnął Catlin.
- Ale ile lat musi mieć zdrajca? - spytała gorzko.

Catlin przymknął oczy. Potrafił domyślić się tego, co mu powie i czuł narastającą wściekłość. Potrafił się domyślić, że zaufanie małej dziewczynki wykorzystał morderca, ale ona sama musiała to odkryć i wyrazić swe odkrycie głośno. To była jej prawda, jej koszmar, to ona nie potrafiła w pełni przyjąć do wiadomości czegoś, co zdarzyło się tak dawno temu i nadal rozdzierało jej duszę.

- Znałam miejsce, w którym wujek Mark spotykał się czasem z różnymi ludźmi. - Głos Lindsay był pełen bólu. Mówiła, a koszmar zniknął powoli, a na jego miejsce pojawił się strach. Strach zostanie z nią do końca życia. - Wiedziała, że to miała być tajemnica, ale nie zamierzałam przecież nic nikomu powiedzieć. Chciałam go tylko zaskoczyć, zobaczyć się z nim, więc pobiegłam przez wioskę na jedną z otaczających ją farm. Był tam z czterema innymi mężczyznami.

Zadrżała. Próbowwała coś powiedzieć. Głos się jej łamał, ale spróbowała znowu. Patrzył, jak po policzkach ściekają jej łzy. Żałował, że nie potrafi oszczędzić jej opowiedzenia tego, co musiała opowiedzieć. Lecz wiedział, że nie może jej przerywać.

- Ci inni byli na mnie źli, ale nie wujek Mark - teraz

mówiła tak szybko, że nie miała niemal czasu na oddech. - Wyciągnął ręce, przytulił mnie, rozległy się strzały, krzyki. On upadł. Chciałam zatamować krew, wypływającą z jego ciała... próbowałam, a ona wciąż płynęła mi przez palce. Wujek wykrzyknął wtedy jedno słowo... a potem umarł, a ja uciekałam... uciekałam...

- Co powiedział? - zapytał łagodnie.

Zamknęła oczy. Łzy zalewały jej policzki.

- Powiedział: „zdrada!”

- Nie myślał o tobie. - Catlin nie przestawał kołysać jej powoli. - Byłaś za mała, żeby wiedzieć, że żołnierze pójdą za tobą do miejsca, w którym oni się spotykali.

- Myślę... tak, teraz pamiętam... że to samo mówili mi rodzice, kiedy znaleźli mnie następnego dnia. - Lindsay odetchnęła gwałtownie. - Umyli mnie, przytulali, a potem... - Otworzyła szeroko oczy, przypominając coś sobie - ...potem kazali mi oglądać zdjęcia! Jak teraz! Dlatego ten koszmar wrócił! Twarze, i jeszcze więcej twarzy, zdjęcia, które matka robiła przez lata, zdjęcie po zdjęciu, twarz po twarzy. „Czy to ten człowiek zabił wujka? A może ten? Ten?” A kiedy mówiłam, że nie, że to ja go zabiłam, przytulali mnie i powtarzali ciągle, że to nieprawda, że go nie zabiłam. - Zamknęła oczy. - Ale to był mój błąd. Za bardzo chciałam go odnaleźć, usłyszeć jego śmiech.

- Byłaś dzieckiem, Lindsay. - Catlin pocałował jej powieki. - Małym dzieckiem. Ktoś to wykorzystał.

- Gdybym tylko nie była taka zachłanna...

- Gdyby twój wujek nie oddał się polityce - przerwał jej ponuro Catlin - toby go nie zastrzelili.

Szeroko otworzyła oczy, w ich granatowej głębi czaiło się zdumienie.

- Skąd wiesz o żołnierzach i polityce? Ja sama dowiedziałam się o tym dopiero kilka lat temu i nawet wtedy

mama powiedziała mi tylko, że wujek Mark nie żyje, czasy się zmieniły i lepiej, żeby przeszłość umarła razem z nim.

Catlin pieszczotliwie potarł twarz jej włosy.

- Wiem, bo wtedy w Chinach byli niemal wyłącznie żołnierze i polityka. - Pocałował ją w policzek, smakując łyzy, które powinna wylać wiele lat temu. - Czy wujek Mark był misjonarzem?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Więc pewnie związał się z chrześcijańskim podziemiem. - Patrzył na Lindsay, lecz nie dostrzegł w jej twarzy zrozumienia. - Misjonarze łączyli się w grupy i przemycali za granicę swych parafian, zwłaszcza tych, którzy walczyli przeciw komunistom, przegrali i zostali ogłoszeni zdrajcami, których można było rozstrzelać bez sądu - wyjaśnił. - Trzeba było wielkiej odwagi, by ukrywać tych ludzi, żywić, wykradać ich rodziny spod straży i pomagać im uciekać z Chin, by zaczęli nowe życie w Hongkongu, na Tajwanie lub w Ameryce. Żołnierze Kościoła w akcji. Imponujące i bardzo niebezpieczne. Podważać potęgę państwa - to zawsze jest niebezpieczne.

- Podważać potęgę państwa? - powtórzyła zdumiona, - Przecież rodzice byli misjonarzami, nie rewolucjonistami! Nie chcieli rządzić! Troszczyli się tylko o Boga i ludzi, których nawrócili.

- Dla komunistów religia to niebezpieczna polityczna konkurencja - zauważył Catlin z krzywym uśmiechem. - Bo to jest konkurencja, przynajmniej tak długo, jak długo politykę robi się z podobnym religijnemu zapałem. Mao nie godził się konkurować z nikim, nawet z Chrystusem. Po jego śmierci sporo się zmieniło. Polityka powoli znów staje się zawodem, a nie powołaniem. Ale to też może się zmienić - zauważył trzeźwo. - Może się zmienić w jednej chwili. Na razie równowaga jest bardzo krucha.

- Chen Yi - szepnęła. - Właśnie tego się boi, prawda?

- Częściowo. Jak wielu inteligentnych, wykształconych Chińczyków, nie sprzyjał rewolucji kulturalnej ani żadnej ze współczesnych prób stworzenia oryginalnej chińskiej wersji mroków średniowiecza.

- Co się stanie, jeśli nie znajdziemy brązów?

Catlin usiadł wygodnie, opierając się na poręczy kanapy. Pociągnął Lindsay tak, że niemal leżała mu na kolanach.

- Jeśli nie znajdzie ich także nikt inny, proeuropejski rząd Chin zdoła najprawdopodobniej jakoś załatać dziury i będzie nadal popychał kraj w stronę współczesności, przehandlując Małe Czerwone Książeczki na radia i lodówki, i oddając we władanie ludzkie dusze księżom raczej niż politykom.

- A jeśli je znajdziemy?

- Chen Yi i jego koledzy będą mieli dużo sprzątanina - powiedział, a potem dodał kpiąco: - Założywszy, że zachowają głowy na karkach i szczotki. W innym wypadku - wzruszył ramionami - zwyciężą izolacjoniści i ideologiczni puryści. Zacznie się kolejna runda czystek, Chiny odsuną się od świata i znów miliony ludzi umrą z głodu, nim władcy przypomną sobie prostą prawdę: czysta ideologia to kiepskie narzędzie do rządzenia krajem.

- Chen Yi... - Lindsay oparła mu głowę na piersiach - ...musi mieć nadzieję, że nie znajdziemy brązów.

Catlin roześmiał się cicho.

- Niezupełnie. Oczywiście, ma nadzieję, że je znajdziemy... i że okażą się fałszywe.

Usiadła prosto, z napięciem patrząc mu w oczy.

- Dlaczego?

- Bo jeśli ktoś wtedy straci twarz, to raczej Ameryka, a nie Chiny. Mielibyśmy do czynienia wyłącznie z żartem

z zachłannych kapitalistów, a nie policzkiem wymierzonym moralności chińskiej rasy.

- A ty myślisz, że będą fałszywe?

- Jeśli w ogóle istnieją, mogę przytoczyć argumenty na tak i na nie - stwierdził. - Ale w końcu nieważne przecież, co myślę. Prawdziwy Qin czy współczesna kopia, ty to rozpoznasz. Dowiemy się, kiedy nam powiesz. Właśnie dlatego Chińczycy nie chcieli do tej roboty nikogo oprócz ciebie. Jesteś nieskazitelnie uczciwa, masz wspaniałą reputację jako znawca brązów - i wszyscy wiedzą, że wypowiesz swoje zdanie niezależnie od tego, komu podpalisz stołek. Prawda to dla ciebie religia. - Uśmiechnął się kpiąco. - Chen Yi to cholernie cwany sukinsyn.

- Ale czy to on...? Czy on...? - Głos Lindsay załamał się.

- Czy jest on tego rodzaju człowiekiem, który mógłby szepnąć dziecku w ucho „Gwiazdka”, pójść za nim do Świętego Mikołaja i zabić go? O to mnie pytasz?

Drgnęła, ale nie opuściła wzroku.

- Tak - szepnęła. - Właśnie o to cię pytam.

- Mógłby - stwierdził Catlin głosem bez wyrazu. - I pewnie nawet by to zrobił, gdyby bardzo chciał dostać twojego wujka. A czy chciał? - Wzruszył ramionami. - Bardzo wątpię. Świat pełen jest ludzi jak on i twój wuj. Fanatyków, którzy znaleźli się w złym miejscu, w złym czasie. Założę się, że ten handlarz ryżu, ten Ha, też do nich należał. Kazał córce wyszeptać ci do ucha kilka słów, a potem patrzył, jak odchodzisz w ciemność.

Lindsay zadrżała.

- O Boże! - szepnęła. - Zostać wykorzystaną do czegoś takiego, zdradzoną... Nienawidzę kłamstw!

- Więc przestań sama się okłamywać! - rozkazał brutalnie. Widział, jak gwałtownie podnosi głowę, jak patrzy

na niego, zaskoczona. - Nie zabiłaś swego wujka, Lindsay. Zrobili to uzbrojeni mężczyźni. Gdybyś tę noc spędziła na macie, ktoś i tak by go zdradził i zamordował. Przez dłuższy czas w Chinach ludzkie życie nie było warte więcej niż garść gówna. Do diabła, jestem zdumiony, że twoim rodzicom udało się przeżyć! Mieli szczęście, że nie byli w miasteczku, kiedy polowanie się kończyło. - Ujął ją pod brodę. - Ty sama tylko cudem nie zginęłaś. Życie małej dziewczynki, a zwłaszcza zagranicznego diabła, nie znaczyło dla nich nic.

Objęła go nagle. Zadrżała.

- Ale krew! - szepnęła. - Tyle krwi!

- Wiem - powiedział cicho, kołysząc ją, pamiętając własne przerażenie, kiedy po raz pierwszy dostrzegł krew na swych dłoniach. - Wiem.

Nie powiedział, skąd wie, to bowiem nie przyniosłoby jej pociechy. Więc tylko tulił ją, a ona starała się powrócić do normalności, pozwalając, by przeszłość rzucała nowe światło na teraźniejszość. Proces ten miał nie mieć końca - dorosły widzi inaczej świat, który pamiętał z dzieciństwa. Ta nowa wiedza, choć przynosiła jej ból, była konieczna, pozbawiała koszmarów, czyniła ją silniejszą.

- Dziękuję - powiedziała w końcu, całując Catlina w ostro zarysowaną brodę. - Nikt mnie nigdy nie rozumiał. Chcieli, żebym poświęciła strach Bogu, a potem zapomniała. Wszyscy. Mama powiedziała, że wspomnienia nie przynoszą nigdy nic dobrego. Próbowалам zapomnieć. Sądziałam, że zapomniałam, ale...

- Śniłaś? - Catlin pogładził ją po włosach.

- Śniłam - zgodziła się z westchnieniem.

- I nienawidzisz kłamstw?

- Nienawidzę.

- I nie ufałaś nikomu? Nawet Bogu?

Podniosła wzrok, dostrzegła swe odbicie w pustych, bursztynowych oczach. Zastanowiła się, kto zdradził jego, kto zginał i czy kiedykolwiek Catlin zdoła zaufać komuś lub czemuś. Lecz nagle zdała sobie sprawę, że nieufność, jak koszmar, jak mężczyzna nazwiskiem Rousseau, jest częścią przeszłości. A ona żyje teraz. Mężczyzna nazwiskiem Catlin także.

- Ufam tobie - wyszeptwała. - Przy tobie czuję się bezpieczna. To dlatego przestałam walczyć z koszmarem, że byłeś ze mną.

Catlin chciał powiedzieć jej, że nie jest z nim bezpieczna, żeby mu nie ufała, że to nie on powinien odbijać się w jej ciemnych, pięknych oczach. Lecz nawet czując tę raniącą serce pewność, przytulił ją i pocałował, bowiem wiedział, że Lindsay musi komuś zaufać albo zagubi się wśród kłamstw, wśród których przyszło jej żyć. Wiedział to od samego początku.

- Czy teraz wszystko będzie w porządku? - spytał.

Skinęła głową. Rozluźniła się, wsparta na jego twardym, męskim ciele.

- Jestem zmęczona - powiedziała cicho - ale to inny rodzaj zmęczenia. Niemal... spokój. Dziękuję ci, mój smoku, moja miłości - szeptała, obejmując go znów, przytulając się do niego. - Nie ma nikogo podobnego tobie. Nigdy nie było.

Catlin znów przymknął oczy. Czuł ból, szarpący mu nerwy. Cena zdobycia drugiej połowy zniszczonej monety rosła, lecz nie mógł się zatrzymać, nie mógł zawrócić, pozostawała mu tylko jedna droga: iść przed siebie.

- Ufaj mi, jeśli musisz, Lindsay - szepnął w przepętnionej bólem ciszy. - Ale nie oszukuj się, nazywając to miłością. Zbyt drogo za to zapłacimy... oboje.

A jednak tulił ją chwilę dłużej, cieszył się spoczywają-

cym mu w ramionach miękkim ciałem. Przeklinał grę, do której się zgłosili - dobrowolnie. Później pocałował jej wilgotne od łez powieki i delikatnie zdjął ją z kolan.

- Lepiej zadzwonię do Stone'a - powiedział - i powiem mu, że oboje zidentyfikowaliśmy Chińczyka, który nas śledził.

W odpowiedzi podniosła jego dłoń do ust i złożyła na niej miękki pocałunek. Zamknął oczy, czując tę pieśczętę każdym nerwem ciała. Nie potrafił powstrzymać się przed ujęciem w ręce jej twarzy i pocałowaniem tak delikatnie, jakby była pięknym snem, wyłaniającym się z mroków nocy. Kiedy Lindsay podniosła głowę, oczy miała pełne łez. Gdy to zobaczył, poczuł przeszywający ból. Dowiedział się, że pragnie być przez nią kochany, pragnie, by żar jej szczerości roztopił gromadzące się przez lata zimne podejrzenia i sprawił, że będzie żył tak, jak nie żył nigdy przedtem.

Dorośnij - powiedział sobie twardo. Nie jesteś gówniarzem, nie odróżniającym rzeczywistości od gry. Wiesz, co to znaczy żyć w podziemiu. Kiedy wszystko to się skończy, Lindsay nie będzie chciała, by coś przypominało jej czas spędzony w piekle. Zapraśnie zapomnieć tak szybko, jak tylko jest to możliwe. A już z pewnością nie będzie sobie życzyła stałej obecności demonicznego kochanka, przypominającego jej piekło każdym spojrzeniem, każdym dotknięciem.

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc - powiedział w końcu - a stąd nie mogę. Kiedy wyjdę, zamknij drzwi na klucz. Nie wychodź z pokoju. Nie wpuszczaj nikogo oprócz O'Donnella.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- To ważne. - Nadaremnie starał się powiedzieć te słowa spokojnie, bez nacisku.

- Wiem. - Lindsay wspięła się na palce, muskając mu usta wargami. - Nie wyjdę. Nie wpuszczę nikogo oprócz O'Donnella.

W ciepłych ustach przyciśniętych do jego poczuł obietnicę i odsunął się, jakby go oparzyły. Odwrócił się, podszedł do stołu, zapamiętał numer identyfikacyjny interesującego ich zdjęcia i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Zatrzymał się na korytarzu tylko po to, by usłyszeć szcęk zamka.

Wyszedłszy z hotelu minął dwa pierwsze automaty telefoniczne. Trzeci znalazł w kawiarni. Gdy tylko zaczął wrzucać monety, w kolejce za nim ustawił się jakiś człowiek. Spodziewał się go, tak jak spodziewał się dwóch innych, którzy dyskretnie szli za nim z hotelu, i trzeciego, Chińczyka, stojącego przed kawiarnią i zaglądnącego do środka przez szybę.

- Stone? - Nie starał się nawet mówić cicho.
- Przy telefonie. To ty, Catlin?
- Masz coś do pisania?
- Mam.

Podał mu numer zdjęcia, poczekał, aż Stone go powtórzy, a potem powiedział:

- To ten nas śledził. Poczekał przy telefonie, podaj mi wszystkie informacje na jego temat.
- To zajmie parę godzin...
- Gównol!
- Posłuchaj...
- Nie, to ty posłuchaj - warknął Catlin do telefonu.
- Mam dziś inny „ogon”. Chińczyka. Mogę zwać go w jakiś zaułek i zdobyć wszystkie potrzebne informacje w ciągu minutki. I to właśnie zrobię, jeśli nie przestaniesz mnie kiwać.

Zapadła długa cisza. Nie przejmował się tym. Wiedział,

że Stone odłożył słuchawkę, poszedł do drugiego pokoju i stamtąd zadzwonił do lokalnego biura FBI.

- Nazywa się Joe Sheng - oznajmił po przerwie. - Wolny strzelec, ale często pracuje dla jednego z chińskich towarzystw dobroczynnych.

- Towarzystwa Toma Lee.

- To też, ale nieregularnie. Lee to zwykły, prosty gangster. Sheng pracuje głównie dla jednej z grup tajwańskich. Stowarzyszenie Dobroczynne Prawdziwych Chin czy coś takiego. Znaki, którymi napisano nazwę, mogą najwyraźniej mieć kilka znaczeń.

- Tak. Jak poezja. Coś jeszcze?

- Do diabła, Catlin, nie jesteśmy żadnymi cudotwórcami - stwierdził gniewnie Stone. - Wkrótce będę miał listę członków tych Prawdziwych Chin, może to coś pomoże. Sprawdźmy, który z nich ma dostęp do samochodu Chińskiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Miłosierdzia i albo nam to coś da, albo nie. Wygląda na to, że wszyscy w Chinatown należą do przynajmniej sześciu takich stowarzyszeń.

Z tym Catlin nie mógł się już spierać - Stone miał rację. Przeróżne chińskie stowarzyszenia tworzyły labirynt sprzecznych, choć uzupełniających się interesów religijnych, społecznych, osobistych i politycznych. One właśnie łączyły skądinąd wykluczające się cele i marzenia współczesnych uchodźców i Amerykanów pochodzenia chińskiego.

- A w dodatku - mówił dalej Stone - dziewięćdziesiąt pięć procent z tych stowarzyszeń jest najzupełniej legalne.

- To wyślij im Dyplom Prezydencki dla Wzorowych Obywateli - warknął Catlin. - Zadzwoni, kiedy będziesz już miał te nazwiska. Pośpiesz się! - Odwiesił słuchawkę i poczuł, jak stojący za nim mężczyzna dyskretnie pcha się

do przodu, chcąc zobaczyć na liczniku numer, z którym rozmawiał. Odwrócił się nagle - miał dość gry i chodzenia ścieżkami, które dawno porzucił i na które teraz wpychali go inni.

- Cofnij się - warknął.

Mężczyzna odsunął się powoli. Catlin znów się odwrócił, osłonił licznik i zadzwonił po raz drugi. Czekał, kiedy połączenie przerzucano na inny numer, i na kolejny. Kiedy je wreszcie uzyskał, bardzo cicho podał numer, otrzymany w Waszyngtonie od Chen. Znów ktoś podniósł słuchawkę, więc podał go jeszcze raz.

- Macie już jakieś informacje? - spytał.

Czekał, słysząc cichy, płaski stuk klawiszy komputera, do którego jego rozmówca wprowadzał numer.

- Tak. W końcu, wczoraj, złamaliśmy dziecięcę. To blok mieszkalny, należący do czegoś, co nazywa się Consolidated Overseas Chinese. Spółka z o.o.

- Kim są główni udziałowcy?

- Ling-Cheong Li, Martha Song-Ming Chuan i Samuel David Wang.

- Trafiony - westchnął Catlin. - Podaj adres. - Zapamiętał nazwę ulicy i numer, a potem spytał: - Coś jeszcze?

- Zebrałiśmy informacje o tych ludziach na wypadek, gdybyś pytał.

- I? - Uśmiechnął się słysząc, jaki zadowolony z siebie jest rozmawiający z nim mężczyzna.

- Sporo inwestują w ChRL. Budują duży hotel w Szanghaju i stalownię w głębi kraju, a także gwarantują niewielkie sumy państwowym gospodarstwom rolnym. Ling-Cheong Li to biznesmen z Hongkongu, starający się bardzo wkraść w łaski kontynentalnych Chin

- Mądry człowiek. Za parę lat Hongkong będzie należał do nich.

- Racja. Ale na naszego Li Ling-Cheonga nie musieli czekać aż tak długo. Już go mają. Naprawdę nazywa się Liu Zheng i jest agentem ChRL.

- A kobieta?

- Naturalizowana Kanadyjka. Smok nie baba. Ma sieć restauracji i kilka niewielkich centrów handlowych w Vancouver, zatrudnia głównie nielegalnych imigrantów z Republiki. Kanadyjczycy nie odpowiedzieli na nasze pytania, ale założę się, że sama ich sobie szmugluje i że niektórzy z nich są agentami.

- Trzeci współnik to też agent?

- Jeśli tak, to nie potrafimy tego udowodnić. Samuel David Wang jest Amerykaninem w czwartym pokoleniu. Jego babcia była białą protestantką... Najczystszy okaz WASP *. On sam studiował na Sorbonie. Polityczne poglądy ma mocno na lewo, ale nie należy do tych szaleńców od Che Guevary. Prawdziwy z niego przyjaciel Chińskiej Republiki Ludowej - no, ale z prezydenta też. Prawo nie zakazuje prowadzenia interesów z ChRL i popierania różnych sympatyzujących z nią grup w Stanach. Jak mówią, to wolny kraj.

- No dobrze... A może masz coś łączącego tych trzech współników z Mitchem Malloyem, Hsiang Wu, Tomem Lee lub Lee Tranem, Chen Yi i L.Stephenem Whittem? Nazwiska pisze się tak... - i Catlin przeliterował szybko nazwiska, używając wojskowego sposobu, w którym każdej literze odpowiada słowo. - Zrozumiałeś?

- Bez problemów. Czekaj.

Catlin czekał, podczas gdy mężczyzna przy telefonie

* WASP - (z ang.) White Anglo-Saxon Protestant, czyli: biały protestant pochodzenia anglosaskiego.

wprowadzał program, wybierający z plików wszystkie słowa, zaczynające się na oznaczone litery. Po nim wprowadził inny program, tym razem porównujący poszukiwania pierwszego z podanymi mu nazwiskami.

- Brak związków.
- Cholera! - Catlin zawahał się, a potem powiedział:
- Spróbuj innego zapisu chińskich nazwisk. Wstaw „o” zamiast „u”, „e-e” zamiast „i” i odwrotnie, „X” zamiast „Hs”. Poszukaj też samego nazwiska „Chen”.
- Sprawdzam - powiedział lakonicznie mężczyzna, wprowadzając poprawki.

Catlin czekał.

- Mam Chen Xiangxi. To kontynentalny kontakt Consolidated.
- Sprawdź go.
- Sprawdzam.

Catlin miał wrażenie, że upłynęły wieki, nim znowu usłyszał głos w słuchawce.

- W Chinach jest cała masa Chenów, a nazwisko niektórych pisze się fonetycznie przez „Q” zamiast przez „Ch”.

Catlin westchnął.

- Jakbym nie wiedział. Mamy coś na tego Chena?
- To członek starej rodziny, zajmującej się handlem. Podczas rewolucji zachowali się jak spryciarze i teraz znów dochodzą do głosu. Związki rodzinne na całym wybrzeżu Pacyfiku. Nic szczególnego. Standardowe informacje. Ostatnio, nim ja się do nich dobrałem, Consolidated sprawdzano trzy lata temu. Rutynowa kontrola. Nie złapaliśmy ich na niczym nielegalnym. Z tego, co tu mam, wynika, że Chen Xiangxi to tylko jeden z wielu urzędników państwowych. Jego zadaniem jest ułatwić chińsko-amerykańskim biznesmenom wydawanie dolarów w Republice Ludowej.

Catlin milczał przez chwilę.

- Sprawdź nazwiska, które ci podałem, w ogólnodostępnych aktach. Wszystko, na co trafisz, prównaj z tym, co już mamy.
- Ogólnodostępne akta - powtórzył powoli mężczyzna.
- Cholera, miałem nadzieję, że wyjdę stąd przed Gwiazdką.
- Zadzwoń.
- Jasne, mały. Tak za rok.
- Za godzinę.
- Oszczędź sobie dziesiątkę. No, może za miesiąc.
- Jutro. I dwudziestkę, nie dziesiątkę.
- Co?
- Wyjmij łeb z komputera - roześmiał się Catlin.
- Rozmowa telefoniczna kosztuje w Kaliforni dwadzieścia centów.

Delikatnie odwiesił słuchawkę, przerywając potok dobrodusznym obelg. Wrzucił kilka kolejnych monet, wykręcił numer, który podał mu Chen Yi, i czekał na włączenie automatycznej sekretarki. Nagrany głos Chińczyka przemówił w mandaryńskim. W tym samym dialekcie powiedział:

- Mówi Rousseau. Mam zamiar zgubić „ogon”. Proszę być w domu Samuela Davida Wanga o pierwszej. Zaczekam pół godziny. Jeśli pana tam nie będzie, założę, że otwarty został sezon polowań i mogę robić, co tylko chcę, dla ochrony Lindsay Danner. A jeśli to nastąpi, niech pan się modli, żebym nie wpadł na pana, Chen Yi. Jest pan pierwszy na mojej liście.

Odwiesił słuchawkę, zadzwonił do sklepu Sama Wanga i poprosił o rozmowę z właścicielem. Dzięki znajomości mandaryńskiego ominął dwóch jego pomocników i wreszcie Wang podszedł do telefonu. Nim zaczęli rozmowę,

usłyszał dźwięk podnoszonej słuchawki. Ktoś ich podsłuchiwał.

- Nadal mówisz po francusku? - zapytał w tym języku.
- Tak - odparł Wang.
- Pamiętasz tego smoka, który nie jest na sprzedaż?

Chwila wahania.

- Pamiętam.
- Ciągłe masz go w domu?
- Tak.

- Przyjadę go sobie obejrzeć o pierwszej. Spodziewam się jeszcze kogoś. Jeśli chcesz utrzymać swe zyskowe kontakty z Chińską Republiką Ludową, upewnij się, czy twoi studzy są wystarczająco lojalni lub daj im wolne popołudnie. Rozumiesz?

- Co ty sobie wyobrażasz? Że niby kim jesteś? - w gniewie Wang przeszedł na angielski.

- Rozumiesz? - powtórzył Catlin twardo, również po angielsku.

- Tak, ale...

Odwiślał słuchawkę. Zadzwoił do hotelu. Lindsay odpowiedziała po drugim sygnale.

- Coś mi wypadło - powiedział jej. - Wrócę dopiero o trzeciej. Wytrzymasz tyle zamknięta?

- Tak.

- Zadzwoię z recepcji, żebyś wiedziała, kto puka do drzwi - obiecał. - Lepiej bądź na miejscu, słodki kociaku.

Obiecay, że będziesz.

- Obiecuję - przyrzekła cichym głosem.

Bardzo delikatnie odwiślał słuchawkę.

Nie okłamuj mnie

21

Catlin spojrział na zegarek, a potem przeszedł powoli przez hol do hotelowej restauracji. Sprawiał wrażenie człowieka myślącego wyłącznie o jedzeniu. Wyjście kuchennymi drzwiami prowadzącymi w zaułek zabrało mu kilka sekund. Minął dwie bramy, skręcił w trzecią, po przeciwnej stronie uliczki, wskoczył do kuchni innej restauracji i wyszedł frontowymi drzwiami. Poruszając się szybko, lecz dyskretnie, przemykał między idącymi chodnikami ludźmi, aż wreszcie wskoczył do tramwaju. Wysiadł w ten sam sposób, w biegu, i przez sklep dostał się do innego zaułka. Zachował się tak jeszcze trzykrotnie, nim zyskał całkowitą pewność, że jest sam.

W godzinę później siedział cicho w budzie wypożyczonej półciężarówki, zaparkowanej przy jedynej drodze prowadzącej do domu Wanga. Przydymione szyby sprawiały, że był niewidoczny, on sam zaś mógł bez przeszkód obserwować ulicę. Obserwował ją jeszcze przez następne dwie godziny. Nikt nie interesował się jego półciężarówką. Żaden samochód nie minął domu Wanga więcej niż jeden raz. W pobliżu nie dostrzegł obserwatorów.

Z całą pewnością był sam.

Za pięć pierwsza poszedł do domu Wanga, kierując się w stronę tylnego wejścia. Cicho przeszedł przez piękny

ogród, zatrzymując się przed drzwiami domu z pistoletem w dłoni i, kryjąc się za framugą, zapukał. Gdy drzwi uchyliły się lekko, nawet nie czekał na wyraźniejsze zaproszenie. Kopniakiem otworzył je szerzej i przecisnął się obok stojącego za nimi człowieka.

- To ty! - powiedział Wang.

Catlin zauważył, że Wang jest nie uzbrojony. Jednym płynnym ruchem schował pistolet do kabury.

- Tak, to ja - przytaknął, mijając gospodarza w drodze do kuchni. - Czy Chen Yi już tu dotarł?

- A ma się pojawić? - Twarz Wanga nawet nie drgnęła.

- Spróbuj innego chwytu - rzucił mu przez ramię, idąc w stronę frontowych pokoi. - Gdyby Chen nie powiedział ci, że masz mnie wpuścić, czekałbyś przy kuchennych drzwiach uzbrojony.

Ciemne oczy Chińczyka zwięziły się. Zaczął coś mówić, lecz zrezygnował i tylko podążał za Catlinem.

- A co by się stało, gdybym czekał? - spytał, gdy wchodzili do dużego pokoju.

- Z bronią?

Przytaknął skinieniem głowy.

Catlin tylko się uśmiechnął.

- Ach, smoku! - Chen Ti wynurzył się z alkowy, kryjąc się wspaniałego, fałszywego smoka. - Czy to nie ty próbowałeś mi wybić z głowy drażnienie tygrysa?

- Ufam, że tego trzyma pan na krótkiej smyczy - stwierdził Catlin z kpina w głosie. Zwrócił się do Wanga. - Wybieraj. Możesz zostać tu i wysłuchać naszej rozmowy, ale jeśli coś z niej przecieknie w świat, zabiję cię, albo wskoczyć w to swoje wystrzałowe, czerwone ferrari i pojeździć sobie przez godzinkę lub dłużej.

Wang spojrzał na Chena, który czekał cierpliwie na jego decyzję, nie mówiąc nic.

- On niczego ci nie podpowie - stwierdził beznamiętnie Catlin. - Nie może. Nie rządzi mną.

Zwężone, czarne oczy mierzyły go przez długą chwilę.

- Teraz rozumiem, dlaczego nazywają cię smokiem - stwierdził w końcu Wang. - Nie umiesz chodzić przy nodze, co?

Catlin roześmiał się. Ceni! Wanga, choć wiedział, że być może będzie musiał go zabić.

Chińczyk odpowiedział mu skinieniem głowy. Z uśmiechem spojrzał na alkowę. Smok stał w niej nadal: zręczny, żywy, promieniujący talentem współczesnego twórcy.

- No proszę, a ja miałem nadzieję, że Lindsay zmieniła zdanie w sprawie autentyczności mojego brązu. - Gestem wskazał wnękę.

- Och, dla niej to też prawdziwa sztuka - wyjaśnił mu Catlin. - Tyle tylko, że nie jest stary.

- A co ty o tym sądzisz?

- Sądzę, że to jeden z najwspanialszych brązów, jakie widziałem w życiu. Jest w nim niepokonana siła.

Wang przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, znów skinął głową, uklonił się Chenowi i stwierdził:

- Służba czcigodnemu reprezentantowi Chińskiej Republiki Ludowej sprawiła mi wielką radość. Jeśli nie jest ci już potrzebna moja skromna osoba, oddałę się.

Chen lekko skinął głową. Wang wyszedł.

Catlin czekał, póki nie usłyszał, jak ferrari odjeżdża długim, krętym podjazdem. Dopiero wtedy zwrócił się do Chena. Chińczyk obserwował go uważnie. Jeśli denerwował się lub zastanawiał, o co tu właściwie chodzi, doskonale ukrywał to pod obojętną maską polityka... lub szpiega.

- Lubi pan ryzyko - stwierdził, zapalając papierosa i zaciągając się głęboko. - Pan Wang nie musiał w sposób tak uprzejmy udostępnić nam swego domu.

- Jeśli mowa o ryzyku, przy panu jestem dzieckiem - odparł natychmiast Catlin. - Drażnienie tygrysów to jedno. Wynająć i drażnić smoka, to coś zupełnie innego.

- Ach! - Chen Yi znów się zaciągnął. Papieros rozjarzył się. - Proszę mówić dalej. Drażnienie smoka to bardzo poważna sprawa.

Oczy Catlina zwięziły się w cienkie, bursztynowe linie. Rozważył słowa Chena i zdecydował, że są one raczej bezpośrednie niż sarkastyczne. Nie miało to zresztą szczególnego znaczenia. Wynik starcia będzie i tak ten sam, niezależnie od tego, czy Chen kpi, czy mówi poważnie. Jeśli nie uzyska informacji, których potrzebuje, Chińczyk będzie musiał poszukać sobie nowego smoka.

- Zapytałem kiedyś, dlaczego nie użył pan Sama Wanga jako swojego konia pociągowego. Otrzymałem odpowiedź, że nie należy on do pana. Teraz zadaję ponownie to pytanie. Dlaczego nie użył pan Wanga?

- Koń pociagowy? Ach! Przypominam sobie tę metaforę! - Chen Yi uśmiechnął się lekko. - Tak. Koń pociagowy. Dokładnie. - Zaciągnął się, wypuścił dym i zaciągnął się znowu. - Motywy się nie zmieniły. Pan Wang nie należy do mnie.

- Należy jak cholera! Używa pan jego domu jako skrzynki kontaktowej, sporządził pan listę gości na jego aukcję, a on zaprosił wszystkich. Jeden z dwójki jego wspólników w Consolidated Overseas Chinese jest agentem Chińskiej Republiki Ludowej!

Catlin uważnie obserwował Chena, lecz dostrzegł tylko oddzielający ich welon dymu.

- Weźmy pod uwagę reputację Wanga jako handlarza, miewającego od czasu do czasu fantastyczne brzozy - mówił dalej. - Ludzie sądzą, że dostaje je dzięki kontaktom wśród uchodźców. Wie pan, co ja o tym myślę? Myślę, że

płaci mu się brzozy, a jego pracodawcą jest Chińska Republika Ludowa. Sprytnie. Czysto. Bez śladu. Działań trzeciego wspólnika Consolidated też nie sposób wyśledzić. Szmugluje chińskich agentów wśród prawdziwych imigrantów. Niewątpliwie to ci agenci przywożą wynagrodzenie w postaci niezwykle, starożytnych brzozy.

Chen przypatrywał mu się szparkami czarnych oczu, czujnych, nieruchomych.

- Nie chciał pan użyć Wanga do znalezienia zaginionych brzozy, bo mogłoby go to spalić - podsumował Catlin. - Wiedział pan, że chłopcy z FBI przewentylują każdego wybranego przez pana człowieka od stóp do czubka głowy. Wang nie wytrzymałby sprawdzenia. Ja, tak.

W pokoju panowała cisza, słychać było tylko szybki oddech Chena, zaciągającego się dymem papierosa.

- Tak, jak mówiłem - stwierdził cicho Catlin - musiał pan ryzykować, by wszystkich zgromadzonych podczas akcji informacji o operacjach amerykańskiego kontrwywiadu nie zrównoważyło to, czego Amerykanie dowiedzą się o was.

Papieros rozjarzył się jaskrawo.

- Proszę wyjaśnić.

Catlin skrzywił się.

- To proste. Pod rządami Mao Chiny Ludowe odcięły się od Zachodu i od współczesności. Teraz chcą znów prowadzić ogólnoswiatową grę polityczną. Ale jednego bardzo im brakuje: informacji. Bez wymiany handlowej, bez stosunków dyplomatycznych, nawet bez kontaktów ze światem, które przynosi wojna, Chiny nie mają żadnego pewnego sposobu zdobycia informacji o Stanach Zjednoczonych. Dla ChRL Ameryka to wielka niewiadoma, a jednak to właśnie Ameryki potrzebują dla zrównoważenia rosyjskiej

dominacji na tak długo, by znaleźć swe miejsce w nowoczesnym świecie.

Chiny mają wiele do nadrobienia i muszą to zrobić bardzo szybko. O wiele łatwiej jest przechwytywać informacje niż dochodzić do nich w długim procesie, który nazywamy tu procesem badań i rozwoju. I znacznie taniej. Rosjanie odkryli to po II wojnie światowej. Szpiegostwo to najprostsza forma przyspieszenia procesu badań i rozwoju. Ale, by wasi szpiedzy byli skuteczni, musieliście poznać możliwości kontrwywiadu przeciwników. Mówiąc dokładniej, musiał pan wiedzieć, ile kłopotów może sprawić pańskim ludziom CIA i FBI.

Chen Yi nie mówił i nie robił nic. W powietrzu kłębił się papierosowy dym.

Catlin znów się uśmiechnął i znów ten uśmiech mógł oznaczać wszystko.

- Historia z brązami cesarza Qin to wyjątkowo błyskotliwy pomysł, Chen Yi. - powiedział Catlin skłoniwszy się lekko. - Ich poszukiwanie jest jak powiedzenie „Sezamie, otwórz się” wszystkim tajemnicom amerykańskiego kontrwywiadu. Lecz ten pomysł okazał się aż za dobry, prawda? To, co zaczęło się jako najzupełniej fikcyjny scenariusz, wypracowany przez najlepszych oficerów chińskiego wywiadu, zostało przejęte przez pokonanych przez Denga maoistów. Przeciwnicy Denga zaczęli używać sprawy „zaginionych” brązów do wstrzymywania polityki postępu. Maoiści i izolacjoniści podnieśli krzyk, że Chiny tracą twarz wskutek nieczystych knozań kapitalistów. Wasz pomysł na przeniesienie Chin w dwudziesty wiek szybko i niedrogo przejęty został przez zachowawczych fanatyków i użyty do jeszcze głębszego pogrążenia pańskiej ojczyzny w izolacji i stagnacji.

Śmiejąc się Catlin zapytał:

- Czy zna pan takie powiedzenie: „Złapać się we własne sidła”?

Odpowiedziała mu cisza. Chen wydmuchnęła tylko w powietrze wielki kłęb dymu.

- A co z „założeniem sobie pętli na szyję”? Słyszał pan to kiedyś? - dodał kpiąco. - Ukradzione brązy Qin wymyślono jako prosty plan zebrania informacji o kontrwywiadzie Stanów Zjednoczonych. Nieoczekiwanie wrogowie przejęli ten plan, używając go przeciw panu i przeciw tym, którzy za panem stoją. Przeciw samemu Dengowi. I mów tu o stłuczeniu wszystkich jajek, kiedy przewraca się gniazdo! Ktoś dał mu mocnego kopniaka! - Catlin zaśmiał się sarkastycznie. - To nawet za łagodnie powiedziane, Chen Yi. - Ma pan jajecznicę... na rękach i na twarzy.

Chińczyk zaciągnął się gwałtownie. Jego twarz nie wyrażała niczego.

- Nie może pan nawet zminimalizować strat mówiąc: „Hej, koledzy, to tylko żart. Chiny nie straciły twarzy. Brązy cesarza Qin są bezpieczne” - mówił dalej Catlin. - Nie może pan tego powiedzieć, bo nie potrafi pan w żaden sposób udowodnić, że brązy są bezpieczne i zawsze były bezpieczne. Jak udowodnić, że nie naruszono trzydziestu kilometrów kwadratowych ziemi, w której pogrzebano dzieła sztuki?

Uśmiech zniknął z twarzy Catlina. Wpatrywał się w nieruchomą twarz Chena.

- Nie da się tego udowodnić, a maoiści nie uwierzyliby, nawet gdyby przyznał się pan do tego całego oszustwa. Nie zostawili panu możliwości wyboru. Trzeba było kontynuować plan zbierania informacji przeciw Stanom Zjednoczonym, używając jako pretekstu skradzionych brązów. Wprowadził pan tylko jedną, pomniejszą poprawkę. Jakieś brązy powinny pojawić się w Stanach, bo tylko jeśli - i kiedy

- złapałoby się złodziei, można byłoby oznajmić, że sytuacja jest pod kontrolą. Tylko wtedy można byłoby stwierdzić, że ducha Chin nikt już nie wykrada spod góry Li. A to oznaczało, że trzeba było znaleźć odpowiedni kanał do przetrzucenia „ukradzionych” brązów do Stanów. Tę sprawę spaprał pan po raz pierwszy, używając handlarzy narkotyków i podobnych im, podejrzanych kupców, z których żyją handlarze pokroju Mitcha Malloya. Zorientował się pan w popełnionym błędzie, nim Malloy zdołał obedrzeć pana ze skóry... i zaczął pan szukać lepszego, pewniejszego kanału.

Chen trwał nieruchomo, milcząc. Nic nie świadczyło, że jest świadomy faktu, iż Catlin mówi głośno.

- Ale nadal podejmuje pan cholerne ryzyko. Naprawdę, osiodłał pan tygrysa. Wyłącznie fałszywe brązy wygrają za pana propagandową bitwę w domu - tylko wątpię, by nawet panu udało się zamówić, zadbać o ich wykonanie i chemicznie postarzyć kopie brązów Qin od chwili, gdy Mitch Malloy pokazał, jak niebezpiecznie jest wchodzić w interesy z autentycznymi oszustami. A gdyby nawet sfałszowanie brązów było fizycznie możliwe, czegoś takiego nie udałoby się utrzymać w tajemnicy. Wiedzieliby o tym zbyt wielu ludzi. Widzieliby je zbyt wiele oczu. Mówiliby o nich zbyt wiele języków. Udałoby się wysledzić kopie i dotrzeć aż do pańskich ludzi, a wtedy stałby pan w gównie po szyję, próbując wylać je na świat wiaderkiem i głoścąc wszem i wobec, że maoiści nie mieli racji w sprawie Denga, kapitalizmu i utraty twarzy.

Catlin spojrzął poza plecy Chena - na smoka - wspaniałego, milczącego, skulonego na czarnym stole.

- Nie - odezwał się znów cicho, jakby do siebie. - Brązy, które pojawiłyby się w Ameryce, musiałyby być autentyczne, co stawiało pana przed strasznym problemem, pro-

blemem, który mają wszyscy złodzieje: jak je ukraść? Jak je przemyć? Jak je sprzedać?

Nie patrząc na Chena, podszedł do brązowego smoka i delikatnie przesunął palcem po jego pokrytym łuską grzbiecie.

- Nie wiem, jak rozwiązano dwa pierwsze problemy - powiedział - i nic mnie to nie obchodzi. Chodzi mi tylko o to, jak te brązy zostaną sprzedane, ponieważ to podczas sprzedaży Lindsay wystawiona będzie na największe niebezpieczeństwo. Wtedy właśnie wszystko nagle może się zawalić, a bandyci, maoiści i czort jeden wie kto jeszcze wyleżą ze szcurzych nor.

Zapadła długa cisza. Catlin czekał. Badał smoka pełnym zachwytem wzrokiem i delikatnymi palcami.

- Proszę mówić dalej - odezwał się w końcu Chen cichym głosem. - Słuchać człowieka o umysłowości legalisty to rzadka przyjemność.

- A więc od czasu do czasu powinien pan myśleć głośno - stwierdził rzeczowo Catlin.

Chen roześmiał się. W jego śmiechu brzmiały jednocześnie radość i żal.

- Ach, smoku, powinienes być moim synem!

Catlin skrzywił usta w uśmiechu tak wieloznacznym jak śmiech Chińczyka.

- Wątpię, by któryś z nas przeżył to doświadczenie.

- Ach! Najprawdopodobniej ma pan rację.

Uśmiechając się nadal, Chen wrzucił dymiący niedopałek papierosa do popielniczki.

- Taka piękna historia dumy i nadziei, krzywdy i zdrady - powiedział po dłuższej chwili - że nie powinienem niczego do niej dodawać. Lecz, niestety, muszę.

- Słucham.

Nieoczekiwanie Chen Yi uśmiechnął się szczerze.

- Tak, smoku. Doskonale potrafisz słuchać. Lepiej słuchasz, niż mówisz. To rzadka cecha u mężczyzny, choć często spotykana wśród smoków.

Zapalniczka otworzyła się z trzaskiem, stal zgrzytnęła o kamień, a potem znów rozległ się stuk metalu o metal, kiedy Chen ją zamknął.

- Nie zaprzeczę, ale i nie potwierdzę opisanego przez pana schematu - powiedział w końcu. - Powiem tylko, że gdybym był moim własnym wrogiem - maoistą i izolacjonistą, jak ich pan nazwał - wykorzystałbym plotki o ukradzionych brązach dokładnie tak, jak to pan sugerował, a także szukałbym okazji do propagandowego zamachu stanu. Próbowałbym przekonać nie przekonanych wśród rządzących, że kapitalizm korumpuje całkowicie chińską moralność.

Zaciągnął się papierosem, zerknął na Catlina i mówił dalej:

- Gdybym był mym własnym wrogiem, przekupiłbym ludzi koniecznych do dokonania kradzieży brązów Qin, przemycenia ich i sprzedaży w Stanach Zjednoczonych. Gdybym był mym własnym wrogiem, byłbym w pełni świadom, że kopie mogą podważyć mój własny plan, Chiny bowiem nie tracą twarzy, jeśli zachłanni kapitaliści nabiorą się na fałszywe dzieła. Upewniłbym się więc, że nikt tych kopii nie stworzył i nie przesznułował.

Gdybym był mym własnym wrogiem - ciągnął - zadbowałbym, by oceniający brązy w Ameryce cieszyli się niepodważalną reputacją, a więc był także w stanie potwierdzić bez najmniejszych wątpliwości, że dzieła rzeczywiście pochodzą z Xi'anu i Chiny rzeczywiście pokazały światu zawstydzoną twarz, wchodząc w układy z kapitalistycznymi psami. Gdybym był moim własnym wrogiem, wybrałbym człowieka jak pan, by „pomógł” mi w Ameryce

- wybrałbym człowieka, będącego niegdyś największym przeciwnikiem Chin, bezlitosnego, dla którego przeszłość dawnego przeciwnika nie znaczy nic.

Gdybym był mym własnym wrogiem, wybudowałbym dla siebie klatkę, z której nie byłoby ucieczki.

Catlin przyjrzał się drapieżnemu kształtowi smoka. Dotknął palcem złotych inkrustacji ożywiających go, a jednocześnie świadczących o jego wieku. Milczał przez kilka chwil, a później podniósł na Chena oczy koloru złotych inkrustacji, zdobiących stare brązy.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że pańscy wrogowie w całości przejęli grę, którą zaczął pan sam? Że pańscy wrogowie ukradli jakieś brązy Qin, przemycili je do Stanów i zmuszają pana do kontynuowania wysiłków, prowadzących do ich odnalezienia? A kiedy już zostaną odnalezione, spowodują upadek i pański, i samego Denga?

Chińczyk zaciągnął się, wydmuchnął dym i zaciągnął się ponownie, nie odrywając oczu od twarzy Catlina.

- Mówię tylko, co bym zrobił, gdybym był mym własnym wrogiem - powiedział spokojnie.

- Czy to pan kontroluje brązy Qin, czy pańscy wrogowie? Jest pan graczem, czy przesuwany przez graczy pionkiem? - spytał Catlin wprost.

Chen wyrzucił papierosa do popielniczki gestem, świadczącym o wielkim zmęczeniu.

- Wszyscy jesteśmy pionkami. Nawet ty.

- Boże w niebiosach! - westchnął Catlin, zdając sobie sprawę, do czego właśnie przyznał się Chen Yi. Wszystko, do czego doszedł o własnych siłach, było prawdą. To, co zaczęło się jako sposób na zebranie informacji o Stanach Zjednoczonych przy użyciu płotki o ograbieniu grobu cesarza Qin, zmieniło się w zamach stanu, planowany przez nienawidzących Denga maoistów.

- Tego się spodziewałem - powiedział ochryplym głosem. - To jedyne rozwiązanie, mające jakiś sens. Przede wszystkim nie powinien pan chcieć Lindsay, mając ją bowiem nie można nawet rozsiać plotek twierdzących, że dzieła, które znalazły się w Ameryce, są kopiami. Z jej reputacją powinien pan trzymać ją jak najdalej od brązów!

Chen zapalił kolejnego papierosa, nie mówiąc ani słowa. Nie musiał. Catlin rozumiał wszystko... i nie podobało mu się to.

- Pan chciał zrujnować jej reputację - mówił dalej. - Wiedział pan, że nie jest to konieczne, by zwabić do niej złodziei - oni i tak musieliby się z nią skontaktować! Musieli! To była część planu pańskich wrogów. Tylko jeden sposób można było przeszkodzić w jego realizacji: niszcząc reputację panny Danner. Więc dosypał pan czegoś do herbaty, którą pili nasi dzielni towarzysze, przyjechał pan do Waszyngtonu i załatwił, że zrujnuje reputację Lindsay, żeby ocalić pańską. Zgadza się, Chen Yi? - Z głosu Catlina przebijała wściekłość. - Może pan teraz wrócić do Chin i stwierdzić, że nie można już ufać Lindsay w sprawie brązów, ponieważ jest w stanie powiedzieć i zrobić wszystko, by zadowolić swego demonicznego kochanka.

Chen Yi uśmiechnął się lekko słysząc, jak Catlin opisuje sam siebie.

- Lecz Lindsay do tej pory ani razu nie skłamała w sprawie brązów - stwierdził smutnym głosem. - I nie skłamię. - Zaciągnął się gwałtownie. - Sprawdzono to i udowodniono. Nie raz, lecz dwa razy. Chciał pan kupić brązy, które uznała za fałszywe. Nie zgodziła się ich nabyć. Nie chciała poświadczyć autentyczności kopii nawet, by sprawić przyjemność kochankowi. Nie ugięła się wobec konieczności zachowania twarzy w stosunku do mężczyzny, który uczynił jej zaszczyt, nazywając ją swą córką.

Gdy chodzi o brązy, Lindsay Danner mówi wyłącznie prawdę. Tu jej reputacja jest, przyznając z żalem, nieskazitelna.

Oczy Catlina zweźliły się. Przypominały cienkie paski złota.

- Czy Hsiang wie, że ktoś w jego sklepie podsłuchuje dla ludowych Chin?

Chen wydmuchnął dym, nie mówiąc nic.

Nie zaskoczyło to Catlina. Nie spodziewał się odpowiedzi. Patrzył na nieruchomego smoka i próbował kontrolować narastającą wściekłość. Reputację Lindsay zrujnowano w służbie sprawy, przegranej, nim Chen Yi w ogóle przyjechał do Stanów. Niszczono ją w walce politycznych ideologii, toczącej się w bardzo dalekim kraju.

- A teraz już łapie się pan brzytwy, prawda? - zapytał w końcu.

- Brzytwa to wspaniała broń. Mając brzytwę można zdobyć... wszystko.

- Cholera! - warknął Catlin. Przyglądał się smokowi nie widząc go, ważył wypowiedziane przez Chińczyka słowa. De w nich było kłamstwa, ile prawdy, jak je rozróżnić, jak wyjaśnić tę jedną, jedyną rzecz, która się jeszcze nie zgadzała.

- Dlaczego ja? - zapytał w końcu. - Nie potrzebował pan tłumacza, ale nawet gdyby pan go potrzebował, nie wybrałby pan człowieka, który widzi kłamstwa niezależnie od tego, czy otoczy się je kłębam dymu, czy ukryje za jednostronnym lustrem. Nie jest pan głupcem, Chen Yi. I pańscy przeciwnicy nie są głupcami. Dlaczego przyszedł z połową monety pan właśnie do mnie? Dlaczego pozwolił na to pańscy przeciwnicy?

- To oni dokonali wyboru za mnie - stwierdził Chen Yi.

Catlin wyczuł kryjące się za tymi prostymi słowami zadowolenie.

- Tak, jak Stone wybrał Lindsay? - odpowiedział pytaniem.

Chen Yi uśmiechnął się niewyraźnie.

- Wierzyli, że jest pan moim wrogiem. Był pan nim kiedyś i może nim być znowu. Ale nie jest pan nim, zarabiając na drugą połowę monety.

- Dlaczego? Dlaczego chciał pan właśnie mnie?

- Pokazujesz światu dumną twarz - stwierdził Chińczyk po prostu.

Catlin powtarzył sobie w myśli te słowa, wążąc możliwości.

- W porządku - powiedział w końcu. - Wiedział pan, że spłacę dawny dług. Oznacza to, że nikt nie zdoła wyrwać mnie panu ani groźbą, ani przekupstwem. Mimo wszystko najważniejsze pytanie pozostaje bez odpowiedzi: co mam dla pana zrobić? Co zadośćuczyni faktowi, że rozpoznałem kłamstwa?

- To, o czym mówiłem wcześniej. Ma pan strzec Lindsay Danner. Nic więcej. I nic mniej. Jesteś wyjątkowo odpowiedni do tej roli, smoku. Jesteś wystarczająco inteligentny, by jej pomóc, gdy zagubi się wśród tych wszystkich kłamstw. Umiesz zdecydować, kiedy uderzyć, a kiedy powstrzymać się i zadawać pytania, które zadajesz teraz. Jesteś człowiekiem, który, kiedy uderza, zadaje śmierć. Nikt nie potrafiłby lepiej strzec jej dni i nocy.

- A czemuż to martwi się pan o zdrowie Lindsay? - spytał bez ogródek Catlin. - Powinien pan być na czele listy tych, którzy chcą ją widzieć martwą i w grobie.

- Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek. - Chen Yi niemal krzyknął. Czubek jego papierosa rozjarzył się się raz i drugi. Po chwili odezwał się zza zasłony dymu: - Dwadzieścia pięć lat temu napadnięto na ojca i syna. Poraniono ich i pozostawiono na pastwę losu. Znalazła ich pewna kobie-

ta. Nie pytała, czy są komunistami, czy nacjonalistami, buddystami, chrześcijanami czy ateistami. Zabrała ich do domu, narażając siebie i swoją rodzinę. Troszczyła się o nich, karmiła ryżem z własnej miski, poiła herbatą z własnej filiżanki, bandażowała im rany kawałkiem materiału wyrwanego z własnej sukni.

Czarne oczy Chena błyszczały. Głos miał dziwnie napięty, niemal piskliwy.

- Kiedy ojciec i syn wili się w gorączce i bólu, siadała między ich matami i czytała, łagodząc ich cierpienia swym głosem. Gdy krzyczeli w ciemnościach nocy, przychodziła do nich niosąc świecę, siadała z nimi, otwierała zniszczoną książkę, którą kochała nad życie, i czytała im. W nocy, w mroku rozproszonym płomykiem jednej świecy, jej włosy były jak błyszcząca złotem rzeka. Była aniołem czytającym o aniołach. A jej głos... jej głos... - Cha Yi przerwał, nie mogąc mówić dalej.

- Jak srebrzysty sen - skończył Catlin, pamiętając słowa, które niegdyś usłyszał z ust Chińczyka. - Głos Lindsay. Włosy Lindsay. Matka Lindsay. - Zamilkł, przypominając sobie inne fragmenty jej przeszłości. - To pan wezwał jej rodziców do miasta tej nocy, gdy mordercy zabili jej wujka.

- Wyleczyła nas i nigdy o nic nie poprosiła - stwierdził Chen Yi, nie odpowiadając bezpośrednio na to pytanie. - Nie zapytała nawet o nazwisko!

- W ten sposób na zawsze związała pańską i swą rodzinę. Spłacacie dług. To kwestia zachowania twarzy. - Catlin potrząsnęła głową rozumiejąc, jak zawiązane w przeszłości układy wkradają się w teraźniejszość, kształtując ją. Zachowanie twarzy, duma i dług przekazywany z pokolenia na pokolenie, jak rytualne brzozy.

- Matka Lindsay nie miała o tym wszystkim pojęcia.

Nie przyjęłaby ciężaru pańskiej wdzięczności Odrzuciłaby go, gdyby była świadoma jego istnienia. Postępowała zgodnie z nakazami swej religii.

- Ja wyznaję własną religię - stwierdził spokojnie Yi.
- Nie potrafiłem ocalić życia jej męża. Jak jego brat, był człowiekiem wielkiej odwagi i jeszcze większej głupoty. Nie przyjmował do wiadomości ostrzeżeń i w końcu kolejny powrót do Chińskiej Republiki Ludowej okazał się ostatnim.

- Sądziłem, że umarł podczas podróży na Tajwan?
- Wielu ludzi w to wierzy.
- Jak matka Lindsay?
- A czy ma to jakieś znaczenie? - Chen Yi zaciągnął się głęboko. - Żyła i zmarła wśród chińskich wieśniaków, dzieląc ich ubóstwo i naiwną wiarę w opiekuńczego Boga. Sądzę jednak, że w końcu stała się prawdziwą Chinką. Sądzę, że umarła, kochając utracone Chiny bardziej, niż swe europejskie bóstwo. Spalam mnóstwo kadzidła modląc się, by przekazała tę miłość swej pięknej i związanej poczuciem obowiązku córce. A ja dałem jej córce coś, co poznali tylko nieliczni ludzie: opiekę smoka,

Catlin przyglądał się swym dłoniom przez długą, długą chwilę, oglądając odciski i stwardnienia na palcach, blizny po odbytych walkach, wspominając brutalną siłę, która pozwoliła mu wrócić żywym z miejsc, gdzie wielu równie bezlitosnych ludzi zginęło.

Jakby z oddali usłyszał, jak Chen Yi zapala kolejnego papierosa. Kiedy wreszcie oderwał wzrok od swych dłoni, Chen przyglądał mu się uważnie. Chen, który był zarówno pajakiem, jak i muchą złapaną w skomplikowaną sieć, tylko częściowo przez niego utkaną, sieć ciągle rozciągana w różnych, czasem przeciwnych, kierunkach. Chen, który był człowiekiem inteligentnym, pokazującym światu du-

mną twarz, który ryzykował wszystko, stawiając na wytrzymałość jednej, cieniutkiej nici, który miał nadzieję, że rozciągnie się ona z matki na córkę, z przeszłości w przyszłość, zmieniając losy ludzi i krajów. Narzucono mu to ryzyko, ale przyjął je i uczynił własnym. Jak mistrz sztuki walki, starał się wykorzystać szybkość, siłę i broń przeciwnika przeciw niemu samemu.

Catlin powoli schylił przed nim głowę jak Chińczyk, kłaniający się wrogowi, którego szanuje.

- Należałoby się od pana uczyć, Chen Yi.
Chen odpowiedział mu ukłonem.
- Uczyłem się od pana, panie MacArthur.
Catlin przesunął wzrokiem po giętkim ciele smoka.
- Czy można coś zrobić, by przyspieszyć dostarczenie brązów? - spytał w końcu.

- A czy można coś zrobić, by upewnić się, że Lindsay dokona właściwego wyboru? - Chen odpowiedział mu pytaniem.

Catlin odwrócił się ku niemu z błyskawiczną, śmiertelnie groźną szybkością.

- Jedynym właściwym wyborem jest wybór, z którym będzie w stanie żyć! - powiedział. - Bowiem, kiedy to wszystko już się skończy, będzie musiała żyć ze wspomnieniami, z żalem i ze wszystkim innym. Jaja chronię, Chenie Yi. Ją całą. Ciało i duszę. Zdecydował się pan na to ryzyko, kiedy pokazał mi pan drugą połowę monety.

Chińczykowi nie spodobały się jego słowa, ale przecież ich właśnie się spodziewał. Po kolejnej chwili milczenia pogodził się z tym, co usłyszał.

- Ptak z jednym skrzydłem - powiedział cicho, przypominając sobie stare powiedzenie i delikatny zarys jaskółki na uszkodzonej monecie. - Czy fruwasz teraz lepiej, ptaku, gdy znalazłeś już swą drugą połowę? - A potem, nie czeka-

jąc na odpowiedź, której się chyba nie spodziewał, mówił dalej: - Sądzę, że woźnica Qin mógł już dotrzeć do Stanów.

Catlin poczuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach.

- Gdzie? Kiedy?

- Tego także nie mogę przesądzić. Nie znam imienia czy imion ludzi, którzy tu, w San Francisco, pracują ręką w rękę z moimi nieprzyjaciółmi.

- Kogo pan podejrzewa?

- Każdego z gości na aukcji Wanga - stwierdził bez ogródka Chen Yi,

Catlin chrząknął. Nie mówiło mu to niczego, czego by już nie wiedział.

- A co z Pao i Zhu,.. czy pańscy czcigodni i zdradzieccy towarzysze wiedzą o Wangu?

- Wiedzą, że ma kapitalistyczne związki z Chinami. Jeśli chodzi o działalność jego współników... - wzruszył ramionami - towarzysze Zhu i Pao mogą, ale nie muszą, być jej świadomi.

- Czy to Wang zawiadomi was, kiedy i gdzie będziemy mogli obejrzeć dzieło?

Po raz pierwszy Yi się zawahał.

- To interesująca możliwość - powiedział w końcu cicho. Zapalił w milczeniu kolejnego papierosa, wydmuchnął kłęb dymu i dodał równie cicho: - Nie sądzą. Moi wrogowie niewiele mogliby mu oferować, a ode mnie może otrzymać wszystko. On buduje. Ja też. Moi przeciwnicy nie!

- To - Catlin patrzył na jakże współczesnego smoka, przyczajonego na stole, jakby szykował się do skoku - jest przede wszystkim kwestią interpretacji. A jak doskonale wie właściciel tego smoka, sama rzeczywistość jest również kwestią interpretacji.

Chen roześmiał się cicho, choć jego śmiech niewiele miał wspólnego z wesołością.

- Proszę o tym pamiętać. Proszę także pamiętać, że nie wszyscy nieprzyjaciele panny Danner są Chińczykami. Czcigodny pan Stone ma co do niej swe własne plany i musi troszczyć się o własną twarz. Jakby to pan ujął: musi uprawiać własny ogródek. Proszę zadbać, by panna Danner nie posłużyła mu za nawóz do tego ogródka.

- Jeśli jej użyje, to z pewnością nieświadomie.

- Jestem pewiem, że bardzo pocieszny to nawóz - stwierdził sucho Chińczyk.

Catlin uśmiechnął się.

- Słyszałem pana, Chen Yi. Pracowałem już z ludźmi takimi jak Stone. Wiem, czego się po nich spodziewać. Zatoszczą się o Lindsay, ale nie uznają jej za swojego człowieka. Interesuje ich bardziej polowanie na skalpy niż ich ochrona. - Uśmiech Catlina zmienił się w coś znacznie mniej przyjemnego. - To samo dotyczy pana. Dlatego właśnie przyszedł pan do mnie. Jeśli Lindsay umrze teraz na pańskich rękach, nie utraci pan twarzy. To ja poniosę odpowiedzialność za jej śmierć. Ja stracę twarz, pan ją zachowa. Rozumiem to, Chen Yi, dokładnie tak, jak pan rozumie, że jeśli znajdzie pana w pobliżu Lindsay, zabije.

Papieros zabłysnął jasną iskrą, a potem płaskim łukiem poleciał do popielniczki. Chińczyk ruszył w stronę wyjścia.

- Jeśli znów się spotkamy, będę otoczony przez nieprzyjaciół - powiedział. - Więc mam nadzieję, że nie spotkamy się, smoku, spotkanie bowiem oznaczałoby, że przegrałem. Że znaleziono woźnicę Qin.

Nie okłamuj mnie

22

Catlin ułożył brudne naczynia na wózku, wypchnął go na korytarz i dokładnie zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył Lindsay siedzącą na kanapie i wpatrzoną w zasunięte zasłony. Twarz miała spokojną, lecz jej oczy sprawiały wrażenie bardzo ciemnych. Nie pytała go gdzie był i co robił, choć dostrzegł ciekawość w jej wzroku, kiedy otwierała drzwi i wpuszczając go do pokoju. Podczas wczesnego obiadu milczała. Nie zadała żadnych pytań, wpatrywała się tylko w niego granatowoniebieskimi oczami.

A teraz patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- Pół grosza za twe myśli - powiedział podrzucając w dłoni przeciętą monetę.

- Pół? Pokaż?

Rzucił jej ten kawałek metalu szybko, bez wahania. Nie zdziwił się, że złapała go bez najmniejszego wysiłku. *Taiji-quan* nie tylko uspokajało umysł, ćwiczyło także refleks.

Przyjrzała się uszkodzonej monecie, spoczywającej na jej dłoni. Z trudem rozpoznała delikatne linie przeciętego w połowie ptaka w locie. Kształt skrzydła powiedział jej, że jest to jaskółka. Blask metalu w linii przecięcia poinformował ją z kolei, że ma do czynienia z miedzią.

- Han? - spytała.

Przytaknął skinieniem głowy.

Przyjrzała się monecie z uśmiechem.

- Śmierć starożytnych brązów, które oboje kochamy - stwierdziła. Podniosła wzrok i dostrzegła, jak brew Catlina unosi się w niemym pytaniu.

- Miedziane monety - wyjaśniła. - Weszły w powszechne użycie za czasów dynastii Han. Wagowo czysta miedź jest znacznie cenniejsza niż w stopie z cyną w formie brązu. Kiedy zdano sobie z tego sprawę, wielka epoka i brązów dobiegła końca. A teraz, gdy monety robi się ze złota, srebra i niklu, nie ma już mistrzów brązów. Umarli : i nigdy się nie pojawiają.

\ - Ktoś zrobił smoka Wanga - stwierdził Catlin, myśląc i o dziele, które widział przed paroma zaledwie godzinami.

Lindsay zamknęła oczy. Wspominała to dzieło.

- Tak. Ktoś go zrobił. Co za szkoda, że takie piękno ', i taka inteligencja służą kłamstwu. - Otworzyła oczy, przyglądała się uszkodzonej monecie. - Skąd ją masz?

i - Dostałem od kogoś.

Jeden rzut oka na jego twarz upewnił Lindsay, że Catlin \ powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia na ten ! temat. Uśmiechnęła się smutno i odrzuciła mu pieniądze. i Złapał go, nie przestając patrzeć jej w oczy. Widział w nich \ strach.

i - Znowu koszmar? - spytał cicho.

¹ - Nie... tylko myślę.

Tak bardzo chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona, '- trzymać w objęciach, aż oboje nie będą już w stanie myśleć : o niczym oprócz ognia, rodzącego się z zetknięcia ich ciał. i Wiedział jednak, że zmysłowość służy przede wszystkim jemu, a nie jej, że to on przede wszystkim pragnie zapomnieć i że to konieczność zapomnienia powoduje, iż pragnienie zalewa go w rytm uderzeń serca.

- O czym? - Schował monetę do kieszeni.

- Jestem jak ta moneta. Tyle odcięto. Tyle zginęło.
 - Nie rozumiem.
 - Chiny - wyjaśniła po prostu. Zabrzmiało to i jak przekleństwo, i jak westchnienie. - Urodziłam się tam, Catlin. Dorastałam, czując się Chinką. Moja matka także nie mogłaby kochać tego kraju bardziej, nawet gdyby się w nim urodziła. Umarła jako wygnaniec, ale otaczali ją ludzie, których kochała.

- Ty także jesteś wygnańcem?

- ' Tak. Nie. - Westchnęła ochryple, mógł to być śmiech, mógł to być szloch. - Nie wiem. Czasami czuję zapach imbiru smażącego się w zamkniętej stalowej misie i jest tak, jakby ktoś wsadził mnie w maszynę czasu: znów mam pięć lat, myję warzywa dla cioteczki Liu i śmieję się, aż mnie brzuch boli, z jej opowieści o mądrych wieśniakach i głupich poborcach podatków. Czasami czuję zapach świeżo skopanej ziemi, skropionej wiosennym deszczem i znów mam sześć lat, jestem w polu z kobietami, sadzę maleńkie cebulki, błoto przecieka mi przez sandały i ile razy podniosę wzrok, widzę wśród mgły sylwetki, które mnie otaczają, sadzą cebulę, tak jak ja ją sadzę. Mgła zaciera wszystkie różnice, tłumi głosy, aż brzmią jak padający na miękką ziemię deszcz. Jestem wśród ludzi, zawsze wśród ludzi, tulą mnie, śmieją się i uczą.

- A koszmar? - zapytał Catlin obojętnym głosem.

- Och, on też tam jest. Odgłosy strzałów. Krew wujka. Łzy matki. Ale teraz, kiedy pamiętam już, co się naprawdę stało... - Zamknęła oczy. - To smutne, Boże, to takie smutne, ale... - głos się jej załamał - ...ale w końcu to tylko jedna śmierć, koszmar jednego dziecka. Chińczycy tak cierpieli. Zwłaszcza wieśniacy. A chcieli tylko siał, żenić się i mieć dzieci, czcić przodków, żyć i umierać jak Chińczycy. Przez wszystkie te wieki chyba w ogóle nie obcho-

dziło ich, kto rządzi krajem, jak długo jakiś władca pozwalał chłopom żyć i umierać z odrobiną godności.

Catlin usiadł obok niej.

- Większość ludzi chce właśnie tego - powiedział.

- I większość tego nie dostaje. Nie w Chinach. Nie w tym stuleciu. Mają tylko wojnę, głód i śmierć. - Spojrzała mu głęboko w oczy, jakby spodziewała się dostrzec w nich prawdę. - A teraz wszystko zacznie się od nowa? Chiny Ludowe użyją pretekstu w postaci brązów, by rozpaść się na kawałki, a władcy będą walczyć o ochłapy, jak głodne psy?

Zamknęła oczy. Nie miał czasu odpowiedzieć. Mówiła dalej.

- Drugi raz w ciągu dwóch tygodni cieszę się, że mama umarła. Płakała nad losem wieśniaków, aż oczy miała w kolorze krwi. Tata ją przytulał i opowiadał o czasach, kiedy wszystko się zmieni, kiedy bezbożników u władzy zastąpią ludzie bogobojni, a ja leżałam obok, słuchając i marząc, że zrobię coś, co im w tym pomoże. O tym właśnie myślałam, Catlin. O rodzicach, Chinach i łzach.

Strząsnął palcem wiszącą jej na rzęsach łzę. Przytulił ją, cichutko wyszeptał jej imię.

- To dobrze, że mama nie żyje. - Lindsay położyła mu głowę na piersi. - Tyle miała nadziei po śmierci Mao. Taka była pewna, że nadeszły wreszcie długo wyczekiwane, wspaniałe czasy. Planowała ponowne otwarcie starej misji w Xi'an. Miała wrócić do domu. Gdyby wiedziała, że nic się nie zmieniło, umarłaby z rozpaczy.

- To nie całkiem prawda. - Wytarł jej z policzka kolejną łzę. - Na dobre czy na złe, chiński rząd dosiadł już tygrysa zmian. To bez różnicy, kto wygra tę rundę: puryści spod znaku Mao czy postępowcy Denga. Tygrysa wypusz-

czono z klatki. Rząd nie może się cofnąć. Może tylko trzymać się w nadziei, że wjedzie na tygrysie w nowe czasy.

- A co z ludźmi? Co zrobią teraz, kiedy tygrys jest na wolności?

- Będą siał, wychowywać dzieci i znosić wszystko, co jeszcze przyjdzie im znieść - powiedział cicho. - Robią to od pięciu tysięcy lat. Będą robili przez kolejne pięć tysięcy. To najtwardszy naród na świecie.

Krzyknęła ze zdumienia i podniosła głowę.

- To właśnie wujek Mark mawiał mamie! A potem zwywał Boga pytając, dlaczego są tacy twardzi. Chyba chodziło mu o to, że gdyby zbuntowali się wcześniej, nie musieliby znosić tego wszystkiego.

Pomyślał o ludziach, którzy walczyli, o ludziach, którzy zginęli i o tym, ile razy cudem udało mu się ująć śmierci. Mocniej przytulił Lindsay.

- Może - powiedział cicho. - A może częściej by umierali? Nie sposób powiedzieć. To właśnie jest najgorsze. Po prostu nie wiadomo.

Lindsay obróciła się w jego ramionach, aż przylegała do niego całym ciałem i mogła go objąć tak, jak on obejmował ją. Choć nie powiedział nic więcej, wyczuła, że mówi o własnej przeszłości. Chciała go o nią zapytać, dowiedzieć się więcej o mężczyźnie, którego serce tak mocno biło pod jej policzkiem. Chciała pocieszyć go, tak jak on pocieszył ją.

Z zamkniętymi oczami i policzkiem złożonym na jej miękkich włosach, Catlin rozkoszował się tą chwilą spokoju. Kiedy zadzwonił telefon, instynktownie napiął ramiona: nie chciał, by coś im przeszkodziło. Za drugim dzwonkiem Lindsay poruszyła się niespokojnie.

- Ja odbiorę - powiedział.

- Nie - odparła. - Siedź, odpoczywaj. To pewnie znów

O'Donnel. Chce na ciebie nawrzeszczec, że zgubiłeś agentów.

Patrzył, jak wchodzi do sypialni i pragnął, by znowu usiadła mu na kolanach.

Podniosła słuchawkę przy trzecim dzwonku.

- Halo?

Nieznajomy głos powiedział coś szybko po kantońsku. Zrozumiała trochę, ale niewiele.

- Proszę poczekać - powiedziała najpierw po angielsku, a później w mandaryńskim. Przykryła słuchawkę dłonią. - Catlin? Jak sobie radzisz z kantońskim?

Zerwał się z kanapy jednym płynnym ruchem i wyjął jej z ręki słuchawkę. Płynnie władał kantońskim.

- Panna Danner ma kłopoty z pana dialektem. Proszę mi pozwolić dokonać dla niej tłumaczenia.

- Jesteś Rousseau?

- Byłem. Teraz nazywam się Catlin.

- Chińskie Chrześcijańskie Stowarzyszenie Miłosierdzia ma prywatną kaplicę. Panna Danner wie, gdzie się ona znajduje. Jeśli chcecie obejrzeć pewne niezwykle brzy, bądźcie tam za dziesięć minut. Jeśli chcecie wyjść z niej żywi, upewnijcie się, że nikt was nie śledzi.

Połączenie zostało przerwane.

Catlin spojrzał na Lindsay.

- Wiesz, gdzie znajduje się kaplica Chińskiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Miłosierdzia?

- Tak. To jeden z tych pięknych budynków wynurzających się znienacka z najgorszych ruder Chinatown. Kolisty, z okrągłym wysokim dachem, ogrodzony wysokim murem, ma wewnętrzny ogród i...

- Możesz nas tam zaprowadzić?

- Tak.

- He to potrwa?

- Dziesięć minut, może trochę dłużej.
 Catlin wykręcił numer Stone'a i czekał. Rozpoznał głos, który odezwał się w słuchawce.

- O'Donnel, daj mi Stone'a. Już!

- Co...?

- Już!-Jego głos ciął jak bicz.

Cisza. Po chwili w słuchawce zabrzmiały twardo wypowiedziane słowa.

- Mówi Stone!

- Albo mamy, czego chcieliśmy, albo dostaliśmy zaproszenie na nasz własny pogrzeb. A może jedno i drugie naraz. Sprawdź, czy nie ciągniemy „ogona”. Upewnij się, do cholery, że nie będziemy mieli żadnego, jasne?

- Ale...

- Oddaję słuchawkę Lindsay. Powie ci, dokąd jedziemy. Trzymajcie dystans. Przynajmniej dwie przecznice.

- A jeśli to pułapka?

- To siedzimy w gównie po szyję i nie pomogłbyś nam nawet z oddziałem komandosów. Pamiętaj, Lindsay to nasza jedyna nadzieja na zbliżenie się do brązów. Nie pozwól jej spalić. Trzymaj się na dystans. Teraz tylko pokażą nam, co mają. Nie wspomnieli o pieniądzach.

- Jezus, Maria! - warknął Stone. - Dajcie przynajmniej założyć sobie podsłuch.

- Nie ma czasu. Nie są głupi, Stone! Podali termin.

Nie czekając na odpowiedź, oddał słuchawkę Lindsay. Podczas gdy rozmawiała z FBI, wyjął pistolet, sprawdził, czy jest naładowany i włożył z powrotem w kaburę. Zabrało mu to zaledwie parę sekund. Otworzył szufladę nocnej szafki, wyjął z niej dwa dodatkowe magazynki, włożył je do kieszeni sportowej, sztruksowej marynarki, którą miał na sobie.

Lindsay odłożyła słuchawkę i odwróciła się ku niemu.

- Jeśli nie chcesz, żeby FBI nas śledziło, dlaczego powiedziałeś im, gdzie jedziemy?

- Nie mamy czasu, żeby zgubić ich ludzi, zwłaszcza jeśli jednym z nich będzie O'Donnel. Módlmy się, by Stone był tak cwany, za jakiego się uważa.

- Nie dzwonisz do Chena?

- Nie. - Zmierzył ją spojrzeniem żółtych oczu. - Nie ufaj mu, Lindsay - powiedział cicho. - Nie ufaj nikomu oprócz mnie. W całej tej cholernej grze tylko ja stanę między tobą i kulą.

Była zbyt zszokowana, by coś na to odpowiedzieć.

- Gotowa? - spytał spokojnie.

Wziął ją pod ramię, nie czekając na odpowiedź. Wyszli z hotelu. Po niespełna dziesięciu minutach byli już przed kaplicą. Wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Lindsay: piękna, bardzo chińska, wybudowana wśród ruder. W powietrzu unosiły się dźwięki dialektu kantońskiego jak ostra, atonalna muzyka. Na ulicy aż roiło się od dzieciaków i czarnowłosych kobiet. Mężczyźni stali w grupach, paląc papierosy, rozmawiając. Długi, biały stiukowy mur, otaczający kaplicę, zdobiły wypisane sprayem znaki chińskie - *graffiti* Nowego Świata, mówiące o feudalnym podejściu do życia, zrodzonym na długo przed narodzinami Chrystusa.

Kiedy ramię w ramię podeszli do wysokiego zewnętrzny muru, otworzyła się czarna, masywna brama ozdobiona wypukłym reliefem w postaci trzech znaków chińskich. Dyskretnym ruchem Catlin wyjął pistolet. Wszedł do środka, ukrywając go w przylegającej do nogi prawej dłoni. Lewa spoczywała na ramieniu Lindsay, gotowa popchnąć ją lub pociągnąć w zależności od tego, z której strony pojawi się zagrożenie.

Chłopiec, który otworzył bramę, był sam. Fryzura i ubranie świadczyły, że przybył do Stanów bardzo niedaw-

no. Catlin obserwował go uważnie - zbyt wiele widział w Azji dzieci-żołnierzy, by lekceważyć go tylko dlatego, że chłopak nie miał jeszcze szesnastu lat.

- Prowadź - rozkazał po kantońsku.

Ciemne, lekko skośne oczy chłopca rozszerzyły się. Pochylił się w odpowiedzi na słyszalną w głosie i widoczną w całej postawie Catlina stanowczość. Jeśli dostrzegł trzymaną dyskretnie broń, nie pokazał tego po sobie. Odwrócił się bez słowa i poprowadził ich pracowicie wygrabioną ścieżką. Po jej obu stronach rosły artystycznie przycięte iglaki. Przez ogród płynął, wijąc się, sztuczny strumień, rozszerzający się w basen, nad którym gęsto rosły kwiaty lotosu. Choć miał zaledwie trzydzieści metrów długości, sprawiał wrażenie dużej powierzchni.

Catlin ocenił go jednym rzutem oka. Wiedział, że niebezpieczeństwo nie pojawi się tu z prostego powodu: nie ma się gdzie ukryć. Jeśli zastawiono na nich pułapkę, to z pewnością wewnątrz kaplicy. Schował pistolet do kieszeni sportowej marynarki, ale nie zdejmował palca ze spustu.

Sama kaplica miała mniej więcej rozmiar ich hotelowego apartamentu z czworgiem drzwi: troje po prawej i jedno po lewej stronie. Prowadziły do osobnych sal; z niektórych z pewnością można było przejść do jeszcze innych. Budynek był prawdziwym labiryntem, rozrastającym się przez lata, w miarę jak rosły zasoby stowarzyszenia.

Chłopiec przeprowadził ich przez kuchnię. Zapachy świeżego imbiru, zielonej cebuli, czosnku i oleju z orzeszków ziemnych przesycały nawet ściany. W dodatku oprócz zwykłej kucharki gazowej i piecyka była tam także druga kuchnia, mająca zamiast palników trzy okrągłe wgłębienia na wielkie misy, podgrzewane od spodu, aby uniknąć strat ciepła. Obok chińskiej kucharki stała mała, wyprostowana kobieta, rąbiąca tasakiem pędy bambusa. Podniosła na nich

wzrok, złożyła ręce, pochyliła się w ukłonie i wróciła do pracy.

- Znasz ją? - spytał Catlin, kiedy, prowadzeni przez chłopca, wchodzili do jednego z pokoiów, przylegających do kaplicy.

- Nie - odparła Lindsay.

- Ona nie kłaniała się dzieciakowi. Oznacza to, że człowieka, z którym mamy się spotkać, nie tylko się tu boją, lecz także go szanują. Wygląda na to, że jesteśmy czcigodnymi gośćmi jakiegoś wielkiego przywódcy.

Prowadzeni przez kolejne sale wokół kaplicy, niemal nie spotykali ludzi. Same sale były niewielkie, przesycone zapachem papierosowego dymu i kadzidła, umeblowane mieszaniną mebli europejskich i orientalnych. Na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające Jezusa oraz chińskie pejzaże haftowane jedwabiem przy użyciu szydełek tak cienkich, że jeden krajobraz był tworzony przez jedną kobietę w ciągu całego jej życia, a kilka kobiet poświęciło na jego zrobienie dziesięciolecie.

- Do czego wykorzystują wszystkie te salki? - Catlin zwrócił się z tym pytaniem do Lindsay na widok kolejnej sali wypełnionej krzesłami i małymi stolikami.

- Szkółka niedzielna, lekcje języka chińskiego i angielskiego, spotkania obywatelskie, *madzong*, wszelkie imprezy towarzyskie. Większość domów jest tu mała i strasznie przepełniona - dodała. - Jeśli więcej niż dwoje ludzi chce się ze sobą spotkać, mogą albo stać na rogu ulicy, albo przekrzykiwać się w zgiełku jakiejś miejscowej restauracji, albo zostać członkami któregoś ze stowarzyszeń i korzystać z jego sali spotkań. Miejsca takie jak to, to serca chińsko-amerykańskich społeczności.

- Wygląda mi to na dość puste serce.

Lindsay zmarszczyła brwi. Ona też o tym pomyślała.

W jej wspomnieniach budynek ten zawsze pulsował życiem. Cisza wewnątrz, w odróżnieniu od ciszy panującej w ogrodzie, niepokoiła ją. Z niechęcią zdała sobie sprawę, że Catlin może mieć rację, idąc tędy z palcem na spuście schowanej w kieszeni broni. Ta myśl bynajmniej jej nie uspokoiła. Kaplica pod wieloma względami była dla niej domem, takim jak dom ciotki.

- Jesteśmy na miejscu - mruknął Catlin.

Chłopiec zatrzymał się przy rzeźbionych, błyszczących lakierem drzwiach. Otworzył je, uklonił się i odsunął na bok. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Catlin dostrzegł, że ten pokój jest duży, pusty i ma co najmniej jeszcze jedno wyjście. Przy przeciwległej ścianie stał niezwykle piękności jedwabny parawan, zasłaniając, być może, kolejne drzwi. Dwa krzesła ustawiono tyłem do niego, przy niskim stole, trzecie zaś po jego przeciwnej stronie. Na tacy stał biały dzbanek na herbatę i trzy małe filizanki. Kształt zastawy podnosił prostotę do rangi sztuki.

Puścił ramię Lindsay, pozwalając jej wejść do sali, sam zaś przeniósł jedno z dwóch krzesel na drugą stronę stołu: oba stały teraz tyłem do pustej ściany. Gestem pokazał jej, że może usiąść. Stał za nią, z prawej strony. Znow wyjął pistolet, trzymając go lufą w dół przy prawej nodze.

- Czy... - zaczęła Lindsay i przerwała, gdy dłoń Catlina dotknęła jej ust w milczącym rozkazie.

Po kilku chwilach całkowita, nienaturalna, panująca w budynku cisza stała się niemal dotykalna. Nagły dźwięk kroków kobiety w pantoflach na wysokich obcasach, wchodzącej do kaplicy, rozległ się jak szereg grzmotów odległej burzy, najpierw rosnący, a potem oddalający się powoli i niknący w ciszy. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Kroki, które rozległy się tym razem, były o wiele cichsze, a jednak cięższe: miarowe stąpanie pewnego siebie męż-

czyzny. Lecz gdyby Catlin i Lindsay nie zachowali tak absolutnego milczenia, oczekując podobnego dźwięku, nie usłyszeli by ich, tak jak nie usłyszeli by delikatnego szmeru drzwi, otwierających się za jedwabnym parawanem.

Lindsay sięgnęła ręką za siebie, aby dotykiem uprzedzić Catlina, że ktoś nadchodzi, ale palcami uchwyciła wyłącznie powietrze. Obróciła się szybko. Jej towarzysz po prostu zniknął. Kątem oka dostrzegła, że ukrył się za fałdą długiego parawanu, zakrywającego przeciwległą ścianę. Wyczuła raczej, niż dostrzegła, jak zbliża się do zamaskowanego wejścia.

Czekał obok drzwi, gotów działać błyskawicznie, jeśli wyłoni się zza nich coś, co mu się nie spodoba. Wystarczył błysk lufy i dostrzeżony w ułamku sekundy zarys ciężkiego ciała Lee Trana, by natychmiast uderzył krawędzią prawej dłoni. W ostatniej chwili powstrzymał się od ciosu, z łatwością mogącego zabić. Było to podyktowane względami praktycznymi, a nie litością - trup nie odpowiada na pytania.

Wypchnięte siłą uderzenia powietrze ze świstem uleciało z płuc Lee Trana. Nie mógł nabrać go z powrotem - cisza sparaliżowała mu przeponę. Tylko dlatego nie krzyknął, kiedy zadany w ułamek sekundy później drugi cios złamał mu nadgarstek. Próbował jeszcze kopać, ale nadaremnie. Catlin chwycił jego stopę, poderwał ją w górę, wykręcił. Lee Trinupadł na plecy, zwalając na ziemię parawan; prawą nogę miał skrzyżowaną w kolanie, w oczach wyraz tępego zdumienia.

Pistolet leżał kilkanaście centymetrów od jego złamanej prawej ręki. Pochylając się, aby poderwać przeciwnika na nogi, Catlin kopnął pistolet w stronę Lindsay.

- Podnieś! - rozkazał, nie odrywając wzroku od zszokowanej, spoconej twarzy Lee Trana. - To ten sam typ, co mój. Odbezpieczony, gotowy do strzału. Pilnuj innych drzwi!

Bez ostrzeżenia poderwał Lee Trana i cisnął nim o ścianę. Ten starał się zachować równowagę, ale nie mógł stanąć na prawej nodze. Catlin utrzymywał go w pozycji pionowej chwytem lewej, zaciśniętej na gardle dłoni. Luła jego pistoletu wymierzona była w podbródek Chińczyka. Po chwili Lee Tran zdołał się nieco pozbierać. Wziął pierwszy, drżący oddech.

- Jesteś płynnym gównem wściekłego psa. - Catlin powiedział to po kantońsku, spokojnym głosem. Zaciskał palce na szyi przeciwnika. - Powinieneś nadal wynajmować morderców, ty potomku zjadaczy gówna. Masz członek węża i twarz ściekowego szczura. Skąd pewność, że możesz pokonać mężczyznę?

- Mei powinna była cię zabić! - syknął Lee Tran po angielsku.

- Była zbyt spragniona. - Catlin także przeszedł na angielski. Uśmiechał się uśmiechem równie chłodnym, co jego słowa.

- Co?

- Była twoją kochanką, a ty nie masz nic między nogami. Nie chciała mnie zabić, zanim nie zazna rozkoszy. Umarła szczęśliwa, Lee Tran.

Bezsilna furia i brak tlenu spowodowały, że twarz Lee zrobiła się czerwona. Catlin uśmiechał się nadal, nieruchomy, gdy jego palce zaciskały się na gardle śmiertelnego wroga.

- Umrzesz - sapnął Lee Tran.

- Kiedyś tak. Ty jednak nie będziesz musiał czekać. Twój czas się skończył.

- Brząy...! - wykrztusił Chińczyk, patrząc Catlinowi w oczy i widząc w nich śmierć.

- Nie masz ich. - Palce rozluźniły uścisk, pozwalając nabrać odrobinę oddechu. - Jesteś alfonsiem, pedałem

i handlarzem niewolników. Nie powierzono by ci nawet kubła gówna. Ten, kto tu rządzi, cieszy się szacunkiem ludzi. Ciebie tylko się boją.

- Wiem, kto je ma. - Lee Tran rzeźił, ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte gardło. - Kazał mi... negocjować...

- To był jego drugi błąd.

Palec Catlina zbiełał na spuście pistoletu. Oczy Lee Trana rozszerzyły się - ujrzał nadchodzącą śmierć.

- Uwaga, drzwi! - krzyknęła Lindsay.

- To nie jest konieczne - spokojny głos stojącego u wejścia do sali Hsiang Wu przedarł się przez jej krzyk. Towarzyszyli mu trzej barczyńcy, chińscy goryle.

- Jestem innego zdania. - Catlin nie odrywał spojrzenia od Lee Trana. - Czy Hsiang Wu ma broń?

Dopiero po chwili Lindsay zdała sobie sprawę, że pytanie skierowane jest do niej.

- Nie... - potrząsnęła głową, oszołomiona. - Jego ludzie też... nie widzę broni.

Znów potrząsnęła głową, ale to nie Catlin wyprowadził ją z równowagi. Od pierwszego spotkania wiedziała, że jest zdolny do gwałtu i akceptowała to, lecz nie wiedziała, że Hsiang Wu może zdradzić. Jego obecność spowodowała, że usunął się jej grunt spod nóg.

Kłamstwa. Cały świat kłamstw.

- Podejdz i stań po mojej lewej ręce - poprosił Catlin.

- Ale... - Lindsay próbowała powiedzieć mu o swoim odkryciu.

- Teraz!

Podeszła, oszołomiona.

- Pamiętaj, pokazywałem ci, jak zasunąć bezpiecznik w moim pistolecie?

- Pamiętajm.

- Więc zrób to!

Drżącymi dłońmi Lindsay udało się w końcu przesunąć bezpiecznik pistoletu Lee Trana.

- Włóż mi go do kabury.

Kiedy wkładała pistolet, uderzył ją kontrast między chłodem dłoni a ciepłem ciała Catlina. Nagle zdała sobie sprawę, że to nie koszmar, lecz rzeczywistość. Nie zdoła się obudzić.

- Hsiang Wu, usiądź na tym pojedynczym krześle - rozkazał Catlin. - Obróć się tyłem, załóż ręce na głowę. Powiedz gorylom, że nie wolno im nawet drgnąć.

- To także nie jest konieczne.

- Zrób, co ci każe, albo wytapetuj ci ściany Tranem!

Wszystko, począwszy od spokojnego tonu głosu, a skończywszy na postawie świadczącej o gotowości do walki dowodziło, że nie rzuca słów na wiatr. Hsiang Wu powiedział coś cicho towarzyszącym mu mężczyznom, a później usiadł na krześle i założył ręce na głowę.

- Catlin...

- Nie teraz, Lindsay. - Głos Catlina świadczył o tym samym, co ciało; był spokojny, całkowicie opanowany, delikatny jak ucisk palca na spuście pistoletu.

- Nie powinienes mnie obrażać, Hsiang Wu.

- Nie miałem zamiaru...

- Bzdura! - przerwał mu chłodno, nie odwracając wzroku od przerażonej twarzy Trana. - Lindsay cię nie usłuchała, więc wyznaczyłeś jego do negocjacji, doskonale wiedząc, że jest moim wrogiem. Myślałeś, że wyciągnie broń i będzie patrzył, jak czołgam mu się u stóp. Myślałeś, że stracę twarz przed Lindsay, a ty ją odzyskasz. Myliłeś się. Nie czołgam się w tym, co wycieka z kanalizacji. I nie negocjuję. Nie dla ciebie. Dla nikogo i niczego.

- Nawet brązów Qin?

- Nawet brązów Qin. To był twój pierwszy błąd. Nie doceniłeś mnie. Lee Tran, powiedz państwu „do widzenia”!

- Catlin! - Lindsay zaledwie zdołała wykrztusić to jedno słowo.

Lee Tran zemdłał, padając na Catlina. Przez kilka długich sekund Amerykanin przyglądał się głowie Chińczyka, opartej na jego ramieniu. Z wyrażającym obrzydzenie chrząknięciem zrobił w końcu krok w tył, jednocześnie cofając rękę. Lee Tran upadł twarzą na podłogę.

- To właśnie jest kłopot z alfonsami i pederastami - stwierdził, trącając butem bezwładne ciało. - Brak im jaj. - Spojrzał na goryli i powiedział im szybko po mandaryńsku: - Usuńcie tę nieszczęsną kupę łajna na ulicę i zostawcie go tam, gdzie będą go obsikiwać psy. Nie wracajcie.

Mężczyźni spojrzeli na Hsiang Wu. Potwierdził skinieniem głowy. Podnieśli więc ciało Lee Trana i wywlekli je bezceremonialnie z sali, grzecznie zamykając za sobą drzwi. Catlin spojrział na napiętą, bladą twarz Lindsay.

- Usiądź, skarbie - powiedział łagodnie. - Przedstawienie skończone. Wu nie popełni po raz drugi tego samego błędu.

Lindsay milczała. Usiadła naprzeciw Chińczyka zdziwiona tym, że nie krzyczy. Przecież była przerażona, tak przerażona jak jeszcze nigdy...

Nagle zrozumiała, że nie krzyczy, ponieważ w rzeczywistości wcale nie jest przerażona. Zaskoczona, zszokowana, wytracona z równowagi - tak, ale nie boi się o życie. Catlin ze wszystkim sobie poradził. Byli bezpieczni.

Sama myśl o tym zaparła jej dech. Ukryła twarz w dłoniach, drżała.

- Już wszystko dobrze - Catlin przysunął się do niej. Pogłaskał ją po głowie. Nie spuszczał oka z Hsiang Wu.

- Smok - szepnęła w odpowiedzi, biorąc głęboki

wdech. Obróciła się, pocierając ustami jego dłoń. - Bogu niech będą dzięki.

Spodziewał się, że Lindsay uchyli się przed jego dotknięciem. Jej reakcja na tę gwałtowną scenę zdumiała go na moment, nim nie uświadomił sobie, jak musiało wyglądać jej dzieciństwo. Niezależnie od tego, czy wiedziała o tym, czy nie, czy przyznawała się do tego, czy nie, jej wuj i ojciec byli żołnierzami Kościoła Walczącego. Nieobca jej była krew i śmierć.

- Napij się herbaty, Hsiang Wu - rozkazał.
- Patrzył, jak Chińczyk bez wahania pije herbatę.
- Nalej dla Lindsay. Powoli.

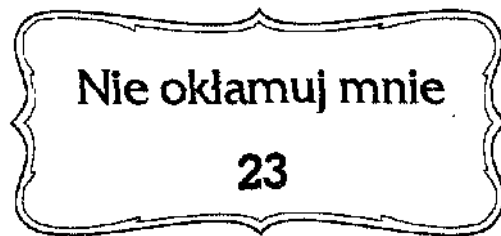
Hsiang Wu nalewał herbatę bardzo powoli, jakby brał udział w ceremonii, odbywającej się w zakazanym mieście, w sali o ścianach zawieszonych szkarłatnymi, zdobnymi, jedwabnymi zasłonami. Pierwszą filiżankę przytrzymał Lindsay Catlin. Z drugą poradziła sobie sama.

- Lepiej? - spytał cicho.

Przytaknęła skinieniem głowy. Przez całe życie musiała stawiać czoło strachowi. Zastosowała dawne ćwiczenia: odychała powoli, rytmicznie; wyobraziła sobie basen pełen niebieskoczarnej, lśniącej w blasku księżyca wody. Z jego środka rozchodziły się srebrne fale spokoju.

- Wszystko w porządku - powiedziała, odstawiając filiżankę. Palce drżały jej niemal niezauważalnie, ich drżenie dostrzegł tylko Catlin. - Wujku Wu, czy wiesz, kto ma brązowego woźnicę Qin?

Zdała sobie sprawę, że musi go mieć on sam. Tylko to wyjaśnienie miało jakiś sens. Szybko zerknęła na Catlina. Nie odrywając wzroku od Chińczyka, przytaknęła jej skinieniem głowy.



- Ale jak? - spytała Lindsay. - Powiedziałeś mi, że ktoś, kto dostarczył tu woźnicę, musi mieć gotową, działającą organizację przemytniczą.

- Tak. - Nie dodał nic więcej. Nie musiał.

Hsiang Wu poruszył się.

- Herbaty? - spytał spokojnie. Delikatne dłonie zawiśły nad białym eleganckim dzbankiem.

- Wujku Wu? - Lindsay czekała, by zaprzeczył.

Sadowiąc się wygodnie w krześle, z filiżanką w dłoniach, Hsiang Wu podniósł na nią wzrok.

- Oprzytomniej - stwierdził szorstko. - Jak myślisz, jak twoi czcigodni rodzice płacili za szmuglowanie swej wiernej trzódki z Chin do Hongkongu, a stamtąd do Kanady i Stanów Zjednoczonych? W ten sam sposób, w jaki twój kochanek opłacał szpiegów, prostytutki, służusów. Przemysł złota, opium, broni, ludzi, brązów. W końcu wychodzi na jedno. Przemysł. A do tego trzeba zręcznego, lojalnego przemytnika.

- Ty, wujku?

- Ja - zgodził się spokojnie. - Nauczył mnie tego twój czcigodny wuj Mark. - Podniósł filiżankę do ust. - Był człowiekiem wielkiego honoru, wielkiej odwagi i - obawiam się - niepośledniej głupoty. Za wiele pozostawiał

w rękę swego umiłowanego Boga, nie biorąc pod uwagę, że Bóg ma bardzo wiele dzieci wymagających jego opieki. A czasami nawet najbardziej miłośnierny i wszechmocny Bóg musi mrugnąć.

Lindsay zamknęła oczy. Na moment wróciła pamięcią do chwili, w której Bóg mrugnął: strzały, krzyki, krew wujka, przeciekająca jej przez palce.

Nie potrafiła tylko uwierzyć, że jej rodzice wdali się w coś nielegalnego. Myśl o tym sprawiła, że poczuła się tak, jakby stała na wysokim brzegu rwącej rzeki i nagle poczuła drżenie ziemi, zwiastujące tragiczne w skutkach jej oberwanie.

Jak mogła mylić się tak strasznie w tak wielu sprawach? Jak mogła dać się tak całkowicie oszukać?

- Broń? Opium? - powtórzyła napiętym głosem. - Od jak dawna przemycano je dla moich rodziców?

- Lindsay, musisz zrozumieć jedno - odezwał się Catlin, nim Hsiang Wu udzielił odpowiedzi. - W tamtych latach złoto, opium, ryż i herbata były jedyną walutą, jakiej mieszkańcy Azji skłonni byli zaufać... A jeśli chodzi o broń... - Na moment zacisnął dłoń w pięść, przypomniał sobie, co czytał w aktach o dzieciństwie Lindsay Danner. Mówiąc, powoli gładził jej włosy. - ...twój ojciec i wuj zdecydowali się nie tylko modlić, lecz także walczyć. Wuj... - Catlin znów się zawałał.

- Co z wujkiem? - Lindsay obróciła się, by móc spojrzeć mu w twarz ciemnoniebieskimi oczami.

- Większość misjonarzy dochodziła jakoś do porozumienia z komunistami albo opuszczała Chiny. Wuj Mark nie zrobił ani jednego, ani drugiego - stwierdził po prostu. - Mniej troszczył się o zbawianie dusz, a bardziej o nauczenie ludzi techniki walki partyzanckiej. Ojciec postępował nieco ostrożniej. Musiał. Chronił ciebie i matkę.

- Skąd o tym wiesz? - spytała gniewnie. - Skąd znasz szczegóły mego dzieciństwa, o których ja sama nie mam pojęcia?

Jedyną odpowiedzią był ruch ręki, gładzącej powoli jej włosy. Lindsay zamknęła oczy. Nie chciała uwierzyć, lecz wierzyła. Catlin nigdy jej nie skłamał. Nie miał powodu, by zacząć kłamać teraz. I jego słowa wyjaśniały tak wiele, włączając w to powody, dla których matka jakże gwałtownie nalegała, by córka zapomniała o nocy, w której zginął wuj Mark.

„Zapomnij, Lindsay. Ofiaruj swój ból Bogu. Zapomnij. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Zapomnij. Zapomnij. Zapomnij.”

I zapomniała. Aż do dzisiejszego ranka. Kiedy przypomniała sobie wszystko, mężczyzna gładzący ją teraz po głowie przytulił ją, pozwolił się wypłakać, pomógł zaakceptować strach. Uwolnił ją od koszmaru... a teraz mówił o rzeczywistości, pod pewnymi względami znacznie gorszej. O dzieciństwie pełnym fałszu i kłamstw.

Wyjaśniało to tak wiele, tyle fragmentów wspomnień, tyle strachu. Szepty i zapadająca nagle nienaturalną ciszę. Nagłe strzały i odgłos rozdzieranego materiału, kiedy matka darła suknię na bandaże. Nawoływania mężczyzn walczących za sprawę przegraną wiele lat temu. Partyzanci. Wyjęci spod prawa. Jej wuj był jednym z nich. I jej ojciec.

Nic dziwnego, że Catlin wydawał się jej tak bardzo znajomy, tak doskonale do niej pasował. Urodziła się wśród mężczyzn do niego podobnych, śmiała się, kiedy ją tulili, kiedy z nią żartowali, czuła ich krew, przepływającą jej przez palce.

Zadrżała, westchnęła i chwyciła go za rękę. Przytuliła ją do policzka tak mocno, że zostawiła czerwone ślady paznokci na jego skórze. Delikatnie przesunął kciukiem po jej

twarży. Strasznie żałował, że nie może ukryć przepaści, istniejącej między wspomnieniami o rodzicach, które Lindsay wyniosła z dzieciństwa, a obecną terażniejszością i tym, czym się zajmowali. Nie był to dla niej najlepszy czas na przystosowanie się do nowego widzenia rzeczywistości i samej siebie. Przez ostatnie kilka tygodni miała wiele nieprzyjemnych wrażeń.

- Czy matka...? - jej głos zamarł w ciszy.

Hsiang Wu zrozumiał.

- Moja skromna osoba czuła się zaszczycona możliwością służenia twym rodzicom aż do śmierci twego najszacowniejszego ojca - powiedział cicho. - Twoja czcigodna matka był wspaniałą żoną o niekwestionowanej lojalności. A jednak - wzruszył ramionami - niezależnie od mnóstwa niezbitych argumentów, podważających jej przekonanie, niewzruszenie wierzyła, że Bóg może w końcu zwyciężyć w Chinach raczej dzięki nawróceniu wieśniaków niż poprzez poświęcenie w walce. Była kobietą nieskończonej cierpliwości, tak hojną duchem, że dla cynicznych śmiertelników jak ja mogła być tylko wzorem.

Napił się herbaty, westchnął i odstawił wspaniałą białą filiżankę.

- Od czasu do czasu wysyłała chrześcijańskich wieśniaków z ładunkiem brązów **lub** innych wartościowych rzeczy, opłacając w ten sposób pobyt u nowych gospodarzy nieproszonych gości. - Nieznacznie skłonił się w kierunku Lindsay. - Z przykrością zmuszony jestem dodać, że nie potrafiła oceniać brązów tak jak ty. Być może tego właśnie należało się spodziewać. Zwracała wzrok ku świetlanej przyszłości, a nie wspaniałej, czcigodnej przeszłości. Ślę me niegodne modły do nieba w nadziei, że twa ukochana matka znalazła w końcu łagodnego, miłosiernego Boga, któremu poświęciła tak wiele.

- Używała cię do przemytu, kiedy zmarł tata - podsumowała Lindsay głosem bez wyrazu.

- Opiekowała się biednymi. - Hsiang Wu nie odpowiedział bezpośrednio na jej pytanie. - Biedni zawsze potrzebują pieniędzy. Nigdy nie wzięła dla siebie ani grosza ze sprzedaży przemycanych brązów, niezależnie od tego, jak wielkie były jej potrzeby. Twierdziła, że Bóg jej dopomoże. Więc wysłała cię do twej amerykańskiej ciotki i do mnie, wiedząc, że przygotuję cię do życia w świecie, który sama porzuciła, poświęcając się pracy wśród biedaków. - Chińczyk uśmiechnął się lekko. - Najwyraźniej niezbyt wierzyła w to, że Bóg dopomoże innym. To ciężkie brzemie wzięła na swe najczcigodniejsze barki.

Spoważniał obserwując, jak Lindsay przyjęła wiadomość o tym, że jej matka brała udział w operacjach przemytniczych.

- Nie nadużywaj miłosierdzia Bożego sądząc twą najczcigodniejszą i najwartościowszą matkę - powiedział twardo.

- Okłamywała mnie.

- Byłaś jej ukochanym dzieckiem. - Czarne oczy zwięziły się. - Czy jesteś nim nadal? Czy spodziewasz się, że świat jest tak czysty jak twoja głupota i tak łagodny jak uśmiech idioty? Czy równie bezwzględnie oceniasz swą pożałowania godną osobę? Twa szacowna matka nigdy nie uganiała się jak suka za mężczyzną...

- Dosyć! - przerwał mu Catlin w pół słowa.

Hsiang Wu obrócił się ku niemu jak atakujący wąż.

- Czy zaprzeczysz temu, co hotelowa pokojówka widzi każdego dnia? Dwoje śpi w jednym łóżku. Z małego, różowego pudełka codziennie znika jedna pastylka. Lindsay rzuca się na ciebie jak suka. Lindsay...

- Starczy! - Ten rozkaz wypowiedziany został cichym głosem, w którym pobrzmiwała jednak groźba.

Oczy Hsiang Wu zabłyśły wściekłością. W ciągnącej się w nieskończoność ciszy patrzył w złote oczy, które nie uciekały przed jego spojrzeniem i zrozumiał, że Catlin może się z nim obejść równie brutalnie co z Lee Tranem.

- A więc porozmawiajmy o tobie, Jacques-Pierre Rousseau - powiedział w końcu.

Catlin zdał sobie sprawę z tego, że paznokcie Lindsay boleśnie wbijają mu się w skórę. Spojrzał w jej błądą, ściągniętą twarz. Czuł napięcie, wibrujące jak zbyt mocno naciągnięta struna. Delikatnie odgiął jej palce i znów zaczął gładzić ją po głowie. Tylko w ten sposób mógł ją uspokoić.

- Będziemy rozmawiać o brązach Qin - powiedział głosem bez wyrazu - albo wychodzimy.

Hsiang Wu zastanawiał się nad wagą tego stwierdzenia. Znow zapadła przedłużająca się cisza. W końcu westchnął.

- Nie rozumiem cię. Posłużyłeś się wspaniałą, czcigodną kobietą szukając ich, a teraz odrzucasz prostą możliwość ich zdobycia. Ja mam ten brąz. Ty - nie.

- To się nim ciesz - stwierdził Catlin. Pociągnął Lindsay za rękę, podrywając ją na równe nogi. - Chodź, skarbie. Idziemy.

- Czekaj!

Podniósł wzrok. Przyglądał się Chińczykowi niezgåbionymi oczami smoka.

- Jedno pytanie. - Głos Hsiang Wu był ostry, napięty. - Rousseau był bezpieczny. Martwy. Dlaczego go wskrzesiłeś?

- Czy sprzedałbyś to dzieło Jacobowi Catlinowi? - odparł Catlin kpiąco.

Hsiang Wu zawahał się. Delikatnie skłonił głowę, jakby przyznawał się do tej drobnej porażki.

- Poświęciłeś własne bezpieczeństwo pasji kolekcjonera, a jednak odwracasz się i odejdiesz, ponieważ powiedziałem prawdę o kobiecie.

Nie było to pytanie. Nie całkiem. Catlin zdecydował się jednak odpowiedzieć.

- Prawda wygląda tak, że przyzwyczyłeś się używać talentów Lindsay do swych własnych celów. Teraz widzisz, jak je tracisz i to bardzo cię gniewa. Ludzie wiedzą, że była w rzeczywistości twą córką. Znają jej reputację. Zakładają, że wszystko, co sprzedajesz, zostało przez nią ocenione. Ale to nieprawda. Niektóre z tych brązów są, powiedzmy, wątpliwego pochodzenia.

Tylko gwałtowne ściągnięcie skóry na policzkach świadczyło o tym, jak wielki jest gniew Hsiang Wu.

- To nieprawda! - Niemal wypluł z siebie te słowa.

- Nieprawdą jest także to, co powiedziałeś o Lindsay. Będę bronił jej przed twym okrutnym językiem, nawet jeśli oznacza to utratę brązu.

Znow zapadła cisza. Hsiang Wu w milczeniu obserwował Catlina i powoli gniew zniknął z jego twarzy.

- Rousseau nie działałby w ten sposób - zauważył.

- Rousseau nie żyje.

Przytaknął powolnym skinieniem.

- A co z mężczyzną nazwiskiem Catlin?

- Będzie bronił Lindsay niezależnie od ceny i od tego, kto stanie mu na przeszkodzie.

Hsiang Wu przymknął na chwilę oczy. Opuścił głowę na splecione dłonie, jak człowiek pograżony w myślach lub modlitwie. Kiedy ją podniósł, poszukał wzrokiem twarzy Lindsay.

- Wybacz mi lekkomyślne słowa, córko. Mimo wszystko

przypominasz swą czcigodną matkę. Nosisz w duszy coś, co wywołuje łagodność w głębi najdzikszego nawet serca.

Lindsay odwróciła głowę. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Pragnęła powiedzieć prawdę, że jej związek z Catlinem jest tylko grą, skomplikowaną intrygą pozwalającą zdobyć woźnicę Qin. To nie ja, lecz starożytny brąz przedstawiający woźnicę rydwanu chronił Catlin. To jego pojawienie się w San Francisco zniszczyłoby delikatne więzi między Ameryką a Chinami. Catlin dostrzegł gniew Chińczyka i zrozumiał, że jest to gniew ojca na lekkomyślną córkę za jej nieostrożne postęпки. Wybrał więc jedyny niezawodny sposób na złagodzenie go: pokazał, że córka oswoiła smoka i nie została przez niego pożarta.

Lindsay spozrzała na Catlina wiedząc już, że Stone miał absolutną rację. Jego geniusz polegał na umiejętności analize ludzkich słabości i bezwzględny wykorzystywaniu ich dla własnych celów. Radził sobie z tym doskonale. Przerazająco dobrze. Nawet teraz tuliła się do niego, bowiem był jedyną prawdą w świecie kłamstw, a ona potrzebowała prawdy. Potrzebowała jej jak powietrza.

- Jesteś dla mnie za dobry, wujku Wu - szepnęła.

Hsiang Wu wstał, ujął jej rękę i pogładził ją.

- Przez długie lata było moim przywilejem służyć twym rodzicom i Bogu. Jeśli ulży to twemu wrażliwemu sumieniu, powinnaś wiedzieć, że w ciągu kilku ostatnich lat dochody z przemytu poświęcałem w całości chińskim chrześcijanom, uciekającym przed straszliwym przekleństwem komunizmu. Brązy otrzymywałem dlatego, że cieszę się pewnym niewielkim szacunkiem tej społeczności.

- Rozumiem - stwierdziła Lindsay. Głos miała schrypięty, niemal niesłyszalny. - Wybacz, że zdolna byłam pomyśleć, iż kierowały tobą inne, mniej szlachetne motywy.

Zawarta w tym stwierdzeniu ironia przeszła Catlina jak

rozgrzane do czerwoności ostrze noża. Lindsay także miała honorowe powody do działania w sposób, który wydawał się niehonorowy - lecz Hsiang Wu nadal tego nie podejrzewał.

- Tak - powiedział Catlin sucho. - Lepiej wyjaśnij nam swe szlachetne motywy handlu skradzionymi dziełami sztuki.

Hsiang Wu gwałtownie obrócił głowę w jego kierunku. W twarzy Catlina nie było jednak nic, co mogłoby mu dodać odwagi.

- Proszę o wyjaśnienie - zażądał Hsiang Wu.

- Skradzionymi. Zabranymi właścicielowi bez pozwolenia. A może twierdzisz, że brąz Qin był pożegnalnym darem Chińskiej Republiki Ludowej dla grupy religijnych wygnańców?

Hsiang Wu zaśmiał się sucho.

- Ach, gdybyśmy dożyli czegoś takiego, byłby to wspólny dzień, nieprawdaż? Dzień podobny do dnia, w którym jęzor głodnego, dzikiego tygrysa niewinnie obliże mordkę nowo narodzonego jagniątko. - Oczy Chińczyka biegały od Catlina do Lindsay. - Nie wezmę pieniędzy za sprzedaż woźnicy.

- A co weźmiesz? - spytał Catlin, nim Lindsay zdążyła się odezwać.

- Wystarczy mi satysfakcja niegodnego sługi Bożego.

Catlin czekał. Jego milczenie zmuszało do mówienia Hsiang Wu.

- Moi krótkowzroczni rodacy zwrócili się ku komunizmowi, byli bowiem głodni, uciśnieni i nie mieli nadziei - stwierdził. - Komunizm przynosił im nadzieję, nędzne pożywienie i niezmierzone morze ucisku. Ale teraz Chińczycy znów zaczynają się burzyć - wyjaśnił z zadowoleniem. - Nadzieja, którą przyniósł komunizm, jest jak małę-

jacy księżyc. Naiwne teorie ekonomiczne Mao osiągnęły cel, którego nie mogły osiągnąć czcigodne armie wielkiego generała Czang Kaj-szeka - omal nie obaliły rządów partii komunistycznej w Chinach.

Przyglądał się Catlinowi, obserwując jego reakcje.

- Ale nie obaliły - stwierdził Catlin obojętnie.

Hsiang Wu lekko skłonił głowę.

- Dostaniemy, czego chcemy. W końcu dostaniemy. Jesteśmy cierpliwi i oddani sprawie.

- Jeśli Deng i podobni jemu postępowcy utrzymają się u władzy, czeka was próba cierpliwości - zauważył Catlin.
- Mają nowe pomysły i modyfikują na wzór zachodni ekonomiczne doktryny Mao, które się nie sprawdziły. Jednym słowem, dają nadzieję. Ludzie, którzy mają nadzieję, nie buntują się. Jeśli chcecie wzniecić kolejną rewolucję, musicie mieć pewność, że sytuacja w Chinach pozostanie beznadziejna. Musicie odgradzić kraj od płynącej z Zachodu nadziei, aż jego obywatele zaczną umierać, zduszeni zafanym czystym komunizmem.

Poczuł, jak Lindsay ścisną jego dłoń i modlił się, by zachowała milczenie jeszcze przez kilka chwil. Dla Hsiang Wu jej zdanie w sprawach politycznych nie liczyło się. W społeczeństwie chińskim nie przyznawano kobietom prawa do zainteresowania się sprawami wagi państwowej. Do tej pory nic nie wskazywało na to, by ją traktowano jako wyjątek od tej kulturowej normy. A gdyby nawet tak było, Hsiang Wu nie miał powodów przypuszczać, że inaczej zapatruje się na rządy ateistycznych władców Chin, niż jej wuj i ojciec.

Pragnął, by tak pozostało.

- Znakomicie rozumiesz pragmatyzm polityki - stwierdził cicho Hsiang Wu.

- Uczyłem się jej w Azji.

Chińczyk uśmiechnął się.

- A więc rozumiesz, jak ważny jest woźnica Qin?

- Zamierzasz użyć go jako klina i wbić między Wschód i Zachód?

- Właśnie.

Catlin wzruszył ramionami, jakby wcale go to nie interesowało, lecz rękę Lindsay ścisnął równie mocno jak poprzednio.

- Polityka to twoja sprawa. Ja chcę tylko zdobyć woźnicę.

- Woźnicę, rydwan i dwa konie - uzupełnił Chińczyk.

Lindsay westchnęła głośno.

- Mój Boże! - wykrztusiła. - Komplet? Cały komplet?

Hsiang Wu odwrócił się ku niej z niewyraźnym uśmiechem.

- Wspaniała rozgrywka, prawda? - Znów zwrócił się do Catlina. - Ale także, obawiam się, bardzo kosztowna. Kosztuje milion dolarów. Jeśli nie posiadasz takiej sumy, odbędzie się aukcja. Brązy otrzyma ten, kto zaoferuje najwyższą cenę.

- Posiadam taką sumę - odparł krótko Catlin. - Gdzie i kiedy odbiorę brązy?

- Gdy tylko pieniądze przetransferowane zostaną...

- Nie! - Głos Catlina był stanowczy. - Nic nigdzie nie zostanie przetransferowane, dopóki wraz z Lindsay nie obejrzymy każdego i wszystkich fragmentów dzieła.

- Jest w całości oryginalne - stwierdził Hsiang Wu tonem, który miał dodać im odwagi. Delikatne dłonie jak białe kolibry zawisły nad dzbankiem do herbaty, nie podniósł go jednak ze stołu. Całą uwagę obrócił na Catlina.

- A więc nie powinno być problemu z umożliwieniem Lindsay ich obejrzenia. Wszystko albo nic, Hsiang Wu. I pamiętaj - Catlin powiedział to bezdźwięcznym, twardym głosem - wielu ludzi wie, że szukam woźnicy i nie

targuję się o cenę. Jeśli zrezygnuję, nikt go nie kupi. Wszyscy będą przypuszczać, że mnie nie zainteresował, bo Lindsay miała wątpliwości co do jego autentyczności.

Twarz Hsiang Wu zastygła, ręce znieruchomiały. Usłyszał prawdę i nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż on. Spojrzał na Lindsay.

- Czy godzisz się z tym, córko?

Całą siłą woli Catlin powstrzymał się przed bezpośrednim zwróceniem się do niej, przed rozkazaniem, by nie uległa żądaniu Hsiang Wu i jego wymaganiu okazania lojalności nie kochankowi, lecz ukochanemu wujowi.

- To nie ja kupuję brązy, wujku Wu - stwierdziła ostrożnie - lecz pan Catlin. Tylko on może albo się z tobą zgodzić, albo zaprotestować przeciw takim wymogom transakcji.

Chińczyk chrząknął i zwrócił się z powrotem ku lekko uśmiechniętemu Catlinowi. Ten uśmiech widział już kiedyś na monitorze połączonym z kamerą, w magazynie, kiedy Catlin pocałował Undsay, topiąc jej wątpliwości na temat swej przeszłości w gorącym morzu pożądania.

Wahał się lekko, nim przytaknął.

- Mogę się na to zgodzić. - Po raz drugi skinął głową.
- Dobrze.

- Świetnie. Kiedy i gdzie?

- Wróćcie teraz do hotelu. Kiedy brązy będą gotowe, otrzymacie telefon. Wyjdziecie natychmiast. Nikt nie może was śledzić. W wyznaczonym miejscu wsiedziecie w samochód, który zawiezie was na miejsce. Zrozumieliście?

Catlin potrząsnął głową.

- Nic z tego. Muszę jakoś przewieźć brązy. Podjadę półciężarówką...

- To nie będzie konieczne - przerwał mu Hsiang Wu.
- Biorąc pod uwagę cenę, będziemy czuli się zaszczyceni,

mogąc udostępnić ci samochód z szoferem. Oczywiście, można ich skontrolować, nim zakończymy transakcję.

Catlin dostał mniej, niż miał nadzieję dostać, lecz i tak więcej, niż się spodziewał.

- Istnieje pewien mały problem - stwierdził beztrąsko.

Oczy Hsiang Wu zwięziły się.

- Jak wiesz, chodzi za mną FBI.

Chińczyk westchnął.

- Tak, to pewien problem. A jednak, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z mężczyzną pokroju Rousseau, nie jest to problem nie do rozwiązania. Jak do tej pory, udawało się nam ich obejść.

- Miałem szczęście, pozbywając się dziś „ogona” tak błyskawicznie - stwierdził po prostu Catlin. - Następnym razem trudniej mi będzie ich zgubić.

- Gdyby się nie udało, byłby to wielki pech - stwierdził Hsiang Wu. - Byłby to ostateczny dowód braku chęci dokonania zakupu. W tych okolicznościach nietrudno byłoby zorganizować kolejną sprzedaż... już w innym gronie.

Catlin zignorował pogroźkę, koncentrując się na tym, co chciał otrzymać. Czas.

- Można to załatwić bez kłopotu. Potrzebuję tylko więcej czasu po telefonie, żebym zdołał pozbyć się wielbicieli, nim wraz z Lindsay znajdziemy się w wyznaczonym miejscu.

- Ile czasu na to potrzebujesz?

- Przynajmniej czterdziestu pięciu minut.

- Dostaniesz dziesięć.

- Ale...

- Dziesięć - powtórzył ostro Hsiang Wu. - Nie więcej. Moi współpracownicy uczestniczący w tej operacji są ludźmi wyjątkowo podejrzliwymi. Bardzo by się zaniepokoił, gdybym dał ci więcej czasu.

- Spróbuję. Ale żadnych gwarancji. Nie jestem cudotwórcą.
- Jesteś Rousseau. To powinno wystarczyć. - Hsiang Wu uśmiechnął się ponuro. - Jest jeszcze ostatnia, drobna sprawa. Każdy nerw w ciele Catlina napiął się w oczekiwaniu niebezpieczeństwa.
- Tak? - Jego głos pozbawiony był jakiegokolwiek wyrazu.
- Będziesz nie uzbrojony. To nie podlega dyskusji. Słusznie przypuszczał, że Catlin ma zamiar mu się sprzeciwić.
- Mam zbyt wielu wrogów, by chodzić bez broni - stwierdził po prostu.
- Lee Tran? - mruknął Chińczyk.
- Zajmuje na tej liście pierwsze miejsce.
- Lee Tran nigdy już nie wejdzie w twój cień. - Hsiang Wu lekko skłonił głowę w kierunku Lindsay. - Pragnę w ten sposób przeprosić cię najpokorniej za złe zrozumienie twych działań, córko.
- Przecież nie... - Lindsay nie była pewna, czy zrozumiała go prawidłowo. I obawiała się, że, niestety, tak.
- Dziękuję - przerwał jej Catlin, składając lekki ukłon. W mandaryńskim dodał:
- W pełni doceniamy fakt, że człowiek twej godności ubrudzi sobie ręce, usuwając tego rodzaju śmiecie, zamiast pozwolić im gnić, drażniąc nos pokornych gości. Jeśli jednak odkryjesz, że smród bije w twe czcigodne nozdrza z taką siłą, że usunięcie Lee Trana staje się niemożliwe, wystarczy, byś zadzwonił do swego pokornego sługi i zniknie on z szybkością zawstydzającą letnią błyskawicę.
- Cichy śmiech wypełnił salę. Chińczyk ujął dłoń Lindsay i znów poklepał ją z uczuciem.
- Dobrze wybrałaś, córko. Być może nie mądrze, lecz

- z pewnością dobrze. Twój czcigodny wuj wraz z ojcem byliby z ciebie dumni.
- Wychodząc z sali, skłonił się nisko obojgu.
- Lindsay obserwowała go, czując się wyłączona z rzeczywistego świata.
- Czy on naprawdę...?
 - Mam szczerą nadzieję, że tak - przerwał jej Catlin, przytulił ją i niemal brutalnie pocałował. - Chodź - szepnął jej nagle wprost do ucha. - Już!
- Bez słowa poszła w kierunku drzwi, prowadzących do pustej kaplicy, gdzie zapalono kilka świec i stała wspaniała kadzielnica Han, z której unosił się wonny dym. W ogrodzie panowała cisza - tylko krystalicznie czysta woda tańczyła po kamieniach. Czarne wrota otworzyły się od jednego dotknięcia.
- Catlin wyszedł pierwszy. Nie dostrzegł śladu Lee Trana, nie widział także nikogo przesadnie zainteresowanego dwójką białych, wmieszanych w azjatycki tłum. Lindsay nie patrzyła na niego i zachowywała milczenie przez całą drogę do hotelu.
- Kiedy wchodzili na służbowe schody, spojrzał na nią i powiedział:
- Możesz się już rozluźnić. Musimy teraz tylko czekać na telefon od Hsiang Wu, a on nie zadzwoni zaraz. Banki w Hongkongu nadal są zamknięte. Jeśli to cię pocieszy, spisałaś się wspaniale.
- Nie odpowiedziała. Wiedziała instynktownie, że nie wolno się jej rozluźnić, że nie może dać ujścia utrzymanym mocno na wodzy emocjom. Jeśli się rozluźni, eksploduje.
- Przykro mi, że na końcu byłem dla ciebie nieprzyjemny. Bałem się, że Hsiang Wu lub jego przyjaciele zagrają cwaniaków i zatrzymają nas jako „gości”, póki nie pojawią się brzy - mówił dalej. - A poza tym, jeśli Stone już nie

podnosi wrzasku z powodu naszego zniknięcia, to zapewne wkrótce podniesie.

Lindsay nie zareagowała na to ani jednym słowem, nie drgnęła nawet.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho.

Żadnej odpowiedzi.

- Lindsay? - wyciągnął dłoń i pogładził jej lśniące włosy.

- Jestem trochę rozdrażniona - usłyszał w końcu. Głos jej drżał.

- Wiem, że to dla ciebie trudne. - Znów dotknął dłonią jej włosów.

- Nie chcę o tym mówić. Nie mogę. Jeśli zacznę, będę płakać, krzyczeć, zwymiotuję. Albo wszystko na raz. - Wzięła głęboki, urywany oddech, powoli wypuściła powietrze z płuc. - Nie dam rady znieść tego zbyt długo - wyznała głosem bez wyrazu.

Nim zdążyła skończyć zdanie, przyciągnął ją do siebie, przytulił mocno.

- Polegaj na mnie, Lindsay - powiedział, całując jej powieki, skronie, kąciki ust. - Na mnie możesz polegać. Już prawie koniec.

- Doprawdy? - szepnęła ochryple, obejmując go za szyję. Był jedyną stałą rzeczą w wirującym opętanczo świecie. - Doprawdy? Mam wrażenie, że to wszystko będzie trwało wiecznie, coraz gorsze i gorsze kłamstwa, same kłamstwa. A ja nic nie mogę na to poradzić. Wpadłam w pułapkę. Nic nie jest rzeczywiste. Nic, oprócz kłamstw. Wuj, ojciec, matka, Wu. - Jej głos przeszedł w szloch. - Jestem już zbyt zmęczona, żeby walczyć.

Catlin tulił ją do siebie z taką siłą, jakby chciał ją ze sobą zjednoczyć, dać jej odrobinę swej siły, swego doświadczenia, umożliwiającego przetrwanie w świecie kłamstw.

- Ja cię nie okłamałem - powiedział.

Przyjrzała mu się oczami pociemniałymi od smutku.

- Tylko to mnie jeszcze ratuje. Wiedziałaś, że tak na to zareaguję, prawda?

- Wiedziałem.

Ale nie wiedziałem, jak bardzo zrani to i ciebie, i mnie. - pomyślał.

- Pocałuj mnie. - Przykrył jej usta swoimi.

Nie pytała, czy jego pocałunek jest szczery, czy jest wyrazem męskiego pożądania, czy odpowiedzią na jej nie wyrażone pragnienie. Poddała się tylko uściskowi, spijała promieniujące ku niej ciepło i siłę pozwalając, by poprzez ciało wsącżyły się wprost w jej duszę. Po długiej, długiej chwili poczuła, że osuwa się wzdłuż niego i jej stopy dotykają ziemi. Catlin znów pochylił głowę. Delikatnie chwycił jej wargę zębami w krótkim pocałunku raz, a potem drągi i trzeci, jakby nie potrafił oderwać się od jej ust.

- Chodźmy do pokoju - powiedział, biorąc ją za rękę. Ich palce splotły się delikatnie, powoli, w oczekiwaniu na to, co miało dopiero nastąpić. Lindsay nie mogła nawet zaczerpnąć oddechu. Westchnęła urywanie, wystarczająco głośno, by ją usłyszał.

- To właśnie w tobie kocham - powiedział cicho. Podniósł jej dłoń do ust, wsunął język pomiędzy palce drażniąc nim cienką, wrażliwą skórę. - Cała jesteś taka podniecająca. Pragnę cię tak bardzo, że to aż boli.

- Naprawdę? - szepnęła. - Naprawdę?

W odpowiedzi przesunął jej ręką po swoim ciele, aż trafiła na twarde, nabrziałe jądro jego pragnienia.

- Nigdy ci nie skłamałem. - Jego głos brzmiał pragnieniem, pulsującym, jak spływająca mu między uda gorąca krew. - Nigdy... - zachłysnął się nie wypowiedzianymi słowami. - Lindsay przesunęła dłonią po jego nabrziałym

łym ciele. Poprzez warstwy ubrania czuł delikatny nacisk paznokci.

- Chodź, weź ze mną prysznic, słodki kociaku - powiedział ochryplym z pożądania głosem. Zaciśnął palce na jej prawej ręce i z wolna przegiął Lindsay do tyłu, wtulając jej ciało w swoje. Dotknął ustami jej ust w milczącej obietnicy czekającej ich oboje ulgi, której tak potrzebowali. - Będziemy się kochać, aż zaczniesz krzyczeć z rozkoszy.

Odpowiedziała mu dreszczem oczekiwania i dreszcz ten przeszył jego ciało niczym prąd elektryczny. Pragnął znów ją pocałować, lecz wiedział, że jeśli to zrobi, nie przerwie tego, co rozpoczął, nawet jeśli na schodach przypadkiem pojawiają się ludzie. Chciał jej teraz, już. Płonęła w jego ramionach nie ugaszonym pożarem, który spalał go całego. Sama myśl o tym, że jego nabrzmiała, tak niesłychanie wrażliwa męskość wsunie się w nią, powodowała, że niemal tracił kontrolę nad sobą. Jeszcze raz, z całej siły, przywarł udami do jej ud. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła się nią nasycić.

W końcu, niechętnie, wypuścił ją z objęć. Mogli już pójść do pokoju. Wkładał klucz do zamka, kiedy przypomniał sobie, że należy sprawdzić mały kawałek przezroczystej taśmy, którą zawsze przyklejał do górnej framugi drzwi.

Taśma znikła.

Catlin obróci się błyskawicznie i popchnął Lindsay korytarzem, nim zdołała zaprotestować. Zatrzymali się na przeciw drzwi wyjścia awaryjnego. Otworzył je i wypchnął Lindsay na schody.

- Ktoś wchodził do pokoju pod naszą nieobecność - wyjaśnił cicho.

- Poko...

- Wywiesiłem „nie przeszkadzać”. Zostań tu. Jeśli

usłyszysz strzały, dzwoń po Stone'a. Zostań w recepcji, póki nie przyjdzie odsiecz. Zrozumiałas?

- Comasz zmiarzro...?

- Zrozumiałas? - Nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

Zajrzała mu w oczy i dostrzegła w nich tylko pustkę. Były to oczy smoka.

- Zrozumiałam - szepnęła.

- Nie przychodź do pokoju, póki sam po ciebie nie przyjdę. Jeśli zawołam od drzwi i każę ci podejść, będzie to oznaczało, że ktoś trzyma mi lufę przy głowie. Uciekaj wtedy i nie przestawaj uciekać, póki nie otoczą cię agenci FBI. Jasne?

Przytaknęła skinieniem głowy. Nie mogła mówić, gardło ścisnęło jej strach. Kiedy już się od niego odwracała, przypominała sobie słowa, które powiedział przed spotkaniem z Hsiangiem.

- Catlin!

Jej ochrypliwy szept rozerwał ciszę jak cios nożem. Odwrócił głowę, dostrzegł, jak nienaturalnie, nieruchomo stoi i jak strasznie jest błada.

- Nie chcę... - szepnęła i zamilkła, - ...o mój Boże - dała gwałtownie. - Nie chcę, żebyś stanął między mną a kulą.

Przesunął palcem po jej drżących ustach. Odszedł, nie mówiąc nic.

Nie okłamuj mnie

24

Obracając klucz w zamku lewą ręką Catlin stał z boku, przy ścianie. Otworzył drzwi do apartamentu, pchnął je i natychmiast przytulił się do ściany korytarza. Z wewnątrz nie dobiegił go żaden dźwięk. Czekał.

Cisza. Nie usłyszał nic, nikt się nie poruszył, nikt nie odbezpieczył pistoletu. Zaryzykował jedno szybkie spojrzanie do środka... pusto. Wślizgnął się do wnętrza w niskim przysiadzie. Ci, którzy zorganizowali pułapkę, spodziewali się, że ich ofiara będzie stała. Skulony, wykonał szybki obrót całym ciałem. Lewa, wyprostowana ręka obejmowała przegub prawej, w której tkwił gotowy do strzału pistolet.

Nie dostrzegł celu, nikt na niego nie czekał. Widział tylko hotelowe meble i zamknięte drzwi sypialni. Wszystko w porządku - z jednym wyjątkiem. Wychodząc dziś rano nie zamknął tych drzwi. Zawsze zostawiał je szeroko otwarte, tak, by przylegały do ściany, by nikt nie mógł się za nimi ukryć, by nikt nie mógł czekać, aż ofiara otworzy je i wystawi się na strzał, sama o tym nie wiedząc.

Podszedł do nich bezszelestnie. Nie były zamknięte na klucz. Z sypialni nie dobiegł go żaden szept, nie słyszał najdrobniejszego dźwięku.

Drzwi otworzył nagle, z hukiem. Wpadł do środka

szczupakiem, przetoczył się po podłodze i zerwał na równe nogi, gotów do strzału. Natychmiast odnalazł cel: dwóch mężczyzn, których nie powinno tu być. Rozpoznał ich, nim zdążył nacisnąć spust: Stone i O'Donnel. Obaj stali nieruchomo, ręce odsunęli od ciała, dłonie zwrócili w jego stronę. Dłonie te były puste.

- Cholernie prosty sposób na samobójstwo - stwierdził, zabezpieczając broń i wkładając ją do kabury.

O'Donnel wypuścił powietrze z płuc w długim westchnieniu, będącym jednocześnie przekleństwem.

- Matko boska - powiedziała, potrząsając głową. - Miałaś rację. W ogóle nie słyszałem sukinsyna.

Stone uśmiechnął się lekko żałując, że nie może zapalić papierosa. Niestety, ani Catlin, ani Lindsay nie palili. Zapach dymu pozostałby jak drogowskaz, informując pokojówkę i wszystkich zainteresowanych, że Lindsay miewa gości.

- Co z Lindsay? - zapytał.

- Czeka w korytarzu - rzucił Catlin, wychodząc z apartamentu.

Podszedł do niej szybko i dostrzegł na jej twarzy ulgę zmieszaną z czymś jeszcze, z czymś, co rozdzierało mu duszę i sprawiło, że omal nie zapłakał, czując równocześnie triumf i rozpacz. Tego czegoś nie powinno tam być. Gra już się prawie skończyła, niemal wszystkie kłamstwa zostały ujawnione, wkrótce nie trzeba już będzie grać. Lindsay czekało prawdziwe życie - życie bez niego.

- Wszystko w porządku - szepnął, porywając ją w ramiona i odwzajemniając namiętny uścisk. - To tylko Stone i O'Donnel.

Skinieniem głowy potwierdziła, że rozumie, ale nie rozluźniła uścisku. Tuliła go z całej siły, upewniała się, że nie jest ranny. W końcu odetchnęła głęboko, sycąc swe zmysły

jego męskim zapachem. Wonie wolno gładziły miękki sztruks sportowej marynarki, znajomy kształt ust i policzka, gęste włosy.

- Bałam się o ciebie - szepnęła zdławionym głosem.

Catlin przymknął oczy. Uczucia z jednej strony, a rozsałek z drugiej, toczyły w nim straszliwą walkę. Bardzo delikatnie opuścił Lindsay, by mogła stanąć na własnych nogach.

- Stone zada ci mnóstwo pytań - powiedział. - Spróbuj utrzymać Hsianga z dala od sprawy.

- Czy FBI mogłoby aresztować go za przemyt?

- Nie, za szpiegostwo.

Poczuł, jak Lindsay sztywnieje w jego ramionach.

- Co? - szepnęła, patrząc mu wprost w oczy. W ich złotej głębi kryło się współczucie, lecz nie niepewność. Powiedział dokładnie to, co myślał.

- Zastanów się - stwierdził, ujmując ją delikatnie za brodę i podnosząc jej głowę. - Kto najbardziej zyska na pogorszeniu stosunków między Stanami a Chinami Ludowymi?

Otworzyła usta, lecz nic nie przyszło jej na myśl.

- Tajwan - wyjaśnił cicho. - Każdy krok zbliżający nas do ChRL, oddala nas jednocześnie od tajwańskich nacjonalistów. Bez naszej pomocy ich dążenie do niepodległości wali się, a wraz z nim sam Tajwan. Jego przywódcy doskonale wiedzą, że szansą dla nich jest nieustanna walka między światowymi potęgami.

- Przecież Tajwan to nasz sojusznik! - zaprotestowała.

- A szpieg to tajny agent obcego państwa - stwierdził z naciskiem. Chciał, by zrozumiała prawdę, choćby najbardziej niemiłą. - Nacjoniści mają mnóstwo amerykańskich dolarów, więc Tajwan stać, by hojnie wspierać amerykańskie organizacje, stowarzyszenia, polityków, kościo-

ły i grupy studenckie, mające zbieżne cele. Mówiąc krótko: antykomunistów. Podejrzewam, że Chińskie Chrześcijańskie Stowarzyszenie Miłosierdzia korzysta z hojności Tajwanu.

- Czy to jest nielegalne?

- Nie. Każdy obcy rząd, jeśli go na to stać, może sobie u nas kupić dobrą opinię. To się nazywa „wolność słowa”.

Catlin zawahał się. Patrzył w ciemne oczy Lindsay zastanawiając się, czy już zrozumiała. Nie odpowiedziała mu. Po prostu czekała.

- Myślę, że Hsiang Wu jest w to wplątany znacznie bardziej, że nie tylko zbiera zagraniczne datki w imieniu amerykańsko-chińskiego stowarzyszenia dobroczynnego - powiedział po chwili. - Moim zdaniem jest agentem, opłacanym bezpośrednio przez tajwański rząd. Sądzę, że jest nim od dawna. Z pewnością od czasów Hongkongu, ale najprawdopodobniej był nim, zanim spotkał twego wujka i ojca.

- Skąd wiesz? Potrafisz to udowodnić?

- A kto by się przejmował dowodami! Tajwan to kropla w ogromnym oceanie światowych potęg. W Ameryce nacjoniści są tylko jedną z wielu grup imigrantów - i to nieważną grupką. Należą do historii - powiedział szczerze. - Są jak Albańczycy albo hiszpańscy lojaliści, planujący po kawiarniach świetlaną przyszłość. Tajwańczycy nie czuli się nawet na siłach użyć brązów Qin jako międzynarodowej politycznej piłki futbolowej, być może nawet o tym nie pomyśleli! Ale przeciwnicy Denga w Chinach Ludowych wpadli na ten pomysł. Podobnie jak tajwańscy nacjoniści, izolacjoniści z kontynentu próbują zapobiec bliższemu związkom Stanów i ludowych Chin.

- Ale przecież nacjoniści i komuniści to wrogowie!

Catlin potrząsnął głową i roześmiał się ochryple.

- Oczywiście. Polityka rodzi takie zaskakujące związki. Trudno wyobrazić sobie coś dziwniejszego, niż śpiących w jednym łóżku Hsianga, Pao oraz naszą wymalowaną *madame* Zhu. A jednak kotłują się w nim wszyscy troje, błądzą po omacku, przy czym każdy próbuje wykorzystać pozostałych, sam zaś chce zachować cnotę. Na linii sędziuje im Chen Yi, starając się wykorzystać mnie, nie tracąc przy okazji jaj. A ja zarabiam na połówkę przeciętej moneety, broniąc panny Lindsay Danner przed skutkami jej idealizmu.

Kiedy już wyczyścimy ten bajzel - mówił dalej - nacjonaliści z Chinatown będą mogli wrócić do swych bezsensownych spisków, snutych nad herbatą lub *madżongiem* i do obserwowania dzieci, które wyrastają nie na nacjonalistów i nie na komunistów, lecz na Amerykanów. Hsiang Wu jest dinozaurem. Zburzenie jego domku z kart w niczym nie pomoże Stanom Zjednoczonym, a mogłoby bardzo cię zranić. Nie widzę w tym wielkiego sensu, ale nie jestem Bradfordem Stonem. Nie trudnię się łapaniem szpiegów.

- On tym się właśnie zajmuje? Łapie szpiegów?

- Nazywa się to Wydział Kontrywywiadu Zagranicznego. Stone mu szefuje. - Catlin uśmiechnął się kpiąco. - Powinno ci to pochlebić, mój słodki kociaku. Strzeże cię amerykański łowca szpiegów numer jeden!

- A twoja praca?

- Moja praca to pilnowanie Lindsay Danner. Koniec, kropka - stwierdził po prostu. - Próbowałem cię strzec przez wyłączenie z gry, nim się naprawdę zaczęła. Odrzuciłaś tę możliwość. Czyżbyś wreszcie zmieniła zdanie? Czy nauczyłaś się już, że kłamstwa są zaraźliwe, a prawda to złudzenie? Czy pozwolisz się teraz usunąć z gry?

- Ostrzeżono mnie. Dałam słowo - odparła spokojnie.

A później posłała mu uśmiech: smutny, żaloszny uśmiech sprawiający, że zapragnął krzyknąć. Lecz krzyk protestu nie przydałby się na nic. On także dał słowo, wiedział, co musi zrobić. Tak jak ona.

Gra będzie toczyła się dalej. Trzeba tylko podjąć decyzje dotyczące kilku drobnych szczegółów.

- Ty musisz zdecydować - powiedział - czy mamy zatrzymać informacje o Hsiangu przy sobie, czy też przekazać je Stone'owi.

- Czy wujek Wu naprawdę jest... nieszkodliwy?

Catlin przypomniał sobie, jak Chińczyk spokojnie obiecał mu, że ostatecznie rozwiąże problem Lee Trana. Takiego człowieka nie sposób nazwać nieszkodliwym, choć nie stanowił on stałego zagrożenia dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

- Masz na myśli nieszkodliwy jako szpieg?

- Tak.

- Gwarantuję ci, że nie będzie już niebezpieczny, gdy tylko załatwimy sprawę tych brązów.

Nie powiedział, że dołoży wszelkich starań, by Wu złożył obietnicę przyzwoitego zachowania w przyszłości i że załatwi to z nim, gdy tylko ucichnie hałas wokół brązów.

- Dzięki Bogu. - Jej głos drżał. - Nie zniosłabym myśli o tym, że w jednym życiu zdradziłam obu wujów.

Wiedział, co czuje. Właśnie dlatego zdecydował się chronić Hsianga, jeśli tylko będzie to w jego mocy. Nie dla niego samego, lecz dla Lindsay. Wziął ją za rękę. Kurczowo zacisnęła palce na jego dłoni, była spięta.

- Gotowa stawić czoła Stone'owi?

- A mam wybór?

- Tak. Możesz powiedzieć mu „cześć”, a potem „do widzenia” i pójść pod prysznic. Ja zajmę się resztą.

Lindsay rozluźniła się nieco.

- Może tak będzie najlepiej? Ciągłe nie umiem dobrze kłamać, prawda?

Catlin uniósł jej głowę i pocałował ją czule w usta.

- Nie obawiaj się. Ja będę kłamał za nas oboje. Ale nie tobie, Lindsay. Nigdy.

Znów uśmiechnęła się tym smutnym, nieco żalnym, rozdzierającym mu serce uśmiechem. Poszli korytarzem bez słowa. Gdy tylko znaleźli się w apartamencie, zamknęły drzwi na klucz.

- Odlicz! - zawołał głośno.

Stone i O'Donnel weszli do dużego pokoju.

Catlin delikatnie popchnął Lindsay w stronę łazienki.

- Prysznic i drzemka, jeśli zdołasz zasnąć. Zadzwoń najprawdopodobniej dziś w nocy.

- Sekundkę-odezwał się Stone.

- Cześć - powiedziała Lindsay.

- Mam kilka pytań...

- Do widzenia - pożegnała ich, ominęła Stone'a i poszła w stronę sypialni.

O'Donnel instynktownie wysunął rękę, chcąc ją zatrzymać. Catlin poruszył się jednak tak szybko, że agent nie miał nawet szansy zareagować, syknął tylko z zaskoczenia i bólu.

- Nastąp się - warknął, uwalniając przegub agenta równie nagle, jak go przedtem złapał. - Nie widzisz, że jest wykończona? Samo czekanie na telefon będzie wystarczająco wyczerpujące, nawet bez waszego przypiekania.

- Jaki telefon?

Drzwi sypialni zamknęły się z trzaskiem.

- Telefon wyznaczający nam randkę z brażami Qin.

Zapadła cisza. Po chwili Stone roześmiał się.

- Niech mnie diabli - powiedział. - Straciłem forszę.

- Spojrzał na Catlina i wyjaśnił: - Założyłem się z dyrektorem o setkę, że nie ma żadnych skradzionych brażów. Ale

on tylko stwierdził, że to bez znaczenia - i tak musimy chodzić na pasku naszego wspaniałego i wielkiego przyjaciela, Chen-Yi.

- A poza tym - stwierdził Catlin kpiąco - pomagając Chenowi możecie zdobyć mnóstwo informacji o chińskich szpiegach - i komunistycznych, i nacjonalistycznych - za granicą i na waszym własnym podwórku.

- A to co niby ma znaczyć? - Stone udawał kompletną niewiedzę.

Uśmiech Catlina był niemal okrutny.

- Nie udawaj, Stone. Jeśli braży istnieją rzeczywiście, to wiesz, że zajmą się nimi szpiedzy, ludzie podstawieni przez szpiegów albo jedni i drudzy razem, w końcu od początku była to sprawa polityczna. Wystarczy, żebyś w odpowiedniej chwili pojawił się na miejscu spotkania, zgarnął ich wszystkich, przycisnął... i łapiasz kanały aż na Tajwan lub do Pekinu.

- Szukasz pracy? - Agent FBI uśmiechnął się równie okrutnie.

- Ten scenariusz ma jedną drobną wadę.

- Tylko jedną? - Stone chrząknął. - Mam dziś dobry dzień.

- Jedną liczącą się - uzupełnił Catlin. - Jeśli wy, kowboje, zjawicie się na miejscu, kiedy wraz z Lindsay będziemy oglądać braży, ktoś z pewnością dostanie kulkę. Zaczekaj, aż skończymy.

- Tego mi nie wolno. - Siwowłosy agent potrząsnął głową. - Musimy zgarnąć tych ludzi na miejscu, razem z dowodami. Żadnych wątpliwości. Nie możemy zostawić pola manewru sprytnym adwokatom i sędziom o mięciutkich, skrwawionych sercach. A poza tym, dlaczego uważasz, że pozwolą wam wyjechać z brażami? Mogą spokojnie wystawić nas wszystkich do wiatru. Zdobędą informa-

cje o naszym aparacie kontrwywiadowczym, forszę, znikną z towarem i będą się śmiać do rozpuku.

Catlin spodziewał się właśnie tego. Na miejscu Stones rozmawiałby identycznie.

- A więc mamy tu prawdziwy problem - powiedział.
- Nie wprowadzę Lindsay w pułapkę, a bez niej nici z transakcji i nie będzie kogo łapać. Koniec zabawy.

- Czy ona tego właśnie chce? - O'Donnel nagle wtrącił się do rozmowy.

- Żadnych dyskusji. Tak to załatwimy.

Młodszy z agentów chciał się kłócić, przypomniał sobie jednak, z jak szybkim i śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem ma do czynienia i dał spokój.

- Wiem - zakpił Catlin. - Bezpieczeństwo jest wysoko notowane na liście priorytetów FBI, ale jej nie otwiera. Pierwsze przykazanie brzmi: „Załatwić sprawę.”

O'Donnel nie zaprzeczył. Catlin miał rację i wiedzieli o tym wszyscy trzej.

- Bezpieczeństwo Lindsay jest moim jedynym przykazaniem - stwierdził. - Zrobię dla niego wszystko, będę nawet z wami walczył. A uczyłem się walczyć w różnych dziwnych miejscach.

Stone beznadziejnie marzył o papierosie.

- Powiedz, czego potrzebujesz. Zrobimy, co w naszej mocy. Nie chcemy, by komuś stała się krzywda, chcemy tylko brązów i szpiegów.

Catlin sztywno skinał głową. Niczego więcej się nie spodziewał.

- Zadzwoń do nas. Jeśli osoba kontaktująca się będzie mówiła po kantońsku, oddzwonię i przetłumaczę. Dadzą nam trochę czasu na dotarcie do miejsca spotkania. W tym będzie dodatkowe dziesięć minut na zgubienie waszego „ogona”.

O'Donnel roześmiał się.

- Dziesięć minut? Człowieku, jesteś dobry, ale nie aż tak dobry.

- Wiem - stwierdził spokojnie Catlin. - Niech idzie za nami czterech agentów. Przez siedem minut będę się im wymykał. Potem „ogon” musi zniknąć. Jeśli kogoś zobaczę, załatwię go najszybciej jak się da.

Zapadła pełna napięcia cisza. Stone starał się ukryć gniew, w jaki wprowadził go ten spokojny szantaż użycia przemocy.

- Dobra - powiedział w końcu ostro, gniewnie. - Nie będziesz też musiał tracić czasu na telefon do FBI. Zostawimy tu naszego człowieka. Dla bezpieczeństwa.

Przez chwilę Catlin zastanawiał się, czy warto spierać się o to i doszedł do wniosku, że nie. Pozwolić Stone'owi na umieszczenie w ich apartamencie agenta było najprostszym i najmniej szkodliwym sposobem podtrzymania jego złudzeń co do tego, kto tu rządzi.

- Będziecie mieli dziesięć minut plus czas potrzebny na dojazd, by zarzucić się na miejscu spotkania. Potem bez większych problemów możecie mieć nas na oku przy pomocy tej ruchomej akcji obserwacyjnej, pudełka, które wymyśliło FBI. Jeśli trzeba będzie iść za nami na piechotę, puść O'Donnella. Niewielu może się z nim równać.

Irlandczyk uśmiechnął się.

- Możesz mi to dać na piśmie? Ładnie wyglądałoby w aktach.

Jego szef również uśmiechnął się lekko.

- No, to załatwiliśmy, ile się dało. Lindsay będzie miała w torebce sygnalizator...

- Nie! - Głos Catlina był bezdźwięczny, twardy. - Żadnej aparatury podsłuchowej, żadnych sygnalizatorów. Przeszukają nas.

- Chryste! - mruknął O'Donnel.

- Amen - dokończył Stone. Powoli przesunął dłońmi po swych siwych włosach. - Jesteś pewny?

- Jestem pewny.

- Nasz sprzęt tak się zminiaturyzował, że nikt go nie zauważy.

- Nie będę stawiał życia Lindsay na tę jedną kartę. A poza tym - dodał - jeśli przez ostatnie kilka lat nie udoskonalono znaczenie tych elektronicznych cudeniek, nie można na nich polegać.

Stone machinalnie sięgnął po papierosa. Wyjął jednego z paczki, zdał sobie sprawę gdzie jest i zaklął.

- Nie podoba mi się to. - Gwałtownym ruchem wsadził paczkę do kieszeni na piersi. - Nie wiemy nawet, czemu będziesz musiał stawić czoło. A ty wiesz?

Catlin próbował przeanalizować wszystkie możliwe kombinacje okoliczności i osób. Hsiang Wu może być wystarczająco głupi - lub podejrzliwy - by osobiście zjawić się na miejscu, a jeśli się zjawi, będzie miał obstawę. Towarzysz Pao z towarzyszką Zhu będą niewątpliwie obecni jako świadkowie kupna politycznie przeklętych brązów. Najprawdopodobniej pojawi się także Chen Yi - z własnej lub nie z własnej woli. Jego drodzy towarzysze nie ufają mu na tyle, by spuścić go z oczu.

- Ilu ludzi przyjechało do Los Angeles z oficjalną chińską delegacją? - spytał w końcu.

- Dwanaścioro. - Stone zawahał się i dodał: - Według naszych informacji przynajmniej szóstka z nich to żołnierze. Musisz założyć, że będą uzbrojeni.

- Cholera! A co wiecie o brązach? - spytał Catlin.

Stone znów się zawahał.

- Jeśli ktokolwiek w tym całym burdelu ma prawo coś wiedzieć - warknął Catlin - to z pewnością ja!

- Mówi się, że przemycano je w zapłombowanym ba-

gazu dyplomatycznym wraz z artykułami gospodarstwa domowego i meblami dla członków konsulatu tajwańskiego - powiedział Stone w końcu. - Mamy tylko plotki, a nie pewne informacje.

Catlin wzruszył ramionami.

- Dla mnie to całkiem do przyjęcia. Wpadli na jedyny absolutnie pewny sposób, by przetransportować do Stanów cztery brązy tych rozmiarów.

- Cztery? - zdziwił się O'Donnel

- Rydwan, woźnica, dwa konie. Połowa do dwóch trzeczich naturalnych rozmiarów, według Chena.

Młody agent aż gwizdnał.

- Nic dziwnego, że zabrali ze sobą wszystkich tych żołnierzy. Strzegą całkiem sporego skarbu. Ile chcą?

- Milion.

- Masz zamiar zapłacić im tyle?

- Tak - stwierdził Catlin.

- Gotówka? - W głosie O'Donne'la brzmiało niedowierzanie.

- Przelewem. Na bank w Hongkongu.

Irlandczyk przemyślał to sobie i potrząsnął głową.

- Jeśli nawet, to i tak strasznie ryzykujesz. Będzicie z Lindsay sami przeciw wszystkim tym wojskowym. Chyba, że liczysz na pomoc Chen Ti. Stanie po twojej stronie?

- Nie ma szans - stwierdził krótko Catlin. - Musi kryć własny tyłek. Właśnie dlatego zdecydowałem się robić za goryla Lindsay.

Stone chrząknął, znowu sięgnął po papierosa i zaklął.

- Nie podoba mi się to. Jeśli zgubimy cię po drodze, grzeźniesz po szyję w gównie. Nikt nie wyciągnie ręki, żeby ci pomóc.

Odpowiedziało mu tylko wzruszenie ramion.

- Walczyłem tak prawie całe życie.

Uśmiech Stone'a był ostry jak brzytwa.

- To prawda, nie? Jeśli ktoś w ogóle zdoła wydostać się z tego pachnąc jak różyczka, to tylko ty.

- Brązy najprawdopodobniej przyjadą półciężarówką
- Catlin zmienił temat. - Dostanę ją, żebyś miał je czym wywieźć.

O'Donnel gwizdnął znowu.

- Kiedy już coś robią, to do końca - wtrącił.

- Lindsay je oceni.

- Jak długo to potrwa? - spytał Stone.

- Biorąc pod uwagę, że dla niej to pewnie jedyna w życiu szansa, by przyjrzeć się części brązowej armii Qin - uśmiechnął się Catlin - będzie ją prawdopodobnie oglądała tak długo, jak jej pozwolę. Powiedzmy, piętnaście minut. Dziesięć minut, żeby przelać pieniądze z jednego banku w Hongkongu do drugiego.

- Jakie to banki? - zainteresował się O'Donnel.

- Nazwa mojego nic ci nie powie, a nazwy tego drugiego nie poznam, dopóki Lindsay nie zaaprobuje brązów.

- Jaka jest szansa, że okażą się fałszywe?

- Bardzo uszczęśliwiłoby to Chena, a reszta Chińczyków z ChRL natychmiast zaczęłyby nas kopać po tyłkach - stwierdził sucho Catlin. - Ludzie odpowiedzialni za sprzedaż są bardzo pewni ich autentyczności, inaczej nie dopuściliby do nich Lindsay nawet na sto kilometrów. - Zawahał się i wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że szansa, iż je skopiowali, zawsze istnieje. Teoretycznie nawet śnieżynka mogłaby przetrwać w piekle nie topiąc się.

Stone chrząknął.

- Dobra. Pięć minut, żeby przejść do rzeczy. Piętnaście minut z brązami. Dziesięć minut na bank. Razem z pół godziny. Niewiele mamy czasu, żeby zająć pozycje, zwłaszcza jeśli będziecie gdzieś, gdzie ruch jest nieduży i bę-

dzie nas widać jak stokrotkę na kupie nawozu. Jeśli już wszystko musi odbyć się właśnie tak, trzeba będzie chodzić na paluszkach.

- Jeśli dobijemy targu w czymś sklepie - stwierdził Catlin - powinniście mieć dobre pole widzenia na brązy, kiedy będą je ładować. Zaczniecie, gdy obydwójce będziemy już siedzieć w samochodzie. Jeśli odbędzie się to w jakimś magazynie, dodajcie piętnaście minut na załadunek. Gdyby w tym czasie samochód nie wyjechał, zaczynajcie operację ratunkową.

Założywszy oczywiście, że FBI nie zgubi ich gdzieś na wąskich, stromych uliczkach San Francisco. Nikt jednak nie wspomniał o tej możliwości. To - i nie tylko to - ryzyko po prostu trzeba było podjąć.

Cisza trwała kilka minut. Stone w milczeniu analizował plan, szukając w nim słabych punktów. Znalazł ich sporo, ale mieli tak mało czasu i tak mało informacji, że nic nie można było na to poradzić.

- W porządku - powiedział w końcu. - Rozpoznałeś kogoś, kogo widziałeś dzisiaj?

- Lee Irana, a/uw Toma Lee.

Stone zawahał się.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Niech mnie diabli. Szpiegostwo nie jest w jego stylu.

Kogoś jeszcze?

- Nie.

- To niedobrze. Cóż, muszę zadzwonić w parę miejsc. Nie chcę później blokować telefonu. Ty zostań, Terry. Przyślę wam jeszcze kilka albumów. Może Catlin lub Lindsay zidentyfikują dla nas jeszcze kogoś?

Catlin podszedł do prowadzących na korytarz drzwi, otworzył je i niedbale zerknął w obie strony. Nie dostrzegł

nikogo. Odwrócił się i gestem wskazał Stone'owi „droga wolna”. Agent wyszedł. O'Donnel zamknął ze nim drzwi, zarygłował je i obrócił się dokładnie w chwili, w której Catlin zniknął w sypialni.

- Masz zamiar umyć Lindsay plecy? - zapytał Irlandczyk niewinnie.

- Mam zamiar zastosować się do własnej rady - warknął Catlin.

- To znaczy?

- Drzemka. Banki w Hongkongu otwierają bardzo wcześniej, biorąc pod uwagę różnicę czasu - stwierdził i zamknął za sobą drzwi.

Z walizki wyjął mały, wąski klin. Wepchnął go mocno w szczelinę między podłogą a drzwiami sypialni. Gdyby ktoś próbował otworzyć je z drugiego pokoju, zaklinowałyby się tylko jeszcze mocniej. Nie przypuszczał, by ktoś próbował wślizgnąć się do sypialni, ale był pewien, że Lindsay zaśnie znacznie szybciej wiedząc, że tylko któreś z nich może je otworzyć.

Łazienka była zamknięta. Wyraźnie słyszalny jeszcze przed chwilą szum prysznicu umilkł. Catlin zatrzymał się, a potem odwrócił i podszedł do szafy. Przejrzał ubrania, które Lindsay zabrała ze sobą do San Francisco. Kiedy pojedą po brązy chciał, by miała na sobie coś, w czym łatwo mogłaby się poruszać i w kolorze, który nie czyniłby z niej idealnego celu. Ponieważ telefon zadzwonił najprawdopodobniej w środku nocy, wszystko trzeba przygotować z wyprzedzeniem.

Szperał zręcznie w jej rzeczach, kiedy usłyszał szum suszarki do włosów. Wybrał w końcu dzinsy i miękki, niebieskoszary kaszmirowy sweter. Następnie znalazł tenisówki i wąską aksamiętą marynarkę w ciemnoniebieskim

kolorze, idealnie pasującym do jej oczu. Ubrania powiesił na poręczy krzesła, buty postawił obok.

W łazience nadal szumiała suszarka. Zawahał się, podszedł do zamkniętych drzwi i zapukał.

- Undsay?

- Wejź. Jestem ubrana.

Tylko świadomość faktu, że łazienka jest na podsłuchu powstrzymała wyrwyjący mu się z ust jęk rozczarowania. Otworzył drzwi, wszedł... i znieruchomiał, wpatrzony w dziewczynę.

Siedziała przy umywalce, susząc włosy. W powietrzu unosiła się para zmieszana z oszałamiającym zapachem perfum. Niemal nie zwrócił na to uwagi. Obraz Lindsay był tak fascynujący, że nie pozostawił miejsca na inne wrażenia.

Ubrana była w bladoróżowy peniuar z koronkowymi kwiatami, rozmieszczonymi w ten sposób, by ciemnoróżowe sutki piersi przebijały przez koronkę jak pączki. Susząc i szcztokując włosy poruszała się niezwykle zmysłowo. Momentalnie Catlin przypomniał sobie niedawne przeżycia: to jak zmiękła w jego uścisku i jak krzyczała później z rozkoszy.

Przeklął cicho elektroniczne mikrofony podsłuchu, które nie pozwolą mu znów usłyszeć tych jej pełnych namiętności krzyków. A przecież był jeszcze siedzący w dużym pokoju O'Donnel, nie mający do roboty nic oprócz przysłuchiwania się ciszy. Prywatność ich apartamentu została naruszona, nie będzie mógł kochać Lindsay tak, by krzyczała z rozkoszy. Nie będą sami, póki nie zakończy się gra Chena, co oznaczało, że nigdy już nie będzie z nią sam. Nigdy.

Podszedł, stanął za nią i tak blisko, by czuć promieniu-

jące z jej ciała, pachnące ciepło. Pochylił się powoli i ucałował jej nagie plecy.

- Jak się czujesz? - zapytał, patrząc w oczy odbitej w lustrze twarzy.

- Z każdą chwilą lepiej - odpowiedziała, pochyliła głowę i milcząco poprosiła o pocałunek w szyję. Uśmiechnęła się. Jego wąsy drażniły jej skórę jak jedwabna szczoteczka.

- Przygotowałem ci ubranie - tchnął jej w szyję. Mówiąc to, wsunął dłonie pod jej podniesione ramiona. Przesunął nimi po pełnym, kobiecym ciele aż do ud i z powrotem, ujął w dłonie piersi. Patrzył w lustro, widział jak zdrzała. Znowu pochylił głowę, odnalazł splot wrażliwych nerwów na szyi i delikatnie pieścił je dotykiem zębów.

- Dzień... dziękuję. Jakie ubranie?

Była tak podniecona, że niemal nie mogła mówić. Jej podniecenie przeszło go jak błyskawica. Czuł jej piersi ciężące w jego dłoniach. Sutki powiększały się i twardniały, gdy ich dotykał. Gorąca krew odpłynęła w dół jego ciała. Jego męskość uniosła się i stwardniała jak piersi Lindsay, napięta dzinsy. Czuł w niej każde uderzenie pulsu.

- Kiedy pojedziemy po brązy... - mówił, ściskając w palcach jej sutki. Zareagowała dreszczem, który poczuł w dłoniach, dostrzegł w lustrze. Uśmiechnął się - ...chcę, żebyś miała na sobie coś, co nie będzie ci krępowało ruchów.

- Ja... - głos się jej załamał. Patrzyła, jak przesuwa dłonie, jak ujmuje palcami twarde czubki jej piersi i ściska je łagodnie, rytmicznie. - Taaak. To... dobrze.

Drżącymi dłońmi wyłączyła i odłożyła suszarkę i szczotkę do włosów. Lecz kiedy chciała się odwrócić, Catlin powstrzymał ją lekkim, zmysłowym uściskiem. Ciągle stojąc za nią, z niezwykłą delikatnością przesunął palcami po sutkach jej piersi. Bawiąc się nimi pochylił się

i ugryzł ją w szyję. Odpowiedziała instynktownym ruchem bioder wtulonych w jego uda.

- Wiedziałem, że to ci się spodoba. - Podniósł wzrok, przyglądał się jej w lustrze. Nie dostrzegła tego. Wpatrywała się w jego dłonie na swym ciele. Wyraz jej twarzy sprawił, że z trudem opanował jęk pożądania. Zdławił go wiedząc, jak blisko zainstalowano „pluskwę”. - Wiesz, chcę, żebyś mogła się swobodnie poruszać - dokończył łamiącym się głosem.

Męska, twarda dłoń ześlizgnęła się po jej ciele, wstrzymując ruch dopiero wtedy, gdy palce zatrzymały się między ciepłymi udami. Czuł pod nimi jedwab materiału wraz z dwoma zapięciami, uniemożliwiającymi mu dotknięcie gorącego, wilgotnego ciała, tak bliskiego, a jednocześnie tak dalekiego. Powoli wsunął między nie swoją dłoń.

Westchnęła gwałtownie czując tę delikatną, wstępną pieśczętę.

- Jesteś pewien? - spytała napiętym, lekko ochrypłym głosem. - Jesteś...

A potem nie mogła już nic powiedzieć. Lewą ręką stłumił wyrywający się z jej ust cichy jęk rozkoszy, prawą zaś dotykał twardego jądra jej kobiecości, ukrytego w miękkich fałdach ciała.

- Najzupełniej pewien. - Przesunął dłoń niżej, zatrzaśki puszczały jeden po drugim. - Nie wolno ci wydać najmniejszego dźwięku. - Głos miał ochrypliwy. - Dlatego przygotowałem tenisówki. Nikt nic nie usłyszy. Rozluźnij się, słodki kociaku. Nie martw się. Zatrószczę się o wszy;- stko. O każdy... nawet najmniejszy... drobiazg.

Lindsay spojrzała w lustro, jakby patrzyła mu prosto w oczy. Odpowiedział na to spojrzenie uśmiechem, nie przerywając pieśczęt. Instynktownie opuściła wzrok, - a gdy zobaczyła intymność jego pieśczęt, jej ciało załapała

dzika, płynna rozkosz. Catlin poczuł ją także i pragnął westchnąć głośno z czystej, męskiej radości. Jego dłonie wślizgnęły się teraz pod jej rozpięty szlafroczek i pieściły nagie piersi. Lindsay wyprostowała się, odchyliła głowę i całowała jego palce, zamykając jej usta.

Catlin uwolnił teraz jej piersi, przesunął dłonią wzdłuż ciała, aż dotarł ponownie do ciemnobrazowych włosów, skrywających jej kobiecość. Nagłym ruchem, szeroko rozstawionych palców, przytulił ją do siebie, niezdolny już dłużej znosić bólu oczekiwania. Pieścił ją rytmicznie, znów poznając jej płynne ciepło.

Przytulona do niego Lindsay poruszyła się zmysłowo, wzmagając intensywność pieśczoły. Jedną dłoń położyła na jego ręce, przyciskając ją mocniej do swego aksamitnego ciała, a drugą sięgnęła za siebie, pragnąc dostarczyć mu przyjemności równie intensywnej jak ta, której sama doznawała.

Chwila walki z zamkiem dzinsów wzmogła tylko obojga. Wkrótce palce Lindsay znalazły nabrzmiałą męskość Catlina i uwolniły ją z pułapki spodni.

Zacisnął zęby. Lindsay pieściła go dłonią i było to jak słodka tortura. Wsunął w nią palce, powoli poruszał nimi, aż jej biodra dopasowały się do rytmu jego napięcia i pożądania. Obserwował jej płynne ruchy w lustrze, czuł bijące od niej gorąco i zapominał o całym świecie, widział obejmującą go ciepłą, ruchliwą dłoń.

I nie mógł już dłużej patrzeć. Zamknął oczy, poruszał się w rytm jej ruchów. Pieścili się tak przez drugie, pełne rozkoszy i bólu chwile. Pragnęli więcej, lecz nie rezygnowali z tego co osiągnęli, gdyż było tak bardzo rozkoszne. W końcu zmusił się, by wysunąć dłoń z miodu jej ciała lecz zaraz wsunął ją znowu, by poczuć rozkosz, z jaką topiła się pod jego dotknięciem.

- Wygląda na to, że lepiej ci będzie, jeśli się położysz - powiedział w końcu, uwalniając jej gorące, miękkie ciało.

Lindsay odetchnęła głęboko, urywając.

- Chyba... - głos się jej załamał. - Wiem. Ty też.

Przesunął palcem po jej twardych, nagich pośladkach, zmysłowo zatopił palce w jędrnym ciele. Czuł, jak zadrzała w odpowiedzi. Nie potrafiąc przestać, objął ją w talii i przesunął dłonie w górę. Gładził jej stwardniałe sutki, aż przygryzła wargi, wstrzymując krzyk.

- Catlin...!

Raz jeszcze ścisnął jej piersi, wygładził materiał i zapiął peniuar. Zdawał sobie sprawę, że jeśli spojrzy na nią, naga, choćby jeszcze raz, straci kontrolę nad sobą i weźmie ją niezależnie od tego, gdzie są i kto ich podsłuchuje.

Minęła go w drodze do łóżka, obrzucając jego wzniesioną męskość spojrzeniem pełnym takiego pożądania, że ukazał zęby w grymasie, który był więcej niż uśmiechem. Wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Patrzył, jak kładzie się na boku, twarzą w jego stronę. Jej piersi były napięte, twarde. Sutki rozkwitały wśród koronek jak paki kwiatów.

Rozbierał się niecierpliwie, pragnął nagości. Patrzyła, jak zbliża się do niej wielkimi, bezszelestnymi krokami. Było jej słabo z oczekiwania. Pochylił się nad nią i przesunął dłońmi od kostek nóg po uda. Obróciła się i w odpowiedzi na nacisk jego twardych, gorących palców rozsunęła nogi.

- Myślałam... - jęknęła, powstrzymując krzyk. Palce Catlina przesunęły się po zapięciu jej szlafroka sprawiając, że Lindsay poczuła się tak, jakby dotknęła elektrycznego kabla pod napięciem. - Myślałam, że nie chcesz - szepnęła głosem drżącym z podniecenia.

- Czy wyglądam na mężczyznę, który nie chce? - odparł cichutko i uśmiechnął się, gdy spojrzała na jego ciało, wypatrując męskości, zdradzającej pożądanie.

- Więc dlaczego... - syknęła nagle, gdy dłoń Catlina igrała z zatrzaskami szlafroka.

- A więc o to ci chodzi? - Jego miłosna gra doprowadzała ją do szaleństwa.

Skinęła tylko głową. Nie była w stanie odpowiedzieć, gdyż bała się, że zamiast słów z jej ust wydostanie się ochryple, głośny, zbyt dobrze słyszalny krzyk.

- Ponieważ - szepnął, wsuwając palce w szczelinę materiału - lubię cię rozbierać.

Jej ciało naprężyło się w zmysłowym odruchu, który otworzył ją dla niego całkowicie. Błyskawicznie klęknął między jej nogami i pieścił ją, aż zaczęła cichutko jęczeć. Uśmiechnął się.

- Zapiąłem je - szepnął, patrząc na nią, czując bijące z niej fale gorąca - ponieważ wiedziałem, że jeśli znów na ciebie spojrzę, wezmę cię w łazience, aż oboje będziemy krzyczeć z dzikiej radości. A potem przypomniałem sobie o „pluskwie”.

- Czy to znaczy...?

Równie zręczne, co delikatne palce Catlina odebrały jej mowę, oddech, wszystko, oprócz doznawanej rozkoszy. Pieścił i gładził ukryty w miękkim materiale sekret jej kobiecości. Wiła się, próbując wzmocnić intensywność pieszczoty, a on przerywał ją i znów rozpoczynał, aż zadrzała i roztopiła się w jego ramionach.

- Ach, smoku, zabijasz mnie sekunda po sekundzie - jęknęła.

- Nie, nie zabijam. Jeszcze nie. - Ostatnie dwa zatrzaśki puściły z cichym trzaskiem. Wsunął dłonie między jej

kolana, przycisnął, aż rozsunęła je, oddając mu się w pełni, bez zastrzeżeń. - Za chwilę...

Widziała płonące, złote oczy i silne, męskie ciało, biorące ją tak bardzo wolno. Czuła, jak gdzieś, w głębi jej istoty rodzą się dreszcze ekstazy. On poczuł je także. Widziała, jak na jego twarzy pojawia się wyraz niemal bolesnej rozkoszy. Wycofywał się równie wolno, jak w nią wchodził. Za chwilę znów ją wypełniał. Lindsay poczyniała topić się i wtedy znów się wycofywał i znów poruszał, wolno, wolniutko.

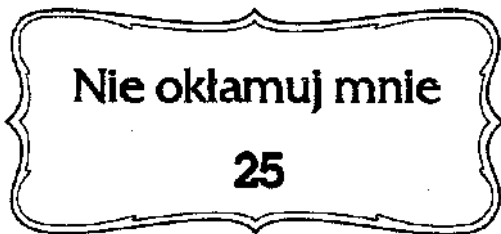
To, że powoli wchodził w nią tylko po to, by wycofać się jeszcze wolniej, sprawiało, że jęczała z rozkoszy. Zamykała oczy, poruszała się w rytm jego ruchów, jakby ich świat ograniczał się do tej powolnej miłości, jakby każde połączenie, każde wycofanie trwało całe życie. Nawet najdrobniejszy z jego ruchów powodował, że z jej ust wyrwały się jęki rozkoszy - pragnęła go, pragnęła, by wszedł w nią cały, do końca, by pograżył się całkowicie w jej spragnionym ciele.

Catlin podniósł głowę. Chciał przyjrzeć się Lindsay, chciał zapamiętać każdy jej ruch, chciał, by trwali tak wiecznie, bowiem nigdy nie czuł się tak żywy, nigdy nie czuł się tak bardzo mężczyzną, nigdy nie czuł tak ogromnej rozkoszy, napinającej mu mięśnie, aż zapragnął z krzykiem uwolnić się od ciężaru, wypełniającego całe jego ciało.

Wycofał się raz jeszcze. Lindsay jęknęła ochryple z rozkoszy pełnej pragnienia i tęsknoty. Powoli otworzyła oczy, osleplę od pochłaniającej ją ekstazy. Wszedł w nią znowu i tym razem poczuł przepływający przez nią długi, delikatny dreszcz rozkoszy, pieszczący także pograżone w niej jego twarde, męskie ciało. Delikatnie przykrył jej usta dłonią, tłumiąc instynktowne krzyki. Widział, jak zmienia się pod wpływem ekstazy. Wsuwał się w nią coraz głębiej

i głębiej, aż poczuł wybuch jej rozkoszy jakby to była jego rozkosz. I nagle zdał sobie sprawę, że naprawdę tak było, że przepłynęła przez niego fala dzikiej, a jednocześnie łagodnej i porywającej wszystko namiętności. Nigdy jeszcze nie czuł niczego takiego, nie czuł tej powolnej, eksplodującej miękkości.

Wiedział, jak Lindsay mu się przypatruje, jak uśmiecha się wiedząc, że uwolnił się od napięcia w tej jedynej, najśłodziej chwili, choć sama ciągle jeszcze drżała z rozkoszy. Chciał wymówić jej imię, lecz nie potrafił, drzenie jej ciała było bowiem jego drzeniem. Sądził, że umrze od nie kończących się, wstrząsających nim eksplozji, a każda następna była gorętsza i słodsza od poprzedniej. Nie wiedział, czy oddycha, nie myślał, nie słyszał świata. Czuł tylko pochłaniającą go całkowicie rozkosz i zastanawiał się, czy to już może śmierć.



- Odezwij się. Odezwij się wreszcie - mrucał niecierpliwie O'Donnel, patrząc na świecącą tarczę zegarka. - Mówiłem ci przecież, że masz dać się zgubić po sześciu minutach, a minęło...

Przerwał mu dobiegający z radia głos:

- „Piątka” do „Jedynki”. Jesteś, Jedynka”?

- Zgłasza się Jedynka”. - Stone przełączył na nadawanie radio z wbudowanym szfrownikiem, zniechęcającym do podsłuchu przyzwoitych obywateli i oszustów, którzy z upodobaniem przysłuchiwali się rozmowom na policyjnych częstotliwościach.

- Opuściłem ich sobie na Market. Kieruję się na wyznaczone miejsce na Stockton. Koniec.

Stone odwiesił mikrofon na właściwe miejsce na desce rozdzielczej. O'Donnel westchnął z ulgą. Szef spojrzął na młodego współpracownika, rozbawiony.

- Odpręż się, Terry. To najłatwiejsza część.

- Wcale nie. Właśnie czekanie jest najtrudniejsze. A co będzie, jeśli wszystko zostało wymyślone, żeby zwabić Catlina i Lindsay w pułapkę i załatwić ich?

- Z Catlinem łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Jest nie uzbrojony.

- Kiedy widziałem go po raz ostatni, miał jeszcze ręce
- powiedział sucho Stone.

- Nędzny zasięg.

- Przyjął warunki. To jego tyłek. Umie go chronić.

0'Donnel opadł na oparcie siedzenia. Pozostawało tylko czekać. Stali tuż przed Całonocnymi Delikatesami Wo Fónga - a przynajmniej sądził, że tak można przetłumaczyć ideogramy. Catlin podał im nazwę i adres. Adres na Stockton Street odnaleźli bez trudu. Nazwę musieli przyjąć na wiarę.

Po obu stronach ulicy roiło się od barów ze szkarłatnymi, pobłyskującymi neonami w postaci ideogramów. Były też dwa kina, wyświetlające stare spaghetti-westemy i filmy kung-fu z Bruce'em Lee, hotele wyglądające, jakby nie zadawano w nich pytań i nie przyjmowano wyjaśnień i księgarnia „dla dorosłych”, kompletnie pozbawionych wyobraźni wielbicieli słowa drukowanego.

- Ciekaw jestem, czy te pornosy są w chińskim - zainteresował się 0'DoimeL

- Chyba nie sądzisz, że trzeba je tłumaczyć?

Irlandczyk myślał przez chwilę, a potem roześmiał się.

- Racja. Ziarniste, czarno-białe zdjęcia przekraczają granice języków. Podajemy sobie ręce poprzez ocean. No, powiedzmy, ręce.

Umilkł. Obaj agenci obserwowali delikatesy Wo Fonga w bocznych lusterkach półciężarówki. Szansa, że zostaną zauważeni, była niewielka - zaparkowali swego poobijanego forda z kempingową budą w odległości przecznicy od sklepu. Sprawiali wrażenie ciężko pracujących mężczyzn, próbujących odpocząć przed harówką w weekend. Wałające się na desce pod przednią szybą, poprzewracane puszki piwa wyjaśniały bez zbędnych słów, dlaczego siedzieli

w samochodzie, zamiast przechadzać się po ulicy wśród tłumów białych i Chińczyków.

Obaj ubrani byli jak robotnicy, co pasowało do ich nędznego forda, choć efekt nie byłby aż tak przekonujący dla kogoś, to podszedłby wystarczająco blisko, by zobaczyć starannie przystrzyżone, siwe włosy Stone'a przykryte wmiętą czapczką baseballową. Obaj pili kawę, którą napełniono puszki Budwaisera. Służbowe pistolety w kaburach ukryte były pod ciemnymi zasłonami przeciwsłonecznymi. Obrzyny wisiały na uchwytych pod deską rozdzielczą. Poobijana skrzynka na narzędzia pod stopami Stone'a wypełniona była zapasową amunicją. Znajdowała się tam także lornetka, zaprojektowana do nocnych walk w Wietnamie.

- Oho! - 0'Donnel odstawił kawę. - Nadchodzą dwie nowe kurwy.

Stone przyglądał się dwóm ubranym w ciasno opięte suknie kobietom, idącym w ich kierunku. Kołysały biodrami, obrzucając wzrokiem mijających je mężczyzn. Westchnęła z ulgą, kiedy dwaj chętni klienci wciągnęli je do przejeżdżającego właśnie samochodu. Niemal nie sposób był zniechęcić podobne im panie, szukające szybkich pięćdziesięciu doliców i kilkuminutowego schronienia przed zimnym wiatrem, bez pokazania im znaczka.

- Ile mamy jeszcze czasu? - zapytał.

- Trzy minuty.

Stone pochylił się nisko. Chciał skorzystać z radia nie zwracając na siebie uwagi przechodniów. Wcisnął przycisk.

- Tu „Jedynka”. Kto jest już na miejscu oprócz „Trójki”, „Czwórki” i „Dziewiątki”?

Jednostki odpowiadały mu po kolei.

- „dwunastka”. - „Piątka”. - „Dziesiątka”. - „Dwójka”.
Odczekał pięć sekund. Nie zgłosił się nikt więcej.

odczytania. Potwierdzam: czarny, czterodrzwiowy. Skręcają w Stockton, jadą na południe.

- Nie zazdroszczę „Dziesiątce” - stwierdził O'Donnel włączając silnik fordą, ale nie zapalając świateł. - Cholerna robota - śledzić ślimaka przez centrum Chinatown w sobotnią noc. Albo -jeszcze gorzej - próbować równoległej obserwacji przez Grand Street.

Stone chrząknął.

- „Dziesiątka” to Jackson. Od lat tu pracuje. Chyba już przyzwyczał się do tłumów, wąskich uliczek i tych cholernych pagórków. Boże, pomyśleć tylko, że turyści z całego świata kochają to miasto. No, różne bywają gusta.

Mercedes jechał na południe a przyczajone jednostki zajmowały pozycje wokół niego.

Stone sięgnął po mikrofon.

- „Dwójka”, tu Jedyńka”. Skręć w następną ulicę. Jeśli „Dziesiątkę” zablokują na Grand Street, będziesz ma miejscu.

- Przyjęte.

Ostrożnie osłaniając światło małej latarki, Stone studiował plan miasta, starając się przewidzieć trasę mercedesa. Znow sięgnął po mikrofon.

- „Piątka”, tu Jedyńka”. Wsuń się na czoło i jedź” Powell do Market. Skręć na południe w Trzecią. Mam wrażenie, że jadą do doków.

Zaledwie „Piątka” zdążyła potwierdzić rozkaz, zgłosiły się kolejne jednostki.

- „Jedyńka”, tu „Siódemka”. Jesteśmy na Powell, kierunek północny, między Post a Stutter.

- Jedyńka”, tu „Ósemka”. Jesteśmy na Powell, kierunek północny, między O'Farrel a Geary.

- Przyjęte. „Siódemka”, „Ósemka”, „Piątka”, staraj się

wyprzedzać obiekty przynajmniej o przecznicę. „Siódemka” i „Ósemka” pojedą Trzecią. Potwierdzić.

Jednostki potwierdziły przyjęcie rozkazów. Niespełna kilometr dalej dwa tanie, amerykańskie samochody jednocześnie zawróciły w niedozwolonych miejscach przy wylotach dwóch różnych uliczek i pojechały na południe, by spotkać się przy Trzeciej. W Chinatown „Czwórka” i „Trójka” zamieniły się miejscami. Tuż za mercedesem znalazł się samochód innej marki.

- Jedyńka”, tu „Czwórka”. Obiekt zjeżdża do krawężnika tuż za Maude.

- Pewnie sprawdzają, czy nie mają „ogona”. Miń ich - rozkazał Stone. - „Dziesiątka”, zmień się z „Czwórka” na skrzyżowaniu Stockton i O'Farrel. Czekaj, aż mercedes ruszy, nim zajmiesz pozycję. „Piątka”, kryjesz na prawej równoległej. „Dwójka”, prowadzisz teraz na prawej równoległej. Jednostki na lewej równoległej, przygotujcie się do przejęcia bezpośredniej obserwacji, jeśli obiekt zawróci.

Jedna po drugiej jednostki potwierdzały przyjęcie rozkazów. O'Donnel czekał, nie okazując zniecierpliwienia. Obserwował ruch w lusterkach, gotów natychmiast wyjechać na Stockton. Mercedes nadal stał, zaparkowany.

- W porządku-powiedział mu Stone.-Spokojnie, powoli. Oddal się od nich na jakieś sześć przecznic.

O'Donnel zapalił światła i włączył się w ruch. W pół minuty później radio znow ożyło.

- Jedyńka”, tu „Trójka”. Obiekt zawrócił. Oddala się szybko!

- „Piątka” i „Dwunastka”, słyszycie? - nadał Stone.

Obie jednostki potwierdziły.

Stone siedział sztywno, klnąc pod nosem. Połowa jego ludzi znajdowała się w samochodach rozrzuconych wzdłuż nabrzeża, od którego mercedes szybko się oddalał. Lecz

przecież ładunek transportowany morzem powinien znajdować się na nabrzeżu, tak wskazywała logika. On sam bardzo na to liczył. Liczył także na to, że przedmioty tak stare, trudne w transporcie i cenne, nie będą przemieszczane częściej, niż jest to absolutnie konieczne.

- A co, jeśli wysłali je do Marin County? - zapytał nagle O'Donnel.

Stone nie odpowiedział. Prześladowała go ta sama myśl.

- Obiekt skręca w lewo, w Bush.

Stone czekał i modlił się.

- Obiekt skręca w lewo, w Powell.

Ścisnął mikrofon, jakby mógł wydusić z niego dobre wieści.

- Obiekt skręca w lewo, w Stutter.

- No, dawaj - szepnął O'Donnel. Oczami wyobraźni widział, jak mercedes zatacza pełne koło. - Dawaj, skarbie. Jeszcze raz!

- Obiekt skręca w prawo, w Stockton.

O'Donnel krzyknął cicho z radości i wstrzymał oddech. Mogli zrobić jeszcze jedno kółeczko, tak dla zabawy.

Lecz mercedes skręcił i wjechał na parking przy Stockton. Przez pięć minut stał wśród ulicznego ruchu. Wokół reflektorów jadących ulicami samochodów pojawiły się drobniutkie tęcze świadczące, że w powietrzu jest coraz więcej wilgoci. Nadciągała słynna mgła San Francisco. Stone wpatrywał się we wskazówki zegarka. Rozkazał krótko, by jednostki znalazły sobie miejsca i zaparkowały, czekając na kolejne rozkazy. Potem tylko siedział napięty i myślał o tym, ile jest możliwości, aby operacja mogła się nie udać. Doliczył się piętnastu różnych nieszczęść, kiedy odezwało się radio.

- Zawrócili. Powtarzam, zawrócili. Obiekt jedzie teraz Stockton na południe.

Stone rozluźnił zaciśnięte na mikrofonie pałce. Położył mapę na kolanach i znów zaczął rozstawiać jednostki. Meldunki docierały do niego regularnie. Kiedy mercedes skręcił w Trzecią Ulicę, na południe, kierując się na nabrzeże na północ od Hunters Point, pozwolił sobie na ciche, tryumfalne westchnienie. Nacisnął przycisk.

- Jednostka „Trzynasta”, tu „Jedynka”. Widzisz obiekt na Trzeciej?

Odpowiedzi „Trzynastki” towarzyszył łątowy do rozpoznania klekot obracających się śmigieł helikoptera.

- Potwierdzam. Potwierdzam. Mamy go czysto na noktowizorze. Jedzie Trzecią na południe. Kłęby mgły, prawie żadnego ruchu. Lepiej powiedz wszystkim swoim ludziom tam, na dole, żeby zostali mocno z tyłu. Jeśli znów się zatrzyma, łatwo ich będzie dostrzec.

- Przyjęte, „Trzynastka”. Wszystkie jednostki naziemne, tu „Jedynka”. Spotykamy się zgodnie z planem Alfa. „Trzynastka”, informuj natychmiast, gdy mercedes pojedzie do magazynu.

Siedząca w mercedesie Lindsay starała się ukryć rozczarowanie, kiedy kierowca wyłączył światła, zawrócił nagle na mokrej, szarej nawierzchni nabrzeża, skręcił w boczną uliczkę, prowadzącą między nieoświetlonymi budynkami i stanął. Chociaż nie wyłączył silnika, rozsiadł się jednak wygodnie, najwyraźniej nie planując jechać dalej, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Jak poprzednio, Catlin objął ją podczas tego gwałtownego manewru i trzymał, pozwalając, by czuła, jaki jest rozluźniony, dodając jej odwagi, w milczeniu upewniając ją, że wszystko idzie dobrze. Osobiście nie był całkowicie przekonany, że wszystko przebiega zgodnie z planem Stonesa. Wprawdzie mercedes nie przejechał pełnym gazem

pod prąd jednokierunkowej uliczki, ale wykonał niemal wszystkie inne manewry upewniając się, że nie jest śledzony.

Z drugiej strony, agenci FBI sprawiali wrażenie ludzi doskonale wyszkolonych. A właśnie dobrego wyszkolenia trzeba było, by nie dać się zwieść unikami wykonywanymi przez śledzonego. Biuro stać było na to, by zamknąć mercedesa w pudełku, otoczyć go ruchomą siecią, nie zdradzając przy tym swej obecności. Tylko raz, pod sklepem Wo Fonga, dostrzegł oznakę jego obecności i to w odległości przecznicy - a tam ludzie Hsianga zapewne nie spodziewali się „ogona”.

Lecz uliczka na nabrzeżu, na której stali teraz, była całkiem pusta. Sama liczba jednostek stała się teraz największym wrogiem FBI. Wśród pasm mgły światła samochodu przypominały światła latarni morskiej. Catlin wyjrzał przez okno zastanawiając się, czy jeden z helikopterów, które widział, może należeć do FBI.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał. - Popatrz tylko na te światła na drugim brzegu zatoki. Niewiele jest w San Francisco tak czystych nocy.

Lindsay odetchnęła głęboko i z wysiłkiem rozluźniła palce, zaciśnięte na rękawie czarnej, dżinsowej marynarki Catlina.

- Bardzo piękne - powiedziała mechanicznie.

A potem zdała sobie sprawę, że ma rację. Wzdłuż brzegu zatoki plamki jasnego złota i srebra płonęły na tle ciepłej czerni nocy. Ruchome kłęбки przezroczystej mgły wiślały i nad lądem, i nad wodą, przyćmiewając światła, lecz nie tłumiąc ich. W rezultacie powietrze było jednocześnie zamglone i przezroczyste, jakby wyglądała na dwór przez okno, składające się z rozmieszczonych przypadkowo, kolorowych i przezroczystych szybek.

Nikt nie przejechał obok nich. Wokół nie widzieli ani ludzi, ani samochodów. Kierowca był tylko nieruchomą, milczącą sylwetką widoczną na tle szyby, a silnika, pracującego na jałowych obrotach, niemal nie było słychać. Tylko Lindsay i Catlin wydawali się żywi wśród czerni nocy i świecącej wewnętrznym blaskiem mgły.

- Nie wydaje się to prawdziwe - szepnęła Lindsay.

- Bo nie jest - odpowiedział jej Catlin. - Pamiętaj, nic z tego nie jest prawdziwe.

Obróciła się i dostrzegła, jak w jego złotych oczach odbija się jaskrawe światło dalekiej latarni.

- Teraz wydaje się takie rzeczywiste.

- Wszystko zmieni się jutro.

W głosie Catlina mieszała się pewność i żal. Wiedział, co zaczyna się dzieć wraz z końcem tajnej akcji, jak szybko umysł dostosowuje się do zmienionej sytuacji. Lindsay tego nie rozumiała. Jeszcze nie. Ale wkrótce zrozumie. Wróci do poprzedniego życia, dawna rzeczywistość wyciągnie do niej rękę na powitanie, a w tej rzeczywistości nie było dla niego miejsca.

Położyła głowę na jego piersi, starając się wyobrazić sobie jutro. I nie potrafiła. Nie potrafiła wyobrazić sobie niczego, co nastąpi po tym, gdy ujrzy wreszcie jeden ze wspaniałych brązów Qin. Czuła się tak, jakby przez całe życie pracowała dla tej jednej chwili, kulminacji wszystkich marzeń, wszystkich strachów. Dla niej w tym zamykała się rzeczywistość. Tylko to się liczyło. Jutro tego nie zmieni.

- Zawsze będzie... - zaczęła mówić i przerwała, mercedes skoczył do przodu i po raz kolejny wykonał nieoczekiwany zwrot, po czym pojechał powoli Trzecią Ulicą. Wzdłuż nabrzeża stały wielkie, ciemne budynki - magazyny, w których przechowywano towary przeznaczone do

rozwiezienia, jak Ameryka długa i szeroka, samochodem lub koleją.

- Mam nadzieję, że to już koniec - stwierdziła sucho podejrzejawając, że chiński kierowca lepiej mówi po angielsku niż to do tej pory pokazał. - Jest wystarczająco źle, kiedy wyciągają cię z łóżka o północy. A kiedy po San Francisco wozi cię namiastka Marco Andrettiego, to już więcej niż obraza - to przykrość!

- Och, przypuszczam, że nasz milczący przyjaciel tam, z przodu, niemal już przyjął do wiadomości fakt, że zgubiłem „ogon” na długo przedtem, nim stawiałem się przed delikatesami Wo Fonga. - Catlin przesunął rękę, by móc zerknąć na świecąca tarczę zegarka. - Ćwiczy, żeby zabić czas. Czekaj, aż banki w Hongkongu zaczną odpowiadać na telefony. To już nie potrwa długo.

Kierowca zacisnął dłonie na kierownicy. Tylko w ten sposób mógł zareagować na jego ironię. W kilka minut później znów zgasił światła. Nie oświetlony mercedes jechał powoli wśród ciemnej, mglistej nocy, widoczny wyłącznie w smugach światła, rzucanych przez rzadko rozstawione latarnie.

W sposób jakże charakterystyczny dla Bay Area pasma mgły, tak delikatne przed zaledwie kilkoma minutami, zagęściły się, zmieniając w prawdziwą mgłę. Kierowca włączył wycieraczki - wilgoć kleiła się do szyb - lecz nie włączył świateł. Jechał nadal, jakby był całkowicie pewny, że droga przed nimi jest pusta. Catlin miał nadzieję, że się nie myli - bez świateł widzialność wynosiła niewiele ponad pięć metrów.

Jak zwykle bez ostrzeżenia, samochód skręcił w przerwę między budynkami, zbyt wąską, by nazwać ją uliczką, a zbyt szeroką, by nazwać ją wjazdem. Nie świeciło się

w żadnym z okien. Mercedes zwolnił, lampy postojowe rozblęły kilkakrotnie.

Przed nimi, nieco po lewej, pojawiło się wąskie pasmo światła. Rozszerzyło się powoli w kształt wysokich, prostokątnych wrót, prowadzących do magazynu. Kierowca dodał gazu i wjechał płynnie do środka. Pojawiło się trzech Chińczyków, z wysiłkiem zamknęli zniszczoną bramę.

Catlin zerknął na zegarek, zapamiętując czas wjazdu do magazynu. Jeśli FBI nie zgubiło ich na skutek wszystkich tych nagłych zwrotów i mgły, należało odmierzać czas. Stone poczekał czterdzieści pięć minut, nim zakłóci spokój nocy. Przez ten czas Catlin miał zamiar oddalić się stąd - widział zbyt wielu zakładników zabitych przez zrozpaczonych, ogłupiających przestępców, by w ten sposób ryzykować życie Undsay.

Jeden rzut oka pozwolił mu stwierdzić, że magazyn jest mały, prawdopodobnie opuszczony od wielu lat. W rogach, pod ścianami, leżały bezkształtne kupy rdzewiejącego złomu, powoli rozptywające się nicosć. Samochody, zapewne ciężarówki, pozostawiły ślady w kurzu i brudzie narosłym od lat, pokrywającym zaplamioną, cementową podłogę. Umieszczone pod sufitem otwory, będące niegdyś oknami, zabito deskami. Jedyne w magazynie światło pochodziło z reflektorów dwóch samochodów ustawionych tak, by oświetlać platformę małej półciężarówki, zaparkowanej bokiem pomiędzy nimi.

Dostrzegł osiem osób. Obok pani Zhu, pana Pao i Chena, a najbliższej tego ostatniego, stało czterech mężczyzn, którzy mogli być tylko żołnierzami. Nie widział broni. Wszyscy kontynentalni Chińczycy ubrani byli w ciemnoniebieskie spodnie i kurtki o wojskowym kroju, które Mao uczynił tak popularnymi.

Hsiang Wu w perłowszarym, jedwabnym garniturze,

stał z dala od przedstawicieli Chińskiej Republiki Ludowej. Trzej mężczyźni, którzy zamknęli ciężkie wrota, pojawili się znów i - niewzruszeni - stanęli za nim.

- Czy to...? - spytała na ich widok Lindsay.
- Tak - przytaknął cicho Catlin rozpoznając goryli, którzy wynieśli ciało Lee Trana;

Hsiang Wu zaciskał prawą dłoń na ręczce prostokątnej, skórzanej teczki, w której mogło kryć się wszystko, od torby z drugim śniadaniem, po pistolet maszynowy uzi. Znając go, Catlin uważał, że możliwe jest i jedno, i drugie.

Cichy stuk oznajmił im, że kierowca zwolnił zamki w drzwiczkach mercedesa. Jeden z ludzi Hsianga podszedł, otworzył je i grzecznie pomógł Lindsay wysiąść. Catlin wysiadł za nią, notując w pamięci, gdzie stoją goryle i chińscy żołnierze. W tej sytuacji był to wynik bardziej nawyku niż konieczności - nie spodziewał się kłopotów akurat teraz. Jeśli w ogóle się pojawiają, to dopiero wtedy, gdy pieniądze przepłyną z jednego banku w Hongkongu do drugiego.

- Ja będę mówił - powiedział, kiedy podchodzili do Hsianga. Nim Chińczyk zdołał rozpocząć jakiegokolwiek długie przemówienie w mandaryńskim, stwierdził krótko po angielsku:

- W Hongkongu jest już poniedziałek, banki odbierają telefony, więc nie ma żadnego powodu, żeby długo tu zabawić. Gdzie są brązy?

- Tu. - Wu gestem wskazał półciężarówkę. - A tu mam telefon. - Otworzył dyplomatkę, miał w niej telefon komórkowy. - Mamy także do dyspozycji samochód i człowieka, który będzie waszym kierowcą.

Przywołał gestem mężczyznę, siedzącego przedtem za kierownicą mercedesa.

- Włącz silnik dla naszego bardzo ostrożnego pana Ro-

usseau. Niech zobaczy, że wszystko jest w największym porządku.

Kierowca wszedł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik pracował cicho i czysto. Zerknął na Catlina, który odpowiedział mu skinieniem głowy.

- Doskonale. Wyłącz silnik, wysiądź, zostaw kluczyki w stacyjce - polecił Catlin. - Sam będę prowadził.

Kierowca spojrział na Hsianga, ten zaś zareagował wzruszeniem ramion.

- Jak powiedziałem, jest bardzo ostrożny. Zaczekaj w mercedesie, San. Dziś nie będę cię już potrzebował.

Lindsay przypatrywała się i Wu, i Catlinowi. Jaskrawe światło samochodowych reflektorów sprawiło, że rysy obu mężczyzn wyostrzyły się jak wyrzeźbione. Układające się na ich twarzach cienie były niemal diabelskie w wyrazie.

- Rozpakowane brązy znajdują się po przeciwnej stronie półciężarówki - mówił dalej Chińczyk. - Możesz oglądać je, jak długo zechcesz, córko. Są tak wspaniałe, że zasługują na zbadanie przez twe uczone oczy.

Lindsay natychmiast zrobiłaby krok w przód, gdyby nie powstrzymała jej dłoń Catlina. Zaskoczona, obróciła się tak szybko, że musiał ją puścić.

- Zrobimy to razem, słodki kociaku - powiedział z uśmiechem, lecz uśmiech ten przypomniawszy jej, że potrafi być twardy. - Pamiętasz? Towarzyszę ci na każdym kroku. Nigdy się ode mnie nie oddalasz.

Spojrzała mu w oczy i poczuła chłód.

- Pamiętam - szepnęła.

Razem obeszlili półciężarówkę. I stanęli nagle, nieruchomi, jakby wrosli w ziemię.

Błyszczący odbitym, ostrym światłem reflektorów, stał przed nimi woźnica rydwanu z grobowca cesarza Qin, wspaniały w swej starożytnej chwale. Ręce miał wyciąg-

nięte, trzymał w nich wodze, świecące stłumionym blaskiem srebra, z którego je wykonano. Włosy miał związane na czubku głowy w skomplikowany węzeł. Jego twarz była jednocześnie spokojna i okrutna. Szerokie rękawy szaty zwisały tak luźno i swobodnie, że nie sposób było uwierzyć, iż strój wykonany był nie w naturalnym materiale, lecz w brązie. Dłonie były tak wspaniale realistyczne, że Lindsay miała wrażenie, iż bez trudności dojrzy na nich odciski spowodowane długoletnim ścisaniem grubej skóry. Przed bojowym rydwanem znajdowała się para gotowych ruszyć z kopyta koni.

Podeszła powoli do rydwanu. Konie zamarły na wieki, gotowe do galopu. Uszy miały nastawione, ich oczy wykonano z krwawnika, a sterczące na łbach pióropusze z czystego, rzeźbionego złota. Pod gładką skórą z brązu mięśnie drżały tak realistycznie, że wręcz oczekiwała chwili, kiedy któryś z nich podrzuci łbem i zarzy ostrzegawczo, zaniepokojony ich obecnością.

Sam rydwan był kryty, w odróżnieniu od rzymskich, otwartych. Czworokątne pudło, wystarczająco wielkie, by pomieścić kilku, a nawet kilkunastu mężczyzn, opierało się na pojedynczej osi, znajdującej się dokładnie pod woźnicą. Owalny, przypominający parasol dach sięgał poza burty, chroniąc znajdujących się wewnątrz żołnierzy przed kapryсами żywiołów i równie kapryśnym deszczem strzał.

Lindsay szła przed siebie powoli, nieświadoma tego, że się porusza. Jej uwagę całkowicie pochłonał brąz. Patyna miała wspaniałą, błękitnozielony kolor i doskonałą, nieczęsto spotykaną fakturę, przypominającą jadeit. Powoli do jej świadomości zaczęły docierać szczegóły, których nie dostrzegła przedtem, oszołomiona wrażeniem, jakie dzieło to wywoływało jako całość.

Obchodziła rydwan i z każdym krokiem ozdoby ze złota

i pociemniałego przez wieki srebra, miedzi, malachitu, turkusu i krwawnika stały ku niej milczące wezwanie. Ornament inkrustacji, gęsty, skomplikowany, wspaniały, pod względem artystycznym przewyższał wszystko, co widziała do tej pory. Nowy rydwan z grobowca Qin musiał bardzo przypominać kolorowe, w całości pokryte ornamentem o skomplikowanym wzorze, lakowe pudełka, które w czasach dynastii Han zastąpiły w końcu brązy. W każdym razie dekoracje były bardzo podobne: zdumiewające, zmysłowe stłoczenie kolorów i kształtów.

Jej wzrok wędrował od zdobnych krwawnikiem końskich kopyt na pięknie zdobioną uprząż. Dyszel z brązu oddzielał od siebie konie. Powiodła wzdłuż niego wzrokiem aż do samego rydwanu, wykładanego srebrem i złotem w kształt krzywoliniowego ornamentu, mogącego symbolizować winorośl, deszcz lub pęd powietrza. Strój woźnicy był wręcz nabity ozdobami, ułożonymi we wzór zbyt skomplikowany, by ogarnąć go jednym rzutem oka. Jego oczy wykonane z lekko polerowanego srebra, błyszcząły światłem, były pełne życia.

Proporcje mężczyzny, koni i samego rydwanu dobrano tak wspaniale, że dzieło wydawało się Lindsay aż nazbyt wielkie, choć w rzeczywistości nie przekraczało połowy naturalnych rozmiarów. Pulsującego w nim życia nie sposób było ani zrozumieć, ani ująć w słowa. Poczwała, jak włosy jeżą się jej na głowie ze strachu - w tym zrujnowanym magazynie woźnica jechał swym rydwanem wprost ku niej, mostem rozpiętym nad rzeką czasu, kpiąc z tysiącleci, jakie upływały od życia pierwszego cesarza do jej własnego.

Widziała, jak zbliża się do niej jego twarz, twarz o rysach jednocześnie subiektywnych i będących wypadkową ; rysów wszystkich Chińczyków, jacy kiedykolwiek żyli na

ziemi. Spojrzała mu w oczy i nagle odczuła w nich obecność niezliczonych milionów wieśniaków, którzy poświęcili życie bogu ziemi o wielu twarzach, siali i zbierali plony, rodzili się, żyli i umierali, płakali, śmiali się i znosili wszystko. Rzeka istnień uchodząca w niezgłębione morze czasu. Ich duchy powróciły w błyszczących własnym światłem kropkach deszczu prawdziwej sztuki, wzbogacającej jeszcze nie narodzone pokolenia.

Tyle lat, tyle trudów, tylu ludzi, tak niewiele śmiechu i życia. Słyszała miliony milionów głosów, wzywających ją milcząco z tej otchłani piękna. W srebrze oczu woźnicy dojrzała też łzy swej matki.

- Lindsay?

Odwrociła głowę w stronę, z której dobiegł ją głos Catlina. Usłyszała go, pomimo nieskończonej fali czasu, bogatej w ludzkie życia, która właśnie załamała się nad jej głową. Jedno spojrzenie w jego twarz powiedziało jej, że wzywał ją więcej niż jeden raz; wymieniał jedno imię spośród wielu, mówił on jeden spośród milionów. Poza czasem stali Zhu i Pao, Chen i Hsiang. Ich niezgłębionymi, czarnymi oczami wpatrywała się w nią przyszłość. Czuła napięcie, z jakim oczekiwali jej odpowiedzi - przyszłość zawisła na jednym, nie wypowiedzianym jeszcze słowie, mogącym sprawić, że rzeka nadal uchodzić będzie do morza. Za sobą miała bolesny, pełen cierpienia, krzyk przeszłości, życia ludzi, których nie sposób policzyć, ludzi znoszących cierpienia, których nie sposób sobie ani wyobrazić, ani zrozumieć...

- Lindsay!

...a przed nią stał Catlin i terazniejszość. Obróciła się, wyciągnęła rękę ku brązowi, z jej ust spłynęło milczące błaganie, by ta chwila nie minęła, by nie musiała wypowiedzieć słów, które wypowiedzieć musiała. Chiński woźnica

wpatrywał się w nią oczami w kolorze łez, a potem nie widziała już nic i tylko łzy, jak gorące strumienie srebra, spłynęły jej po policzkach.

- Lindsay...

Odwrociła się twarzą ku niemu.

- Och, Catlin - powiedziała. - Tak strasznie mi przykro... tak przykro. To... to falsyfikat.

Nie okłamuj mnie

26

Nagle w magazynie rozbrzmiały krzyki po angielsku i w mandaryńskim, krzyki pełne napięcia i niedowierzania, wzajemnych oskarżeń i gwałtownych zaprzeczeń. Catlin nawet nie starał się zrozumieć ich wszystkich. W tym momencie pytania i gniewne pretensje nie miały najmniejszego znaczenia. Miało je natomiast życie Lindsay, bowiem już bardzo stara tradycja domagała się głowy posłańca przynoszącego złe wieści.

Chłodnymi, żółtymi oczami zmierzył dystans dzielący go od małej półciężarówki i innych przeszkód, które należało sforsować po drodze do niej, nie powodując natychmiastowej śmierci Lindsay. Czterech chińskich żołnierzy i dwóch goryli Hsianga stało na drodze, którą mógł wyjechać samochód.

Nigdy nie zamierzał czekać na FBI. Nawet, jeśli Stone nie zgubił ich we mgle, od chwili, w której mercedes wjechał do opuszczonego magazynu, minęło dopiero piętnaście minut. FBI, jeśli w ogóle jest gdzieś blisko, przyczai się na jeszcze pół godziny. Dla Lindsay ocalenie przyjdzie za późno.

- Cisza!

Rozkaz przebił się przez krzyk podniesionych głosów

z łatwością noża przecinającego papier. Chen Yi rozejrzał się wokół z pogardą.

;- - Szanowna towarzyszko Zhu - powiedział ostro mandaryńskim, w jego głosie wyraźnie słyszało się kpinę - i mój równie szanowny towarzysz Pao! Oto macie odpowiedź, której szukaliście przez pół świata z tak wielkim oddaniem. Chiny nie straciły twarzy, czysta polityka Mao nie została zbrukana. Czcigodny towarzysz Deng nie pozwolił kapitalistycznej zachłanności skorumpować nas. Honor Chin pozostaje wzorem dla mniej cywilizowanych krajów świata. Prawda tego twierdzenia pozostanie wieczna, niczym zaklęta w brąz. - Niedbałym gestem wskazał rydwan i konie. - Słowo panny Danner, wybranego przez was, wypróbowanego eksperta, gwarantuje, że dzieło nie pochodzi z Xi'anu. To falsyfikat!

Zhu, Pao i Hsiang zaprotestowali, przekrzykując i zagłuszając się nawzajem.

; Catlin trzymał dłoń na ramieniu Lindsay, dyskretnie, powoli odsuwając ją coraz dalej od brązu, stojącego między nimi a ciężarówką. Nie protestowała, ale też i nie po-
I I magala mu. Płakała w milczeniu, łzy ściekały jej po policzkach. Zbliżając się do szoferki, Catlin wyszukiwał i szere-
I I gował cele, za każdym razem inaczej, w miarę, jak zmieni-
| I ało się ustawienie grupy, znajdującej się między nim i
j I samochodem. Miał nadzieję, że kłótnia zaabsorbuje
I I wszystkich do tego stopnia, by umknęła ich uwagi ucieczka
I I kobiety, która spowodowała to całe zamieszanie.

|; Hsiang Wu pierwszy zrozumiał, że nie ma sensu krzy-
t I czeć na spokojnego, milczącego, dyskretnie tryumfującego
I I Chen Yi. Obrócił się i dostrzegł Lindsay, oddalającą się od
I I zamarłego na wieki z podniesionym łbem, brązowego ko-
I I nia.

I - Coś mi uczyniła, ma nieszczęsna córko! - krzyknął

w mandaryńskim. - Dlaczego tak obrzydliwie skłamałaś? Brazy są tak prawdziwe, jak ty jesteś tchórzliwa. Pani Zhu i pan Pao na własne oczy widzieli, jak wynurzają się ze świętej ziemi góry Li. Co zrobił twój obrzydliwy kochanek, by zmienić prawdę w kłamstwo?

Lindsay spojrzała w srebrne oczy woźnicy i w milczeniu potrząsnęła głową.

- Opanuj się, głupcze - powiedział zimno Chen Yi, zatrzasnął zapalniczkę i wydmuchnął kłęb dymu w stronę Hsianga. - Czcigodna panna Danner nie mogła zyskać nic, nazywając brąz fałszywym, zaś straciła wiele, nie mówiąc o procencie od transakcji. Cały kraj wie, że obiecała panu Catlinowi woźnicę Qin. Wie też, że z szacunkiem i pokorą zrobi wszystko dla człowieka, którego wybrała sobie na pana. Nie miała żadnego powodu, by nazwać brąz fabrykatem, z wyjątkiem najbardziej oczywistego: on jest sfałszowany!

Teatralnym gestem, nie zgadzając się całkowicie z jego normalnym, spokojnym zachowaniem, wyprostował rękę i wskazał nią sam rydwan.

- Spójrzcie na tą nędzną imitację sztuki! - Jego rozkazujący głos przepełniała pogarda. - Policzcie szprychy w kołach! Policzcie je!

Przemówił tak zdecydowanie, że wszyscy, z jednym wyjątkiem, odwrócili się, w milczeniu licząc szprychy. Z zaledwie ukrywaną gwałtownością Catlin pociągnął Lindsay bliżej półciężarówki.

- Zatrzymajcie ją! - krzyknęła nagle *madame* Zhu. Kątem oka dostrzegła błysk lśniących włosów Lindsay. - Brąz pochodzi z Xi'anu! Ona jest płatnym pachółkiem tego rewizjonistycznego psa, Chen Vi!

Żołnierze sięgnęli pod cywilne kurtki. Catlin osłonił Lindsay ciałem, zrobił dwa szybkie kroki, odbił się do

skoku i nogą trafił jednego z żołnierzy w głowę. Chińczyk padł jak zabity i leżał bez ruchu.

Ładując, Catlin obrócił się na pięcie, wymierzając nogą serię ciosów tak szybkich, że nie sposób ich było dostrzec. Padli jeszcze dwaj żołnierze. Czwarty zdążył wyciągnąć broń. Uderzenie, wymierzone twardą krawędzią dłoni zła* mało mu nadgarstek, późniejszy o mgnienie oka cios łokciem trafił go w splot słoneczny. Nim jeszcze Chińczyk upadł, Catlin już trzymał jego pistolet, mierząc w Hsianga.

- Jeśli twoi ludzie poruszą się - powiedział głosem bez wyrazu - zginiesz.

Przez dłuższą chwilę Hsiang patrzył mu w oczy i nie znalazł w nich żadnego powodu, by wątpić w prawdziwość usłyszaných właśnie słów. Powiedział coś ostro. Trzej goryle zamarli w bezruchu. Wyjęli broń, ale nie zdążyli wycełować.

- Podejź! - rozkazał Catlin.

Hsiang ruszył ku niemu powoli.

- Bliżej!

Podszedł, aż lufa pistoletu niemal oparła mu się o pierś. Catlin obrócił go błyskawicznym ruchem lewej ręki i mocno przycisnął do siebie.

- Każ swoim ludziom położyć broń na ziemi i kopnąć ją jak najdalej od ściany. Mają to robić po kolei.

W panującej w magazynie ciszy dźwięk metalu uderzającego o cement wydawał się bardzo głośny. Goryle kopali broń w ciemność... po kolei.

- Każ im teraz położyć się na brzuchu i chwycić dłońmi nogi w koskach. Zakładam, że mają gdzieś schowaną broń. Jeśli je puszcza, będzie to dla mnie znak, że chcą po nią sięgnąć. Upewnij się, że dobrze cię zrozumieli, Hsiang. Twoje życie od tego zależy.

Goryle przyjęli tę niewygodną postawę w zaledwie kilka sekund.

- Wezwij tu kierowcę. - Catlin obserwował sytuację szybkimi rzutami oka. Czekał na pierwszy, najdrobniejszy znak, że ktoś zamierza sięgnąć po broń. - Powiedz mu, że ma iść tyłem. Jeśli zobaczą jego twarz lub broń, obaj umrzecie.

Hsiang szybko powtórzył polecenia w mandaryńskim.

Jeden z leżących na podłodze żołnierzy jęknął i zwymiotował śliną. Catlin spojrział na niego i natychmiast odwrócił wzrok. Patrzył teraz na Pao, z wolna przesuwającego dłoń w stronę kurtki.

- Kabury pod pachą i te zapinane z przodu kurtki Mao powodują taki właśnie problem - zauważył tonem swobodnej rozmowy. - Nim odepniesz drugi guzik, jesteś martwy. Wyjmij broń, połóż na podłodze i kopnij pod samochód.

Dłoń Pao drgnęła. Odpiął kurtkę, bardzo dokładnie i powoli wypełniał rozkaz, potwierdzając tym wszystkie wcześniejsze podejrzenia - świetnie rozumiał kolokwialną angielszczyznę. Chen Yi przyjrzał się im obu, usta wykrzywił mu uśmiech, ale Catlin tego nie dostrzegł. Kierowca Hsiang Wu obchodził tyłem maskę półciężarówki - bardzo się starał, żeby cały czas widać było jego ręce i nie widać było twarzy.

- Klucze od mercedesa! - rozkazał Catlin ostrym głosem.

Kierowca nie próbował nawet twierdzić, że nie rozumie po angielsku.

- Są w stacyjce-powiedział szybko.

- Sprawdź", Lindsay. Obejdz mnie po prawej. Jeśli zobaczysz coś, co nie będzie ci się podobało, krzycz.

Przez chwilę myślała, że jej mięśnie nie zareagują na

rozkaz. Obeszła półciężarówkę. W kilka chwil później jej głos odbił się echem w magazynie.

- Są kluczyki!

- Wsiądź i zapal silnik.

Silnik mercedesa ożył i w tej chwili Hsiang Wu drgnął. Catlin ostrzegawczo zacisnął mu ramię na szyi i dokładnie w tej samej chwili wsunął w ucho chłodną lufę pistoletu. Hsiang zamarł, a Catlin zwrócił się do Chena.

- Rozpływam się w rozpacz i uniżonych przeprosinach - powiedział w mandaryńskim - lecz muszę nalegać, byś wraz ze swymi szacownymi przyjaciółmi otworzył dla mnie bramę. Tego rodzaju praca fizyczna jest oczywiście o wiele poniżej twojej życiowej pozycji, lecz konieczność musi czasem zwyciężyć w starciu z obyczajem. Jeśli skromne życie Hsiang Wu nie jest wystarczającą zapłatą za te wysiłki, dołożę do niego żałosne życie towarzysza Pao.

- My, Chińczycy, bezbłędnie rozpoznajemy smak konieczności - stwierdził Chen Yi po angielsku.

Troje przedstawicieli Chińskiej Republiki Ludowej wzięło się do roboty. Catlin odciągnął Hsianga w miejsce, z którego mógł obserwować leżących żołnierzy, goryli i dyplomatów, walczących z wypaczonymi skrzydłami bramy. W końcu udało się im otworzyć ją na szerokość wystarczającą dla mercedesa.

Na twarzy Catlina nie widać było ulgi, która zalała go ciepłą falą. Gotów był sforsować zamkniętą bramę półciężarówką, gdyby musiał, lecz bał się ognia, którym mogłaby zasypać go FBI, jeśli w końcu dotarła na miejsce. Zerknął na zegarek. Dziewiętnaście minut dwadzieścia sekund. Spojrzył na żołnierzy. Poruszał się tylko ten, który poprzednio zwymiotował, a on nie był już niebezpieczny.

Bez ostrzeżenia odwrócił się i na wópół poniósł, na wópół pociągnął Hsianga w kierunku czekającego nań mercedesa.

- Przesuń się - rozkazał Lindsay.

Ponad dźwignią biegów przesiedła się na miejsce dla pasażera. Jednym ruchem Catlin odrzucił Wu, wślizgnął się do samochodu, zatrzasnął drzwi i ruszył w kierunku wąskiego wyjazdu z magazynu.

- Na dół - rozkazał krótko, nie odrywając wzroku od bramy, prowadzącej w bezpieczną, ciemną noc. - Na sam dół. Połóż się na podłodze.

Ze zgaszonymi światłami, przebijając się przez kłęby mgły, mercedes wyjechał z magazynu i ruszył na południe, oddalając się od samochodów FBI, zdążających powoli na miejsce. Agenci przeszukiwali kolejne budynki. Znajdowali się mniej więcej dwa kilometry od opuszczonego magazynu. Tam właśnie helikopter zgubił mercedesa w coraz gęstszej mgle.

Prowadząc wprawnie, szybko, Catlin jechał z powrotem do miasta. Po mniej więcej trzech kilometrach włączył światła i pomógł Lindsay usiąść w fotelu. Zerknął na jej błąd, ściągniętą twarz, przesunął dłonią po splątanych włosach.

- Już nie musisz być dzielna - powiedział cicho. - Krzycz, płacz, co tylko chcesz. Wszystko skończone, czas na owocje.

Odwzajemniła jego spojrzenie żałując, że nie potrafi ani płakać, ani krzyczeć z radości. Była wyprana z uczuć.

- Nie jestem dzielna - odparła, pamiętając jak strasznie się bała, kiedy Catlin odsunął ją i skoczył między żołnierzy. Powalił czterech mężczyzn, nim zdążyła krzyknąć. - Należę do tych, których to... paraliżuje.

- Panowałaś nad sobą - pogładził ją po policzku wierzchem dłoni. - Cały czas mogłaś myśleć, działać. To właśnie jest odwaga. Reszta to tylko udawanie.

Westchnęła ciężko i oparła się o fotel. Oboje milczeli.

Nikt za nimi nie jechał. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Zaparkowali mercedesa kilka przecznic przed hotelem i resztę drogi przeszli w gęstej mgle. Catlin automatycznie sprawdził pokoje apartamentu. Były puste. Bez wahania usunął „pluskwy”, wrzucił jej do toalety i spuścił wodę. Dopiero wtedy pozwolił Lindsay wejść do środka i dokładnie zamknął za nią drzwi.

- Powinnaś się położyć. - Poprowadził ją w stronę łóżka. - Prędzej czy później Stone znajdzie magazyn i wpadnie tu z piekielnym pośpiechem, węsząc krew.

Lindsay padła na łóżko.

- A nie powinniśmy do niego zadzwonić?

Wzruszył ramionami.

- Znajdźcie nas wystarczająco szybko. Zamknij oczy, słodki kociaku. Zaśnij, jeśli możesz. Potrzebujesz snu. Stone będzie cię wypytywał w nieskończoność, a kiedy skończy, zaczniesz od nowa. Pytania, pytania, pytania, aż będziesz wrzeszczeć.

- A ty nie idziesz spać? - Pragnęła mieć go przy sobie, wtulić się w jego objęcia, pozwolić, by świat znikł i został tylko spokój.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Pragnął jej tak bardzo, że miał wrażenie, jakby ktoś wiercił mu w sercu tęym nożem.

- Jeszcze nie.

Odwrocił się. Wyjął walizkę z szafy. Patrzyła, jak składa i pakuje ubrania z wprawą kogoś, kto większość życia spędził w podróży.

- Catlin!

Ręce zawisły mu w powietrzu, nieruchome.

- Nie możesz spać rano?

- Już jest rano - stwierdził i zaczął mówić, nie dając jej szansy na dalsze protesty. - Kiedy Stone zaczniesz cię pod-

chodzić jak kot pisklę, pamiętaj, że nie musisz mu mówić tego, czego nie chcesz powiedzieć. Nie jesteś mu nic winna, nawet splunięcia. Jeśli Hsiang Wu jest sprytny albo ma szczęście, zniknie, nim FBI znajdzie magazyn. Jeśli nie - wzruszył ramionami - ten cholerny Stone może go oskarżyć wyłącznie o nie rozpoznanie fałszywych brązów.

Lindsay odwróciła wzrok. Patrzył na nią, pamiętając, jakie uczucia odbiły się w jej twarzy, kiedy wyciągnęła dłoń ku woźnicy na chwilę przed tym, nim nazwała go fałszykatem.

- Czy dlatego stwierdziłaś, że jest fałszywy? - spytał cicho. - Czy zdałaś sobie sprawę, że to jedyny sposób, by ocalić Hsianga przed jego chorobliwą nienawiścią do Chińskiej Republiki Ludowej?

Powoli podniosła wzrok i spojrzała w jego bursztynowe oczy.

- Częściowo tak. A częściowo z powodu Chena, strzeżonego przez Pao i Zhu. Na swój sposób oni obaj są dobrzy, honorowymi ludźmi. - Wyprostowała się, jej wzrok nabrał siły. - Ale przede wszystkim zrobiłam to dla siebie. Nie mogłabym znieść, gdyby mojej uczciwości użyto do rozdarcia kraju, krzywdzenia ludzi, których kocham. Więc w końcu... - głos się jej załamał, ale zdołała skończyć - ...skłamałam.

- Chen Yi miał rację - powiedział Catlin cicho, powoli. Patrzył, jak włosy złotą falą opadają jej na policzki. W słowach Lindsay słyszał rozpacz. - Jaka matka, taka córka.

- Nie rozumiem.

- Powiedział mi kiedyś, że twoja matka kochała ludzi, Chińczyków, nawet bardziej niż swojego Boga. A ty kochasz ich bardziej niż swojego Boga - prawdę.

Lindsay zamknęła oczy.

- Będzie ci trudniej niż matce. Ona nigdy nie stanęła

twarzą w twarz ze skutkami swego wyboru, ponieważ nigdy nie przyznała się, że dokonała wyboru. Ty, tak. Każdego dnia, do końca życia, przy każdym tytule artykułu w gazecie, będziesz zadawała sobie pytanie, czy wybrałaś właściwie.

- Tak - szepnęła. Oczy miała szeroko otwarte i bardzo ciemne. - Już je sobie zadaję. Mam wrażenie, że gdybym powiedziała prawdę o tym dziele, niczego by to nie zmieniło.

- Zmieniłoby. Na gorsze. Za każdym razem, gdy czytałabyś, że nieurodzaj w Chinach, spowodowany brakiem zachodniego nawozu, stał się przyczyną śmierci milionów ludzi, że z powodu braku zachodniej szczepionki umierają dzieci, że huragan, przed którym ostrzegłyby zachodnie satelity meteorologiczne, spowodował zniszczenie całych wiosek, pytałabyś siebie, czy nie mogłaś temu zapobiec. Cztałabyś się osobiście odpowiedzialna za każdą śmierć, za każde utracone życie.

- Skąd wiedziałeś? - Głos Lindsay wyraźnie zdradzał napięcie. - Przecież ja sama nie wiedziałam nic, póki nie spojrzałam w oczy woźnicy.

- Pod pewnymi względami jesteśmy bardzo podobni. - Catlin odwrócił się, znów pakował ubrania.

- Chciałam cię ostrzec, ale sama nie wiedziałam, co zrobić, aż do chwili, kiedy to zrobiłam. - Zaśmiała się dziwnie. - I jeszcze ci nawet nie podziękowałam.

- Za co?

- Za to, że ocaliłeś mi życie.

- Nie sądzę...

- A ja tak! - przerwała mu gwałtownie. - Zhu zabiłaby mnie bez wahania i bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Moim zdaniem Chen też byłby do tego zdolny, A nawet...

wujek Wu. Miałaś rację. Jesteś jedynym, który stanąłby między mną a kulą.

- Teraz już wszystko skończone. Już nigdy nie będziesz musiała się o to martwić.

Wyjął z szafy torbę na garnitury. Powoli i dokładnie przewiesił je na specjalny wieszak, złożył torbę i wepchnął ją między bagaże.

- Jesteś zły? - Głos Lindsay był ochryply. - Wolałbyś, żebym powiedziała, że ten brąz jest autentyczny?

Catlin błyskawicznie podniósł głowę. Przeszył ją wzrokiem. Chciał, by miała absolutną pewność, że jego odpowiedź jest uczciwa.

- To nie była moja decyzja, ale nie, nie jestem zły. Zrobiłaś, co uważałaś za słuszne, niezależnie od tego, ile przyszło ci za to zapłacić. Jeśli ma to jakieś znaczenie - dodał otwarcie - uważam, że jesteś wspaniałą kobietą.

- Jeśli ma znaczenie? - Lindsay potrząsnęła głową, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Catlin, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że cię kocham?

Na moment znieruchomiał, nie mówiąc nic. A potem wrócił do pakowania.

- Nie - stwierdził rzeczowo. - I ty także.

Nagle zgniół koszulę, którą właśnie trzymał w rękach i cisnął ją do walizki. Dwoma szybkimi krokami podszedł do łóżka.

- Właśnie to próbowałem ci wytłumaczyć przez ten cały czas, ale nie chciałaś mnie słuchać - powiedział. Głos miał głęboki, zgrzytliwy. - Więc posłuchaj mnie teraz, słodki kociaku. Uważnie. Nic nie zdarzyło się naprawdę. Żyłaś na adrenalinowej huśtawce i teraz wpadłaś w bardzo głęboki emocjonalny dołek.

- Nie!

- Tak! - Powiedział to stanowczo, choć cicho, trzyma-

jąc jej twarz w dłoniach. - Nigdy ci **nie** skłamałem, ale mam zamiar powiedzieć kilka rzeczy, których z pewnością wolałabyś nie słyszeć. Wysłuchaj ich. Wysłuchaj prawdy.

Patrzył w jej przerażone, ciemne oczy. Zaklął cicho. Wolałby tego nie robić, ale miał przecież do wykonania pewne zadanie, a to była jego część. Miał strzec Lindsay, a nie zapłacić Chenowi jej przyszłością.

Uwolnił ją delikatnie. Nawet odwracając się, rozkoszował się jeszcze ciepłem i miękkością jej skóry.

- Kiedy kończyłem szkołę w małym miasteczku w Montanie - powiedział, podnosząc wygniecioną koszulę - byłem dziki jak północny wiatr, czułem się zdolny postawić świat na głowie i wytrząsnąć sobie z niego na dłonie wszystko, czego chciałem. - Pod czarnymi wąsami pojawił się twardy uśmiech. - Nie chciałem hodować krów jak wuj, nie chciałem, by, jak ojca, emerytowanego żołnierza, wiązała mnie jakakolwiek dyscyplina i z całą pewnością nie chciałem robić sera we Francji, jak rodzina matki. Chciałem przygód i wolności. Ryzyka.

Lindsay patrzyła mu w oczy, patrzyła na ręce, na silne, tak płynnie poruszające się ciało. Słuchała także, bo oto zbliżała się odpowiedź na pytania, które pragnęła zadać, kiedy Catlin po raz pierwszy pojawił się w jej biurze: „Kim jesteś? Skąd się wzięłeś?”

- Zrobiłem maturę, zapisałem się do skoczków straży leśnej i ożeniłem z dziewczyną z sąsiedztwa, wszystko jednego lata. - Spojrzał na Lindsay, w jej oczach dostrzegł napięcie i zdziwienie.

> Wiesz, kim są skoczkowie straży leśnej? - zapytał, ignorując ważniejsze wątpliwości związane ze wzmianką o ślubie.

Potrząsnęła głową, bojąc się przerwać mu właśnie teraz, kiedy wreszcie zaczął mówić o przeszłości.

- To szaleńcy, którzy skaczą na spadochronach i gaszą pożary lasu w miejscach tak dzikich i odległych od cywilizacji, że nie ma tam ani dróg, ani ścieżek, niczego - oprócz ciemnych kolumn dymu, wznoszących się w letnie niebo - wyjaśnił. - Skacze się z toporem, łopata, śpiworem i żelazną racją żywności. Kiedy już ugasi się pożar, trzeba odnaleźć drogę w głuszy, której nie deptali nawet Indianie. Zazwyczaj więcej czasu spędzało się wracając do domu, niż gasząc pożar.

- Brzmi to... niebezpiecznie.

Uśmiechnął się lekko.

- Podobało mi się właśnie to niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo i okazja, żeby zostawić świat lepszym, niż się go zastało. - Roześmiał się krótko, cicho. Potrząsnął głową. Od dawna nie wspominał już swej szalonej młodości. - Ale w końcu nie gasiłem pożarów lasu. Okazało się, że to, czego się nauczyłem w szkole skoczków, bardziej potrzebne było Air America.

- Air America?

- Cywilne linie CIA w Azji - wyjaśnił. - Potrzebowali ludzi do nadzorowania ładowania i do wyrzucania z samolotów tego wszystkiego, czego dostarczali na wyżyny Wietnamu. Wiec pewnego dnia Air America pojawiła się w szkole skoczków w Montanie i zaangażowała niemal całą ostatnią klasę. Moją klasę. - Podeszedł do szafy, wyjął następną porcję ubrań i wrócił do pakowania. - Miałem zaledwie osiemnaście lat. Po dwóch tygodniach wykopywałem skrzynie przez otwarty luk DC-3, niemal szorując go brzuchem po jednym z najdzikszych pejzaży, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu.

Przez chwilę stał w milczeniu. W dłoniach trzymał ubrania, oczy wpatrzone miał w odległą przeszłość.

- Robiłem to przez przeszło trzy miesiące - mówił da-

lej - aż usłyszałem, jak mój szef próbuje zrozumieć jakiegoś bardzo zdenerwowanego francuskiego farmera, opowiadającego o ruchach oddziałów partyzanckich na szlaku, który stał się znany jako Droga Ho Szi Mina. Miałem matkę Francuzkę, więc rozumiałem go bez kłopotów. W pięć minut dowiedziałem się wszystkiego, co wiedział. Zaskoczyłem tym szefa, ale przecież nie był idiotą. Następnego dnia loty się skończyły i zostałem łącznikiem.

Spojrzał na trzymane w rękach ubrania, jakby ich nie poznawał.

- Podobało ci się to? - spytała Lindsay, kiedy cisza zaczęła się niebezpiecznie przedłużać.

- Bycie łącznikiem?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Masz na myśli, czy nie tęskniłem za napięciem związanym z możliwością wylecenia z DC-3 bez dobrodziejstw spadochronu? - spytał, uśmiechając się. - Tak, tęskniłem. Jak powiedziałem, byłem wtedy młody. Ale uczyłem się innych rzeczy, niektórych równie niebezpiecznych jak skakanie bez spadochronu. Nauczyłem się między innymi wietnamskiego. I chińskiego. Nasiąkałem nimi, jak przedtem nasiąkałem francuskim. Nie potrafiłem zrozumieć, jak biali wokół mnie mogą nie słyszeć różnicy między wietnamskim a chińskim. - Wzruszył ramionami i zaczął składać ubrania. - Dla Amerykanów biznesmen pochodzenia chińskiego niczym nie różni się od wietnamskiego wieśniaka. Po dziś dzień większość Amerykanów nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia Wietnamczycy pochodzenia chińskiego rządzą gospodarką Wietnamu.

Włożył do walizki starannie złożoną koszulę.

- Miałem już wtedy innego szefa, równie bystrego jak poprzedni. Zauważył, że mam talent do języków. Zdjęli mnie z tej roboty i posłali do szkoły języków obcych, pro-

wadzonej przez CIA. Nie sprzeciwiałem się. Odkryłem, że kocham języki niemal tak, jak napięcie i ryzyko. A poza tym - kpiąco skrzywił usta - w tej szkole kładli nacisk nie tylko na wartości intelektualne. Nauczyli mnie mnóstwa rzeczy znacznie bardziej zabójczych niż słowa. Do nich też miałem talent.

Przypomniała sobie, jak w chwili zagrożenia Catlin atakuje z oszałamiającą szybkością i zręcznością. A jednak to zdolne zabijać ciało poruszało się z niezwykłym wdziękiem w rytm *taijiquan* i pieściło ją tak szalenie zmysłowo, odkrywając tajemnice, których istnienia w sobie nigdy nie podejrzewała.

- Zostałem w Azji - mówił dalej - i uczyłem się. Gdzieś niedługo przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami straciłem żonę. Byliśmy zbyt młodzi, odległości, które nas dzieliły, okazały się zbyt wielkie, różniło nas doświadczenie i zbyt zafascynowała mnie Azja, żebym wrócił do domu i próbował jakoś to wszystko połączyć. Więc pewnego dnia otworzyłem list, jak każdy list zaczynający się od słów „Kochany...”, i dowiedziałem się, że Susie jest w ciąży z innym. Poczuję się zdradzony, byłem wściekły. Za wszystko winięm ją. - Uśmiechnął się krzywo. - Jak już mówiłem, byłem młody. Bardzo młody.

- Dlaczego jesteś taki skąpy? - ironicznie spytała Lindsay. - Dlaczego nie podzielisz się winą z Susie? Inne dziewczyny też wysyłały mężczyzn na wojnę i przez te wszystkie lata jakoś dochowywały im wierności?

Spojrzał na nią, rozbawiony.

- Musiało ich łączyć coś więcej niż tylko przyzwyczajenie. A my nie mieliśmy nic więcej, Azja sprawiła, że odzwyczajiliśmy się od siebie. - Wzruszył ramionami. - To było tak dawno. Kiedy słyszałem o niej ostatni raz, była szczęśliwie zamężna i miała wystarczająco wiele dzieci,

żeby sformować z nich własną drużynę baseballu. Już jej nie winię. Nauczyła mnie czegoś bardzo istotnego.

Czekała bez słowa, bez ruchu. Wyczuła, że to, co usłyszy teraz, nie będzie się jej podobało.

- Powiedziałem, że byłem wściekły, że czułem się zdradzony i tak się rzeczywiście czułem,, przez kilka godzin. - Spojrzenie czystych, bursztynowych oczu Catlina trzymało ją na uwieży niemal tak pewnie, jak jego ręka. - Widzisz, wtedy zaczynałem już nałogowo żyć w strefie cienia. Inne życie, prawdziwe życie, po prostu przestało mi się wydawać rzeczywiste. Napięcie, szczyty i upadki tego, co robiłem w Azji, pochłaniały mnie bez reszty. Straciłem perspektywę. Życie tajnego agenta tak zmienia człowieka.

- Sam powiedziałeś: byłeś młody - powiedziała spokojnie Lindsay. - Brak perspektywy nie jest niezwykły u ludzi, którzy nie skończyli jeszcze dwudziestu jeden lat.

Uśmiechnął się smutno rozumiejąc, co chciała mu powiedzieć. Skończyła dwadzieścia jeden lat. Tajna akcja nie pozbawiła jej uczuciowej perspektywy.

- To wcale nie takie proste, kochana Lindsay - stwierdził cichym głosem. - To wcale nie jest takie proste.

Patrzył na nią przez kilka krótkich chwil. Starał się zapamiętać ją taką, jaka była w tej chwili: skupiona twarz, oczy w chwytającym za serce kolorze najciemniejszego zmierzchu. Nie pozwalał sobie nawet myśleć o tym, jak bardzo jej pragnie, bowiem nie ufał sobie na tyle, by mieć pewność, że nie weźmie tego, co mu ofiarowywała. Ale gra w tajnych agentów już się skończyła. Wypowiedziano już ostatnie kłamstwa. Gdyby z nią teraz został, znenawidziłaby i jego, i siebie. Być może nastąpi to za parę tygodni, może miesięcy, gdy wyjdzie już z szoku adrenaliny, a świat znów stanie się rzeczywisty. On o tym wiedział.

Ona nie. Jeszcze nie. Nim odejdziesz, tego jeszcze musi ją nauczyć.

- Susie nauczyła mnie czegoś - powiedział cicho - lecz najwięcej nauczyła mnie Mei. Była niezwykła: delikatna, egzotyczna, zręczna - z pewnością najbardziej zmysłowa kobieta, jaką poznałem w życiu. Adrenalina działała na nią jak narkotyk. prostytutka Lee Trana, podwójna agentka, moja kochanka i morderczyni, która zabiła dziewięciu mężczyzn. Miałem być dziesiątym. Okazałem się najlepszy w łóżku, więc odwlekała chwilę, w której miała mnie zabić, pod pozorem, że dla Lee Trana ważniejsze są informacje, które można ode mnie wyciągnąć, niż moja śmierć.

Lindsay zbladła. Przypomniała sobie gwałtowną kłótnię w dwóch językach: angielskim i mandaryńskim, która wybuchła w biurze Hsiang Wu, kiedy Catlin omal nie zabił Lee Trana. Teraz rozumiała, dlaczego. I wcale, ale to wcale jej to nie pocieszyło.

- Kiedy poznałem Mei, żyłem podwójnym życiem już tak długo, że wierzyłem, iż wszyscy ludzie są kłamcami, mordercami, że się sprzedają, oszukują, kradną. Musiałem w to wierzyć. Ta wiara przypominała mi, że nie wolno obrócić się do nikogo plecami, nie wolno wstrzymać ciosu, że nie mogę się troszczyć o nikogo, oprócz siebie.

Przetrwać w tej Azji, w której żyłem i pracowałem, można było tylko na dwa sposoby. Albo miało się wielkie bogactwa, albo było się całkowicie bezlitosnym. CIA nie używa dotacji budżetowych, żeby wzbogacać swych funkcjonariuszy, ale udawało nam się przeżyć. To znaczy, fizycznie. Umysłowo... - wzruszył ramionami. - Niektórzy ginęli. Niektórzy się wypalali.

- Ale ty ani nie zginałeś, ani się nie wypaliłeś - stwierdziła czystym, pewnym głosem.

- Nie. Uwierzyłem, że w końcu znalazłem miłość. Ig-

norowałem wszystkie drobne znaki mówiące, że Mei jest czymś mniej i jednocześnie czymś więcej, niż miała być. Ignorowałem je do chwili, kiedy spojrzałem w lufę pistoletu i dostrzegłem w niej śmierć, która wreszcie mnie odnalazła.

Chciała spuścić wzrok - nie potrafiła już patrzeć w oczy Catlina, zbyt bolała ją wiedza o tym, w jakim piekle żył. Lecz nadal wpatrywała się wprost w jego twarz wiedząc, że w końcu przecież wyszedł z tego piekła, trzymając w dłoniach nasiona lepszego życia. Był jak uszkodzony brąz, który jej ofiarował: blizny tylko podnosiły siłę kreacji.

- W końcu jednak Mei nie zdobyła się na to, żeby cię zabić - powiedziała ze smutnym, gorzkim uśmiechem.

Przez moment Catlin sprawiał wrażenie zaskoczonego, a potem uśmiechnął się łagodnie i potrząsnął głową.

- Prawdziwe uczucia rodzą się w sercu, nie w ciele. Mei nie przypominała ciebie. Nie była zdolna do odczuwania miłości lub nienawiści. Reagowało tylko ciało. Zabiła-by mnie, gdyby nie człowiek nazwiskiem Chen Jiangshi. Dostał kulę przeznaczoną dla mnie. Zginał, zabijając ją.

Lindsay zadrzała.

- A teraz nie wierzysz w miłość, bo kochałeś nieodpowiednie kobiety?

Catlin zawahał się. kusiło go, by wziąć to, co ofiarowuje mu Lindsay. Lecz odrzucił pokusę wiedząc, że z tą kobietą nie ma łatwych dróg. Obiecał jej prawdę, na którą więcej niż zasłużyła. Tylko prawda może chronić ją - i jego - przed sterowanymi adrenaliną reakcjami, które brała za miłość.

- Nie całkiem - powiedział cicho, smutno. - Nauczyłem się, że tajny agent nie tylko nie może sobie pozwolić na uczucia, lecz także nie wolno mu im zaufać. Adrenalina rządzi człowiekiem, sprawia, że wszystko jest ważne, że

każda chwila wydaje się jedyna, niezwykła. Każdy drink jest najlepszy. Każdy posiłek najwytworniejszy. Każdy akt miłosny wydaje się najwspanialszy, najbardziej podniecający.

- Ale...

- Żadnego ale, słodki kociaku. To ja tu jestem przewodnikiem, pamiętasz? - Nie mogła nic powiedzieć, nie dał jej żadnej szansy. - Po pewnym czasie adrenalinowy lot kończy się i już nie czujesz niczego. Dopiero wtedy wiesz, czym on jest, a czym nigdy nie będzie. Nie jest miłością, Lindsay. Chociaż tego trzeba się nauczyć. Ja uczyłem się tego całe lata. I przez lata przyzwyczajałem się do tej wiedzy. Ty nie masz tyle czasu. Ciągłe myślisz, że adrenalina pozwala ci intensywniej odczuwać rzeczywistość. To najniebezpieczniejsze kłamstwo ze wszystkich.

- Catlin... - Lindsay zaniepokoiła się. Wreszcie zrozumiała, do czego zmierza, co pragnie jej powiedzieć.

- Nie! - Głos Catlina zagłuszył jej krzyk. - Teraz mi nie wierzysz, ale kiedyś uwierzysz. Prawda jest taka, że tylko myślisz, że mnie kochasz. Za parę dni poziom adrenaliny opadnie. Przypomnisz sobie, o czym rozmawialiśmy, jak się kochaliśmy i zarumienisz się ze wstydu aż po czubek głowy. Wtedy powinnaś zdać sobie sprawę, że ja to rozumiem. Byłem tam, czułem już kiedyś to wszystko, piłem z tego kielicha, aż do ostatnich, gorzko-słodkich kropeł.

- To nieprawda!

- Lindsay, wiem o czym myślisz...

- Nie! - Tym razem udało jej się wtrącić. - Wiem, co jest prawdą, a co nią nie jest. Kocham cię!

Catlin zamknął oczy. W myśli skazywał zręcznego manipulatora, Chen Yi, na najniższy krąg piekieł.

- Za kilka miesięcy - powiedział zamykając walizkę,

trzask zamków podkreślił ostateczny charakter jego słów - dojdiesz do siebie po adrenalinowym i emocjonalnym szoku. Stwierdzisz, że zrobiłaś to, co zrobić mogłaś, najlepiej jak mogłaś - biorąc pod uwagę okoliczności. A zrobiłaś wspaniałą robotę, lepszą niż Stone i Chen mieli prawo oczekiwać. Chce, żebyś to wiedziała, Lindsay. Taka jest prawda.

Podniósł walizkę i podeszedł do drzwi sypialni. Trzymając dłoń na klamce, odwrócił się ku Lindsay. Wyraz jego żółtych oczu sprawił, że przeszył ją straszny ból, aż zacisnęła dłonie, wbijając sobie w skórę paznokcie - i bolało ją to mniej niż pustka, którą widziała we wzroku kochanka.

- Lindsay. - Jego głos był cichy, łagodny, tak pozbawiony nadziei jak spojrzenie. - Jeśli spotkamy się kiedyś w Waszyngtonie, nie odwracaj się do mnie plecami. Kiedy sobie o mnie przypomnisz, jeśli w ogóle sobie o mnie przypomnisz, nie wolno ci czuć wstydu. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Zamknął za sobą drzwi, starając się nie słyszeć jej urywanego szlochu. Lecz jej srebrzysty głos i słowa, które powiedziała, utkwily mu w pamięci, prześladowały srebrnym cieniem.

- Mylisz się! Moja miłość do ciebie jest tak prawdziwa jak brząz Qin!

Nie okłamuj mnie

27

Lindsay siedziała przy biurku w swym gabinecie w Muzeum Sztuki Azji. Wpatrywała się w swoje dłonie, jakby - patrząc na nie wystarczająco długo i wystarczająco intensywnie - mogła z terażniejszości zajrzeć w przyszłość i przestać tęsknić za czymś, czego nie miała dostać. Wiedziała, że gdzieś, w przyszłości, czeka ją spokój. Catlin obiecał, że to przestanie boleć, a nigdy jej przecież nie skłamał.

Być może właśnie dziś przestanie cierpieć. Być może dziś spotka go w Waszyngtonie, gdzieś, na ulicy. Być może on już idzie tą ulicą. Czy czuje to samo co ona - czy jest połową przeciętej monety, ptakiem, który bardzo pragnie wlecieć w powietrze i nie może, bowiem ma tylko jedno skrzydło?

W tok tej myśli wdarł się ciężki zapach papierosowego dymu. Gwałtownie podniosła głowę. W drzwiach gabinetu zobaczyła Chena.

- Bardzo przepraszam, że przybyłem nie zapowiedziany. - Chen skłonił się nisko. - Ale wkrótce wyjeżdżam, a chciałem spotkać się z panią sam na sam. Jeśli nie zechce pani ze mną rozmawiać, zrozumiem. Przysporzyłem pani wiele zmartwień.

Lindsay uśmiechnęła się smutno.

- Ostrzegano mnie. Zgłosiłam się na ochotnika. Nie zwykłam chować uraz, panie Chen.

- Jesteś niezwykle szczodra, córko. Jeśli wolno mi tak cię nazywać.

- To dla mnie zaszczyt. - Czuła, jak napinają się jej mięśnie twarzy. Pomyślała właśnie o kimś, kto kiedyś nazwał ją córką: Hsiang Wu, człowiek, którego zdradziła. Wstała zza biurka.

- Proszę wejść. Czy ma pan czas na herbatę? Z cytryną.

- O cytrynie przypomniała sobie w ostatniej chwili.

- Napiję się z przyjemnością.

- Więc proszę mi wybaczyć. To potrwa tylko chwilkę.

Chen rozejrzał się po gabinecie i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była gablotka, a w niej stara brązowa misa na ryż, uszkodzona i naprawiona. Po naprawie została długa, biegnąca po przekątnej blizna. Stanął przed brązem i wpatrywał się w niego, póki Lindsay nie wróciła z dzbankiem wonnej herbaty i nie postawiła go na niskim stoliku przy kanapie.

- Jesteś kobietą równie wielkiej delikatności, co szczodrości. - Chen obrócił się ku niej.

Zaskoczona, Lindsay podniosła głowę, przerywając nalewanie herbaty.

- Uszkodzona misa - wyjaśnił Chen Yi. - Jest jak Chińczy.

Usiadł, przyjmując podane mu filiżankę i popielniczkę. Oparł się na poduszkach, zdobnych we wschodni wzór pędów bambusa, wyrastających w ciemne niebo.

- Cieszę się, że przyszedł mnie pan odwiedzić - powiedziała Lindsay. - Chciałam panu podziękować, ale nie wiedziałam, gdzie można pana znaleźć.

- Chciałaś mi podziękować? - Siwe brwi Chena uniosły się w wyrazie zdumienia.

- Za Hsianga - wyjaśniła po prostu. - Byłam jego córką, a jednak go zdradziłam. Mógł go pan wymienić wśród konspiratorów. Jest pańskim wrogiem, a jednak ochronił go pan.

- Zastanawiasz się, czemu?

Lindsay westchnęła.

- Zastanawiam się nad wieloma rzeczami, ale nie spodziewam się odpowiedzi.

- Odpowiedź na pytanie o pana Hsianga jest równie prosta i równie skomplikowana jak ta misa. - Chen Yi wskazał ją ręką, w której trzymał papierosa. W stronę naczynia popłynął kłęb dymu. - Jeśli masz czas, poczuję się zaszczycony, mogąc udzielić ci wyjaśnień.

- Och, mam czas. - Skrzywiła się lekko. - Tego jednego mi nie brakuje. Czasu, czasu, czasu.

Chen Yi dostrzegł delikatne zmarszczki, rysujące się na jej twarzy. Miał wrażenie, że zeszcupiała. W zestawieniu ze złotą bluzką, jej skóra wydawała się blada, niemal przezroczysta. Kości policzkowe sprawiały wrażenie ostrzejszych, oczy - większych. Ich granatowoniebieski kolor też wydawał się inny, ciemniejszy.

- Chiny źle cię wykorzystały, córko. - Chen westchnął i wrzucił papierosa do popielniczki, pozwalając mu się tlić. - Nieczęsto dobrze wykorzystują swe dzieci, ale potrafimy to znieść. Być może same obdarzyły nas tym darem.

r- Lub przekleństwem.

- Ach! To mógłby powiedzieć twój ojciec, ale przemasz głosem matki.

- Znał pan moich rodziców? - spytała, zaskoczona.

- Twa matka ocaliła życie moje i mego najstarszego syna. Mogłaś mieć wówczas trzy lata.

Oczy Lindsay rozszerzyły się. Pragnęła pytać, lecz Chen

Yi mówił nadal. Mówił zdumiewająco szybko, jakby miał wiele do powiedzenia i niewiele czasu, by to powiedzieć.

- Ani ja sam, ani mój syn nie byliśmy chrześcijanami. Dla twojej matki nie miało to żadnego znaczenia. Widziała w nas ludzi, cierpiących ludzi. Widziała tylko to i tylko to ją obchodziło.

Opuścił głowę. Zapalniczka szcęknęła. Zaciągnął się głęboko, płomień błysnął jasno.

- Od niej nauczyłaś się szczodrości. - Wypuścił kłęb dymu i poprzez dym wpatrywał się Lindsay. - Odwagę odziedziczyłaś po ojcu. Wspaniała kombinacja.

Potrząsnęła głową. Czuła się niemal tak wspaniale, jak ptak z jednym skrzydłem. Przeszłość była dla niej wirum intryg i kłamstw, stałym jak szarpany wiatrem płomień. Każda nowa wiadomość zmieniała jego kształt, zmieniała kształt przeszłości, zmieniała jej wspomnienia, zmieniała sposób, w jaki widziała teraźniejszość. Zawsze sądziła, że przeszłość jest statyczna. Teraz wiedziała, jak wielki popełniała błąd. Przeszłość płonęła jak ogień, zmieniając się z każdym tchnieniem nowej wiedzy, z wiatrem przynoszącym nowe fakty.

W zapadłej nagle ciszy Chen Yi obserwował wirujący, unoszący się w powietrze dym, równie zmienny jak jego wspomnienia. Wspomnienia rozwiały się, a jego cichy, lecz ostry głos rozerwał ciszę.

- W całej historii Chin jedna była rzecz ważniejsza niż ludzie, niż państwo: rodzina. Niezależnie od tego, kto rządził i czy w ogóle ktoś rządził, pokolenia Chińczyków żyły, splatając się jak jedwabne nici. Córki opuszczały swe rodziny, by wejść do innych rodzin. Synowie przyprowadzali żony, by ich rodziny wzbogaciły się o synów i córki. Mądrość starszych kształciła wnuki i prawnuki. Rodzice żywiili i chronili tych, których powołali na świat i wszystkie

kolejne pokolenia, i tak działo się przez tysiące lat. Historia Chin splatała się w tkaninę trwalszą, mocniejszą i piękniejszą niż jedwab. Tkanina ta rozpadła się w pył.

Zaciągnął się, obserwując Lindsay. Siedziała nieruchomo, słuchając, czekając. Skinął krótko głową, doceniając uwagę, którą mu poświęciła.

- Gdzie kiedyś było pięcioro albo dziesięcioro dzieci, jest teraz jedno, najwyżej dwoje - mówił dalej. - Synowie mieszkali niegdyś z rodzicami, teraz mąż i żona mieszkają sami. Jednego wnuka piastuje czworo marzących o rodzinie dziadków. Dziecko dorasta samotne, nie dzieląc się niczym z nikim i nie wiedząc, jakie są potrzeby innych.

Rząd stara się wypełnić pokoje, w których mieszkały niegdyś nasze wielkie rodziny. Troszczymy się o chorych. Karmimy ubogich. Karzemy przestępców. Nagradzamy chętnych do pracy. - Chen Yi wydmuchnął w powietrze kłąb dymu. - To nie wystarcza. Gdy umierają rodzice dziecka, umiera z nimi jego historia. Nie ma łączności między pokoleniami. Nie ma ciągłości.

Lindsay przypomniała sobie, co czuła w momencie śmierci matki: wszystkie lata stracone, nie ma kogo pytać, nie ma kogoś, kto odpowie na pytanie, nie ma nikogo, kto przeżył wraz z nią jej dziecięce lata i mógłby podzielić się z nią swą wiedzą.

- Wypełniłaś swą pustkę sztuką - stwierdził Chen. - To twoja historia, to twoje trwanie. Potrafisz wpleść się w jej skomplikowany, a jednocześnie delikatny wzór, wiedząc, że jesteś częścią ludzkości i historii. - Jego papieros rozjarzył się dwukrotnie. - Większość ludzi różni się od ciebie. Nie potrafią zapełnić swych pustych pokoi.

Spojrzał na żarzący się czubek papierosa, myśląc o swych własnych, nielicznych wnukach, o końcu swej

własnej historii. Chrząknął i mówił dalej szybko, niemal obcesowo.

- Lecz kraj nie ma innego wyjścia, niż upleść nową tkaninę. Jeśli populacja obywateli Chin nie zmaleje, nasza wielkość rozproszy się w konieczności wykarmienia coraz większej liczby ust coraz mniejszą ilością jedzenia. Jeśli mamy przetrwać, musimy przejść od naszych zdobywców to, co zawsze przejmowaliśmy od zwycięzców: to, co czyni ich silnymi. Na Zachodzie tym czymś jest technika. Technika wymaga małych rodzin. Dzięki nim Zachód stał się tym, czym jest dzisiaj, a czym Chiny muszą zostać jutro.

Spojrzał na wpatrujące się w niego ciemne, prawie granatowe oczy Lindsay i przypomniał sobie inne oczy, kobiece włosy jak rzeka złota, kobiecy głos jak srebrna nuta marzeń.

- Mao doznał porażki. Sztynna ideologia osłabiła nas raczej, niż wzmocniła. Jednak Chińczycy muszą mieć coś, w co uwierzyliby, coś, co było przed nimi i będzie po ich śmierci. Zachód już to ma.

Spojrzał na Lindsay i uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie,

- Religia, córko. Chińczycy wymyślili wiele rzeczy, ale nie poświęcali uwagi religii. Mielśmy wielkie rodziny i dzięki nim znaleźmy nasze pochodzenie i miejsce w życiu; rodzina utrzymywała nasze ciała i troszczyła się o nasze dusze w ich przyszłym życiu. Nie potrzebowaliśmy Boga, więc go nie wymyśliliśmy.

Wrzucił papierosa do popielniczki. Dym wzniósł się z niej cienkim, prostym pasmem i rozwiął, gdy Lindsay poruszyła się.

- Zdałem sobie sprawę, że gdy znikły nasze wielkie rodziny, pojawiła się potrzeba religii - mówił dalej Chen Ti - i starałem się zbadać, która z nich najbardziej odpowiada

naszej historii, kulturze i przyszłości. Odrzuciłem religie Wschodu z tej prostej przyczyny, że nie dopuszczały i nie stwarzały korzystnych warunków intelektualnym obyczajom, prowadzącym do wykształcenia współczesnej techniki. Z tego samego powodu odrzuciłem islam. Ateizm to kwestia osobista i luksus, na który Chiny nie mogą sobie jeszcze pozwolić. To technika rodzi ateizm, a nie odwrotnie.

Napił się herbaty, westchnął, odstawił filiżankę.

- W końcu pozostało tylko chrześcijaństwo. Wystarczająco elastyczne, by przetrwać drastyczne zmiany społeczne współczesnych czasów, nie wymagając od wyznawców fanatyzmu. Potrafi i w rzeczywistości współdziała z różnymi kulturami i różnymi formami rządów. Jest zdolne do błyskawicznych zmian, bez utraty swej wewnętrznej spójności. W istocie jest religią industrializacji.

Zapalniczka otworzyła się, błysnął płomień. Chen Yi zaciągnął się głęboko.

- Uratowałem Hsianga, ponieważ jest Chińczykiem i chrześcijaninem, i ponieważ będziemy potrzebowali ludzi jego pokroju, jeśli mamy przetrwać utratę naszych wielodzietnych rodzin i zyskać nowoczesną technologię, zachowując naszą chińską tożsamość.

Uśmiechnął się zza zasłony dymu.

- Czy uraża cię, córko, że popieram chrześcijaństwo ze względów państwowych raczej, niż z potrzeby duszy?

- Myślę, że chrześcijaństwo jest wystarczająco proteańskie, by znalazło się w nim miejsce nawet dla pana.

- Proteańskie? Wyjaśnij, proszę.

- Elastyczne i trwale, zdolne dostosować się do niemal każdej sytuacji, nie tracąc swej wewnętrznej spójności.

- Ach! Proteańskie! Dokładnie. Zapamiętam to sobie.

Wypił herbatę wystarczająco hałaśliwie, by wiedziała,

że zaparzyła ją dobrze, lecz nie wystarczająco hałaśliwie, by urazić jej zachodnią wrażliwość. Kiedy podniósł wzrok, Lindsay zamarła. Czuła, że prawdziwy powód jego wizyty zostanie wyjaśniony właśnie teraz.

- Ocaliłem Hsianga także dlatego, że winien jestem spłacić dług rodzinie Dannerów, a dług ten powiększył się, kiedy nie zdołałem ocalić twego wuja Marka.

Zamarła.

Czarne oczy Chena zwięziły się. Skinął krótko głową.

- To doprawdy smutna historia. Czy nadal masz koszmary?

- Jeśli mam, to budzę się z nich. - Nagle zdała sobie sprawę, że o jej koszmarach Chen mógł się dowiedzieć tylko od Catlina. - To on powiedział panu o nich?

- Smok i ja rozmawialiśmy o wielu rzeczach: o chrześcijaństwie i Hsiangu, o połowie monety i zdradliwych kobietach, o złotych rzekach i odcieniach srebra, o ptakach z jednym skrzydłem. - Chen Vi westchnął. Zaciągnął się papierosem, zakaszłał sucho, napił się herbaty i mówił dalej. - Dobrze cię bronił, córko. Zarobił sobie na połowę monety. W pełni spłacił swój dług wobec rodziny Chenów.

- Ty wynajęłaś Catlina, żeby mnie bronił? - Lindsay starała się zrozumieć, o czym mówi Chen. - Przecież powiedział mi, że nie jest twoim człowiekiem!

- To prawda. Nie był moim człowiekiem. Można wynająć sobie smoka, ale nie można posiadać go na własność.

- Papieros rozjarzył się gwałtownie. - To kwestia twarzy. Prosiłem Catlina, żeby cię chronił, póki nie znajdziemy brązów Qin. Zgodził się. - Chińczyk strząsnął popiół do kryształowej popielniczki. - Chronił cię z siłą, której można się spodziewać po smoku i równą jej delikatnością. Nie spodziewane było tylko jego współczucie. Ochronił cię

nawet przed sobą samym. Chciał zatrzymać cię dla siebie. Bardzo tego chciał, córko.

Jedyną odpowiedzią Lindsay było nagłe napięcie całego ciała. Ze ściśniętym gardłem walczyła ze łzami.

- Ach! - Chen Yi chrząknął, odczytując słowa, których nie wypowiedziała w liniach bólu krzywiących jej usta. Zaczął coś mówić, lecz przerwał i tylko przez chwilę palił w milczeniu.

- Wiedz jedno. - Wydmuchnął z ust kłęb dymu. - Kiedy następnym razem poprosisz o pozwolenie odwiedzenia Xi'anu, zabiorę cię do podziemnej komnaty, w której wspinała armia z brązu strzeże grobu dawno zmarłego cesarza. Możesz przebywać wśród niej, jak długo zechcesz. Możesz pić ze źródła wielkości Chin, aż utonie w nim twa dusza i na jakiś czas zapomnisz, że jesteś ptakiem o jednym skrzydle, ptakiem, który niegdyś wiedział, jak to jest, kiedy połączą się ciała, który potrafił wzlecieć tam, gdzie powinny latać ptaki: dwa skrzydła, dwie dusze i niebo.

Próbowała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Nie mogła także znieść wspomnienia o tym, jak czuła się jako ptak z dwoma skrzydłami. Więc myślała tylko o wspinałym brązie, na który wydała wyrok: falsyfikat. Znaleźć się wśród takich dzieł, dotknąć ich, zobaczyć duszę Chin idącą ku niej, otaczającą ją...

- Dziękuję - powiedziała. Głos miała schrypnięty. - Nie zasłużyłam sobie na to.

- Zasłużyłaś sobie na znacznie więcej. Ofiarowałbym ci woźnicę Qin, gdybym tylko mógł - stwierdził po prostu Chen Yi. - Lecz ryzyko odkrycia prawdy okazało się zbyt wielkie. W ciągu zaledwie kilku godzin odesłano go do Chin. Wraz z Zhu, Pao i ich nieco poturbowanymi, lecz żywymi żołnierzami. - Chińczyk uśmiechnął się ponuro.

Zadzwoił telefon. Lindsay drgnęła. Yi poderwał się na

równe nogi ze zręcznością zdumiewającą u mężczyzny w jego wieku.

- Zająłem ci wystarczająco wiele czasu. Zobaczymy się w Xi'anie?

- Nie musi pan wychodzić. - Lindsay również wstała. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na telefon. - Najprawdopodobniej to nasz stary przyjaciel, Bradford Stone, z nowym zestawem zdjęć do obejrzenia. Nadal ma nadzieję na odkrycie tego tajwańskiego szpiega. A ja nadal nie powiedziałam mu ani słowa o Hsiangu.

Telefon dzwonił nadal.

- Wytrwałność pana Stone'a została wreszcie nagrodzona. - Głos Chena pozbawiony był jakiegokolwiek wyrazu. - Zaledwie wczoraj Catlin rozpoznał na zdjęciu pewnego przemytnika jako człowieka, który uczestniczył w akcji brązów. Na nieszczęście dla FBI, człowiek ten zdążył zbiec na Tajwan. Nie sądzę, by pan Stone wzywał cię jeszcze na przesłuchania.

Telefon dzwonił nieprzerwanie.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła Lindsay. - Jestem już zmęczona powtórzeniem, że brązy zajęły mnie do tego stopnia, iż patrzyłam wyłącznie na nie. A Stone jest zapewne zmęczony wysłuchiwaniami tego wyjaśnienia.

Dzwonek telefonu niemal zagłuszył suchy śmiech Chińczyka.

- Przyjedź do Xi'anu, córko. Nie znajdziesz tam tego, co straciłaś, ale i tak dostaniesz coś, o czym większość ludzi mogłaby tylko marzyć.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Chen Yi skłonił się lekko i wyszedł.

Ktoś ciągle próbował się z nią połączyć. Zniecierpliwiona, podniosła słuchawkę

- Nie bój się, to nie ten okropny pan Stone - powitała ją

zdyszana Sherry. - Masz Sama Wanga na drugiej linii. - Nim Lindsay zdążyła jej przerwać, dodała jeszcze: - Jeśli nie masz ochoty na Sama, zostaw go mnie, dobrze? Jest taki...

- ...natrętny jak Bradford Stone - skończyła za nią Lindsay. Była zmęczona. Jej własny głos wydał się jej zbyt ostry. Wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma.
- Nie ma sprawy. W końcu mamy poniedziałek, nie?
- Racja. I sporo go jeszcze zostało. Zaczekaj chwilę, a potem daj mi Wanga.

Usiadła i starała się uspokoić, stosując *taijiquan*. Odniosło to tylko częściowy skutek. Od czasu, kiedy Catlin znikł z jej życia, wszystkie dni wydawały się poniedziałkami. Miał rację w sprawie huśtawki uczuć, przez którą przejdzie, wracając do normalnego życia. Miał rację mówiąc, że trudno jej będzie odzyskać dobrą opinię, choć FBI i Chińska Republika Ludowa nie szczędziły wysiłku, by jej w tym pomóc. Publicznie i serdecznie dziękowano jej za rolę, jaką odegrała w zdemaskowaniu „fałszerzy” brązów. Miał także rację twierdząc, że szybko wróci do normalnego życia. Właściwie miał rację we wszystkim, oprócz jednego.

I tylko to jedno się liczyło.

Oddychała głęboko, powoli. Telefon zadzwonił po raz kolejny. Nacisnęła drugi przycisk i podniosła słuchawkę.

- Cześć, Sam - powiedziała jasnym, czystym głosem. Na jej twarzy widać było jednak napięcie. Głos Wanga przypomniał jej o aukcji, na której pozornie zdradziła Wanga... o magazynie, w którym zdradziła go rzeczywiście.
- Dostałeś namiar na ten brąz z dynastii Shang, którego tak bardzo pragnie pan White?

- Jeszcze nie. Ale kiedy w zeszłym tygodniu byłem

w San Francisco, słyszałem interesujące rzeczy. Myślę, że pierwsza powinnaś się, o nich dowiedzieć.

Lindsay zacisnęła palce na słuchawce.

- Doprawdy?

- Najpierw Lee Tran znikł bez śladu, a teraz czcigodny Hsiang Wu zdecydował się porzucić międzynarodową politykę i skupić wysiłki na handlu azjatyckimi dziełami sztuki. Zabawne, co?

Zamknęła oczy modląc się, by głos nie zdradził jej uczuć. Nie wymieniła nazwiska Hsianga, choć Stone naciskał ją bardzo mocno.

- Nie wiedziałam, że Hsiang Wu szczególnie interesuje się polityką - stwierdziła grzecznie.

Doskonale słyszała śmiech Wanga.

- Daj spokój, Lindsay, przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Oboje wiemy, że Hsiang przestał szpiegować dla Tajwanu tylko dlatego, że Catlin zwał się na niego jak lawina.

- Po raz pierwszy to słyszę - powiedziała obojętnie. - I dlaczego Catlin miałby robić coś takiego?

- Właśnie miałem cię o to zapytać. Zasadą postępowania z facetami pokroju Hsianga jest zmienić ich w podwójnych agentów.

- Co?

- To takie proste. - W głosie Wanga słychać było śmiech. - Łapiesz jakiegoś szpiega drugiej strony na gorącym uczynku i mówisz mu, że może wybierać: albo będzie szpiegował dla ciebie, albo utrudni mu się życie... do końca życia. Catlin wie, jak się w to gra - do diabła, czasami mam wrażenie, że to on wymyślił reguły - a jednak pozwolił Hsiang Wu urwać się z haka i teraz zamiast podwójnego agenta mamy wzorowego obywatela. Nie mam nic przeciwko powiedzeniu ci, że Stone byłby cholernie

wkurzony, gdyby się o tym dowiedział. Umiera z chęci, żeby dostać w łapy przyzwoitego podwójnego tajwańskiego agenta.

- Sam. - Lindsay bardzo starała się powiedzieć to bez troski. - Mam kłopoty ze zrozumieniem, o co ci w ogóle chodzi. Mimo tej sprawy z brązami Qin, nie jestem typem Maty Han. A w ogóle, to skąd znasz Stone'a?

- A kto mówi, że go znam?

Nagle nabrała ochoty na to, żeby walnąć słuchawką w biurko, może to ułatwiłoby im rozmowę. Lecz jednocześnie zdała sobie sprawę, że nic by na tym nie wygrała. Sam Wang żył w zupełnie innym świecie. Być może mówili tym samym językiem, ale trudno im było pogodzić się co do znaczenia niektórych słów.

W słuchawce wyraźnie usłyszała śmiech.

- Szkoda, że nie widzę wyrazu twojej twarzy, Lindsay. Jeśli Catlin nie zdobył cię, póki mógł, to chyba zwariował. Takich jak ty już dziś nie ma.

- Takich głupich? - rzuciła, zagniewana. - Nie zgadzam się. Wiem z najlepiej poinformowanych źródeł, że rodzą się jedna na minutę, co powinno zagwarantować ci nowy towar na każde życzenie.

- A skoro mówimy o Catlinie...

- Ja nie mówiłam - zaprotestowała natychmiast.

- ..to widzisz się z nim jeszcze? - Wang nie zwrócił uwagi na to, że próbowała mu przerwać.

- A co to ma wspólnego z wczesną epoką Shang dla pana White'a?

- Nic - przyznał Wang. - Ale ma za to wiele wspólnego z zaproszeniem cię dziś na kolację. Jeśli należysz do Catlina, to się wycofuję. Nie chcę takich kłopotów, jakich on przysparza ludziom.

- Kiedy sprawdzałam ostatni raz, w świadectwo szcze-

pienia wścieklizny nie wpisano mi żadnego właściciela - stwierdziła spokojnie. - A tobie? A może zabrakło miejsca na wpisanie trzech właścicieli?

- Trzech?

- Stone, Chen Yi i ryzyko.

W słuchawce zapadła cisza, a kiedy rozległ się w niej śmiech, był raczej żałosny niż wesoły.

- Lindsay, jesteś jedyna w swoim rodzaju. Naprawdę nie polubiłaś gry, co?

- Nie. Nie polubiłam.

- A to pech! Cały świat służyłby nam za boisko. Załatwilibyśmy wszystkich!

- To nie jest mój świat. Ale nie przeszkadzaj sobie.

- Rzeczywistością jest to, co kształtujemy my, pamiętasz? - W pytaniu tym brzmiała ironia.

Przypomniała sobie wspaniałego brązowego smoka i uśmiechnęła się mimo woli.

- Jak powiedziałam, żyjemy w różnych światach.

- Każdy, kto spojrzał na mojego smoka i dostrzegł, że rzeczywistość to twór, a nie fakt, potrafi żyć w każdym świecie.

- Właśnie miałam cię o to zapytać. - Lindsay bardzo pragnęła zmienić temat. - Co laboratorium miało do powiedzenia o tym smoku?

- Nigdy nie trafił do laboratorium i nie jest to już mój smok.

- Co minutę głupiec, nie? - W tonie jej pytania wyraźnie wyczuwało się dezaprobatę.

- Nie tym razem. Człowiek, który go kupił, dokładnie wiedział, co kupuje.

Tym razem w głosie Lindsay wyraźnie zabrzmiała ulga. Mimo wszystkiego, co ich dzieliło, nie chciała myśleć o Wangu jak o zwykłym, prostym oszuście.

- Doskonale. Ten ktoś musiał nieźle znać się na sztuce, jeśli kupił go dla tego, czym jest, a nie dla tego, czym nigdy nie był.

- Jak nikt rozumiał on zasady rzeczywistości - zgodził się Wang. - Przypominał w tym ciebie. Dziękuję, że przejrzałaś to dzieło do samego jądra jego sztuki. Kosztowało mnie to trochę, ale warto było zapłacić. Każdy artysta pragnie, by go doceniono - a zwłaszcza artysta, który nie może się nawet podpisać pod swym dziełem. Cześć, Lindsay. Nie będę cię już więcej niepokoił.

Nim zdążyła coś powiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Siedziała nieruchomo, trzymając w ręku słuchawkę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że tego niezwykłego smoka stworzył sam Wang. Odkładając słuchawkę zastanawiała się, co sprawiło, że tak wielki artysta tak wiele twórczego wysiłku marnuje dla świata kłamstw. Potem zastanowiła się jeszcze, czy rekrutował ją dla któregoś ze swych szefów, czy też była to jego własna inicjatywa. Może sam chciał się zabawić i zarobić?

Niecierpliwie potrząsnęła głową. Nie miało przecież najmniejszego znaczenia, czy robił to dla Chena, dla Stone'a, czy dla samego siebie, czy też może dla nich wszystkich razem. W każdej sytuacji odpowiedź brzmiała: „nie”.

Machinalnie zerknęła na zegarek, a potem na kalendarz. Kalendarz nadal wskazywał piątek. To też nie miało znaczenia. Pracowała także w dni wolne od pracy. Lepsze to niż wspomnienia. Nim spotkała Catlina, żyła sama, lecz nie była samotna. Teraz wszystko się zmieniło. Zrozumiała samotność tak jak starożytni Chińczycy rozumieli brzy - dogłębnie.

Jednym gwałtownym ruchem zerwała trzy kartki z kalen-

darzą. Te trzy dni dołączyły do minut i godzin biegnących od czasu, kiedy siedzieli w hotelowym pokoju w San Francisco i czuła się tak, jakby obdzierano ją ze skóry. Pragnęła płakać, lecz nie mogła - ból nie pozwalał jej nawet oddychać. Catlin miał rację we wszystkich innych sprawach - dlaczego pomylił się, mówiąc o bólu? Dlaczego pamiętała wszystkie spędzone z nim chwile z tak okrutną jasnością?

„Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką poznałem w życiu”.

Powróciły do niej te jego słowa, prześladowały ją, raniły. Nie potrafiła go zatrzymać. Nie wierzył, że prawdziwa miłość może narodzić się w świecie rządzonej przez adrenalinę i kłamstwa. Nie dał jej okazji wykazania, że się myli.

Podeszła do okna. Stała bez ruchu patrząc, jak z biur na pograżone w cieniu wieczora chodniki wylewa się rzeka ludzi. Próbowwała nie myśleć, nie pamiętać, a przede wszystkim nie czuć. Bezustannie przebiegała wzrokiem ulice, wypatrując mężczyzny, poruszającego się jak tygrys o zmierzchu. Nie wiedziała, co robi, kiedy znów go spotka. Wiedziała tylko, że pragnie spotkania z nim tak strasznie, że na samą myśl o tym robi się jej słabo.

W końcu zmusiła się, żeby odejść od okna i pójść do domu. Po drodze nadal wpatrywała się w twarze mijanych przechodniów, lecz nie było pomiędzy nimi Catlina. Nie było go wśród ludzi tłoczących się na przystankach autobusowych i postojach taksówek. Nie stał przy wejściu do domu, w którym mieszkała. Otworzyła drzwi mieszkania...

... i zamarła. Na niskim stoliku stał skulony, promieniujący życiem smok Sama Wanga. Podeszła do niego powoli. Ukośne promienie zachodzącego słońca wydobywały wypukłość każdego jego mięśnia, każdą giętką, potężną i wspaniałą linię ciała, odbijały się od srebrnych i złotych

inkrustacji. Przesunęła palcem po ponadczasowym ornamencie, świadczącym o inteligencji, zdolnościach twórczych i umiejętności przetrwania, i o prawdzie głoszącej, że rzeczywistość jest w istocie dziełem sztuki, że zmienia się nawet w chwili, w której się ją przeżywa, że zawiera w sobie wszystkie możliwości.

Wspaniały, promieniujący światłem i życiem, smok wpatrywał się w Lindsay oczami ze złota starymi jak czas i współczesnymi jak przyszłość.

Za plecami Lindsay drzwi do mieszkania zamknęły się z wyraźnym trzaskiem. Odwróciła się, szukając wzrokiem źródła tego dźwięku.

Catlin stał w progu nieruchomo, patrząc na nią oczami smoka, złotymi, pełnymi napięcia i życia. Próbowwała wymówić jego imię, lecz nie mogła. Pragnęła podbiec do niego, lecz bała się uwierzyć, że jest tam naprawdę, że nie stworzyły go jej pragnienia.

- Chciałem, żebyś miała tego smoka - powiedział rzeczowo, jakby od ich ostatniej rozmowy upłynęły trzy minuty, a nie trzy tygodnie. - Załatwiałem w Waszyngtonie interesy, więc ci go przywiozłem. Jak się masz, Lindsay? Przyzwyczaiłaś się już do dawnego życia? Koszmary znikły?

Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że o coś ją pyta. Zbyt mocno, zbyt intensywnie wpatrywała się w niego, starając się zobaczyć wszystko, dostrzec, jak różni się od jej wspomnień o nim. Był wyższy i potężniejszy, niż pamiętała, twardszy, ciemniejszy; promieniował powściąganą siłą smoka. Smok.

Lecz ściągnięta twarz powiedziała jej, że nie jest całkowicie odporny na ból

- Lindsay? - Jego głos był głęboki, napięty jak wyraz oczu.

Zadrzała, gdy zalała ją fala wspomnień. Dotykał jej zawsze tak delikatnie, jakby bał się, że ma do czynienia ze snem, z którego może się obudzić. Teraz zrozumiała jego strach. Zamarła, bojąc się poruszyć, bojąc się odetchnąć, bojąc się obudzić.

- Wróciłem za wcześnie, prawda? - spytał ze smutkiem. - Jeszcze mi nie wybaczyłaś? Patrzysz na mnie i widzisz mężczyznę, który wciągnął cię w piekło. - Westchnął ochryple. - Przepraszam, słodki kociaku. Nie chciałem zdenerwować cię od nowa. Czekałem, ile mogłem. Pojawiłem się za wcześnie.

Odwrócił się do wyjścia. Dopiero to sprawiło, że odzyskała głos.

- Na co czekałeś? - spytała. Gardło ścisnął jej ból. - Żeby przestała cię kochać? Zajęłoby to więcej niż trzy tygodnie. Zajęłoby... - głos się jej załamał. - Ile by to zajęło, Catlin? Ty znasz odpowiedź na wszystkie pytania. Powiedz, ile czasu by to zajęło?

Błyskawicznie odwrócił się ku niej. Widziała, jak zmienia mu się twarz. Wyglądało to trochę tak, jakby stał w cieniu i nagle wyszedł na słońce. Nie sprawiał też wrażenia opanowującego się z wielkim trudem, groźnego drapieżnika. Przeszedł przez pokój w dwóch krokach, złapał ją w objęcia jednocześnie silne i delikatne, podniósł w uścisku. Jego siła i ciepło przepłynęły przez nią w jednej potężnej fali. Objęła go za szyję, drżąc z oszałamiającego podniecenia.

- Nie płacz, kochanie, nie płacz. - Czuł wstrząsające nią dreszcze, słyszał, jak urywanie oddycha. - Boże, przestań, rozdierasz mi duszę. - Odwrócił głowę, szukając ustami jej miękkich ust, smakując jej łyzy. - Przepraszam, kochanie - powtarzał cicho, nieustannie. - Nie chciałem

cię skrzywdzić. To wszystko. Naprawdę nie chciałem cię skrzywdzić.

- Więc nie powinienes mnie opuszczać. - Tuliła się do niego z całej siły, przestraszona, że znów odejdzie. - Powiedziała, że cię kocham, a ty mówiłeś tylko o adrenalinie i kłamstwach, i odszedłeś, jakbym miała na imię Mei i nie wiedziała nic o miłości. To mnie najmocniej zabiło. Bolało, dopóki...

Wiedział, że nie może pozwolić jej mówić dalej. Słowa jej były zbyt bolesne i dla niej, i dla niego. Ucałował jej miękkie, spragnione usta, wypełniając ją i czując, jak ona wypełnia jego.

- To nie tobie nie ufałem - powiedział w końcu, całując ją mocno, krótko. - Nie ufałem sobie. Pragnąłem cię zbyt mocno, by zaufać własnemu sądom. Kiedy wychodziłem z hotelu, powiedziałem sobie, że poczekam sześć miesięcy, nim znowu się z tobą zobaczę.

Z jej ust wyrwał się cichy jęk. Objęła go jeszcze mocniej. Roześmiał się ochryple i znów ją pocałował. Czuł, jak jej ciało mięknie, jak wtula się w jego ciało, jak do niego przywiera. Czuł też, jak rodzi się w nim słodki, gorący płomień, który zawsze wzniecała.

- Kiedy wyszedłem z hotelu - mówił dalej, całując jej powieki, ślady po łzach, kąciki ust - zdecydowałem, że wystarczą cztery miesiące. Na lotnisku udało mi się przekonać samego siebie, że dwa to i tak za długo. Gdzieś nad Kansas zdecydowałem się na dwa tygodnie, potem na dziesięć dni i tydzień, trzy dni, trzy godziny... a w końcu powiedziałem sobie: „Zawracaj i leć po nią, idioto! Nie daj jej uciec!”

Zagłębił dłonie w miękkich włosach, odchyłał jej głowę, aż musiała spojrzeć mu w oczy. Dostrzegła w nich taki ból, że aż krzyknęła.

- Nie rozumiesz? - spytał ochrypłym głosem. - Dałem słowo, że będę cię chronił, a myślałem o tym, żeby je złamać. Wiedziałem, że jeśli zawrócę z drogi, wrócę do hotelu, mogę cię mieć. Jeśli to, co do mnie czułaś, to rzeczywiście miłość, fajnie, nie ma sprawy. Jeśli nie, jesteś zbyt dobra, zbyt szczodra, zbyt łagodna, by wyrzucić mnie, kiedy minie adrenalinowy szok, bo wtedy będziesz już wiedziała, jak bardzo cię potrzebuję. A więc, uczucie czy współczucie, będziesz moja. - Odetchnął cicho przeklinając i stwierdził po prostu: - Czekałem, jak długo mogłem. Trzy tygodnie.

W jego oczach Lindsay odczytała zarówno prawdę, jak i pogardę, którą czuł dla samego siebie.

- Catlin, nie - powiedziała głębokim, lekko schrypniętym głosem. - Mógłbyś czekać nawet trzy lata, a odpowiedź byłaby taka sama. Kocham cię.

Jego uśmiech był gorzki, pełen smutku.

- Mam nadzieję, słodki kociaku, ponieważ ja kocham cię z pewnością. - Nagle zrobił krok w tył i schował ręce głęboko w kieszenie spodni. Zmuszał się, by jej nie dotknąć.

- Ostatnia szansa. Powiedz mi, że mam odejść i wrócić za trzy miesiące. Za dwa. Za...

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie. Ani za miesiąc, ani za tydzień, ani jutro. Ani nawet za godzinę. Może za sekundę, ale nie dłużej.

Patrzył jej w oczy, szukając prawdy skrytej za zasłoną łez. Powoli wyciągnął ręce z kieszeni. W prawej trzymał znajomy, niebieskozielony brąz, oprawiony w krążek złota. Ujął dłoń Lindsay i wsunął jej pierścionek na palec.

- Trudno uznać go za typowy - powiedział, dotykając ustami najpierw jej dłoni, a później ust - ale i okoliczności nie były typowe, prawda?

Lindsay spojrzała na małą, starą monetę. Znieruchomiała, wzruszenie ścisnęło jej gardło. Połówki zostały złączone, ptak w locie znów był cały. Próbowła powiedzieć mu, czym jest dla niej ten dar, ale zdołała wymówić tylko jego imię. Szeptwała je nadal z miłością, kiedy tulił ją tak mocno, jakby bał się, że ktoś znowu zechce mu ją odebrać.

W kręgu światła, żywy jak każde dzieło prawdziwej sztuki, smok patrzył, widząc wszystkie prawdy, wszystkie kłamstwa, wszystkie strachy, wszystkie sny, miliardy możliwych przyszłości... a wśród nich tę jedną, w której istniał ptak o dwóch skrzydłach, dwie dusze i niebo.